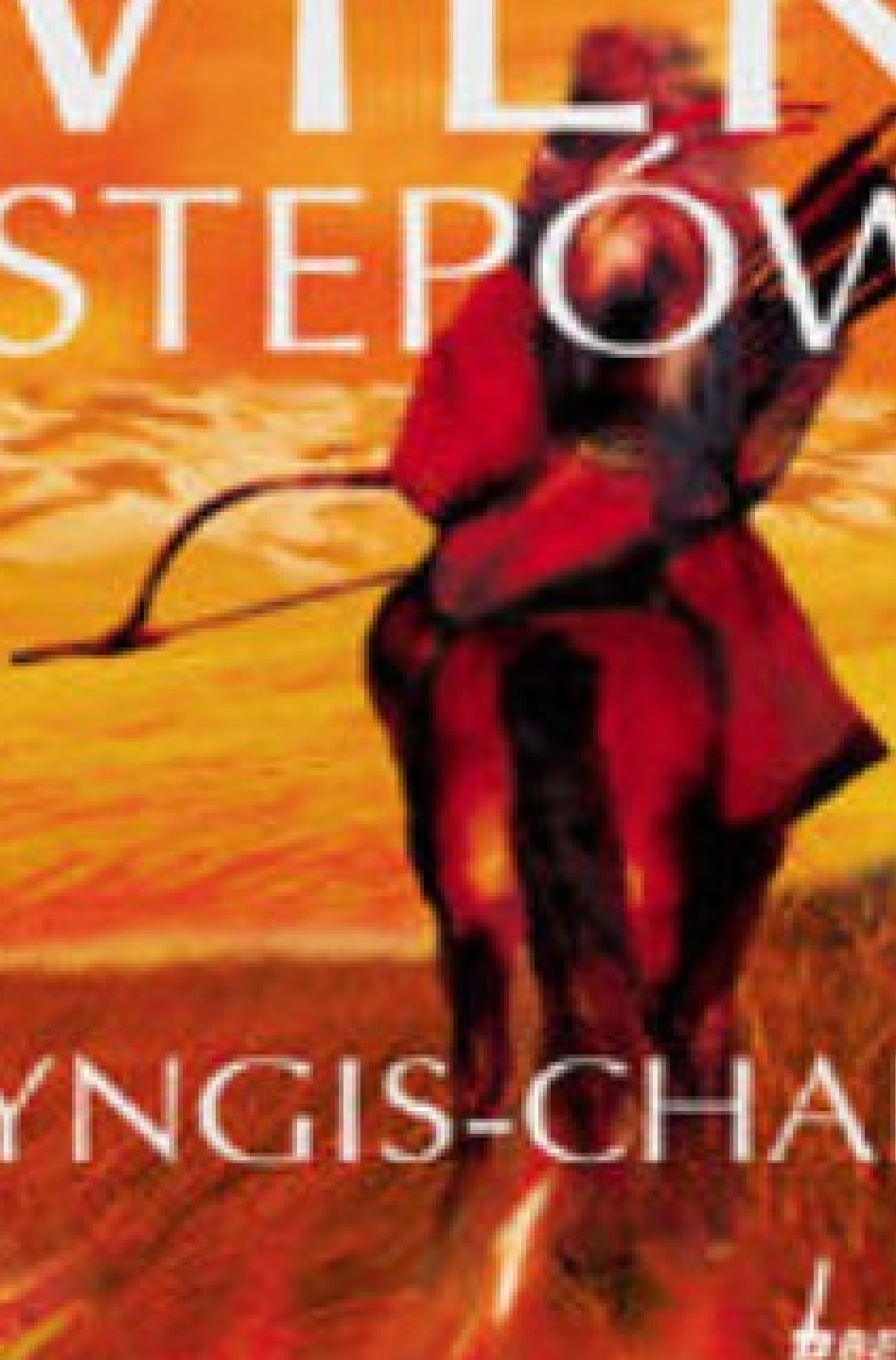


Conn Iggulden

WILK ZE STEPÓW

A warrior on a dark horse, wearing a red tunic and a dark hood, is shown in a desert landscape. The warrior is holding a bow and arrow, and the horse is galloping. The background is a vast, flat, orange-brown plain under a bright sky.

DŻYNGIS-CHAN

BELLONA

Conn Iggulden

**WILK
ZE STEPÓW
DŻYNCIS-CHAN**

Wolf of the plains

Przełożył
Radosław Botev



*Ta książka nie powstałaby bez wsparcia rdzennych mieszkańców Mongolii,
którzy pozwolili mi przez pewien czas mieszkać między sobą
i którzy wśród ustępującej zimy uczyli mnie swojej historii
przy solonej herbacie i wódce.*

*Szczególne podziękowania należą się Mary Clements za jej cenne
uwagi na temat koni oraz Shelagh Broughton, której wnikliwe
badania w znacznej mierze umożliwiły mi napisanie tej książki.*

*Moim braciom Johnowi,
Davidowi i Halowi*

*Dobrze to nie jest, gdy rządzi zbyt wielu - niech jeden panuje,
jeden król tylko...*

- Homer, Iliada (przekład Kazimiery Jeżewskiej)

PROLOG

W oślepiająco białym śniegu mongolscy łucznicy okrążyli oddział Tatarów. Każdy z jeźdźców, kierując ruchami swego kuca tylko kolanami, stał w strzemionach i z niezwykłą celnością słał śmiertelnościami strzałę za strzałą. Tętent kopyt wtórował krzykom rannych i wyciu wiatru. Tatarzy nie mieli dokąd umknąć przed świszczącą śmiercią dolatującą z coraz ciśniejszych objęć bitwy. Ich konie z charkotem padły na kolana, a krew obficie tryskała im z nozdrzy.

Na wystającej płowej skale szczelnie otulony futrem, Jesügej przyglądał się bitwie. Wiatr jak ryczący diabeł hulał po stepie, szarpiąc skórę w miejscach pozbawionych już ochrony z owczego tłuszczu. Władca nie okazywał strudzenia. Przez lata tak bardzo przywykł do niewygód, że sam nie był pewien, czy w ogóle jeszcze je odczuwał. Były częścią jego życia, tak jak wojownicy ruszający w bój na jego rozkaz albo wrogowie, których zabijał.

Tatarom nie brakowało odwagi, co Jesügej musiał przyznać mimo całej dla nich pogardy. Zbierali się właśnie wokół młodego wojownika, którego nawoływania niesły się z wiatrem. Człowiek ów miał na sobie kolczugę, przedmiot zawiści i pożądania. Krótkimi rozkazami powstrzymywał jeźdźców przed pójściem w rozsypkę. Jesügej wiedział, że nadszedł moment na szarżę. Wyczuło to też dziewięciu towarzyszy w jego harbanie, najlepszych z plemienia, braci krwi i oddanych druhów. Byli godni cennych zbroi, które nosili, wykonanych z twardej skóry, zdobionej motywem postaci młodego, skaczącego wilka.

- Jesteście gotowi, bracia? - zapytał Jesügej czując na sobie ich spojrzenia.

Jedna z klaczy zarżała w podnieceniu, a jego pierwszy wojownik Ełuk roześmiał się.

- Zabijemy ich dla ciebie, malutka - powiedział gładząc ją za uszami.

Jesügej popędził kuca i wszyscy gładko ruszyli kłusem ku rozwrzeszczanej, wrzącej w śniegu bitwie. Ze wzgórza ponad walką doskonale widzieli pełną potęgę wiatru. Chan cmoknął z podziwem, patrząc, jak ramiona Ojca Nieba bez końca owijają drobnych wojowników białym, ciężkim od lodu szalem.

Bez zmiany szyku, bez zastanowienia wojownicy przeszli do galopu, odruchowo oceniając odległości tak, jak robili to od dziesięcioleci. Myśleli tylko o tym, jak najlepiej ściąć wrogów z siodła i zostawić ich zimne szczątki na stepie.

Harban Jesügeja wbił się z łoskotem w sam środek walczących i brnął w stronę dowódcy, który w ostatniej chwili zdołał podnieść się z ziemi. Gdyby pozwolono mu przeżyć, stałby się być może bohaterem całego plemienia. Jesügej uśmiechnął się, kiedy jego kuc z impetem łupnął w pierwszego z wrogów. Nie tym razem.

Uderzenie złamało tatarskiemu wojownikowi kręgosłup, zanim ten odwrócił się w stronę nowego zagrożenia. Jesügej jedną ręką trzymał grzywę wierzchowca, a drugą ciał przeciwników, siejąc wokół śmierć.

Powstrzymał się przed zadaniem dwóch ciosów, które mogły go kosztować utratę ojcowskiego miecza, i zamiast tego pozwolił kucowi tratować wrogów, a głównią bronią jak młotem zdzielił jakiegoś bezimiennego wojownika. Przedarł się, dotarł do skotłowanego jądra tatarskiego oporu. Dziewięciu towarzyszy nie odstępowało go na krok, chroniąc swojego chana, tak jak zostało im to przeznaczone przy narodzinach. Jesügej nawet bez patrzenia wiedział, że tam są, że osłaniają jego tyły. Poznawał ich obecność po sposobie, w jaki

dowódca Tatarów omiatał go spojrzeniem, kierując wzrok to na prawo, to na lewo od niego. Na pewno widział własną śmierć w ich ponurych twarzach, wykrzywionych podobnym do złowieszczego uśmiechu grymasem. Może też zdał sobie sprawę, że wokół leżą naszpikowane strzałami ciała jego towarzyszy. Oddział był rozbity.

Jesügej z zadowoleniem patrzył, jak Tatar staje w strzemionach i kieruje w jego stronę długie, czerwone ostrze. Nie było strachu w jego oczach, tylko gniew i gorycz ze zmarnowanego dnia. Polegli, którzy zamierzali już na stepie, nie mogli się już niczego nauczyć, ale Jesügej wiedział, że do tatarskich plemion dotrze wiadomość o klęsce: z nadejściem wiosny znajdą szerniałe kości i nie zdobędą się już na najazd na jego trzody.

Jesügej, ku zaskoczeniu tatarskiego wojownika, zaśmiał się, kiedy tak patrzyli na siebie. Nie, niczego się nie nauczą. Tatarzy zdechliby z głodu, gdyby polegali tylko na matczynej piersi. Wrócą tu, a wtedy on znowu wyruszy przeciw nim i przeleje jeszcze więcej ich plugawej krwi. Perspektywa ta napawała go radością.

Tatar, który go wyzwiał, był jeszcze młody. Jesügej pomyślał o synu, który przychodził właśnie na świat hen za wzgórzami na wschodzie, i zastanawiał się, czy on też pewnego dnia spotka się miecz w miecz z posiwiąłym, starszym wojownikiem.

- Jak cię zwą? - zapytał Jesügej.

Bitwa ucichła i Mongołowie chodzili już między ciałami poległych, zbierając wszystko, co przydatne. Wiatr wciąż ryczał wkoło, jednak widocznie głos dało się usłyszeć, gdyż Jesügej dostrzegł zdziwienie na twarzy młodego wroga.

- A ciebie, kutasie jaka?

Jesügej zaśmiał się, ale odsłonięta twarz zaczynała go już boleć i ogarniało go zmęczenie. Ścigali tatarski podjazd niemal przez dwa dni, obywając się bez snu i żywiąc się tylko mokrym twarogiem. Miecz Jesügeja był gotów, by odebrać życie kolejnemu wrogowi, i chan uniósł ostrze.

- Nieważne, chłopcze. Chodź no tu do mnie.

Tatarski wojownik najwyraźniej dostrzegł w jego oczach coś bardziej pewnego od strzały. Skinął głową zrezygnowany.

- Nazywają mnie Temudżyn-Üge - powiedział. - Moja śmierć będzie pomszczona. Jestem synem wielkiego rodu.

Popędził konia i wierzchowiec szarpnął się w stronę Jesügeja. Miecz chana świsnął w powietrzu w jednym, doskonale wymierzonym cięciu. Ciało Tatara upadło na ziemię, a kuc pognał przez pobojowisko.

- Jesteś padliną, chłopcze - powiedział Jesügej - jak wszyscy, którzy grabią moje trzody.

Rozejrzał się po swoich wojownikach zebranych wokoło. Czterdziestu siedmiu opuściło jurty w odpowiedzi na jego wezwanie. Stracili czterech braci w zaciekłym boju z wrogiem, lecz ani jeden z dwudziestu Tatarów nie wróci do domu. Cena była wysoka, ale zima czyni ludzi zdolnymi do wszystkiego.

- Szybko przeszukajcie ciała - rozkazał Jesügej. - Już za późno na powrót do domu. Rozbijemy obóz pod osłoną skał.

Cenny metalowy rynsztunek i łuki można było sprzedać za dobrą cenę albo zastąpić nimi uszkodzoną broń. Nie licząc kolczugi, zdobycz nie była jednak obfita, co potwierdzało domysły Jesügeja, że mieli do czynienia z oddziałem młodych wojowników wysłanych na zwiady i dla wykazania swoich zdolności. Tatarzy nie planowali walki na śmierć i życie na ziemi twardej jak skała. Chan powiesił na rogu przy siodle zakrwawiony metalowy ubiór,

który mu rzucono. Kolczuga była solidnie wykonana i zatrzymałaby przynajmniej cios sztyletu. Jesügej zastanawiał się, kim mógł być ten młody wojownik, że posiadał tak cenną rzecz. Przez chwilę powtarzał w myślach jego imię, po czym wzruszył ramionami. Nie miało to już żadnego znaczenia. Teraz chciał tylko wymienić swój udział w kucach Tatarów na mocny trunek i futra, kiedy plemiona zejdą się na handel. Przemarzył na kość, ale mimo wszystko uważał, że był to dobry dzień.

*

Wichura trwała aż do następnego ranka. Jesügej i jego ludzie wracali do koczowiska grubo owinięci w futra i obładowani zagrabionym mieniem, tak że były to raczej bezkształtne, na wpół przemarznięte postacie, obrosłe brudnym lodem i tłuszczem. Tylko zwiadowcy lekko poruszali się w siodle, wypatrując nagłego ataku.

Plemię dobrze wybrało miejsce na obóz - jurty były niemal niewidoczne w śniegu pod stromym wzgórzem na tle smaganych wiatrem skał i porostów, a przyćmione światło ledwie majaczyło wśród skotłowanych chmur. Wracających wojowników wyłowił bystry wzrok jednego z chłopców na czatach. Serce Jesügeja zabiło żwawiej na dźwięk wysokich głosów, ostrzegających o jego przybyciu.

Kobiety i dzieci na pewno nie krzątają się jeszcze po domach - pomyślał Jesügej. W taki mróz zwlekały się z posłania tylko po to, żeby napalić w żelaznych piecach. Prawdziwe przebudzenie w obozie następowało dopiero jedną czy dwie godziny później, gdy lodowy osad na wielkich namiotach z wojłoku i wikliny zdążył się już ulotnić.

Kiedy kuce podeszły bliżej, Jesügej usłyszał krzyk dolatujący wraz z szarym dymem z jurty Höelün i poczuł, jak serce bije mu żywiej w wyczekiwaniu. Miał już jednego syna, ale śmierć zawsze była blisko dzieci. Chan potrzebował tak wielu potomków, ilu tylko mogły pomieścić namioty. Pomodlił się szeptem o kolejnego chłopca, brata dla pierworodnego.

Usłyszał wysoki głos jastrzębia w jurcie i energicznie zeskoczył z siodła, aż zaskrzypiała mu skórzana zbroja. Zza opatulających go futer ledwo dojrzał sługę, który odbierał wodze. Pchnął drewniane drzwi i wszedł do domu, a śnieg na zbroi zaczął się gwałtownie topić i płynąć strużkami.

- Ha! Uciekać! - zawołał ze śmiechem, kiedy dwa psy dopadły do niego, żeby lizać go na powitanie i skakać wkoło w radosnym szaleństwie.

Jastrząb wydał z siebie piskliwe powitanie, które dla Jesügeja zabrzmiało raczej jak zachęta, by ruszyć na polowanie. Jego pierworodny syn Bekter raczkował nagi w kącie, bawiąc się kawałkami sera twardymi jak kamień. Jesügej wychwycił to wszystko, nie odrywając wzroku od kobiety na futrach. Höelün była rozpalona od żaru bijącego z pieca, ale jej oczy błyszczały w złotym świetle lampy. Jej gładka, mocna twarz skrzyła się od potu, a Jesügej dostrzegł ślad krwi na czole w miejscu, które otarła wierzchem dłoni. Obok znachorka tuliła płócienne zawiniątko, a chan wyczytał z uśmiechu Höelün, że miał drugiego syna.

- Daj mi go - zażądał i postąpił naprzód.

Znachorka cofnęła się, ściągając pomarszczone z irytacji usta.

- Zgnieciesz go w twoich wielkich dłoniach! Pozwól mu napić się mleka matki. Potrzywasz go później, gdy będzie silny.

Jesügej nie mógł odmówić sobie patrzenia, jak znachorka kładzie małego chłopca i kawałkiem płótna ociera jego drobne kończyny. Wychylił się więc, górując ponad nimi, owinięty w futra, a dzieciak zaniósł się na ten widok rozdzierającym płaczem.

- Poznał mnie - stwierdził z dumą Jesügej.

Znachorka parsknęła.

- Jest za mały - wymamrotała.

Jesügej nie odpowiedział. Uśmiechnął się z góry do czerwonej twarzy niemowlęcia i nagle bez ostrzeżenia zmienił swoje zachowanie. Gwałtownie chwycił starą kobietę za nadgarstek.

- Co on ma w dłoni? - zapytał ściszym głosem.

Znachorka miała właśnie obmyć dziecku ręce, ale pod surowym spojrzeniem Jesügeja delikatnie rozchyliła dłoń niemowlęcia i odsłoniła galaretowatą grudkę krwi wielkości oka, drżącą przy najlżejszym ruchu. Krew była czarna i błyszcząca jak olej skalny. Höelün podniosła się, żeby zobaczyć, co u jej nowo narodzonego dziecka wzbudziło taką ciekawość Jesügeja. Spostrzegła ciemną bryłkę i jęknęła cicho.

- Ma krew w prawej dłoni - szepnęła. - Śmierć będzie z nim kroczyć przez całe życie.

Jesügej wziął głęboki wdech. Był zły, że to powiedziała. Nierozważnie było wzywać zły los dla chłopca. Siedział przez chwilę w milczeniu i rozmyślał. Znachorka nerwowo wycierała niemowlę, a gruda krwi trzęsa się na pościeli. Jesügej sięgnął po nią i przytrzymał w dłoni.

- Urodził się ze śmiercią w prawym ręku, Höelün. To mu przystoi. Jest synem chana, a śmierć jest jego towarzyszką. Będzie wielkim wojownikiem.

Patrzył, jak znachorka wreszcie oddaje niemowlę wyczerpanej matce, a chłopiec natychmiast zaczyna z zapałem ssać odsłonięty dla niego sutek. Höelün skrzywiła się i przygryzła wargę. Z ciągle zatroskanym wyrazem twarzy Jesügej zwrócił się do znachorki.

- Rzuć kości, babko. Niech pokażą, czy ta gruda krwi oznacza dobro czy zło dla Wilków.

Jego ponure spojrzenie potwierdzało, że wynik wróżby rozstrzygnie o życiu dziecka. Jesügej był chanem i plemię szukało w nim siły. Chciał wierzyć w słowa, które wypowiedział, by uprzedzić zazdrość Ojca Nieba, ale obawiał się, że przepowiednia Höelün była prawdziwa.

Znachorka pochyliła głowę, rozumiejąc, że w rytuał narodzin wkradło się coś strasznego i dziwnego. Sięgnęła po toból na piecu, kryjący drobne kości owcy, zabarwione na czerwono i zielono przez dzieci z plemienia. W zależności od tego, jak upadały na ziemię, określano je jako konie, krowy, owce lub jaki i można było grać nimi w tysiące gier. Starsi plemienia wiedzieli, że kości potrafią też wiele wyjawić, jeśli rzuciło się je w odpowiednim czasie i miejscu. Znachorka zamachnęła się do rzutu, ale skrzywiła się od nagłego uścisku ręki Jesügeja.

- Ten mały wojownik jest z mojej krwi. Ja to zrobię - powiedział i wziął od niej cztery kości.

Nie opierała się, zmrożona jego lodowatym spojrzeniem. Nawet psy i jastrzęb zamilkły na chwilę.

Jesügej rzucił kości, a stara znachorka aż westchnęła, kiedy upadły na ziemię.

- Ach. Cztery konie to bardzo szczęśliwa wróżba. Będzie wspaniałym jeźdźcem. Będzie podbijał konno.

Jesügej skinął gwałtownie głową. Chciał pokazać syna plemieniu i zrobiłby to, gdyby nie szalejąca nawałnica, która starała się wdrzeć do ciepłej jurty. Mróz był wrogiem, ale dzięki niemu plemiona pozostawały silne. Starcy nie cierpieli długo podczas tak surowych zim. Słabe dzieci też szybko umierały. Ale jego syn nie będzie jednym z nich.

Jesügej patrzył, jak drobne niemowlę ssie miękką pierś matki. Chłopiec miał złote oczy po ojcu, niemal tak jasne jak oczy wilka. Höelün podniosła wzrok na Jesügeja, uspokojona jego

dumą. Była pewna, że grudka krwi to zły omen, ale kości nieco zmniejszyły jej obawy.

- Masz już dla niego imię? - znachorka zapytała Höelün.

Jesügej odrzekł bez wahania.

- Mój syn nazywa się Temudżyn - powiedział. - Będzie jak żelazo.

Na zewnątrz dalej huczała nawałnica, nie słabnąc ani na chwilę.

ROZDZIAŁ 1

Na wiosennym stepie w cieniu góry Deli'ün Bołdak dwunastoletni Temudżyn ścigał się ze swoimi czterema braćmi. Najstarszy z nich, Bekter, wprawnie, w skupieniu galopował na szarej klaczy, a Temudżyn dotrzymywał mu kroku, szukając okazji, by go wyprzedzić na swoim wierzchowcu. Tuż za nimi pędził Kasar, wydając dzikie okrzyki w miarę zbliżania się do dwóch jeźdźców na przedzie. Dziesięciolatek był ulubieńcem plemienia - zwykle pogodny, w przeciwieństwie do ponurego i chmurnego Bektera. Jego rudawy ogier z parskaniem i rżeniem gnał za klaczą najstarszego z braci, a chłopiec wtórował mu śmiechem. Na końcu galopował Kacziun, ośmiolatek pozbawiony tej otwartości, za którą uwielbiano Kasara. Z całej piątki Kacziun wydawał się najpoważniejszy, a nawet skryty. Odzywał się rzadko i nigdy nie narzekał, niezależnie od tego, jak bardzo dokuczyłby mu Bekter. Miał talent do jazdy na kucach i mało kto potrafił mu dorównać: umiał zmusić wierzchowca do gwałtownego przyspieszenia, podczas gdy reszta zwalniała kroku. Temudżyn spojrział przez ramię, utrzymując idealną równowagę, i sprawdził pozycję Kacziuna. Wydawało się, że ociągał się z tyłu, ale lepiej było go pilnować, bo zdarzało się już, że wszystkich zaskakiwał.

Z pewnej odległości za braćmi słysząc było najmłodszego z nich, który rozpaczliwie nawoływał, aby zaczekali. Temüge wielką miłością darzył słodkości i próżniactwo, co miało widoczny wpływ na jego umiejętności jeździeckie. Temudżyn roześmiał się na widok pulchnego chłopca, popędzającego kuca zamaszystymi ruchami ramion. Matka przestrzegala starszych synów przed zabieraniem go na ich dzikie gonitwy. Dopiero od niedawna potrafił jeździć nieprzywiązany do siodła. Jednak go zostawiali. Bekter jeszcze nigdy nie zdobył się na słowo pochwały dla niego.

Ich wysokie głosy niosły się daleko wśród wiosennych traw równiny. Pędzili w pełnym galopie, przycupnięci na grzbietach kuców jak ptaki na drzewie. Jesügej nazwał ich kiedyś swoimi wróblami i z dumą patrzył na ich umiejętności. Temudżyn stwierdził, że Bekter jest za gruby na wróbla, i musiał potem przez całą noc ukrywać się przed gniewem starszego brata.

W dniu takim jak ten w całym obozowisku panował jednak wesoły nastrój. Nadeszły wreszcie wiosenne deszcze i rzeki znów płynęły obficie, wijąc się po równinach - jeszcze kilka dni wcześniej pokrytych wysuszoną gliną. Klacze dawały ciepłe mleko do picia, a także do wyrobu sera i chłodnego jogurtu. Zwiewna szata zieleni zaczęła otulać kościste wzgórza, przynosząc obietnicę lata i ciepłych dni. Był to rok zgromadzenia: przed następną zimą plemiona miały się zejść w pokój, żeby współzawodniczyć i handlować. Jesügej zarządził, że w tym roku Wilki przemierzą ponad tysiąc mil, żeby uzupełnić trzodę.

Perspektywa obejrzenia walk zapaśników i zawodów łuczniczych wystarczyła, żeby wprawić chłopców w dobry nastrój. Jednak to wyścigi prawdziwie zaprzętały ich umysł i rozpałały wyobraźnię. Wszyscy z wyjątkiem Bektera rozmawiali potajemnie z matką i prosili ją, by wstawiła się w ich sprawie u Jesügeja. Każdy chciał wziąć udział w gonitwie na krótkie lub długie dystanse, żeby rozślawić swoje imię i zdobyć poważanie w swym plemieniu.

Panowało przeświadczenie, że chłopiec, który wracał do jurt jako „Wyborowy Jeździec” albo „Mistrz Koni”, mógł pewnego dnia zająć miejsce swojego ojca, gdy ten na starość odejdzie obrządzać trzody. Wszyscy, może z wyjątkiem tłustego Temügego, snuli takie

marzenia. Temudżyna drażniło przekonanie Bektera, że to jemu należała się scheda po ojcu, tak jakby rok czy dwa lata różnicy wieku odgrywały tak wielką rolę. Ich wzajemne relacje stały się napięte, odkąd Bekter wrócił po roku spędzonym z dala od domu, wśród plemienia, z którego pochodziła jego narzeczona. Starszy brat dorósł w niezrozumiały sposób i chociaż Temudżyn wciąż był najwyższy, uważał nowego Bektera za nazbyt poważnego kompana.

Początkowo Temudżynowi wydawało się, że Bekter tylko udaje dojrzałość. Stale nad czymś dumał, nie odzywał się pochopnie i najwyraźniej ważył w myślach każde słowo, zanim pozwolił, by przeszło mu przez gardło. Temudżyn naśmiewał się z jego powagi, jednak długie miesiące zimy minęły bez jakiegokolwiek zmiany. Teraz nadal zdarzały się chwile, w których Temudżyna bawiło pompatyczne zachowanie brata, ale potrafił uszanować przynajmniej jego opanowanie, jeśli nie prawo do dziedziczenia ojcowskich namiotów i miecza.

Temudżyn podążał za Bekterem pilnując, żeby podczas jazdy nie zwiększył się odstęp między nimi. Dzień był zbyt piękny, żeby zamartwiać się odległą przyszłością, i chłopiec widział oczami wyobraźni siebie i czterech, a z Bekterem nawet pięciu braci, odbierających zaszczyty po zwycięstwie na zgromadzeniu plemion. Jesügeja rozpieierałaby duma, a Höelün uściskałaby każdego z nich, nazywając swoim małym wojownikiem, swoim małym jeźdźcem. Nawet sześciolatek Temüge mógłby wziąć udział w zawodach, chociaż ryzyko upadku z konia było bardzo duże. Temudżyn zmarszczył czoło, kiedy Bekter obejrzał się za siebie, żeby sprawdzić dystans. Mimo ich dyplomatycznych zabiegów Jesügej żadnemu z nich nie dał jeszcze pozwolenia na udział w gonitwach.

*

Höelün znowu była brzemienna i zbliżał się czas rozwiązania. Tym razem ciężę znosiła jednak gorzej niż poprzednio. Każdy dzień zaczynał się i kończył wymiotami nad wiadrem, aż twarz jej pokryła się podskórnymi wybroczynami. Synowie byli grzeczniejsi niż kiedykolwiek i czekali, aż Jesügej przestanie chodzić nerwowo między jurtami. W końcu chana zmęczyły ciągłe spojrzenia i pełna napięcia cisza, kazał im więc wygnać zimę z końskich kopyt. Temudżyn zaszczebiotał coś jeszcze, ale Jesügej podniósł go do góry mocarną ręką i rzucił na ogiera z białą sierścią na nogach. Temudżyn obrócił się w powietrzu, wylądował w siodle i w jednej chwili popędził kuca do galopu. Białonogi był groźną, porywczą bestią, ale chan wiedział, że to ulubiony wierzchowiec syna.

Jesügej przyglądał się, jak pozostali dosiadają koni, ale nie dopuszczał, aby na jego szerokiej, ciemnej twarzy pojawił się nawet cień dumy. Podobnie jak przed nim jego ojciec, tak i on zwykle nie okazywał emocji, zwłaszcza w obecności synów, którzy mogliby przez to stać się słabi. Do ojcowskich obowiązków należało wzbudzanie lęku, chociaż bywały chwile, kiedy gorąco pragnął uściskać chłopców i radośnie podrzucić ich do góry. Fakt, że znał ich ulubione konie, zdradzał jego uczucia, lecz nawet jeśli potrafili je odgadnąć po spojrzeniu i błysku w jego oku, nie było to więcej, niż jemu samemu okazywał przed laty jego ojciec. Jesügej cenił sobie te wspomnienia po części z powodu ich rzadkości i wciąż przypominał sobie dzień, w którym ojciec mruknął wreszcie słowo pochwały dla jego węzłów i pracy z liną przy ciężkim ładunku. Była to błahostka, ale Jesügej myślał o staruszku za każdym razem, kiedy zaciskał ramię mocno przyciskając go kolanem do juków. Patrzył, jak synowie odjeżdżają w głąb zalanego słońcem stepu, i kiedy nie mogli go już widzieć, jego twarz złagodniała. Ojciec nauczył go, że w srogim kraju potrzeba twardych ludzi. Jesügej wiedział, że synowie muszą umieć przetrwać bitwę, głód i pragnienie, jeśli mieli dożyć wieku męskiego. Tylko jeden z nich mógł zostać chanem plemienia. Pozostali albo zegną przed nim

kolano albo odejdą jak tułacze z garstką kóz i owiec. Jesügej odpędził tę myśl potrząśnięciem głowy i dalej wpatrywał się w tumany kurzu, znaczące ślad po kucach jego synów. Przyszłość kładła się na nich złowieszczym cieniem, ale oni myśleli teraz tylko o wiosnie i zielonych wzgórzach.

Słońce świeciło prosto w twarz Temudżyna, gnającego w pełnym galopie. Rozkoszował się uczuciem radości, jakie wzbudzał w nim rozpedzony koń i wiatr we włosach. Przed nim szara klacz Bektera odzyskiwała właśnie równowagę po potknięciu o wystający kamień. Brat zareagował na to karcącym uderzeniem konia w głowę. Dystans zmniejszył się i Temudżyn wychylił się, jakby szykował się do wyprzedzania. Nie był to właściwy moment. Uwielbiał prowadzić, ale sprawiało mu też przyjemność drażnienie starszego brata, zwłaszcza że ten bardzo się wtedy irtował.

Bekter był już niemal dojrzałym mężczyzną o szerokich, muskularnych ramionach i ogromnej wytrzymałości. Roczny okres zaręczyn, spędzony u ludu Ołkunutów, przydał mu aury światowego obycia, z czego skwapliwie korzystał. Drażniło to Temudżyna jak cierń pod skórą, zwłaszcza kiedy bracia zasypywali Bektera pytaniami o plemię ich matki i jego zwyczaje. Temudżyna też to ciekawiło, ale z goryczą postanowił, że sam się tego dowie, kiedy Jesügej go tam zabierze.

Kiedy młody wojownik wracał z plemienia swojej żony, po raz pierwszy traktowano go jak mężczyznę. Gdy dziewczyna dostawała pierwszego krwawienia, posyłano ją do niego z honorową strażą, co dowodziło jej wartości. Młody małżonek przyjmował ją u wejścia specjalnie na tę okazję przygotowanej jurty i wprowadzał do środka.

Tradycja Wilków nakazywała młodemu mężczyźnie stanąć do walki z druhami swojego chana, zanim przyznano mu pełen status wojownika. Bekter bardzo tego pragnął i Temudżyn z podziwem patrzył, jak jego brat pewnego dnia podszedł do żołnierzy przy ognisku niedaleko jurty Jesügeja. Skinął na nich i trzech mężczyzn wstało, by sprawdzić, czy pobyt u Ołkunutów osłabił Bektera. Temudżyn przyglądał się temu w milczeniu, ukryty w ciemnościach wraz z Kasarem i Kacziunem. Bekter stanął do zapasów po kolei z każdym z trzech wojowników i bez słowa skargi zniósł straszliwe cięgi. Ełuk, który walczył z nim na końcu, był wielki i silny jak koń, miał szerokie, umięśnione ramiona. Rzucił Bekterem tak mocno, że ten aż dostał krwotoku z ucha, ale zaraz potem ku zaskoczeniu Temudżyna Ełuk pomógł mu wstać i poczęstował gorącym, czystym ajrakiem. Bekter zakrzuszył się gorzkim napojem zmieszonym z własną krwią, ale wojownikom najwyraźniej to nie przeszkadzało.

Temudżynowi sprawiło przyjemność oglądanie starszego brata pobitego niemal do nieprzytomności, ale zauważył też, że tej nocy nie był on już wykpiwany przy ognisku. Bekter udowodnił swoją odwagę i zyskał w zamian coś nieuchwytnego, ale niezwykle ważnego. Stał się przez to cierniem na drodze Temudżyna.

Kiedy bracia gnali przez stepy skąpane w wiosennym słońcu, nie mieli określonej mety, tak jak na wielkim zgromadzeniu plemion. Nawet gdyby ją wyznaczono, i tak było jeszcze za wcześnie po zimie, żeby porządnie popędzić wierzchowce. Bracia wiedzieli, że nie mogą zamęczać kuców, dopóki nie będą miały trochę więcej tłuszczu pod skórą i nie najedzą się dość soczystej, zielonej trawy. Gonitwa była teraz raczej ucieczką od rutyny i zwykłych obowiązków, i mogła im najwyżej dać powód do sprzeczek o to, kto oszukiwał, a kto powinien był wygrać.

Bekter siedział prawie zupełnie wyprostowany w siodle, wydawał się więc dziwnie nieruchomy na galopującym koniu. Temudżyn wiedział, że to tylko złudzenie. Zaciśnięte na

wodzach dłonie brata delikatnie korygowały kierunek, a szara klacz była wypoczęta i silna. Wytrzymałoby pościg. Temudżyn i Kasar jechali nisko w siodle, przyłgnięci do karku konia. Wiatr szarpał ich wtedy jakby nieco bardziej i obydwaj woleli tę pozycję.

Temudżyn wyczuł raczej niż zobaczył Kasara zbliżającego się zza prawego ramienia. Wydusił ostatnie tchnienie z Białonogiego, by zmusić go do zwiększenia prędkości, a mały kuc parsknął jakby z gniewem w pełnym galopie. Temudżyn kątem oka widział Kasara i zdecydował się niby przypadkiem zboczyć na prawo. Brat najwyraźniej wyczuł jego zamiar i próbując uskoczyć z drogi znalazł się o całą długość konia w tyle ku widocznej radości Temudżyna. Chyba za dobrze się znali, żeby się ścigać. Bekter obejrzał się i przez chwilę patrzyli na siebie. Temudżyn uniósł brwi i wyszczerzył zęby.

- Nadchodzę - zawołał. - Spróbuj mnie zatrzymać!

Bekter odwrócił się do niego plecami, sztywny z niezadowolenia. Rzadko towarzyszył braciom w gonitwach, ale kiedy już to robił, wyczuwało się, że chce pokazać „dzieciom”, jak jeździ wojownik. Niełatwo zniósłby porażkę i właśnie dlatego Temudżyn napręzał każdy mięsień i ścięgno, żeby go prześcignąć.

Kasar zbliżał się do nich obydwu i zanim Temudżyn zdążył go przyblokować, prawie zrównał się z nimi. Dwaj chłopcy uśmiechnęli się do siebie, potwierdzając wspólne upodobanie dla pięknego dnia i szalonej prędkości. Długa, ciemna zima minęła i chociaż szybko miała wrócić, teraz był czas przyjemności. Życie toczyło się najlepiej, jak to możliwe: plemię będzie się pożywiać tłustym mięsem, a trzody zrodzą więcej owiec i kóz na ubój i handel. Wieczory będą mijać na struganiu strzał albo pleceni lin z końskiego włosa, na pieśniach i opowieściach o historii plemion. Jesügej wyruszy przeciw wszystkim młodym Tatarom, którzy najadą jego trzody, a plemię będzie wędrować swobodnie po stepie od rzeki do rzeki. Czekala ich praca, ale letnie dni były dość długie, żeby dać im całe godziny wolnego czasu, na co nie mogli sobie pozwolić w czasie zimowych miesięcy. Zresztą jaki był wtedy sens wędrowania, jeśli można było zostać pogryzionym przez napotkanego dzikiego psa? Temudżyn doświadczył tego, kiedy był niewiele starszy od Kacziuna, i do dziś towarzyszył mu strach.

Kasar pierwszy zauważył, że Temüge spadł z konia, kiedy obejrzał się, żeby sprawdzić, czy Kacziun nie rusza zniemacka w pościg po koronę z trawy. Kasar szczyił się najbystrzejszym wzrokiem w całym plemieniu i dostrzegł, że postać w oddali leży nieruchomo rozpostarta na ziemi. Zareagował natychmiast. Wydał z siebie modulowany gwizd, zawiadamiając Bektera i Temudżyna, że wycofywał się z gonitwy. Obydwaj odwrócili się i spojrzeli najpierw na Kasara, a potem w dal, na miejsce, gdzie tkwił nieruchomy kształt. Wahali się przez chwilę, nie chcąc odstąpić od wyścigu. W końcu Bekter wzruszył ramionami, jakby nie obchodziło go zwycięstwo, i zawrócił swoją klacz szerokim łukiem w kierunku, z którego przyjechali. Temudżyn podążył jego śladem i pogalopowali razem za innymi, z pierwszych stając się ostatnimi. Teraz to Kacziun jechał na przedzie, chociaż Temudżyn wątpił, czy zaprzętało to jego uwagę. Ośmiolatek był niewiele starszy od Temügego i spędził długie wieczory z niezwykłą cierpliwością i życzliwością, ucząc brata nazw przedmiotów w jurtach. Może właśnie dlatego Temüge mówił lepiej niż większość chłopców w jego wieku, chociaż zupełnie nie radził sobie z wiązaniem lin, czego próbowały nauczyć go zwinne palce Kacziuna. Najmłodszy z synów Jesügeja był niezdara i gdyby kogokolwiek spytać o tożsamość leżącego jeźdźca, wszyscy bez chwili wahania wskazałoby na niego.

Temudżyn zeskoczył z siodła, kiedy dotarł do pozostałych. Kacziun i Kasar byli już na

ziemi i podnosili leżącego na wznak Temüego do pozycji siedzącej.

Chłopiec miał bardzo bladą twarz i był posiniaczony. Kacziun klepnął go lekko i wzdrygnął się, kiedy głowa Temüego odchyliła się bezwładnie.

- Obudź się, mały - powiedział Kacziun, ale nie było żadnej reakcji.

Cień Temudżyna pojawił się nad nimi i Kacziun natychmiast odwrócił się do brata.

- Nie widziałem, jak upadał - powiedział, tak jakby mogłoby to w czymś pomóc.

Temudżyn kiwnął głową, umiejętnie macając Temüego w poszukiwaniu złamanych kości i śladów zranienia. Wyczuł zgrubienie na głowie, ukryte w gęstwinie czarnych włosów. Ostukał opuchliznę.

- Jest nieprzytomny, ale nie wyczuwam złamań. Dajcie mi trochę wody.

Wystawił rękę, a Kasar wyciągnął bukłak z juków przy siodle i otworzył go zębami. Temudżyn delikatnie wsączył ciepłą ciecz w otwarte usta Temüego.

- Uważaj, bo się zakrztusi - poradził Bekter. Wciąż siedział w siodle, tak jakby zarządzał ich działaniami.

Temudżyn nie zawracał sobie głowy odpowiedzią. Ogarniał go strach na myśl o tym, co powiedziałyby ich matka Höelün, gdyby Temüge umarł. Nie mogliby przekazać jej takiej wiadomości, zwłaszcza teraz, kiedy w jej ciele rosło nowe dziecko. Była osłabiona chorobą i Temudżyn obawiał się, że taki wstrząs i rozpacz by ją zabiły, ale jak mogliby to przed nią ukryć? Uwielbiała Temüego, a jej zwyczaj karmienia go słodkim jogurtem po części przyczyniał się do niezdarnego wyglądu chłopca.

Nagle Temüge zakrztusił się i wypluł wodę. Bekter cmoknął rozdrażniony, jakby zmęczony dziecinnymi igraszkami. Reszta rozpromieniła się.

- Śnił mi się orzeł - powiedział Temüge.

Temudżyn skinął głową.

- To dobry sen - stwierdził - ale musisz nauczyć się jeździć, mały. Nasz ojciec wstydziłby się przed swoimi kamratami, gdyby usłyszał, że spadłeś.

Nagle przyszła mu do głowy pewna myśl i zmarszczył czoło.

- Jeśli się o tym dowie, może zabronić nam udziału w gonitwach na zgromadzeniu.

Nawet Kasar spochmurniał, gdy to usłyszał, a Kacziun zacisnął usta w milczącym zatroskaniu. Temüge poruszył spierzchłymi wargami, a Temudżyn podał mu bukłak z wodą.

- Kiedy ktoś zapyta cię o guza, powiedz, że się bawiliśmy i uderzyłeś się w głowę. Rozumiesz, Temüge? To tajemnica. Synowie Jesügeja nie spadają z konia. Temüge widział, że wszyscy oczekują jego odpowiedzi, nawet Bekter, który go przerażał. Gwałtownie skinął głową, krzywiąc się z bólu.

- Uderzyłem się w głowę - powiedział oszołomiony. - I widziałem orła z Czerwonego Wzgórza.

- Nie ma orłów na Czerwonym Wzgórzu - odpowiedział Kasar. - Jeszcze dziesięć dni temu łapałem tam tarbagany. Zauważyłbym coś.

Temüge wzruszył ramionami, co było niezwykle samo w sobie. Chłopiec był strasznym kłamcą i gdy się go przycisnęło, zwykle krzyczał, jakby wrzask miał dodać wiarygodności jego opowieściom. Bekter już zawracał kuca, kiedy zatrzymał się i spojrzał uważnie na chłopca.

- Kiedy widziałeś orła? - zapytał.

Temüge znowu wzruszył ramionami.

- Widziałem go wczoraj, jak krążył nad Czerwonym Wzgierzem. W moim śnie był większy

niż zwykły orzeł. Miał szpony wielkie jak...

- Widziałeś prawdziwego orła? - przerwał mu Temudżyn. Wyciągnął rękę i chwycił go za ramię. - Prawdziwego ptaka, tak wcześniej? Widziałeś?

Chciał być pewien, że to nie jedna z idiotycznych historyjek brata. Wszyscy pamiętali, jak jednej nocy przybiegł do jurty, wrzeszcząc, że gadające tarbagany gonią go na tylnych łapkach.

Z wyrazu twarzy Bektera znać było, że myśli o tym samym.

- Jest oszołomiony po upadku - powiedział.

Temudżyn zauważył, że Bekter mocniej zacisnął dłonie na wodzach. Powoli, jakby podchodził do dzikiego zwierza, Temudżyn podniósł się na nogi i zaryzykował zerknięcie w kierunku swojego kuca, mozolnie skubiącego bujną trawę. Jastrząb Jesügeja zdechł i chan wciąż bolał po stracie szlachetnego ptaka. Temudżyn wiedział, że ojciec marzył o polowaniu z orłem, ale ptaki te rzadko się pokazywały, a gniazda zakładały zwykle wśród niedostępnych klifów, dość stromych i wysokich, żeby odstraszyć nawet najbardziej zawziętego wspinacza. Na oczach Temudżyna Kacziun dosiadł swojego kuca i był gotów do drogi. W gnieździe mogło siedzieć młode orlą na chów dla ich ojca. Może tylko Bekter chciał je zatrzymać dla siebie, ale inni wiedzieli, że Jesügej sowicie wynagrodziłby chłopca, który przyniósłby mu chana ptaków. Orły królowały w przestworzach, tak jak plemiona na stepie, i żyły prawie tak długo, jak ludzie. Dzięki takiemu darowi wszyscy z pewnością mogliby w tym roku wziąć udział w gonitwach. Odebrano by to jako dobry znak, gdyby orzeł przybył do ich ojca, wzmacniając jego pozycję wśród rodów.

Temüge stanął wreszcie na nogach, złapał się za głowę i skrzywił się na widok plamki krwi na swojej dłoni. Istotnie wyglądał na oszołomionego, ale bracia wierzyli jego słowom. Poranna gonitwa była ledwie igraszką. Prawdziwy wyścig zaczynał się dopiero teraz.

Temudżyn ruszył pierwszy, szybko jak atakujący pies. Wskoczył na grzbiet Białonogiego i z okrzykiem pognął narowistą bestię do morderczego biegu. Kacziun wślizgnął się na swojego konia ze zwykłą u siebie gibkością i gracją, a Kasar poszedł zaraz w jego ślady, śmiejąc się głośno w podnieceniu.

Bekter gnał już z przodu, a grzbiet konia podskakiwał pod nim, w miarę jak chłopiec popędzał wierzchowca. Temüge ani się obejrzał, jak został sam na stepie i zdeorientowany patrzył na tumany kurzu po szarzy swoich braci. Potrząsnął głową, żeby poprawić zamglony od upadku wzrok, i przez chwilę wymiotował mlecznym śniadaniem na trawę. Poczuł się po tym trochę lepiej i wdrapał się na siodło, zmuszając kuca, by oderwał się od pożywnej darniny. Koń skubnął jeszcze ostatnie źdźbło i z parsknięciem ruszył w podskokach za braćmi swojego jeźdźca.

ROZDZIAŁ 2

Słońce było już wysoko, kiedy bracia dotarli do Czerwonego Wzgórza. Początkowy dziki galop przeszedł już w spokojny kłus, który ich krzepkie konie mogły utrzymywać przez długie godziny. Bekter i Temudżyn jechali razem na przedzie, zawarłszy czasowy rozejm, a Kasar i Kacziun trzymali się tuż za nimi. Wszystkich ogarniało już zmęczenie, kiedy dojrzeliby w końcu wielką skałę, którą plemiona nazywały Czerwonym Wzgórzem - potężny kamienny blok, wysoki na kilkadziesiąt metrów. Otaczały go dziesiątki innych, mniejszych głazów niczym wilczęta skupione przy wilczycy. Zeszłego lata bracia spędzili tu wiele godzin na wspinaczce, więc dobrze znali teren.

Bekter i Temudżyn niestrudzenie przeczesywali horyzont, wypatrując innych jeźdźców. Plemię Wilków nie rościło sobie praw do polowania na ziemi tak odległej od ich jurty. Tak jak wszędzie na stepach, woda ze strumieni, mleko, futra, mięso i wszystko inne należały do tego, kto miał dość siły, żeby to zdobyć albo raczej żeby to obronić. Kasar i Kacziun byli pochłonięci myślą o znalezieniu orlego pisklęcia, ale dwaj starsi bracia przygotowywali się na konieczność walki lub ucieczki. Obydwaj mieli noże, a Bekter nosił też kołczan i mały łuk przewieszony przez plecy, który mógł w każdej chwili napiąć. W starciu z rówieśnikami z innego plemienia mieliby duże szanse na zwycięstwo, pomyślał Temudżyn. Gdyby jednak napotkali dorosłych wojowników, znaleźliby się w poważnych tarapatkach i nie pomogłoby im imię ich ojca.

Temüge znowu został z tyłu, jednak ciągle podążał śladem czwórki braci mimo potu i bzykających much, które najwyraźniej uważały go za przysmak. Przy jego mizernych siłach bracia wydawali mu się niemal jakimś innym gatunkiem, tak jak jastrzębie przy skowronku albo wilki przy psie. Chciał, żeby go lubili, ale wszyscy byli tacy wysocy i zręczni. Sprawiał przy nich wrażenie jeszcze większej niezdary i nigdy nie potrafił z nimi swobodnie rozmawiać, może tylko z Kacziunem w wieczornym zaciszu.

Temüge gwałtownie uderzał kuca piętami, ale ten wyczuwał jego brak umiejętności i rzadko zrywał się nawet do kłusa, nie mówiąc o galopie. Kacziun mawiał, że Temüge jest po prostu zbyt łagodny, ale kiedy go nie widzieli, chłopiec próbował bezlitośnie bić konia nogami, jednak leniwa bestia nie zwracała na to najmniejszej uwagi.

Gdyby Temüge nie znał celu jazdy swoich braci, zgubiłby ich już po godzinie. Matka kazała im nigdy go nie zostawiać, ale i tak to robili, a Temüge wiedział, że gdyby się jej poskarżył, zarobiłby po uszach od każdego z nich. Kiedy Czerwone Wzgórze ukazało się jego oczom, ogarnęła go głęboka litość nad sobą. Nawet z tej odległości słyszał, jak Bekter i Temudżyn kłóca się między sobą. Westchnął i poprawił się w siodle, żeby zmienić pozycję. Bolały go już pośladki. Sięgnął po kolejne kawałki słodkiego twarogu i, znalazłszy ostatni, włożył do ust, ukrywając błogą przyjemność przed bystrym wzrokiem braci, którzy byli już niedaleko. Stali przy kucach i gapili się na Temüego, kiedy tak opieszale zbliżał się do nich.

- Byłoby już szybciej, gdybym go niósł - stwierdził Temudżyn.

Na ostatniej mili jazda do Czerwonego Wzgórza znowu przerodziła się w wyścig i bracia dotarli tu w pełnym galopie na podskakujących w kurzu wierzchowcach. Dopiero teraz zdali sobie sprawę, że ktoś będzie musiał zostać przy kucach. Można im było wprawdzie przewiązać wodze wokół nóg, żeby nie odbiegły za daleko, ale chłopcy byli z dala od

plemienia, a nigdy nie wiadomo, jacy złodzieje mogli czyhać na stepie, żeby porwać zwierzęta. Bekter kazał Kacziunowi zostać na dole, ale chłopiec wspinał się najlepiej z całej czwórki i odmówił. Po kilku minutach sprzeczki każdy z braci wyznaczył do tego kogoś innego, byle tylko nie siebie, a Kasar i Kacziun nawet się pobili. Pierwszy przyduśił do ziemi głowę drugiego, a ten wił się pod nim w milczącym gniewie. Kiedy twarz Kacziuna zrobiła się ciemnopurpurowa, Bekter z przekleństwem na ustach w końcu rozdzielił walczących. Jedynym sensownym rozwiązaniem było poczekać na Temügego, a potem - co prawdę mówiąc przyszło do głowy więcej niż jednemu z braci - ścigać się na szczyt wzgórza. Znacznie bardziej niż nagie skały niepokoił ich zupełny brak znaków bytności orła. Płonne okazały się ich nadzieje, żeby zobaczyć ślady odchodów albo nawet samego ptaka krążącego w przestworzach na polowaniu lub na straży gniazda. Przy braku jakiegokolwiek dowodu, każdy z nich znowu się zastanawiał, czy Temüge aby nie skłamał albo nie opowiedział im kolejnej historyjki, żeby im zaimponować.

Temudżynowi zaczynało już burczeć w brzuchu. Nie jadł porannego posiłku, a mając przed sobą ciężką wspinaczkę, nie chciał ryzykować, że osłabnie. Podczas gdy inni patrzyli, jak zbliża się Temüge, on podniósł z ziemi garstkę rudawego pyłu, chlusnął nań wodą z bukłaka przy siodle i zmienił go w lepką maź. Białonogi wyszczerzył zęby i zarżał, ale nie opierał się, kiedy Temudżyn przywiązał go za wodze do splątanych zarośli i wyciągnął nóż.

Tylko chwilę zajęło mu nacięcie żyły na łopatce konia i przywarcie do niej wargami. Krew była ciepła i rzadka, i Temudżyn czuł, że przywraca mu energię i rozgrzewa jego pusty brzuch jak najlepszy czysty ajrak. Wypił sześć łyków, zanim oderwał usta i przyłożył okrwawiony palec do rany. Maź z pyłu i wody przyspieszała krzepnięcie i Temudżyn wiedział, że kiedy wróci do jurt, na ciele konia pozostanie już tylko niewielki strup. Roześmiał się, ukazując braciom czerwone zęby, po czym wytarł usta wierzchem dłoni. Teraz, kiedy miał pełny żołądek, szybko wracały mu siły. Sprawdził, czy krew krzepnie na ciele Białonogiego, i zauważył małą strużkę ciekącą po jego nodze. Kuc najwyraźniej nie zwracał jednak na to uwagi i znowu zajął się skubaniem wiosennej trawy. Temudżyn strzepnął muchę z krwawego śladu i poklepał konia po karku.

Bekter też zeskoczył z siodła. Zobaczywszy, jak Temudżyn się posila, starszy brat ukląkł i skierował sobie do ust cienką stróżkę ciepłego mleka z sutka swojej klaczy, głośno cmokając przy tym z zadowolenia. Temudżyn zignorował jego popisy, ale Kasar i Kacziun z nadzieją podnieśli wzrok. Wiedzieli z doświadczenia, że jeśli poproszą, Bekter im odmówi, ale jeśli nie będą się uskarżać na pragnienie, mógł się zniżyć do użyczenia po jednym ciepłym hańście dla każdego z nich.

- Pijesz, Kasarze? - zapytał Bekter i gwałtownie uniósł głowę.

Kasar nie dał się prosić dwa razy i jak młody żreback dał nura do lśniącego mlekiem ciemnego sutka w dłoni Bektera. Ssał łapczywie, zalewając sobie przy tym twarz i rękę. Zakrztusił się i parszknął, i nawet Bekter roześmiał się, zanim przywołał Kacziuna gestem dłoni.

Kacziun spojrział na Temudżyna, który sztywno stał obok. Zmrużył oczy i potrząsnął głową. Bekter wzruszył ramionami i puścił sutek klaczy, zerkając przelotnie na Temudżyna, po czym przeciągnął się i popatrzył, jak najmłodszy z braci gramoli się z siodła.

Temüge zsiadł ze zwykłą sobie ostrożnością. Dla chłopca liczącego tylko sześć wiosen grzbiet kuca był wysoko, jednak inni chłopcy z plemienia zeskakiwali z siodła z równą nieustraszoną, co ich starsi bracia. Temüge nie potrafił zrobić nawet tak prostej rzeczy i

pozostali skrzywili się, widząc, jak ciężko ląduje na ziemi. Bekter chrząknął cicho, a twarz Temügego zachmurzyła się pod ich świdrującymi spojrzeniami.

- To tutaj? - zapytał Temudżyn.

Temüge kiwnął głową.

- Widziałem, jak krąży tu orzeł. Gniazdo musi być gdzieś na górze - powiedział i uniósł wzrok, mrużąc powieki.

Bekter skrzywił się.

- Pewnie to był jastrząb - mruknął i też spojrzał w górę.

Temüge aż się zaczerwienił.

- To był orzeł! Ciemnobrązowy i większy od któregokolwiek jastrzębia!

Bekter wzruszeniem ramion skwitował wybuch Temügego i ostentacyjnie splunął mleczną flegmą na ziemię.

- Może. Dowiem się, jak znajdę gniazdo.

Temudżyn już miał odpowiedzieć na wyzwanie, kiedy Kacziun - zmęczony ich ciągłym przekomarzaniem się - wyminął ich i pociągnął za pas wokół bioder, który przytrzymał jego miękko podszyty del. Pozwolił, żeby płaszcz upadł na ziemię, i w samym tylko bezrękawniku i lnianych spodniach zaczął się wspinać na skałę. Miękkie, skórzane buty pozwalały zachować niemal taką samą przyczepność jak bosa stopy. Pozostali rozebrali się za jego przykładem, dostrzegając sens w pozostawieniu najcięższych ubrań na dole.

Temudżyn przesunął się o dwadzieścia sążni, zanim znalazł dobre miejsce dla siebie, zatarł ręce i zaczął wspinaczkę. Kasar roześmiał się podekscytowany i rzucił wodze zdezorientowanemu Temügemu. Bekter ustawił się w jeszcze innym miejscu, ułożył silne dłonie i stopy w skalnych szczelinach i ruszył pod górę z cichym stęknieniem.

Po kilku chwilach Temüge znowu był sam. Czuł się podle i bolał go kark od spoglądania w górę za wspinającymi się postaciami. Kiedy nie były już większe od pajaków, dał znać o sobie żółdek chłopca. Temüge po raz ostatni zerknął na silniejszych braci i poszedł ukraść mleczny posiłek z sutków kłaczy Bektera. Przekonał się, że bycie ostatnim miało swoje dobre strony.

*

Sto stóp nad ziemią Temudżyn zorientował się, że upadek z tej wysokości mógł go już zabić. Przez swój głośny oddech nasłuchiwał głosów braci, ale z żadnej strony nie dochodził do niego jakikolwiek dźwięk. Przywarł palcami i obuwiem do skały i wychylił się najdalej, jak mógł, żeby zobaczyć drogę na szczyt. Powietrze było tu chłodniejsze, a niebo oszłamiająco czyste i ani jeden obłok nie psuł wrażenia wspinania się ku błękitnej czaszy. Małe jaszczurki czmychały co chwila spod jego myszkujących palców i Temudżyn raz nawet prawie się ześlizgnął, gdy jedna z nich utknęła, wijąc się pod jego dłonią. Kiedy serce przestało mu już walić jak młotem, strzepnął zgniecione, gadzie truchło z półki skalnej, na której jaszczurka rozkoszowała się wcześniej słońcem, i patrzył jak obraca się na wietrze w miarę spadania.

Daleko w dole Temüge ssął sutki kłaczy Bektera i Temudżyn miał nadzieję, że brat będzie dość bystry, żeby nie wypić wszystkiego. Bekter sprząłby go na kwaśne jabłko, gdyby zobaczył, że mleko zniknęło - i pazerny smarkacz pewnie już na to zasłużył.

Słońce mocno prażyło Temudżyna w kark, a strużka potu ściekała mu z czoła na powieki tak, że musiał zamrużyć, żeby pozbyć się pieczenia. Potrząsnął głową i utrzymując się na skale tylko za pomocą rąk, szukał stopami nowego oparcia. Któryś z braci mógł zginać przez opowieści Temügego, ale teraz było już za późno na wątpliwości. Temudżyn nie był nawet

pewien, czy uda mu się z powrotem zejść po stromym zboczu. Na takiej wysokości musiał znaleźć miejsce na odpoczynek albo groził mu upadek.

Krew w żołądku bulgotała mu podczas wspinaczki, przypominając o swojej sile i wywołując gorzkie czknięcia. Temudżyn wyszczerzył zęby i podciągnął się wyżej. Uczucie strachu w trzewiach potęgowało jego złość. Nie wolno mu się bać. Był synem Jesügeja, Wilka. Pewnego dnia będzie chanem. Nie może się bać i nie spadnie. Powtarzał to sobie półgłosem w czasie wspinaczki i przywierał raz po raz do skały, opierając się szarpnięciom coraz silniejszych podmuchów wiatru. Pomagało mu też wyobrażanie sobie złości Bektera, kiedy to on pierwszy dotrze na szczyt.

Potężne uderzenie wiatru sprawiło, że serce podeszło Temudżynowi do gardła i prawie ześlizgnął się z wysokiej skały. Gdyby spadł, rozbiłby się obok Temüego. Zdał sobie sprawę, że palce mu drżą przy każdym chwycie, co było pierwszą oznaką zmęczenia. Siły dodała mu jednak złość i ruszył dalej.

Trudno było odgadnąć, jak wysoko się wspiał, ale Temüge i kuce były już tylko niewielkimi plamkami, a ręce i nogi piekły go od wysiłku. Wdrapał się na półkę skalną, gdzie mógł schronić się przed wiatrem, i przez chwilę odpoczywał zziębnięty. Początkowo nie wiedział, którądy wspinać się dalej, i rozglądał się dookoła. Chyba nie utknął w tym miejscu, kiedy inni znaleźli łatwiejszą drogę? Ale tylko Kacziun był lepszym wspinaczem, a Temudżyn wiedział, że powinien już dać odpocząć mięśniom. Wziął głęboki haust ciepłego powietrza i rozkoszował się rozległym widokiem na okolicę. Miał wrażenie, jakby mógł sięgnąć wzrokiem aż do jurt swojego plemienia, i zastanawiał się, czy Höelün już urodziła. Musiało minąć wiele godzin, odkąd przybyli pod Czerwone Wzgórze.

- Utknąłeś? - usłyszał głos z góry.

Zaklął głośno, kiedy zza krawędzi skały wychyliła się twarz Kacziuna. Brat patrzył na niego, a na jego twarzy zaczynał już świtać uśmiech. Temudżyn przesunął się wzdłuż grani, dopóki nie znalazł dobrego oparcia. Teraz miał tylko nadzieję, że wyżej też będzie się miał czego chwycić. Kacziun przyglądał mu się, więc Temudżyn opanował oddech i przybrał chłodny wyraz twarzy, jak przystało na wojownika. Musiał skoczyć, żeby znaleźć oparcie, i na chwilę ogarnął go strach. Skok nie stanowiłby problemu, gdyby byli na dole, ale wtedy upadek nie byłby tak groźny. Wśród wiatru jęczącego między skałami Temudżyn nie miał odwagi nawet myśleć o pustce za plecami.

Jego ręce i nogi śmigały w powietrzu, kiedy pędził po skałach dzięki swojej sile i energii. Gdyby się zatrzymał, spadłby na ziemię, więc z krzykiem gnał naprzód do miejsca, skąd przycupnięty Kacziun spokojnie obserwował jego zmagania.

- Ha! Chanowie gór nie mogą utknąć - zatriumfował Temudżyn.

Kacziun przełknął to w milczeniu.

- Wzgórze rozwidła się tuż nad nami - powiedział. - Bekter poszedł przełęczą na południowy szczyt.

Temudżyn był pod wrażeniem spokoju brata. Patrzył, jak Kacziun podchodzi do krawędzi czerwonej skały, na którą on wspinał się ze strachem, i staje tak blisko przepaści, że wiatr szarpie jego kędzierzawe włosy.

- Bekter nie wie, gdzie są orły, o ile w ogóle tam są - powiedział Temudżyn.

Kacziun znowu wzruszył ramionami.

- Poszedł łatwiejszą drogą. Nie sądzę, żeby orzeł budował gniazdo w miejscu, do którego tak łatwo dotrzeć.

- Więc jest inna droga? - spytał Temudżyn.

Wdrapał się po łagodnym odcinku zbocza, żeby mieć lepszy widok na szczyty Czerwonego Wzgórza. Były dwa, tak jak powiedział Kacziun, i Temudżyn zauważył Bektera i Kasara w drodze na południowy wierzchołek. Nawet z tej odległości można było wyraźnie odróżnić potężną postać najstarszego z braci, który wolno, ale pewnie piał się pod górę. Nad głową Temudżyna i Kacziuna majestatycznie wznosiła się natomiast północna turnia o stromych, skalistych stokach, zniechęcających do dalszej wspinaczki jeszcze bardziej niż zbocze, które pokonali na początku. Temudżyn zacisnął pięści, czując zmęczenie w mięśniach ramion i ud.

- Jesteś gotów? - zapytał Kacziun i skinął w kierunku północnego szczytu.

Temudżyn gwałtownym ruchem położył rękę na ramieniu brata. Zauważył, że Kacziun stracił paznokcie na prawej dłoni. Zasnęta strużka krwi biegła mu przez całą długość przedramienia aż do potężnych bicepsów, jednak po chłopcu nie było widać strudzenia.

- Jestem gotów - powiedział Temudżyn. - Dlaczego na mnie czekałeś?

Kacziun przygotował się do wspinaczki.

- Gdybyś spadł, pewnego dnia Bekter zostałby chanem - mruknął cicho.

- Może byłby dobrym władcą - stwierdził z oporami Temudżyn.

Nie wierzył w to, ale pamiętał, jak Bekter stanął do walki z druhami ojca. Temudżyn nie rozumiał niektórych aspektów dorosłego życia, a Bekter przynajmniej zachowywał się jak wojownik.

Kacziun prychnął.

- On siedzi w siodle sztywny jak tyka, Temudżynie. Kto zechce jechać za kimś takim?

Temudżyn roześmiał się i obaj zaczęli się wspinać.

We dwóch było im odrobinę łatwiej. Temudżyn niejednym razem podtrzymywał stopę Kacziuna, kiedy ten jak zwinnie pająk piał się po stromej ścianie. Chłopiec umiał wspinać się niemal tak samo dobrze jak jeździć konno, jednak zmęczenie ogarniało już jego młode ciało. Temudżyn spostrzegł, że brat robi się blady na twarzy, kiedy pokonali kolejne kilkadziesiąt metrów. Obaj dyszeli ciężko, a kończyny odmawiały im posłuszeństwa.

Słońce minęło już najwyższy punkt na niebie i zaczynało chylić się ku zachodowi. Temudżyn spoglądał w niebo za każdym razem, kiedy miał chwilę czasu, żeby odpocząć od wysiłku. Nie mogli dopuścić, żeby noc zastała ich na ścianie, bo obydwaj by spadli. Jeszcze bardziej niepokoiły ich złowieszcze chmury nadciągające z oddali. Wiosenna burza zrzuciłaby ich ze wzgórza i Temudżyn zaczął martwić się o swoich braci, kiedy Kacziun poślizgnął się i prawie sprowadził śmierć na nich obu.

- Trzymam cię. Znajdź oparcie - mruknął Temudżyn, dysząc jak ogniem z otwartych ust.

Nie pamiętał już, kiedy ostatnio był tak zmęczony, a szczyt stale wydawał się niewiarygodnie odległy. Kacziun zdołał wreszcie zdjąć nogę z ręki brata, pozostawiając na skórze ślad krwawiących zadrapań. Za przykładem Temudżyna spojrzął w kierunku stepu i zeszywniał, kiedy dostrzegł chmury. Trudno było odgadnąć kierunek wiatru z powodu ciągłych zawirowań powietrza wśród skał, ale obydwaj chłopcy mieli wrażenie, że chmury ciągną w ich kierunku.

- Dalej, ruszaj się. Jeśli zacznie padać, obaj zginiemy - Temudżyn wrzasnął na brata i popchnął go do góry. Kacziun skinął głową, ale zamknął oczy i przez chwilę wydawał się oszołomiony. Czasem łatwo było zapomnieć, jak mało miał lat. Temudżyn poczuł przypływ opiekuńczej dumy i przysiągł sobie, że nie pozwoli, żeby Kacziun spadł ze skały.

Południowy szczyt wciąż jeszcze znajdował się w zasięgu wzroku, nie było już jednak ani

śladu po Bekterze i Kasarze. Temudżyn zastanawiał się, czy bracia weszli już na szczyt albo nawet wracali na dół z orłkiem bezpiecznie schowanym pod pazuchą. Bekter byłby nie do wytrzymania, gdyby to on przyniósł wspaniałego ptaka do namiotów ojca, i myśl ta wystarczyła, żeby przydać odrobinę więcej energii zmęczonym mięśniom Temudżyna.

W pierwszej chwili żaden z chłopców nie zrozumiał, co oznaczają piskliwe dźwięki. Nigdy wcześniej nie słyszeli krzyku młodych orląt, a wiatr bezustannie towarzyszył im ze swoim własnym brzmieniem wśród skał. Chmury powoli zasnuwały niebo i Temudżyn z rosnącym niepokojem rozglądał się za schronieniem. Myśl o upadku ze śliskiej od deszczu skały przyprawiała go o drżenie serca. Był pewien, że nawet Kacziun nie zdołałby zejść po mokrej ścianie. Przynajmniej jeden z nich spadłby w przepaść.

*

Groźba niesiona przez ciemne chmury nie zdołała jednak całkiem powstrzymać entuzjazmu chłopców, kiedy wspięli się na wysokość rozpadliny pełnej gałęzi i piór. Temudżyn poczuł odór gnijącego mięsa, jeszcze zanim podciągnął się na wysokość gniazda. W końcu zdał sobie sprawę, że piskliwe dźwięki pochodziły od pary orląt, obserwujących wspinaczy z zaciekawieniem dzikiego ptactwa.

Dorośle ptaki najwyraźniej wcześniej połączyły się w parę, bo piskłeta nie były już drobne i bezbronne. Wciąż okrywało je delikatne upierzenie, gdzieniegdzie tylko przebijał złoty brąz, dzięki któremu pewnego dnia miały wznieść się ponad góry w poszukiwaniu zdobyczy. Zamiast skrzydeł orlątom sterczały jeszcze brzydkie kikuty, jednak obydwaj chłopcy zgodnie pomyśleli, że nigdy w życiu nie widzieli nic piękniejszego. Szpony wydawały się za duże dla młodych piskląt - były to wielkie żółte palce zakończone ciemnymi harpunami, najwyraźniej zdolnymi już do rozrywania mięsa.

Kacziun zamarł oczarowany, zwisając z półki skalnej. Jedno z orląt odebrało jego milczenie jako rodzaj wyzwania i syknęło na niego, rozpościerając ramiona w pokazie odwagi, która spodobała się Kacziunowi. - To mali chanowie - powiedział z roziskrzonymi oczami.

Temudżyn skinął oniemiały. Zastanawiał się, w jaki sposób uda im się zabrać dwa ptaki i zachować życie pośród nadciągającej burzy. Przeczesał horyzont w nagłym strachu, że dorosłe orły mogły wrócić spłoszone zmianą pogody. Na takiej wysokości atak orła byłby zbyt wielkim wyzwaniem dla dwóch chłopców usiłujących znieść piskłeta ze skały.

Temudżyn patrzył, jak Kacziun podciąga się i kuca przy gnieździe na skraju przepaści, jakby nieświadom niebezpiecznej pozycji. Wyciągnął rękę, ale Temudżyn gwałtownie zaprotestował.

- Chmury są za blisko, nie zdążymy zejść - powiedział. - Zostaw je w gnieździe, rano je zabierzemy.

Głuche dudnienie gromu przetoczyło się przez równinę i obydwaj spojrzeli w stronę stepu. Słońce wciąż świeciło nad nimi, ale w oddali widać było splątane, ciemne smugi deszczu i cień pędzący ku wzgórzom. Z wysokości scena ta zachwycała groźnym pięknem i jednocześnie napawała lękiem.

Wymienili spojrzenia i Kacziun skinął głową, po czym zszedł na niższą półkę skalną.

- Nie mamy co jeść - powiedział i wziął do ust bolący palec, żeby wyssać zasychającą krew.

Temudżyn przytaknął zrezygnowany.

- Lepiej głodować, niż spać - powiedział.

- Zaraz lunie deszcz, trzeba gdzieś bezpiecznie przenocować. To będzie ciężka noc.

- Nie dla mnie - powiedział cicho Kacziun. - Dziś zajrzałem w oczy orła.

Temudżyn z czułością poklepał młodszego brata i pomógł mu pokonać krawędź skały. Zbocze przedzielała w tym miejscu rozpadlina, gdzie mogli się usadowić i wreszcie odpocząć.

- Bekter będzie wściekły - powiedział z zadowoleniem Kacziun.

Temudżyn pomógł mu wejść do rozpadliny i patrzył, jak mości sobie miejsce, płosząc przy tym dwie jaszczurki. Jedna z nich z szeroko rozstawionymi nogami w panice podbiegła do krawędzi i spadła w głęboką przepaść. Miejsca ledwie starczało dla dwóch chłopców, ale przynajmniej byli osłonięci od wiatru. W ciemności niewygodny i strach miały im się podwójnie dawać we znaki i Temudżyn wiedział, że będzie miał szczęście, jeśli w ogóle zmruży oczy.

- Bekter wybrał łatwiejszą drogę - powiedział i wziął Kacziuna za rękę, żeby podciągnąć się do rozpadliny.

ROZDZIAŁ 3

Burza biła w Czerwone Wzgórze przez całą noc, a przejaśniło się dopiero z nastaniem świtu. Słońce znowu mocno zaświeciło na czystym niebie, a jego promienie wysuszyły synów Jesügeja, kiedy opuścili skalne kryjówki. Wszystkich czterech nawałnica zastała zbyt wysoko, żeby odważyli się schodzić. Noc spędzili drżąc w mokrym chłodzie; drzemali tylko, a co chwila budziły ich sny o spadaniu. Kiedy poranne światło sięgnęło bliźniaczych szczytów wzgórze, skostniali bracia ziewali i mieli podkrążone oczy.

Temudżyn i Kacziun znaleźli dogodniejsze miejsce na nocleg niż pozostali. Kiedy tylko wystarczająco się przejaśniło, Temudżyn wygramolił się z rozpadliny, żeby zabrać pierwsze orłę. Prawie stracił równowagę, kiedy od zachodu nadleciał czarny kształt - dorosły orzeł wielki niemal jak człowiek.

Ptak nie był zachwycony widokiem dwóch intruzów tak blisko młodych. Temudżyn wiedział, że samice orła są większe niż samce i że oto wściekle wrzeszczy na niego matka piskląt. Orlęta pozostawały głodne, kiedy wspaniały ptak stale podrywał się w górę i zawisał na wietrze ze wzrokiem utkwionym w dwóch chłopców w skalnej rozpadlinie. Doświadczenie to było cudowne i jednocześnie napawało lękiem, kiedy tak patrzyli w czarne oczy orła unoszącego się w przestworzach na rozpostartych skrzydłach. Jego szpony zaciskały się i rozwierały w nerwowych konwulsjach, jak gdyby ptak wyobrażał sobie, że rozrywa ludzkie mięso. Kacziun zadrżał na ten widok, nie posiadając się z podziwu i jednocześnie bojąc się, że wielkie ptaszysko w końcu rzuci się na nich i rozszarpie jak tarbagana wyciągniętego z nory. Za całą broń w starciu z drapieżką zdolnym złamać grzbiet psa jednym silnym uderzeniem musiałby im starczyć nędzny nóż Temudżyna.

Temudżyn patrzył, jak złotobrazowa głowa nerwowo obraca się tam i z powrotem. Zgadywał, że ptak może tak wisieć w powietrzu przez cały dzień, i nie bardzo podobała mu się myśl tkwienia na otwartej przestrzeni półki skalnej pod gniazdem. Jedno uderzenie potężnym szponem wystarczyłoby, żeby rozerwać jego ciało. Próbował przypomnieć sobie wszystko, co kiedykolwiek słyszał o dzikich ptakach. Czy mógł odstraszyć orła krzykiem? Zastanawiał się nad tym, ale nie chciał zwabić Bektera i Kasara na samotny szczyt, dopóki nie trzymał orląt za pazuchą.

Kacziun przywarł do pochyłej, czerwonej skały wewnątrz rozpadliny. Oderwał luźny kamień i ważył go w dłoni.

- Trafisz go? - zapytał Temudżyn.

Kacziun tylko wzruszył ramionami.

- Może. Musiałbym mieć szczęście, żeby go ogłuszyć, ale to jedyny kamień, który znalazłem.

Temudżyn zaklął pod nosem. Dorosła orlica zniknęła na chwilę, ale ptaki te były doskonałymi myśliwymi i Temudżyn nie miał ochoty dać się wywabić z bezpiecznego schronienia. Z rozgoryczeniem wypuścił powietrze. Doskwierał mu głód i czekała go jeszcze trudna droga w dół. Miał poczucie, że razem z Kacziunem zasłużył sobie na coś więcej niż powrót z pustymi rękami.

Temudżyn przypomniał sobie łuk Bektera, który został daleko w dole przy Temügem i kucach, i wyrzucał sobie, że nie pomyślał, żeby go zabrać. Ale Bekter i tak nie pozwoliłby mu

położyć rękę na swojej podwójnie wygiętej broni. Starszy brat był na jej punkcie przeczulony, tak samo zresztą jak na punkcie wszystkich akcesoriów wojownika.

- Weź kamień - powiedział Kacziun. - Ja wdrapię się do gniazda, a jeśli orlica wróci, spróbujesz ją ogłuszyć.

Temudżyn zmarszczył czoło. To był rozsądny plan. On miał lepsze oko, a Kacziun lepiej się wspinał. Problem polegał jednak na tym, że wtedy to Kacziun zabrałby pisklęta, a nie on. Być może była to błahostka, ale Temudżyn chciał pierwszy położyć rękę na zdobyczy.

- Ty weź kamień, ja pójdę po ptaki - odpowiedział.

Kacziun zwrócił ciemne oczy na brata, najwyraźniej czytając jego myśli. Wzruszył ramionami.

- W porządku. Masz je czym związać?

Temudżyn wyciągnął nóż i odciął paski z brzegu swojej tuniki. Ubranie zostało zniszczone, ale ptaki były o wiele cenniejsze i warte takiego poświęcenia. Owinął po jednym pasku wokół każdej dłoni i tak przygotowany wychylił się z rozpadliny, i rozejrzał się za ruchomym cieniem albo ciemnym kształtem krążącym w przestworzach. Ptak patrzył mu wcześniej w oczy i z pewnością odgadł jego zamiary. W spojrzeniu orła znać było inteligencję, taką jak u psa czy jastrzębia, a może nawet większą.

Temudżyn poczuł ból w stwardniałych mięśniach, kiedy wyszedł na słońce. Raz jeszcze usłyszał wysokie piski w gnieździe, głosy piskląt domagających się jedzenia po samotnie spędzonej nocy. Możliwe, że też ucierpiały nie chronione przed burzą ciepłym ciałem matki. Temudżyn słyszał tylko jedno orlę i martwił się, że drugie mogło zginąć. Obejrzał się za siebie, żeby sprawdzić, czy dorosły ptak nie nadlatuje z tyłu. Nic jednak nie zauważył i podciągnął się na wyższą półkę, aż znalazł się w tym samym miejscu, w którym poprzedniego wieczora był Kacziun.

Gniazdo było umieszczone w szerokim zagłębieniu o stromych ścianach, żeby ruchliwe pisklęta nie mogły się z niego wydostać, zanim nauczą się latać. Kiedy orlęta zobaczyły twarz Temudżyna, zaczęły rzucać się w popłochu, machając nieopierzonymi skrzydłami i skrzecząc o pomoc. Raz jeszcze Temudżyn rozejrzał się po błękicie przestworzy i zmówił modlitwę do Ojca Nieba, aby go chronił. Nachylił się nad gniazdem, przywierając prawym kolaniem do wilgotnych gałęzi i piór. Pod jego ciężarem zachrupotały małe kości i w powietrzu rozniósł się mdły swąd starej padliny.

Jedno z piskląt umknęło przed jego palcami, a drugie usiłowało go dziobnąć i szarpnęło pazurami. Delikatne szpony tylko ledwo drasnęły skórę, ale Temudżyn zignorował pieczenie, podniósł ptaka na wysokość oczu i patrzył, jak się wierci.

- Mój ojciec będzie z tobą polował przez dwadzieścia lat - mruknął i odwiązał pasek z jednej dłoni, żeby skrupować skrzydła i nogi ptaka.

Drugie orlę prawie wypadło z gniazda, rzucając się ze strachu, i Temudżyn musiał przyciągnąć je za nogę, mimo że ptak szarpał się i wyrywał. Zauważył, że wśród złotych piór niektóre miały czerwony odcień.

- Nazwałbym cię Orlą Czerwienią, gdybyś należał do mnie - powiedział i włożył oboje ptaszka za pazuchę.

Ptaki jakby się uspokoiły pod tuniką, ale mimo to Temudżyn czuł, jak ich szpony drapią mu skórę. Pomyślał, że kiedy zejdzie już na dół, jego pierś będzie wyglądała, jakby wpadł w cierniste krzewy.

Nagle zauważył dorosłego orła, nadciągającego jak ciemna chmura nad jego głową. Ptak

poruszał się szybciej, niż można by oczekiwać, i Temudżyn zdążył tylko zasłonić się ręką, kiedy usłyszał okrzyk Kacziuna, a ich jedyny kamień uderzył w bok orła i zbił go z kursu. Rozległ się wrzask wściekłości, prawdziwszej, niż Temudżyn kiedykolwiek słyszał u zwierzęcia, co przypominało mu, że miał do czynienia z drapieżcą o myśliwskich instynktach. Zobaczył, jak orlica w oszołomieniu macha skrzydłami i próbuje złapać równowagę przy półce skalnej. Mógł tylko wtulić się w zagłębienie zbocza i osłaniać twarz i kark przed ciosami szponów. Słyszał głośne skrzeczenie przy uchu i czuł bijące go skrzydła, zanim ptak zaczął spadać, wrzeszcząc z wściekłości. Obaj chłopcy patrzyli, jak orzeł leci spiralą w dół, niemal nie panując nad upadkiem. Jedno skrzydło było nieruchome, jednak drugie łopotowało od podmuchów pionowego wiatru. Oddech Temudżyna uspokoił się, a serce zwolniło. Miał już ptaka dla ojca i może będzie mu wolno zatrzymać Orłą Czerwień na tresurę dla siebie.

Bekter i Kasar dołączyli do Temüego przy kucach mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Temudżyn schodził powoli po zboczu. Kacziun towarzyszył mu, pilnując, by nie musiał gwałtownie szukać oparcia i nie ryzykował utraty cennej zdobyczy. Kiedy wreszcie stanął na ziemi i spojrzął w górę, szczyty wydawały się niemożliwie daleko, jak gdyby to nie oni się wcześniej na nie wspinali.

- Znaleźliście gniazdo - zapytał Kasar i znalazł odpowiedź w ich dumnym spojrzeniu.

Kacziun kiwnął głową.

- Z dwojgiem orląt. Odpędziliśmy ich matkę i zabraliśmy je.

Temudżyn pozwolił młodszemu bratu opowiedzieć całą historię. Wiedział, że inni nie rozumieją, co oznaczało kroczenie po dachu świata i ze śmiercią za plecami. Nie bał się w swoim mniemaniu, chociaż jego serce i ciało zamierały z przerażenia. Doświadczył tego uczucia na Czerwonym Wzgórzu i złościło go to tak, że nie chciał o tym mówić, przynajmniej na razie. Może wspomni o tym kiedyś Jesügejowi, kiedy chan będzie w dobrym nastroju.

Temüge też miał ciężką noc, jednak on zdołał schronić się z kucami przed burzą i mógł uciszyć głód odrobiną mleka. Pozostałym czterem braciom nie przyszło do głowy, żeby podziękować mu za dostrzeżenie orła. Temüge przecież się z nimi nie wspinął. Dostał tylko łupnia od Bektera, kiedy ten odkrył brak mleka u swojej kłaczy. Chłopiec zawodził głośno, ale pozostali nie okazywali współczucia. Wszyscy byli spragnieni i głodni, i nawet zwykle pogodny Kasar miał Temügemu za złe jego pazerność. Wkrótce chłopiec został sam, a reszta podążyła kłusem przez zieloną równinę.

Chłopcy dostrzegli wojowników ojca na długo przed dotarciem do jurt plemienia. Kiedy tylko oddalili się od Czerwonego Wzgórza i wyjechali na otwarty step, ich obecność została dostrzeżona, co obwieszczały wysokie tony rogów niosące się po okolicy.

Chłopcy nie okazywali zdenerwowania, chociaż przyjazd jeźdźców niechybnie oznaczał, że zauważono ich nieobecność. Niczego nie podejrzewając, podjechali bliżej i zauważyli brak uśmiechu na twarzy galopującego ku nim Ełuka.

- Wasz ojciec wysłał nas, żebyśmy was znaleźli - powiedział, zwracając się do Bektera.

Temudżyn odruchowo wyprostował się w siodle.

- Zdarzało się nam już spędzać noc poza domem - odparł.

Ełuk zwrócił na niego swoje małe, czarne oczy i podrapał się po podbródku. Potrząsnął głową.

- Nie bez zapowiedzi, nie podczas burzy i wasza matka nie była wtedy w połogu - powiedział szorstko, jakby karciał dziecko.

Temudżyn zauważył, że Bekter czerwieni się ze wstydu i przestał martwić się sytuacją.

- Więc właśnie nas znalazłeś. Jeśli nasz ojciec się gniewa, to jest to sprawa między nim a nami.

Ełuk znowu potrząsnął głową i Temudżyn zauważył błysk złośliwości w jego oczach. Nigdy nie lubił druhów ojca, chociaż nie wiedział dlaczego. W głosie Ełuka dała się teraz słyszeć chęć upokorzenia Temudżyna.

- Wasza matka prawie straciła dziecko, zamartwiając się o was - powiedział.

Jego piorunujące spojrzenie miało zmusić Temudżyna, aby spuścił oczy, ale chłopiec czuł tylko, jak wzbiera w nim gniew. Jazda z orłami przy piersi dodawała mu odwagi. Wiedział, że ojciec wybaczy im wszystko, kiedy zobaczy pisklęta. Podniósł rękę, żeby zatrzymać braci i nawet Bekter nie ruszył się z miejsca. Ełuk też był zmuszony zawrócić kuca i spojrzął na nich rozdrażniony.

- Nie będziesz nam towarzyszył, Ełuku. Wracaj - powiedział Temudżyn.

Zobaczył, jak wojownik prostuje się w siodle i wolno potrząsa głową.

- Dzisiaj jadą z nami tylko orły - dokończył Temudżyn, nie dając poznać po sobie zadowolenia.

Zebrani przy nim bracia zaśmiali się, rozbawieni tajemnicą i wyrazem zdziwienia na twarzy Ełuka. Wojownik spojrzął na Bektera i zauważył, że ten nie patrzy nawet na niego, tylko utkwiał wzrok gdzieś w oddali. W końcu parsknął śmiechem. - Ojciec wygarbuje wam skórę i nauczy pokory - powiedział, kipiąc z gniewu.

Temudżyn spokojnie patrzył na starszego wojownika i nawet jego koń się nie ruszał.

- Nie. Nie zrobi tego. Jeden z nas pewnego dnia będzie chanem, Ełuku. Pomyśl o tym i wracaj, jak kazałem. Pojedziemy sami.

- Jedź - powiedział nagle Bekter głosem niższym niż u któregokolwiek z braci.

Ełuk miał minę, jakby go piorun strzelił. Spuścił wzrok i kolanami zawrócił wierzchowca. Nie odezwał się więcej, ale w końcu gwałtownie skinął głową i odjechał, zostawiając chłopców samych i pozwalając im zaznać dziwnego odprężenia. Nie groziło im niebezpieczeństwo i Temudżyn był tego pewien. Ełuk nie był na tyle głupi, żeby podnieść miecz na synów Jesügeja. W najgorszym wypadku mógł im dać łupnia i zmusić do powrotu. Mimo wszystko chłopcy mieli wrażenie, jakby wygrali jakąś bitwę, a Temudżyn czuł na sobie świdrujące spojrzenie Bektera przez całą drogę do rzeki i plemienia ich ojca.

*

Wiatr przyniósł odór uryny, jeszcze zanim dało się zobaczyć jurty. Plemię spędziło całą zimę w cieniu góry Deli'ün Bołdak i ziemia nasiąkła fetorem w szerokim pasie okalającym koczowisko. Namioty dzielił od niego tylko taki dystans, jaki ich mieszkańcom chciało się pokonywać po ciemku. Mimo wszystko chłopcy byli już w domu.

Ełuk zsiadł z konia koło namiotów ich ojca, najwyraźniej chcąc zobaczyć, jaka spotka ich kara. Temudżynowi podobało się jego skrywane zaciekawienie i jechał z wysoko podniesioną głową. Kasar i Kacziun wyprzedzili go, ale Temügego rozpraszał zapach gotowanego tarbagana, a Bekter przybrał zwykły u siebie ponury wyraz twarzy.

Jesügej wyszedł z jurty, kiedy usłyszał rzenie ich kuców na powitanie innych koni ze stada. Miał przypasany miecz i nosił uroczysty złoto-niebieski del, sięgający do kolan. Jego buty i spodnie były wyczyszczone i dobrze wyszczotkowane i chan wydawał się jeszcze wyższy niż zwykle. Nie było gniewu na jego twarzy, ale chłopcy wiedzieli, że ojciec szczyił się maską obojętności, jakiej musieli się nauczyć wszyscy wojownicy. Jesügej uważnie przypatrywał się teraz synom tak, jak to miał w zwyczaju. Zauważył, że Temudżyn trzyma coś za pazuchą i

dostrzegł ledwo tłumione podniecenie u wszystkich braci. Nawet Bekter musiał się usilnie starać, żeby nie okazywać zadowolenia i Jesügej zaczynał się zastanawiać, co też takiego przynieśli jego chłopcy.

Widział też, jak Ełuk czai się w pobliżu, udając, że szczotkuje kuca. Dziwnie to wyglądało u kogoś, kto zwykle pozwalał, aby ogon jego klaczy obrósł błotem i cierniami. Jesügej znał Ełuka dość dobrze, żeby wyczuć, że zły nastrój oddanego druha ma związek raczej z jego synami niż z nim. Chan wzruszyłby ramionami, gdyby nie starał się zachować obojętności wojownika. Zamiast tego po prostu przestał zajmować się problemami Ełuka.

Kasar i Kacziun zsiadli z koni, na chwilę zastaniając Temudżyna. Jesügej przypatrzył się dokładniej i dostrzegł, że coś porusza się pod tuniką syna. Jego serce zabiło żywiej w oczekiwaniu. Mimo wszystko jednak nie zamierzał im darować.

- Macie siostrę, chociaż poród był cięższy przez waszą nieobecność. Wasza matka prawie się wykrwawiła ze strachu o was.

Słyszając to, chłopcy spuścili wzrok. Chan zmarszczył czoło i zapragnął porządnie sprać każdego z nich za ich samolubstwo.

- Byliśmy na Czerwonym Wzgórzu - bąknął Kacziun, kuląc się pod spojrzeniem ojca. - Temüge zobaczył tam orła i wspinaliśmy się do gniazda.

Serce Jesügeja zamarło na tę wiadomość. Tylko jedna rzecz mogła się więc za pazuchą Temudżyna, ale chan nie śmiał nawet mieć na to nadziei. Nikt z plemienia od trzech pokoleń nie złapał orła, a przynajmniej odkąd lud Wilków opuścił swoje siedziby na dalekim zachodzie. Orły były cenniejsze od tuzina wyborowych ogierów, nie mówiąc już o mięsie, jakie potrafiły zdobyć na polowaniu.

- Masz pisklę? - zapytał Temudżyna Jesügej i zrobił krok naprzód.

Chłopiec nie mógł już opanować podekscytowania i roześmiał się, stojąc dumnie i sięgając za pazuchę.

- Kacziun i ja znaleźliśmy dwa ptaki - powiedział.

Zimna twarz ojca rozpromieniła się na tę wiadomość i chan wyszczerzył zęby, olśniewająco białe na tle ciemnej skóry i rzadkiego zarostu.

Temudżyn ostrożnie wyjął pisklęta i złożył je na dłoniach ojca, rozkrzyczane, odkąd tylko znowu wyjrzały na słońce. Temudżyn odczuł utratę ich ciepła, kiedy się od nich uwolnił. Popatrzył na Orłą Czerwień okiem hodowcy, obserwując każdy ruch pisklęcia.

Jesügej nie posiadał się z radości. Nawet Ełuk podszedł bliżej, żeby zobaczyć orlęta, a chan podniósł je do góry i rozpromieniony przyglądał się im z zaciekawieniem. Zwrócił się do synów.

- Idźcie do środka zobaczyć się z matką. Przepróście za to, że ją wystraszyliście i powitajcie waszą siostrę.

Temüge przeszedł przez drzwi jeszcze zanim Jesügej skończył mówić i dało się słyszeć okrzyk radości Höelün na widok najmłodszego syna. Kacziun i Kasar poszli za nim, ale Temudżyn i Bekter nie ruszyli się z miejsca. - Jeden jest trochę mniejszy niż drugi - powiedział Temudżyn, wskazując na ptaki. Usilnie starał się, żeby ojciec nie odprawił go z niczym.

- Niektóre jego pióra mają czerwony odcień i nazywam go Orłą Czerwienią.

- To dobre imię - potwierdził Jesügej.

Temudżyn odchrząknął nagle podenerwowany.

- Miałem nadzieję, że wolno mi go będzie zatrzymać. Skoro są dwa.

Jesügej spojrział na niego obojętnie.

- Wystaw rękę - powiedział.

Temudżyn zdziwiony podniósł rękę na wysokość ramienia. Jesügej przytrzymał parę związanych piskląt pod jedną ręką, a drugą nacisnął na dłoń Temudżyna, zmuszając go do jej opuszczenia.

- Orzeł waży tyle co pies, kiedy dorośnie. Potrafiłbyś utrzymać psa na jednym ręku? Nie. To wspaniały dar i dziękuję ci za niego. Ale Orla Czerwień nie nadaje się dla chłopca, nawet dla mojego syna.

Temudżyn poczuł, jak piekące łzy napływają mu do oczu. Jego poranne marzenia okazały się mrzonką! Chan był jednak obojętny na jego gniew i gorycz, kiedy zawołał Ełuka.

Gdy wojownik stanął przy Jesügeju, jego uśmiech wydał się Temudżynowi złośliwy i nieprzyjemny.

- Byłeś zawsze pierwszy wśród moich wojowników - powiedział mu Jesügej. - Orla Czerwień należy do ciebie.

Oczy Ełuka rozszerzyły się z zachwytu. Z czcią przyjął orłę, zapominając o chłopcach.

- Zaszczycasz mnie - powiedział z ukłonem.

Jesügej zaśmiał się na głos.

- To twoja służba jest dla mnie zaszczytem - odparł. - Razem będziemy z nimi polować. Dzisiaj zagra muzyka na cześć orłów, które przyszły do Wilków.

Zwrócił się do Temudżyna.

- Będziesz musiał opowiedzieć staremu Czagatajowi wszystko o wspinaczce, żeby mógł napisać o tym wspaniałą pieśń.

Temudżyn nie odpowiedział. Nie mógł już dłużej znieść widoku Ełuka trzymającego orłę o czerwonych piórach. Razem z Bekterem zanurkował przez niskie drzwi jurty, żeby zobaczyć Höelün i nową siostrę, otoczone przez młodszych braci. Z zewnątrz dochodziły okrzyki Jesügeja chwającego się przed swoimi ludźmi darem od synów. Na wieczór szykowała się radosna uczta, chłopcy jednak czuli się jakoś nieswojo, kiedy spoglądali sobie w oczy. Radość ojca wiele dla nich wszystkich znaczyła, ale do Orlej Czerwieni prawo miał Temudżyn.

Wieczorem plemię paliło wysuszone odchody owiec i kóz, piekło baraninę na ogniu i gotowało strawę w wielkich, parujących kotłach. Pieśniarz Czagataj raczył Mongołów balladą o znalezieniu dwojga orląt na Czerwonym Wzgórzu, a jego głos niósł się po okolicy dziwną symfonią niskich i wysokich tonów. Młodzi mężczyźni i kobiety z plemienia radosnymi okrzykami wtórowali wersom, a Jesügeja co chwila proszono, aby pokazywał ptaki, żałośnie krzyżące za utraconym gniazdem.

Bohaterów wspinaczki na Czerwone Wzgórze raz po raz częstowano kubkiem czystego ajraku, kiedy siedzieli przy ognisku w ciemnościach nocy. Kasar zbladł i zamilkł po drugim kubku, a Kacziun po trzecim chrząknął cicho i powoli osunął się do tyłu na ziemię, upuszczając kubek w trawę. Temudżyn wpatrywał się w płomienie, tępiąc wzrok od ich blasku. Nie słyszał, jak ojciec podchodzi do niego, a i tak niezbyt by go to interesowało. Ajrak rozgrzał mu krew i chłopiec czuł, jak targają nim dziwne emocje.

Jesügej usiadł przy synach, podciągając potężne nogi do wygodnej pozycji. Miał na sobie del podszyty futrem dla ochrony przed nocnym chłodem, ale pod spodem nie nosił niczego. Ajrak dostatecznie go rozgrzewał, a chan szczylił się odpornością na zimno.

- Nie pij za dużo, Temudżynie - powiedział. - Pokazałeś, że jesteś gotów, aby traktować cię jak mężczyznę. Wypełnię jutro ojcowski obowiązek i zabiorę cię do Ołkunutów, ludu twojej

matki.

Zobaczył, jak Temudżyn podnosi wzrok, ale opacznie zrozumiał jego beznamiętne spojrzenie.

- Obejrzymy najpiękniejsze córki w ich pleminiu i znajdziemy tę, która będzie ci grzać łóżko, kiedy dostanie pierwszego krwawienia.

Poklepał Temudżyna po ramieniu.

- I będę u nich mieszkał, podczas gdy Ełuk zajmie się tresurą Orlej Czerwieni - odpowiedział Temudżyn ponurym, chłodnym głosem.

Jesügej dosłyszał ton głosu syna mimo mącącego umysł czystego ajraku i zmarszczył czoło.

- Zrobisz, jak ojciec ci każe - powiedział.

Zdzielił Temudżyna w tył głowy, może odrobinę silniej niż zamierzał. Chłopiec zatoczył się do przodu, ale zaraz znowu się wyprostował i spojrzał na ojca. Jesügej przestał się nim już zajmować i odwrócił się, żeby zawiązać, kiedy Czagataj poderwał swoje stare kości do tańca, a jego ręce cięły powietrze, naśladując orle skrzydła. Po chwili Jesügej zdał sobie sprawę, że syn wciąż na niego patrzy.

- Ominie mnie zgromadzenie plemion, wyścigi - powiedział Temudżyn, dławiąc łyżki gniewu, kiedy spotkały się ich spojrzenia.

Jesügej przez chwilę patrzył na niego z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

- Ołkunutowie tak jak i my pojedą na zgromadzenie. Weźmiesz Białonogiego. Może pozwolą ci ścigać się na nim z twoimi braćmi.

- Wolałbym zostać tutaj - wyznał Temudżyn, szykując się na kolejny cios.

Jesügej jakby nie usłyszał.

- Pomieszkaż u nich przez rok - powiedział. - Tak jak Bekter przed tobą. Będzie ci ciężko, ale zachowasz wiele dobrych wspomnień. Nie muszę dodawać, że wybadasz też ich siłę, wielkość zastępów i broń.

- Nie mamy zatargów z Ołkunutami - zdziwił się Temudżyn.

Chan wzruszył ramionami.

- Zima jest długa - odpowiedział.

ROZDZIAŁ 4

Temudżynowi łupało w głowie, kiedy w nikłym świetle poranka jego ojciec i Ełuk ładowali żywność i pledy na kuce. Höelün krzątała się przed jurta z córeczką ssącą jej pierś pod płaszczem. Jesügej przez chwilę rozmawiał z nią przyciszonym głosem, po czym nachylił się i przywarł twarzą do jej karku. Był to rzadki moment intymności, który nie zdołał jednak poprawić złego humoru Temudżyna. Tego ranka chłopiec nienawidził Jesügeja całą siłą, na jaką tylko mógł zdobyć się dwunastolatek.

W ponurym milczeniu nacierał tłuszczem wodze kuca i sprawdzał ostatnie paski przy uździe i strzemionach. Nie chciał dać ojcu powodu do karcenia go w obecności młodszych braci. Tych co prawda nie było w pobliżu. Po pijaństwie zeszłego wieczora w jurcie panowała przejmująca cisza. W namiocie rozległ się skrzek orlęcia wołającego o pożywienie i Höelün schyliła się, wchodząc przez niskie drzwi, żeby nakarmić ptaka krwistym kawałkiem mięsa. Należało to do jej obowiązków pod nieobecność Jesügeja, ale nie przeszkodziło jej to prawie wcale w dopilnowaniu, aby mąż był zadowolony i otrzymał wszystko, czego potrzebował na drogę.

Kuce parskały do siebie nawzajem, witając nowy dzień. Scena przejmowała spokojem, ale Temudżyn stał naburmuszony, gotów wybuchnąć z najbliższego powodu. Nie miał ochoty zaręczać się z jakąś krowiastą babą. Chciał hodować ogiery i jeździć z Orlą Czerwienią być znanym i wzbudzać respekt. Tymczasem odsyłano go jakby za karę - podczas gdy Bekter zostawał. Kiedy Temudżyn wróci do domu, narzeczona Bektera będzie już z nim w jurcie, a jej mąż stanie się mężczyzną w oczach wojowników. Częściowo to właśnie Bekter był powodem złego humoru Temudżyna. Chłopcu weszło w nawyk drażnienie dumy starszego brata i pilnowanie, aby ojciec zbytnio go nie faworyzował. Temudżyn wiedział, że pod jego nieobecność Bekter będzie traktowany jak przyszły chan. Po roku z dala od plemienia jego własne prawo do ojcowskiej schedy mogło natomiast zostać niemal zupełnie zapomniane.

Ale co mógł na to poradzić? Znał zdanie Jesügeja na temat nieposłusznych synów. Gdyby Temudżyn odmówił wyjazdu, z pewnością dostałby surowe cięgi, a gdyby dalej trwał w uporze, mógł zostać wygnany z plemienia. Jesügej często tym groził, gdy bracia zachowywali się zbyt głośno lub zbyt zaciekle ze sobą walczyli. Chan nigdy się nie uśmiechał, kiedy wypowiadał swoje groźby i chłopcy nie sądzili, aby żartował. Temudżyn wzdrygnął się na myśl o takiej karze. Życie bezimiennego wędrowca byłoby ciężkim losem. Nikt nie pilnowałby jego trzód w czasie snu, nikt nie pomógłby mu podczas wspinaczki. Zdany tylko na siebie niemal na pewno zginąłby z głodu albo, co bardziej prawdopodobne, zostałby zabity podczas najazdu na inne plemię dla zdobycia zapasów.

Jego najwcześniejsze wspomnienia dotyczyły wesołych zabaw i przekomarzania się z braćmi w jurcie. W tej wielkiej rodzinie nikt nigdy nie zostawał sam i ciężko było sobie nawet wyobrazić, jakie to uczucie. Temudżyn lekko potrząsnął głową, kiedy jego ojciec obładowywał wierzchowce. Obojętna twarz chłopca nie zdradzała żadnych emocji. Słuchał, jak Ełuk i Jesügej chrząkają cicho, z całej siły zaciskając rzemienie. Ładunek nie był zbyt ciężki dla dwóch koni.

Temudżyn odczekał, aż mężczyźni uporają się z jukami, po czym minął Ełuka i raz jeszcze sprawdził węzły przy swoim kucu. Druh ojca jakby zeszywniał na ten widok, ale Temudżyn

nie zwracał uwagi na jego zranione uczucia. Jesügej często mu powtarzał, że nie należy polegać na umiejętnościach innych. Mimo to jednak Temudżyn nie śmiał sprawdzać węzłów ojca. Temperament chana był nieprzewidywalny. Mogło go to rozbawić, ale mógł też porządnie zdzielić syna za bezczelność.

Temudżyn zmarszczył czoło na myśl o jeździe w towarzystwie samego tylko ojca, bez braci, którzy przerywaliby milczenie. W końcu wzruszył ramionami. Zniesie to tak jak znosił już wiele niewygód. Czyżby czekała go kolejna próba? Przetrzył już burze, tak ze strony Jesügeja, jak i Ojca Nieba. Cierpiał głód i pragnienie tak wielkie, że kusiło go, by ugryźć się w język i pić własną krew. Doświadczał zim tak surowych, że trzody padały od mrozu i przeżył jedno lato, kiedy słońce paliło skórę tak, że wszyscy dostawali bąbli. Ojciec zawsze znosił to wszystko bez skargi i oznak słabości, udowadniając nieskończoną wytrzymałość.

Podnosiło to na duchu jego ludzi. Nawet Ełuk rozjaśniał swoje ponure oblicze w towarzystwie Jesügeja.

Temudżyn stał sztywny i blady jak brzoźka, kiedy Höelün nachyliła się pod karkiem konia i przytuliła go. Chłopiec czuł maleńkie dziecko wijące się przy jej piersi, owiał go zapach słodkiego mleka i owczego tłuszczu. Matka puściła go w końcu, a dziewczynka zaczęła kwilić niezadowolona, że przerwano jej posiłek. Temudżyn patrzył, jak Höelün wkłada z powrotem swoją pierś w spragnione usta niemowlęcia. Nie mógł spojrzeć matce w oczy i Höelün zerknęła na stojącego obok Jesügeja, milczącego wyniośle ze wzrokiem utkwionym w oddali. Westchnęła.

- Już wystarczy, Jesügeju - powiedziała głośno.

Chan drgnął i odwrócił głowę, lekko się czerwieniąc.

- Co ty...? - zaczął.

Przerwała mu.

- Dobrze wiesz, o czym mówię. Nie odezwałeś się do chłopca ani jednym miłym słowem i chcesz jechać przez trzy dni w milczeniu?

Jesügej zmarszczył czoło, ale Höelün jeszcze nie skończyła.

- Zabrałeś mu orła i dałeś go temu twojemu obleśnemu druhowi. Oczekujesz, że Temudżyn będzie się śmiał i dziękował ci za to?

Chłodne spojrzenie Jesügeja przesuwano się to na Ełuka, to na Temudżyna badał ich reakcję.

- Jest za młody - mruknął wreszcie.

Höelün syknęła jak garniec na piecu.

- Zaraz odbędą się jego zaręczyny. Jest młody i zbyt dumny tak, jak jego uparty ojciec. Tak bardzo jest do ciebie podobny, że nawet nie potrafisz tego dostrzec.

Jesügej puścił to mimo uszu, a Temudżyn nie wiedział, co powiedzieć, kiedy matka znowu na niego spojrzała.

- On słucha, nawet jeśli udaje, że tak nie jest, Temudżynie - mruknęła. - Przypomina w tym ciebie. - Położyła silne dłonie na jego policzku. - Nie lękaj się mojego plemienia. To dobrzy ludzie, chociaż musisz uważać na młodzieńców. Będą chcieli cię sprawdzić, ale nie wolno ci się bać.

Jasne oczy Temudżyna błysnęły.

- Ja się nie boję - powiedział. Odczekała, aż jego hardy wyraz twarzy nieco złagodnieje. - Dobrze, będę uważał - dodał.

Kiwnęła głową, wyciągnęła z kieszeni tobołek ze słodkim twarogiem i włożyła mu do ręki.

- W jukach masz bukłak z czystym ajrakiem dla ochrony przed zimnem. A to twaróg na drogę. Rośnij silny i bądź miły dla dziewczyny, która będzie ci wybrana.

- Miły? - powtórzył Temudżyn. Po raz pierwszy, odkąd ojciec powiedział mu o wyjeździe, poczuł ukłucie zdenerwowania w żołądku. Gdzieś tam była obca dziewczyna, która miała zostać jego żoną i urodzić mu dzieci. Nie umiał sobie wyobrazić, jak wygląda, ani nawet czego by oczekiwał od kogoś takiego.

- Mam nadzieję, że będzie taka jak ty - powiedział po namyśle.

Höelün pochyliła się i przytuliła go na chwilę, na co jego siostrzyczka zareagowała płaczem pełnym złości.

- Jesteś dobrym chłopcem, Temudżynie. Będzie z ciebie wspaniały mąż - powiedziała.

Ku swojemu zdziwieniu zobaczył łzy błyszczące jej w oczach. Wytarła je, kiedy zauważyła jego wzburzenie. Ledwo powstrzymywał uczucia i Höelün rozumiała jego obawę, że zostanie upokorzony przed Jesügejem i Ełukiem. Mężczyźni, którzy mieli się wkrótce zaręczyć, nie płakali ze swoimi matkami.

Höelün na chwilę objęła jeszcze syna za szyję, po czym odwróciła się i zamieniła po cichu ostatnich kilka słów z mężem. Chan Wilków westchnął ciężko i odpowiedział jej kiwnięciem głowy, kiedy wsiadał na konia. Temudżyn usadowił się miękko we własnym siodle.

- Temudżynie! - usłyszał wołanie.

Uśmiechnął się i zawrócił białonogiego kuca delikatnym pociągnięciem wodzy. Zaspani bracia zwlekli się wreszcie z posłania i wyszli, żeby go pożegnać. Temüge i Kasar stanęli przy jego strzemionach z wyrazem uwielbienia na twarzy. Kacziun zmrużył oczy od światła, kiedy przez chwilę badał ścierające się już przednie kopyto konia. Bracia byli głośną radosną grupką i Temudżyn poczuł, jak jego napięcie opada.

Bekter wyszedł z jurty z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Temudżyn popatrzył na niego i dostrzegł iskierkę triumfu w jego pustym spojrzeniu. Starszy brat też myślał o tym, o ileż łatwiejsze będzie jego życie bez Temudżyna w pobliżu. Ciężko było nie martwić się o młodszych braci, ale Temudżyn nie chciał ich zawstydzić wypowiedzianym na głos swoich obaw. Kości zostały rzucone i przyszłość ich wszystkich była wyznaczona. Silny człowiek mógł nagiąć niebo do swojej woli, ale tylko dla siebie i Temudżyna o tym wiedział. Bracia byli zdani na własne siły.

Uniósł rękę i pomachał matce w ostatnim geście pożegnania, a potem popędził parsającego Białonogiego do kłusa u boku ojca. Prawdopodobnie nie zniósłby spoglądania za siebie, więc się nie oglądał. Odgłosy budzącego się ze snu koczowiska i rzenie koni szybko cichły za plecami i wkrótce słychać było już tylko tętent kopyt i pobrząkiwanie uprzęży. Obóz i jego mieszkańcy zniknęli w tumanie kurzu.

Jesügej jechał w milczeniu w kierunku wschodzącego słońca. Lud Höelün koczował bliżej niż kiedykolwiek od trzech lat i chana czekała tylko kilkudniowa podróż z synem. Po jej zakończeniu będzie wiedział, czy chłopiec nadawał się, by rządzić plemieniem. W przypadku Bektera przekonał się o tym już pierwszego dnia. Najstarszy syn nie miał w sobie wprawdzie dzikiego ognia, ale plemię potrzebowało spokojnej ręki i Bekter wyrastał na porządnego mężczyznę.

Jesügej zasępił się. Część jego umysłu koncentrowała się na przeczesywaniu okolicy w poszukiwaniu śladów wroga albo zwierzęcia. Nigdy nie mógłby się tu zgubić, bo każde wzgórze mocno wbiło mu się w pamięć, każde znaczone kozie ucho mówiło o jakimś plemieniu, wszystko układało się jak mapa w jego głowie.

Wcześniej sprawiała mu przyjemność jazda z Bekterem, chociaż usilnie starał się wtedy tego nie okazywać. Trudno było powiedzieć, w jaki sposób chłopiec stawał się przywódcą plemienia, ale Jesügej był pewien, że nie poprzez rozpieszczanie i brak hartu ducha. Wzniósł oczy ku Ojcu Niebu, kiedy pomyślał o tłustym Temügem, który został w jurcie. Gdyby ten mały chłopiec nie miał tylu silnych braci, Jesügej pewnie zabrałby go spod wpływu matki, żeby wychowywał się w innym plemieniu. Może nawet jeszcze tak robi po powrocie.

Chan przesunął się w siodle, nie mogąc jak zwykle błędzić myślami, kiedy Temudżyn jechał u jego boku. Chłopiec z ciekawością przyglądał się otoczeniu i nowym widokom. Bekter też był spokojnym towarzyszem, ale w milczeniu Temudżyna było coś drażniącego.

Na dodatek droga do Ołkunutów wiodła w pobliżu Czerwonego Wzgórza, co zmuszało Jesügeja do zastanowienia się nad rolą syna w złapaniu orląt. Chan czuł na sobie jego wzrok, kiedy on sam spoglądał ku stromym zboczom, ale uparty chłopiec nie chciał zdradzić się ze swoimi uczuciami.

Jesügej chrząknął rozdrażniony, nie wiedząc dobrze, czemu ogarnia go zły nastrój w tak przyjemny, słoneczny dzień.

- Miałeś szczęście, że udało ci się dotrzeć do gniazda na takiej wysokości - powiedział.

- To nie dzięki szczęściu - odparł Temudżyn.

Jesügej zaklął w duchu. Chłopiec jątrzył bardziej niż ciernisty krzew.

- Miałeś szczęście, że nie spadłeś, nawet z pomocą Kacziuna.

Temudżyn przymrużył oczy. Zeszłej nocy ojciec wydawał się zbyt pijany, żeby słuchać pieśni Czagataja. Czyżby rozmawiał z Kacziunem? Temudżyn nie był pewien, jak zareagować, więc nie odpowiedział. Jesügej przez chwilę przypatrywał mu się uważnie, po czym potrząsnął głową i pomyślał o Höelün. Spróbuje jeszcze raz, ze względu na nią, albo nigdy nie usłyszy zakończenia historii.

- To była wspaniała wspinaczka, jak słyszałem. Kacziun mówił, że orlica powracająca do gniazda prawie zrzuciła cię ze skały.

Temudżyn rozluźnił się nieco i wzruszył ramionami. Sprawiało mu niedorzeczną wprost przyjemność, że ojciec okazywał zaniepokojenie, jednak jego zimna twarz nie zdradzała tego.

- Kacziun strącił ją kamieniem - odparł, wypowiadając ostrożną pochwałę.

Kacziun był pod wieloma względami jego ulubionym bratem, ale Temudżyn nauczył się ukrywać przed innymi swoje sympatie. Tak bardzo weszło mu to w krew, że w dwunastym roku życia robił to już niemal instynktownie.

Jesügej znowu zamilkł, ale jego syn gorączkowo szukał sposobu na przerwanie ciszy, zanim ugruntowała się na dobre.

- Czy twój ojciec też zabrał cię do Ołkunutów? - zapytał.

Jesügej parsknął śmiechem i spojrzał na syna.

- Chyba jesteś już dość duży, żeby to usłyszeć. Nie, znalazłem twoją matkę i dwóch jej braci, kiedy jeździłem po stepie. Zobaczyłem u niej piękność i siłę.

Westchnął i cmoknął cicho, spoglądając w przeszłość.

- Jechała na przesłodkaiej małej klaczy maści burzowych chmur o świcie. Jej nogi były odkryte i mocno ogorzałe od słońca.

Temudżyn nie słyszał jeszcze tej opowieści i podjechał bliżej.

- Zdobyłeś ją od Ołkunutów? - upewnił się.

Właściwie mógł się tego spodziewać. Ojciec uwielbiał polowania i jazdę, a oczy świeciły mu się, kiedy wspominał swoje bitwy. Kiedy rok był ciepły i starczało żywności, odsyłał

pokonanych żołnierzy pieszo do domu z czerwonymi pręgami od uderzeń płaską stroną miecza na skórze. Zimą, gdy brakło pożywienia, przegrana oznaczała śmierć. Życie było zbyt ciężkie podczas ciemnych miesięcy, żeby zdobywać się na miłosierdzie.

- Pogoniłem jej braci jak parę koźląt - powiedział Jesügej. - Ledwie co wyrosłem na tyle, żeby samemu zapuszczać się na step, ale machałem mieczem nad głową i wrzeszczałem na nich.

Pogrążony we wspomnieniach, odchylił głowę do tyłu i wydał z siebie przeciągły okrzyk zakończony śmiechem.

- Powinieneś być widzieć ich miny. Jeden próbował mnie atakować, ale ja byłem synem chana, Temudźynie, a nie jakimś szczeniakiem, który dałby się wystraszyć i posłać precz z podkulonym ogonem. Przeszyłem strzałą jego biodro i pogoniłem go.

Westchnął w duchu.

- To były bardzo dobre czasy. Myślałem, że nigdy nie poczuję słabości w kościach. Uważałem, że nie otrzymam niczego w życiu i wszystko będę musiał sobie zdobyć siłą i sprytem.

Spojrzał na syna, a w jego wyrazie twarzy kryła się żalność, której powodu Temudżyn mógł się tylko domyślać.

- Był taki czas, chłopcze, kiedy sam wspinałbym się na wzgórze.

- Gdybym wiedział, wróciłbym i powiedziałbym ci o orle - zaczął Temudżyn, starając się zrozumieć to wielkie brzemie, jaki musi dźwigać mężczyzna.

Jesügej zaśmiał się i potrząsnął głową.

- Nie teraz! Jestem już za ciężki, żeby hasać po rozpadlinach skalnych. Gdybym tego teraz spróbował, chyba rozbiłbym się o ziemię jak spadająca gwiazda. Jaki byłby sens mieć synów, jeśli nie rośliby w siłę i nie wystawiali na próbę swojej odwagi? Mój ojciec nauczył mnie jednej mądrej rzeczy, kiedy akurat był trzeźwy. Odwaga nie może gnuśnieć niewykorzystana. Trzeba ją stale wydobywać na światło dzienne, aby umacniała się za każdym razem. Jeśli myślisz, że możesz ją odłożyć do czasu, kiedy będzie ci potrzebna, jesteś w błędzie. Odwaga jest jak każdy inny rodzaj siły. Jeśli ją zaniedbasz, nie znajdziesz jej, kiedy będziesz jej najbardziej potrzebował. Nie, zrobiłeś dobrze, wspinając się po Orlą Czerwień, a ja słusznie postąpiłem, oddając pisklę Ełukowi.

Temudżyn nawet nie starał się ukryć nagłego zdenerwowania. Jesügej wydał z siebie pomruk rozdrażnienia, głęboki i gardłowy jak warczenie.

- Jest najprzedniejszym z moich wojowników i doprawdy, chłopcze, powinieneś mi wierzyć. Wolałbym mieć samego tylko Ełuka u mojego boku niż pięciu innych wojów z plemienia, niż dziesięciu z Ołkunutów. Jego dzieci nie będą władać ludem. Jego miecz nigdy nie będzie się równał mojemu, rozumiesz? Nie, masz tylko dwanaście lat. Co ty możesz rozumieć z tego, co ci mówię?

- Musiałeś mu coś dać - rzucił Temudżyn. - O to chodzi?

- Nie. To nie był dług. Zaszczyciłem go Orlą Czerwienią, bo jest pierwszy pośród moich wojowników. Bo był moim przyjacielem od chłopięcych lat i nigdy się nie skarżył, że wśród Wilków jego ród jest podległy mojemu.

Temudżyn otworzył usta, żeby rzucić coś w odpowiedzi. Orla Czerwień zmarnuje się w brudnych, żółtych rękach gruboskórnego Ełuka. Ptak był zbyt cenny dla obrzydliwego ojcowskiego druha. Nie odezwał się jednak i zamiast tego przybrał obojętny wyraz twarzy, nie zdradzający światu uczuć. Była to jedyna obrona przed dociekliwym wzrokiem ojca.

Jesügej przejrzał syna i parsnął śmiechem.

- Chłopcze, przybierałem już obojętną twarz, kiedy ty byłeś jeszcze snem Ojca Nieba - powiedział.

*

Kiedy wieczorem rozbili obóz przy wijącym się strumieniu, Temudżyn zajął się czynnościami, które miały pomóc im przetrwać kolejny dzień. Rękojeścią noża odłamał twarde kawałki z ciężkiego bloku sera i włożył je do bukłaków na wpół wypełnionych wodą. Mokra mikstura miała potem leżeć pod siodłem wstrząsana podczas jazdy i ogrzewana ciepłem kuca. W południe będą już mieli z ojcem ciepły twarogowy napój, gorzki i orzeźwiający.

Kiedy Temudżyn uporał się z tym zadaniem, zaczął rozglądać się za owczymi odchodami i sprawdzał w palcach, czy były dość wysuszone, żeby dobrze i czysto się palić. Zebrał stertę najlepszych sztuk, po czym wyciągnął krzemień i potarł go o stary nóż, wydobywając iskry, które szybko przeszły najpierw w małe płomyki, a w końcu w ogień. Jesügej pociął kawałki suszonej baraniny i kiedy dodał do nich odrobinę dzikiej cebuli z owczym tłuszczem, obydwu im ślinka pociekła od smakowitego zapachu. Chleb, który dostali na drogę od Höelün, zaczynał już czerstwieć, więc połamali płaskie bochny i zatopili je w gulaszu.

Usiedli naprzeciw siebie i zabrali się do jedzenia, zsysając między kęsami mięsny sos z palców. Temudżyn zauważył, że wzrok Jesügeja spoczął na naczyniu z ajrakiem, więc podał je ojcu. Odczekał cierpliwie, aż chan weźmie głęboki łyk.

- Opowiedz mi o Ołkunutach - powiedział wreszcie.

Usta Jesügeja wykrzywiły się w wyrazie pogardy.

- Nie są zbyt silni, ale jest ich wielu - są jak mrówki. Czasem się zastanawiam, czy nie powinienem któregoś dnia ich najechać i powyrzynać, zanim mnie pokonają.

- Nie mają wojowników? - spytał z niedowierzaniem Temudżyn.

Ojcu zdarzało się czasem wymyślać historie nie z tej ziemi, ale tym razem wyglądało na to, że mówił poważnie.

- Nie takich jak Ełuk. Zobaczysz. Częściej używają łuku niż miecza i trzymają się na dystans od wrogów, podchodząc bliżej tylko w ostateczności. Do obrony przed nimi wystarczy byle tarcza, jednak kuce łatwo mogą paść pod ich ostrzałem. Są jak żądłące osy, ale jeśli wjedziesz między nich, pierzchają jak dzieci. To właśnie tak zdobyłem twoją matkę - podkradłem się i rzuciłem się na nich z ukrycia.

- To jak nauczę się posługiwać mieczem? - zażądał odpowiedzi Temudżyn.

Zapomniał, jak ojciec reaguje na taki ton, i ledwo zdołał uchylić się przed policzkiem mającym nauczyć go odrobinę pokory. Jesügej mówił dalej, jak gdyby nic nie zaszło.

- Będziesz musiał ćwiczyć samodzielnie, chłopcze. Tak jak Bekter, wiem o tym. Powiedział, że nie pozwolili mu dotknąć łuku ani noża od dnia, kiedy przyjechał aż do dnia wyjazdu. Wszyscy Ołkunutowie to tchórze. Jednak ich kobiety są w porządku.

- Dlaczego zadają się z tobą, wydając córki za twoich synów? - zapytał Temudżyn, szykując się na kolejny cios.

Jesügej kończył już mościć sobie posłanie z delu i położył się na wznak na trawie wygryzionej przez owce.

- Żaden ojciec nie chce, żeby po jurcie wałęsały mu się niezamężne córki. Co by z nimi robili, gdybym nie przychodził czasem z którymś z moich synów? Nie jest to znowu takie rzadkie, zwłaszcza na zgromadzeniu plemion. Ołkunutowie mogą w ten sposób wzmocnić

swoją krew nasieniem innych ludów.

- A nas to też wzmacnia? - zapytał Temudżyn.

Chan prychnął tylko, nie otwierając oczu.

- Plemię Wilków już jest silne.

ROZDZIAŁ 5

Bystre oczy Jesügeja dojrzały ołkunuckich zwiadowców dokładnie w tej samej chwili, kiedy oni zobaczyli jego. Niskie dźwięki ich rogów rozniosły się po okolicy, docierając do koczowisk i wzywając wojowników do obrony trzód i kobiet.

- Nie odzywaj się, dopóki cię o coś nie zapytają - ostrzegł syna Jesügeja. - Pokaż im obojętną twarz, cokolwiek się stanie. Rozumiesz?

Temudżyn nie odpowiedział, ale przełknął nerwowo ślinę. Ostatnie dni i noce, które spędził z ojcem, były dla niego dziwne. Nie przypominał sobie, aby kiedykolwiek w życiu Jesügeja tak długo poświęcał mu czas, a bracia nie odwracali jego uwagi. Początkowo Temudżyn sądził, że podróż z ojcem będzie ciężka. Nie byli przyjaciółmi, nie mogli nimi być, ale zdarzały się chwile, kiedy chłopiec dostrzegał błysk w oku chana. U kogokolwiek innego wzięłyby to za oznakę dumy.

W oddali Temudżyn dostrzegł tumany kurzu wzbijane przez kuce nadjeżdżających młodych wojowników, wzywających do broni. Jesügeja ściągnął usta i usiadł sztywno w siodle z wyprostowanymi plecami. Temudżyn poszedł za jego przykładem i patrzył, jak obłok kurzu rozrasta się, w miarę jak chmara wojowników pędzi w kierunku samotnej pary jeźdźców.

- Nie skręcaj, Temudżynie - rzucił Jesügeja. - To tylko chłopcy bawiący się w gierki i zhańbisz mnie, jeśli okażesz im cześć.

- Rozumiem - odpowiedział Temudżyn. - Ale jeśli będziesz siedział jak kamień, będą wiedzieli, że dostrzegasz ich obecność. Może lepiej rozmawiaj ze mną, śmieję się?

Poczuł na sobie ostry wzrok Jesügeja i zdrętwiał. To złote spojrzenie dla wielu młodzieńców z plemienia było ostatnim, co ujrzeli. Jesügeja przygotowywał się do spotkania wrogów, a jego mięśnie i odruchy przechodziły pod władzę instynktów. Kiedy Temudżyn odwrócił się, żeby spojrzeć ojcu w oczy, zauważył, jak chan siłą woli opanowuje napięcie. Galopujący Ołkunutowie nie byli jeszcze tak blisko, a dzień stał się jakby jaśniejszy.

- Wyjdę na głupca, jeśli przez to zrzucą nas z koni w kawałkach - powiedział Jesügeja z wymuszonym, sztywnym uśmiechem, który pasowałby raczej do nieboszczyka.

Temudżyn zaśmiał się na widok próbującego się uśmiechać ojca, szczerze tym rozbawiony.

- Takie to trudne? Spróbuj przy tym odrzucić głowę do tyłu.

Chan poszedł za radą Temudżyna i obydwaj zanieśli się gromkim śmiechem, nieustającym mimo podjeżdżających już Ołkunutów. Jesügeja był czerwony na twarzy i ocierał łzy, kiedy wrzeszczący wojownicy gwałtownie wyhamowali kuce i zagrodzili drogę. Szybujący tuman kurzu przetoczył się z wiatrem przez grupkę jeźdźców, zmuszając wszystkich do zmrużenia oczu.

Beładna grupa wojowników ucichła, kiedy Temudżyn i Jesügeja opanowali się, i udali, że dopiero teraz dostrzegają Ołkunutów. Temudżyn starał się zachować możliwie obojętny wyraz twarzy, chociaż ledwo mógł ukryć ciekawość. Wszystko u jeźdźców było nieco odmienne od tego, do czego przywykł. Rasa ich koni była szlachetniejsza, a sami wojownicy mieli na sobie lekkie szare dele ze złotymi naszywkami, narzucone na ciemnobrązowe spodnie. Byli jakby czystszy i bardziej zadbani niż plemię Temudżyna, i chłopca ogarnęło lekkie poczucie niechęci. Jego spojrzenie spoczęło na wojowniku, który najwyraźniej był przywódcą. Pozostali jeźdźcy rozstępowali się przed nim i wyczekiwali jego rozkazów.

Temudżyn zauważył, że młody wojownik jeździ tak dobrze jak Kacziun, ale jest znacznie bardziej wyrośnięty, a na sobie ma tylko lekką tunikę, nie osłaniającą jego ogorzałych ramion. Do siodła przytroczone miał dwa łuki i dobry topór rzucający. Przy żadnym z wojowników nie było widać mieczów, ale każdy miał przy sobie małe toporki i Temudżyn zastanawiał się, w jaki sposób można ich było użyć w starciu z uzbrojonym przeciwnikiem. Przypuszczał, że dobry miecz strzaskałby w drzazgi te ich siekierki po jednym czy dwóch uderzeniach - chyba żeby nimi rzucili.

Ołkunutowie odwzajemniali jego zaciekawienie. Jeden z jeźdźców zbliżył się do Jesügeja i wyciągnął zabrudzoną rękę, żeby dotknąć materiału jego delu. Temudżyn ledwo dostrzegł ruch ojca, ale dłoń Ołkunuta zalała się nagle krwią, jeszcze zanim jeździec zdążył położyć ją na rzeczach Jesügeja. Wojownik jęknął krótko i cofnął się, a ból w jednej chwili zmienił się u niego w gniew.

- Wiele ryzykujesz, przychodząc tu bez swoich druhów, chanie Wilków - powiedział nagle młody mężczyzna w tunice. - Przyprowadziłeś nam kolejnego z synów, żeby Ołkunutowie nauczyli go męskości?

Jesügej odwrócił się do Temudżyna i znów pojawił się u niego ten dziwny błysk w oku.

- To mój syn, Temudżyn. Temudżynie, to twój brat wujeczny Köke. Jego ojciec to ten jeździec, którego postrzeliłem w biodro w dniu, gdy poznałem twoją matkę.

- Wciąż kuśtyka - potwierdził Köke bez uśmiechu. *

Kuc Ołkunuta ruszył się z miejsca jakby bez polecenia i jeździec podjechał bliżej, żeby poklepać Jesügeja po ramieniu. Chan zezwolił na to, chociaż coś w jego spokoju sprawiało, że zezwolenie to nie było do końca oczywiste. Pozostali wojownicy odetchnęli, kiedy Köke wrócił na miejsce. Młodzieniec pokazał, że nie boi się chana, a ten przyznał, że jego władza nie sięga tam, gdzie jurty stawiali Ołkunutowie.

- Na pewno jesteś głodny. Myśliwi przynieśli dziś rano tłuste, wiosenne tarbagany - zjesz z nami?

- Zjemy - chan odpowiedział za nich obydwu.

Od tej chwili chroniły ich prawa gościnności i Jesügej nie był już tak spięty, jakby chciał zaraz chwycić za miecz. Jego sztylet zniknął z powrotem pod futrzanym płaszczem. Natomiast Temudżynowi serce łomotało w piersi. Dopiero teraz dotarło do niego, jak samotnie będzie się czuł otoczony przez obcych i ze strachem myślał o chwili, kiedy Jesügej odjedzie i zostawi go w nieznanym plemienu zanim jeszcze dojechali do pierwszych ołkunuckich namiotów.

*

Jurty Ołkunutów miały inny odcień szarości i były jaśniejsze niż te, które znał Temudżyn. Konie trzymano w wielkich zagrodach poza zbiorowiskiem namiotów i było ich tak wiele, że Temudżyn nie mógł ich zliczyć. Bydło, kozy i owce pracowicie żuły trawę na każdym pobliskim wzgórzu i od razu rzucało się w oczy, że Ołkunutom dobrze się wiedzie, a także - tak jak mówił Temudżynowi Jesügej - że ich plemię było bardzo liczne. Na skraju koczowiska ścigali się mali chłopcy w wieku braci Temudżyna. Każdy miał mały łuk i strzelał najwyraźniej do ziemi, wrzeszcząc i klnąc na przemian. Wszystko to było dziwne i Temudżyn żałował, że nie było przy nim Kacziuna i Kasara.

Jego kuzyn Köke zeskoczył z kuca i oddał wodze drobnej kobiecie o twarzy pomarszczonej jak liść. Temudżyn i Jesügej zsiadli z siodła w tym samym czasie, a ich konie odprowadzono, żeby się napiły i napasły. Pozostali jeźdźcy rozproszyli się po koczowisku i wrócili do swoich jurt albo zebrali się w małe grupki, żeby porozmawiać. Plemię nieczęsto gościło obcych i

Temudżyn czuł na sobie setki spojrzeń, kiedy Köke prowadził ich wśród swojego ludu.

Jesügej mruknął niezadowolony, że musi trzymać się z tyłu za młodym wojownikiem. Celowo szedł powoli i często się zatrzymywał, żeby obejrzeć ozdobne wiązania na jurtach pomniejszych rodzin. Köke zmarszczył czoło, widząc, że musi czekać na gości, jeśli nie chciał stanąć u celu bez nich. Temudżyn podziwiał sposób, w jaki ojciec subtelnie obrócił na swoją stronę małą grę w okazywanie statusu. Zamiast pędzić za młodym wojownikiem, urządzili sobie wycieczkę po koczowisku Ołkunutów. Jesügej zagadnął nawet ze dwóch ludzi, ale nigdy nie zadał pytania, na które mogliby nie odpowiedzieć, wygłosił tylko kilka komplementów i drobnych uwag. Ołkunuci patrzyli w ślad za parą Wilków, a Temudżyn wyczuwał, że ojciec czerpie z ich napięcia przyjemność taką jak z bitwy.

Kiedy stanęli przed jurta o błękitnych drzwiach, Köke był już mocno rozdrażniony ich zachowaniem, chociaż nie wiedział dokładnie dlaczego.

- Twój ojciec dobrze się miewa? - zapytał Jesügej.

Młody wojownik zatrzymał się na progu jurty.

- Jest silny, jak nigdy dotąd - powiedział.

Jesügej kiwnął głową.

- Powiedz mi, że przybyłem - polecił i spojrzał chłodno na bratanka swojej żony.

Köke zaczerwienił się lekko, zanim zniknął w ciemnym wnętrzu jurty. Nie licząc setek oczu i uszu dookoła, Jesügej i Temudżyn zostali sami.

- Przypatrz się tutejszym zwyczajom, kiedy wejdziemy - mruknął Jesügej. - Tu żyje się inaczej. Zauważą każde twoje potknięcie i będą mieli z tego radość.

- Rozumiem - powiedział Temudżyn, ledwo poruszając ustami. - Ile lat ma mój wujeczny brat Köke?

- Trzyście albo czterście - odpowiedział Jesügej.

Temudżyn podniósł wzrok zaintrygowany.

- Więc żyje tylko dlatego, że trafiłeś jego ojca w biodro, a nie w serce?

Jesügej wzruszył ramionami.

- Nie celowałem w biodro. Strzelałem, żeby zabić, ale miałem tylko chwilę, żeby puścić cięciwę, zanim drugi brat twojej matki rzucił we mnie toporem.

- On też tu jest? - zapytał Temudżyn i rozejrzał się dookoła.

Jesügej zaśmiał się.

- Musiałby sobie włożyć z powrotem głowę na kark.

Temudżyn zamilkł, kiedy się nad tym zastanowił. Ołkunutowie nie mieli żadnego powodu, żeby kochać jego ojca, i wiele, żeby go nienawidzić, a mimo to Jesügej szukał tu żon dla swoich synów. Zasady panujące w plemieniu Temudżyna zdawały się tu nie obowiązywać i chłopiec czuł się zagubiony, i ogarniał go strach. Siłą woli zdobył się na obojętny wyraz twarzy. W końcu Bekter wytrzymał tu cały rok. Nikt go tu też nie zabije, a wszystko inne było do zniesienia - tego Temudżyn był niemal pewien.

- Dlaczego jeszcze nie wyszedł? - Temudżyn mruknął do ojca.

Jesügej chrząknął i oderwał wzrok od młodej Ołkunutki, dojącej kozy w pobliżu.

- Każę nam czekać, bo myśli, że mnie to obrazi. Musiałem czekać, kiedy przyszedłem tu z Bekterem dwa lata temu. Na pewno będzie tak samo, kiedy przyjdę z Kasarem. Ten człowiek to kretyn, ale wszystkie psy czekają na wilka.

- To dlaczego to do niego idziesz na początku? - spytał Temudżyn jeszcze ciszej.

- Dzięki więzom krwi jestem tu bezpieczny. Drażni ich, że mnie tu goszczą, ale w ten

sposób okazują cześć twojej matce. Gram swoją rolę, a moi synowie mają żony.

- Spotkasz się z ich chanem? - chciał wiedzieć Temudżyn.

Jesügej potrząsnął głową.

- Gdyby Sansar mnie zobaczył, musiałyby użyć mi namiotów i kobiet na czas mojej wizyty. Zapewne udał się na polowanie, tak jak ja bym postąpił, gdyby to on przyjechał do Wilków.

- Lubisz go - powiedział Temudżyn i uważnie przyjrzał się twarzy ojca.

- Ma dość honoru, żeby nie udawać przyjaciela, jeśli nim nie jest. Szanuję go. Jeśli postanowię kiedyś zabrać jego trzody, pozwolę mu zatrzymać kilka owiec i ze dwie kobiety, może nawet łuk i dobry płaszcz dla ochrony przed chłodem.

Jesügej uśmiechnął się na tę myśl i obejrzał się na dziewczęta dogładające meczącego stadka. Temudżyn zastanawiał się, czy wiedziały, że wilk był już w zagrodzie.

We wnętrzu jurty panował półmrok, a powietrze przesączone było zapachem potu i owczego tłuszczu. Kiedy Temudżyn schylił się, żeby przejść pod nadprożem, po raz pierwszy zdał sobie sprawę, jak bezbronny był człowiek wchodzący do obcego domu. Może małe drzwi miały jeszcze dodatkową funkcję oprócz ochrony przed zimą.

W rogach jurty stały rzeźbione drewniane łóżka i krzesła, a środek zajmował niewielki piec. Temudżyn poczuł lekkie rozczarowanie zwyczajnym wyglądem wnętrza, chociaż jego bystre oczy dostrzegły też wspaniały łuk na przeciwległej ścianie, z dwiema krzywiznami i rogowym zdobieniem, wzmocniony ścięgnem. Chłopiec zastanawiał się, czy będzie miał szansę poćwiczyć łucznictwo podczas pobytu wśród Ołkunutów. Jeśli zabronią mu korzystać z broni przez cały cykl pór roku, może wyjść z wprawy i zmarnować umiejętności, które nabył w pocie czoła.

Köke stał z głową opuszczoną w wyrazie szacunku, drugi zaś mężczyzna - o głowę niższy od Jesügeja - na widok wchodzących podniósł się, żeby odpowiedzieć na pozdrowienie chana Wilków.

- Przyprowadziłem ci drugiego syna, Enchu - powiedział Jesügej oficjalnym tonem. - Ołkunutowie są przyjaciółmi Wilków i czynią nam wielki honor silnymi żonami.

Temudżyn zafascynowany przyglądał się wujowi - bratu swojej matki. Dziwnie się czuł, kiedy wyobrażał ją sobie dorastającą w tej jurcie i jeżdżącą też może na owcy tak, jak to czasem robią małe dzieci.

Ench był szczupłym i wysokim mężczyzną o kościstym ciele - pod ogoloną, błyszczącą od owczego tłuszczu skórą jego głowy doskonale rysował się kształt czaszki. Z czoła zwisał jedyny lok siwych włosów. Spojrzenie, jakie skierował na Temudżyna, nie było przyjazne, jednak uścisnął dłoń Jesügeja na powitanie, a jego żona przygotowała dla nich soloną herbatę dla orzeźwienia.

- Czy moja siostra dobrze się miewa? - zapytał Ench, kiedy cisza wokół nich zaczynała już gęstnieć.

- Dała mi córkę - odpowiedział Jesügej. - Może pewnego dnia przyślesz mi któregoś z synów Ołkunutów.

Ench skinął głową, chociaż pomysł ten najwyraźniej nie przypadł mu do gustu.

- Czy dziewczyna, którą znalazłeś mojemu synowi, dostała już pierwszego krwawienia? - chciał wiedzieć Jesügej.

Ench skrzywił się nad czarką herbaty.

- Jej matka mówi, że jeszcze nie - stwierdził. - Dostanie, kiedy nadejdzie dla niej czas.

Zdawało się, że Ench chce jeszcze coś powiedzieć, ale nagle zacisnął wargi tak, że pogłębiły mu się zmarszczki w kącikach ust.

Temudżyn przycupnął na skraju łóżka, zwracając uwagę na wysoką jakość pośłania. Pomny słów ojca wziął podaną mu czarkę z herbatą do prawej dłoni, lewą zaś zgodnie ze zwyczajem podparł prawy łokieć. Nie mógł dopuścić, aby Ołkunutowie źle odebrali jego maniery.

Usiedli i pili w milczeniu. Temudżyn trochę się odprężył.

- Czemu twój syn mnie nie powitał? - Ench podchwytliwie zapytał Jesügeja.

Temudżyn spał się pod karcącym spojrzeniem ojca. Odłożył czarkę z herbatą i wstał. Ench również podniósł się z miejsca i Temudżyn z zadowoleniem zauważył, że są równi wzrostem.

- To zaszczyt dla mnie móc cię poznać, wuju - powiedział. - Jestem Temudżyn, drugi syn chana Wilków. Moja matka zasyła ci pozdrowienia. Dobrze się miewasz?

- Dobrze, chłopcze - odpowiedział Ench. - Chociaż widzę, że musisz się jeszcze nauczyć manier naszego plemienia.

Jesügej odchrząknął cicho i Ench zaniechał zamiaru dodania jeszcze jakiejś uwagi. Temudżynowi nie umknął jednak błysk rozdrażnienia w oku ojca. Wrzucony do świata dorosłych z jego subtelnymi gierkami znowu zaczynał obawiać się chwili, kiedy zostanie sam w obcym plemieniu.

- Jak tam twoje biodro? - bąknął Jesügej.

Wąskie usta Encha zacisnęły się w wymuszonym uśmiechu.

- Nawet o nim nie myślę - odpowiedział.

Temudżyn zauważył napięcie u wuja, kiedy ten znowu usiadł, i poczuł prywatną satysfakcję. Nie musiał lubić tych dziwnych ludzi. Zrozumiał, że była to kolejna z prób, na jakie Jesügej wystawiał swoich synów. Wyjdzie z niej cało.

- Masz żonę dla niego, gdzieś w jurtach? - zapytał Jesügej.

Ench skrzywił się, odsączył zawiesinę w czarce z herbatą i odstawił ją do ponownego napełnienia.

- Jest jedna rodzina, w której nie udało się znaleźć męża dla córki. Będą szczęśliwi, kiedy zacznie się ona żywić mięsem i mlekiem kogoś innego.

Jesügej kiwnął głową.

- Obejrzę ją, zanim od was odjadę. Musi być silna i zdolna rodzić Wilkom dzieci. Kto wie, pewnego dnia może zostać matką plemienia.

Ench skinął, sącząc słonawy napój jakby w głębokiej zadumie. Temudżyn najbardziej w świecie pragnął teraz uwolnić się od przykrego zapachu tego człowieka i mroku jego jurty, ale zmusił się do pozostania na miejscu i wysłuchania każdego słowa. W tej chwili ważyła się w końcu jego przyszłość.

- Zaprowadzę cię do niej - powiedział Ench, ale Jesügej potrząsnął głową.

- Dobra krew pochodzi z dobrego rodu, Enchu. Zobaczę się z jej rodzicami przed odjazdem.

Ench zgodził się niechętnie.

- Niech będzie. I tak muszę sobie ulżyć.

Temudżyn wstał i przepuścił wuja, a ten zanurkował przez drzwi. Niemal natychmiast po jego wyjściu rozległ się odgłos strużki moczu bryzgającej o ziemię. Jesügej zaśmiał się cicho, ale nie zabrzmiało to przyjaźnie. W bezsłownym porozumieniu położył rękę na karku Temudżyna i obaj wkroczyli w jasne światło dnia na zewnątrz namiotu.

Ołkunutom najwyraźniej ciążyła niezaspokojona ciekawość co do przybyszów. Kiedy oczy Temudżyna przywykły do światła, chłopiec zobaczył wiele dziesiątków osób zebranych wokół jurty Encha. Jesügej nie zaszczycił ich jednak uważnym spojrzeniem. Ench przeszedł wśród tłumu, po drodze odpędzając kopniakiem dwa płowe psy. Jesügej podążył za nim, przez chwilę spoglądając synowi w oczy. Temudżyn chłodno odwzajemnił spojrzenie, dopóki Jesügej nie skinął, w jakiś sposób uspokojony.

Napięcie było znacznie bardziej widoczne u Encha, kiedy szli za nim, a każdy jego krok zdradzał dawną ranę. Czując ich spojrzenie, zarumienił się na twarzy, ale powiódł ich dalej wśród stłoczonych jurty poza obręb koczowiska. Rozgadani Ołkunutowie nie odstępowali ich ani na krok i gapili się na nich bezwstydnie.

Z tyłu zagrzmiał nagle tętent kopyt i Temudżyn poczuł nieodpartą chęć spojrzenia za siebie. Wzrok ojca powiedział mu jednak, że gdyby byli w niebezpieczeństwie, chan dobyłby miecza. Tymczasem chociaż jego palce tańczyły na głównej, Jesügej tylko się uśmiechał. Temudżyn wsłuchiwał się w coraz bliższe uderzenia kopyt, aż ziemia zaczęła drżeć pod stopami.

W ostatniej chwili Jesügej poruszył się gwałtownie i w ogólnym tumultie sięgnął jeźdźca. Koń pognął dalej jak dziki, pozbawiony wodzy i siodła. Wolny od ciężaru wierzgnął dwa razy, ale zaraz się uspokoił i opuścił głowę, żeby poskubać suchą trawę.

Temudżyn odwrócił się, widząc ruch ojca i zobaczył, jak staruszek opuszcza dziecko na ziemię, jakby nic nie ważyło. Mogła to być dziewczyna, ale trudno było to z całą pewnością stwierdzić. Włosy miała krótko obcięte, a twarz prawie czarną od brudu. Szarpała się w rękach Jesügeja, plując i wrzeszcząc, kiedy postawił ją na ziemi.

- Ołkunutowie pielęgnują dzikość swoich córek, jak widzę - powiedział Jesügej.

Twarc Encha wykrzywiła się w grymasie, który mógł oznaczać rozbawienie. Patrzył, jak utyłana dziewczyna ucieka, zawodząc głośno.

- Chodźmy do jej ojca - powiedział i zerknął na Temudżyna, zanim pokuśtykał dalej.

Temudżyn patrzył za uciekającą postacią i żałował, że nie przyjrzał się jej lepiej.

- To ona? - zapytał głośno.

Nikt mu nie odpowiedział.

Konie Ołkunutów pasły się na wzgórzach poza obrębem koczowiska, rżąc i szarpiąc głowami podekscytowane wiosną. Ostatnia jurta stała na pylistym podłożu przy zagrodach, wyprazona słońcem i pozbawiona jakichkolwiek ozdób. Nawet drzwi były z niemalowanego drewna, co wskazywało, że właściciele nie posiadali nic więcej prócz własnego życia i miejsca w plemienu. Temudżyn westchnął na myśl o spędzeniu roku u tak biednej rodziny. Miał dotąd nadzieję, że dadzą mu przynajmniej łuk do polowania. Tymczasem sądząc z wyglądu jurty, rodzinie będzie trudno nawet go wyżywić.

Jesügej zachowywał obojętny wyraz twarzy, a Temudżyn usilnie starał się go naśladować w obecności Encha. Już wcześniej doszedł do wniosku, że raczej nie polubi chudego wuja, który tak chłodno ich powitał. Nie było trudno go nie lubić.

Ojciec dziewczyny wyszedł na powitanie, uśmiechając się i kłaniając. Jego ubranie było czarne od starego tłuszczu zmieszanego z kurzem, a Temudżyn miał wrażenie, że nawarstwiony brud na skórze nie schodził mimo zmieniających się pór roku. Mężczyzna wykrzywił w uśmiechu bezzębne usta i podrapał czarną plamkę we włosach, strącając palcami jakiegoś pasożyta. Temudżynowi ciężko było ukryć obrzydzenie po całym życiu spędzonym w czystej jurcie matki. Smród moczu mocno dawał znać o sobie, a w okolicy nie było nawet widać dołu kloaczego.

Temudżyn uściśnął wyciągniętą dłoń Ołkunuta i wszedł do jurty za ojcem i Enchem, żeby wychylić kolejną czarkę solonej herbaty. Popadł w jeszcze większe przygnębienie na widok połamanych drewnianych łóżek i gołych ścian namiotu. Wisiał tam wprawdzie łuk, ale był stary i wielokrotnie naprawiany. Gospodarz obudził żonę silnym klepieniem i zagonił ją do przygotowywania herbaty na piecu. Był niespokojny w towarzystwie obcych i cały czas mruzczał coś do siebie.

Ench nie potrafił ukryć radosnego nastroju. Wyraźnie bawił go widok obskurnego posłania na drewnianej kracie naprawianej już setki razy.

- Czujemy się zaszczyceni, mogąc gościć w twoim domu, Szrio - powiedział do kobiety, która skłoniła się tuż przed nalaniem im solonej herbaty do płytkich czarek. Widać było, że Enchowi coraz bardziej poprawia się humor, kiedy zwrócił się do gospodarza.

- Przeprowadź swoją córkę, Szołaju. Ojciec chłopca powiedział, że chce ją zobaczyć.

Żyłasty, drobny Ołkunut znowu obnażył puste dziaśła i wyszedł, co drugi krok podciągając spodnie pozbawione paska. Temudżyn usłyszał wysoki wrzask i stanowczą odpowiedź ojca dziewczyny, ale udawał, że nie zwraca na to uwagi i ukrył zmieszanie za czarką herbaty, czując jak rośnie mu pęcherz.

Szoloj przeprowadził umorusaną dziewczynę, która wrywała się przez całą drogę. Pod spojrzeniem Jesügeja zdzielił ją trzy razy, raz w twarz i dwa razy po nogach. Łzy stanęły jej w oczach, ale zmoęła je z taką samą determinacją, z jaką walczyła wcześniej z ojcem.

- To jest Börte - powiedział z chytrym uśmieszkiem Ench. - Jestem pewien, że będzie dobrą i wierną żoną dla twojego syna.

- Jest dość duża - stwierdził z powątpiewaniem w głosie Jesügej.

Dziewczyna wyrwała się z uścisku ojca i usiadła w przeciwległym kącie jurty, jak najdalej od nich.

Ench wzruszył ramionami.

- Ma czternaście lat, ale nie dostała jeszcze krwi. Może dlatego, że jest chuda. Byli inni chętni, oczywiście, ale woleli bardziej ułożone dziewczęta niż te jej narowy. Będzie dobrą matką dla Wilków.

Dziewczyna podniosła but i rzuciła nim w Encha. Temudżyn był dość blisko, by złapać but w powietrzu, toteż Börte popatrzyła na niego z nienawiścią.

Jesügej podniósł się i przeszedł na drugi kraniec jurty. Coś w jego postawie sprawiło, że dziewczyna ucichła. Chan był wysoki nawet jak na swoje plemię, a jeszcze większy wydawał się wśród Ołkunutów, których cechowała większa delikatność postury. Wyciągnął rękę, złapał Börte łagodnie za podbródek i lekko unióś jej głowę.

- Mój syn potrzebuje silnej żony - powiedział i spojrzał jej w oczy.

- Myślę, że będzie piękna, kiedy dorośnie. Dziewczynce natychmiast wróciła wrodzona hardość i próbowała uderzyć rękę Jesügeja, jednak chan był dla niej za szybki. Uśmiechnął się i skinął głową.

- Podoba mi się. Zgadzam się na zaręczyny.

Ench ukrył niezadowolenie za słabym uśmiechem.

- Cieszy mnie, że znalazłem dobrą żonę dla twojego syna - powiedział.

Jesügej wyprostował się i przeciągnął, górując nad zebranymi.

- Wrócę po niego za rok, Enchu. Naucz go dyscypliny, ale pamiętaj, że pewnego dnia wyrośnie na mężczyznę i może tu wrócić, żeby spłacić dług Ołkunutom.

Groźba dotarła do Encha i Szołaja; pierwszy z nich zazgrzytał zębami i ugryzł się w język,

żeby nie odzywać się, zanim się nie opanuje.

- Życie jest ciężkie w jurtach Ołkunutów. Zwrócimy ci wojownika i żonę dla niego.

- Nie wątpię - skwitował Jesügej.

Schylił się niemal wpół, żeby przejść przez niskie drzwi, a Temudżyn ze strachem zdał sobie nagle sprawę, że ojciec wyjeżdża. Zdawało się, że minęła cała wieczność, zanim starsi mężczyźni wyszli za nim, ale Temudżyn nie ruszył się z miejsca, dopóki w jurcie nie została tylko zabiedzona żona Szołoja. Kiedy w końcu stanął w oślepiającym słońcu, przyprowadzono już kuca ojca. Jesügej z łatwością dosiadł wierzchowca i rozejrzał się z góry po zebranych. Jego kamienny wzrok spoczął na chwilę na Temudżynie, ale chan nie odezwał się i zaraz potem popędził konia, i pokłusował w dal.

Temudżyn patrzył za odjeżdżającym ojcem, który wracał do jego braci, do jego matki i do wszystkiego, co było mu drogie. Chłopiec czekał z nadzieją, że może Jesügej odwróci się raz jeszcze, zanim zniknie mu z oczu, chociaż wiedział też, że to raczej niemożliwe. Poczuł, jak łzy napływają mu do oczu, i wziął głęboki wdech, żeby się opanować, nie chcąc, by Ench cieszył się z jego słabości.

Wuj Temudżyna popatrzył za Jesügejem, po czym zatkał palcem jedną dziurkę od nosa, a drugą wydmuchał zawartość na pylistą ziemię.

- Arogancki głupiec, jak wszyscy wśród Wilków - powiedział.

Ku jego zaskoczeniu Temudżyn natychmiast odwrócił się do niego. Ench spojrzał z pogardą na chłopca.

- A jego szczenięta są gorsze od ojca. Cóż, Szołoj bije szczenięta równie mocno, jak córki i żonę. Wszyscy u niego znają swoje miejsce. I ty też je poznasz. Skinął na Szołoja i drobny Ołkunut zaskakująco mocno chwycił Temudżyna za ramię. Ench uśmiechnął się na widok wyrazu twarzy chłopca.

Temudżyn milczał, wiedząc, że mężczyźni próbują go zastraszyć. Po chwili Ench odwrócił się i odszedł z kwaśną miną. Dało się zauważyć, że kuśtyka teraz znacznie bardziej, niż kiedy patrzył na niego Jesügej. Wśród strachu i samotności myśl ta dodała Temudżynowi odrobinę otuchy. Gdyby traktowano go uprzejmie, mógłby nie nabyć siły. A tak wzbierająca w nim niechęć była jak przyływ krwi kłaczy do żołądka, odżywcza i pobudzająca.

*

Jesügej nie obejrzał się za siebie, kiedy minął ostatnich jeźdźców z plemienia Ołkunutów. Czuł ból w sercu, zostawiając drogiego syna w rękach niedołęgów takich jak Ench i Szołoj, ale gdyby powiedział Temudżynowi choć kilka słów otuchy, oznaczałoby to triumf tych, którzy na to czekali. Teraz, kiedy jechał samotnie wśród stepu, a koczowisko zostało daleko w tyle, pozwolił sobie na rzadki u siebie uśmiech. Temudżyn miał w sobie więcej niż tylko krztynę ognia, może nawet więcej niż którykolwiek z jego pozostałych synów. Gdzie Bekter pogrzyźłby się w przygnębieniu, tam Temudżyn zaskoczyłby tych, którzy sądzą, że mogą do woli dręczyć chańskiego syna. W każdym razie na pewno przetrwa ten rok i wzmocni plemię Wilków dzięki swojemu doświadczeniu i żonie, którą przyprowadzi do domu. Jesügej przypomniał sobie spalone stada, wałęsające się wokół jurty ludu Höelün. Nie udało mu się znaleźć prawdziwie słabych stron obrony Ołkunutów, ale jeśli nadeszłaby sroga zima, mógłby któregoś dnia najechać ich raz jeszcze z wojownikami u boku. Chan rozweselił się na myśl o Enchu uciekającym przed jego druhami. Wtedy skończyłyby się uśmiechy i szydercze spojrzenia chudego karła. Popędził konia i puścił się cwałem przez pusty kraj, a w jego głowie kłębiły się przyjemne myśli o płonących namiotach i jękach wrogów.

ROZDZIAŁ 6

Temudżyn obudził się nagle, kiedy czyjeś ręce zrzuciły go z pośłania na drewnianą podłogę. Wnętrze jurty spowijały gęste ciemności i nawet na krok nic nie było widać, a wszystko wokół było nieznane. W mroku rozlegało się tylko mamrotanie krzątającego się Szołoja i Temudżyn doszedł do wniosku, że to on go zbudził. Poczł świeży przypływ niechęci do ojca Börte. Z trudem wstał, tłumiąc okrzyk bólu, kiedy rąbnął golenią w jakąś niewidzialną przeszkodę. Było jeszcze przed świtem i w koczowisku Ołkunutów zalegała cisza. Nie chciało mu się wstawać tak wcześnie. Pomyślał, że obmycie twarzy odrobiną wody pomoże mu się rozbudzić, i sięgnął tam, gdzie poprzedniego wieczora stał dzban z wodą, jednak natrafił dłońmi tylko na pustkę.

- Obudziłeś się wreszcie? - Szołoj odezwał się gdzieś blisko.

Temudżyn odwrócił się w kierunku głosu i zacisnął pięści w ciemnościach. Miał siniec na policzku w miejscu, gdzie stary Ołkunut zdzielił go poprzedniego wieczora. Łzy wstydu stały mu wtedy w oczach, chociaż zdążył się już był przekonać, że Ench mówił prawdę o życiu w tym nędznym domu. Szołoj używał swoich kościstych rąk do zaprowadzenia porządku i nie robiło mu przy tym różnicy, czy odganiał psa z drogi, czy zlecał jakieś zadanie córce lub żonie. Ta zresztą najwyraźniej nauczyła się już ponurego milczenia, ale Börte poczuła na sobie pięści ojca już kilka razy zeszłego wieczora tylko dlatego, że była za blisko w ciasnej jurcie. Temudżyn pomyślał, że pod warstwą brudu i starym ubraniem dziewczyna musiała być pokryta sińcami. On sam dostał dwa silne ciosy od Szołoja, zanim też pokornie zwiesił głowę. Czł wtedy na sobie jej oczy, jej pogardliwe spojrzenie, ale co mógł zrobić? Zabić starego? Raczej nie pożyłby długo po pierwszym wołaniu Szołoja o pomoc, kiedy w pobliżu nie było nikogo z Wilków. Pewnie Ołkunutowie ze szczególną radością rozplataliby go mieczem, gdyby dał im powód. Tuż przed zaśnięciem poprzedniego wieczora Temudżyn zobaczył jeszcze oczami wyobraźni przyjemny obraz zakrwawionego Szołoja ciągniętego z tyłu przez jego kuca, ale była to tylko fantazja zrodzona z upokorzenia. Bekter jednak przeżył, przypomniał sobie z westchnieniem Temudżyn, zastanawiając się, jak ten wielki wół zdołał utrzymać na wodzy swój temperament.

Ze skrzypieniem zawiasów Szołoj otworzył małe drzwi i wpuścił do środka dość nikłego księżycowego światła, żeby Temudżyn zdołał wyminąć piec i przejść obok śpiących postaci Börte i jej matki. Gdzieś obok stały dwie inne jurty, w których spali synowie Szołoja z ich zabiedzonymi żonami i dziećmi. Wszyscy wyprowadzili się już wiele lat temu od Szołoja, zostawiając tylko Börte. Mimo grubiańskiego obycia Szołoj był chanem w swoim domu i Temudżyn mógł tylko spuścić głowę i starać się nie zarobić zbyt wiele szturchnięć i ciosów.

Zadygotał, kiedy wyszedł na zewnątrz, i objął się rękami w grubym delu dla ochrony przed zimnem. Szołoj znowu opróżniał pęcherz tak, jak to robił chyba co godzinę w nocy. Temudżyn kilka razy się budził, kiedy Szołoj potykał się o niego, i zastanawiał się teraz, czemu staruch wyciągnął go z pośłania. Brzuch bolał go z głodu, a w głowie kłębiły się uporczywe myśli o gorącym napoju na rozpoczęcie dnia. Był pewien, że odrobina ciepłej herbaty powstrzymałaby u niego drżenie rąk, jednak wiedział też, że Szołoj zaśmiałby się tylko z pogardą, gdyby usłyszał taką prośbę, kiedy piec wciąż był zimny.

W nikłym świetle księżycy widać było tylko ciemne zarysy stad pasących się w oddali,

kiedy Temudżyn opróżnił pęcherz i patrzył na parujący mocz. Wiosną nocie wciąż były zimne i ziemię pokrywała cienka warstewka szronu. Drzwi jurty wychodziły na południe, więc Temudżyn bez trudu określił kierunek wschodni i zaczął wypatrywać świtu. Nie było jednak jeszcze ani śladu wschodzącego słońca i chłopiec miał nadzieję, że Szołoj nie zrywa się tak wcześnie każdej nocy. Staruch był może i szczerbaty, ale przede wszystkim był gburowatym dziwakiem i Temudżyna dręczyła przygnębiająca myśl, że czekał go długi, ciężki dzień.

Kiedy owinął się szczelniej dla ochrony przed chłodem, poczuł na ramieniu uścisk ręki Szołoja. Staruch trzymał drewniane wiadro i kiedy Temudżyn je wziął, sięgnął po drugie i wepchnął je do jego wolnej ręki.

- Napełnij je i szybko wracaj, chłopcze - powiedział. Temudżyn skinął głową i odwrócił się w kierunku, z którego dolatywało szemranie pobliskiej rzeki. Żałował, że nie ma przy nim Kasara i Kacziuna. Tęsknił już do nich i trudno mu było wyobrazić sobie spokojną pobudkę w jurcie, w której się wychował, i Höelün zaganiającą ich do codziennych obowiązków. Wiadra ciążyły mu, kiedy wracał do koczowiska, ale chciał dostać posiłek, a nie wątpił, że Szołoj zgłodziłby go, gdyby tylko miał pretekst.

Kiedy chłopiec wrócił do jurty, w piecu płonął już ogień, a Börte nie było na posłaniu. Szria, ponura, drobna żona Szołoja, krzątała się jeszcze przez chwilę z ożogiem przy piecu, po czym wyszła i z trzaskiem zamknęła za sobą drzwi. Nie odezwała się do Temudżyna ani słowem od jego przyjazdu. Chłopiec popatrzył spragniony na dzbanuszek z herbatą, ale kiedy tylko odstawił wiadra z wodą, pojawił się Szołoj, zacisnął palce na jego bicepsie i poprowadził w cichą ciemność nocy.

- Dołączysz później do folarzy, kiedy wzejdzie słońce. Umiesz strzyc owce?

- Nie, nigdy nie... - zaczął Temudżyn.

Szołoj skrzywił się.

- Niewiele mam z ciebie pożytku, chłopcze. Wiadra mogę sobie nosić sam. Kiedy się przejaśni, będziesz zbierał owcze bobki na opał. Umiesz pasać trzody?

- Robiłem to już - odpowiedział szybko Temudżyn, mając nadzieję, że dostanie z powrotem swojego kuca, żeby mógł paść owce i bydło Ołkunutów. Dzięki temu mógłby codziennie na jakiś czas oddalać się od swojej nowej rodziny.

Szołoj dostrzegł zapach Temudżyna i jego usta ściągnęły się jak brudna, mokra szmata.

- Chcesz uciec do mamusi, chłopcze, tak? Boisz się odrobiny ciężkiej pracy?

Temudżyn potrząsnął głową.

- Mogę garbować skórę i pleść liny na uprząże i siodła. Mogę rzeźbić w drewnie, rogu i kości.

Zaczerwienił się, ale wątpił, żeby Szołoj dostrzegł to w nikłym świetle księżyca. Usłyszał parsknięcie śmiechu w ciemnościach.

- Chyba nie potrzebuję siodła dla konia, którego nie mam? Nie wszyscy urodzili się w drogich jedwabkach i futrach.

Temudżyn instynktownie uchylił się przed ciosem starego, Szołoj nie dał jednak za wygraną i zaczął go okładać, aż Temudżyn upadł na ciemną ziemię w miejscu, gdzie mocz wyżarł warstwę szronu. Kiedy starał się wstać, Szołoj kopnął go w zębra i Temudżyna opanował gniew. Poderwał się na nogi i zaczął robić uniki, tracąc zupełnie rezon. Staruch z niebywałą zawziętością wyklinał swojego przyszłego zięcia, a Temudżyn nie rozumiał, o co mu chodziło.

Szołoj z rozdrażnieniem wypuścił powietrze, po czym splunął i znowu zaczął okładać chłopca zaciśniętymi pięściami. Temudżyn szarpnął się do tyłu, nie mogąc znaleźć słów, które

pohamowałyby jego oprawcę. Robił uniki i osłaniał się przed gradem ciosów, ale niektóre go trafiały. Instynkt kazał mu odpowiedzieć na atak, ale Temudżyn nie był pewien, czy Szołoj w ogóle by to poczuł. Staruch wydawał się jakby większy i straszniejszy w ciemnościach i Temudżyn nie wiedział, jak ma go uderzyć na tyle mocno, żeby powstrzymać natarcie.

- Dosyć - krzyknął. - Dosyć!

Szwołoj zaśmiał się, zaciskając żelazną dłoń na delu Temudżyna, zdyszany, jakby przebiegł milę w południowym słońcu.

- Umiem ujarzmić narowistego kuca lepiej od ciebie. I mam w sobie więcej ikry. Nie jesteś lepszy, niż sądziłem.

W głosie Szwołoja wyraźnie brzmiała pogarda, a Temudżyn zdał sobie sprawę, że widzi jego twarz. Pierwsze promienie słońca pojawiły się na wschodzie, a w koczowisku wreszcie budziło się życie. Obaj poczuli w tej samej chwili, że są obserwowani, i kiedy się odwrócili, zobaczyli, że patrzy na nich Börte.

Temudżyn poczuł ukłucie wstydu boleśniejsze od samych uderzeń. Szwołoj opuścił ręce jakby zmieszany milczącym, świdrującym spojrzeniem córki. Bez słowa wyminał Temudżyna i zniknął w cuchnącym mroku jurty.

Temudżyn poczuł, że z nosa ścieka mu na górną wargę piekąca strużka krwi, i wytarł ją gwałtownym ruchem dłoni, nagle rozzłoszczony na wszystko. Gest wystraszył córkę Szwołoja, która odwróciła się plecami i pobiegła, znikając w porannym półmroku. Przez kilka cennych chwil Temudżyn był sam i poczuł się zagubiony i przygnębiony. Jego nowa rodzina była niewiele lepsza od zwierząt, a był to ledwie początek pierwszego dnia.

*

Börte biegła wśród jurt, lawirując między przeszkodami, i przemknęła obok psa, który z głośnym szczekaniem zerwał się do pościgu. Wystarczyło kilka zwinnych uników i został z tyłu, ujadając i warcząc w bezsilnej złości. Börte cieszyła się życiem w biegu, czuła się wolna, jak gdyby nic na świecie nie mogło jej złapać. Kiedy stała nieruchomo, jej ojciec mógł ją dosięgnąć swoimi łapskami, a matka mogła ją zdzielić brzozową różgą. Wciąż miała na plecach pręgi po razach, jakie na nią spadły, gdy dwa dni temu rozlała dzban chłodnego jogurtu.

Oddech miarowo napełniał i opróżniał jej płuca, a ona marzyła, by słońce zastygło nad horyzontem w oddali. Gdyby plemię nie zbudziło się ze snu, mogłaby zaznać odrobinę spokoju i szczęścia, wolna od spojrzeń. Wiedziała, co o niej mówią, i chwilami żałowała, że nie jest taka jak inne dziewczęta w plemienu. Próbowwała się nawet zmienić, kiedy matka płakała przez nią pewnego dnia. Już po jednym dniu zmęczyło ją jednak szycie, gotowanie i uczenie się warzenia ajraku dla wojowników. Co było w tym takiego ciekawego? Nawet wyglądem różniła się od innych dziewcząt, była chuda jak szczapa i tylko dwa wybrzuszenia piersi przysłaniały sterczące jej spod skóry rusztowanie żeber. Matka kazała jej jeść, żeby urosła, ale Börte widziała w tym inny cel. Nie chciała mieć wielkich, krowich piersi, zwisających z niej tylko po to, żeby mężczyzna miał co doić. Chciała być szybka jak łania i chuda jak dziki pies.

Roześmiała się w biegu, zdradzając radość z wiatru we włosach. Ojciec bez namysłu oddał ją szczeniakowi Wilków. Staruch był za głupi, żeby ją spytać, czy zechce go mieć. Nie. I tak by go to nie obchodziło. Wiedziała, jak okrutny potrafił być jej ojciec i mogła tylko uciec i ukryć się przed nim tak, jak robiła to już tysiąc razy przedtem. Niektóre kobiety z plemienu pozwalały jej czasem przeczekać noc u siebie w jurcie, kiedy stary Szwołoj się wściekał. Bywało to jednak niebezpieczne, jeśli ich mężowie też byli po sfermentowanym mleku. Börte

wystrzegała się bełkotliwych głosów i słodkiego oddechu, które oznaczały, że mężczyźni będą się do niej dobieierać w nocy. Raz dała się zaskoczyć, ale już się to więcej nie powtórzy, bo teraz zawsze ma przy sobie mały nóż.

Minęła w biegu ostatnie jurty koczowiska i bezwiednie skierowała się w stronę rzeki. Poranne światło odsłoniło wijącą się czarną strugę wody, a Börte czuła, że wciąż ma dużo sił w nogach. Chciało jej się skoczyć w górę i nigdy nie opaść, wzbić się w niebo jak odlatująca czapla. Zaśmiała się na myśl o niezdarnym biegu tych stworzeń, złożonych jakby z samych nóg i skrzydeł. Dotarła na brzeg rzeki i mięśnie jej ud napięły się i rozluźniły. Wzbiła się w górę i przez jedną chwilę chwały szybowiała prosto ku wschodzącemu słońcu, czując się, jakby nigdy już nie musiała wracać. Jej stopy sięgnęły w końcu ciemnego drugiego brzegu rzeki i upojona własnym wyobrażeniem lotu opadła w trawę wciąż sztywną od mrozu. Zazdrościła ptakom, które mogły wzlecieć tak wysoko nad ziemię. Jakże musiały rozkoszować się wolnością, myślała, wypatrując ich ciemnych kształtów na coraz jaśniejszym niebie. Największą radość sprawiłoby jej, gdyby mogła rozpostrzeć skrzydła i odlecieć od ojca i matki, zostawiając ich jak brzydkie plamki na ziemi. Była pewna, że z wysoka byłiby mali jak owady. Wzleciałaby aż do samego słońca i powitałby ją Ojciec Niebo. Któregoś dnia jednak pewnie i on podniósłby na nią rękę i znowu musiałaby odlecieć. Börte nie wiedziała dokładnie, co myśleć o Ojcu Niebie. W jej doświadczeniu wszyscy mężczyźni aż nadto przypominali ogiery, które kryły klacze Ołkunutów: gorące przed i w trakcie aktu, z długimi drągami miotającymi się od spodu. A potem skubały tylko trawkę, jakby nic się nie wydarzyło, i Börte nie dostrzegała w nich najmniejszych oznak czułości. Zbliżenie nie miało w sobie nic z tajemnicy, jeśli żyło się całe życie z rodzicami w jednej jurcie. Szołoj nie zważał na obecność córki, kiedy miał wieczorem ochotę przyciągnąć do siebie Szrię.

Börte leżała na zimnej ziemi i wydychała powietrze przez usta. Jeśli ten szczeniak Wilków spróbuje kiedyś pokryć ją w ten sam sposób, będzie miał kikut zamiast męskości. Wyobrażała sobie, że ucieka z jego męskością jak z czerwonym robalem, a on musi ją gonić i żądać zwrotu. Był to przyjemny obraz i Börte roześmiała się, kiedy jej oddech w końcu się uspokoił. Plemię budziło się ze snu. Czekala ją praca przy jurtach i trzodach. Jej ojciec będzie miał pełne ręce roboty z synem chana, pomyślała, ale powinna być blisko, gdyby mimo to oczekiwał od niej pracy przy garbowaniu skór albo układaniu wełny do spilśniania. Każdy będzie miał swoje zajęcie, dopóki wszystkie owce nie zostaną wystrzyżone, i jej nieobecność oznaczałaby dla niej kolejne razy wierzbową witką.

Usiadła w trawie i zaczęła żuć wyrwane źdźbło.

- Temudżyn - wymówiła głośno, czując, jak słowo to wprawia w ruch jej usta.

Oznaczało człowieka z żelaza i byłoby dobrym imieniem, gdyby Börte nie widziała, jak chłopiec wije się pod razami jej ojca. Miał mniej lat niż ona i był małym tchórzem i właśnie jego miałyby poślubić? To on miałby dać jej silnych synów i córki, które potrafiłyby biegać tak szybko jak ona?

- Nigdy - powiedziała głośno, wpatrzona w płynącą wodę.

Odruchowo nachyliła się nad taflą rzeki i spojrzała w niewyraźnie odbicie swojej twarzy. Mógłby to być każdy, pomyślała. Każdy, kto strzygł włosy nożem i był brudny jak każdy pasterz. Nie była piękna, to prawda, ale jeśli potrafiłaby biegać dość szybko, nikt i tak by jej nie złapał.

*

W południowym słońcu Temudżyn otarł pot z czoła i czuł, jak burczy mu w brzuchu. Matka

Börte była gburowata i nieprzyjemna jak jej mąż i nadzorowała go tak samo pilnie. Bał się, że jego żona będzie kiedyś tak samo brzydka i ponura. Na śniadanie Szria dała mu czarę solonej herbaty i kawałek sera długi na kciuk i twardy jak kość. Temudżyn włożył go do ust i zaczął ssać, ale ser ledwie zmiękł do południa. Szołoj dostał trzy gorące toboły z bezdrożdżowym chlebem przyprawianym mięsem owcy i przerzucał teraz wytłuszczone pakunki w dłoniach, żeby odstraszyć poranne zimno. Temudżynowi ciekła ślinka od zapachu mięsa, ale Szria uszczypnęła go w brzuch i stwierdziła, że nic mu nie będzie, jeśli ominie go kilka posiłków. Była to zniewaga, ale przecież nie pierwsza.

Podczas gdy Szołoj nacierał tłuszczem rzemienie i po kolei sprawdzał kopyta wszystkich kuców w obozie, Temudżyn nosił wielkie bele owczego runa i oddawał je kobietom, które układały je do spilśniania na matach z gałganów. Ładunki były cięższe od wszystkiego, co dotąd dźwigał, ale jakoś udawało mu się taszczyć je przez koczowisko, przyciągając spojrzenia i wzniesając podniecone okrzyki małych dzieci. Łydki i plecy piekły go już przy drugim kursie, ale nie wolno mu było zatrzymać się na odpoczynek. Przy dziesiątym ładunku Szołoj przerwał pracę, żeby przyjrzeć się jego coraz cięższym zmaganiom, a Temudżyn zauważył grupkę mężczyzn szczerzących zęby w uśmiechu i po cichu robiących zakłady. Ołkunutowie zakładali się najwyraźniej o wszystko, ale Temudżyna to nie obchodziło, kiedy wreszcie upadł z nogami jak z waty. Nikt nie przyszedł mu z pomocą i kiedy podnosił się z ziemi wśród ciszy i spojrzeń Ołkunutów, poczuł się samotny jak nigdy przedtem. Nie było współczucia ani radości na ich kamiennych twarzach i gdy Temudżyn w końcu stanął na nogach, poczuł, jak ich pogarda dodaje mu skrzydeł i każe dumnie unieść głowę. Uśmiechnął się do nich, chociaż pot szczypał go w oczy, a każdy oddech sprawiał piekący ból. Ku jego zadowoleniu niektórzy nawet odwrócili się pod jego spojrzeniem, jednak większość tylko zmrużyła powieki.

Wyraz twarzy Ołkunutów zmienił się w pewnej chwili i dało się wyczuć, że ktoś się zbliża. Temudżyn stał ze zwojem wełny na ramionach, przytrzymując go obydwoma rękami. Nie podobał mu się ten moment bezbronności, kiedy odwracał się, żeby sprawdzić, kto przyciągnął uwagę tłumu. Rozpoznał swojego kuzyna Kökego i zauważył, że czerpał on przyjemność z sytuacji. Dłonie zwisały mu luźno przy boku, ale nietrudno sobie było wyobrazić, jak jego pięści uderzają w niechroniony brzuch Temudżyna. Chłopiec próbował napiąć mięśnie brzucha i poczuł, jak drżą mu z wyczerpania. Wełna ciążyła mu mocno, a nogi miał wciąż dziwnie słabe. Pokazał zbliżającemu się Kökemu kamienną twarz, usilnie starając się zbić go z tropu na jego własnej ziemi.

Nie udało się. Köke nie był sam: za nim pojawili się jego rówieśnicy, patrząc złowieszczo na syna Jesügeja. Temudżyn kątem oka zauważył dorosłych, którzy szturchali się i śmiali. Warknął cicho, żałując, że nie miał noża, żeby zetrzeć arogancję z ich twarzy. Czy wcześniej Bekter też tak cierpiał? Nigdy o tym nie wspomniał.

- Podnieś wełnę, chłopcze - rozkazał, śmiejąc się Köke.

Temudżyn już otwierał usta, by odpowiedzieć, gdy poczuł silne pchnięcie, które przeważało ładunek i prawie rzuciło go razem z nim na ziemię. Odzyskał równowagę i ruszył w stronę Kökego, ten jednak znowu go odepchnął. Temudżyn stoczył zbyt wiele bójek z braćmi, żeby darować coś takiego. Zdzielił Kökego prosto w nos, aż mu głowa odskoczyła w tył. Po chwili obaj tarzali się już w pyle obok zapomnianego zwoju wełny. Pozostali chłopcy nie przyglądali się biernie. Jeden z nich podbiegł i kopnął Temudżyna w brzuch tak, że ten aż zwinął się z bólu. Krzyknął ze złości, ale gdy uwolnił się od Kökego i próbował podnieść się

z ziemi dostał drugie kopnięcie w plecy. Köke krwawił z nosa, ale była to ledwie strużka, szybko krzepnąca w tumanach kurzu. Zanim Temudżyn zdołał wstać na nogi, Köke znowu przywarł do niego i przytrzymał mu głowę przy ziemi, podczas gdy inni dwaj chłopcy usiedli na jego piersiach i nogach, przygniatając go swoim ciężarem. Temudżyn był zbyt zmęczony po dźwiganiu wełny, żeby zrzucić ich z siebie. Szarpał się wściekle, ale kurz dławił każdy jego oddech i w końcu mógł tylko kasłać i drapać swoich przeciwników. Jeden z chłopców trzymał go za gardło, a Köke tłukł go w głowę, żeby stracił przytomność. Z wolna zgiełk zaczął jakby cichnąć.

Nie było to wcale przebudzenie, a Temudżyn nie spał, tylko wrócił jakby z powierzchni snu, kiedy wylano nań kubeł wody. Prychając otrząsał się z tego zimnego, ściekającego po nim strumienia rozcieńczonej krwi i błota. Szołoj pomógł mu się wyprostować i Temudżyn zauważył, że stary przepędził wreszcie chłopców, którzy oddalali się truchtem, wciąż kpiąc i naśmiewając się ze swojej ofiary. W oczach Szołoja było tylko rozdrażnienie, kiedy strzelał palcami przed twarzą Temudżyna, żeby zwrócić jego uwagę.

- Musisz teraz przynieść więcej wody, wylałem na ciebie całe wiadro - Temudżyn usłyszał głos Szołoja jakby z oddali. - Potem pomożesz ubijać runa, zanim zjemy. Jeśli popracujesz ciężko, dostaniesz mięso i ciepły chleb, żebyś miał siłę.

Przez chwilę wydawał się zde gustowany.

- Chyba wciąż jest oszołomiony. Potrzebna mu grubsza czaszka, taka jak u brata. Tamten chłopiec miał łeb jak u jaka.

- Słyszę cię - powiedział z rozdrażnieniem Temudżyn i potrząsnął głową, żeby odpędzić resztki słabości.

Złapał za wiadro, nie zadając sobie nawet trudu, żeby ukryć gniew. Nie widział Kökego ani innych, ale poprzysiągł sobie, że dokończy walkę, którą zaczęli. Zniósł niewolniczą pracę i pogardę Ołkunutów, ale publiczne bicie to zbyt wiele. Wiedział, że nie może po prostu rzucić się na przeciwnika. Było w nim dość z dziecka, by tego pragnął, ale też dość z wojownika, żeby poczekać na właściwy moment. A moment ten nadejdzie.

*

Jesügej jechał szeroką, zieloną doliną między szczytami, gdy dostrzegł ruchome plamki jeźdźców w oddali i ściągnął usta w skupieniu. Z tej odległości nie potrafił stwierdzić, czy to Ołkunutowie posłali za nim wojowników, mających śledzić go do koczowiska, czy też był to podjazd jakiegoś nowego w tej okolicy plemienia. Nadzieja, że byli to pasterze, szybko prysła, gdy chan rozejrzał się po otaczających go górskich zboczach. Nie dojrzał tam zaginionych owiec i nawiedziła go ponura myśl, że znalazłby się w ciężkim położeniu, gdyby oddział zdecydował się na pościg.

Obserwował ich ruch kątem oka, bacząc, by nie wypatrzyli małej, białej twarzy, zwróconej w ich kierunku. Miał nadzieję, że nie będzie im się chciało ścigać samotnego jeźdźca, ale zaśmiał się ze swojej naiwności, kiedy spostrzegł, że skręcają wśród tumanów kurzu, wznieconych przez popędzone do galopu konie. Najbliżsi zwiadowcy Wilków wciąż byli o dwa dni drogi stąd, a ciężko było zgubić jeźdźców na tak otwartym terenie. Chan popędził wałacha do galopu, zadowolony, że był silny i wypoczęty. Może ścigający go jeźdźcy zmęczą konie i zostaną z tyłu.

Jesügej nie patrzył za siebie, kiedy jechał. W tak szerokiej dolinie jego wzrok sięgał na sześć mil, ale z tej samej odległości i jego można było dostrzec. Zapowiadał się długi pościg, ale jeśli nie znajdzie schronienia, nie miał szans na ucieczkę. Gorączkowo wodził spojrzeniem

po wzgórzach i widział wysokie turnie, obsypane drzewami jak odległymi rzęsami. Nie schowa się tam, pomyślał. Potrzebował zacienionej doliny, gdzie lasy rozpościerały się ponad opoką ziemi, pokrytej odwieczną warstwą liści i szarych, sosnowych igieł. Było wiele takich miejsc, ale Jesügej znajdował się z dala od każdego z nich. Jechał dalej i czuł, jak gniew wzbiera mu w piersi. Kiedy w końcu się obejrzał, jeźdźcy byli znacznie bliżej i chan zauważył, że było ich pięciu. Na pewno wrzała w nich krew. Na pewno wrzeszczeli, podnieceni pościgiem, jednak ich krzyki ginęły daleko za nim. Jesügej wyszczerzył zęby i pognął wśród wiatru. Jeśli wiedzieli, kogo ścigają, nie powinni działać pochopnie. Położył rękę na głównej miecza, znajdującej się u zadu konia i uderzającej w skórę. Broń z długim ostrzem, która należała kiedyś do jego ojca, umocowana była na skórzanym rzemieniu, żeby nie spadła podczas jazdy. Przy siodle przytroczony był łuk, który chan mógł jednak wyciągnąć i napiąć w mgnieniu oka. Pod delem przyjemnie ciążyła mu stara kolczuga, którą zdobył w boju. Jeśli prześladowcy go dopadną, przeleje krew wielu z nich, powtarzał sobie i czuł jak wzbiera w nim dobrze znane podniecenie przed walką. Jesügej był chanem Wilków i nie bał się nikogo. Drogo sprzeda skórę.

ROZDZIAŁ 7

Temudżyn skrzywił się, kiedy surowa wełna po raz setny zadrapała mu dawno już czerwone palce. Widywał już wcześniej swoich współplemieńców przy tej pracy, jednak zwykle byli to starsi chłopcy i młode kobiety. U Ołkunutów było inaczej i Temudżyn widział, że nie robiono tu dla niego wyjątku. Nawet najmłodsze dzieci nosiły wiadra pełne wody, którą rozchlapywano potem na każdej warstwie owczego runa, żeby utrzymać wilgoć w wełnie. Köke i inni chłopcy zwijali runa na płótnie na rusztowaniu, po czym bili je długimi gładkimi kijami przez całe godziny, aż pot strumieniami ściekał im z czoła. Temudżyn też przy tym pomagał, chociaż najchętniej zdzieiłby Kökego kijem w wyszczerzoną twarz.

Kiedy wełnę zmłócono już na miękko, kobiety rozpostartymi ramionami odmierzały jeden ałd runa i oznaczały go kredą. Kiedy materiał miał już odpowiednią szerokość, rozciągano go na płótnach, po czym wygładzano wyrzuceniami i usuwano luźne nitki, dopóki wełna nie zmieniła się w pojedynczą, białą matę. Dodatkowa ilość wody pomagała rozdzielić surowy filc na warstwy, ale trzeba było prawdziwego mistrzostwa, żeby określić właściwą grubość. W miarę upływu dnia dłonie Temudżyna czerwieniały i bolały go coraz bardziej, kiedy pracował z innymi, znosząc kpiny Kökego i chichotanie kobiet śmiejących się z jego złości. W końcu zrozumiał, że nie miało to większego znaczenia. Teraz, kiedy wyczekiwał tylko na odpowiedni moment, mógł znosić obelgi i kpiny. Można rzec, że odczuwał nawet lekką satysfakcję wiedząc, że nadejdzie czas, kiedy zostanie sam na sam z Kökem i odplaci mu tym, na co sobie zasłużył. A może nawet z nawiązką, pomyślał. Przy piekących dłoniach i bolesnych zadrapaniach aż do łokci była to pokrzepiająca myśl.

Kiedy wełniane maty były już gładkie i uformowane, Ołkunutowie nawijali je na długi drąg doskonale wygładzony przez pracę całych pokoleń i przypinali za kucem. Temudżyn dałby wiele za to, żeby to on mógł usiąść w siodle i pognać z ładunkiem daleko od koczowiska. Tymczasem praca ta przypadła śmiejącemu się Kökemu i Temudżyn zdał sobie sprawę, że był on lubiany w plemienu, może dlatego że rozśmieszał kobiety swoją bufonadą. Temudżyn mógł tylko zwiesić głowę i czekać na kolejną porcję mleka kłaczy i toból warzyw i baraniny. Ramiona i plecy bolały go, jakby ktoś wbił mu nóż w ciało i obracał nim przy każdym ruchu, ale wytrzymał i razem z innymi wkładał kolejne ubite runa na płótno do spilśniania.

Temudżyn zauważył, że nie tylko on cierpiał. Szołoj najwyraźniej nadzorował prace, chociaż wątpliwe było, że to do niego należały owce. Kiedy jakiś mały chłopiec podbiegł za blisko i wzbił tuman kurzu, który opadł na surowe runa, Szołoj chwycił go za rękę i bezlitośnie bił go kijem dopóty, dopóki rozpaczliwe krzyki, nie zmieniły się w ciche kwilenie. Runa musiały być czyste - inaczej filc byłby za słaby - i Temudżyn uważał, żeby nie popełnić tego samego błędu. Ukłakł na samej krawędzi maty i pilnował, żeby ani jeden kamyczek albo odrobina kurzu nie zabrudziły jego kawałka wełny.

Börte pracowała naprzeciw niego przez część popołudnia i Temudżyn miał okazję dobrze przyjrzeć się dziewczynie, którą ojciec wybrał dla niego. Była chuda jak szkielet, głowę skrywał jej splątany snop czarnych włosów, opadających na oczy, a pod nosem wisiała jej gruda smarków. Temudżynowi trudno było wyobrazić sobie mniej atrakcyjną dziewczynę, a kiedy spostrzegła, że się jej przygląda, chrząknęła, zbierając flegmę do splunięcia, ale zaraz połknęła ją z powrotem, żeby nie zabrudzić czystego runa. Temudżyn potrząsnął głową, nie

mogąc wyjść z podziwu, co też takiego zobaczył u niej jego ojciec, że ją polubił. Możliwe, że Jesügej tylko przez swoją dumę przyjął, co mu dawano, żeby zawstydzić maluczkich, takich jak Ench czy Szołoj. Temudżyn musiał się teraz zmierzyć z faktem, że dziewczyna, która miała dzielić z nim jurte i rodzić mu dzieci, była dzika jak kot stepowy. Ze smutkiem zdał sobie sprawę, że pasowało to do jego doświadczeń z Ołkunutami. Nie byli hojni. Jeśli już zgadzali się oddać dziewczynę, to była to taka, której chcieli się pozbyć, żeby stwarzała problemy innemu plemieniu.

Temudżyn jęknął, kiedy Szria zdzieliła go po ramionach kijem do ubijania wełny. Inne kobiety, rzecz jasna, zaśmiały się, a kilka z nich nawet próbowało naśladować jego okrzyk, na co Temudżyn zalał się rumieńcem gniewu.

- Nie śpij, Temudżynie - powiedziała po raz dwudziesty matka Börte.

Praca była żmudna i monotonna. Kobiety albo umilały ją sobie pogaduszkami, albo pracowały niemal w transie, ale był to luksus, na jaki nie mógł sobie pozwolić nowy gość w plemieniu. Najmniejsza dekoncentracja spotykała się z karą, a z nieba bez końca lał się żar słoneczny. Nawet woda, którą przynoszono pracującym do picia, była ciepła i słona, i Temudżyn dostawał po niej mdłości. Ledwo mógł uwierzyć, że to dopiero pierwszy dzień.

Gdzieś na południu jego ojciec jechał do domu. Temudżyn wyobrażał sobie psy radośnie skaczące wokół niego i rozkosze uczenia orła polowania i siadania na nadgarstku. Jego bracia z pewnością będą uczestniczyć w szkoleniu i wolno im będzie trzymać kawałki mięsa w drżących palcach. Tylko Kacziun na pewno nawet nie drgnie, kiedy Orla Czerwień porwie przynętę. Temudżyn zazdrościł braciom czekającego ich lata.

Szria znowu zamachnęła się na niego, ale Temudżyn z szybkością błyskawicy wyrwał jej kij z rąk i delikatnie położył obok siebie na podłodze. Przez chwilę gapiła się na niego w osłupieniu, ale zaraz sięgnęła po kij, jednak Temudżyn przygniótł go kolaniem i potrząsnął głową. W uszach mu szumiało, a serce tłukło się jak szalone.

Szria zerknęła na Szołoja, który stał obok i doglądał układania nowej porcji wilgotnego runa. Temudżyn wyczekiwał jej krzyku, jednak ku jego zdumieniu po prostu wzruszyła ramionami i wyciągnęła rękę po kij. Była to niewygodna sytuacja, ale Temudżyn w końcu go jej oddał, gotów uchylić się przed ciosem. Przez chwilę ważyła go w dłoniach, wyraźnie niezdecydowana, a potem zwyczajnie odwróciła się na pięcie i odeszła. Przez chwilę patrzył za nią, jednocześnie gładząc i czyszcząc materiał, ale Szria nie odwróciła się i po chwili Temudżyn był znowu pochłonięty pracą.

Z transu wyrwał go dopiero Ench, jego wuj, kiedy przyniósł mu garnuszek wypełniony sfermentowanym mlekiem dla dodania sił do dalszej pracy. Kiedy słońce dotykało już wzgórz na zachodzie, każdy dostawał chochlę napoju, znanego jako czysty ajrak, który miał wygląd wody, a palił jak ogień. Przy tym napoju zwykły ajrak, jaki podawano w jurtach, był ledwie mleczną herbatką i Temudżyn zakrztusił się teraz od jego mocy. Otarł usta i syknął z bólu, kiedy ciecz zetknęła się z zadrapaną skórą i zapiekła jak płomień. Köke był zajęty zwijaniem filcu za kucem, ale za to Szołoj zauważył jego ból i zaniósł się śmiechem tak gromkim, że Temudżynowi zdawało się, że stary dostanie spazmów i udusi się na jego oczach. Miał nadzieję, że tak się stanie, ale Szołoj przeżył, osuszył łzy śmiechu i zaczął siorbać kolejną warzuchew ajraku. Trudno było nie oburzyć się, że ktoś, kto cały dzień nie robił praktycznie nic, dostawał teraz drugą porcję, ale nikomu oprócz Temudżyna najwyraźniej to nie przeszkadzało. Powoli zapadał zmierzch i nawinięto już ostatnią wełnianą matę na drąg przytroczony do konia.

Zanim ktokolwiek zdążył zaprotestować, Börte wślizgnęła się na siodło, zaskakując nawet samego Szołaja, który stał z wodzami w rękach. Nie zamienili ani słowa, ale stary poruszył bezzębnymi ustami, jakby natrafił na chrząstkę, której nie mógł pogryźć. Po chwili wahania, klepnął zad kuca i pognął wierzchowca w gęstniejący mrok, żeby ubić filc i nadać mu siłę. Materiał posłuży do wygnania chłodu z jurt i wyrobu grubych pledów i czapraków dla koni. Niepotrzebne ścinki przeznaczy się dla dzieci zbyt małych, żeby korzystały z dołów kloacznych i nie wpadły przy tym do środka. Temudżyn usiadł po turecku i wyprostował plecy, mrużąc oczy z bólu. Martwiła go zdrętwiała prawa ręka. Masował ją lewą dłonią, żeby przywołać krążenie w palcach, ale kiedy powróciło, ból wycisnął mu łzy z oczu. Nigdy jeszcze nie pracował tak ciężko i zastanawiał się, czy stanie się przez to silniejszy.

Kiedy z trudem wstał na nogi, pojawił się Szołaj i Temudżyn zadrżał lekko, kiedy zdał sobie sprawę z jego obecności. Nienawidził swojej nerwowości, ale dostał zbyt wiele nagłych ciosów, żeby nie mieć się teraz na baczości. Czknął głośno od sfermentowanego mleka, kiedy Szołaj w znajomy sposób chwycił go dwoma palcami za ramię i pociągnął w stronę jurty.

- Zjedz i śpij. Jutro będziesz rąbał drwa na zimę.

Temudżyn był zbyt zmęczony, żeby odpowiedzieć i zmordowany podążył za Szołajem, ciężko powłócząc nogami.

*

Jesügej znalazł miejsce, które wydawało się dość bezpieczne na obozowisko. Udało mu się dotrzeć do końca doliny, w której widzieli go jeźdźcy, i pogalopował dalej krótką przełęczą między wzgórzami, szukając schronienia, gdzie mógłby zgubić prześladowców. Wiedział, że nietrudno go będzie tropić na pylistym gruncie, ale nie mógł jechać całą noc i ryzykować, że kuc złamie nogę w norze tarbagana. Zamiast tego zsiadł z siodła i pociągnięciami za wodze i ciągłymi zachętami podprowadził odważnego wałacha po stromym zboczu aż do poszarpanej granicy drzew. Była to ciężka i niebezpieczna wspinaczka i oczy konia bieleły ze strachu za każdym razem, gdy jego kopyta ześlizgiwały się po luźnej ściółce. Jesügej prędko owijał wtedy wodze wokół pnia najbliższego drzewa i desperacko zawisał na nich, dopóki wałach nie odzyskał oparcia. Kiedy dotarł wreszcie na szczyt, mięśnie ramion i klatki piersiowej bolały go niemiłosiernie, a koń sapał tak głośno, że było go słychać na milę. Chan nie sądził jednak, żeby go ścigano wśród drzew w zapadających ciemnościach. Teraz wystarczyło się tylko gdzieś zaszyć i jego prześladowcy próżno mogli szukać śladu kopyt na kobiercu martwych sosnowych igieł. Zaśmiałyby się, gdyby mógł ich dostrzec, ale nie było ich widać. Mimo to swędzenie na karku podpowiadało mu, że byli blisko, rozglądali się i nasłuchiwali znaku jego obecności. Obawiał się, że jego kuc zarzy do ich koni i zdradzi jego pozycję, ale zwierzę było zbyt zmęczone po wspinaczce i ciężkiej gonitwie. Przy odrobinie szczęścia po nocy bez ognia jeźdźcy porzucą pościg i pojedą w swoją stronę następnego ranka. Nie miało znaczenia, czy Jesügej wróci do koczowiska jeden dzień później.

Wysoko na grzbiecie wzgórza chan przyciągnął do siebie dwa skarłate krzaki i przywiązał do nich wodze. Z zadowoleniem patrzył, jak kuc opada na kolana i odkrywa, że nie może położyć się zupełnie na płask z powodu napiętych rzemieni. Chan zostawił mu siodło na grzbiecie na wypadek, gdyby musiał szybko odjechać, i poluzował tylko popręg o kilka oczek przy tybinkach. Wałach parsknął pod spojrzeniem Jesügeja i usadowił się najwygodniej, jak mógł. Po chwili zamknął oczy i zapadł w drzemkę, a jego rozchylony pysk ukazał mocne, żółte zęby.

Jesügej nasłuchiwał znaku, że jego prześladowcy nie porzucili pościgu. Trudno by im było niepostrzeżenie zbliżyć się po tak niepewnym gruncie. Chan odwiązał skórzany rzemień, który przytrzymał mu miecz w pochwie, jednym płynnym ruchem obnażył ostrze i uważnie przyjrzał się broni. Miecz był z mocnej stali i sam w sobie stanowił cenny łup, który mógł zwabić złodziei. Gdyby był przy nim Ełuk, na pewno stanąłby do walki z jeźdźcami na stepie, ale nawet on nie dałby raczej rady pięciu przeciwnikom, chyba że były to młokosy, których można by przepłoszyć krzykami i kilkoma szybkimi cięciami. Ojcowski miecz Jesügeja był na szczęście ostry jak zawsze. Chan nie mógłby ryzykować, że jego prześladowcy usłyszą odgłos ostrzenia o kamień. Zamiast tego Jesügej wziął kilka gwałtownych haustów wody z bukłaka i skrzywił się, gdy spostrzegł, jak niewiele zostało. Jego wałach będzie rano spragniony. Jeśli pobliskie strumienie wyschły, chana czeka ciężki dzień, nawet gdy nie zobaczą go prześladowcy. Wzruszył ramionami. Przeżył już gorsze chwile.

Jesügej przeciągnął się i ziewnął, po czym spojrział z uśmiechem na śpiącego kuca, wyciągnął z juków suszone mięso owcy i zaczął jeść, mrużąc zadowolony, że czuje ostry smak przypraw. Tęsknił do Höelün i chłopców i zastanawiał się, co też takiego porabiali w tej chwili.

Położył się w końcu do snu z rękami zawiniętymi w del, mając nadzieję, że Temudżyn znajdzie w sobie dość hartu ducha, żeby przetrwać wśród ludu Höelün. Trudno było stwierdzić, czy chłopiec miał na to dość siły w tak młodym wieku. Jesügeja nie zdziwiłoby, gdyby jego syn uciekł od Ołkunutów, ale miał nadzieję, że tak się nie stanie. Byłaby to wielka ujma, a wieść o tym jeszcze przed nastaniem lata rozeszłaby się wśród plemion. Jesügej zmówił cichą modlitwę o pomoc dla syna. Wiedział, że Bekter cierpiał. Jego najstarszy syn z niewielką dozą sympatii wyrażał się o Ołkunutach, kiedy w pobliżu nie było Höelün. Oczywiście tylko tak można było o nich mówić. Jesügej mruknął cicho do siebie i podziękował Ojcu Niebu za tak wspaniałe pokłosie synów. Z uśmiechem na ustach stopniowo pogrążał się we śnie. Synowie, a teraz córka. Niebiosa błogosławiły go silnym nasieniem i dobrą kobietą, która rodziła mu dzieci. Słyszał o żonach, które traciły po jednym nędznym strzępie czerwonego ciała na każde dziecko, które wydawały na świat, ale dzieci Höelün wszystkie przeżyły i rosły w siłę. Albo obrastały tłuszczem tak jak Temüge, co wciąż było problemem, z którym trzeba się będzie zmierzyć. Chan zanurzył się w końcu w objęciach snu, a jego oddech zwolnił i uspokoił się.

Kiedy gwałtownie otworzył oczy, zobaczył pierwsze promienie świtu na wschodzie i smugę złota na odległych szczytach. Kochał te ziemie i przez chwilę dziękował niebiosom za to, że dożył kolejnego dnia. Nagle usłyszał zbliżających się ludzi i dech zamarł mu w gardle. Uwolnił się z zamarzniętej ziemi, odrywając włosy od zlodowaciałej skorupy. Spał z mieczem obnażonym pod delem i jego palce natrafiły teraz na głównię i owinęły się wokół niej. Wiedział, że musi wstać, jeśli nie chciał, żeby prześladowcy dopadli go wciąż zdrętwiałego, ale nie wiedział jeszcze, czy został dostrzeżony. Omiałał wzrokiem okolicę w poszukiwaniu źródła odgłosów. Mógł to być pasterz szukający zagubionej kozy, ale Jesügej wiedział, że to mało prawdopodobne. Usłyszał konia parskającego w pobliżu i wtedy jego wałach zbudził się i zarżał tak, jak chan się tego obawiał. Jeden z prześladowców jechał na kłaczy, która odpowiedziała teraz na wezwanie nie więcej niż pięćdziesiąt kroków od Jesügeja. Chan podniósł się z ziemi jak dym, ignorując ból w kolanach i plecach. Bez wahania chwycił za łuk przytroczony przy siodle i napiął go, wyciągnąwszy strzałę z kołczana i osadziwszy ją na cięciwie. Tylko Ełuk potrafił posłać strzałę dalej od Jesügeja, ale chan nie wątpił w swoją

celność. Jeśli przybysze byli wrogami, mógł położyć jednego czy dwóch, zanim podejną na długość miecza. Wiedział, że powinien wybrać przywódców na cel tego pierwszego natarcia, zostawiając słabszych do walki na miecze.

Teraz, kiedy znali jego pozycję, nie słyszał już żadnych odgłosów, i czekał cierpliwie, aż się pokażą. Ustawił się plecami do słońca i po chwili namysłu rozpiął del, żeby odwrócić go na drugą stronę. Serce podchodziło mu do gardła, kiedy odkładał miecz i łuk, ale wiedział, że ciemne wnętrze płaszcza lepiej maskowało go na tle krzaków niż zewnętrzny błękit i stawał się przez to trudniejszym celem. Znowu podniósł broń i stał cicho jak drzewa i krzewy wokół niego. Przyłapał się na cichym pomrukiwaniu i umilkł. Sen był już tylko wspomnieniem i krew znowu żywo krążyła mu w ciele. Mimo zagrożenia chan czerpał przyjemność z napięcia.

- Hej tam, w obozie - doleciał go głos z lewej strony.

Jesügej zaklął w duchu, kiedy zdał sobie sprawę, że przybysze obeszlili go łukiem. Bez namysłu zostawił wałacha i wszedł głębiej w las w kierunku głosu. Kimkolwiek byli jego prześladowcy, poprzysiął sobie, że łatwo go nie zabiją. Przemknęło mu przez myśl, że mogli nie być zagrożeniem, ale tylko głupiec narażałby życie, konia i miecz swojego ojca dla płochy nadziei. Na stepach nawet najsilniejszy człowiek przeżywał tylko dzięki ostrożności, a Jesügej wiedział, że był cenną zdobyczą dla zbrojnego podjazdu, nawet jeśli jego prześladowcy nie zdawali sobie z tego sprawy.

Strużka potu zapiekła go w czoło, kiedy czekał na rozwój wydarzeń.

- Nie widzę go - odezwał się inny głos z odległości zaledwie kilku kroków.

Jesügej przykucnął i napiął łuk z cichym skrzypieniem cięciwy.

- Ale jest tu jego koń - powiedział ktoś trzeci głosem niższym od pozostałych.

Wszystkie głosy brzmiały młodo dla uszu Jesügeja, ale chan dziwił się biegłości swoich prześladowców w podchodach. Nawet z tak niewielkiej odległości nie dało się słyszeć ich kroków.

Z ogromną ostrożnością odwrócił głowę i spojrzał za siebie. Przez gęste zarośla dostrzegł mężczyznę, który odwiązywał od krzewów wodze jego wałacha. Jesügej skrzywił się w milczącej złości. Nie mógł dopuścić, aby ukradli mu konia i zostawili samego w ostępach.

Wziął głęboki wdech i podniósł się na nogi, zaskakując przybysza przy wałachu. Ręka nieznajomego sięgnęła po nóż, ale wtedy zauważył napięty łuk i zamarł.

- Nie szukamy zwady, staruszku - powiedział głośno.

Jesügej wiedział, że nieznajomy przyzywa w ten sposób swoich towarzyszy. Jego serce żywiej zakolało mu w piersi, kiedy usłyszał szelest z prawej strony.

- To wyjdźcie, żebym was widział, i przestańcie czaić się za mną - głos Jesügeja rozniósł się po polanie.

Szelest umilkł, a młodzieniec, który dotąd spokojnie stał pod jego strzałą teraz skinął głową.

- Róbcie, co mówi. Nie mam ochoty zarobić grotu w pierś przed śniadaniem.

- Odezwijcie się, zanim drgniecie - dodał Jesügej - albo gińcie, jeden czy drugi.

Nastąpiła chwila ciszy i młodzieniec w końcu westchnął.

- Pokażcie się, wszyscy - rzucił, wyraźnie tracąc panowanie w obliczu strzały niezmiennie wymierzonej mu w serce.

Jesügej patrzył z przymrużonymi oczami, jak pozostałych czterech przybyszów z głośnym szelestem wyłania się z gęstwiny. Dwóch z nich trzymało łuk ze strzałą przy cięciwie. Wszyscy byli uzbrojeni i mieli na sobie grube dele uszyte tak, by zatrzymały grot, zanim wbije

się zbyt głęboko. Jesügej rozpoznał krój i zastanawiał się, czy i nieznajomi poznali po ubiorze, skąd pochodził. Był to podjazd Tatarów i Jesügej wiedział, że ma do czynienia z twardymi ludźmi, pragnącymi kraść wszystko, co wpadnie im w ręce.

Kiedy już wszyscy zebrali się na polanie, młodzieniec przy kucu skinął na Jesügeja.

- Zawołałem przecież do obozu, staruszku. Przyznasz nam prawa gości przy posiłku?

Jesügej zastanawiał się, czy zasady gościnności nie przestaną obowiązywać, kiedy Tatarzy nie będą już w zasięgu jego strzały, ale kiedy dwóch łuczników opuściło broń, skinął i rozluźnił cięciwę. Młodzi wojownicy wyraźnie się uspokoili, a ich dowódca poruszył ramionami dla odprężenia mięśni.

- Jestem Ułagan, z Tatarów - powiedział młodzieniec z uśmiechem.

- A ty jesteś z Wilków, chyba że ukradłeś ten del i miecz.

- Jestem z Wilków - potwierdził Jesügej. - Zechciejcie skosztować jadła i mleka w moim obozie - dodał oficjalnie.

- A jak cię zwą? - zapytał Ułagan i uniósł brwi.

- Ełuk - powiedział bez wahania Jesügej. - Jeśli rozniecicie ogień, znajdę kubek ajraku dla rozgrzania wam krwi. Wszyscy Tatarzy z wolna zabrali się do przygotowania posiłku, uważając, żeby nie spłoszyć się nawzajem nagłym ruchem. Trwało to dłużej niż zwykle, zanim zebrali kamienie i skrzesali ogień kawałkiem stali, ale kiedy słońce wstało, objadali się już suszonym mięsem z juków Jesügeja i rzadkim miodem, który Ułagan wyciągnął z tobołu pod delem. Jesügej rozkoszował się słodyczą po raz pierwszy, odkąd jego plemię znalazło gniazdo dzikich pszczół trzy lata wcześniej. Oblizwał palce, żeby nie zmarnować ani kropli złotej cieczy pełnej kawałków wosku, jednak jego dłonie nigdy nie były zbyt daleko od miecza i strzał przygotowanych na ziemi. Było coś niepokojącego w spojrzeniu Ułagana, kiedy patrzył na posilającego się Jesügeja, chociaż uśmiechał się, gdy chan podnosił wzrok. Żaden z pozostałych nie odzywał się w przerwach ucztowania i w każdym ich ruchu znać było podenerwowanie.

- Skończyłeś? - zapytał po jakimś czasie Ułagan.

Jesügej wyczuł delikatne napięcie u Tatarów, kiedy jeden z nich odszedł na bok i spuścił spodnie, żeby się wypróżnić. Wojownik nie próbował się ukryć i kiedy się obnażył, Jesügej spostrzegł w przelocie jego kołyszącą się męskość.

- Wśród Wilków trzymamy odchody z dala od jedzenia - mruknął.

Ułagan wzruszył ramionami. Wstał, a Jesügej poszedł za jego przykładem, żeby Tatar nie zyskał nad nim przewagi. Ze zdumieniem patrzył, jak Ułagan podchodzi do parującej kupki i wyciąga miecz.

Jeszcze zanim Jesügej podjął świadomą decyzję, już trzymał własną broń w ręku, jednak Tatar nie atakował go. Zamiast tego zatopił miecz w cuchnącej masie, aż ostrze pokryło się nią na całej długości.

Ułagan zmarszczył nos i podniósł wzrok na wojownika, za którego sprawą kupka pojawiła się na ziemi.

- Masz chore wnętrzości, Nasanie, nie mówiłem ci?

- Mówiłeś - odpowiedział Nasan bez uśmiechu i powtórzył czynność Ułagana własnym mieczem.

Jesügej nagle zdał sobie sprawę, że spotkanie na stepie nie było przypadkowe.

- Kiedy mnie rozpoznaliście? - zapytał cicho.

Ułagan uśmiechnął się, jednak jego oczy pozostały zimne.

- Wiedzieliśmy od Ołkunutów, że przyjechałeś do nich z synem. Dobrze zapłaciliśmy ich chanowi, żeby wysłał jeźdźca do naszego małego obozu, a nie było trudno go namówić. - Ułagan zaśmiał się. - Nie jesteś zbyt lubiany. Myślałem już, że nie przyjedziesz, ale na starym Sansarze można było polegać.

Jesügejowi serce zamarło z obawy o Temudżyna. Rozważał teraz swoje szanse i starał się, by przeciwnicy nie przestawali mówić. Zauważył już, że Ułagan to głupiec. Nie miała sensu pogawędka z kimś, kogo chciało się zabić, ale młody wojownik najwyraźniej rozkoszował się swoją przewagą.

- Dlaczego moje życie jest warte wysłania was po mnie? - zapytał Jesügej.

Ułagan wyszczerzył zęby.

- Zabiłeś niewłaściwego człowieka, Wilku. Zabiłeś syna chana, który był dość głupi, żeby grabić twoje trzody. A jego ojciec łatwo nie przebacza.

Jesügej kiwnął głową tak, jakby słuchał uważnie. Zauważył, że pozostali też starali się zatruć ostrza tą samą kupką łajna, i nagle bez ostrzeżenia skoczył naprzód i zadał cios, głęboko tnąc kark Nasana, gdy ten odwracał się do niego. Tatar upadł z okrzykiem śmierci, a Ułagan ryknął z gniewu i zadał pchnięcie celując prosto w pierś Jesügeja. Tatar był szybki, ale ostrze ześlizgnęło się po kolczudze pod delem chana, wyrzynając tylko dziurę w materiale.

Jesügej atakował szybko, chcąc zyskać przewagę. Rozległy się dwa uderzenia ostrzy, kiedy pozostali trzej Tatarzy otoczyli chana, gdy ten poczuł nagle siłę w ramionach. Pokaże im, co to znaczy zadzierać z chanem Wilków.

Jesügej zamachnął się do ciosu, po czym nagle szybko się cofnął i po trzech zwinnych krokach znalazł się poza kręgiem, który zaczął formować się wokół niego. Jeden z Tatarów odwrócił się, żeby szerokim łukiem spuścić miecz na Jesügeja, ale chan pchnął go w pierś przy ramieniu, po czym oswobodził ostrze, pozwalając wrogowi upaść na ziemię. Chan poczuł nagle ostry ból w plecach, ale kolejny krok uwolnił go, a szybkie cięcie sprawiło, że następny przeciwnik runął na ziemię pozbawiony połowy szczęki.

Teraz Ułagan natarł na chana, z ponurym wyrazem twarzy po stracie trzech towarzyszy.

- Powinno was być więcej, żeby zabić chana - zakpił Jesügej. - Pięciu to dla mnie obelga.

Padł nagle na kolano, żeby uchylić się przed ciosem Ułagana. Zamachnął się silnie i wbił ostrze w piszczel przeciwnika. Nie była to śmiertelna rana, ale krew bluznęła na buty Ułagana i Tatar stracił nagle rozpęd.

Jesügej podniósł się na nogi i zaczął kiwać się to na prawo, to na lewo, żeby zmylić dwóch ostatnich przeciwników. Codziennie ćwiczył z Ełukiem i innymi druhami i wiedział, że uniki te były kluczem do zwycięstwa w walce. Byle młokos potrafił unieść miecz nad głowę, ale praca nóg odróżniała zwykłego człowieka od mistrza. Chan roześmiał się, widząc kuśtykającego za nim Ułagana, i dał mu znak, by podszedł bliżej. Tatar skinął na drugiego wojownika, a ten przesunął się, żeby atakować z boku. Wybrali dobry moment i Jesügej nie miał czasu, żeby odskoczyć. Zatopił miecz w piersi bezimiennego wroga, ale broń złamała się przy uderzeniu w żebra, a Ułagan rzucił się na Jesügeja całym ciężarem ciała. Miecz Tatara przebił kolczugę i wbił się w żołądek chana. Jesügej został z samą tylko odłamaną rękojeścią miecza w dłoni. Czuł strach o przyszłość synów, gorszy od samego bólu, ale przytrzymał Ułagana prawą ręką, a lewą wydobyl sztylet zza pasa.

Tatar zauważył ruch i próbował się wyrwać, ale uścisk był jak żelazo. Jesügej spojrzał na młodego Tatara i splunął mu w twarz.

- Twój lud będzie wygnany z tej ziemi, Tatarze. Wasze jurty będą płonąć, a trzody

rozproszą się po stepie.

Szybkim cięciem poderżnął gardło młodego wojownika i pozwolił, by ten osunął się na ziemię. Tatarskie ostrze wysunęło się z rany Jesügeja i chan stęknął z bólu, padając na kolana. Czuł, jak krew ścieka mu po udzie, i odciawszy sztyletem kawał materiału ze swojego delu, szarpał za niego i przeklinał agonię. Teraz, gdy nikt go już nie widział, mógł klęczeć z zamkniętymi oczami. Wałach szarpał nerwowo za wodze, rżąc z niepokoju. Zwierzę było wystraszone zapachem krwi i Jesügej zmusił się, żeby przemówić spokojnie. Gdyby koń zerwał się z uwięzi i uciekł, chan nie miałby szans na powrót do plemienia.

- Wszystko w porządku, mały. Nie zabili mnie. Pamiętasz, jak Ełuk upadł na złamane drzewko i wbiło mu się ono w plecy? Przeżył to przy odpowiedniej ilości wrzącego ajraku wlewane go w ranę.

Uśmiechnął się na wspomnienie zwykle opanowanego Ełuka wrzeszczącego jak niemowlę. Poczul ulgę, widząc, że kuc, uspokojony widać jego głosem, przestał szarpać za uprząż.

- Właśnie tak, mały. Zostaniesz tu i zabierzesz mnie do domu.

Chana powoli ogarniało otępienie, jednak palcami mocno obwiązywał sobie materiał wokół bioder. Podniósł ręce i powąchał je, krzywiąc się od fetoru ludzkiego łajna z miecza Ułagana. To bardzo zła rzecz, pomyślał. Samo to sprawiało, że zasłużyli sobie na śmierć.

Chciało mu się tylko pozostać na kolanach z wyprostowanymi plecami. Brzeszczot ojcowskiego miecza leżał tuż obok i Jesügej rozkoszował się przyjemnym chłodem metalu. Czuł, że jeszcze długo może utrzymać się w tej pozycji i patrzeć na wschód słońca. Ale cząstka jego wiedziała też, że musi jechać, jeśli Temudżyn miał przeżyć. Jesügej musiał wrócić do Wilków i wysłać wojowników po chłopca. Musiał wstać. Jego ciało wydawało się ciężkie i bezużyteczne, ale raz jeszcze zebrał siły.

Z okrzykiem cierpienia dźwignął się na nogi i doczłapał się do wałacha, który przyglądał mu się, błyskając białkami oczu. Chan oparł czoło o bok kuca, przytroczył brzeszczot do siodła, sapiąc przy tym z bólu. Drżącymi palcami odwiązał wodze i wdrapał się jakoś na siodło. Wiedział, że nie uda mu się zjechać po stromym zboczach, ale trasa po drugiej stronie wzgórza była łatwiejsza i chan popędził kuca ze wzrokiem utkwionym w dal, w stronę domu i rodziny.

ROZDZIAŁ 8

Z nastaniem wieczora Bekter pozwolił swojej klaczy paść się na stepie, a sam siedział na krawędzi wysokiego wzgórza i wypatrywał powrotu ojca. Plecy bolały go ze zmęczenia po całym dniu spędzonym w siodle wśród trzód. Przynajmniej nie było nudno. Uratował tego dnia koźlę, które ugrzęzło w bagnistym gruncie przy rzece. Z liną obwiązaną wokół bioder brnął w czarnym szlamie, żeby ocalić przerażone zwierzę od utonięcia. Koźlę szarpało się wściekle, ale Bekterowi udało się wyciągnąć je za ucho i posadzić na suchym brzegu, gdzie patrzyło potem na niego tak, jakby to on był winien minionej niedoli. Powoli wodził wzrokiem po stepie i bezwiednie zdrapywał plamkę czarnego błota ze skóry.

Rozkoszował się spokojem z dala od hałasów i gwaru koczowiska. Pod nieobecność ojca wyczuwał drobną różnicę w sposobie, w jaki traktowano go w obozie, a zwłaszcza w tym, jak traktował go Ełuk. Był on dość powściągliwy przy żądającym posłuszeństwa Jesügeju, ale kiedy zostawali sami, Bekter wyczuwał u chańskiego druha arogancję, która go onieśmielała. Nie było to nic takiego, o czym mógłby powiedzieć ojcu, ale wiedział, że musi uważać na Ełuka. Zauważył, że najlepiej było po prostu siedzieć cicho i dzielić z wojownikami pracę i ćwiczenie walki. Wreszcie mógł wtedy pokazać swoje umiejętności, a pomagało mu przy tym i to, że nie czuł na karku wzroku Temudżyna, kiedy napinał łuk. Bekter z ulgą przyjął wyjazd brata do Ołkunutów. Czerpał satysfakcję z nadziei, że Temudżyn dostanie w kość i nauczy się szanować starszych. Z zadowoleniem wspominał, jak Köke próbował stłuc go pierwszego dnia. Młodszy Ołkunut nie mógł się równać z Bekterem i został zbity i skopany do nieprzytomności. Ołkunuci wydawali się wstrząśnięci brutalnością, tak jakby chłopcy nie bili się nigdy w ich plemieniu. Bekter splunął na wspomnienie ich owczych twarzy, patrzących na niego z wyrzutem. Przynajmniej Köke nie próbował go już nigdy więcej prowokować. Dobrze było wcześniej dać mu nauczkę.

Oczywiście Ench stłukł za to Bektera drągiem do ubijania wełny, ale chłopiec zniósł to bez słowa skargi i wytrącił potem kij z ręki dyszącego ze zmęczenia oprawcy, demonstrując swoją siłę. Ołkunutowie zostawili go potem w spokoju, a Ench już nie zamęczał go pracą. Ołkunutowie istotnie byli tak słabi, jak mówił Jesügej, za to ich kobiety były delikatne jak białe masło i burzyły krew, gdy przechodziły obok.

Pomyślał, że jego narzeczona zapewne dostała już pierwszego krwawienia, chociaż Ołkunutowie jej nie przysyłali. Pamiętał, jak zabrał ją raz na step i rozłożył na ziemi na brzegu strumienia. Broniła się trochę na początku, kiedy zrozumiała, co robił, i w końcu trzeba było ją zmusić do uległości, ale nie było to więcej, niż miał prawo zrobić. Nie powinna była ocierać się o niego w jurcie, jeśli nie chciała, żeby coś się wydarzyło, powtarzał sobie. Chociaż trochę potem płakała, miała też jakby inny błysk w oku. Bekter poczuł, że sztywnieje na wspomnienie jej nagości, i zastanawiał się, kiedy przyślą ją do niego. Jej ojciec zniechęcił go, ale Ołkunutowie nie wazą się odmówić Jesügejowi. I tak nie mogliby oddać jej nikomu innemu po tym, jak Bekter obcował z nią, wylewając nasienie. Może nawet będzie brzemienna. Bekter nie sądził, żeby było to możliwe, zanim zaczęły się u niej miesięczne krwawienia, ale wiedział też, że istniały tajemnice, których nie rozumiał w pełni.

Noc stawała się zbyt zimna, żeby Bekter dręczył się fantazjami, nie chciał też rozpraszać się przy czuwaniu. Był niemal pewien, że plemię Wilków zgadzało się, aby pewnego dnia to

on stanął na jego czele, ale wiedział też, że pod nieobecność Jesügeja po rozkazy zwracano się do Ełuka. To on zorganizował czaty i rozesłał zwiadowców, ale można było tego oczekiwać tylko do czasu, aż Bekter weźmie sobie żonę i zabije pierwszego wroga. Dopóki tak się nie stanie, wciąż będzie chłopcem w oczach zaprawionych wojowników, tak jak jego bracia byli dziećmi dla niego.

W gęstniejącym mroku Bekter dostrzegł ciemny punkt, wędrujący po stepie naprzeciw niego. Natychmiast poderwał się na nogi i wyciągnął róg z zakamarków delu. Zawahał się, kiedy podniósł go do ust, szukając wzrokiem większego zagrożenia niż jeden tylko jeździec. Pozycja na wzgórzu, którą Bekter sobie wybrał, dawała mu szeroki widok na trawiastą równinę i chłopiec wiedział, że przybysz zbliża się sam. Zmarszczył czoło, mając nadzieję, że to niejeden z jego durnych braci wymknął się z koczowiska, nie mówiąc o tym nikomu. Nie pomogłoby to jego statusowi, gdyby bez powodu oderwał teraz wojowników od posiłku.

Postanowił zaczekać i patrzył, jak mała postać zbliża się do niego. Jeździec najwyraźniej się nie spieszył. Bekter widział, że kuc włóczy się niemal bez celu, tak jakby człowiek na jego grzbiecie nie dbał o kierunek.

Bekter zasepił się. Słyszał o ludziach, którzy nie należeli do żadnego plemienia. Wałęsali się od koczowiska do koczowiska, wymieniając dzień pracy za ciepły posiłek, a czasami przynosząc towary na handel. Nie byli lubiani i zawsze istniało niebezpieczeństwo, że ukradną, co tylko wpadnie im w ręce, po czym znikną. Ludziom bez plemienia nie można było ufać i Bekter o tym wiedział. Zastanawiał się, czy jeździec się do nich zalicza.

Słońce utonęło już za wzgórzami i światło szybko gasło. Bekter zdał sobie sprawę, że powinien zadać w róg, zanim jeździec zginie w mroku. Uniósł instrument do ust i zamarł. Zaniepokoiło go coś w dalekiej postaci. Chyba nie mógł to być Jesügej? Jego ojciec nigdy nie jechałby tak nieudolnie.

Bekter prawie stracił już postać z oczu, kiedy wreszcie zadał w róg. Dźwięk brzmiał długo i melancholijnie, kiedy niósł się wśród wzgórz. Zawtórowały mu rogi innych czatowników w obozie i Bekter zadowolony ukrył róg z powrotem w fałdach delu. Teraz, kiedy ostrzegł już współplemieńców, mógł zejść i przekonać się, kim był jeździec. Wsiadł na swoją klacz i sprawdził, czy nóż i łuk znajdowały się w zasięgu ręki. Wśród ciszy wieczora słyszał już krzyki i odgłosy koni, kiedy wojownicy z wrzawą wylegali z jurt w odpowiedzi na jego wezwanie. Bekter popędził konia po zboczu, chcąc znaleźć się na dole jeszcze przed Ełukiem i innymi starszymi mężczyznami. Czuł, że jeździec w pewnym sensie należał do niego. W końcu to on pierwszy go zobaczył. Kiedy dotarł do podnóża wzniesienia, popędził kuca do galopu, a myśli o Ołkunutach i narzeczonej zniknęły mu z głowy wśród żywszego bicia serca. Dał chłodny wieczorny wiatr, a Bekter pragnął pokazać mężczyznom w obozie, że umie być przywódcą.

Wojownicy Wilków pędem wyjechali z koczowiska z Ełukiem na czele. W ostatnich promieniach słońca zobaczyli, jak Bekter pogania klacz i skierowali się jego śladem, nie widząc jeszcze powodu alarmu.

Ełuk rozesłał po dwunastu jeźdźców na prawo i na lewo, żeby otoczyli obóz i wypatrywali ataku z innych kierunków. Nie mogli pozostawić jurt bez obrony, kiedy sami puścili się w pogoń za przynętą. Wrogowie bywali dość przebiegli, żeby odciągnąć zwiadowców i zaatakować znieacka, a ostatnie promienie dnia dawały doskonałą sposobność do siania zamętu. Ełuk czuł się dziwnie, jadąc bez Jesügeja po swojej lewej stronie, ale też podobało mu się, że inni wojownicy oczekują od niego przywództwa. Rzucił rozkazy i uformował się

harban, pod jego wodzą pędzący w ślad za Bekterem.

Na wprost przed nimi rozległ się kolejny dźwięk rogu i Ełuk zmrużył oczy, wyężając wzrok. Wokół panowała już niemal zupełna ciemność, a galop narażał konie i jeźdźców, jednak Ełuk bezlitośnie popędzał wierzchowca. Bekter nie zadałby w róg po raz drugi, gdyby nie był to prawdziwy atak. Chwycił za łuk i po omacku osadził strzałę na cięciwie tak, jak robił to już tysiące razy przedtem. Wojownicy wokół zrobili to samo. Ktokolwiek ważył się atakować Wilków, spotka się ze świszczącym gradem strzał, zanim podejdzie za blisko. Wojownicy jechali w ponurym milczeniu, uniesieni wysoko w strzemionach, i umiejętnie balansowali przy każdym podskoku kuca. Ełuk przygryzł wargi na wietrze, podniecony myślami o walce. Niech wrogowie usłyszą grzmienie kopyt, myślał. Niech drżą przed zemstą Wilków.

W ciemności wojownicy niemal zderzyli się z dwoma kucami stojącymi samotnie na otwartej przestrzeni. Ełuk już miał zwolnić strzałę, kiedy usłyszał wołanie Bektera i zmusił się, żeby spokojnie usiąść w siodle i rozluźnić cięciwę. Krew wciąż wrzała mu w żyłach w bitewnym zapale i poczuł nagły gniew, że syn Jesügeja wyciągnął go z jurty na marne. Zawiesił łuk na rogu przy siodle, ześlizgnął się lekko na ziemię i dobył miecza. Wokół panowały ciemności i Ełuk nie wiedział jeszcze, co się stało.

- Ełuku, pomóż mi z nim - odezwał się wysoki i pełny napięcia głos Bektera.

Ełuk zastał chłopca przy skulonej na ziemi postaci Jesügeja. Serce załomotało mu w nagłym przypływie bólu i przysły ostatnie ślady bitewnego gniewu, gdy klękał przy chanie i jego synu.

- Jest ranny? - zapytał Ełuk i sięgnął w stronę Jesügeja.

Ledwie widział w mroku, ale potarł palce i powąchał je. Brzuch Jesügeja był szczelnie obwiązany, ale krew przesiąkała na zewnątrz.

- Spadł z konia, Ełuku. Spadł mi prosto w ręce - powiedział Bekter prawie w panice. - Nie mogłem go utrzymać.

Ełuk dotknął dłoni chłopca, żeby go uspokoić, po czym wstał i gwizdnął na druhów, żeby się zbliżyli. Złapał za wodze przy kucu jednego z ciemnych jeźdźców.

- Basanie, pojedziesz do Ołkunutów i dowiesz się prawdy. - A więc wojna? - spytał wojownik.

- Być może. Powiedz im, że jeśli nie puszczą cię wolno, pojedziemy po ciebie, a wtedy dopilnuję, żeby ich jurty spłonęły na popiół.

Wojownik skinął i pokłusował w głąb stepu, a tętent kopyt szybko milkł wśród nocy.

Jesügej jęknął i otworzył oczy, czując nagły strach na widok cieni wokół siebie.

- Ełuk? - szepnął.

Ełuk kucnął przy nim.

- Jestem tu, mój chanie.

Czekali na kolejne słowo, ale Jesügej znowu osunął się bez zmysłów. Ełuk skrzywił się.

- Musimy zabrać go do obozu i opatrzyć rany. Odsuń się, chłopcze. Nie możesz teraz nic dla niego zrobić.

Bekter stał oszołomiony, nie mogąc pojąć, że to jego ojciec leży bez czucia u jego stóp.

- Spadł - powtórzył jak w transie. - Czy umiera?

Ełuk spuścił wzrok na skulonego człowieka, za którym kroczył przez całe dorosłe życie. Najdelikatniej jak potrafił, wziął Jesügeja za pachy, uniósł go i objął ramieniem. Chan miał potężną posturę, a w kolczudze był jeszcze cięższy, ale Ełuk był silny i nie okazywał ani śladu

wysiłku.

- Pomóż mi wsiąść, Bekterze. Nie jest jeszcze martwy i musimy zabrać go w ciepłe miejsce. Tutaj nie przetrzyma nocy.

Uderzyła go jedna myśl, kiedy przerzucił Jesügeja przez siodło, tak że bezwładne ręce zwisały mu prawie do ziemi.

- Gdzie jego miecz? - zapytał. - Widzisz go?

- Nie, musiał upaść razem z nim.

Ełuk westchnął, kiedy dosiadał kuca. Nie miał jeszcze czasu przemyśleć tego, co się stało. Poczł tylko ciepło krwi Jesügeja na piersi, kiedy pochylił się do przodu, żeby przemówić do chłopca.

- Oznacz jakoś to miejsce, żebyś je znalazł, jak się rozwidni. Chan nie podziękuje ci za zgubienie jego ojcowskiego miecza.

Bekter bez namysłu odwrócił się do jednego z pozostałych druhów ojca, który stał obok wstrząśnięty tym, co zobaczył.

- Ty to zrobisz Ünegenie. Ja muszę wrócić do jurty z moim ojcem. Poszukaj wkoło, kiedy się rozwidni, i przynieś mi miecz.

- Zrobię, jak mówisz - odpowiedział w ciemności Ünegen.

Bekter podszedł do swojego kuca i nie widział wyrazu twarzy Ełuka po tej wymianie zdań. Świat zmieniał się na ich oczach i Ełuk nie wiedział, co kolejny dzień przyniesie dla kogokolwiek z nich.

Höelün otarła łzy i odwróciła się do druhów męża. Wszyscy z plemienia Wilków, mężczyźni i kobiety, zebrali się spragnieni wieści, kiedy tylko usłyszeli, że chan był ranny. Żałowała, że nie może im powiedzieć nic więcej, bo Jesügej wciąż nie zbudził się i rozpalony leżał w chłodnym cieniu jurty. Wszyscy czuwali i nikt nie ruszył się z miejsca, nawet kiedy słońce świeciło już wysoko nad głowami.

- Wciąż żyje - powiedziała. - Oczyściłam jego ranę, ale jeszcze się nie zbudził.

Ełuk skinął, a Höelün nie mogła nie zauważyć, jak inni wojownicy patrzyli na niego. Kacziun, Temüge i Kasar stali obok, bladzi i wstrząśnięci niemocą ojca. Jesügej wydawał się mniejszy pod pledem, a jego słabość napawała jego synów lękiem większym niż wszystko, co dotąd znali. Był taką siłą w ich życiu, że wprost nie wydawało się możliwe, aby miał się nigdy nie obudzić. Höelün bała się o nich wszystkich, chociaż nie powiedziała o tym na głos. Brak ochrony Jesügeja wzniecał błysk zachłanności w oczach innych wojowników. Zwłaszcza Ełuk jakby ukrywał uśmiech, kiedy się do niej zwracał, chociaż zachowywał pozory respektu.

- Powiem wam, kiedy się obudzi - powiedziała wojownikom Höelün i zanurkowała z powrotem do jurty, z dala od ich chłodnego zaciekawienia.

Jej córka Temülün leżała w kołysce, płacząc, żeby ją przewinięto. Jej głos jakby zlewał się z krzykiem, który Höelün ledwie tłumiała w duszy. Nie mogła jednak się poddać, nie teraz, kiedy potrzebowali jej synowie.

Temüge wszedł z nią do jurty, a jego małe usta drżały w rozpacz. Höelün objęła go i otarła mu łzy, chociaż sama nie mogła już ich powstrzymać. Łkali wspólnie przy boku Jesügeja, a Höelün wiedziała, że chan nie może ich usłyszeć.

- Co się stanie, jeśli on nie przeżyje - zapytał Temüge.

Nie zdążyła odpowiedzieć, bo drzwi otworzyły się ze skrzypieniem i stanął w nich Ełuk. Höelün poczuła gorący przyptyw gniewu, że przyuważono ją w takiej chwili i gwałtownie otarła oczy.

- Wysłałem resztę twoich synów z trzodami na step, żeby oderwali się od myślenia o ojcu - powiedział Ełuk.

Mogła to być tylko jej wyobraźnia, ale Höelün znowu zdało się, że przez chwilę dostrzega satysfakcję u Ełuka, kiedy patrzył na zastygłą postać Jesügeja.

- Byłeś silny, gdy plemię tego potrzebowało, Ełuku - powiedziała. - Mój mąż podziękuję ci, gdy się zbudzi.

Ełuk kiwnął głową w taki sposób, jakby ledwo słuchał słów Höelün, po czym przeszedł na drugą stronę jurty, gdzie leżał Jesügej. Wyciągnął rękę, położył ją na czole chana i gwizdnął cicho, czując wysoką gorączkę. Powąchał ranę i Höelün wiedziała, że wyczuł zgniliznę trawiącą ciało.

- Obmyłam ranę wrzącą gorzałką - powiedziała Höelün. - Mam zioła na obniżenie gorączki.

Czuła, że musi mówić choćby tylko po to, by przerwać ciszę. Ełuk wydawał się inny, odkąd wrócił Jesügej. Chodził hardo z innymi mężczyznami i patrzył na nią wyzywająco za każdym razem, kiedy się odzywała. Höelün czuła potrzebę wspomnienia o Jesügeju przy każdej okazji, tak jakby samo jego imię miało zatrzymać go na świecie. Inny rozwój wypadków był zbyt przerażający, żeby nad nim rozmyślać, i Höelün bała się patrzeć w przyszłość. Jesügej musiał żyć.

- Od narodzin związany jestem z jego rodem - powiedział cicho Ełuk. - Zawsze byłem wiemy.

- On to wie, Ełuku. Jestem pewna, że cię teraz słyszy i wie, że jesteś pierwszym spośród jego ludzi.

- Chyba że umrze - dopowiedział cicho Ełuk i odwrócił się do niej. - Jeśli tak się stanie, moje śluby będą skończone.

Höelün spojrzała na niego z dzikim przerażeniem. Dopóki te słowa pozostawały niewypowiedziane, świat toczył się dalej i Höelün potrafiła tłumić strach. Teraz bała się, że Ełuk znowu przemówi, bała się tego, co mógłby ważyć się powiedzieć.

- On przeżyje, Ełuku - odezwała się drżącym głosem, który zdradzał jej uczucia. - Gorączka zelżeje i mój mąż będzie wiedział, że byłeś mu wiemy, kiedy najbardziej tego potrzebował.

Coś jakby zmieniło się w wyrazie twarzy druha jej męża i zgasło jego harde spojrzenie.

- Tak. Wciąż jest za wcześnie - powiedział i spojrzał na bladą twarz i pierś Jesügeja. Opatrunki były nasiąknięte ciemną krwią, która pozostawiła czerwoną plamę na palcach Ełuka, kiedy ich dotknął. - Jestem wiemy plemieniu. Musi być silne. Muszę myśleć o Wilkach i dniach, które nadejdą - dodał jakby do siebie.

Höelün ledwo łapała oddech, kiedy całe jej życie waliło się w gruzy. Myślała o synach i nie mogła znieść zimnego wyrazu twarzy Ełuka. Jej dzieci były niewinne, a miały cierpieć.

Ełuk wyszedł bez słowa, jak gdyby nie obowiązywały go już nakazy kurtuazji. Może nawet rzeczywiście go nie obchodziły. Obnażył przed Höelün swoją żądzę władzy i nie można już było tego cofnąć. Nawet gdyby Jesügej wyskoczył zdrowy z łóżka, Höelün nie sądziła, aby wszystko było jak dawniej, teraz, gdy zbudziło się serce Ełuka. Usłyszała chlipanie Temügego i raz jeszcze otworzyła przed nim ramiona, a jego zdesperowany uścisk dodawał jej otuchy. Mała córeczka płakała w łóżeczku, pozostawiona sama sobie.

- Co z nami będzie - zapytał chłopiec przez łzy.

Höelün potrząsnęła głową i pogłaskała go. Nie знаła odpowiedzi.

Bekter zobaczył wojownika, który został na stepie, żeby poszukać miecza jego ojca. Szybko przemierzał koczowisko z głową spuszczoną w zamyśleniu. Bekter pozdrowił go, ale on najwyraźniej nie usłyszał i pospieszył dalej. Bekter ściągnął brwi, pobiegł za nim i chwycił go za łokieć.

- Dlaczego do mnie nie przyszedłeś, Ünegenie? - zapytał. - Znalazłeś miecz mojego ojca?

Zobaczył, że Ünegen patrzy mu przez ramię i kiedy się odwrócił, spostrzegł stojącego tam Ełuka.

Ünegen nie patrzył Bekterowi w oczy, gdy ten znów zwrócił się do niego.

- Nie, nie, nie znalazłem go. Przykro mi - powiedział, wyrwał rękaw z dłoni Bektera i oddalił się.

ROZDZIAŁ 9

W nikłym świetle księżycy Temudżyn wyteżał wzrok i patrzył przez wysoką trawę. Łatwo było wymknąć się z jurty Szołoja, którego mocz wciąż parował w koczowisku. Żona i córka Szołoja wciąż spały twardo, a stary dopiero co wyczłapał się na zewnątrz, żeby opróżnić pęcherz. Temudżyn wiedział, że miał mało czasu, zanim zauważą jego nieobecność, ale nie odważył się przejść koło zagród koni. Ołkunutowie strzegli swoich wierzchowców, a nawet gdyby tego nie robili, znalezienie własnego białonogiego kuca pośród wszystkich innych graniczyłoby z cudem. Ale nie miało to znaczenia. Temudżyn był na tropie.

Step lśnił srebrzyście, kiedy Temudżyn bezszelestnie brnął przez wysokie trawy, uważając, by nie potracić ani kamyczka, który zdradziłby go przed starszym chłopcem z przodu. Nie wiedział, dokąd zmierza Köke. I nie obchodziło go to. Kiedy zobaczył postać idącą między jurtami, przyjrzał się jej uważnie, stojąc w zupełnej ciszy. Po tygodniu u Ołkunutów dobrze znał chód Kökego. Gdy tylko go rozpoznał, zaczął skradać się za nim, a zmysły wyostrzyły mu się jak u myśliwego. Nie zaplanował zemsty na tę noc, ale nie chciał też zmarnować doskonałej szansy. Świat wokół pogrążony był we śnie i tylko dwie postacie w bladym mroku przemierzały morze traw.

Temudżyn przypatrywał się młodzieńcowi z wyteżoną uwagą. Szedł za nim ostrożnie, gotów paść na ziemię, gdyby Köke wyczuł jego obecność. W świetle księżycy wydawało mu się przez chwilę, że podąża za duchem, wabiony w miejsce, gdzie mroczne demony ukradną życie z jego ciała. Ojciec opowiadał mu historie o współplemieńcach, których znaleziono zamarzniętych na stepie z oczami wpatrzonymi w dal i pełnymi grozy, zastygłych w chwili, gdy nagły powiew zimy zatrzymał im serca. Temudżyn zadrżał na wspomnienie tych opowieści. Noc była chłodna, ale gniew rozgrzewał mu ciało. Temudżyn pielęgnował go i chronił w sobie w ciężkich dniach w plemienu, mimo obelg i ciosów. Dłonie świerzbiły go, by sięgnąć po nóż, ale pomyślał, że ma dość siły i pokona Kökego gołymi rękami. Serce łomotało mu w piersi, był ożywiony i przestraszony zarazem. Teraz dopiero czuł, że żyje, powtarzał sobie i szedł dalej. Zbudziła się w nim moc myśliwego.

Köke nie szedł bez celu. Temudżyn zauważył, że kieruje się on w stronę gęstszego mroku u stóp wzgórza. Jeśli byli tam jacykolwiek zwiadowcy Ołkunutów, na pewno spoglądali w daleki step, wypatrując wrogów. W gęstszym mroku nie zauważą chłopców, ale Temudżyn bał się, że straci tam trop. Przyspieszył, gdy Köke przekroczył ciemną linię i zniknął w ciemnościach. Oddech Temudżyna był teraz szybszy, ale chłopiec poruszał się ostrożnie, tak jak go uczono, a jedynym dźwiękiem był tylko miękki odgłos kroków na trawie. Kiedy tylko sam przekroczył granicę cienia, zobaczył stos luźnych kamieni przy ścieżce - kopiec ku czci duchów. Bez namysłu podniósł jeden z kamieni wielkości pięści i ważył go w rękę z ponurym uśmiechem.

Temudżyn zamrugnął oczami, kiedy pogrążył się w zupełnych ciemnościach i wyteżał wzrok w poszukiwaniu jakiegoś śladu Kökego. Nie mógł przecież nagle natknąć się na niego albo - co gorsza - na grupę ołkunuckich chłopców z bukłakiem ukradzionego ajraku. Jeszcze bardziej niepokoiła go myśl, że może Köke umyślnie zwabił go na kolejne bicie. Temudżyn potrząsnął głową, żeby odrzucić te myśli. Jego ścieżka była ustalona i teraz nie było już odwrotu.

Usłyszał przyciszone głosy przez sobą i zastygł w bezruchu, wysilając wzrok w

poszukiwaniu ich źródła. Księżyc zasłonięty był przez wzgórze i wokół panowały niemal nieprzeniknione ciemności. Pot wystąpił na czoło Temudżyna, kiedy chłopiec zbliżał się do celu. Słyszał ściszy śmiech Kökego, któremu zawtórował inny głos, wyższy i bardziej melodyjny. Temudżyn uśmiechnął się do siebie. Köke znalazł sobie dziewczynę, gotową ryzykować gniew rodziców. Może będą się chędożyć, a Temudżyn uderzy z zaskoczenia. Walczył z pragnieniem, żeby wkroczyć i zaatakować, ale zdecydował się poczekać, aż Köke będzie wracał do koczowiska. Bitwy można wygrywać przez podchody, nie tylko przez szybkość i siłę. Temudżyn nie wiedział, gdzie dokładnie leżała para, ale byli dość blisko, żeby dało się w końcu usłyszeć rytmiczne sapanie Kökego. Temudżyn uśmiechnął się na ten odgłos i oparł się o skałę, cierpliwie czekając na okazję do ataku.

Nie trwało to długo. Cień góry rzucany przez księżyc wydłużył się i przesunął o szerokość dłoni, a Temudżyn usłyszał znowu odgłosy rozmowy i przyciszony śmiech dziewczyny. Zastanawiał się, która z młodych kobiet decydowała się na nocne schadzki, i przywoływał w myślach twarze tych, które widział przy spilśnianiu wełny. Dwie z nich były powabne i opalone. Dziwnie rozpraszały Temudżyna, gdy patrzyły na niego, ale przypuszczał, że to samo czują wszyscy mężczyźni w towarzystwie ładnych kobiet. Żałował, że nie czuje tego samego przy Börte, która wydawała się w jego obecności tylko rozdrażniona. Gdyby jednak była długonoga i wiotka, Temudżyn mógłby się nawet trochę cieszyć z wyboru ojca.

Nagle usłyszał kroki i wstrzymał oddech. Ktoś szedł ścieżką i Temudżyn przywarł do skały, nie chcąc, żeby go zauważono. Za późno zdał sobie sprawę, że powinien skryć się w wysokich burzanach. Jeśli szli oboje, trzeba będzie walczyć z nimi naraz albo pozwolić im przejść. Temudżyn czuł, jak przyspiesza mu oddech, a krew dudni mu w skroniach. Powietrze niemal rozsadzało mu płuca, gdy jego ciało coraz bardziej domagało się tlenu w miarę zbliżania się niewidocznej postaci.

Temudżyn patrzył z dręczącym go niepokojem, jak ciemny kształt mija go w odległości zaledwie kilku metrów. Był niemal pewien, że to nie Köke. Kroki były zbyt lekkie, a postać zbyt mała, żeby mógł to być jego wróg. Serce waliło Temudżynowi jak młotem i kiedy dziewczęcy cień przeszedł dalej, z ulgą wypuścił powietrze. Przez chwilę czuł się oszołomiony napięciem, ale po chwili zwrócił się w stronę, skąd wcześniej słyszał Kökego. Wyszedł na ścieżkę i czekał.

Usłyszał kolejne kroki i pozwolił, żeby jego przeciwnik podszedł bliżej, po czym odezwał się, czerpiąc satysfakcję z przestachu, jaki wywoła jego głos.

- Köke! - szepnął.

Ruchomy cień aż podskoczył w przerażeniu.

- Kto to? - syknął Köke, głosem przerywanym ze strachu i poczucia winy.

Temudżyn nie pozwolił przeciwnikowi otrząsnąć się z zaskoczenia i zamachnął się kamieniem, który trzymał w pięści. Nie wycelował dobrze w ciemnościach, ale Köke zachwiał się po rzucie. Temudżyn też poczuł cios, prawdopodobnie łokciem, wymierzony w brzuch, i zaczął bić w dzikiej furii, której wreszcie nie musiał już tłumić. Nie widział swojego wroga w ciemnościach, ale tylko dodawało mu to sił. Jego pięści raz po raz trafiały w cel na ślepo, dopóki Köke nie upadł, a on nie usiadł mu na piersi.

Zgubił kamień w milczącym starciu i macał teraz wkoło, przytrzymując ciemną postać na ziemi. Köke próbował wołać o pomoc, ale Temudżyn zdzielił go dwa razy w twarz i dalej szukał kamienia. Jego palce znalazły go w końcu i owinęły się wokół niego. Temudżyn czuł, jak wzbiera w nim gniew, kiedy unosił skałę, gotów zadać śmiertelny cios swojemu

dręczycielowi.

- Temudżynie! - odezwał się głos w ciemnościach.

Obaj chłopcy zamarli na chwilę, jednak Köke jęknął na dźwięk tego imienia. Temudżyn zareagował instynktownie, stoczył się ze swojego wroga i skoczył ku nowemu zagrożeniu. Zderzył się z drobną postacią i cisnął ją na ziemię, słysząc przy tym znajomy krzyk. Z tyłu Köke podniósł się i uciekł w popłochu, potracając w biegu kamyki na ścieżce.

Temudżyn trzymał postać za ramiona i czuł pod palcami jej żylastą chudość. Zmełł w ustach przekleństwo.

- Börte? - szepnął, choć znał już odpowiedź. - Co ty tu robisz?

- Szłam za tobą - powiedziała.

Temudżynowi wydawało się, że jej oczy błysnęły, odbijając jakiś nikły promień, który przemknął się mimo zasłony wzgórza. Börte oddychała ciężko z powodu strachu lub napięcia, a Temudżyn zastanawiał się, w jaki sposób udało jej się niepostrzeżenie iść za nim całą drogę.

- Przez ciebie uciekł - powiedział.

Przez chwilę dalej przyciskał ją do ziemi, wściekły, że tak wiele przez nią stracił. Kiedy Köke opowie o zajściu reszcie Ołkunutów, Temudżyn dostanie cięgi albo będzie musiał wrócić do domu w niesławie. Jedno słowo zmieniło jego przyszłość. Zaklął i uwolnił Börte, która po chwili usiadła i zaczęła rozmasowywać obolałą rękę. Mimo mroku Temudżyn czuł na sobie jej oskarżycielskie spojrzenie i w odpowiedzi jak najdalej wyrzucił kamień, który upadł gdzieś z cichym odgłosem.

- Dlaczego mnie śledziłaś? - zapytał bardziej obojętnie.

Chciał ją znowu usłyszeć. Zdał sobie sprawę, że w ciemnościach głos jej był ciepły i melodyjny, jakby słodszy bez świdrującego spojrzenia jej oczu.

- Myślałam, że uciekasz - odpowiedziała.

Wstała, a on podniósł się razem z nią, bo nie chciał tracić jej bliskości, chociaż nie umiał dokładnie wyjaśnić dlaczego.

- Myślałem, że ucieszyłoby cię, gdybym uciekł - powiedział.

- Ja... nie wiem. Nie odezwałeś się do mnie ani jednym miłym słowem, odkąd zjawiłeś się w pleminiu. Dlaczego miałabym chcieć, żebyś został?

Temudżyn zamrugał oczami. W ciągu tych kilku chwil powiedzieli sobie więcej, niż przez wszystkie dni przedtem. Nie chciał, żeby to się teraz skończyło.

- Dlaczego mnie powstrzymałaś? Köke pobiegnie teraz do Encha i twojego ojca. Kiedy zobaczą, że nas nie ma, zaczną nas szukać. Nie będzie lekko, kiedy nas znajdą.

- Köke to głupiec. Ale źle byłoby go zabijać.

Sięgnął w ciemność i natrafił na jej rękę. Dotyk sprawiał przyjemność im obojgu, a Börte mówiła dalej, żeby ukryć zmieszanie.

- Twój brat pobił go prawie na śmierć, Temudżynie. Trzymał go i kopał, aż Köke zaczął płakać jak dziecko. Boi się ciebie, więc cię nienawidzi. Źle byłoby go znowu krzywdzić. To tak, jakby pobić psa, który opróżnił już pęcherz w jurcie. Duch już jest w nim złamany.

Temudżyn powoli wciągnął powietrze, po czym wypuścił je z drżeniem.

- Nie wiedziałem - powiedział, chociaż jej słowa sprawiły, że wiele spraw ułożyło mu się w głowie jak układanka ze wspomnień.

Köke pastwił się nad nim, ale Temudżyn zdał sobie nagle sprawę, że w jego spojrzeniu był zawsze jakby strach. Przez chwilę żałował, że nie zadał ciosu kamieniem, ale Börte położyła mu dłoń na policzku.

- Jesteś... dziwny, Temudżynie - powiedziała.

Zanim zdążył odpowiedzieć, oddaliła się od niego i rozplynęła w ciemnościach.

- Zaczekaj! - zawołał za nią. - Możemy przecież wrócić razem.

- Zbiją nas oboje - powiedziała. - Może zamiast tego ucieknę. Może w ogóle już do nich nie wrócę.

Temudżyn zdał sobie sprawę, że nie zniesie, żeby stary Szołoj ją uderzył i zastanawiał się, co powiedziałby jego ojciec, gdyby sprowadził Börte wcześniej do plemienia Wilków.

- To chodź ze mną. Weźmiemy mojego konia i pojedziemy do domu.

Nasłuchiwał odpowiedzi, ale nie nadeszła.

- Börte? - zawołał.

Puścił się biegiem i po chwili z bijącym sercem z powrotem znalazł się na nikło oświetlonym stepie. Zobaczył pędzącą już daleko postać Börte i przyspieszył kroku tak, że teraz niemal frunął poprzez wysokie trawy. Przypomniał sobie nagle, jak przeganiano go kiedyś po zboczach wzgórz z wodą w ustach, którą musiał wypluć na koniec biegu, żeby pokazać, że dobrze oddychał przez nos. Biegł lekko i bez wysiłku, roztrzásając w myślach nadchodzący dzień. Nie wiedział, co może zrobić, ale był pewien, że zyskał coś cennego tej nocy. Cokolwiek się stanie, nie dopuści do tego, żeby znowu skrzywdzono Börte. Usłyszał w biegu, jak zwiadowcy zadęli w róg na wzgórzach wokoło, ostrzegając wojowników w jurtach.

*

Kiedy Temudżyn pojawił się w koczowisku, panował tam chaos. Zaczynało już świtać, ale zapalone mimo to pochodnie rzucały wokół rozdygotane, żółte światło i zdradzały ruch biegających postaci. Na obrzeżach obozu zdenerwowani wojownicy, celując do niego z łuku zatrzymywali Temudżyna dwa razy. Jeźdźcy siedzieli już w siodłach i tłoczyli się między jurtami, wzbijając kurz i siejąc zamęt. Temudżyn nie dostrzegał w tym żadnego porządku, żadnego centralnego dowództwa. Gdyby to było plemię Wilków, jego ojciec górowałby nad wojownikami i rozsyłałby jeźdźców do ochrony trzód przed podjazdem. Temudżyn po raz pierwszy zobaczył to, co ojciec. Ołkunutowie mieli wielu wytrawnych łuczników i myśliwych, ale nie potrafili zorganizować się do wojny.

Zobaczył, jak Ench kuśtyka przez koczowisko i złapał go za rękę. Z okrzykiem gniewu Ołkunut uwolnił się szarpnięciem, po czym sam chwycił Temudżyna.

- Jest tutaj! - krzyknął.

Temudżyn zaatakował instynktownie i uwolnił się, przewracając wuja na plecy. Kątem oka dostrzegł nadbiegających wojowników i zanim zdążył uciec, trzymały go już silne ręce i praktycznie niosły przez udeptaną ziemię obozu. Temudżyn zawisł wtedy bezwładnie, mając nadzieję, że wojownicy na moment zwolnią uścisk, a wtedy on będzie mógł wyrwać się na wolność. Była to płonna nadzieja, ale Temudżyn nie rozumiał, co się działo, a nie znał mężczyzn, którzy go trzymali. Gdyby udało mu się wsiąść na konia, miałby szansę uciec od każdej kary, która go czekała. Przeszli przez poletko zalane światłem pochodni i Temudżyn przełknął ślinę, gdy zobaczył, że nieśli go druhowie samego chana, ponurzy na twarzach i odziani w pancerze z wygotowanej skóry.

Temudżyn widział wcześniej ich pana, Sansara, tylko z oddali. Wbrew sobie zaczął się szarpać, ale jeden z wojowników zdzielił go tak mocno, że chłopiec aż zobaczył gwiazdy. Ołkunutowie bez ceregieli rzucili go na ziemię przed wejściem do jurty ich chana. Zanim zdążył podnieść się na nogi, jeden z nich złapał go i nie cackając się wepchnął przez otwór wejściowy tak, że Temudżyn wylądował na polerowanej posadzce z żółtego drewna, zalanej

złotym światłem pochodni.

Na zewnątrz wciąż rozlegało się rżenie koni i krzyki wojowników, a Temudżyn podniósł się na kolana i rozejrzał po jurcie. Panowało pełne napięcia milczenie. Oprócz samego chana stało tam trzech jego druhów strzegących go z dobytymi mieczami. Temudżyn rozejrzał się po nieznanym twarzach i dostrzegł na nich gniew, a także - ku jego zaskoczeniu - więcej niż odrobinę strachu. Nie odezwałyby się, gdyby nie to, że nagle dostrzegł znajomą twarz i krzyknął w zdumieniu.

- Basan! Co się stało? - zapytał i podniósł się na nogi.

Obecność ojcowskiego druha przyprawiła go o skurcz strachu w żołądku.

Nikt nie odpowiedział, a Basan odwrócił wzrok ze wstydu. Temudżyn opamiętał się i zarumienił. Skłonił się chanowi Ołkunutow.

- Mój chanie - powiedział oficjalnie.

Sansar miał drobną posturę w porównaniu z potężnym Ełukiem czy Jesügejem. Stał z rękami splecionymi z tyłu i mieczem u pasa. Miał spokojny wyraz twarzy, a Temudżyn pocił się pod jego przenikliwym spojrzeniem. W końcu Sansar odezwał się przerywanym i surowym głosem.

- Twój ojciec najadłby się wstydu, gdyby zobaczył cię takiego z rozdziawionymi ustami - powiedział. - Panuj nad sobą, dziecko.

Temudżyn zrobił, jak mu kazano, opanowując oddech i prostując plecy. Policzył w myślach do dwunastu, po czym raz jeszcze podniósł wzrok.

- Jestem gotów, mój panie.

Sansar skinął, nie przestając lustrować go wzrokiem.

- Twój ojciec został poważnie ranny, dziecko. Może umrzeć.

Temudżyn zbladł lekko, ale jego twarz pozostała nieprzenikniona.

Wyczuł złowieszczą nutkę w głosie chana Ołkunutow i postanowił nagle, że nie okaże przy nim więcej słabości. Sansar milczał przez chwilę, jakby wyczekując odpowiedzi. Kiedy nie nadeszła, odezwał się znowu.

- Plemię Ołkunutow łączy się z tobą w niepokoju. Każę przetrząsnąć stepy w poszukiwaniu wędrowców, którzy ważyli się zaatakować chana. Słono za to zapłacą.

Lekki ton zadawał kłam współczuciu. Temudżyn pozwolił sobie tylko na krótkie skinięcie, chociaż huczało mu w głowie i chciało mu się wykrzyknąć pytania do tego starego węża, który ledwo skrywał przyjemność, jaką sprawiał mu jego niepokój.

- Wygląda na to, że nie spędzisz całego roku w naszym plemienu, dziecko. Nastały niebezpieczne czasy, kiedy mówi się rzeczy, które powinny pozostać niewypowiedziane. Najlepiej będzie, jeśli wrócisz, by opłakać ojca.

Temudżyn zazgrzytał zębami. Nie umiał już dłużej zachować milczenia.

- Więc on umiera? - zapytał.

Sansar z sykiem wciągnął powietrze, ale Temudżyn zignorował go i zwrócił się do ojcowskiego druha.

- Odpowiadaj, kiedy pytam, Basanie! - zażądał.

Wojownik spojrział na niego i lekko uniósł głowę z widocznym napięciem. Łamiąc zwyczaj w jurcie obcego chana, Temudżyn ryzykował życie ich obydwu, nawet po takich nowinach. Oczywiście Basana zdradzały, że wiedział o niebezpieczeństwie, ale on też był Wilkiem.

- Odniósł poważne rany - odpowiedział spokojnym głosem. - Jest silny i zdołał żywy dotrzeć do plemienu, ale... minęły już trzy dni. Nie wiem.

- Już prawie świta - stwierdził Temudżyn. Skierował wzrok na chana Ołkunutów i skłonił się raz jeszcze. - Jest, jak mówisz, panie. Muszę wracać, żeby prowadzić mój lud.

Sansar aż zeszywniał na te słowa i patrzył na chłopca roziskrzonymi oczami.

- Jedź z moim błogosławieństwem, Temudżynie. Zostawiasz tu swoich sprzymierzeńców.

- Rozumiem - odpowiedział Temudżyn. - Składam hołd Ołkunutom. Za twoim pozwoleniem, udam się teraz po mojego konia. Mam przed sobą daleką drogę.

Chan podszedł i ku zaskoczeniu Temudżyna objął go w oficjalnym uścisku.

- Niech duchy strzegą twoich kroków - powiedział.

Temudżyn skłonił się po raz ostatni i wyszedł przez niskie drzwi wraz z Basanem.

Kiedy już ich nie było, chan Ołkunutów odwrócił się do swojego najbardziej zaufanego druha, nerwowo strzelając palcami.

- To miała być czysta robota! - warknął. - A zamiast tego rzucono kości i nie wiemy, gdzie upadną. - Wyciągnął bukłak ajraku ze skrzyni i nalał sobie ciekłą strużkę palącego napoju do gardła, po czym ze złością otarł wargi.

- Powinienem był wiedzieć, że Tatarzy nie potrafią nawet nikogo zamordować, nie robiąc przy tym bałaganu. Wydałem go im. Jak oni mogli pozwolić mu przeżyć? Gdyby po prostu zniknął, nie byłoby śladu naszego zaangażowania. A teraz, jeśli przeżyje, będzie się zastanawiał, jak Tatarzy go znaleźli. Krew przeleje się jeszcze przed zimą. I co ja mam teraz zrobić?!

Twarze jego druhów były ponure i zatroskane, kiedy się po nich rozejrzał. Skrzywił się. - Idźcie i uciszcie obóz. Nie ma tu żadnych wrogów oprócz tych, których sami tu zaprosiliśmy. Módlcie się, żeby chan Wilków już nie żył.

*

Temudżyn szedł jak w transie przez koczowisko i usilnie starał się zachować spokój. Nie mogło być prawdą, co usłyszał. Jego ojciec był urodzonym wojownikiem i nawet dwóch ludzi w obozie nie dałoby mu rady mieczem. Wiedział, że powinien wypytać Basana o szczegóły, ale bał się je usłyszeć. Dopóki Basan milczał, wciąż mogło to być kłamstwo albo pomyłka. Pomyślał o matce i braciach i nagle się zatrzymał tak, że Basan prawie wpadł na niego. Temudżyn nie był gotowy, żeby stawić czoła Bekterowi, jeśli to wszystko było prawdą.

- Gdzie twój koń? - zapytał ojcowskiego druha.

- Uwiązany na północnym skraju koczowiska - brzmiała odpowiedź. - Przykro mi, że przynoszę taką nowinę...

- Chodź najpierw ze mną. Muszę coś zrobić, zanim odjadę. Wykonuj moje rozkazy.

Nie zczekał na odpowiedź i może właśnie dlatego Basan skinął i posłuchał młodego syna Jesügeja.

Temudżyn szedł wśród Ołkunutów, którzy biegali wkoło, już nieco uspokojeni po niedawnym chaosie. Dźwięki rogów rozległy się na przyjazd Basana, ale Ołkunutowie wpadli w panikę. Temudżyn zaśmiał się w duchu i zastanawiał się, czy przyjdzie mu kiedyś poprowadzić oddział wojenny na te same jurty. Świt nadszedł wreszcie i kiedy Temudżyn dotarł na skraj koczowiska, zobaczył przygarbioną postać Szołoja, stojącego u wejścia jurty z toporem do drewna. Temudżyn nie wahał się i podszedł na odległość ciosu bronią.

- Czy Börte jest tutaj? - zapytał.

Szołoj zmrużył oczy, widząc zmianę w manierach chłopca, niewątpliwie z powodu obecności wojownika, który stał za nim tak ponuro. Szołoj hardo uniósł głowę.

- Jeszcze nie, chłopcze. Myślałem, że może będzie z tobą. Twój brat próbował tego samego

z dziewczyną, którą mu dali.

Temudżyn zawahał się, tracąc fason.

- Co?

- Wcześniej wziął swoją dziewczynę, jak kozioł chędożący kozę. Nie chwalił się? Jeśli zrobiłeś to samo, obetnę ci ręce, chłopcze, i nie myśl, że przestraszy mnie żołnierz twojego tatusia. Zabijałem już gołymi rękami. Z siekierą poradzę sobie z wami obydwoma.

Temudżyn usłyszał szcęk stali, kiedy Basan dobył miecza. Zanim jednak zadał pierwszy cios, Temudżyn położył rękę na ramieniu wojownika i powstrzymał go.

- Nie skrzywdziłem jej. Przerwała mi walkę z Kökem. To wszystko.

Szołoj zmarszczył czoło.

- Kazałem jej nie opuszczać namiotu, chłopcze. Tylko to się liczy.

Temudżyn podszedł bliżej do Szołoja.

- Dowiedziałem się dzisiaj więcej, niż chciałem. Cokolwiek z tego jest prawdą, nie jestem taki jak mój brat. Wrócę po twoją córkę, kiedy nadejdzie jej pierwszy miesiąc krwawienia. Wezmę ją za żonę. Od tej pory nie podniesiesz na nią ręki. Będziesz miał we mnie wroga, jeśli znajdę na niej choć zadrapanie, stary człowieku. A nie chcesz mieć mnie za wroga. Jeśli dasz mi powód, Ołkunutowie będą cierpieć.

Szołoj słuchał z kwaśną miną, wykrzywając wargi. Temudżyn odczekał cierpliwie, aż Ołkunut to przemyśli.

- Potrzebny jest jej silny mężczyzna, chłopcze, żeby nad nią zapanował.

- Zapamiętaj to - powiedział Temudżyn.

Szołoj przytaknął i patrzył za odchodzącymi Wilkami, płoszącymi po drodze dzieci widokiem obnażonego miecza. Położył sobie topór na ramieniu, podciągnął spodnie i wciągnął powietrze w nozdrza.

- Wiem, że się tu gdzieś czaisz, dziewczyno - powiedział do pustki wokół siebie.

Nie było odpowiedzi, ale cisza stała się jakby bardziej napięta i Szołoj uśmiechnął się do siebie, odsłaniając bezzębne dziąsła.

- Chyba znalazłaś sobie dobrego męża, jeśli przeżyje. Ale nie liczyłbym na to.

ROZDZIAŁ 10

Temudżyn usłyszał rozbrzmiewające rogi Wilków, kiedy wraz z Basanem pojawili się w zasięgu wzroku zwiadowców na tle zachodzącego słońca. Dwunastu wojowników galopowało im naprzeciw w doskonałym szyku, najlepsi z doświadczonych żołnierzy, umiejący radzić sobie z wrogim podjazdem. Temudżyn nie mógł się powstrzymać, żeby nie porównywać błyskawicznej reakcji Wilków z paniką, jaką Basan wzbudził u Ołkunutów. Niechętnie wstrzymał wierzchowca, by zanim zostanie rozpoznany biegł stępa: tylko głupiec by tego nie zrobił - inaczej ryzykował śmierć.

Spojrzał na Basana i zauważył, że na jego twarzy niepokój zaczął wypierać zmęczenie. Temudżyn nalegał, aby pokonać drogę tylko w dwa dni. Obaj jechali bez snu o samej wodzie i małych porcjach kwaśnego jogurtu. Czas, który spędzili razem, nie stał się początkiem przyjaźni i w miarę, jak zbliżali się do znajomych terytoriów, Temudżyn wyczuwał dystans narastający między nimi. Wojownik niechętnie się odzywał, a jego zachowanie niepokoiło Temudżyna bardziej, niż chciał to przyznać. Pocieszał się myślą, że harban galopujących ku nim wojowników nie był przecież oddziałem wrogów. Ponieważ nie miał wpływu na ich postawę, więc usiadł tylko wyprostowany w siodle, tak jak oczekiwaby tego jego ojciec.

Kiedy wojownicy dojechali już wystarczająco blisko, Basan uniósł prawą rękę, pokazując, że jedzie bez broni. Temudżyn rozpoznał Ełuka w nadjeżdżającym oddziale i zauważył od razu, że inni wojownicy słuchali jego rozkazów. To on dał sygnał do zatrzymania i coś w jego pewności siebie sprawiło, że Temudżynowi niemal stanęły w oczach łzy upokorzenia. Wracał oto do domu, gdzie wszystko się zmieniło. Wprawdzie zdołał zapanować nad sobą w obecności wojowników, ale oczy miał wilgotne.

Ełuk władczy gestem chwycił wodze Temudżyna. Pozostali wojownicy skupili się wokół i kiedy wszyscy ruszyli w stronę obozu kłusem, kuc Temudżyna również przyspieszył bez komendy. Choć nie miało to żadnego znaczenia, Temudżyn, urażony, miał ochotę wyrwać Ełukowi wodze w przyпіływie dziecięcej złości. Nie chciał, żeby prowadzono go do plemienia ojca jak małego chłopca! Najwyraźniej emocje wzięły w nim górę.

- Twój ojciec wciąż żyje - powiedział Ełuk. - Jego ranę zatruto i od wielu dni leży w malignie.

- Obudził się więc? - zapytał Temudżyn z nieśmiałą nadzieją w głosie.

Ełuk wzruszył ramionami.

- Czasami krzyczy i walczy z wrogami, których tylko on dostrzega. Jest silny, ale nie przyjmuje pokarmów, a ciało wytapia się z niego jak wosk. Przygotuj się. Nie sądzę, aby długo pożył.

Temudżyn spuścił głowę na piersi, przytłoczony wiadomością. Ełuk odwrócił wzrok, nie chcąc zawstydząć go w chwili słabości. Nagle Temudżyn wyciągnął rękę i wyszarpnął wodze z uścisku Ełuka.

- Kto to zrobił? Czy mój ojciec coś powiedział?

- Jeszcze nie, chociaż twoja matka pyta go o to za każdym razem, kiedy się budzi. Nie poznaje jej.

Ełuk westchnął, a Temudżyn zrozumiał, że przeżywa on taki sam niepokój. Plemię Wilków było zapewne oszołomione i przestraszone, gdy Jesügej bredził w gorączce bliski śmierci. Na

pewno wypatrywało teraz silnego przywódcy.

- A co z moim bratem, Bekterem? - spytał Temudżyn.

Ełuk zmarszczył czoło tak, jakby odgadywał tok myśli chłopca.

- Pojechał z wojownikami przeszukać stepy. - Zawahał się, zastanawiając się, jak wiele może powiedzieć chłopcu. - Nie powinienes mieć nadziei, że znajdziesz teraz wrogów ojca. Ci, którzy przeżyli, na pewno dawno już się rozjechali. Nie będą czekać, aż ich znajdziemy.

Twarz Ełuka była nieprzenikniona, ale Temudżyn wyczuł u niego ukryty gniew. Może nie podobał mu się wpływ, jaki Bekter miał na wojowników. Trzeba było przynajmniej spróbować poszukiwań i wybór Bektera na dowódcę był oczywisty. Jednak Ełuk najwyraźniej nie chciał, aby za jego plecami zawiązywano nowe przymierza. Temudżyn pomyślał, że dość dobrze odczytuje rozumowanie ojcowskiego druha, mimo że starał się ukryć swoje myśli. Tylko głupiec nie myślałby o następcy chana w takiej chwili. Temudżyn niemal na pewno był zbyt młody, a Bekter właśnie wchodził w wiek męski. Przy wsparciu Ełuka każdy z nich mógł rządzić Wilkami, ale istniała też inna oczywista i przerażająca możliwość. Temudżyn zmusił się do uśmiechu w obliczu człowieka, który był dla niego większym zagrożeniem niż którykolwiek z Ołkunutów.

- Kochałeś mojego ojca tak samo jak ja, Ełuku. Czego chciałby dla Wilków, kiedy umrze? Czy chciałby, żebyś to ty ich prowadził?

Ełuk zeszywniał, jakby go piorun strzelił, i z morderczym wyrazem twarzy odwrócił się do chłopca u swojego boku. Twarz Temudżyna nawet nie drgnęła. Czuł, że zachował się niemal lekceważąco, ale w tej chwili nie obchodziło go, czy Ełuk go zabije. Cokolwiek miała przynieść przyszłość, mógł patrzeć mu prosto w oczy bez cienia strachu.

- Byłem wierny całe życie - powiedział Ełuk. - Ale dni Jesügeja są policzone. Nasi wrogowie zaczną szukać u nas słabości, gdy ta wieść się rozniesie. Tatarzy jeszcze tej zimy najadą nasze trzody, może nawet zrobią to Ołkunutowie albo Kereici - choćby po to, by sprawdzić, czy jeszcze potrafimy bronić tego, co nasze.

Nerwowo zacisnął dłonie na wodzach i odwrócił się od Temudżyna, nie mogąc znieść chłodnego spojrzenia jego jasnych oczu.

- Wiesz, czego chciałby mój ojciec, Ełuku. Wiesz, co musisz zrobić.

- Nie, nie wiem, chłopcze. Ale wiem, co myślisz, i powiadam ci, jesteś za młody, żeby prowadzić plemię.

Temudżyn przełknął gorycz i dumę.

- Więc Bekter. Nie zdradzaj naszego ojca, Ełuku. Całe życie traktował cię jak brata. Oddaj mu teraz cześć, pomagając jego synom.

Ku zdumieniu Temudżyna Ełuk popędził kuca i pojechał na przód grupy, czerwony ze złości. Temudżyn nie miał odwagi rozejrzeć się po mężczyznach wokół siebie. Nie chciał patrzeć na ich twarze, kiedy walił się jego świat. Nie widział ani pytających spojrzeń, które wymieniali między sobą, ani ich smutku.

*

W obozie Wilków wciąż panowała cisza, kiedy Temudżyn zsiadł z konia przed jurta swojego ojca i wziął głęboki wdech. Miał wrażenie, jakby nie było go tu przez całe lata. Ostatnim razem, kiedy stał w tym miejscu, jego ojciec tryskał życiem i siłą, co było oczywistością dla każdego w plemienu. Było niemal nie do pomyślenia, że tamten świat przestał istnieć, i nie można go przywrócić.

Temudżyn stał sztywny na otwartej przestrzeni i rozglądał się po obozowisku. W jurtach

mieszkały rodziny, które znał. Potrafił wymienić imię każdego mężczyzny, każdej kobiety i każdego dziecka, wiedział, jaki wzór jest na ich drzwiach. To byli jego ludzie i Temudżyn zawsze czuł, że jego miejsce jest wśród nich. Niepewność była nieznanym mu uczuciem i miał wrażenie, jakby ktoś wywiercił mu głęboką dziurę w piersi. Musiał zebrać całą odwagę, żeby wejść do wnętrza jurty. Może stałby tak jeszcze dłużej, gdyby wokół, w miarę, jak gasły promienie słońca, nie zaczęli gromadzić się ludzie. Temudżyn nie potrafił znieść ich współczucia, skrzywił się i przeszedł przez niskie drzwi, zamykając je za sobą, żeby odgradzić się od przenikliwych spojrzeń.

Otworu dymnego nad głową nie zakryto jeszcze na noc wojłokiem, ale żar i odór w jurcie przyprawiały Temudżyna o mdłości. Zobaczył bladą twarz matki, kiedy odwróciła się do niego i nie mógł się już dłużej opanowywać - podbiegł do niej i padł w jej objęcia. Łzy płynęły mu niepowstrzymanie, a matka tuliła go w milczeniu, gdy on patrzył na uwiędłe ciało ojca.

Jesügej drżał jak koń odganiający muchy. Brzuch miał obwiązany opatrunkami sztywnymi jak trzcina od zakrzepłej wydzieliny. Temudżyn zobaczył strużkę krwi i ropy sunącej jak robak przez skórę na pośladku. Włosy ojca uczesano i nasmarowano olejem, ale wydawały się cienkie, a w lokach sięgających na policzki było więcej szarości, niż zapamiętał to Temudżyn. Żebra wyraźnie rysowały się pod skórą. Twarz była zapadnięta, cała w czarnych bruzdach i przypominała raczej trupią maskę człowieka, którego znał Temudżyn.

- Powinieneś powiedzieć coś do niego, Temudżynie - powiedziała jego matka. Kiedy podniósł głowę, żeby odpowiedzieć, zobaczył, że jej oczy są czerwone tak jak i jego. - Stale ciebie woła, a ja nie wiedziałam, czy zdążysz na czas.

Skinał i wytarł rękawem srebrny ślad śluzu spod nosa, patrząc na człowieka, o którym dotąd sądził, że będzie żył wiecznie. Gorączka strawiła mięśnie i trudno było uwierzyć, że to ten sam potężny wojownik, który tak pewnie jechał do obozu Ołkunutów. Temudżyn długo spoglądał na niego, nie mogąc wydobyć z siebie ani słowa. Ledwo zauważył, jak matka zmoczyła kawałek materiału w wiadrze zimnej wody i włożyła mu go do ręki. Pokierowała jego palce na twarz ojca i razem wytarli mu powieki i usta. Temudżyn oddychał płytko, walcząc z mdłościami. Odór chorego ciała był odpychający, ale Höelün nie okazywała obrzydzenia, a on starał się być silny dla niej. Jesügej poruszył się pod dotykiem, otworzył oczy i spojrzał prosto na nich.

- To Temudżyn, mężu. Bezpiecznie wrócił do domu - powiedziała miękko Höelün.

Oczy pozostały puste, a Temudżyn poczuł, że napływają mu świeże łzy.

- Nie chcę, żebyś umierał - powiedział do ojca i zaczął szlochać spazmatycznie. - Nie wiem, co robić.

Chan Wilków wziął gwałtowny wdech, wydawało się, że żebra przebiją skórę na piersiach. Temudżyn pochylił się nad ojcem i wziął go za rękę. Skóra była rozpalona i sucha. Chan ścisnął dłoń syna. Temudżyn zobaczył, że usta ojca poruszyły się, i przyłożył ucho, żeby usłyszeć, co mówi.

- Jestem w domu, ojcze - powiedział.

Uścisk ojca zacieśnił się aż do bólu. Temudżyn położył mu drugą rękę na dłoni i przez chwilę patrzyli na siebie, a chłopiec miał wrażenie, że ojciec go poznaje.

- Tatarzy - szepnął Jesügej.

Jego gardło jakby zacisnęło się po tych słowach, po czym wstrzymane powietrze nagle opuściło płuca w potężnym westchnieniu, zakończonym suchym szcęknięciem. Temudżyn czekał na kolejny oddech, a kiedy nie nadszedł, zdał sobie sprawę, że ręka, którą trzymał, stała

się bezwładna. Ścisnął ją mocniej w przypiływie rozpaczy, gorąco pragnąc usłyszeć kolejny oddech.

- Nie zostawiaj nas tutaj - błagał, choć wiedział, że ojciec go już nie słyszy.

Höelün odchrząknęła z tyłu, ale Temudżyn nie mógł oderwać się od zapadniętej twarzy człowieka, którego uwielbiał. Czy mu o tym powiedział? Nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek mu mówił i bał się teraz, że ojciec odejdzie do duchów, nie wiedząc, jak wiele znaczył dla swoich synów.

- Wszystko, czym jestem, pochodzi od ciebie - szepnął. - Jestem twoim synem i niczym więcej. Słyszysz mnie?

Poczuł na sobie rękę matki.

- Czekał na ciebie, Temudżynie. Teraz odszedł - powiedziała.

Nie mógł na nią patrzeć.

- Myślisz, że wiedział, jak bardzo go kochałem? - spytał.

Uśmiechnęła się przez łzy i przez moment wyglądała tak pięknie, jak za młodu.

- Wiedział. Był z ciebie tak dumny, że serce mu rosło, gdy jechałeś konno, kiedy walczyłeś albo kłóciłeś się z braćmi. Patrzył na mnie wtedy i widziałam to w jego uśmiechu. Nie chciał ci tego mówić, ale Ojciec Niebo dał mu synów, o jakich marzył, a ty byłeś jego dumą, jego osobistą radością. Wiedział.

Temudżyn nie mógł już dłużej słuchać. Nie zważając na nic, zaniósł się płaczem.

- Musimy powiedzieć plemieniu, że ich chan odszedł - powiedziała Höelün.

- I co wtedy? - spytał Temudżyn, ocierając łzy. - Ełuk nie będzie mnie wspierał na czele Wilków. Czy Bekter będzie chanem?

Szukał na jej twarzy jakiegoś zapewnienia, ale znalazł tam tylko wyczerpanie i smutek, które znów zasnuły jej oczy.

- Nie wiem, co się stanie, Temudżynie. Gdyby twój ojciec żył jeszcze kilka lat, nie miałyby to znaczenia, ale teraz? Nie ma dobrego dnia na śmierć, ale ten...

Zaczęła szlochać, a Temudżyn przytulił ją do ramienia. Nie po to, żeby ją uspokoić, ale wydawało się to naturalne i w jakiś sposób jemu samemu dodawało to siły w starciu z przyszłością. Odczuwał swoją młodość jako słabość, ale patrzył na niego duch ojca i Temudżyn wiedział, że musi znaleźć odwagę i stanąć przed plemieniem. Rozejrzał się po jurcie.

- Gdzie jest orzeł, którego mu przyniosłem?

Matka potrząsnęła głową.

- Nie mogłam się nim zajmować. Ełuk zabrał go do innej rodziny.

Temudżyn stłumił w sobie wzbierającą nienawiść do człowieka, któremu ojciec ufał we wszystkim. Uwolnił się z objęć matki, a Höelün spojrzała na martwe ciało Jesügeja. Pochyliła się nad nim i delikatnie pocałowała męża w otwarte usta. Dotyk przyprawił o drżenie całe jej ciało. Trzęsącymi się rękami zamknęła mężowi oczy i naciągnęła pościel na jego ranę. Powietrze w jurcie było ciężkie od gorąca i odoru śmierci, ale Temudżyn stwierdził, że zapach już mu nie przeszkadza. Oddychał głęboko, napełniając płuca esencją ojca i też podniósł się na nogi. Obmył twarz wodą z wiadra i otarł ją kawałkiem czystego płótna.

- Wyjdę i powiem im - powiedział.

Höelün skinęła, wciąż spoglądając w odległą przeszłość, a Temudżyn podszedł do niskich drzwi i wyostał się na zewnątrz w rześkie powietrze nocy.

Kobiety z plemienia wznosiły okrzyki żałości do Ojca Nieba, żeby usłyszał, że oto wielki człowiek opuścił stepy. Synowie Jesügeja zebrali się, by złożyć ostatni hołd ojcu. Z nastaniem świtu owina go białym płótnem, zaniósł na wysokie wzgórze i zostawił tam jego nagie ciało jastrzębiom i sępom, zesłanym przez duchy. Ramiona, które uczyły ich dobywać łuku, ta silna twarz i wszystko inne wzięci w tysiącach kawałków, niesione przez armię ptaków pod spojrzeniem Ojca Nieba. Chan nie będzie już dłużej przywiązany do ziemi tak, jak oni.

W miarę, jak noc gęstniała, wojownicy zbierali się w grupy i przechodzili z jurty do jurty, aż przemówiła każda z rodzin. Temudżyn nie brał w tym udziału, ale żałował, że Bekter nie był obecny na podniebnym pogrzebie ojca i nie mógł słuchać pieśni. Chociaż nie lubił brata, wiedział, że zaboli go, kiedy się dowie, że ominęły go opowieści o życiu Jesügeja.

Wszyscy czuwali. Kiedy wzeszedł księżyc, wzniecono wielki ogień w środku koczowiska, a stary pieśniarz Czagataj z bukłakiem ajraku dla ochrony przed zimnem czekał, aż wszyscy zbiorą się wokół niego. Tylko oddział zwiadowczy i czatownicy pozostali na wzgórzach. Wszyscy inni, mężczyźni, kobiety i dzieci, zjawili się, żeby posłuchać i otwarcie zapłakać, składając hołd Jesügejowi. Wiedzieli, że każda łza uroniona na ziemię pewnego dnia stanie się częścią rzek, które gasiły pragnienie trzód i rodzin we wszystkich plemionach. Nie było wstydem opłakiwać chana, który chronił ich w czasie srogich zim i uczynił z Wilków potęgę na stepach.

Temudżyn - usiadł najpierw sam, ale wielu podchodziło, żeby poklepać go po ramieniu i wypowiedzieć kilka cichych słów szacunku. Temüge miał twarz czerwoną od płaczu, ale przyszedł z Kacziunem i razem usiedli przy bracie, by dzielić smutek w milczeniu. Kasar, który też przyszedł posłuchać Czagataja, był blady i przygnębiony, gdy objął Temudżyna. Ostatnia zjawiała się Höelün z córeczką Temülün, śpiącą w fałdach jej ubrania. Przytuliła chłopców jednego po drugim, po czym utkwiała wzrok w płomieniach jakby zagubiona.

Kiedy zebrało się już całe plemię, Czagataj odchrząknął i splunął w rozszalały ogień za plecami.

- Znałem Wilka, gdy był jeszcze małym chłopcem, a jego synowie i córka byli ledwie snem Ojca Nieba. Nie zawsze był mężem, który prowadził plemię. W dzieciństwie zakradł się do jurty mego ojca i wykradł plaster miodu owinięty w płótno. Zakopał zdobycz, ale miał wtedy psa, ogara o żółto-czarnej sierści. Pies wykopał zawiniątko i przyniósł je swojemu panu, gdy ten zaprzeczał właśnie, że kiedykolwiek widział miód. Jesügej przez wiele dni nie mógł potem usiąść! - Czagataj urwał na chwilę, kiedy wojownicy zaśmiali się. - Jako mężczyzna tylko dwanaście wiosen później prowadził już zbrojne oddziały przeciw Tatarom, zdobywał ich kuce i owce. Gdy Ełuk chciał wziąć sobie żonę, to Jesügej pojechał konno po dar dla jej ojca i odbił z rąk wrogów trzy gniade klacze i tuzin sztuk bydła jednej nocy. Na jego mieczu lśniła krew dwóch ludzi, lecz nawet wtedy niewielu mogło się z nim równać w walce na miecze lub łuki. Był biczem na Tatarów, a kiedy został chanem, nauczyli się oni bać Jesügeja i ludzi u jego boku.

Czagataj wziął duży haust ajraku i zamlaskał ustami.

- Kiedy jego ojciec odebrał podniebny pochówek, Jesügej zebrał wszystkich wojowników i wyjechał na wiele dni na stepy, każąc im przeżyć tylko o garstce jada i wodzie, której ledwie starczało do zwilżenia gardła. Wszyscy, którzy podążyli za nim, wrócili z ogniem w żołądku i wiernością w sercu. Chan dał im dumę, a Wilki rosły w siłę na baraninie i mleku.

Temudżyn słuchał, jak stary pieśniarz wymienia zwycięstwa jego ojca. Czagataj wciąż miał na tyle dobrą pamięć, żeby wiedzieć, co mówiono i ilu wrogów padło od miecza i łuku

Jesügeja. A może liczby te były przesadzone, Temudżyn nie mógł tego stwierdzić. Starsi wojownicy kiwali głowami i uśmiechali się do wspomnień, a kiedy opróżnili bukłaki ajraku, zaczęli domagać się, by Czagataj raz jeszcze namalował im obrazy minionych bitew.

- To właśnie wtedy stary Jeke stracił trzy palce na prawej dłoni - ciągnął Czagataj. - Jesügej znalazł je na śniegu i zaniósł mu. Jeke zobaczył to i powiedział, żeby dać palce psom. Chan stwierdził jednak, że lepiej będzie uwiązać je na kij. W ten sposób Jeke wciąż mógł ich użyć, kiedy zapragnął się podrapać.

Kasar zaśmiał się i wraz z braćmi uważnie śledził każde słowo. Była to historia ich plemienia, opowieści o mężczyznach i kobietach, którzy uczynili ich tym, czym byli.

W zachowaniu Czagataja dało się zauważyć subtelną zmianę, kiedy po raz kolejny opuścił bukłak.

- Pozostawił silnych synów, by poszli w jego ślady, i chciałby, żeby Bekter albo Temudżyn stanęli na czele Wilków. Słyszałem plotki wśród rodzin. Słyszałem klótnie i obietnice, ale w nich płynie krew chanów i jeśli plemię Wilków ma dość honoru, nie powinno hańbić chana w dniu jego śmierci. On patrzy na nas teraz.

W obozie zapanowała cisza, ale Temudżyn usłyszał, jak kilku wojowników mruczy na znak zgody. Czuł utkwione w siebie setki oczu, wśród ciemności rozświetlanych blaskiem płomieni. Miał już podnieść się z ziemi, kiedy ponad wzgórzami w oddali rozległy się melancholijne dźwięki rogów, a wojownicy w jednej chwili otrząsnęli się z alkoholowego transu i poderwali się na nogi, gotowi do działania. Na skraju oświetlonej części koczowiska zamajaczyła postać Ełuka, złowieszczo wpatzonego w Czagataja. Temudżyn zauważył, że pieśniarz wygląda na słabego i zmęczonego, teraz, gdy przysł czar jego opowieści. Wieczorny wietrzyk rozwiewał jego siwe włosy, kiedy bez strachu patrzył na przybysza. Ten nagle gwałtownie skinął głową, jakby coś zostało ustalone. Przyprawiono konia i Ełuk zwinnie wskoczył na siodło i odjechał w ciemność, nie oglądając się za siebie.

Rogi ucichły już po chwili, kiedy ustalono, że to wraca oddział zwiadowców. Bekter podjechał na czele dwunastu wojowników i zsiadł z konia przy samym ognisku. Temudżyn zauważył, że wojownicy mieli nieznanne mu zbroje i broń. W blasku buzującego ognia ukazały się gnijące głowy przytroczone za włosy do siodła Bektera. Temudżyn zadrżał nagle na widok rozdziawionych, jakby wciąż krzyczących ust martwych wojowników. Chociaż mięso było już poczerniałe i napoczęte przez muchy, Temudżyn wiedział, że patrzy na twarze zabójców ojca.

Oprócz niego tylko Höelün słyszała, jak w jurcie Jesügej szeptem wymienił nazwę wroga, a ani ona, ani Temudżyn nie podzielili się z nikim tą wiadomością. W jakiś sposób zaniepokoiłi się teraz, kiedy wieści o Tatarach przynieśli powracający wojownicy. Ich łuki i dele zbryzgane były zaschniętą krwią, a plemię zebrało się wokół, by z przerażeniem i fascynacją dotykać gnijących, martwych twarzy.

Bekter wkroczył pewnie w obręb ognistego blasku tak, jakby już ustalono, komu należy się przywództwo. Dawniej była to gorzka scena w wyobraźni Temudżyna, ale po ostatnich, napawających go lękiem wydarzeniach poczuł dziką satysfakcję. Niech jego brat przejmie władzę w plemienu!

Narastał gwar rozmów i okrzyki tłumu wzburzonego opowieścią wojowników. Pięć ciał gniło na ziemi w miejscu zasadzki na chana Wilków. Na synach Jesügeja spoczęły spojrzenia oczu lśniących z podziwu. Zapadła jednak cisza, kiedy pojawił się Ełuk, lekko pochylony w siodle, by mógł spojrzeć w twarz braci. Po namyśle Temudżyn stanął u boku Bektera i dołączyli do niego Kasar i Kacziun. Patrzyli na Ełuka i czekali na jego słowa. Może był to

błąd, bo przy potężnym wojowniku wyraźnie wyglądali na chłopców.

- Twój ojciec w końcu odszedł, Bekterze - powiedział Ełuk. - Śmierć nie była łatwa, ale już się dokonała.

Jasne oczy Bektera spoglądały na ojcowskiego druha ze świadomością wyzwania i niebezpieczeństwa. Syn Jesügeja uniósł głowę i przemówił, czując, że jego pozycja nie będzie już silniejsza niż teraz.

- Z dumą poprowadzę plemię Wilków na wojnę - powiedział wyraźnie.

Rozległo się wiwatowanie kilku wojowników, ale Ełuk wolno pokręcił głową, a jego pewność siebie spłoszyła nielicznych zwolenników Bektera. Znowu zapadła cisza, a Temudżyn wstrzymał oddech.

- Ja będę chanem - powiedział Ełuk. - To już postanowione.

Bekter sięgnął po miecz, a oczy Ełuka zaślniły z zadowolenia. Temudżyn pierwszy powstrzymał rękę brata, chociaż Kacziun był przy nim równie szybko.

- On cię zabije - powiedział Temudżyn, gdy Bekter próbował uwolnić się z uścisku.

- Albo ja zabiję to wiarołomne łajno - warknął Bekter w odpowiedzi.

Zajęci szarpaniną nie zauważyli, że Ełuk dobył miecza i głównią broni jak młotem zdzielił Bektera, zwalając go z nóg. Temudżyn przewrócił się razem z nim, a Kacziun z gołymi rękami rzucił się na ojcowskiego druha, żeby uchronić braci przed śmiertelnym ciosem jego miecza. Gdzieś z tyłu Höelün wrzasnęła w przerażeniu, a jej krzyk najwyraźniej przebił się do świadomości Ełuka w momencie, gdy nacierał na chłopców, odtrąciwszy Kacziuna szarpnięciem ręki. Przez chwilę patrzył na nich, po czym włożył miecz do pochwy.

- Przez cześć dla waszego ojca, nie przeleję krwi tej nocy - powiedział, chociaż jego twarz zdradzała, że krew w nim wrze.

Podniósł głowę, żeby wszyscy usłyszeli jego głos.

- Plemię Wilków rusza w drogę! Nie zostanę na ziemi splamionej krwią mojego chana. Zbierzcie trzody i konie. Gdy słońce stanie najwyżej, wyruszymy na południe.

Zrobił krok w stronę Höelün i jej synów.

- Ale bez was - powiedział. - Nie będę strzegł pleców przed waszymi nożami. Zostaniecie tutaj i zabierzecie ciało ojca na wzgórze.

Höelün zadygotała lekko na wietrze, a jej twarz zbladła i zmarszczyła się.

- Zostawiasz nas tutaj na śmierć?

Ełuk wzruszył ramionami.

- Umrzecie czy przeżyjecie, nie należycie już do Wilków. To koniec.

Za Ełukiem wyrosła nagle postać Czagataja i Temudżyn zobaczył, jak stary pieśniarz chwyta jego ojcowskiego druha za ramię. Ełuk odruchowo uniósł miecz, ale Czagataj zignorował nagie ostrze tak blisko swojej twarzy.

- To zły uczynek! - powiedział z gniewem Czagataj. - Hańbisz pamięć wielkiego człowieka, nie dając mu nikogo, kto pomściłby jego śmierć. Jak jego duch miałby odpocząć? Nie możesz zostawić tych dzieci samych na stepie. To równie złe jak zabicie ich własną ręką.

- Idź precz, starcze. Chan musi podejmować trudne decyzje. Nie przeleję krwi dzieci i kobiet, ale jeśli umrą z głodu, moje ręce będą czyste.

Twarc Czagataja pociemniała od milczącej furii i pieśniarz natarł na Ełuka, uderzając pięściami w pancerz. Rzucił się na niego z gołymi rękami. Ełuk uniósł miecz i zatopił go w piersi Czagataja, po czym pchnął go na ziemię. Krew wypłynęła z otwartych ust pieśniarza. Höelün upadła na kolana, szlochając i zawodząc, jej synowie wciąż stali oszołomieni. Na

widok morderstwa podniósł się krzyk, a między Ełukiem, a rodziną Jesügeja stało kilku wojowników z dłońmi na główkach mieczy. Ełuk zatrząsł się i splunął na Czagataja, którego krew sączyła się na popękana ziemię.

- Nie powinieneś być się wtrącać, stary głupcze - powiedział, schował miecz do pochwy i oddalił się sztywnym krokiem.

Wojownicy pomogli Höelün podnieść się na nogi, a kobiety odprowadziły ją z powrotem do jurty. Wszyscy odwracali twarz od płaczących dzieci, co dla Temudżyna było równie złe, jak wszystko, co wydarzyło się tej nocy. Plemię ich opuściło i byli zgubieni.

*

Po rozebranych jurtach plemienia Wilków pozostały czarne kręgi na ubitej ziemi, pełne kawałków starych kości, podartej skóry i rozbitych naczyń. Synowie Jesügeja patrzyli na zwijane koczowisko jako banici - stali obok jak nędzarze z matką i siostrą. Ełuk był bezwzględny i Höelün musiała prosić synów, żeby przytrzymali Bektera, kiedy nowy chan nakazał spakować też i ich jurtę. Niektóre kobiety podniosły krzyk na takie okrucieństwo, ale o wiele więcej nie odezwało się ani słowem, a Ełuk puścił nieliczne protesty mimo uszu. Słowo chana było prawem.

Temudżyn potrząsnął głową z niedowierzaniem, kiedy załadowano wozy, a trzody zagnano kijami na miejsca. Zobaczył, że Ełuk paraduje przez koczowisko z mieczem Jesügeja u boku. Bekter zazgrzytał zębami na ten widok z oczywistą wściekłością. Ełuk uśmiechał się tylko, kiedy ich mijał, czerpiąc radość z ich poniżenia. Temudżyn zastanawiał się, w jaki sposób ojcowskiemu druhowi udawało się ukrywać swoje ambicje przez tyle lat. Wyczuł je u niego, kiedy Jesügej darował mu Orlą Czerwien, ale nawet wtedy nie wierzył, że Ełuk mógłby posunąć się aż do takiej zdrady. Znowu potrząsnął głową, słysząc skrzek orląt, gdy wiązano im skrzydła na czas podróży. Nie mógł w to wszystko uwierzyć. Przed oczami stawał mu ciągle widok leżącego ciała Czagataja, przypominający o wydarzeniach minionej nocy. Stary pieśniarz miał zostać tam, gdzie poległ, a to wydawało się chłopcom równie wielką zbrodnią jak wszystko inne.

Chociaż rozpacz malowała się na bladych twarzach dzieci, Höelün emanowała taką zimną wściekłością, mrozącą każdego, kto był dość głupi, by spojrzeć jej w oczy. Nawet Ełuk, który przyszedł nakazać, by rozebrano jurtę chana, utkwiał wzrok gdzieś w oddali, nie mając odwagi na nią spojrzeć. Rozwiązano i zwinięto wielkie płachty wojłoku, a drewniane rusztowanie runęło w kawałkach, gdy szybkimi cięciami rozerwano wysuszone powrósła. Wyniesiono cały dobytek, od łuku Jesügeja po zimowe dele z futrzanym podszyciem. Bekter kłął i krzyczał, widząc, że nic im nie zostanie, ale Höelün tylko potrząsała głową nad wyrachowaniem Ełuka. Dele były pięknie wykonane i zbyt cenne, żeby marnować je dla tych, którzy nie przeżyją. Gdy tylko spadną pierwsze śniegi, zima pozbawi ich życia tak pewnie jak strzała. A mimo to Höelün z podniesionym czołem patrzyła na plemię bez łez na dumnej twarzy.

Nie trwało to długo. Wszystko było przygotowane do odjazdu i kiedy słońce znalazło się w zenicie, czarne kręgi były już puste, wozy załadowane, a mężczyźni mocowali się z ostatnimi linami przy ładunku.

Höelün zadygotała przy silniejszym podmuchu wiatru. Nie było schronienia, gdy rozebrano jurty, i czuła się odarta ze wszystkiego i odrętwiała. Wiedziała, że Jesügej wyciągnąłby miecz swojego ojca i ściał tuzin głów, gdyby to zobaczył. Jego ciało leżało na ziemi, owinięte płótnem. W nocy ktoś obwiązał kruchą postać Czagataja kawałkiem starego materiału i zakrył mu ranę. Obaj leżeli teraz obok siebie, złączeni w śmierci, a Höelün nie mogła się zdobyć,

żeby spojrzeć na któregokolwiek z nich.

Ełuk zadał w róg i rozległy się krzyki pasterzy, którzy popędzali zwierzęta długimi kijami. Zgiełk wzmógł się, kiedy owce i kozy z meceniem uciekały przed tnącymi razami, a plemię ruszyło w drogę. Höelün i jej synowie stali w miejscu jak białe brzozy i patrzyli za odjeżdżającymi. Temüge pochlipywał cicho, a Kacziun trzymał go za rękę na wypadek, gdyby przyszło mu do głowy pobiec za plemieniem.

Otwarty teren szybko przytłumił gwar trzód i pasterzy. Höelün patrzyła za nimi, aż zginęli w oddali, i w końcu odetchnęła z odrobiną ulgi. Wiedziała, że Ełuk był zdolny nawet do tego, żeby posłać z powrotem któregoś wojownika i położyć kres życiu opuszczonej rodziny. Kiedy tylko odległość do plemienia zwiększyła się na tyle, że nie mogli już być widziani, Höelün zwróciła się do synów skupionych wokół siebie.

- Potrzebujemy schronienia i pożywienia, ale przede wszystkim musimy odejść od tego miejsca. Wkrótce szabrownicy będą tu węszyć w popiołach, a nie wszyscy mają cztery nogi. Bekter! - Ostry ton jej głosu wyrwał jej syna z transu, kiedy patrzył w ślad za odchodzącymi. - Musisz teraz troszczyć się o braci.

- A po co? - odpowiedział i odwrócił się, żeby spojrzeć na step. - Wszyscy jesteśmy już martwi.

Höelün wymierzyła mu silny policzek, a Bekter zachwiał się i spojrzał na nią rozognionymi oczami. Świeża krew pojawiła się w miejscu, gdzie Ełuk uderzył go zeszłej nocy. - Schronienie i żywność, Bekterze. Synowie Jesügeja łatwo nie poddadzą się śmierci tak, jak chce tego Ełuk. Nie podda się też jego żona. Potrzebna mi twoja pomoc, Bekterze, rozumiesz?

- A co zrobimy z... nim? - spytał Temudżyn i wskazał na ciało ojca.

Höelün zawahała się na chwilę, kiedy skierowała wzrok na Jesügeja.

Zacisnęła pięści i zatrzęsała się z gniewu.

- Czy to było zbyt wiele, żeby zostawić nam chociaż jednego kuca? - mruknęła do siebie.

Przed oczami stanął jej obraz ludzi bez plemienia, ze śmiechem ściągających płótno z nagiego ciała Jesügeja, ale nie miała wyboru.

- To tylko ciało, Temudżynie. Ducha twojego ojca już tam nie ma. Wystarczy, że zobaczy, że przeżyliśmy, a będzie zadowolony.

- Zostawimy go więc na pastwę dzikich psów? - zapytał z przerażeniem Temudżyn.

Tym razem to Bekter kiwnął głową.

- Musimy. Psy czy ptaki, to nie ma znaczenia. Jak daleko moglibyśmy go zanieść, Temudżynie? Już południe, a musielibyśmy wspiąć się do granicy drzew.

- Czerwone Wzgórze - powiedział nagle Kacziun. - Tam jest schronienie.

Höelün potrząsnęła głową.

- To za daleko i nie dojdziemy tam przed nocą. Na wschodzie jest wąwóz, gdzie przeczekamy do jutra. Są tam lasy. Zginiemy na stepie, ale jeśli schronimy się w lesie, jeszcze za dziesięć lat splunę w twarz Ełukowi.

- Jestem głodny - powiedział Temüge i zachlipał.

Höelün spojrzała na najmłodszego syna, a w oczach stanęły jej lśniące łzy. Sięgnęła w fałdy delu i wyciągnęła torbę jego ulubionego, słodkiego twarogu. Każdy wziął po kawałku, tak uroczyście, jakby składali przysięgę.

- Przetrywamy to, moi synowie. Przeżyjemy, aż staniecie się mężczyznami i kiedy Ełuk się zestarzeje, będzie się zastanawiał, czy nie przychodzicie po niego, za każdym razem, gdy usłyszysz tętent kopyt w ciemnościach.

Pełni podziwu spojrzeli na jej twarz i dostrzegli tam tylko determinację. Wystarczyła, żeby przegnać część ich rozpacz i wszyscy znaleźli nową siłę w energii matki.

- A teraz chodźmy! - rzuciła. - Najpierw schronienie, a potem żywność.

ROZDZIAŁ 11

W drobnej mżawce Bekter i Temudżyn tulili się do siebie, przemoknięci do suchej nitki. Jeszcze przed zmrokiem dotarli do zalesionego wąwozu wśród wzgórz, gdzie strumień przedzierał się przez bagnistą ziemię. Wąskie wzniesienie porastały sosny o ciemnych pniach i brzozy białe jak kość. Wzmocniony przez echo szmer wody wzmagął nastrój grozy. Chłopcy dygotali z zimna skuleni na rozległej płataninie czarnych korzeni.

Jeszcze przed zachodem słońca Höelün kazała synom zbierać połamane gałęzie, a wielkie bale gnijącego drewna przyciągnąć przez pokryte liśćmi błoto do niskiego drzewa. Tu mieli zbudować szałas. Ramiona i pierś mieli podrapane do krwi, ale Höelün nie pozwalała im na odpoczynek. Nawet Temüge znosił sterty suchych igieł i utykał je między mniejszymi gałązkami, po czym biegł po kolejną porcję. Wreszcie prowizoryczne schronienie było gotowe. Nie starczyło miejsca dla Bektera i Temudżyna. Höelün pocałowała tylko ich obydwu z wdzięcznością, a oni stali dumnie i patrzyli, jak matka wchodzi do środka z ich siostrzyczką. Kasar skulił się jak drżący pies w jej nogach, a Temüge pochlipując, wczołgał się za nim. Kacziun stał najpierw ze starszymi braćmi, chwając się z wyczerpania. W końcu Temudżyn wziął go za ramię i wepchnął do szałasu, w którym ledwo się zmieścił.

Głowa Höelün powoli opadła na kolana, kiedy mała dziewczynka ssła jej pierś. Temudżyn i Bekter odsunęli się najciszej, jak potrafili, bezskutecznie rozglądając się za schronieniem, które osłoniłoby im twarze od deszczu na tyle długo, żeby zdołali zasnąć. Płatanina korzeni wydawała się nieco lepszym miejscem do spania niż zwykła mokra ziemia, ale niewidoczne konary i sęki zadawały im ból niezależnie od ułożenia ciała. Kiedy sen w końcu przychodził, bryzg zimnej wody na twarzy budził ich, zdezorientowanych i przez chwilę nie wiedzących, gdzie się znajdują. Noc zdawała się trwać wiecznie.

Kiedy Temudżyn zbudził się po raz kolejny i poruszył zdrętwiałymi nogami, pomyślał o minionym dniu. Dziwnie się czuł, zostawiając ciało ojca. Wszyscy odwracali się za siebie i patrzyli, jak biały kształt maleje w miarę, jak odchodzili. Höelün widziała ich tęskne spojrzenia i miała ich dosyć.

- Zawsze żyliście w plemienu - powiedziała. - Nie musieliście się dotąd ukrywać przed złodziejami i tułaczami. A teraz musimy się ukryć. Nawet jeden pasterz mógłby nas wszystkich zabić i nie spotkałaby go kara.

Prerażająca rzeczywistość przyprawiała ich o dreszcze równie skutecznie jak deszcz, który pogłębiał tylko ich przygnębienie. Temudżyn zamrugał oczami, strzepując z powiek kroplę wilgoci, która spadła gdzieś z góry. Nie był pewien, czy w ogóle spał, chociaż czuł, że minęło trochę czasu. Żołądek boleśnie dawał mu się we znaki i zastanawiał się, jak zdobędą pożywienie. Gdyby Ełuk zostawił im chociaż łuk, Temudżyn mógłby wyżywić całą rodzinę tłustymi tarbaganami. Bez broni mogli jednak umrzeć z głodu w ciągu kilku dni. Temudżyn podniósł wzrok i zobaczył, że deszczowe chmury odeszły, pozwalając, by na ziemię dotarło światło gwiazd. Woda wciąż kapała z drzew naokoło, ale wyglądało na to, że poranek może być ciepły. Temudżyn był cały przemoczony, a jego ubranie było ubłocone i pokryte liśćmi. Czuł śliski szlam na palcach, kiedy zacisnął pięści na wspomnienie Ełuka. W dłoń wbiła mu się sosnowa igła albo jakiś cierń, ale Temudżyn nawet tego nie zauważył, przeklinając w myślach człowieka, który zdradził jego rodzinę. Umyślnie zaciskał pięści tak mocno, aż

zadrżało całe jego ciało, a pod powiekami zamigotały mu zielone błyski.

- Strzeż jego życia - szepnął do Ojca Nieba. - Uczyń go silnym i zdrowym. Chroń go od śmierci, abym to ja mógł go zabić.

Bekter zamamrotał coś przez sen, a Temudżyn znowu zamknął oczy, nie mogąc doczekać się, aż miną godziny dzielące go od świtu. Chciał tego samego, co młodszy bracia: żeby matka objęła go ramionami i rozwiązała wszystkie problemy. Zamiast tego wiedział, że musi być silny, tak dla niej, jak i dla braci. Jednego tylko był pewien: przeżyją, a pewnego dnia on znajdzie i zabije Ełuka, a potem wyjmie ojcowski miecz z jego martwej dłoni. Z tą myślą pogrążył się we śnie.

Wszyscy obudzili się, kiedy było już na tyle widno, że mogli zobaczyć swoje brudne twarze. Höelün miała napuchnięte i podkrążone oczy, ale zebrała dzieci wokół siebie i patrzyła, jak jedyny bukłak z wodą przechodzi z rąk do rąk. Mała córeczka wierciła się i twarzyczkę miała aż czerwoną od nieustannego krzyku. Domagała się, by ją przewinąć, nie było jednak zapasowego płótna. Höelün nie mogła nic poradzić na jej płacz, bo dziecko w swojej rozpaczce odmawiało ssania piersi. W końcu wyczerpała się nawet cierpliwość Höelün, zrezygnowała z prób karmienia małej. Dziewczynka tymczasem zaciskała pięści i ryczała wniebogłosy.

- Jeśli mamy przeżyć, musimy się gdzieś wysuszyć i przygotować się do polowania i łowienia ryb - powiedziała synom Höelün. - Pokażcie wszystko, co macie przy sobie.

Zauważyła, że Bekter się waha, i zwróciła się do niego.

- Niczego nie ukrywaj, Bekterze. Wszyscy możemy zginąć w ciągu cyklu księżyca, jeśli nie zdołamy się ogrzać ani czegoś upolować.

W porannym świetle łatwiej było znaleźć miejsce, gdzie gruba warstwa igieł była tylko wilgotna, a nie przesiąknięta wodą. Höelün zdjęła del, dygocząc z zimna. Na jej boku widać było ślady kału - niemowlę wypróżniło się w nocy. Buchnął ku nim smród odchodów. Kasar zasłonił usta ręką. Höelün zdawała się tego nie zauważyć, tylko wargi jej ściągnęły się w rozdrażnieniu. Temudżyn widział, że matka ledwo tłumy emocje. Rozłożyła del na ziemi i delikatnie położyła córkę na płótnie. Dziewczynka zaczęła rozglądać się wokół oczami pełnymi łez. Dygotała z zimna.

Bekter skrzywił się, wyciągnął nóż zza pasa i położył na ziemi. Höelün kciukiem sprawdziła ostrze i skinęła. Sięgnęła do talii i odwiązała ciężki pas splecionego końskiego włosia. Schowała go pod delem poprzedniej nocy, żeby zachować cokolwiek, co mogłoby im pomóc w niedoli. Sznur był cienki, ale mocny i związał położone na ziemi noże braci.

Oprócz małego noża Temudżyn mógł tylko dołożyć płócienny pasek, który przytrzymał mu del. Był długi i dobrze spleciony i Temudżyn nie wątpił, że przyda się Höelün.

Bracia patrzyli z podziwem, jak ich matka wyciąga małe kościane pudełeczko z jednej z głębokich kieszeni delu. W środku był mały kawałek ząbkowanej stali i dobry krzemień, które Höelün pieczołowicie złożyła na ziemi. Ciemnożółta szkatułka była pięknie zdobiona. Höelün potarła ją kciukami, pogrążona we wspomnieniach.

- Podarował mi ją wasz ojciec, kiedy braliśmy ślub - powiedziała, po czym podniosła kamień i rozbila pudełko na kawałki. Każdy odłamek kości był ostry jak nóż i Höelün ostrożnie je obejrzała, wybierając najlepsze.

- Ten będzie na haczyk na ryby, a te dwa na groty strzał. Kasarze? Weźmiesz linę i poszukasz dobrego kamienia, żeby przygotować haczyk. Użyj noża do wykopania robaków i znajdź miejsce na schronienie. Potrzebne nam dziś twoje szczęście.

Kasar zebrał podane mu przedmioty bez śladu zwykłego u siebie lekkoduchostwa.

- Rozumiem - powiedział i owinął sobie końskie włosie wokół nadgarstka.

- Zostaw mi tyle, żebym mogła zrobić wnyki - powiedziała Höelün, kiedy Kasar wstał. - Potrzebne nam też drzewca i cięciwy na łuki.

Zwróciła się do Bektera i Temudżyna i dała im po kawałku ostrej kości.

- Każdy z was weźmie nóż i zrobicie mi łuk z brzozy. Wiele razy widzieliście już, jak to się robi.

Bekter wziął kościany odłamek i sprawdził ostrze palcem.

- Gdybyśmy mieli róg albo chociaż końską skórę na cięciwę... - zaczął.

Höelün zeszywniała i Bekter też zamilkł pod jej spojrzeniem.

- Pojedynczy wnyk na tarbagany nie utrzyma nas przy życiu. Nie powiedziałam, że chcę łuk, z którego dumny byłby wasz ojciec. Wystrugajcie tylko coś, czym można polować. A może mamy położyć się tylko na liściach i czekać, aż zabierze nas zimno i głód?

Bekter zmarszczył czoło, rozdrażniony krytyką w obecności innych. Nie spojrzał na Temudżyna, tylko chwycił nóż i odszedł dumnie, lekko ściskając w dłoni kościany odłamek.

- Mógłbym przywiązać ostrze do kija i zrobić oszczep, może na ryby - powiedział Kacziun.

Höelün spojrzała na niego z wdzięcznością i wzięła głęboki wdech. Podniosła najmniejszy z noży i podała mu.

- Dobry chłopak - powiedziało i pogłaskała go po policzku. - Ojciec wszystkich was nauczył polować. Chyba nie zdawał sobie nigdy sprawy, jak wiele to będzie znaczyło... Teraz potrzebujemy wszystkiego, czego się nauczyliście.

Spojrzała na żalśnie małą stertę przedmiotów, które zostały na płótnie, i westchnęła.

- Temüge? Rozpalę ogień, jeśli przyniesiesz mi coś suchego. Cokolwiek.

Tłusty chłopczyk wstał z drżącymi ustami. Nie otrząsnął się jeszcze z przerażenia nową, beznadziejną sytuacją. Inni chłopcy widzieli, że Höelün była na skraju załamania, ale Temüge wciąż postrzegał ją jako silną jak skała i przytulił się do niej. Przytrzymała go przez chwilę w ramionach, a potem rzekła:

- Znajdź, co możesz, Temüge. Twoja siostra nie przetrzyma kolejnej nocy bez ognia.

Temudżyn skrzywił się, kiedy młodszy braciszek zaniósł się płaczem i pobiegł między wysokie drzewa, kiedy Höelün nie patrzyła już na niego. Temudżyn został przy matce i objął ją nieśmiało, żeby dodać jej choć trochę otuchy. Wziął ją za ramię, a ona ku jego zadowoleniu przechyliła głowę i przez chwilę dotykała policzkiem jego ręki.

- Zrób mi łuk do polowania, Temudżynie. Znajdź Bektera i pomóż mu - powiedziała, patrząc mu w oczy.

Temudżyn czuł bolesne klucie głodu w żołądku, kiedy zostawiał matkę z niemowlęciem, którego żalсны płacz niósł się między mokrymi drzewami.

*

Temudżyn znalazł Bektera, kierując się odgłosem uderzeń. Zagwizdał cicho, żeby zasygnalizować bratu swoją obecność, ten jednak obrzucił go tylko ponurym spojrzeniem. Bez słowa Temudżyn przytrzymał cienki pniak, żeby ostrze brata lepiej się wbijało. Nóż zrobiony był z solidnego kawałka ząbkowanej stali i ciął głęboko. Bekter najwyraźniej wyładowywał złość na drewnie i Temudżyn musiał wykazać się nie lada odwagą, żeby trzymać rękę nieruchomo, kiedy cios za ciosem śmigał mu koło palców.

Wkrótce młode drzewko pod furją uderzeń złamało się, odsłaniając białe włókna żywej tkanki. Taki łuk będzie właściwie do niczego, pomyślał ponuro Temudżyn. Trudno było

uwolnić się od myśli o pięknej broni w każdej jurcie Wilków. Do brzoźowych drzew przyklejano wygotowane kawałki owczych rogów i wygładzone ścięgna, po czym zostawiano broń na cały rok w ciemnym i suchym miejscu, żeby części dobrze się zrosły. Każdy łuk był arcydziełem i można było nim zabijać z odległości ponad dwustu ąldów.

Łuk, który on i jego brat robili z takim trudem, będzie ledwie zabawką w porównaniu z tamtymi, a zależało od niego ich życie. Temudżyn roześmiał się gorzko, kiedy Bekter zamknął jedno oko i w końcu odmierzył właściwą długość brzoźki, wciąż jeszcze pokrytej papierową korą. Bekter zazgrzytał zębami w odpowiedzi i ku zaskoczeniu Temudżyna złamał niedoszły łuk o inny pień i cisnął w zarośla. - To strata czasu - powiedział rozwścieczony.

Temudżyn popatrzył na nóż, który trzymał i nagle zdał sobie sprawę, jak bardzo byli samotni.

- Jak daleko mogą odjechać w ciągu dnia? - zapytał Bekter. - Umiesz tropić. Znamy czatowników tak dobrze, jak własnych braci. Mógłbym się koło nich prześlizgnąć.

- A potem co? - chciał wiedzieć Temudżyn. - Zabijesz Ełuka?

Oczy Bektera zapłonęły na chwilę, kiedy rozważał tę myśl, ale potrząsnął głową.

- Nie. Nie dostaniemy się do niego, ale moglibyśmy ukraść łuk! Tylko jeden łuk i kilka strzał wystarczy, żebyśmy najedli się do syta. Nie jesteś głodny?

Temudżyn starał się nie myśleć o pustce w żołądku. Doświadczał już wcześniej głodu, ale zawsze towarzyszyła mu wtedy myśl o czekającym go w końcu ciepłym posiłku. Teraz czuł się gorzej, a jego brzuch był obolały. Miał nadzieję, że to nie jest zwiastun biegunki, która przychodziła przy chorobie lub braku posiłków. W takich okolicznościach mogła go zabić każda słabość. Wiedział równie dobrze jak ich matka, że balansowali na skraju przetrwania i do zimy mogła z nich zostać tylko sterta kości.

- Umieram z głodu - odpowiedział. - Ale nigdy nie uda nam się dostać do jurt, nie wzbudzając alarmu. Nawet gdybyśmy mieli szczęście, ścigaliby nas aż tutaj, a Ełuk drugi raz by nas już nie puścił. Mamy tylko ten złamany kij.

Obaj spojrzeli na zniszczone drzewko. Bekter chwycił je w porywie obłądnego gniewu, przez chwilę siłował się z nim usiłując połamać je na drzazgi, po czym rzucił je w krzewy poszycia.

- Dobrze, zacznijmy jeszcze raz - powiedział ponuro. - Chociaż nie mamy cięciwy, nie mamy strzał i nie mamy kleidła. Równie dobrze moglibyśmy rzucać w zwierzęta kamieniami!

Temudżyn nie odezwał się, wstrząśnięty wybuchem brata. Tak jak wszyscy synowie Jesügeja, Bekter był przyzwyczajony, że może się zwrócić do kogoś, kto radził sobie lepiej. Być może bracia zbyt przywykli do takiego poczucia pewności. Od kiedy Temudżyn zobaczył, jak ręka ojca bezwładnieje w jego uścisku, był zagubiony. Bywały też chwile, kiedy czuł, że wskrzesza się w nim siła, której tak bardzo potrzebował, ale wciąż jakby oczekiwał, że to wszystko się skończy i powróci jego dawne życie.

- Zrobimy cięciwę z kawałków płótna. Powinna chyba wytrzymać dwa strzały. W końcu i tak mamy tylko dwa groty.

Bekter mruknął coś w odpowiedzi i sięgnął po kolejną brzoźkę, giętką i tak grubą jak jego kciuk.

- Przytrzymaj ją więc, bracie - powiedział i uniósł ciężkie ostrze. - Zrobię łuk, który nada się na dwie próby zabicia. Jeśli się nie uda, będziemy jeść trawę.

*

Kacziun dołączył do Kasara wysoko na przełęczy między wzgórzami. Postać starszego

brata tkwiła tak nieruchomo, że Kacziun ledwie prawie go przeoczył, wspinając się po skale, ale w końcu dostrzegł brata na skraju małego jeziorka w miejscu, gdzie rozszerzał się strumień. Kasar zrobił sobie prostą wędkę z długiej brzozonej gałęzi. Kacziun zagwizdał, żeby dać mu znać o swojej obecności i podszedł jak najciszej, patrząc w przejrzystą wodę.

- Widzę je. Jak dotąd nic większego od palca - szepnął Kasar. - Ale najwyraźniej nie chcą robaków.

Obaj spojrzeli na bezwładny kawałek rosówki, który zwisał w wodzie na wyciągnięcie ręki od brzegu jeziorka. Kacziun ściągnął brwi w zamyśleniu.

- Musimy złapać więcej niż tylko kilka ryb, jeśli wszyscy mamy jeść dziś wieczorem - powiedział.

Kasar mruknął w odpowiedzi:

- Jeśli masz jakiś pomysł, to powiedz. Nie mogę ich zmusić, żeby nadziały się na haczyk.

Kacziun milczał długo i obaj czerpaliby przyjemność z ciszy, gdyby nie dojmujący głód. W końcu Kacziun wstał i zaczął odwijać pomarańczowy pas z delu. Był długi na trzy ałdy - mogło się wzdłuż niego położyć trzech mężczyzn. Kacziun nie pomyślałby o nim, gdyby Temudżyn nie położył wcześniej swojego na płótnie Höelün. Kasar podniósł wzrok z lekkim uśmiechem na ustach.

- Idziesz popływać? - zapytał.

Kacziun potrząsnął głową.

- Sieć byłaby lepsza niż haczyk. Wtedy moglibyśmy złapać wszystkie. Pomyślałem, żeby zagrodzić strumień ubraniami.

Kasar wyjął mokrego robaka z wody i położył obok siebie cenny haczyk.

- Może się udać - powiedział. - Ja pójdę w górę strumienia i będę schodził na dół, burząc wodę kijem. Jeśli zagrodzisz strumień płótnem, może uda ci się wyrzucić kilka ryb na brzeg.

Obaj chłopcy niechętnie spojrzeli na lodowatą wodę. Kacziun westchnął cicho i owinął sobie płótno wokół ramion. - W porządku. Lepsze to niż czekanie - powiedział i dygocząc wszedł do wody.

Obaj sapali i krzywili się z zimna, ale szybko rozpostarli płótno w poprzek strumienia.

Korzeń drzewa doskonale nadawał się do zaczepienia delu z jednej strony, a z drugiej Kacziun przyłożył kamień. To w zupełności wystarczyło i zapomniał o chłodzie, kiedy zobaczył, jak mała rybka dotyka pomarańczowej bariery i ucieka z powrotem. Kasar odciął kawałek materiału i przywiązał nóż do kija, czyniąc z niego krótką włócznię.

- Módl się do Ojca Nieba, żebyśmy złapali kilka dużych ryb - powiedział Kasar. - Musi nam się udać.

Kacziun został w wodzie i starał się nie drzeć za bardzo, a jego brat odszedł i zniknął w zaroślach. Wiedział, co trzeba robić.

*

Temudżyn próbował wziąć łuk z rąk Bektera, ale ten zdzielił go po rękach trzonkiem noża.

- Ja to zrobię - powiedział rozdrażniony.

Temudżyn patrzył, jak brat nagina brzozoney kij, żeby włożyć jego koniec w pętlę plecionej cięciwy. Skrzywił się, oczekując trzasku, który oznaczałby niepowodzenie ich trzeciej próby. Od samego początku nie podobało mu się, że Bekter tak gwałtownie obchodzi się z szykowaną bronią jak gdyby drzewce i cięciwa były wrogami, których trzeba przymusić do posłuszeństwa. Kiedy tylko Temudżyn próbował pomóc, Bekter irytował się i dopiero po wielu nieudanych próbach niechętnie zgodził się, żeby brat przytrzymał mu naginane

drewno. Drugi łuk pękł, a pierwsze dwie cięciwy wytrzymały tylko na tyle, że dało się je napiąć, po czym także pękły. Słońce wspinało się na niebie, a braciom wrzała już krew ze złości.

Nowa cięciwa była spleciona z trzech cienkich kawałków, odciętych z przepaski na biodra Temudżyna. Była nedorzecznie gruba i niewygodna i wyraźnie drżała, kiedy Bekter wreszcie zamocował ją na łuku i czekał, co się stanie. Cięciwa nie pękła i obaj odetchnęli z ulgą. Bekter przeciągnął po niej kciukiem i rozległ się niski, brzęczący dźwięk.

- Zrobiłeś strzały? - zapytał Temudżyna.

- Tylko jedną - brzmiała odpowiedź brata, który pokazał mu prostą gałązkę brzozy z kościaną igłą mocno wbitą w drewno.

Całą wieczność zajęło mu obkruszenie odłamka kości do takiego kształtu, że mógł ją przywiązać, pozostawiając tylko mały szpikulec, który doskonale mieścił się w rozdwojonym drzewcu. Temudżyn podczas tej pracy wstrzymywał oddech, wiedząc, że gdyby skruszył grot, mogło już nie być szans, że zdobędzie gdzieś drugi.

- To daj mi ją - powiedział Bekter i wyciągnął rękę.

Temudżyn potrząsnął głową.

- Zrób sobie swoją - odparł i zabrał strzałę. - Ta jest moja.

Zobaczył złość w oczach Bektera i pomyślał, że brat może uderzyć go dopiero co wykonanym łukiem. Ale najwyraźniej żał mu się zrobiło czasu poświęconego na zrobienie broni, więc tylko pokiwał głową.

- Powinienem być się tego po tobie spodziewać.

Bekter, demonstracyjnie trzymając łuk poza zasięgiem rąk Temudżyna, znalazł kamień i zaczął obrabiać własny grot. Temudżyn stał sztywno i patrzył, rozdrażniony, że musi pracować z durniem.

- Ołkunutowie nie mówią o tobie zbyt dobrze, Bekterze, wiedziałeś o tym? - powiedział.

Bekter prychnął, splunął na kamień i dalej przesuwał po nim kościany odłamek.

- Nie obchodzi mnie, co o mnie myślą, mój bracie - odparł ponuro.

- Gdybym został chanem, najechałbym ich już pierwszej zimy. Pokazałbym im, ile kosztuje ich duma.

- Powiedz to matce, jak wrócimy - odpowiedział Temudżyn. - Na pewno ucieszy się, gdy się dowie, co planowałeś.

Bekter rzucił Temudżynowi mordercze spojrzenie swoich małych, ciemnych oczu.

- Jesteś tylko dzieckiem - powiedział po chwili. - Nigdy nie mógłbyś prowadzić Wilków.

Temudżyn poczuł ogarniający go płomień gniewu, ale zachował kamienną twarz.

- Teraz już się tego raczej nie dowiemy - stwierdził.

Bekter puścił to mimo uszu i dalej piłował kość, żeby nabrała właściwego kształtu.

- Zamiast tak stać, może zrobiłbyś coś pożytecznego i poszukał nory tarbagana?

Temudżyn nawet nie odpowiedział. Odwrócił się plecami do brata i odszedł.

*

Posiłek był mizerny tego wieczora. Höelün udało się skrzesać ogień, jednak wilgotne liście dymiły i dusiły płomień. Kolejna noc w chłodzie mogła ich zabić, ale Höelün przerażała też myśl, że ktoś mógłby zobaczyć światło. Wąwóz wśród wzgórz utrudniał znalezienie ich kryjówki, ale i tak kazała synom usiąść tak, by zasłonić to słabe światło. Wszyscy byli osłabieni głodem, a Temüge miał wokół ust zielony osad po tym, jak próbował dzikich ziół i zwymiotował.

Mimo całodziennych wysiłków chłopcy przynieśli tylko dwie ryby, obie złapane w rzecznej pułapkę raczej dzięki szczęściu niż umiejętnościom. Mimo niewielkich rozmiarów, świeże, czarne kawałki mięsa przyciągały ich spojrzenia.

Temudżyn i Bekter milczeli, wściekli na siebie. Kiedy Temudżyn w końcu znalazł norę tarbagana, Bekter nie chciał podać mu łuku, a Temudżyn rzucił się na niego z wściekłością i obaj tarzali się wśród mokrych liści. W końcu złamali jedną ze strzał i jej suchy trzask przerwał ich bójkę. Bekter próbował złapać drugą, ale Temudżyn był szybszy. Postanowił już, że pożyczyci nóż od Kacziuna i zrobi własny łuk następnego dnia.

Höelün wkładała gałązki do ognia i zastanawiała się, który z jej synów będzie głodował. Kacziun i Kasar zasłużyli przynajmniej na odrobinę mięsa, ale wiedziała też, że jej własne siły są najważniejszym, co mieli. Ona sama dygotała z zimna i czuła się źle. Gdyby osłabła z głodu albo nawet umarła, reszta by nie przetrwała. Zgrzytnęła zębami ze złości, kiedy spojrzała na dwóch najstarszych chłopców. Obaj nosili na ciele świeże ślady walki. Höelün miała ochotę porachować im obu kości za ich głupotę. Nie rozumieli, że nie będzie ratunku, jeżeli nie znajdą żywności, że nic się nie odwlecze! Ich życie zależało teraz od dwóch małych rybek!

Höelün skubnęła paznokciem ciemne mięso. Starła się nie poddawać rozpacz. Lekko nacisnęła rybę i na jej twarzy pojawił się wyraz rozkoszy, gdy dotknęła ustami do strużki jasnej cieczy, która pociekła jej po palcu. Chociaż jej żołądek domagał się jedzenia, przerwała rybę na dwa kawałki i podała po jednym Kacziunowi i Kasarowi.

Kacziun potrząsnął głową.

- Ty pierwsza - powiedział, doprowadzając ją niemal do płaczu.

Kasar usłyszał go i też odjął sobie od ust swój kawałek. Czuł pieczone mięso, a Höelün wiedziała, że cieknie mu ślinka.

- Mogę wytrzymać trochę dłużej niż ty, Kacziunie - powiedziała. - Zjem jutro.

Kasarowi to wystarczyło i zamknął usta na kawałku ryby i głośno wyssał mięso, oddzielając je od ości. Oczy Kacziuna były ciemne od głodu szarpiącego mu wnętrza, ale chłopiec potrząsnął głową.

- Ty pierwsza - powtórzył.

Wyciągnął rękę z głową ryby, a Höelün delikatnie wzięła ją od niego.

- Myślisz, że mogłabym wziąć od ciebie jedzenie, Kacziunie? Mój drogi synu? - Ton jej głosu spoważniał. - Jedz albo wrzucę ją z powrotem do ognia.

Skrzywił się na tę myśl i natychmiast wziął od niej upieczony kawałek mięsa. Wszyscy usłyszeli chrzęst ości, kiedy Kacziun miał rybę w ustach na papkę, wysysając każdą kroplę pożywienia.

- Teraz ty - powiedział Temudżyn do matki.

Sięgnął po drugą rybę, żeby jej podać. Bekter gwałtownie szarpnął jego rękę i Temudżyn prawie znowu się na niego rzucił w nagłym gniewie.

- Nie muszę dzisiaj jeść - powiedział Temudżyn, opanowując złość.

- Ani Bekter. Podziel się ostatnim kawałkiem z Temügem.

Nie mógł znieść głodnych spojrzeń wokół ogniska i wstał nagle, żeby nie patrzeć. Osłabiony zatoczył się lekko. Wtedy Bekter sięgnął i przełamał rybę na dwoje. Większy kawałek włożył do ust, a drugi podał matce, unikając jej wzroku.

Höelün ukryła rozdrażnienie, choć cierpiała, widząc, co głód czyni z jej rodziną. Wszyscy czuli, że śmierć zagląda im w oczy i trudno było być silnym. Höelün wybaczyła Bekterowi, ale

ostatni kawałek ryby trafił do Temügego, który wyssał łączywie pożywne mięso i zaczął się rozglądać, czy nie ma więcej. Temudżyn splunął na ziemię, umyślnie zahaczając flegmą o del Bektera. Zanim starszy brat poderwał się na nogi, Temudżyn zniknął już w ciemnościach. Wilgotne powietrze wychładzało się szybko po zachodzie słońca i wszyscy przygotowywali się na kolejną lodowatą noc.

ROZDZIAŁ 12

Temudżyn czekał nieruchomo i patrzył wzdłuż toru wycelowanej strzały. Chociaż wszystkie tarbagany rozpierzchły się, gdy przyszedł, to wiedział, że te głupie stworzenia niebawem pojawią się z powrotem. Z dobrym łukiem i beltami przy strzałach Temudżyn byłby pewien, że przyniesie do domu tłustego samca.

Najbliższe wąwozu siedlisko tarbaganów było na niebezpiecznie otwartej przestrzeni. Temudżyn wolałby mieć kilka krzaczków, w których mógłby się schować, ale zamiast tego musiał siedzieć zupełnie nieruchomo i czekać, aż płochliwe stworzenia zaryzykują powrót. Jednocześnie spoglądał co chwilę na wzgórze w obawie, czy na ich grzbietach nie pojawi się nagle jakiś wędrowiec. Höelün karmiła ich ostrzeżeniami, aż wszyscy zaczęli obawiać się cieni i spoglądać na horyzont za każdym razem, kiedy opuszczali schronienie w wąwozie.

Wiatr wiał Temudżynowi w twarz, więc jego zapach nie mógł odstraszyć zdobyczy, ale łuk musiał być na wpół opuszczony, bo najłżejszy ruch posyłał tarbagany z powrotem do nor jak stado skaczących pcheł. Ręce Temudżyna drżały od zmęczenia, a jakby na przekór jakiś wewnętrzny głos mówił mu, że tym razem musi trafić. To jednak nie dodawało mu otuchy, tylko mąciło jego spokój. Po czterech dniach żywienia się małymi ochłapami mięsa i dziką cebulą synowie i żona Jesügeja umierali z głodu. Höelün straciła energię i siedziała apatycznie, gdy jej córka wrzeszcząc, uderzała w nią rączkami. Przez pierwsze trzy dni tylko niemowlę dobrze się odżywiało, ale potem Höelün zaczęło już brakować mleka i gdy mała pochłipywała z głodu, żal ścisnął serce. Kacziun i Kasar wspięli się daleko w górę wąwozu, przetrząsając teren w poszukiwaniu jakiegoś zwierzęcia, które mogło oddalić się od stada i zgubić drogę. Kacziun zrobił sobie mały łuk i trzy strzały o ostrzach czarnych od hartowania w ogniu. Temudżyn życzył im powodzenia, ale wiedział, że miał większe szanse, żeby ich uratować, jeśliby dobrze trafił. Już prawie czuł w ustach smak gorącego mięsa tarbagana, który właśnie usiadł dwadzieścia kroków od niego. Nawet dziecko trafiłoby z tej odległości, gdyby tylko były belty na strzałach. Teraz jednak Temudżyn musiał czekać zbyt długo i zmęczone ramiona z trudem dźwigały łuk. W duchu przywoływał płochliwe stworzenia, aby odeszły nieco dalej od bezpiecznego schronienia i zbliżyły się do niego.

Zamrugał, żeby strzepnąć krople potu z powiek. Tarbagan rozglądał się dookoła, czując bliską obecność drapieżcy. Temudżyn zobaczył, jak zwierzę zamiera w bezruchu i wiedział, że w następnej chwili tarbagan czmychnie do nory, wszczynając alarm dla całego stada. Wstrzymał oddech, a potem wypuścił z płuc powietrze zwalniając cięciwę ze strzałą, nie wierząc, że mu się uda.

Strzała ugodziła tarbagana w kark. Uderzenie nie było szczególnie silne, mimo to grot utkwiał w wijącym się teraz wściekle stworzeniu. Temudżyn widział jaśniejsze futerko na brzuchu tarbagana i szaleńczo machające łapki. Rzucił łuk, zerwał się na nogi i pomknął w kierunku zdobyczy, by złapać zwierzę zanim uwolni się i zniknie pod ziemią. Upadł nań całym ciężarem ciała i chwycił go zachłannie. Tarbagan zaczął się zaciekle szarpać i niemal wyrwał się osłabionemu głodem Temudżynowi. Strzała wysunęła się z rany i krew bryzgnęła na suchą ziemię. Temudżyn miał łzy ulgi w oczach, kiedy wreszcie złapał i skręcił kark zwierzęcia. Tarbagan stale rzucał się jeszcze w konwulsjach i uderzał o nogę dyszącego z wysiłku Temudżyna, ale rodzina przynajmniej naje się do syta. Temudżyn zaczekał, aż minie mu

oszołomienie i przez chwilę ważył zdobycz w rękę. Zwierzę było tłuste i zdrowe i Temudżyn wiedział, że jego matka dostanie tego wieczora posiłek z ciepłego mięsa i krwi. Ściągną zmiele się na miazgę i użyje wraz z rybim klejem do wzmocnienia łuku. Kolejna strzała doleci na większą odległość i strzał będzie celniejszy. Położył sobie dłonie na kolanach i zaśmiał się cicho ze swojego poczucia ulgi. Było to tak niewiele, ale znaczyło tak dużo, że Temudżyn ledwie mógł w to uwierzyć.

Za plecami rozległ się znajomy głos.

- Co złapałeś? - zapytał Bekter, idąc przez trawę w kierunku brata.

Miał własny łuk na ramieniu i nie wyglądał na tak ściśniętego głodem jak inni. Kacziun pierwszy wypowiedział na głos podejrzenia, że Bekter nie przynosił rodzinie swoich zdobyczy. Przy ogniu skwapliwie brał swoją porcję, ale w ciągu czterech dni, które spędzili w lesie, ani razu sam czegoś nie przyniósł. Temudżyn stał wyprostowany, czując się niepewnie w obliczu Bektera, który lustrował wzrokiem jego zdobycz.

- Tarbagana - powiedział i podniósł zwierzę do góry.

Bekter pochylił się do przodu, żeby zobaczyć - i chwycił zdobycz. Temudżyn odskoczył do tyłu, potknął się i bezwładnie upadł jak długi na ziemię. Zaczęli się szamotać i kopiąc, i tłukąc się dziko nawzajem. Temudżyn był zbyt słaby, by powstrzymać Bektera i po chwili, znowu odepchnięty, patrzył w błękit nieba ciężko dysząc.

- Ja go zaniosę naszej matce. Ty byś go tylko ukradł i sam go zjadł - powiedział Bekter, spoglądając z góry na leżącego brata.

Temudżyna wzburzyło to podejrzenie. Chciał zerwać się na nogi, ale Bekter oparł stopę na jego piersiach i Temudżyn skapitulował. Opuściły go siły.

- Złap sobie drugiego, Temudżynie. I nie przychodź, zanim tego nie zrobisz.

Bekter zaśmiał się, pochwycił bezwładnego tarbagana i puścił się biegiem w dół zbocza ku ziemnej i gęstej zieleni. Temudżyn patrzył za nim tak wściekły, że myślał, że pęknie mu serce. Kołatało mu teraz w piersi i chłopiec obawiał się, że było osłabione z powodu długotrwałego głodu. A przecież nie mógł umrzeć, dopóki Ełuk rządził Wilkami i dopóki Bekter nie dostał nauczki!

Usiadł i jeszcze raz opanował gniew. Głupie tarbagany wróciły na miejsce, kiedy leżał, ale rozpierzchły się znowu, skoro tylko podniósł się z ziemi. Wściekły chwycił strzałę, przyłożył ją do plecionej cięciwy i na powrót przybrał nieruchomą postawę myśliwego. Mięśnie bolały go, a nogi lada moment mogły odmówić mu posłuszeństwa, jednak serce uspokoiło się i zaczęło bić silniej i pewniej.

*

Tego wieczora rodzina mogła posilić się tylko jednym tarbaganem. Höelün ożywiła się, kiedy Bekter przyniósł jej zdobycz i rozpałała większy ogień, żeby ogrzać kamienie. Chociaż trzęsły się jej ręce, delikatnie przecięła brzuch zwierzęcia, wyjęła wnętrzności i włożyła do środka kamyki na tyle gorące, że tłuszcz zaczął skwierczeć. Miała ręce owinięte delem, ale dwa razy skrzywiła się, kiedy żar ukąsił ją w palce. Mięso upiekło się od środka, a napęczniałą skórę nadziano na zwęglone gałęzie i prażono, żeby nadać jej smakowitej kruchości. Serce również pieczono w popiele, aż zaczęło skwierczeć. Niczego nie marnowano.

Sam zapach jakby przydawał rumieńców policzkom Höelün, która objęła Bektera, nawet nie czując płynących jej łez ulgi. Temudżyn nie powiedział ani słowa o tym, co zaszło. Höelün chciała, żeby pracowali wspólnie, i byłoby okrucieństwem oskarżać uśmiechniętego brata, gdy

była tak słaba.

Bekter rozkoszował się poświęcaną mu uwagą i regularnie spoglądał na Temudżyna święcącymi oczami. Temudżyn ponuro odwzajemniał spojrzenie, kiedy matka nie patrzyła. Kacziun zauważył to, kiedy wieczorny półmrok przeszedł w ciemność nocy, i szturchnął brata łokciem.

- Co się dzieje? - szepnął, kiedy usiedli do jedzenia.

Temudżyn potrząsnął głową, nie chcąc dzielić się nienawiścią. W tej chwili potrafił myśleć tylko o parujących kawałkach mięsa, które podał mu Bekter, rozdzielający jedzenie jak chan karmiący swoich ludzi. Temudżyn zauważył, że najlepszą część - łopatkę Bekter zatrzymał dla siebie.

Wszyscy po raz pierwszy w życiu kosztowali tak wspaniałego mięsa. Teraz, kiedy ich ogrzewało, czuli się nieco szczęśliwsi, nieco optymistyczniej spoglądali w przyszłość. To wszystko dzięki jednemu celnemu strzałowi z łuku - wprawdzie Kacziun też przyniósł trzy małe ryby i kilka świerszczy, ale to była prawdziwa uczta. Kawałki mięsa paliły ich wnętrzości, kiedy połykali je zbyt szybko i musieli popijać wodą, żeby zgasić ten żar. Temudżyn mógłby wybaczyć Bekterowi kradzież, gdyby bracia nie obsypywali go tak szczodrze pochwałami. Bekter przyjmował je, jakby mu się należały, a w jego oczach było ciche rozbawienie, które rozumiał tylko Temudżyn.

*

Nie było deszczu tej nocy i chłopcy, odrobinę uciszwszy głód, położyli się do snu w drugim ze zbudowanych przez siebie szałasów. Głód wciąż im doskwierał, jednak mogli już zapanować nad sobą i teraz, gdy widmo śmierci głodowej się oddaliło, z kamienną twarzą znosili wszelkie niewygody.

Temudżyn jednak nie spał. Wstał po cichu i poszedł w ciemność. Spojrzał na księżyc i zadygotał w nocnym chłodzie. Zdał sobie sprawę, że lato miało się już ku końcowi. Zbliżała się zima, która przyniesie śmierć tak pewną, jak od noża wrazonego w pierś. W czasie zimnych miesięcy tarbagany spały w norach, ukryte głęboko pod ziemią, gdzie nie można ich było osiągnąć. Ptaki odlatywały na południe i nie można ich było złapać. Zima była wystarczająco ciężka dla ludzi mieszkających w ciepłych jurtach wśród stad bydła i koni. Dla rodziny Jesügeja będzie mordercza. Kiedy Temudżyn stał i opróżniał pęcherz, nie mógł uwolnić się od myśli o Ołkunutach i o tej nocy, kiedy wyslizgnął się z jurty w ślad za Kökem. Był wtedy dla plemienia matki dzieckiem, niczym więcej, jak tylko obiektem ich drwin. Tęsknił boleśnie do niewinności tamtej nocy i żałował, że nie może teraz objąć Börte. Zaśmiał się w duchu, kiedy zdał sobie sprawę, że teraz to Börte mieszkała w ciepłe i miała co jeść, podczas gdy jemu zaczynały wystawać już przez skórę kości.

Temudżyn wyczuł czyjaś obecność za plecami, przykucnął i odwrócił się, gotowy do ataku lub ucieczki.

- Masz dobry słuch, bracie - zabrzmiał głos Kacziuna. - Jestem w nocy jak cichy wietrzyk.

Temudżyn uśmiechnął się do brata i rozluźnił mięśnie.

- Dlaczego nie śpisz?

Kacziun wzruszył ramionami.

- To przez głód. Wczoraj przestał mi już doskwierać, ale potem Bekter przyniósł mięso tarbagana i mój żołądek znowu się obudził.

Temudżyn splunął na ziemię.

- To był mój tarbagan. Ja go upolowałem, Bekter tylko mi go zabrał.

Trudno było czytać z twarzy Kacziuna w nikłym świetle księżycy, ale Temudżyn dostrzegł zatroskanie brata.

- Domyślałem się. Ale inni chyba niczego nie zauważyli.

Zamilkł i przez chwilę stał nieruchomo. Jego niewielka, ciemna postać ledwo była widoczna w mroku. Temudżyn zauważył, że pod tuniką brata jest coś schowane i dotknął tego miejsca palcem.

- Co tam masz? - zapytał z zaciekawieniem.

Kacziun obejrzał się nerwowo w stronę obozowiska, po czym wyciągnął coś spod ubrania i podał Temudżynowi. Był to kolejny upolowany tarbagan i Temudżyna ogarnął gniew, gdy pomacał w ręku kości zwierzęcia. Były porozdzielane dokładnie w taki sposób, w jaki łamałby je głodny człowiek, by dostać się do małych kawałków szpiku. Bekter nie ryzykował rozpalenia ognia. Kości były surowe, tarbagan został upolowany najwyżej dzień wcześniej.

- Znalazłem to tam, gdzie polował Bekter - powiedział Kacziun zatroskanym głosem.

Temudżyn obracał w rękach kruche małe kości i macał palcami czaszkę. Bekter zostawił skórę, ale oczy zniknęły. Zabił tarbagana w dniu, kiedy nie było nic do jedzenia dla nikogo z nich.

Temudżyn ukląkł i zaczął szukać małych, pozostałych przy kości kawałków mięsa. Czuło się już zapach zgnilizny, ale mięso nie mogło się za bardzo zepsuć w ciągu jednego dnia. Kacziun ukląkł obok niego i obaj raz jeszcze ssali każdą ze złamanych kości, żeby wydobyć z nich ostatnie kawałki szpiku. Nie trwało to długo.

- Co teraz zrobisz? - zapytał Kacziun, kiedy skończyli.

Temudżyn zastanowił się i doszedł do wniosku, że innego wyjścia nie ma.

- Widziałeś kiedyś kleszcza na skórze konia, Kacziunie?

- Oczywiście - odpowiedział brat.

Obaj widywali tłuste pasożyty wielkie jak staw kciuka. Kiedy się je wyjęło, zostawiały krwawy ślad, który zasklepiał się bardzo długo.

- Kleszcz może być niebezpieczny, gdy koń jest słaby - powiedział cicho Temudżyn. - Wiesz, co trzeba zrobić, kiedy się go znajdzie?

- Zabić go - szepnął Kacziun.

*

Kiedy Bekter opuścił obozowisko kolejnego ranka, Temudżyn i Kacziun wymknęli się za nim. Wiedzieli, gdzie zwykł polować, i pozwolili mu odejść daleko, tam, gdzie czuł się swobodnie, pewien, że nikt go nie widzi.

Kacziun spoglądał nerwowo na Temudżyna, kiedy skradali się wśród drzew. Temudżyn widział strach brata i dziwił się, że sam go nie czuje. Głód nieustannie szarpał mu wnętrzności i Temudżyn dwa razy przystawał, by zrzucić zielonkawą ciecz z żołądka, po czym wycierał usta w liście i szedł dalej. Kręciło mu się w głowie i czuł się osłabiony, ale głód wypalił w nim wszystkie inne odczucia. Pomyślał, że może mieć lekką gorączkę, ale zmusił się do dalszego marszu, chociaż serce tłukło mu się w piersi. Zdał sobie sprawę, że właśnie to czyniło go wilkiem. Nie czuł strachu ani żalu, tylko samą chęć pozbycia się wroga.

Nie było trudno śledzić Bektera na błotnistym gruncie. Nie próbował ukryć swoich śladów i groziło im tylko, że natkną się na niego niespodziewanie, kiedy akurat przykucnie, żeby wypatrywać zdobyczy. Temudżyn i Kacziun skradali się cicho jego śladem w pełnej gotowości. Kiedy zobaczyli parę skowronków na drzewie, Kacziun lekko dotknął ramienia brata i dał mu znak, żeby obeszli je szerokim łukiem, by nie spłoszyć ptaków i nie wzbudzić

czujności Bektera.

Kacziun zatrzymał się, a Temudżyn odwrócił się do niego i aż skrzywił się, widząc doskonale zarysowaną czaszkę brata pod naciągniętą skórą twarzy. Był to przykry widok i Temudżyn pomyślał, że sam też wygląda na bliskiego śmierci. Kiedy zamykał oczy, tracił równowagę i zataczał się. Jeszcze raz przemógł się, żeby wziąć głęboki wdech i uspokoić skołatane serce. Kacziun podniósł rękę, a Temudżyn powiódł wzrokiem we wskazanym kierunku. Zamarł, kiedy zobaczył Bektera o sto kroków przed nimi, klęczącego jak posąg w zaroślach nad strumieniem. Poczuł lęk przed najstarszym bratem. Obaj z Kacziunem znali z czasów dziecięcych zabaw siłę jego pięści i przytłaczającą przewagę podczas bójek. Temudżyn patrzył na Bektera i zastanawiał się, w jaki sposób może się do niego zbliżyć na odległość dogodną do strzału. Nie miał cienia wątpliwości, że postępuje słusznie. Wiedział dobrze, co ma zrobić, choć nie do końca potrafił sobie wyobrazić, jak to będzie wyglądało. W głowie kłębiły mu się ciężkie myśli, od których przejmował go chłód, jednak klamka zapadła.

Bracia drgnęli, gdy Bekter ze swej kryjówki wypuścił strzałę w kierunku wody. Obaj wycofali się w krzaki, kiedy usłyszeli paniczne trzepotanie skrzydeł i zobaczyli, jak trzy kaczki w popłochu wzbijają się w górę, obwieszczając głosem spóźnione ostrzeżenie.

Bekter poderwał się na nogi i zanurzył w strumieniu. Zniknął im z oczu za drzewem, a kiedy znowu pojawił się na brzegu, niósł bezwładne ciało upolowanego ptaka.

Temudżyn patrzył przez plątaninę gałęzi i cierni.

- Zaczekamy tutaj - mruknął. - Znajdź sobie miejsce po drugiej stronie ścieżki. Weźmiemy go, jak będzie wracał.

Kacziun przełknął głośno i starał się nie okazywać zdenerwowania. Nie podobał mu się ten nowy chłód u Temudżyna i żałował, że pokazał mu kości tarbagana poprzedniego wieczora. W świetle dnia jego ręce trzęsły się na myśl o tym, co zamierzali, a kiedy Temudżyn spojrział na niego, Kacziun nie podniósł wzroku na brata. Zaczekał, aż Bekter odwróci się plecami, i przebiegł na drugą stronę ścieżki z łukiem gotowym do strzału.

Temudżyn zmrużył oczy, kiedy Bekter wyciągnął strzałę i wsunął kaczkę pod ubranie. Poczuł ukłucie rozczarowania, kiedy Bekter rozluźnił obolałe mięśnie i ruszył w przeciwnym kierunku, wspinając się po stromej ścianie wąwozu. Temudżyn uniósł otwartą dłoń w kierunku miejsca, gdzie ukrywał się niewidoczny Kacziun. Pomyślał o Bekterze pożerającym tłustą kaczkę gdzieś w samotności i chciał go zabić właśnie w takiej chwili. Gdyby był silny, z żołądkiem pełnym dobrego mleka i mięsa, mógłby pobiec za nim, ale przy obecnej słabości tylko zasadzka mogła się powieść. Temudżyn rozprostował nogi, żeby nie zaczęły mu drętwieć. Głód szarpnął mu trzewia tak, że aż skulił się, póki ból nie minął. Nie ważył się ściągnąć spodni, by obdarzony czułym węchem Bekter nie poczuł fetoru odchodów. Jesügej nauczył ich wszystkich czujności i Temudżyn nie chciał stracić przewagi przez zlekceważenie przeciwnika. Udało mu się pokonać fizjologię i czekał przycupnięty.

Najgorsza chwila nadeszła, kiedy na gałęzi drzewa niedaleko miejsca, gdzie chłopcy czaili się w wilgotnym poszyciu, usiadł gołąb. Temudżyn patrzył na niego w męce; wiedział, że z odległości zaledwie kilku kroków z łatwością mógłby go trafić z łuku. Ptak najwyraźniej nie wiedział o ich obecności, a Temudżynem co chwilę wstrząsały bolesne skurcze żołądka. Zdawał sobie jednak z tego sprawę, że gdyby zastrzelił gołębia, wszystkie ptaki znajdujące się w pobliżu wzleciałyby w górę i zaalarmowały Bektera. Mimo to nie mógł jednak oderwać wzroku od gołębia, a kiedy ptak odleciał, długo jeszcze brzmiał mu w uszach łopot jego skrzydeł.

Bekter wrócił, kiedy słońce przeszło już na drugą stronę wąwozu i cienie zaczynały się wydłużać. Temudżyn usłyszał jego kroki i otrząsnął się z zamyślenia. Zaskoczyło go, że minęło już tyle czasu, i zastanawiał się nawet, czy nie spał. Mięśnie odmawiały mu posłuszeństwa, a woda ze strumienia nie łagodziła już piekącego bólu w żołądku.

Temudżyn przyłożył strzałę do cięciwy i czekał, potrząsając głową, żeby uciszyć tańczący mu przed oczami świat i przywrócić ostrość widzenia. Chcąc ożywić ciało i przez chwilę jeszcze przymusić je do posłuszeństwa, powtarzał sobie, że Bekter go zabije, jeśli chybi. Ciężko było się skoncentrować i Temudżyn ze złością przecierał oczy, wciąż jeszcze zasłute mgłą. Słyszał, że Bekter się zbliża, i nagle przyszedł właściwy moment.

Temudżyn wyszedł na ścieżkę ledwie kilka kroków przed Bekterem. Dobył łuku, a zdumiony Bekter spojrzał na niego z rozdziawionymi ustami. O ułamek sekundy za późno sięgnął po nóż, ale Temudżyn już zwolnił strzałę. Patrzył, jak kościany grot wbija się w pierś brata... W tej samej chwili Kacziun strzelił mu w plecy.

Bekter zachwiał się i ryknął z gniewu. Z nożem w ręku postąpił najpierw jeden, potem drugi krok naprzód, zanim nogi ugięły się pod nim i upadł twarzą w liście. Słysząc było tylko bulgoczące syczenie przebitego płuca. Temudżyn nie czuł żalu. Jak w transie podszedł bliżej, upuścił łuk i wziął nóż z dłoni leżącego brata.

Podniósł wzrok na przerażonego Kacziuna, a potem z grymasem na twarzy schylił się i wbił nóż w kark Bektera, wypuszczając z niego krew i życie.

- To koniec - powiedział i spojrzał w dół na wytrzeszczone, zeszkłone oczy brata.

Ledwo trzymał się na nogach, kiedy obmacywał del i tunikę Bektera w poszukiwaniu kaczki. Nie było jej. Temudżyn kopnął zwłoki i ruszył przed siebie. Świat wirował mu przed oczami, zataczał się tak, jakby miał zaraz upaść. Oparł czoło o chłodny, wilgotny pień brzozy i czekał, aż puls przestanie dudnić mu w żyłach.

Usłyszał szelest miękkich kroków na liściach: Kacziun zbliżał się, omijając ciało brata. Temudżyn otworzył oczy.

- Miejmy nadzieję, że Kasar przyniesie coś do jedzenia - powiedział.

Kiedy Kacziun nie odpowiedział, Temudżyn zabrał łuk Bektera i włożył go sobie na ramię.

- Kiedy inni zobaczą nóż Bektera, będą wiedzieli - powiedział Kacziun głosem drżącym z emocji.

Temudżyn wyciągnął rękę i objął go za kark, co podziałało uspokajająco nie tylko na brata, także na niego samego. W głosie Kacziuna słysząc było panikę, jej pierwsze echo czuł też u siebie. Nie myślał wcześniej, co się stanie, gdy jego wróg już będzie martwy. Bekter nie dokona już zemsty, nie będzie mógł odzyskać jurt i trzód ich ojca. Szczętnie tam, gdzie upadł. Rzeczywistość ta dopiero zaczynała dochodzić do świadomości Temudżyna, który ledwie mógł teraz uwierzyć, że istotnie to zrobił. Minął ów dziwny nastrój przed strzałem, a zamiast niego pojawiły się tylko słabość i głód.

- Ja im powiem - zdecydował. Poczuł, jak jego wzrok znów wędruje w dół i spoczywa na ciele Bektera, jakby przyciągnięty jakąś niewidzialną siłą. - Powiem im, że kazał nam wszystkim głodować. Nie ma tu miejsca na rozczulanie się. Powiem im to.

Raz jeszcze schodzili do wąwozu, wzajemnie czerpiąc otuchę ze swojej obecności.

ROZDZIAŁ 13

Höelün wyczuła, że coś się stało, kiedy tylko spostrzegła synów wracających do obozowiska. Kasar i Temüge siedzieli koło niej, a mała Temülün leżała na kawałku płótna niedaleko ciepłego ogniska. Höelün podniosła się powoli z kolan, a na jej zmizerniałej twarzy malował się strach. Kiedy Temudżyn podszedł bliżej, zobaczyła, że niesie łuk Bektera. Skamieniała, odgadując straszną prawdę. Ani Temudżyn, ani Kacziun nie mogli spojrzeć jej w oczy, a jej głos był tylko szeptem, kiedy w końcu się odezwała.

- Gdzie jest wasz brat? - zapytała.

Kacziun wbił wzrok w ziemię, niezdolny do odpowiedzi. Höelün zrobiła krok naprzód, kiedy Temudżyn uniósł głowę i głośno przełknął.

- Zabierał pożywienie, chował je dla siebie... - zaczął.

Höelün wydała z siebie okrzyk gniewu i uderzyła go z całej siły w twarz.

- Gdzie jest twój brat? - zapytała stanowczo, wysokim głosem. - Gdzie jest mój syn?

Krew ciekła z nosa Temudżyna czerwonym strumieniem na usta i chłopiec musiał splunąć.

- Nie żyje - rzucił zakrwawionymi wargami.

Zanim zdążył powiedzieć coś jeszcze, Höelün uderzyła go raz jeszcze, a potem biła go bezustannie, aż w końcu mógł się tylko kulić i cofać. Natarła na niego, ogarnięta rozpaczą której nie mogła znieść.

- Ty go zabiłeś?! - lamentowała. - Czym ty jesteś?!

Temudżyn próbował przytrzymać jej ręce, ale była dla niego za silna i grad ciosów spadał mu na twarz i ramiona, wszędzie, gdzie tylko Höelün mogła sięgnąć.

- Przestań go bić! Proszę! - wołał gdzieś z tyłu Temüge, ale Höelün go nie słyszała.

Coś wyło jej w uszach, a gniew prawie rozrywał ją na kawałki. Przyparła Temudżyna do drzewa, chwyciła go za ramiona i zaczęła szarpać jego wychudzone ciało z taką siłą, że niemal odpadła mu głowa.

- Jego też chcesz zabić? - krzyknął Kacziun i próbował ją odciągnąć.

Wyszarpnęła swój del z jego ręki, chwyciła Temudżyna za długie włosy i odchyliła mu głowę tak, żeby musiał spojrzeć jej w oczy.

- Urodziłeś się z grudą krwi w dłoni, ze śmiercią. Mówiłam twojemu ojcu, że będziesz dla nas przekleństwem, ale on był zaślepiony.

Nie widziała już przez łzy, a Temudżyn czuł, że jej dłonie zaciskają mu się na głowie jak szczypce.

- Chował jedzenie przez nami wszystkimi, chciał, żebyśmy pomarli z głodu! - krzyczał Temudżyn. - Żebyś ty umarła z głodu!

Nie tłumił już płaczu, bardziej samotny niż kiedykolwiek. Höelün popatrzyła na niego, jakby był obłąkany.

- Zabrałeś mi syna, mojego chłopca! - powiedziała.

Spojrzała na niego i podniosła mu rękę na wysokość twarzy tak, że zobaczył jej połamane paznokcie przed oczami. Chwila ta zdawała się trwać bez końca, a Temudżyn patrzył w przerażeniu i czekał na cios.

Siła Höelün zniknęła równie szybko, jak się pojawiła, i kobieta osunęła się bezwładnie na ziemię bez czucia. Temudżyn został sam i dygotał z emocji. Jego żołądek buntował się,

chłopak zaczął wymiotować sokiem żołądkowym.

Kiedy Temudżyn odsunął się od matki, zobaczył braci, którzy patrzyli na niego. Zaczął na nich dziko krzyczeć.

- Jadł tłuste tarbagany, kiedy my umieraliśmy z głodu! Trzeba go było zabić. Jak myślicie - jak długo pożylibyśmy jeszcze, skoro zabierał nam największą część pożywienia?! Widziałem, jak upolował dzisiaj kaczkę, ale czy przyniósł ją tutaj, żebyśmy mogli się pożywić?! Nie, jest w jego brzuchu!

Höelün poruszyła się za nim na ziemi i Temudżyn odskoczył, spodziewając się kolejnego natarcia. W oczach stanęły mu świeże łzy, kiedy spojrzał na matkę, którą tak uwielbiał. Mógł oszczędzić jej tej wiedzy, gdyby tylko o tym pomyślał, mógł wymyślić opowieść o jakimś śmiertelnym wypadku Bektera. Ale nie, powtarzał sobie, nie postąpił źle. Bekter był kleszczem na skórze, brał więcej, niż mu się należało i nie dawał nic od siebie, kiedy oni umierali na jego oczach. Höelün dostrzegłaby to z czasem.

Jego matka otworzyła przekrwione oczy i z trudem podniosła się na kolana, zawodząc z żalu. Nie miała siły, żeby stanąć znowu na nogach i musieli jej pomóc Temüge i Kasar. Temudżyn potarł przekrwiony siniec i spojrzał ponuro na matkę. Miał ochotę raczej uciec niż raz jeszcze poczuć na sobie jej wzrok, ale zmusił się, żeby zostać na miejscu.

- On by nas wszystkich zabił - powiedział.

Höelün spojrzała na niego zamglonymi oczami w taki sposób, że aż się zatrząsł.

- Wymów jego imię - powiedziała. - Wymów imię mojego pierworodnego.

Temudżyn skrzywił się, nagle ogarnięty słabością. Jego zakrwawiony nos był gorący i puchł mu na twarzy, a przed oczami migwały mu ciemne plamki. Chciał tylko osunąć się na ziemię i zapaść w sen, ale został i wpatrywał się w matkę.

- Wymów jego imię - powtórzyła raz jeszcze, a w jej spojrzeniu w miejsce obojętności pojawił się gniew.

- Bekter - Temudżyn wypluł to słowo - ten, który kradł jedzenie, kiedy my umieraliśmy z głodu.

- Powinnam była cię zabić, kiedy zobaczyłam, jak znachorka otwiera ci dłoń - powiedziała Höelün cichym głosem, jeszcze bardziej przerażającym niż jej gniew. - Powinnam była wtedy wiedzieć, czym ty jesteś.

Temudżyn czuł, że coś rozrywa go w środku, ale nie mógł powstrzymać raniących go słów matki. Chciał do niej podbiec, żeby objęła go i ochroniła przed zimnem, i nie chciał już widzieć u niej pustego cierpienia, które jej zadał.

- Odejdź ode mnie, chłopcze - powiedziała cicho Höelün. - Kiedy zobaczę cię śpiącego, zabiję cię za to, co tu zrobiłeś. Za to, co mi zabrałeś. Nie ty go uciszałeś, kiedy wyrzynały mu się zęby. Nie ty byłeś przy nim, kiedy trzeba było ziołami obniżyć mu gorączkę, kiedy trzeba go było ukołysać w najgorszych chwilach. Nie istniałeś jeszcze, kiedy Jesügej i ja już kochaliśmy naszego małego chłopca. Kiedy byliśmy młodzi, a on był wszystkim, co mieliśmy.

Temudżyn słuchał, oniemiały z wrażenia. Może matka nie zrozumiała jeszcze, jakim człowiekiem stał się Bekter. Niemowlę, które kołysała, wyrosło na okrutnego złodzieja, ale Temudżyn nie mógł znaleźć słów, żeby jej to powiedzieć. Nawet kiedy już uformowały mu się w ustach, ugryzł się w język, wiedząc, że byłyby bezużyteczne albo co gorsza skłoniłyby ją do kolejnego ataku. Potrząsnął głową.

- Przykro mi - powiedział, chociaż zdawał sobie sprawę, że żałował bólu, jaki spowodował, a nie samej śmierci brata.

- Zabieraj się stąd, Temudżynie - szepnęła Höelün. - Nie mogę już na ciebie patrzeć.

Z nagłym szlochem odwrócił się i pobiegł przed siebie, wymijając braci, z rzęzącym oddechem w gardle i smakiem krwi w ustach.

*

Nie widzieli go potem przez pięć dni. Chociaż Kacziun wypatrywał brata, jedynym śladem, jaki znajdowali, była upolowana zwierzyna, którą Temudżyn przynosił i zostawiał na skraju ich małego obozowiska. Pierwszego dnia leżały tam dwa gołębie, wciąż ciepłe, z krwią broczącą im z ran. Höelün nie odrzuciła podarunku, ale nie chciała mówić o tym, co zaszło, z żadnym z braci. Jedli mięso w ponurym milczeniu, tylko Kacziun i Kasar wymieniali spojrzenia, a Temüge pociągał nosem za każdym razem, gdy Höelün zostawiała go samego. Śmierć Bektera byłaby może ulgą dla młodszych chłopców, gdyby przyszła, jeszcze kiedy byli bezpieczni w jurtach Wilków. Opłakaliby brata i zanieśli jego ciało na podniebny pochówek, czerpiąc siłę z rytuału. W wąwozie pośród wzgórz przypominało im to tylko po raz kolejny, jak blisko czaiła się śmierć. Na początku przez pewien czas była to przygoda, zanim głód nie naciągnął im skóry na kości. Żyli teraz jak dzikie zwierzęta i obawiali się nadchodzącej zimy.

W wąwozie pośród wzgórz zgasł też śmiech Kasara. Chodził zaszepiony, odkąd Temudżyn odszedł z obozowiska i teraz to on karciał Temügego, gdy ten za bardzo naprzykrzał się matce. Pod nieobecność Bektera wszyscy uczyli się nowych ról i Kasar przewodził teraz na polowaniu każdego ranka wraz z Kacziunem, ponurym na twarzy. Znaleźli lepsze jeziorko, bardziej w górę wąwozu, ale żeby tam dojść, musieli przechodzić obok miejsca, gdzie zginął Bekter. Kacziun przeszukał okolicę i zobaczył, że Temudżyn odciągnął zwłoki i przykrył je gałęziami. Ciało przyciągało padlinożerców i kiedy Kacziun znalazł wychudzonego, martwego psa na skraju obozowiska, musiał zmusić się, żeby przełknąć każdy odżywczy kęs jego mięsa. Stale widział oczami wyobraźni, jak Temudżyn zabija zwierzę, kiedy bezcześci ono ciało Bektera, ale potrzebował pożywienia, a pies był ich najlepszym posiłkiem, odkąd znaleźli się w tym miejscu.

Wieczorem piątego dnia Temudżyn wkroczył nagle w obręb obozowiska. Rodzina zamarła na jego widok, a młodszy bracia spojrzeli na Höelün, wyczekując jej reakcji. Popatrzyła na syna i zobaczyła, że niesie w ręku małe koźle, wciąż żywe. Zdała sobie sprawę, że jej syn wyglądał na silniejszego, a jego skóra ogorzała od dni spędzonych na wzgórzach na wietrze i słońcu. Zaskoczył ją przyływ ulgi, że nic mu nie jest, a przecież tak bardzo nienawidziła go za to, co zrobił. Nie mogła znaleźć w sobie przebaczenia.

Temudżyn wziął zwierzątko za ucho i zaciągnął do środka kręgu rodziny.

- Widziałem dwóch pasterzy kilka mil na zachód stąd - powiedział.

- Są sami.

- Oni też cię widzieli? - spytała nagle Höelün, czym zaskoczyła wszystkich.

Temudżyn popatrzył na nią, a w jego nieruchomym spojrzeniu znać było niepewność.

- Nie. Wziąłem koźle, kiedy pojechali za wzgórze. Może spostrzegli stratę, nie wiem, ale nie mogłem nie wykorzystać szansy.

Przestąpił z nogi na nogę i czekał, że matka powie coś jeszcze. Nie wiedział, co robi, gdyby znowu go odesłała.

- Zaczną go szukać i znajdą twoje ślady - powiedziała. - Mogli tu przyjść za tobą.

Temudżyn westchnął. Nie miał siły do kolejnej kłótni. Zanim matka zdążyła zaprotestować, usiadł przy ogniu ze skrzyżowanymi nogami i wyciągnął nóż.

- Musimy jeść, żeby żyć. Jeśli nas znajdą zabijemy ich.

Zobaczył, że twarz matki znowu staje się chłodna, i czekał na burzę, która z pewnością miała nadejść. Biegł przez całe mile tego dnia i bolał go każdy mięsień jego chudego ciała. Nie zniósłby kolejnej samotnej nocy i może ta obawa była widoczna na jego twarzy.

Kacziun odezwał się, żeby przerwać okropne napięcie.

- Ktoś z nas powinien pilnować dziś obozu na wypadek, gdyby przyszli - powiedział.

Temudżyn skinął nie patrząc na niego, ze wzrokiem wbitym w matkę.

- Potrzebujemy się nawzajem - powiedział. - Jeśli postąpiłem źle, zabijając brata, to to tego nie zmienia.

Koźlę meczało i próbowało przemknąć się między Höelün i Temügem. Höelün wyciągnęła rękę i objęła koźlę za kark, a Temudżyn zobaczył w świetle ognia, że matka płacze.

- Co ja mam ci powiedzieć, Temudżynie? - odezwała się cicho. Koźlę było ciepłe i Höelün zatopiła twarz w jego futrze, kiedy szarpało się i krzyczało. - Wyrwałeś mi serce i może nie dbam już o to, co zostało.

- Dbasz jednak o innych. Musimy przeżyć zimę albo to będzie już koniec - powiedział Temudżyn. Wyprostował plecy, a jego jasne oczy jakby zaświeciły w świetle płomieni.

Höelün przytaknęła, mrużąc pod nosem jakąś pieśń z dzieciństwa i głaszcząc uszy koźlęcia. Widziała kiedyś, jak jej dwóch braci umiera od zarazy i jak plemię jej ojca zostawia ich opuchniętych i czarnych na stepie. Słyszała krzyki wojowników, których ran nie dało się już uleczyć, a których agonie trwała całymi dniami, zanim w końcu uchodziło z nich życie. Niektórzy nawet prosili o łaskę przez przecięcie mieczem ich gardła, co też czyniono. Całe życie kroczyła ze śmiercią i może mogła nawet przeżyć utratę syna, była przecież matką Wilków.

Nie wiedziała, czy może kochać człowieka, który go zabił, chociaż pragnęła przygarnąć go do siebie i odpędzić żal. Nie zrobiła tego, tylko sięgnęła po nóż.

Zrobiła wcześniej czarki z kory brzozy, kiedy jej synowie polowali, i rzuciła teraz jedną Kasarowi i Kacziunowi. Temüge wziął szybko drugą i zostały tylko dwa proste naczynia, a Höelün zwróciła smutne oczy na ostatniego z synów.

- Weź czarkę, Temudżynie - powiedziała po chwili. - Krew doda ci sił.

Opuścił głowę na jej słowa, wiedząc, że wolno mu będzie zostać.

Drżącymi rękami wziął czarkę i przytrzymał ją w górze jak inni. Höelün westchnęła i silniej złapała koźlę, po czym wbiła ostrze w kark, podcinając mu żyły. Krew ściekła jej po palcach i chłopcy zaczęli się przepychać, żeby jej nabrać, zanim się zmarnuje. Koźlę rzucało się jeszcze, kiedy napełnili czarki i wypili ciepłą ciecz, mlaszcząc i czując, jak odżywia ich ciało i łagodzi ból.

Kiedy krew ciekła już tylko niewielką strużką, Höelün przytrzymała bezwładne zwierzę w jednej ręce, a drugą cierpliwie napełniła własną czarkę aż po brzegi, po czym też się napiła. Koźlę drgało jeszcze w powietrzu, ale konało lub było już martwe, bo jego oczy były wielkie i ciemne.

- Upieczemy mięso jutro wieczorem, kiedy będę pewna, że ogień nie ściągnie pasterzy szukających zaginionego koźlęcia - powiedziała Höelün. - Jeśli tu przyjdą, nie wolno im stąd odejść i powiedzieć innym, gdzie jesteśmy. Rozumiecie?

Chłopcy oblizali krwawe usta i uroczyście przytaknęli. Höelün wzięła głęboki wdech i ukryła rozpacz gdzieś głęboko, gdzie opłakiwała Jesügeja i wszystko, co stracili. Zamknęła ból tam, gdzie nie mógł jej zniszczyć, ale w niej coś bezustannie płakało.

- Czy przyjdą, żeby nas zabić? - zapytał Temüge swoim wysokim głosem i nerwowo

popatrzył na zrabowane koźle.

Höelün potrząsnęła głową i przyciągnęła go do siebie, żeby dać i czerpać otuchę.

- Jesteśmy Wilkami, mój mały. Nie tak łatwo nas zabić.

Powiedziała to, wpatrując się w Temudżyna, który aż zatrzęsł się pod jej okrutnym spojrzeniem.

*

Z twarzą przyciśniętą do białej, oszronionej trawy Temudżyn patrzył w dół zbocza na dwóch pasterzy. Spali na plecach, owinięci w ocieplane dele z rękami włożonymi w rękawy. Bracia Temudżyna leżeli obok na brzuchu, a mróz przeszywał ich ciało. Noc była całkowicie spokojna. Zwierzęta i ludzie byli nieświadomi obecności tych, którzy patrzyli. Temudżyn wyteżał wzrok w mroku. Wszyscy trzej chłopcy mieli łuki i noże i ze skupieniem na twarzach obserwowali obozowisko, i kalkulowali szanse. Każdy ruch wzbudziłby meczący popłoch wśród kóz i dwóch pasterzy natychmiast ocknęłoby się ze snu.

- Nie możemy podejść bliżej - szepnął Kasar.

Temudżyn zmarszczył czoło w zamyśleniu i próbował zignorować ból, jaki sprawiało mu leżenie na zmarzniętej ziemi. Pasterze musieli być twardymi ludźmi, zdolnymi do przetrwania w samotności. Na pewno mieli łuki złożone przy sobie, by zabić wilka, jeśli by próbował ukraść jagnię. Nie byłoby inaczej, gdyby drapieżnikami byli trzej chłopcy, zwłaszcza w nocy.

Temudżyn przełknął ślinę z trudem, kiedy tak patrzył na niemal sielską scenę na dole zbocza. Może przyznałby rację bratu i wrócił do wąwozu między wzgórzami, gdyby nie wychudzony kuc, którego pasterze uwiązali obok. Spał na stojąco z głową niemal przy samej ziemi. Temudżyn pragnął go zdobyć i znów usiąść w siodle. Dzięki temu mógłby polować dalej niż dotąd i przynosić jeszcze większą zdobycę. Jeśli to była klacz, mogła mieć mleko i język Temudżyna smakował je teraz we wspomnieniach. Pasterze mieli przy sobie z pewnością o wiele więcej użytecznych przedmiotów i nie można było po prostu przepuścić takiej okazji, niezależnie od ryzyka. Nadchodziła zima. Czuło się ją w powietrzu i kłujących igiełkach mrozu na odsłoniętej skórze. Jak długo mogli przetrwać bez ochrony z owczego tłuszczu?

- Widzicie psy? - mruknął Temudżyn.

Nikt nie odpowiedział. Zwierzęta te na pewno leżały z podwiniętymi ogonami dla ochrony przed zimnem i nie można ich było dostrzec. Temudżyn z niesmakiem pomyślał o psach rzucających się na niego w ciemnościach, ale nie było wyboru. Pasterze musieli zginąć, jeśli jego rodzina miała przeżyć. Wziął głęboki wdech i sprawdził, czy cięciwa przy jego łuku była sucha i mocna.

- Mam najlepszy łuk. Podejdę i zabiję pierwszego, który się ruszy. Ty pójdiesz za mną i będziesz strzelał do psów, jeśli rzucą się na mnie. Rozumiesz? - W świetle księżyca doskonale widział zdenerwowanie braci.

- Najpierw psy, a potem każdy, kto ostanie się żywy - upewnił się Temudżyn.

Kiedy skinęli, wstał cicho i ruszył półbiegiem ku śpiącym pasterzom, kierując się pod wiatr, żeby jego zapach nie spłoszył trzody.

Chłód jakby stępił zmysły mieszkańców małego obozowiska. Temudżyn zbliżał się do nich coraz bardziej i słyszał tylko własny chrapliwy oddech. Trzymał łuk w pogotowiu. Miał nadzieję, że dla kogoś wyszkolonego w posyłaniu strzał w pełnym galopie, zadanie nie będzie trudne.

Kiedy dobiegł na odległość trzydziestu kroków coś poruszyło się przy śpiących pasterzach

- jakiś ciemny kształt poderwał się z ziemi i zawył. Po drugiej stronie obozu inny pies rzucił się w kierunku Temudżyna z warczeniem i szczekaniem. Temudżyn krzyknął w strachu i desperacko starał się koncentrować tylko na pasterzach.

Ocknęli się gwałtownie i zerwali na nogi właśnie w chwili, gdy Temudżyn posłał pierwszą strzałę. W ciemności nie zdecydował się celować w kark, ale grot przebił del i ugodził pasterza w pierś, powalając go na kolana. Temudżyn usłyszał okrzyk bólu i zobaczył, jak drugi pasterz rusza na niego z napiętym łukiem. Owce i kozy meczały w popłochu i rozpierzchały się dziko na wszystkie strony w ciemnościach. Niektóre natrafiały na Temudżyna i jego braci i umykały gwałtownie na boki, widząc drapieżców między sobą.

Temudżyn pędził, żeby uprzedzić strzał drugiego pasterza. Kolejną strzałę miał przypiętą do pasa przy biodrach i szarpał teraz za nią, klnąc, że utknęła. Pasterz wycelował własną broń z pewnością wojownika i Temudżyna na chwilę ogarnęło zwątpienie. Nie mógł wydostać własnej strzały i wpadł w panikę, gdy z jego lewej strony rozległo się warczenie. Odwrócił się, kiedy jeden z psów rzucił mu się do gardła, i upadł na plecy, a strzała pasterza świsnęła mu nad głową. Temudżyn wrzasnął ze strachu, kiedy zęby psa zacisnęły mu się na ramieniu, ale wtedy strzała Kasara z impetem trafiła kark zwierzęcia i uciszyła warczący atak.

Temudżyn upuścił łuk przy upadku i widział teraz, że pasterz spokojnie przykłada kolejną strzałę do cięciwy. Co gorsza, drugi pasterz powoli wstawał znowu na nogi. On też miał łuk i Temudżyn zastanawiał się przez chwilę nad ucieczką. Wiedział jednak, że musieli skończyć, co zaczęli, albo pasterze będą ich ścigać i wybiją jednego po drugim w świetle księżyca. Szarpał za strzałę i tym razem uwolnił ją. Drżącymi rękami przyłożył ją do cięciwy. Ale gdzie był drugi pies?

Strzała Kacziuna ugodziła stojącego pasterza pod podbródkiem. Przez chwilę przeciwnik stał z dobytym łukiem i Temudżyn myślał, że strzeli jeszcze, zanim podda się śmierci. Słyszał o wojownikach tak wyszkolonych, że potrafili schować miecz do pochwy już po tym, jak ich zabito, ale pasterz w pewnej chwili po prostu osunął się na ziemię.

Drugi przeciwnik, ten zraniony wcześniej przez Temudżyna, mocował się z łukiem i krzyknął z bólu, gdy próbował go napiąć. Strzała Temudżyna przecięła mu mięśnie na piersi i nie mógł naciągnąć cięciwy na tyle, żeby oddać strzał.

Serce Temudżyna uspokoiło się, gdy zobaczył, że bitwa była wygrana. Kasar i Kacziun stanęli u jego boku i wszyscy trzej patrzyli, jak palce pasterza raz po raz ześlizgują się z łuku.

- Drugi pies? - mruknął Temudżyn.

Kacziun nie mógł oderwać wzroku od przeciwnika mocującego się z łukiem i modlącego się teraz cicho w obliczu wrogów.

- Zabiłem go.

Temudżyn poklepał brata po plecach w podziękowaniu.

- To skończmy to.

Pasterz zobaczył, że najwyższy z jego wrogów bierze strzałę od jednego z pozostałych i napina łuk. Przestał szarpać się z własną bronią, upuścił ją na ziemię i zamiast niej dobył noża i podniósł wzrok na księżyc i gwiazdy. Nie krzyczał już, a strzała Temudżyna trafiła mu prosto w jasne gardło. Nawet teraz stał przez chwilę na nogach, chwiejąc się, po czym runął na ziemię.

Bracia ostrożnie podeszli do ciała, wypatrując jakichkolwiek oznak życia. Temudżyn posłał Kasara w pościg za kucem, który mimo skrępowanych nóg zerwał się z uwięzi, gdy poczuł zapach krwi. Temudżyn odwrócił się do Kacziuna, chwycił go za kark i przygarnął do siebie

tak, że zetknęli się czołami.

- Przeżyjemy zimę - powiedział z uśmiechem Temudżyn.

Kacziunowi udzielił się jego nastrój i razem wydali z siebie okrzyk zwycięstwa, który rozniósł się po pustym stepie. Może było to głupie, ale przecież, mimo że zabili, wciąż byli jeszcze chłopcami.

ROZDZIAŁ 14

Ełuk siedział przy ogniu i patrzył w płomienie, rozmyślając o przeszłości. W ciągu czterech lat, odkąd opuścił cień góry Deli'ün Bołdak i ziemie wokół Czerwonego Wzgórza, Wilki urosły w siłę i bogactwa, zwiększyła się też liczebność plemienia. Niektórzy wciąż nienawidzili go za porzucenie synów Jesügeja, ale nie było śladu złego losu. Już pierwsza wiosna przyniosła więcej jagniąt, niż ktokolwiek pamiętał, a w jurtach zjawił się tuzin wrzeszczących niemowląt. Plemię nie straciło ani jednego przy narodzinach ku zadowoleniu tych wszystkich, którzy wypatrywali znaków.

Ełuk mruknął do siebie, kiedy drugi bukłak ajraku przyjemnie zamglił i przyćmił mu wzrok. To były dobre lata i dziś trzech jego własnych synów biegało po koczowisku, ucząc się posługiwać łukiem i mieczem. Ełuk przybrał na wadze, ale był to raczej przyrost ciała, niż zbytek tłuszczu. Zęby i oczy wciąż miał zdrowe, a jego imię budziło strach wśród plemion. Wiedział, że ma się z czego cieszyć.

W ciągu tych lat plemię Wilków powędrowało daleko na południe aż dotarło do krain, w których tak roiło się od much i było tyle wilgoci, że nie można było wytrzymać ciągłego pieczenia, swędzenia i szczypania skóry. Ełuk tęsknił do chłodnych, suchych wiatrów wśród północnych wzgórz, ale odkąd zawrócił plemię na starą ścieżkę, bezustannie zastanawiał się, co stało się z rodziną Jesügeja. Po części wciąż żałował, że nie wysłał któregoś z druhów, żeby położył kres ich życiu. Nie miał wyrzutów sumienia, ale dręczyło go poczucie niedokończonej pracy.

Mruknął, kiedy przechylił bukłak i stwierdził, że jest pusty. Leniwie skinął dłonią, żeby przyniesiono mu następny i po chwili podała mu go młoda kobieta. Ełuk spojrzał na nią z aprobatą, kiedy klęknęła przed nim z opuszczoną głową. Nie przypominał sobie jej imienia, kiedy ajrak mącił mu zmysły, ale dziewczyna była szczupła i długonoga, gibka jak wiosenny żrebak. Chan poczuł wzbierającą w nim żądzę i wyciągnął rękę, żeby dotknąć twarzy dziewczyny. Uniósł jej głowę tak, żeby spojrzała na niego. Powoli, umyślnie bez pośpiechu, wziął jej rękę i przyłożył ją sobie do uda, żeby dziewczyna poznała jego zamiary. Wyglądała na zdenerwowaną ale nie zważał na to, a chanowi się nie odmawiało. Zapłaci jej ojcu, darując mu jednego z nowych kuców, jeśli dziewczyna go zadowoli.

- Idź do mojej jurty i czekaj na mnie - powiedział bełkotliwie i patrzył, jak dziewczyna odchodzi.

Wspaniałe nogi, ocenił i przez chwilę zastanawiał się, czy nie pójść za nią. Chęć ta szybko jednak minęła, kiedy znów zaczął wpatrywać się w płomienie.

Wciąż miał w pamięci sposób, w jaki synowie Jesügeja wazyli się patrzeć na niego, kiedy zostawiał ich na stepie. Gdyby to wydarzyło się dziś, tego ranka, sam ściałby ich mieczem. Cztery lata wcześniej ledwie położył ręce na wodzach plemienia i nie wiedział, jak bardzo Wilki będą mu wierne. Tyle przynajmniej nauczył go Jesügej. Plemiona mogły znieść wiele z rąk swoich przywódców, ale zawsze trzeba było pilnować granicy, której przekraczać nie wolno.

Ale pewnie już pierwsza zima zabrała te chude dzieci i ich matkę. Ełuk dziwnie się czuł, wracając na ziemię, z którą wiązało się tyle wspomnień. Koczowisko było tylko tymczasowe, zatrzymali się, żeby konie znów urosły w siłę na dobrej trawie. Za miesiąc dotrą już pewnie

do krainy wokół Czerwonego Wzgórza. Ełuk słyszał, że Ołkunutowie też wracali w te strony, on zaś prowadził Wilki na północ, a w jego umyśle dojrzywały marzenia o podboju. Ajrak rozgrzewał mu krew i rozbudzał w nim żądzę bitwy bądź potrzebę bliskości kobiety, która czekała na niego w jurcie.

Ełuk wziął głęboki wdech, rozkoszując się chłodnym powietrzem. Zatęsknił już do zimna po wilgotnych nocach południa, kiedy jego skóra była czerwona od owadzych ukąszeń i dziwnych pasożytów, które trzeba było wycinać szpicem noża. Powietrze na północy zdawało się czystsze, a chorobliwy kaszel mijał już współplemieńcom Ełuka. Jeden starzec i dwoje dzieci zmarło, a ich ciała pozostawiano jastrzębiom na wzgórzach, ale wśród Wilków panował dobry nastrój, kiedy wracali do znajomych krain.

- Tołuju! - zawołał Ełuk, chociaż pomysł ledwie świtał mu w głowie.

Spojrzał w bok, a jego druh podniósł się z ziemi i stanął przy nim.

Ełuk, z taką samą satysfakcją, jaką odczuwał, gdy widział mnożące się stada, patrzył, jak ten rosły człowiek mu się kłania. Wilki dobrze się spisały na ostatnim wielkim zgromadzeniu plemion, wygrywając dwie krótkie gonitwy, a przegrywając najdłuższą tylko o długość konia. Uhonorowano też jego włóczników, a dwóch jego druhów awansowało do ostatnich rund w zapasach. Tołuj dotrwał do piątej walki i otrzymał tytuł Sokoła, zanim pokonał go wojownik z plemienia Najmanów. W nagrodę Ełuk przyjął go na swojego druha, a za rok czy dwa postawi na niego jako na zwycięzcę całego turnieju. Potężny młodzieniec był jego najwierniejszym poddanym, a że ponadto to Ełuk go wychował, teraz zwrócił się właśnie do niego.

- Byłeś tylko chłopcem, kiedy ostatni raz jeździliśmy na północy - powiedział Ełuk. Tołuj przytaknął, a jego spojrzenie pozostało obojętne.

- Widziałeś, jak zostawiamy na stepie dzieci i żonę starego chana.

- Widziałem, ale nie było już dla nich miejsca wśród nas - opowiedział Tołuj, a w jego niskim głosie brzmiała pewność.

Ełuk uśmiechnął się.

- Właśnie tak. Nie było już dla nich miejsca. Urosiliśmy w bogactwa, odkąd ruszyliśmy na południe. Ojciec Niebo błogosławił nam wszystkim.

Tołuj nie odpowiedział, a Ełuk nie przerywał milczenia i zastanawiał się, jaki dokładnie rozkaz wydać. Były to tylko duchy i stare rany, ale wciąż nawiedzały go sny o Höelün i budził się spocony. Czasami wiła się pod nim nago, a czasem widział jej wychudzone ciało i wystające kości. Nie było to istotne, ale kraina wokół starej góry wskrzesiła przeszłość z popiołów.

- Weź dwóch zaufanych ludzi - powiedział Ełuk.

Tołuj ze skupieniem słuchał, pragnąc zadowolić chana.

- Dokąd nas pošlesz? - zapytał i czekał na odpowiedź, podczas gdy Ełuk napełnił usta ajrakiem i przełknął.

- Wróc na nasze dawne tereny łowieckie - powiedział w końcu chan. - Sprawdź, czy jeszcze żyją, którekolwiek z nich.

- Mam ich zabić? - zapytał Tołuj.

W jego głosie była tylko zwykła ciekawość, a Ełuk potarł w zamyśleniu swój pełny brzuch. U jego boku leżał miecz, który służył kiedyś Jesügejowi. Była to odpowiednia broń, żeby zakończyć jego ród kilkoma szybkimi cięciami.

- Jeśli przetrwali, na pewno żyją jak zwierzęta. Zrób z nimi, co zechcesz.

Urwał na chwilę, kiedy rozmyślał nad oporem Bektera i Temudżyna, wpatrując się w

plomienie.

- Jeśli znajdziesz najstarszych chłopców, sprowadź ich tutaj, do mnie. Pokażę im, jak wygląda plemię Wilków pod rządami silnego chana, zanim rzucimy ich ptakom i duchom.

Tołuj schylił ciężką głowę.

- Twoja wola - mruknął i odwrócił się, żeby zebrać towarzyszy drogi.

Ełuk patrzył, jak jego druh odchodzi w świetle ognia, stawiając mocne, pewne kroki. Plemię zapomniało o dzieciach Jesügeja. Czasami miał wrażenie, że tylko on jeszcze pamiętał.

*

Tołuj wyjechał z koczowiska z Basanem i Ünegem. Obaj jego towarzysze zbliżali się do trzydziestki, ale nie urodzili się tak jak on po to, by przewodzić. Tołuj cieszył się siłą i chociaż widział tylko osiemnaście zim, wiedział, że inni boją się jego porywczosci. Dla potężnego młodego wojownika było to uczucie, które ledwo mógł utrzymać na wodzy. Czerpał przyjemność ze spojrzeń, jakimi obrzucali go starsi mężczyźni. Widział, jak dbali o siebie w czasie zimnych miesięcy, i jak oszczędzali siły. Tołuj natomiast zbudzony w środku nocy od razu był gotowy do pracy lub walki, dumny ze swojej młodości.

Tylko Ełuk nie wahał się ani przez chwilę, gdy Tołuj wyzwał go do zapasów i rzucił nim tak mocno, że złamał mu dwa palce i żebro. Tołuj odczuwał perwersyjną przyjemność ze służenia jednemu człowiekowi, który dorównywał mu siłą i chan nie miał wierniejszego sługi wśród Wilków.

Przez pierwsze trzy dni jechali bez słowa. Starsi wojownicy ostrożnie trzymali się na dystans od ulubieńca Ełuka, wiedząc, jak zmienne są jego nastroje. Przeszukiwali teren aż do samego Czerwonego Wzgórza i widzieli wszędzie soczystą, grubą trawę, którą pożywią się ich trzody, gdy Ełuk popędzi je przed plemieniem. To była dobra ziemia i nie zajęło jej w tym roku żadne inne plemię. Tylko kilku pasterzy w oddali psuło wrażenie samotnej jazdy na rozległym stepie.

Dwunastego dnia jeźdźcy dojrzeliby pojedynczą jurkę przy rzece i puścili się galopem w jej kierunku. Tołuj zawołał „Nochoj chor!”, żeby wędrowni pasterze uciszyli psy, po czym zeskoczył z siodła w sprężysty torf, podszedł do niskich drzwi i zanurkował do wnętrza jurty. Basan i Ünegem wymienili spojrzenia, zanim dołączyli do niego z ponurym i chłodnym wyrazem twarzy. Obaj znali się od chłopięcych lat, zanim jeszcze Jesügej został chanem Wilków. Drażniło ich, że przewodził im teraz arogancki młody Tołuj, ale nie chcieli przepuścić okazji, żeby sprawdzić, co stało się z zostawioną na stepie rodziną poprzedniego chana.

Tołuj przyjął czarkę mlecznej solonej herbaty, wziął ją w swoje wielkie dłonie, po czym głośno wysiorbał napój i usiadł na starym, zniszczonym łożu. Pozostali przyłączyli się do niego, skłoniwszy się pasterzowi i jego żonie, którzy ze szczerym przestachem patrzyli na przybyszów z drugiego końca jurty.

- Nie macie się czego bać - powiedział Basan, kiedy brał od nich herbatę, czym zasłużył sobie na pogardliwe spojrzenie Tołuja. Młody druh ani trochę nie dbał o tych, którzy nie byli Wilkami.

- Szukamy kobiety z pięcioma synami i córką - powiedział Tołuj, a jego niski głos aż huczał w ciasnej jurcie.

Żona pasterza nerwowo podniosła wzrok, a Basan i Ünegem poczuli, że nagle przyspiesza im serce.

Tołuj też dostrzegł reakcję.

- Znacie ich? - zapytał i pochylił do przodu.

Pasterz cofnął się, widocznie spłoszony kręłą posturą obcego wojownika. Potrząsnął głową.

- Słyszeliśmy o nich, ale nie wiemy, gdzie są - powiedział.

Tołuj patrzył nieruchomo na pasterza. Jego usta otworzyły się powoli, obnażając białe zęby. Nad jurta zawisła groźba i wszyscy to teraz czuli.

Zanim ktokolwiek powiedział coś jeszcze, przez drzwi wbiegł mały chłopczyk i zatrzymał się gwałtownie, widząc obcych w jurcie rodziców.

- Widziałem konie - powiedział i rozejrzał się wkoło wielkimi, ciemnymi oczami.

Tołuj zaśmiał się i zanim ktokolwiek zdążył się ruszyć, przyciągnął do siebie chłopca, obrócił go do góry nogami i zaczął nim bujać. Chłopczyk śmiał się, ale twarz Tołuja pozostała zimna, a pasterz i jego żona zeszywnieli ze strachu.

- Musimy ich znaleźć - powiedział Tołuj, przekrzykując śmiechy chłopca.

Przez chwilę trzymał go bez widocznego wysiłku w wyciągniętych rękach, po czym obrócił go znowu tak, że chłopczyk usiadł mu na kolanach.

- Jeszcze raz! - powiedział zachwycony chłopiec.

Tołuj widział, jak matka dziecka zaczyna podnosić się na nogi, a jej mąż złapał ją za ramię.

- Znacie ich - powiedział pewnym głosem Tołuj. - Powiedzcie nam, a pojedziemy sobie.

Raz jeszcze obrócił ich syna do góry nogami wśród jego radosnych okrzyków. Przekrzywił głowę i wyczekiwał reakcji rodziców. Twarz matki zmarszczyła się.

- Jest jedna kobieta z chłopcami w małym obozowisku o dzień jazdy na północ. Mają tylko dwie jurty i kilka kuców. To spokojni ludzie - powiedziała prawie szeptem.

Tołuj skinął, czerpiąc przyjemność z władzy, którą miał nad nią, kiedy jej syn nieświadomy niczego śmiał się w jego ramionach. Wreszcie postawił chłopca na podłodze i pchnął go w kierunku rodziców. Matka objęła syna i zamknęła oczy, kiedy był przy niej.

- Jeśli kłamiecie, wrócę tu - powiedział Tołuj.

Groźba była widoczna w jego ciemnych oczach i w jego dłoniach, które tak łatwo mogły zabić ich syna. Pasterz nie patrzył mu w oczy i wbił wzrok w ziemię, dopóki Tołuj i jego towarzysze nie opuścili jurty.

Kiedy wsiedli na konie, Tołuj zauważył potężnego psa, który wyszedł ku niemu zza jurty. Zwierzę było za stare, żeby polować, i patrzyło na obcych zbielełymi oczami, co było znakiem niemal zupełnej ślepoty. Tołuj wyszczerzył zęby na psa, a ten odpowiedział niskim, gardłowym warczeniem. Tołuj zaśmiał się i pewnym ruchem napiął łuk. Basan zmarszczył czoło, kiedy Tołuj posłał strzałę prosto w kark psa. Zwierzę zwinęło się w spazmie i wydało z siebie charkotliwe dźwięki, podczas gdy wojownicy popędzili konie i pognali w dal.

Tołuj był najwyraźniej w najlepszym humorze, kiedy przyrządzali posiłek tego wieczora. Wysuszone mięso owcy nie było zbyt stare, ale ser był lekko zjełczały, drapał w język, kiedy go żuli i przełykali.

- Jakie są rozkazy chana, kiedy już ich znajdziemy? - zapytał Basan.

Tołuj spojrzał na starszego wojownika i ściągnął brwi, jakby pytanie było obelgą. Czerpał przyjemność z zastraszania innych wojowników swoimi spojrzeniami, zawsze popartymi siłą, którą mógł powalić kuca na kolana jednym uderzeniem. Nie odpowiedział, dopóki Basan nie odwrócił wzroku, dając za wygraną w kolejnym niewielkim starciu.

- Cokolwiek postanowię, Basanie - powiedział, rozkoszując się tą myślą. - Chan chce tylko, żebyśmy ściągnęli mu starszych chłopców. Przywiążę ich do ogona naszych

wierzchowców i każę im biec za nami.

- Może to nie ci, których szukamy? - zasugerował młodszemu wojownikowi Ünegen. - Mają przecież jurty i kuce.

- Zobaczymy. Jeśli to oni, zabierzemy im też konie - powiedział Tołuj i uśmiechnął się na tę myśl. Ełuk nie wyobrażał sobie, żeby były jakieś łupy, ale nikt nie podda w wątpliwość prawa Tołuja do dobytku rodziny Jesügeja. Ich los był jasny od dnia, gdy zostawiło ich plemię. Nie dotyczyło ich prawo gościnności, stali się tylko włóczęgami bez chana, który by ich chronił. Tołuj czknał i włożył ręce do delu, żeby nie zmarzły mu we śnie. To był dobry dzień. Nie można było chcieć więcej.

*

Temudżyn otarł pot z powiek, kiedy związał ostatnie belki małego ogrodzenia, wewnątrz którego owce i kozy miały wydać na świat swoje młode. Małe stadko rozrosło się, żywiąc tylko kilka osób, a dwa lata wcześniej bracia wymienili wśród wędrowców wełnę i mięso na wojłok. Wytargowali dość filcu, żeby postawić dwie małe jurty, których widok zawsze podnosił Temudżyna na duchu.

Kasar i Kacziun ćwiczyli się obok w łucznictwie, strzelając do grubej tarczy z wojłoku owiniętego płótnem. Temudżyn wstał i rozluźnił mięśnie, wychylając się przez ogrodzenie, żeby przyjrzeć się braciom, i wrócił przy tym myślami do pierwszych miesięcy, kiedy śmierć i zimno towarzyszyły im na każdym kroku. Był to ciężki czas dla nich wszystkich, ale obietnica ich matki się sprawdziła. Przeżyli. Bez Bektera między braćmi zawiązała się nić zaufania i czerpali siłę ze swojej jedności, kiedy pracowali wspólnie od świtu do zmierzchu. Wzmocniło ich to i kiedy nie harowali przy trzodach ani nie przygotowywali towarów na sprzedaż, wspólnie doskonalili swoje umiejętności w posługiwaniu się bronią.

Temudżyn dotknął noża przy pasie, dość wyostrzonego, aby ciął skórę. W jurcie był jeszcze łuk, którego nie powstydziliby się ojciec Temudżyna - piękna broń z lśniącymi, rogowymi zdobieniami na wypukłościach. Cięciwa przy napinaniu wrzynała się w palce jak ostrze noża i minęły całe miesiące, zanim dłonie Temudżyna stały się na tyle mocne, żeby podołać temu zadaniu. Łuk nie posłużył jeszcze do zabicia wroga, ale Temudżyn wiedział, że w potrzebie broń pośle strzałę łatwo i celnie.

Chłodny wietrzyk smagał zielone równiny i Temudżyn zamknął oczy, rozkoszując się sposobem, w jaki powiew suszył jego pot. Słyszał, jak matka śpiewa w jurcie swoim najmłodszemu dziecku - Temügemu i malutkiej Temülün. Uśmiechnął się i na chwilę zapominał o trudach życia. Nieczęsto znajdował chwilę spokoju. Chociaż bracia handlowali z pojedynczymi pasterzami i ich rodzinami, ze zdziwieniem odkryli, że poza wielkimi plemionami na stepach żyła jeszcze inna społeczność. Niektórzy jej członkowie zostali wygnani za przestępstwa przemocy lub lubieżności. Inni urodzili się już bez ochrony chana. Byli to ostrożni ludzie, a Temudżyn stykał się z nimi tylko po to, żeby przetrwać. Dla kogoś urodzonego w jurcie chana ludzie ci wciąż byli włóczęgami bez plemienia, niegodnymi uwagi. Temudżynowi nie podobało się, że żył teraz wśród nich, a jego bracia dzielali to uczucie. Wyrastali powoli na mężczyzn i nie mogli oprzeć się rozmyśleniom, jak powinno wyglądać ich życie. W jeden dzień stracili całą przyszłość i Temudżyn podupadał na duchu, kiedy wyobrażał sobie, że zawsze już będzie wiódł mizerne życie ze stadkiem kóz i owiec, aż stanie się stary i słaby. To właśnie zabrał im Ełuk. Nie tylko prawa, jakie przysługiwały im od narodzin, ale całe plemię, wielką rodzinę, której członkowie chronili się nawzajem i dzięki której życie było do zniesienia. Temudżyn nie potrafił wybaczyć Ełukowi tych ciężkich lat.

Usłyszał okrzyk zadowolenia Kacziuna i kiedy otworzył oczy, zobaczył strzałę utkwioną w samym środku celu. Temudżyn wyprostował się i podszedł to braci, odruchowo omiatając wzrokiem okolice w poszukiwaniu wrogów tak, jak robił już tysiące razy. Nigdy nie było dość bezpiecznie i bracia żyli w ciągłym strachu, że za chwilę zjawi się Ełuk z tuzinem ponurych wojowników.

Poczucie zagrożenia było stałą częścią ich życia, chociaż osłabło nieco z czasem. Temudżyn przekonał się, że można było żyć po odrzuceniu przez wielkie rodziny tak, jak robili to inni włóczędzy. Jednak życie mógł im odebrać jeden podjazd wojowników, mógł zapolować na nich jak na zwierzęta i pod byle pretekstem zniszczyć lub okraść ich jurty.

- Widziałeś, jak strzelam, Temudżynie? - zapytał Kacziun.

Temudżyn potrząsnął głową.

- Patrzyłem w drugą stronę, mój bracie, ale to dobry łuk.

Tak jak jego własny łuk, który został w jurcie, tak i ten był podwójnie wybruszony i suszono go przez rok, zanim do drzewca przyklejono wygotowane kawałki owczego rogu. Jurta przez całe tygodnie cuchnęła potem rybim klejem, ale drewno zyskało twardość żelaza i chłopcy byli dumni ze swojego dzieła.

- Teraz ty - powiedział Kacziun i podał łuk bratu.

Temudżyn uśmiechnął się do niego, gdy po raz kolejny zwrócił uwagę, jak bardzo rozrosły mu się ramiona, i jak bardzo urósł. Wszyscy synowie Jesügeja byli wysocy, ale Temudżyn przewyższał ich i osiągnął wzrost ojca już w siedemnastym roku życia.

Mocno zacisnął dłoń na drzewcu łuku, osadził na nim strzałę z kościanym grotem i zgrubiałymi opuszkami palców przyciągnął do siebie cięciwę. Wypuścił powietrze z płuc i w chwili, gdy mógłby już wziąć kolejny wdech, posłał strzałę i patrzył, jak wbija się w cel tuż obok Kacziuna. - To wspaniały łuk - powiedział i powiódł palcem po poźółklej kości na drzewcu.

Miał jednak ponury wyraz twarzy, kiedy odwrócił się do braci, i Kacziun pierwszy to zauważył, zawsze wyczulony na myśli brata.

- Co się stało? - zapytał.

- Słyszałem od starego Horghuza, że Ołkunutowie wrócili na północ - powiedział Temudżyn i powiódł wzrokiem po horyzoncie.

Kacziun zrozumiał natychmiast i przytaknął. Z Temudżynem łączyła go szczególna więź, odkąd zabili Bektera. Na początku rodzina po prostu walczyła o przetrwanie zimy, najpierw jednej, a potem drugiej, ale przy trzeciej mieli już dość wojłoku na jurty, a Temudżyn wymienił łuk i wełnę na nowego kuca, który zastąpił starą zmęczoną klacz, zdobytą od pasterzy na początku tułaczki. Wiosna czwartego roku przyniosła im wszystkim powiew niepokoju, szczególnie zaś dotknęła Temudżyna. Mieli broń i mięso, a obóz ich znajdował się dość blisko lasów, żeby zdołali się ukryć przed wrogiem, z którym nie mogliby sobie poradzić. Ich matka nie była już tak wymizerowana i chociaż wciąż śnił jej się Bekter, wiosna obudziła nadzieje na przyszłość dla jej synów.

Temudżyn wciąż myślał w swoich snach o Börte, jednak Ołkunutowie zniknęli ze stepów i nie sposób ich było wytropić. Nawet gdyby ich znalazł, przepędziliby włóczęgę w łachmanach. Temudżyn nie miał miecza, nie miał też za co go wymienić, jednak chłopcy zapuszczali się na całe mile od obozowiska, rozmawiali z włóczęgami i wypytywali o nowiny. Ołkunutow widziano w pierwszych dniach wiosny i Temudżyn był od tamtej pory niespokojny.

- Ściągniesz tu Börte? - zapytał Kacziun i rozejrzał się po koczowisku.

Temudżyn też skierował wzrok na skromne jurty i meczące owce i zmarszczył czoło. Kiedy po raz ostatni widział się z Börte, miała go poślubić i zgodnie z niewypowiedzianą obietnicą zostać żoną chana. Temudżyn znał wtedy swoją wartość.

- Może dano ją już komuś innemu - powiedział kwaśno. - Ile ma już lat? Osiemnaście? Jej ojciec nie kazałby jej raczej czekać długo.

Kasar roześmiał się.

- Obiecano ją tobie. Jeśli poślubiła kogoś innego, możesz go wyzwać.

Temudżyn spojrział na brata i znowu zobaczył u niego brak zrozumienia, który oznaczał, że przynajmniej on nigdy nie mógłby rządzić Wilkami. Kasar w przeciwieństwie do Kacziuna nie miał wewnętrznego ognia, zdolności natychmiastowego pojmowania planów i strategii. Jednak Temudżyn pamiętał noc, kiedy zabili pasterzy. Kasar walczył u jego boku.

Miał w końcu coś z ich ojca, chociaż nigdy nie potrafił pojąć subtelności, które tak uwielbiał Jesügej. Gdyby ich ojciec jeszcze żył, w kolejnym roku zabrałby Kasara do Ołkunutów. Zdrada Ełuka wytrąciła również i jego życie z właściwego toru.

Temudżyn przytaknął niechętnie.

- Gdybym miał nowy del, mógłbym pojechać do nich i zobaczyć, jak Börte się miewa - powiedział. - Przynajmniej wiedziałbym na pewno.

- Wszystkim nam będą potrzebne kobiety - zgodził się radośnie Kasar. - Sam od pewnego czasu czuję żądzę i nie chcę umrzeć, nie mając żadnej baby pod sobą.

- Wtedy kozy będą tęsknić do twojej miłości - powiedział Kacziun.

Kasar próbował go zdzielić, ale brat uchylił się przed jego ciosem.

- Może ja mógłbym cię zabrać do Ołkunutów - powiedział Temudżyn do Kasara i zlustrował go wzrokiem. - Czyż nie jestem teraz chanem tej rodziny? W końcu przystojny z ciebie młodzieniec.

Była to prawda, chociaż Temudżyn wypowiedział to jako żart. Kasar wyrósł na szczupłego, silnego mężczyznę, ogorzałego od słońca pod strzechą nieścinanych włosów, sięgających mu do ramion. Nie trudzili się już skracaniem włosów, a kiedy już przykładali do nich nóż to tylko po to, żeby odciąć kosmyki wpadające im do oczu, które utrudniały polowanie.

- Mamy dziesięć ciężarnych maciorek - powiedział Temudżyn. - Jeśli zachowamy jagnięta, będziemy mogli sprzedać kilka kóz i ze dwa starsze barany. Dostaniemy za to dwa płócienne dele i może lepsze wodze. Stary Horghuz bawił się nimi, kiedy ze mną rozmawiał. Chyba chciał mi je zaoferować na wymianę.

Kasar próbował ukryć zainteresowanie, ale zbyt długo już nie przybierał zimnego wyrazu twarzy, jak przystało na wojownika. Nie musieli pilnować się tak bardzo, jak nauczył ich Jesügej, i wyszli z wprawy. Byli biedni i decyzja należała tylko do Temudżyna, a inni bracia już dawno uznali jego prawo do przywództwa. Podnosiło go na duchu, że był chanem chociaż kilku jurt i posiadał parę wynędzniałych kuców.

- Spotkam się ze staruszką i potarguję się z nią - powiedział Temudżyn. - Pojedziemy razem, ale nie mogę cię tam zostawić, Kasarze. Za bardzo potrzebne nam są twoje zdolności łucznicze. Jeśli mają jakąś dziewczynę, która dostała pierwszego krwawienia, wstawię się u nich za tobą.

Kasar spoważniał, a Kacziun z sympatią poklepał go po ramieniu.

- Jednak co możemy im zaoferować? Będą wiedzieli, że nic nie mamy. Temudżyn poczuł, jak opada jego entuzjazm i splunął na ziemię.

- Moglibyśmy najechać Tatarów - powiedział nagle Kacziun. - Jeśli najedziemy ich ziemię,

będziemy mogli wziąć, co wpadnie nam w ręce.

- A potem oni na nas zapolują - odparł z rozdrażnieniem Kasar.

Nie zobaczył błysku w oczach Temudżyna.

- Śmierć naszego ojca nie została jeszcze pomszczona - powiedział. Kacziun wyczuł jego nastrój i zacisnął pięści. - Jesteśmy dość silni, żeby uderzyć, zanim się zorientują, że w ogóle jesteśmy w pobliżu. Czemu nie? Ołkunutowie przyjmą nas z otwartymi rękami, jeśli przyjdziemy z bydłem i końmi, i nikogo nie będzie obchodziło, że mają one tatarskie piętna.

Zacisnął dłonie na ramionach dwóch swoich braci.

- Nas trzech może odebrać choć część tego, co winni nam są Tatarzy. Za wszystko, co przez nich straciliśmy.

Temudżyn widział, że bracia prawie uwierzyli w jego słowa, ale nagle Kacziun zmarszczył czoło.

- Nie możemy zostawić matki bez ochrony z małuchami - powiedział.

Temudżyn zastanowił się szybko.

- Zabierzemy ich do starego Horghuza i jego rodziny. Ma żonę i małych synów. Matka będzie tam bezpieczna jak wszędzie. Obiecuję Horghuzowi udział w zdobyczach, które przyniesiemy, i wtedy się zgodzi, wiem, że tak będzie.

Temudżyn zobaczył, że Kacziun spogląda na horyzont. Zesztywniał, gdy zdał sobie sprawę, co przykuło uwagę brata.

- Jeźdźcy! - wrzasnął Kacziun do matki.

Wszyscy się odwrócili, kiedy Höelün stanęła w drzwiach najbliższej jurty.

- Ilu? - zapytała.

Podeszła do nich i wyteżyła wzrok, żeby zobaczyć obcych w oddali, ale jej oczy nie były tak dobre jak u jej synów.

- Trzech - powiedział z przekonaniem Kacziun. - Uciekamy?

- Przygotowałeś się na to, Temudżynie - powiedziała cicho Höelün.

- Wybór należy do ciebie.

Temudżyn poczuł na sobie wzrok wszystkich, sam jednak nie odrywał oczu od ciemnych punktów na stepie. Wciąż czuł się pokrzepiony rozmową z braćmi i miał ochotę sprawdzić swoje siły, i zmierzyć się z przybyszami. Rodziny Jesügeja nie można spłoszyć, nie po tym wszystkim, co przeszli. Wziął głęboki wdech i pozwolił uspokoić się rozbieganym myślom. Mężczyźni mogli być podjazdem większego oddziału albo trzema jeźdźcami, przybyłymi, by palić, gwałcić i zabijać. Zacisnął pięści i wtedy podjął decyzję.

- Do lasu, wszyscy! - ryknął wściekle. - Biercie łuki i wszystko, co zdołacie unieść. Jeśli przybywają, żeby nas okraść, przysięgam, że wyprujemy im trzewia!

Rodzina ruszyła szybko, Höelün zniknęła na chwilę w jurcie i po chwili pojawiła się z Temülün przy biodrze i Temügem truchtającym u jej boku. Najmłodszy syn stracił tłuszcz w trudnych latach, ale wciąż tak samo bojaźliwie oglądał się za siebie, kiedy niezgrabnym krokiem szedł przy matce w stronę lasu.

Temudżyn przyłączył się do Kasara i Kacziuna, którzy zbierali strzały i łuki, po czym wszyscy zarzucili torby na ramiona i pobiegli do linii drzew. Z tyłu rozległy się krzyki jeźdźców, którzy zobaczyli ich ucieczkę, ale rodzina Jesügeja zdążyła się ukryć. Temudżyn zdławił gorycz, kiedy minął linię drzew. Zatrzymał się zdyszany i obejrzał się za siebie. Nie wiedział, kim byli przybysze, ale nienawidził ich za to, że zmusili go do ucieczki - teraz, kiedy przysiągł sobie, że nikomu się to już nie uda.

ROZDZIAŁ 15

Trzech wojowników ostrożnie wjechało do małego koczowiska, gdzie wciąż jeszcze unosił się dym z paleniska w jednej z jurt. Tylko meczenie kóz i owiec mąciło dziwny spokój poranka, a wojownicy czuli na sobie świdrujące spojrzenia niewidocznych oczu.

Małe jurty i chwiejące się zagrody stały u stóp zalesionego wzgórza. Tołuj widział, jak biegnące postacie znikają wśród drzew, i ostrożnie zsiadł z konia w taki sposób, żeby ciało zwierzęcia osłaniało go przed zasadzką lub zbłąkaną strzałą. Basan i Ünegen tak jak i on mieli pod delami skórzane zbroje, które chroniły ich pierś nawet przed bezpośrednim strzałem.

Tołuj trzymał ręce nisko za karkiem konia i skinął na pozostałych. Jeden z nich musiał sprawdzić jurty, zanim ruszą dalej, bo mógł się tam ukrywać wróg, który strzeliłby im w plecy. W końcu Basan przytaknął i podprowadził swoją klacz pod jurte, żeby zasłoniła go, gdy wchodził do środka. Tołuj i Ünegen czekali, aż skończy poszukiwania, i omiatali wzrokiem linię drzew. Widzieli gęste zarośla ciernistych krzewów, porastające wokół pni. Pościg trzeba było odbyć pieszo. Teren był przygotowany do obrony przed najazdem i dokonano właściwego wyboru. Od linii drzew wojowników dzieliło trzydzieści kroków otwartej przestrzeni i jeśli synowie Jesügeja czekali z łukami, dotarcie do nich będzie trudnym, krwawym zadaniem.

Tołuj ściągnął brwi, kiedy zastanowił się nad sytuacją. Nie miał już wątpliwości, że uciekinierzy byli tymi, których niegdyś porzucili. Nieliczne rodziny włóczęgów, żyjące ze zbieractwa na stepach, nie przygotowałyby się na bitwę tak dobrze jak oni. Napiął łuk, nie spuszczać wzroku z ciemnego poszycia, które mogłoby skryć armię. Wiedział, że mógł odjechać i wrócić z wystarczającą liczbą ludzi, żeby pojmać wrogów, ale Ełuk nie widział gęstwy ciernistych gałęzi i będzie sądził, że Tołuj stracił głowę. A on nie chciał, żeby jego chan pomyślał o nim w ten sposób. Zaczął więc przygotowywać się do walki. Jego oddech stał się krótki, przyspieszając mu tętno i dodając sił, podczas gdy Basan sprawdził drugą jurte i potrzęsnał głową.

Tołuj zacisnął pięści, po czym gwałtownie wyprostował dwa palce. Basan i Ünegen skinęli na znak, że rozumieją. Przygotowali własne łuki i czekali na jego ruch. Tołuj poczuł przypływ siły i wiedział, że tylko potężne uderzenie grotu może przebić jego skórzany pancerz. Dał znak uniesioną pięścią i wszyscy trzej ruszyli biegiem, rozdzielając się na otwartym terenie.

Tołuj pędził zdyszany i wypatrywał najlżejszego ruchu. Dostrzegł błysk kątem oka i natychmiast przywarł do ziemi, odturlał się na bok i szybko znowu poderwał się do biegu, kiedy coś świsnęło mu tuż nad głową. Dwaj pozostali manewrowali, chcąc znaleźć przejście w ciernistym płocie, ale Tołuj widział już, że nie ma wolnej drogi za pierwszą linię drzew. Każdy odstęp między pniami dokładnie zagrodzono wielkimi stosami splecionych kolczastych gałęzi. Synowie Jesügeja najwyraźniej wciągnęli ostatni stos za sobą. Tołuj zawahał się i stanął z łomoczącym sercem, narażony na atak na otwartej przestrzeni.

Zanim zdążył podjąć decyzję, w pierś grzmotnęła mu strzała i niemal zbiła go z nóg. Tołuja przeszył potężny ból, ale wojownik nie zważał na to, ufając, że dzięki pancerzowi grot nie wbił się zbyt głęboko. Zdał sobie sprawę, że przeciwnicy mieli dobre łuki.

Trzech wojowników z plemienia Wilków zatrzymało się w najgorszej możliwej pozycji - tuż przed stosami ciernistych gałęzi. Byli jednak dobrymi łucznikami, zdolnymi trafić ptaka w

locie, i sytuacja nie była tak tragiczna, jak sądził Tołuj. Wrogowie, chcąc strzelić, musieli się teraz pokazać, choćby na chwilę. Jeśli to zrobią, któryś z trzech druhów pośle strzałę w mgnieniu oka, za szybko, by można się było przed nią uchylić.

Synowie Jesügeja najwyraźniej zdali sobie sprawę ze słabości swojej taktyki, bo wśród drzew zaległa cisza. Wszystkie ptaki odleciały przy nagłym natarciu trzech wojowników, których dyszące oddechy jako jedyne mąciły ciszę lasu, gdy z wolna opanowywali strach o własne życie.

Tołuj zrobił powoli dwa kroki w prawo, balansując z nogi na nogę, a Basan i Ünegen postępowali za nim po jego lewej stronie. Mieli wyteżony każdy zmysł, kiedy patrzyli w stronę lasu, gotowi zabić lub umrzeć. Nader łatwo było im wyobrazić sobie strzałę wrzynającą się w ich ciało, ale Tołuj czerpał przyjemność z poczucia zagrożenia. Z zadartą głową zwrócił się do wroga.

- Jestem Tołuj z Wilków - zawołał, a jego głos rozniósł się wśród ciszy lasu. - Druh Ełuka, który był niegdyś druhem Jesügeja. - Wziął głęboki wdech. - Nie ma potrzeby walczyć. Jeśli udzielicie nam gościny, wspólnie wrócimy do koczowiska i przekażę wam moją wiadomość.

Zaczekał na odpowiedź, ale nie spodziewał się, że wrogowie zdradzą się tak łatwo. Kątem oka zauważył, jak Basan przerzuca ciężar ciała z nogi na nogę, co oznaczało strudzenie.

- Nie możemy tu stać cały dzień - mruknął.

Ich oczy poruszały się bezustannie, kiedy Tołuj syknął w odpowiedzi.

- Pozwolisz, żeby nas odpędzili?

Basan odpowiedział, nie odrywając wzroku od ciernistych zarośli.

- Teraz wiemy, że żyją, powinniśmy powiadomić o tym chana. Może będzie miał nowe rozkazy.

Tołuj odrobinę przekręcił głowę, żeby odpowiedzieć, i ruch ten niemal kosztował go życie. Tuż przed nim z krzaków wyłonił się chłopiec i gładko osadził strzałę na cięciwie. Tołujowi zdało się przez chwilę, że cały świat ryczy mu w uszach. Posłał strzałę dokładnie w chwili, gdy w tył odrzuciło go kolejne uderzenie grotu w pierś, tuż pod gardłem. Wśród bólu zauważył, że chybił w pośpiechu. Obok rozległ się świst strzał z łuku Ünegena, kierowanych jedna po drugiej w cierniste krzewy. Tołuj wstał z rykiem gniewu i przyłożył drugą strzałę do cięciwy.

Basan strzelał na ślepo do wszystkiego, co się ruszało. Nie słyszeli krzyków bólu, a kiedy Tołuj zerknął w bok, zobaczył Ünegena leżącego na ziemi z gardłem na wylot przesytym strzałą. Widać było białka jego oczu, a język luźno zwisał mu z ust. Tołuj zaklął i z wściekłością zaczął kierować napięty łuk we wszystkie strony, szukając celu.

- Proście o śmierć w męczarniach i dostaniecie ją! - krzyknął.

Przez chwilę pomyślał o ucieczce do kuców, ale duma i gniew zatrzymały go na miejscu. Pałał żądzą ukarania tych, którzy ważyli się go atakować. Szybkimi szarpnięciami wyciągnął dwie strzały, które sterczały mu z delu i krępowały każdy jego ruch.

- Chyba jednego trafiłem - powiedział Basan.

Raz jeszcze zaległa cisza zwiastująca kolejną wymianę ognia.

- Powinniśmy wrócić po konie - ciągnął Basan. - Będziemy mogli ominąć ciernie i podejść ich od wolnej strony.

Tołuj obnażył zęby w gniewie. Groty strzał poharatały mu ciało i trząsał się z bólu. Chrapliwie rzuczał każde słowo jak rozkaz.

- Nie ruszaj się! - warknął, wciąż omiatając wzrokiem linię drzew.

- Zabij wszystko, co się rusza.

*

Temudżyn czekał przycupnięty za zasłoną cierni, którą przygotował wiele miesięcy wcześniej. To jego strzała trafiła Ünegena w gardło i sprawiało mu to dziką satysfakcję. Pamiętał, jak Ünegen przekazał Ełukowi miecz jego ojca. Temudżyn wiele razy śnił o zemście i nawet tak niewielka była dla niego jak słodycz dzikiego miodu.

Razem z braćmi przygotował się na właśnie taki atak, ale i tak widok druhów z plemienia Wilków w ich małym koczowisku wstrząsnął nim. Temudżyn był gotów na spotkanie z najeźdźcami, którzy nie byłiby tak wyszkolonymi wojownikami jak najlepsi ludzie Ełuka. Piersz Temudżyna rozpierała duma, że położyli jednego z nich, jednak duma ta mieszała się też z niepokojem. To byli wojownicy jego ojca, najszybsi i najlepsi. Zabicie jednego z nich Temudżyn odczuwał niemal jak grzech, nawet jeśli wojownikiem tym był Ünegen. Ale to nie powstrzymywało Temudżyna przez próbą zabicia innych.

Pamiętał Tołuja jako małego chłopca z bystrymi oczami, który nie był na tyle głupi, żeby zadzierać z synami Jesügeja, ale nawet wtedy był on najsilniejszym dzieckiem w koczowisku Wilków. Kiedy Temudżyn posyłał strzałę, zobaczył go przez chwilę i poznał, że urósł w siłę i arogancję. Powodziło mu się pod panowaniem Ełuka.

Temudżyn patrzył przez małą przerwę w ciernistej zagrodzie na Tołuja i Basana, stojących po drugiej stronie. Basan nie wyglądał na szczęśliwego, a Temudżyn przypomniał sobie dzień, w którym przysłano go po niego do Ołkunutów. Czy Tołuj to wiedział, kiedy wybierał go na towarzysza? Pewnie nie. Świat był wtedy inny, a Tołuj był tylko jednym z małych urwisów, który zawsze pakował się w kłopoty. Teraz nosił zbroję i del chańskiego druha, a Temudżyn chciał utrzyć mu nosa.

Siedział teraz zupełnie cicho i zastanawiał się, co powinien zrobić. Jak najwolniej odwrócił głowę do Kacziuna, który zajął miejsce obok. W każdej chwili jego ruch mógł ściągnąć bystry wzrok Basana i jego strzałę, która trafiłaby go, przebiwszy się przez ciernie. Pot płynął mu z czoła.

Kiedy Temudżyn zobaczył brata, mrugnął do niego w napięciu. Kacziun też patrzył na niego i czekał w milczeniu, aż zostanie zauważony. Oczy miał szeroko otwarte od bólu, a Temudżyn zobaczył strzałę utkwioną w udzie brata. Kacziun pamiętał zimną twarz poranka, kiedy śmierć przyszła po nich. Siedział teraz jak posąg i skrzywiony, i blady patrzył na brata, nie wając się wykonać najmniejszego ruchu. Mimo jego opanowania, bełt strzały drżał lekko, a napięte do granic wysiłku zmysły Temudżyna pozwalały mu usłyszeć szmer liści. Tołuj mógł to zobaczyć, pomyślał Temudżyn, i wystrzelił wtedy kolejną strzałę, tym razem śmiertelną. Nie było też wykluczone, że któryś z druhów Ełuka wyczuje krew na wietrze.

Temudżyn i Kacziun długo spoglądali na siebie, a każdy czekał na gest drugiego w milczącym zdesperowaniu. Nie mogli uciec. Kasar był ukryty przed wzrokiem Temudżyna, ale też był w niebezpieczeństwie, nawet jeśli o tym nie wiedział.

Temudżyn odwrócił z powrotem głowę nieskończenie powoli, aż zobaczył Tołuja i Basana. Obaj czekali, ale widać było gniew Tołuja, który wyszarpnął sobie strzały z piersi właśnie w chwili, gdy patrzył na niego Temudżyn. Gniew młodego wojownika ucieszyłby Temudżyna, gdyby rana Kacziuna nie popsuła ich planów.

Temudżyn zdał sobie sprawę, że obecny pat nie mógł trwać wiecznie. Istniała szansa, że Tołuj się wycofa i wróci z większą liczbą ludzi. Gdyby tak zrobił, on i Kasar mieliby dość czasu, żeby zabrać Kacziuna w bezpieczne miejsce.

Temudżyn zazgrzytał zębami, zdawał sobie bowiem sprawę z tego, jak trudną decyzję musi podjąć. Nie sądził, żeby Tołuj podwinął ogon i uciekł do kuców, zwłaszcza po stracie Ünegena. Nie pozwoli mu na to jego duma. Gdyby wysłał Basana wprzód, Kasar i Temudżyn musieliby zaryzykować kolejny strzał, ale trafienie w gardło człowieka w zbroi było prawie niemożliwe, kiedy biegł z opuszczoną głową. Temudżyn wiedział, że musi działać, zanim Tołuj dojdzie do tego samego wniosku. Musiał spróbować podejść wrogów od innej strony. Chłopcy zablokowali drogę do lasu wokół obozu, ale w niektórych miejscach pojedynczy wojownik mógł się przebić.

Temudżyn przeklinał swoje szczęście. Minęły tylko minuty od pierwszej wymiany strzałów, jednak czas zdawał się płynąć inaczej przy gorączkowym potoku myśli. Temudżyn wiedział, co należało zrobić, ale się bał. Na chwilę zamknął oczy i zebrał siłę woli. Chan musiał podejmować trudne decyzje i jego ojciec już dawno ruszyłby się z miejsca. Basana i Tołuja trzeba było odciągnąć, zanim znajdą Kacziuna i wykończą go.

Temudżyn zaczął czołgać się w tył, wciąż patrząc na postacie intruzów, kiedy tylko prześwitywały przez gąszcz cierni. Widział, że rozmawiają, jednak nie słyszał słów. Kiedy już pokonał kilkanaście ąldów, schował się za brzozą, po czym wstał na nogi i wyciągnął strzałę z kołczana na plecach. Nie widział teraz żadnego z wrogów i musiał celować na pamięć. Zmówił modlitwę do Ojca Nieba o kilka chwil dezorientowania dla wrogów, po czym napiął łuk i posłał strzałę w miejsce, gdzie - jak pamiętał - stał Tołuj.

*

Tołuj usłyszał szelest strzały, kiedy w mgnieniu oka przedarła się przez liście, nadlatując znikąd. Posłał własny pocisk, jeszcze zanim wrogi grot rozerwał mu długą ranę wzdłuż ramienia. Wojownik wrzasnął z bólu i zaskoczenia. Zobaczył postać biegnącą wśród drzew i posłał kolejną strzałę w nadziei, że trafi. Pocisk ugrzązł w gęstym poszyciu wzgórza i gniew Tołuja wziął górę nad ostrożnością.

- Za nim! - krzyknął do Basana, który już ruszył się z miejsca.

Pobiegli razem do wschodniej bariery, próbując nie stracić biegnącej postaci z oczu i jednocześnie rozglądali się za drogą przez ciernie.

Znaleźli w końcu przerwę w kolczastej zasłonie i Tołuj bez wahania rzucił się w tym kierunku, Basan jednak trzymał się z tyłu na wypadek, gdyby atak miał tylko odciągnąć ich uwagę. Tołuj piął się szybko pod górę, a Basan biegł za nim, żeby dotrzymać mu kroku. Widzieli, że młody przeciwnik niesie łuk i obaj byli podnieceni polowaniem. Byli syci i silni, i czuli się pewnie, kiedy pędzili przez smagające ich gałęzie i przeskakiwali strumienie. Postać nie zatrzymywała się, żeby spojrzeć za siebie, ale wojownicy widzieli, że ucieka przez najgęstsze zarośla.

Tołuj zaczął dyszeć, a Basan był czerwony na twarzy od wysiłku wspinaczki, ale obnażyli miecze i parli naprzód mimo strudzenia.

*

Kacziun podniósł wzrok, kiedy pojawił się nad nim cień Kasara. W pierwszej chwili sięgnął po nóż, zanim zorientował się, kto przyszedł i uspokoił się.

- Temudżyn zyskał dla nas trochę czasu - powiedział do brata.

Kasar spojrział przez zasłonę drzew na dwóch wojowników biegnących w górę wzniesienia. Brzozy i świerki sięgały tylko do połowy zbocza i bracia widzieli, że Temudżyn będzie na otwartej przestrzeni, zanim dotrze do kolejnej zalesionej doliny po drugiej stronie wzgórza. Nie widzieli, czy uda mu się umknąć ścigającym, ale obaj byli wstrząśnięci i

zarazem uspokojeni, że druhowie Ełuka zostawili ich w spokoju.

- Co teraz? - zapytał Kasar, jakby sam siebie.

Kacziun próbował skoncentrować się mimo bólu, który szarpał jego nogę. Co chwila dopadała go fala osłabienia, ale walczył, by nie stracić przytomności. - Teraz usuniemy strzałę - powiedział i skrzywił się na tę myśl.

Obaj widzieli, jak to się robi, kiedy wojownicy wracali po bitwie stoczonyj z wrogim podjazdem. Rana w nodze była czysta, a krew ciekła już tylko niewielką strużką. Mimo to Kasar zebrał gruby zwitek liści, które miał zagryźć Kacziun. Włożył wilgotny knebel do ust brata, po czym chwycił wystającą brzechwę i jednym szarpnięciem czysto wyciągnął ją z nogi, a Kacziun szeroko otworzył oczy z bólu. Mimo woli wydał z siebie cichy pomruk, ale Kasar stłumił go, zasłaniając bratu usta. Szybkimi ruchami odciął pasy materiału z przepaski na biodra i obwiązał nogę.

- Oprzyj się na moim ramieniu - powiedział i podniósł Kacziuna na nogi.

Młodszy brat był wyraźnie oszołomiony, kiedy wypluł mokre liście, ale Kasar wciąż oczekiwał od niego wskazówek.

- Wróć tu - powiedział Kacziun, kiedy się otrząsnął. - Sprowadź tu pozostałych. Jeśli się pospieszymy, uda nam się zabrać kuce i ruszyć do drugiego obozu.

Kasar został z Kacziunem, dopóki ten nie wsiadł na kuca Tołuja. Położył bratu rękę na ramieniu, żeby go uspokoić, wepchnął mu wodze do dłoni, a sam pomknął do kryjówki ich matki i młodszego rodzeństwa. To Temudżyn przygotował ukrycie i Kasar dziękował teraz bratu za jego przezorność. W ciągu lat samotności myśli o pojawieniu się wojowników Ełuka nawiedzały czasem ich wszystkich. Temudżyn dawno już ułożył plan na taki wypadek, ale coś w Kasarze buntowało się przed powrotem do tego samego ciemnego wąwozu, w którym spędzili pierwsze noce po wygnaniu. Temudżyn nalegał, aby postawili tam niewielką jurkę, ale żadne z nich nie przypuszczało, że skorzystają z niej tak szybko. Teraz znowu będą sami i do tego jeszcze ich ścigano.

W biegu modlił się, żeby Temudżyn umknął przed prześladowcami. Kiedy uda mu się wrócić, będzie wiedział, co trzeba robić. Myśl, że Temudżyn mógłby nie przeżyć, była dla Kasara zbyt straszna, żeby rozważać taką możliwość.

*

Temudżyn biegł co sił w nogach i na każdym kroku odwracał głowę. Początkowo miał siłę i zwinność, żeby uchylać się przed przeszkodami na drodze, ale potem miał już tylko gorzką suchość w ustach i opuściła go energia. Mógł tylko błędzić w gąszczu, podczas gdy jego skórę smagało tysiące gałązek i cierni.

Najtrudniej było pokonać szczyt wzgórza, nagi i gładki jak kamień w strumieniu. Tołuj i Basan posyłali strzały i Temudżyn musiał zwolnić i niemal iść, żeby obserwować nadlatujące pociski i zmuszać swoje zmęczone ciało do uskakiwania z drogi. Prześladowcy zbliżyli się do niego na tej otwartej przestrzeni, ale wtedy znowu znalazł się wśród prastarych drzew i pobiegł dalej z zamglonym wzrokiem i palącym oddechem w gardle.

Stracił łuk, zahaczając nim o kolczasty krzew. Broń zaklinowała się tak mocno, że nie dała się uwolnić, choć Temudżyn szarpał ją z całej siły. Teraz przeklinał się za to w biegu, upominając się w myślach, że powinien był zdjąć albo nawet przeciąć cięciwę. Powinien był zrobić cokolwiek, byle tylko nie stracić broni, która dawała mu odrobinę szans w walce, gdyby nie zdołał umknąć prześladowcom. Mały nóż nie pomoże mu przeciwko Tołujowi.

Nie mógł umknąć wojownikom. Mógł tylko rozglądać się za kryjówką gdzieś w gęstwinie.

Strach ścisnął mu gardło i nie potrafił się od niego uwolnić. Zerknął za siebie w biegu i zobaczył drgający obraz dwóch wojowników, którzy bez ustanku przedzierali się między drzewami. Zdjęli wcześniej cięciwy z łuków i Temudżyna ogarnęła rozpacz. Nie przygotował się na wypadek ucieczki przez całe mile i żałował teraz, że nie miał zapasu broni ani nie zastawił pułapek, jakich używano do polowań na wilki w zimie. Jego dyszący oddech przeszedł w pomruk, a potem w głośny charkot, kiedy całe jego ciało domagało się odpoczynku. Nie wiedział, jak bardzo oddalił się od koczowiska. Słońce wciąż świeciło na niebie nad głową, a on mógł tylko zdążyć przed siebie, aż pęknie mu serce albo strzała ugodzi go w plecy.

Nagle natrafił stopą na kamień w wąskim strumieniu, poślizgnął się i runął wśród rozbryzgów lodowatej wody. Upadek otrzeźwił go i Temudżyn już po chwili mknął dalej z większą ostrożnością. Nasłuchiwał wtedy i liczył, dopóki nie usłyszał za sobą plusku wody w strumieniu pod stopami Tołuja i Basana. Byli pięćdziesiąt trzy kroki za nim, dość blisko, żeby upolowali go jak jelenia, gdyby dał im dogodną pozycję do strzału. Podniósł głowę i zebrał w sobie resztkę wytrzymałości, żeby biec dalej. Był wykończony, ale pamiętał słowa Jesügeja, że siła woli mogła go nieść jeszcze długo po tym, kiedy podda się jego słabe ciało.

Nagle urwisko ukryło Temudżyna przed wzrokiem prześladowców i chłopiec skręcił w bok w brzozowy zagajnik. Rosły tu cierniste krzewiny wybujałe na wysokość człowieka i Temudżyn bez namysłu zagłębił się w poszycie, brnąc szaleńczo przez drapiącą gęstwinię, byle tylko ukryć się w jej mroku. Był zdesperowany i bliski paniki, ale kiedy gąszcz przyćmił światło dnia, Temudżyn zwinął się w kłębek i czekał w jak największej ciszy. Jego płuca usilnie domagały się powietrza, ale zmuszał się, by pozostać w bezruchu. Zmęczenie doskwierało mu coraz bardziej i świeży pot perlił się na jego czole. Czuł, że ma rozpaloną twarz i trzęsą mu się ręce, ale napinał każdy mięsień twarzy, żeby wypuszczać z płuc tylko lekki strumień powietrza i brać słaby wdech - wszystko, na co się ważył.

Słyszał, jak Tołuj i Basan przemknęli obok, wołając do siebie nawzajem. Temudżyn był pewien, że nie odbiegną daleko i szybko wrócą, żeby go szukać. Chciał tylko zacisnąć powieki i pogрузić się we śnie, ale wykorzystał cenny czas, żeby wczougać się głębiej w ciemny gąszcz. Drapały go ciernie, ale nie mógł krzyczeć i milcząco napierał na kolce, aż rozrywały mu skórę. Takie niewielkie zranienia nie miały znaczenia w porównaniu z niebezpieczeństwem, że zostanie złapany.

Zmusił się, żeby przerwać bezmyślne czołganie. Przez chwilę myślał tylko o ciemnościach i bezpiecznym schronieniu jak zaszczute zwierzę. W części, w której pozostawał jednak synem swojego ojca, wiedział, że zdradzą go drżące liście, jeśli nie opanuje każdego ruchu. Ta część osobowości z zimną pogardą patrzyła na jego zmagania i starała się odzyskać panowanie nad ciałem. W końcu Temudżyn zamarł w bezruchu na dźwięk głosu Tołuja i zamknął oczy, odczuwając coś na kształt ulgi. Więcej nie mógł już zrobić.

- Ukrywa się - powiedział wyraźnie Tołuj, przerażająco blisko.

Obaj wojownicy najwyraźniej zawrócili, kiedy zgubili trop. Temudżyn czuł bolesne skurcze w piersi i zasłonił sobie usta dłonią, żeby stłumić okrzyk. Skupił się na wyobrażeniu ojca w jurcie i raz jeszcze zobaczył życie, jakie mu odebrano.

- Wiemy, że nas słyszysz, Temudżynie - zawołał zdyszany Tołuj.

On też zmęczył się wielomilowym biegiem, ale druhowie byli twardzi i wyćwiczeni, więc szybko odzyskiwali siły.

Temudżyn leżał z policzkiem przyciśniętym do prastarych liści i czuł zapach obrosłej

pleśnią, gnijącej ściółki, której nigdy nie sięgnęły promienie słońca. Wiedział, że mógł uciec prześladowcom pod osłoną nocy, ale do zmierzchu pozostało jeszcze wiele godzin, a jemu nie przychodziła do głowy inna możliwość. Nienawidził wojowników, którzy go szukali tak bardzo, iż wydawało mu się, że wyczują żar jego nienawiści.

- Gdzie twój brat, Bekter? - zawołał znowu Tołuj. - Chcemy tylko ciebie i jego. Rozumiesz?

Temudżyn usłyszał, jak Tołuj mruknął do Basana innym tonem.

- Na pewno gdzieś tu przylgnał do ziemi. Przeszukaj teren i zawołaj, jak go zobaczysz.

W twardym tonie Tołuja znowu zabrzmiała pewność siebie i Temudżyn modlił się do Ojca Nieba, żeby uderzył, spalił albo rozerwał jego prześladowcę na strzępy błyskawicą, tak jak stało się to kiedyś z drzewem, które widział. Ojciec Niebo, jeśli nawet go usłyszał, milczał jednak, ale gniew znów rozпалиł pierś Temudżyna obrazami krwawej zemsty.

Suchy oddech Temudżyna uspokoił się odrobinę, ale serce wciąż łomotało mu w piersi i Temudżyn ledwo powstrzymywał się przed poruszeniem się albo głośnym dyszeniem. Usłyszał kroki obok siebie, szeleszczące wśród liści i cierni. Światło zewnętrznego świata przeszło przez jedną przerwę w gąszczu i Temudżyn utkwiał w niej wzrok, śledząc ruchome cienie. Ku swojemu przerażeniu zobaczył tam but, a po chwili niemal zemdlał, gdy pojawiła się twarz, której oczy rozszerzyły się na jego widok, z zębami wyszczerzonymi jak u dzikiego psa. Przed długą, bardzo długą chwilę Temudżyn i Basan patrzyli na siebie, a potem wojownik zniknął.

- Nie widzę go - zawołał Basan i odszedł.

Temudżyn poczuł, jak łzy napływają mu do oczu, i słyszał szum krwi w uszach. Zabolały go nagle wszystkie kontuzje, jakich doznało w biegu jego biedne, zmordowane ciało. Basan pozostał wiemy Jesügejowi - i ulga ta była niespodziewanym wstrząsem.

Głos Tołuja rozlegał się gdzieś w oddali, a potem przez chwilę Temudżyn słyszał już tylko szept własnego oddechu. Słońce chyliło się ku zachodowi ponad dalekimi wzgórzami, a ciemność zapadała szybko w dolinie porosłej kolczastymi krzewami. Temudżyn słyszał, jak dwaj wojownicy nawołują się nawzajem, ale ich głosy rozbrzmiewały gdzieś daleko. W końcu wyczerpanie nagle odebrało mu przytomność i zapadł w sen.

*

Kiedy się obudził, zobaczył błyski żółtych płomieni migające mu przed oczami. W pierwszej chwili nie zrozumiał, co widzi, ani też, dlaczego leży skulony w kolczastych krzewinach tak gęstych, że ledwo mógł się ruszyć. Było to przerażające uczucie, gdy tak leżał spowity mrokiem i cierniami i nie wiedział, jak się wydostać, nie wyczołgując się tą samą drogą, którą przyszedł.

Wśród mroku patrzył, jak pochodnia wypala ślady w jego polu widzenia, a raz zobaczył nawet twarz Tołuja w jej złotym blasku. Wojownik wciąż go szukał, ale teraz wyglądał na wściekłego i zmęczonego. Mężczyźni byli bez wątpienia głodni, tak jak i sam Temudżyn.

- Obedrę cię ze skóry, jeśli się nie pokażesz - krzyknął nagle Tołuj. - Jeśli zmusisz mnie, bym cię szukał całą noc, krwawo mi za to zapłacisz.

Temudżyn zamknął oczy i próbował rozluźnić mięśnie za każdym razem, kiedy płomień odsunął się od niego. W ciemnościach Tołuj nie mógł zobaczyć poruszających się gałęzi i Temudżyn przygotowywał się do dalszej ucieczki. Wyprostował nogi, które dotąd przyciskał do piersi, niemal jęcząc z ulgi. Krzewiny wokół były mokre i gęste i Temudżyn pomyślał, że niewygodna zbudziła go bardziej niż krzyki Tołuja.

Wymasował mięśnie ud, żeby je rozluźnić. Musiał teraz szybko zerwać się do ucieczki.

Wystarczyłoby, żeby się oddalił, a mrok ukryłby go przed wzrokiem prześladowców. Wiedział, że jego rodzina z pewnością wróciła już do wąwozu wśród wzgórz i jeśliby się postarał, mógłby dotrzeć do nich przed świtem. Tołuj i Basan nigdy nie zdołaliby go wytropić wśród suchych traw i musieliby wrócić po więcej ludzi. Temudżyn przysięgł sobie w duchu, że nigdy już go nie złapią. Zabierze swoją rodzinę daleko od Wilków Ełuka i zaczną nowe życie w miejscu, gdzie będą bezpieczni.

Już miał zacząć uciekać, kiedy światło pochodni padło na miejsce, gdzie leżał. Zamarł w bezruchu. Widział teraz twarz Tołuja, który zdawał się patrzeć prosto na niego. Temudżyn nie ruszył się, nawet kiedy druh Ełuka zaczął odgarniać cierniste gałęzie. Światło pochodni rzucało chyboczące refleksy, a serce Temudżyna znowu zabiło w strachu. Nie odważył się odwrócić głowy, żeby spojrzeć, ale słyszał, jak płomień skwierczy pośród cierni w pobliżu jego nóg. Tołuj najwyraźniej coś podejrzewał i postanowił dokładnie przeszukać to miejsce.

W tej chwili Temudżyn poczuł rękę chwytającą go za kostkę u stopy. Zaczął wierzgać, ale uścisk był jak żelazo. Wyszarpnął schowany za pasem nóż, kiedy Tołuj ciągnął go po ziemi, i aż krzyknął ze strachu i złości, gdy znalazł się na otwartej przestrzeni.

Tołuj upuścił pochodnię, żeby złapać Temudżyna, który teraz ledwo widział człowieka trzymającego go za del i unoszącego pięść. Silna dłoń ścisnęła go za nadgarstek ręki, w której trzymał nóż i Temudżyn mógł się tylko bezradnie szarpać. Zdołał tylko zobaczyć pięść napastnika, zanim spadł cios. Stracił przytomność.

*

Kiedy się ocknął, zobaczył ognisko i dwóch grzejących się przy nim mężczyzn. Temudżyn był przywiązany do młodej brzoźki i czuł zimno i wilgoć na plecach. Zlizął z warg gumowatą powłokę zakrzepłej krwi. Ręce miał związane wysoko za plecami i nie miało sensu sprawdzanie węzłów. Żaden wojownik z Wilków nie zostawiłby luźnego supła, którego Temudżyn mógłby dosięgnąć palcami. Szybko zorientował się, że nie może uciec, i patrzył tylko na Tołuja ponurym wzrokiem, pragnąc jego śmierci z całym okrucieństwem, na jakie tylko mogła zdobyć się jego wyobraźnia. Gdyby wysłuchał go teraz któryś z bogów, Tołuj z miejsca stanąłby w płomieniach.

Temudżyn nie wiedział, co myśleć o Basanie, który siedział teraz z boku z twarzą zwróconą do ognia. Wojownicy nie przynieśli jedzenia, ale było jasne, że wolą spędzić noc w lesie niż ryzykować, że syn Jesügeja ucieknie im w ciemnościach, gdy będą ciągnąć go z powrotem do kuców. Temudżyn poczuł strużkę krwi ściekającą mu do gardła i odkaszlnął, na co dwaj wojownicy odwrócili się do niego.

Rozradowany widokiem obudzonego Temudżyna Tołuj wstał, a siedzący za nim Basan potrząsnął głową i odwrócił wzrok.

- Mówiłem, że cię znajdę - zatriumfował Tołuj.

Temudżyn spojrział na młodzieńca, którego pamiętał jako chłopca o rękach i nogach wyrosniętych ponad miarę. Splunął krwią na ziemię, a twarz Tołuja nasrożyła się. Nóż pojawił się znikąd w jego dłoni, a Temudżyn zobaczył, że Basan wstaje od ognia.

- Mój chan chce cię żywego - powiedział Tołuj - ale może wykolę ci oko jako zapłatę za pościg? Jak ci się to podoba? Albo może przetnę ci język na dwoje jak u węża?

Zrobił gest, jakby chciał złapać Temudżyna za brodę, a potem zaśmiał się zadowolony z siebie.

- Czyż to nie dziwne uczucie, wspominać teraz czasy, gdy twój ojciec był chanem? - ciągnął Tołuj, machając nożem przed oczami Temudżyna. - Przyglądałem się tobie i

Bekterowi, kiedy byliście mali, żeby się przekonać, czy było w was coś szczególnego, coś, co czyniło was lepszymi ode mnie.

Uśmiechnął się i potrząsnął głową.

- Byłem bardzo mały. Nie można zobaczyć tego, co czyni jednego człowieka chanem, a drugiego niewolnikiem. To jest tutaj - poklepał się po piersi, a jego oczy zabłyśły.

Temudżyn uniósł brwi, zmęczony przesadnym zachowaniem wojownika. Od Tołuja bił mocny odór zjełczanego owczego tłuszczu i kiedy Temudżyn wdychał kwaśne powietrze, miał przed oczami widok orła bijącego go w twarz skrzydłami. Jego umysł podryfował gdzieś daleko i nagle nie czuł już strachu.

- Nie tam, Tołuju, nie w tobie - powiedział powoli i podniósł wzrok na potężnego wojownika, który mu groził. - Ty jesteś tylko durnym jakim, który nadaje się do przenoszenia zwalonych pni.

Tołuj mocno zdzielił Temudżyna w twarz, aż głowa odskoczyła mu na bok. Drugi cios był jeszcze silniejszy i chłopiec zobaczył własną krew na pięści Tołuja. Widział nienawiść i bezwzględny triumf w oczach tego człowieka i wydawało się, że nie przestanie go bić, dopóki Basan nie odezwał się tuż za jego plecami, zaskakując go swoją bliskością.

- Zostaw go - powiedział cicho. - Nie godzi się bić związanego.

Tołuj prychnął i wzruszył ramionami.

- To niech mi odpowie na parę pytań - warknął i odwrócił się do towarzysza.

Basan nie odezwał się więcej i Temudżyn stracił nadzieję. Nie otrzyma już pomocy.

- Gdzie jest Bekter? - chciał wiedzieć Tołuj. - Temu to dopiero winien jestem łomot.

Tołuj patrzył jakby w dal, kiedy wspominał o Bekterze i Temudżyn zastanawiał się, co zaszło między nimi.

- Nie żyje - powiedział. - Kacziun i ja zabiliśmy go.

- Naprawdę? - odezwał się Basan, na chwilę zapominając o Tołuju.

Temudżyn zagrał na napięciu między nimi i odpowiedział bezpośrednio Basanowi.

- Zima była ciężka, a on kradł jedzenie, Basanie. Podjąłem decyzję chana.

Zanim Basan zdążył cokolwiek odpowiedzieć, Tołuj podszedł bliżej i oparł swoje wielkie ręce na ramionach Temudżyna.

- Ale skąd mam wiedzieć, że mówisz mi prawdę, mały? Mógłby się teraz do nas podkraść i co wtedy byśmy zrobili?

Temudżyn wiedział, że sytuacja była beznadziejna. Mógł tylko przygotować się na bicie. Przybrał chłodny wyraz twarzy.

- Uważaj na siebie, Tołuju. Chcę, żebyś był zdrow i silny, kiedy przyjdę po ciebie.

Tołuj aż rozdziawił usta, nie wiedząc, czy ma się śmiać czy bić. W końcu postanowił zdzielić Temudżyna w brzuch, a potem tłukł go dalej, śmiejąc się ze swojej siły i z obrażeń, jakie mógł zadać.

ROZDZIAŁ 16

Ody Tołuj zobaczył, że kuce zniknęły, wyładował swą złość na Temudżynie. Jego wściekłość była niemal groteskowa: jakim prawem bracia Temudżyna ośmielili się zabrać kuce! Jeden niebaczny uśmiezek więźnia wystarczył, by pięści Tołuja znowu poszły w ruch. Basanowi wprawdzie udało się pohamować furię towarzysza, ale wyczerpanie i ciosy zrobiły swoje i Temudżyn przez cały poranek stale to tracił, to odzyskiwał przytomność.

Dzień, w którym Tołuj palił jurty zbudowane przez Temudżyna i jego braci, był ciepły i przyjemny. Kłęby czarnego dymu wzbijały się pod obłoki, a Temudżyn raz jeden obejrzał się za siebie, żeby wbić sobie w pamięć jeszcze jedną rzecz, za którą musiał odpłacić prześladowcom. Szedł teraz za Tołujem, szarpany za linę, którą obwiązano mu nadgarstki, odkąd ruszyli w długą drogę.

Na początku Tołuj powiedział Basanowi, że zabiorą konie włóczęgom, których spotkali wcześniej. Ale kiedy dotarli na miejsce po trudach całodziennego marszu, były tam już tylko odcisnięte kręgi szerniałej trawy znaczące ślad po jurtach. Tym razem Temudżyn ukrył uśmiech, ale wiedział, że stary Horghuz ostrzeże rodziny na stepach przed bezwzględными wojownikami Wilków. Włóczędzy nie byli plemieniem, ale handel i samotność tworzyły więź między słabymi ludźmi. Temudżyn wiedział, że wieść o powrocie Wilków szybko się rozejdzie. Postanowienie Ełuka o powrocie pod Czerwone Wzgórze było jak kamień rzucony w sadzawkę. Usłyszą o tym wszystkie plemiona w promieniu stu dni jazdy i zaczną się zastanawiać, czy lud Wilków będzie wrogiem czy sprzymierzeńcem. Włóczędzy tacy jak stary Horghuz, którzy tułali się bez ochrony wielkich rodzin, będą bardzo czujnie obserwować zmieniającą się sytuację i nowy porządek. Małe psy kryją się, gdy nadchodzą Wilki.

Po raz pierwszy Temudżyn widział świat od drugiej strony. Chociaż nienawidził teraz plemion za to, jak panoszyły się na stepach, to jednak marzył, aby pewnego dnia to on budził strach i zmuszał do ucieczki. Był synem Jesügeja i nie czuł się dobrze w roli jednego z włóczęgow bez plemienia. Temudżynowi, gdziekolwiek by był, należała się scheda po ojcu. Gdyby porzucił tę myśl, zhańbiłby pamięć ojca i zniweczył ich własną walkę o przetrwanie. Bez względu na położenie, jedno wiedział na pewno. Pewnego dnia będzie chanem.

Teraz, gdy miał tylko odrobinę wody z rzeki dla ugaszenia pragnienia i żadnej nadziei na ratunek, myśli takie zdawały mu się niemal niedorzeczne. Najpierw musiał uciec przed losem, jaki szykowali mu Tołuj i Basan. Pograżony w rozmyślaniach szedł, prowadzony na linie. Zastanawiał się, czy nie powinien podejść bliżej i zarzucić pętlę na gardło Tołuja, ale potężny młodzieniec miał go stale na oku i nawet kiedy przyszedł właściwy moment, Temudżyn wątpił, czy miałby dość siły, żeby skruszyć masywny kark wojownika.

Tołuj szedł w dziwnym u niego milczeniu. Zdał sobie sprawę, że wraca tylko z jednym z dzieci chana i to nawet nie najstarszym, że skradziono mu cenne kuce i że Ünegen leżał martwy na stepie. Gdyby nie ich jedyny więzień, podjazd zakończyłby się kompletną klęską. Tołuj spoglądał stale na Temudżyna, zaniepokojony myślą, że mógłby nagle zniknąć i zostawić go tylko z jego wstydem. Kiedy zapadła noc, Tołuj budził się co chwila i sprawdzał węzły na rękach i nogach. Za każdym razem, gdy to robił, Temudżyn też nie spał i patrzył na niego ze skrywanym zadowoleniem. On też przemyślał ich położenie i cieszył się, że jego młodszy bracia przynajmniej odebrali Tołujowi szansę na nowe zaszczyty od Ełuka. Powrót pieszko

będzie wielkim upokorzeniem dla dumnego druha i gdyby Temudżyn nie był tak poobijany, mógłby nawet czerpać przyjemność z widoku posępnego Tołuja.

Bez zapasów w jukach przy siodle wszyscy szybko tracili siły. Drugiego dnia Basan został, żeby pilnować Temudżyna, a Tołuj wspiął się z łukiem do linii drzew na wysokim zboczu. Była to szansa, na którą czekał Temudżyn i Basan zobaczył jego podniecenie, jeszcze zanim zdążył otworzyć usta.

- Nie wypuszczę cię, Temudżynie, nie. Nie prosz mnie o to - powiedział.

Pierś Temudżyna opuściła się, jak gdyby nadzieja uszła z niej wraz z powietrzem.

- Nie powiedziałaś mu, gdzie się ukrywam - mruknął Temudżyn.

Basan zarumienił się i odwrócił wzrok.

- Powinienem był to zrobić. Dałem ci szansę, przez cześć dla pamięci twojego ojca, ale Tołuj i tak cię znalazł. Gdyby nie było ciemno, mógłby się domyślić, co zrobiłem.

- Nie on. To kretyn - powiedział Temudżyn.

Basan uśmiechnął się. Tołuj był dorastającym młodzieńcem w plemienu Wilków, a jego porywczosć stawała się legendarna. Dawno już nikt nie odważył się obrazić go słowem, nawet kiedy nie było go w pobliżu. Temudżyn twardo mu się jednak przeciwstawiał, co przypomniało Basanowi, że poza plemiem Wilków toczyło się jeszcze życie. Kiedy wojownik znowu się odezwał, w jego głosie brzmiała gorycz.

- Powiadają, że plemię Wilków urosło w siłę, Temudżynie... i rzeczywiście przybyło nam osiłków pokroju Tołuja. Ełuk wyniósł nowych ludzi do rangi swoich druhów - ludzi bez honoru. Każe nam klękać przed sobą, a kiedy ktoś go rozbawi albo przyniesie jelenia czy zrabowane łupy, Ełuk rzuca mu bukłak ajraku jak psu, który dobrze się spisał.

Basan mówił ze wzrokiem utkwionym w odległe wzgórza i wspominał inne czasy.

- Twój ojciec nigdy nie kazał nam klęczeć - powiedział cicho. - Kiedy żył, byłem gotów oddać za niego życie bez namysłu, ale nigdy nie sprawiał, że czułem się mniej niż człowiekiem.

Była to długa przemowa u zwykle cichego wojownika i Temudżyn słuchał, rozumiejąc, jak ważne było to, że miał w Basanie sprzymierzeńca. Nikogo innego nie miał już wśród Wilków. Mógł znowu poprosić o pomoc, ale Basan nie rzucał słów na wiatr. Honor nie pozwalał mu wypuścić go teraz, gdy został złapany. Temudżyn pogodził się z tym, chociaż otwarty step przyzywał go i napawał pragnieniem ucieczki od wstrętnej śmierci, jaką niechybnie szykował mu Ełuk. Wiedział, że nie może liczyć na łaskę po raz drugi, teraz, gdy Ełuk był już pewien swojej pozycji. Kiedy Temudżyn się odezwał, ostrożnie dobierał słowa, żeby Basan je zapamiętał i usłyszał więcej niż tylko wyznania więźnia.

- Mój ojciec narodził się, by panować, Basanie. Lekko obchodził się z ludźmi, którym ufał. Ełuk nie jest tak... pewny swego. Nie może być. Nie usprawiedliwiam tego, co zrobił, ale rozumiem go i wiem, dlaczego otoczył się ludźmi takimi jak Tołuj. Ich słabość czyni ich napastliwymi i czasem ludzie tacy mogą być zaciętymi w boju żołnierzami.

Widział, że Basan rozluźnił się odrobinę i zastanawiał się teraz nad trudną istotą słów Temudżyna, tak jakby jeden z nich nie był więźniem drugiego. - Może to właśnie Ełuk widział w Tołuju - ciągnął Temudżyn w zamyśleniu. - Nie widziałem Tołuja w walce, ale możliwe, że ukrywa swoją bojażń w aktach nieokiełznanej odwagi.

Temudżyn nie powiedziałaby tego, gdyby w to wierzył. Tołuj, którego znał jako chłopca, był zaczepnym urwisem i raczej uciekłby wśród wrzasków, gdyby coś mu się stało. Teraz, ze skrytym za obojętnym wyrazem twarzy zadowoleniem, patrzył na zakłopotanego Basana, który

roztrząsał w myślach jakieś wspomnienia poruszone jego słowami.

- Twój ojciec nie wybrałby go na druha - powiedział Basan i potrząsnął głową. - Dla mnie był to największy zaszczyt w życiu, kiedy wybrał mnie Jesügej. Znaczyło to więcej niż siła i zbroja, które pozwalały mi atakować słabe rodziny i najeżdzać ich stada. To oznaczało...

Otrząsnął się ze wspomnień.

Temudżyn chciał, żeby Basan podążył dalej tą ścieżką, ale nie ważył się naciskać go po raz drugi. Stali w milczeniu przez długi czas, po czym Basan westchnął.

- Kiedy służyłem twojemu ojcu, byłem z tego dumny - mruknął jakby do siebie. - Byliśmy zemstą i śmiercią dla tych, którzy nas atakowali, ale nigdy dla rodzin, nigdy dla Wilków. Ełuk każe nam paradować w zbrojach wśród jurt i nie rozrabiamy już wełny na filc ani nie ujeżdżamy już kuców. Pozwala, żebyśmy obrastali tłuszczem i stawali się słabi od podarunków. Młodzi nie znają innego życia, ale ja byłem kiedyś szczupły, silny i pewny swego, Temudżynie. Pamiętam jeszcze, jak to było, gdy jechałem z twoim ojcem przeciw Tatarom.

- Wciąż oddajesz mu cześć - szepnął Temudżyn, poruszony wspomnieniami Basana o jego ojcu.

Twarz wojownika wygładziła się i Temudżyn wiedział, że tego dnia nie usłyszy już nic więcej.

*

Tołuj wrócił triumfalnie z dwoma tarbaganami uwiązanyymi u pasa. Wspólnie z Basanem upiekł je na rozpalonych kamieniach, które włożył im do brzucha, i Temudżynowi aż ślinka ciekła od zapachu mięsa na wietrze. Tołuj pozwolił Basanowi rzucić kawał upolowanego zwierzęcia, tak żeby Temudżyn mógł je dosięgnąć. Każdy ruch więźnia był wyważony podczas tego posiłku, chciał bowiem zachować siły. Tołuj najwyraźniej czerpał przyjemność z pociągania za linę za każdym razem, kiedy Temudżyn próbował włożyć mięso do ust.

Kiedy znów wyruszyli, Temudżyn walczył ze znużeniem i piekącym bólem w nadgarstkach. Nie skarżył się, bo nie chciał dać Tołujowi satysfakcji ze swojej słabości. Wiedział, że wojownik raczej go zabije, niż pozwoli mu uciec, i nie widział możliwości uwolnienia się z rąk tych dwóch mężczyzn. Na myśl o ponownym spotkaniu z Ełukiem strach kąsał mu głodne trzewia. Wieczorem Tołuj zatrzymał się nagle i utkwiał wzrok gdzieś w oddali. Temudżyn zmrużył oczy w promieniach zachodzącego słońca i ogarnęła go rozpacz.

Stary Horghuz nie odszedł zbyt daleko. Temudżyn rozpoznał jego hreczkowatego kuca i wóz wyładowany stertą nędznego dobytku. Przed nimi szło małe stadko kóz i owiec, których meczenie niosło się daleko na wietrze. Może Horghuz nie zrozumiał zagrożenia. Temudżyna ścisnęło serce na myśl, że staruszek został w pobliżu, żeby sprawdzić, co stanie się z rodziną z którą się zaprzyjaźnił.

Horghuz nie był głupcem i nie zbliżał się do idących. Gdy obejrzał się za siebie, widać było jego bladą twarz. Temudżyn pospieszał go w duchu, żeby odjechał najdalej, jak mógł.

Temudżyn mógł tylko patrzeć w napięciu, jak Tołuj podaje linę Basanowi, zdejmując łuk z ramion, przygotowuje cięciwę. Ruszył szybko w kierunku starca i jego rodziny. Temudżyn nie mógł już dłużej wytrzymać. Szarpnął tak mocno, że Basan omal się nie przewrócił, podniósł ręce do góry i zaczął machać gwałtownie do Horghuza, by go zaalarmować i nakłonić do ucieczki.

Horghuz zawahał się, kiedy odwrócił się w siodle i zobaczył idącą w jego kierunku samotną postać. Zauważył rozpaczliwe gesty Temudżyna, ale było już za późno. Tołuj zbliżył

się już na odległość strzału i osadził cięciwę, przytrzymując łuk stopą, po czym w jednej chwili uniósł gotową do strzału broń. Horghuz zdążył tylko krzyknąć do żony i dzieci, gdy Tołuj napiął łuk i wypuścił strzałę.

Strzał nie był trudny dla kogoś, kto potrafił strzelać w galopie. Temudżyn jęknął na widok Horghuza popędzającego kuca i wiedział, że zmęczony wierzchowiec nie zdoła umknąć. Wszyscy śledzili lot strzały. Tołuj posłał w ślad za nią drugą. Czas jakby się zatrzymał i zdawało się, że strzała zawisała w powietrzu, jednak ludzie i tak poruszali się zbyt wolno.

Temudżyn krzyknął, kiedy grot utkwiał w plecach starego Horghuza, a jego kuc zerwał się w popłochu. Nawet z tej odległości Temudżyn widział, jak jego przyjaciel rzuca się w konwulsjach, machając rękami. Druga strzała pofrunęła niemal tym samym torem i trafiła drewniane siodło, kiedy Horghuz osunął się na ziemię. Leżał teraz - ciemny kształt w zielonej trawie. Usta Temudżyna drgnęły, gdy dobiegł go głuchy odgłos strzały, gdy ta utkwiała w celu. Tołuj wrzasnął triumfalnie i ruszył szybkim krokiem myśliwego z łukiem przygotowanym do strzału, zbliżając się do przerażonej rodziny Horghuza jak wilk do stada kóz. Żona Horghuza uwolniła konia z wozu i usadziła dwóch synów w siodle, wyciągnąwszy wbitą pionowo strzałę. Zanim zdążyła popędzić zwierzę do biegu, Tołuj krzyknął ostrzegawczo. Kiedy podniósł w górę łuk, wola walki opuścił ją i stanęła zrezygnowana.

Temudżyn patrzył w rozpacz, jak Tołuj podchodzi bliżej i spokojnie osadza kolejną strzałę na cięciwie.

- Nie! - krzyknął, ale Tołuj bawił się w najlepsze.

Jego pierwsza strzała trafiła kobietę w pierś, a potem Tołuj zabrał się za wrzeszczące dzieci. Siła trafienia zrzuciła je z siodła i leżały teraz na wznak na pylistej ziemi.

- Co oni mu złego zrobili, Basanie? Powiedz mi! - spytał Temudżyn.

Basan spojrzał na niego lekko zaskoczony, ze zdziwieniem w spojrzeniu swoich ciemnych oczu.

- To nie są nasi ludzie. Zostawiłbyś ich na śmierć głodową?

Temudżyn odwrócił wzrok przed widokiem Tołuja kopiącego ciało jednego z dzieci, które tarasowało mu drogę do kuca. Czuł gdzieś w duszy, że stał się świadkiem zbrodni, ale nie miał słów, żeby to wyjaśnić. Ze starym Horghuzem nie łączyły go więzy krwi ani powinowactwa. Oni nie należeli do Wilków.

- Zabija jak tchórz - powiedział, wciąż szukając wyjaśnienia. - Czy z równym zadowoleniem staje naprzeciw uzbrojonych wojowników?

Zobaczył, że Basan marszczy czoło i wiedział, że uderzył we właściwą strunę. To prawda, że rodzina starego Horghuza nie przeżyłaby zimy. Nawet Jesügej pewnie wydałby podobny rozkaz, ale uczyniłby to ze współczuciem jako rodzaj litości w trudnym kraju. Temudżyn prychnął, kiedy zobaczył, że Tołuj jedzie z powrotem - był bardzo małym człowieczkiem mimo swojej postury i ogromnej siły. Pozbawił życia Horghuza i jego rodzinę, żeby ukoić swoją zranioną dumę i promieniał teraz z zadowolenia, kiedy stanął przed widzami swoich popisów. Temudżyn poczuł do niego straszną nienawiść, ale ukrył swoje myśli i postanowił nie rozmawiać o tym więcej z Basanem.

Tołuj i Basan na zmianę jechali na hreczkowatej klaczy i ciągnęli Temudżyna z tyłu. Ciało zostawiono na pastwę drapieżców, Tołuj zabrał tylko z powrotem swoje strzały. Wojownicy przeszukali także wóz starca, ale znaleźli tylko wysuszone mięso i złachmanione ubrania. Włóczędzy tacy jak Horghuz nie miewali ukrytych skarbów. Tołuj poderżnął gardło małemu koźlątku i wypił jego krew z widocznym zadowoleniem, po czym przywiązał ciało zwierzęcia

za siodłem i popędził resztę trzody przed sobą. Mieli teraz dość świeżego mięsa, żeby dojechać do koczowiska Wilków.

Temudżyn spojrział jeszcze w nieruchome, blade twarze Horghuza i jego rodziny, gdy mijali ich ciała. Gościli go u siebie i częstowali soloną herbatą i mięsem, gdy był głodny. Czuł się teraz znużony emocjami dnia, ale kiedy tak zostawiał ich na stepie, uderzyła go myśl, że byli oni jego plemieniem, jego rodziną. Nie przez więzy krwi, ale przez przyjaźń i wspólną walkę o przetrwanie w trudnych czasach. Wziął więc na siebie obowiązek pomsty za ich życie.

*

Höelün chwyciła Temügego za ramiona i potrząsnęła nim. Wyrósł jak wiosenna trawa, odkąd opuścili plemię Wilków i nie było już śladu dawnego tłuszczu. Nie był jednak silny, kiedy było to potrzebne. Pomagał braciom w pracy, ale robił tylko to, co mu kazano, a przez większość czasu znikał - spędzał czas na pływaniu w strumieniu albo włóczeniu się po górach w poszukiwaniu widoków. Höelün potrafiła sobie radzić ze zwykłym lenistwem, o ile tylko miała bat pod ręką. Temüge był jednak nieszczęśliwym małym chłopcem, który wciąż marzył o powrocie do Wilków i wszystkiego, co stracili. Potrzebował czasu w samotności i jeśli mu go nie dawano, stawał się nerwowy i ponury, aż Höelün traciła w końcu cierpliwość i posyłała go precz, żeby świeże powietrze wywiało myśli kłębiące mu się w głowie.

Temüge płakał wieczorem w malutkiej jurcie, aż Höelün straciła cierpliwość.

- Co my teraz zrobimy? - zachlipał i wytarł rękawem nos, pozostawiając lśniący ślad śluzu.

Höelün stłumiła rozdrażnienie i pogładziła go po włosach zgrubiałą dłonią. Jeśli był zbyt miękki, to stało się tylko to, przed czym przestrzegał ją Jesügej. Może po prostu była dla niego zbyt pobłażliwa.

- Nic mu nie będzie, Temüge. Twój brat nie da się złapać tak łatwo.

Próbowała utrzymać radosny ton głosu, chociaż sama zaczęła się już zastanawiać nad ich przyszłością. Temüge mógł chlipać, ale Höelün musiała zacząć planować i korzystać ze swej mądrości - inaczej mogła stracić ich wszystkich. Pozostali jej synowie byli zaszokowani i przybici kolejnym ciosem w ich życiu. Temudżyn obudził w nich trochę nadziei. Jego utrata oznaczała powrót do pełnej rozpaczyny pierwszych dni samotności, których ciężkie wspomnienie obudził teraz ten mroczny wąwóz.

Jeden z kuców na zewnątrz jurty zarżał cicho. Dźwięk ten sprawił, że Höelün zastanowiła się i podjęła decyzję, która niemal wyrwała jej serce z piersi. Temüge wciąż chlipał w kącie, a ona zwróciła się do wszystkich i powiedziała:

- Jeśli Temudżyn nie wróci do nas do jutra wieczorem, będziemy musieli opuścić to miejsce. - Jej słowa przejęły ich dreszczem, nawet mała Temülün przestała bawić się kolorowymi kośćmi i spojrzała na matkę szeroko otwartymi oczami. - Nie mamy wyboru - teraz, kiedy Wilki wracają pod Czerwone Wzgórze. Ełuk przeszuka teren na sto mil od koczowiska i znajdzie tutaj tę małą kryjówkę. To byłby nasz koniec.

Pierwszy odezwał się Kacziun, ostrożnie dobierając słowa.

- Jeśli odjedziemy, Temudżyn więcej nas już nie znajdzie, ale to wiesz - powiedział. - Mógłbym zostać i poczekać na niego, jeśli weźmiesz kuce. Powiedz mi tylko, w którym kierunku się udasz, a pójdę tam, kiedy zjawi się Temudżyn.

- A jeśli nie przyjdzie? - zapytał Kasar.

Kacziun zmarszczył czoło.

- Będę czekał tak długo, jak będę mógł. Jeśli Wilki zaczną szukać w wąwozie, schowam się albo pojedę za wami nocą. Jeśli po prostu stąd odjedziemy, to tak, jakby już był martwy.

Już się więcej nie odnajdziemy.

Höelün roześmiała się i poklepała Kacziuna po ramieniu, próbując nie okazywać po sobie rozpaczy. Chociaż się uśmiechała, w jej oczach znać było jednak niepokój.

- Dobry z ciebie brat i wspaniały syn - powiedziała. - Twój ojciec byłby z ciebie dumny. - Pochyliła się do przodu z niepokojącym skupieniem na twarzy. - Ale nie ryzykuj życia, jeśli zobaczysz, że go złapano, rozumiesz? Temudżyn urodził się z krwią w ręku, może taki jego los. - Jej twarz skurczyła się nagle. - Nie mogę stracić wszystkich synów, jednego po drugim.

Wspomnienie Bektera przyniosło spazm bólu i Höelün, ku zaskoczeniu dzieci, zanosła się łkaniem. Kacziun objął matkę, a w kącie Temüge znowu zaczął chlipać.

ROZDZIAŁ 17

Ełuk siedział w jurcie dwa razy większej niż inne w koczowisku, na tronie z drewna i polerowanej skóry. Jesügej gardził takimi symbolami władzy, ale Ełukowi wyniesienie ponad swoich druhów przynosiło spokój. Niech pamiętają, kto jest ich chanem! Słuchał trzasków pochodni i odległych głosów współplemieńców. Znowu był pijany albo przynajmniej lekko zamroczony, tak że widział wokół zamazane kształty. Zastanawiał się, czy nie krzyknąć po więcej ajraku, który otępiłby go i zmusił do snu, ale zamiast tego siedział w ponurym milczeniu i patrzył na podłogę. Jego druhowie wiedzieli, że nie należy przeszkadzać chanowi, gdy rozmyśla on o lepszych czasach.

Jego orlica siedziała przycupnięta na kawałku drewna z prawej strony. Ciemnogłowy ptak przez większość czasu tkwił nieruchomo jak posąg z brązu, poruszał się tylko wtedy, gdy na zewnątrz rozlegał się jakiś dźwięk, przekrzywiając przy tym głowę tak, jakby potrafił widzieć przez grubą skórę. Czerwony odcień piór orlicy wciąż był widoczny, a jej skrzydła lśniły, kiedy padał na nie refleks z płomienia pochodni. Ełuk był dumny ze wspaniałości i potęgi ptaka. Widział, jak atakuje koźlę, a potem rwie się do góry ze zwisającym w szponach bezwładnym ciałem zdobyczy. Oczywiście nie pozwolił orlicy zabrać niczego ponad należny jej kawałek mięsa, ale była to chwila chwały. Ełuk oddał orła Jesügeja innej rodzinie, co związało jej członków więzami wdzięczności za podarunek chana. Gorąco pragnął pokazać parę ptaków Temudżynowi albo Bekterowi i prawie życzył sobie ujrzeć ich żywych tylko po to, żeby raz jeszcze wzbudzić w nich gniew. Pamiętał dzień, kiedy sam Jesügej podarował mu Orłą Czerwień. Nagle wbrew jego woli do oczu napłynęły mu łzy i zaklął głośno, złorzecząc na ajrak, który sprowadzał melancholię. W tamten dzień Ełuk był młodszy, a dla młodego świat jest lepszy, czystszy i świetniejszy niż dla tych, którzy zapuścili sobie sadło i pili co wieczór. Wiedział jednak, że wciąż jest silny. Dość silny, by złamać każdego, kto ośmieliłby się sprawdzić jego siłę.

Ełuk rozejrzał się zamglonym wzrokiem w poszukiwaniu Tołuja, zapominając na chwilę, że jeszcze nie wrócił. Plemię Wilków posuwało się wolniej w swoim marszu na północ, odkąd Tołuj wyjechał z Basanem i Ünegenem. Powinno to być dość proste zadanie - miał tylko sprawdzić, czy dzieci Jesügeja wciąż żyły albo przynajmniej znaleźć ich kości. Ełuk przypomniał sobie pierwszą zimę po tym, jak został chanem, i wzdrygnął się. Była ciężka, nawet mimo podróży na południe. Dla tych, którzy zostali na północy, musiała być okrutnie sroga, tak dla młodych, jak i starych. Höelün i jej dzieci na pewno nie pożyły długo, był tego niemal pewien. Jednak męczyło go to. Co takiego mogło zatrzymać Tołuja i pozostałych? Młody wojownik był użyteczny. Jego wierność nie podlegała wątpliwości, w przeciwieństwie do niektórych starszych mężczyzn. Ełuk wiedział, że niektórzy wciąż jeszcze podważali jego prawo do panowania w plemienu - głupcy, niezdolni do zaakceptowania nowego porządku. Dopilnował, aby ich śledzono i, kiedy pewnego dnia przyjdzie czas, staną przed swoją jurta druhów takich jak Tołuj. Ełuk sam zetnie im wtedy głowy, jak przystało na chana. Miał świadomość, że zdobył władzę siłą - i tylko siłą zdoła ją utrzymać. W przeciwnym razie niechęć wobec jego rządów będzie narastała, aż pewnego dnia jego wrogowie znajdą w sobie odwagę, by mu się przeciwstawić. Czyż sam nie czuł tego w swoim sercu na długo, zanim zginął Jesügej? W najskrytszych zakamarkach jego serca tak właśnie było.

Na ostrzegawczy dźwięk rogów Ełuk poderwał się na nogi i chwycił za miecz, dotąd oparty o poręcz krzesła. Orla Czerwień zaskrzeczała, ale chan zignorował to i potrząsnął głową, żeby oczyścić myśli, gdy wyszedł na chłodne powietrze. Czuł przyspieszone tętno i podniecenie, jakie uwolnił w nim alarm zwiadowców. Miał nadzieję, że to wrodzy jeźdźcy albo Tołuj powracający z dziećmi starego chana. Jedno i drugie sprawi, że Ełuk zatopi swój miecz we krwi, a nigdy nie sypiał tak dobrze i bez koszmarów jak po zabiciu człowieka.

Przyprowadzono mu konia i wsiadł ostrożnie, niemal chwiejnie. Czuł w sobie moc ajraku, ale to tylko dodawało mu siły. Zwrócił mętne, przekrwione oczy na swoich druhów, zebranych już wokół niego, po czym popędził ogiera, by ten poniosł go na spotkanie niebezpieczeństwa.

Ełuk wydał okrzyk bojowy na zimnym wietrze, kiedy jeźdźcy otoczyli go w doskonałym szyku. Byli Wilkami i musieli budzić strach. Ełuk nigdy nie czuł takiego przypływu witalności jak teraz, kiedy w obliczu wroga, z którym wszyscy musieli się zmierzyć, zapomniano o niechęci do niego i jego rządów. Tego właśnie pragnął zamiast zajmować się błahymi problemami i waśniami współplemieńców. Co one go obchodziły? Jego miecz i łuk gotowe były działać w obronie plemienia i Ełuk tylko tyle winien był swoim poddanym. Dzięki niemu urosli w liczbę i siłę, tak jak ich trzody. Nic więcej nie miało znaczenia, dopóki wojownicy jechali pod jego wodzą.

W pełnym galopie Ełuk opuścił miecz ponad uszami ogiera i krzykiem popędził wierzchowca, czując, że ajrak z wolna przestaje go już palić. Pragnął ujrzeć naprzeciw siebie wrogie wojska, stoczyć bitwę, by sprawdzić swoją odwagę i poczuć upojenie, jakie przynosi bliskość śmierci. Zamiast tego dostrzegł tylko dwie postacie na stepie, jadące na ciemnobrązowych kucach objuczonych zbyt ciężko, by stanowiły zagrożenie. Przełknął gorzyc zawodu i zmusił się, by przybrać obojętny wyraz twarzy. Wilki zabiorą przybyszom wszystko, co posiadali, i zostawią im tylko ich nędzne życie, chyba że wędrowcy wybiorą walkę. Ełuk miał nadzieję, że tak właśnie będzie, kiedy tak jechał, a jego ludzie zajmowali pozycje u jego boku.

Zataczając się po ajraku, Ełuk zsiadł z konia i ruszył ku przybyszom. Ku swojemu zaskoczeniu stwierdził, że obaj byli uzbrojeni, chociaż nie byli na tyle głupi, żeby dobyć mieczy. Rzadko widywało się długie ostrza w rękach włóczęgów. Sztuka hartowania i wykuwania stali była bardzo poszukiwaną umiejętnością wśród plemion, a miecz był cennym nabytkiem. A jednak dwóch włóczęgów nie wyglądało na mających. Ich ubrania były kiedyś dobrej jakości, ale teraz pokrywała je warstwa starego kurzu i błota. W zmaconym ajrakiem umyśle Ełuka narastało zaniepokojenie.

Kiedy podchodził bliżej, uważnie przyglądał się mężczyznom, pomny nauk Jesügeja, aby oceniał wrogów. Jeden z nich mógł być ojcem drugiego, ale wyglądał na silnego mimo siwych włosów, zaczesanych i uwiązanych w warkocz z tyłu. Ełuka ogarnęło drażniące poczucie zagrożenia na widok pozycji, w jakiej stał starszy przeciwnik, i instynktownie skupił całą uwagę właśnie na nim, wyczekując jego pierwszego ruchu i ignorując młodszego przybysza. Nie potrafił wyjaśnić takiej decyzji, ale instynkt nieraz już ocalił mu życie. Mimo obecności konnych wojowników żaden z przybyłych nie skłonił się. Ełuk ściągnął brwi, dziwiąc się ich odmienności i zuchwalstwu. Zanim zdążył coś powiedzieć, starszy z przybyłych ożywił się na widok skaczącego wilka na zbroi Ełuka. Mruknął coś do towarzysza i obaj wyraźnie się odprężyli.

- Nazywam się Arsłan - powiedział wyraźnie ten starszy - a to mój syn Dzelme. Ślubowaliśmy Wilkom i wreszcie was znaleźliśmy.

Kiedy Ełuk nie odpowiedział, przybysz rozejrzał się po twarzach jego druhów.

- Gdzie jest ten, którego zważę Jesügejem? Wypełniłem mój ślub. Nareszcie was odnalazłem.

*

Ełuk wpatrywał się ponuro w przybyszów, kiedy siedzieli w cieple jego jurty. Dwaj jego druhowie stali przed wejściem na chłodzie, gotowi przybyć na jego wezwanie. W jurcie tylko Ełuk był uzbrojony. A mimo to czuł ciągle napięcie z powodu obecności przybyszów, nie mógł jednak uzmysłwić sobie, dlaczego tak było. Może to przez zupełny brak lęku u któregoś z nich. Arslan nie okazał zaskoczenia ani podziwu na widok wspaniałej jurty, jaką swego czasu kazał sobie zbudować Ełuk. Bez mrugnięcia okiem oddał też swój miecz. A kiedy wzrok Arslana spoczął na kunsztownych broniach na ścianie, Ełuk był niemal pewien, że dostrzeże na twarzy przybysza złośliwy uśmieszek, który jednak znikł równie szybko, jak się pojawił. Tylko Orla Czerwień przykuła jego uwagę i - ku rozdrażnieniu Ełuka - Arslan wydał z siebie skrzekliwy dźwięk i pogładził orlicę po czerwonozłotym upierzeniu na piersi. Ptak nie zareagował i Ełuk z coraz większym trudem tłumił wzbierający w nim gniew.

- Jesügej zginął z rąk Tatarów przed prawie pięciu laty - powiedział Ełuk, kiedy przybysze usiedli i wychylili czarki herbaty. - Kim jesteście i czemu do nas przychodzicie?

Młodszy z nieznanym otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale Arslan powstrzymał go lekkim klepnięciem w ramię.

- Przyszlibyśmy szybciej, gdybyście zostali na północy. Mój syn i ja jechaliśmy ponad tysiąc dni, żeby was znaleźć i wypełnić śluby, które uczyniłem twojemu ojcu.

- Nie był moim ojcem - rzucił Ełuk. - Byłem pierwszym pośród jego druhów.

Dwaj przybysze wymienili spojrzenia.

- Więc nie są to tylko czeże plotki, żeś porzucił synów i żonę Jesügeja na stepie? - upewnił się cicho Arslan.

Ełuk zdał sobie sprawę, że milczące, przenikliwe spojrzenie Arslana wzbudza w nim wyrzuty sumienia.

- Jestem chanem Wilków - odpowiedział. - Prowadzę ich od czterech lat i plemię jest silniejsze niż kiedykolwiek. Jeśli ślubowałeś Wilkom, ślubowałeś mnie.

Arslan i jego syn raz jeszcze wymienili spojrzenia i Ełuk stał się niecierpliwym.

- Patrz na mnie, kiedy mówię do ciebie! - rozkazał.

Arslan posłusznie podniósł wzrok na człowieka na tronie z drewna i skór, ale nie odezwał się ani słowem.

- Skąd macie długie ostrza, które przynieśliście? - zapytał Ełuk.

- Ich wyrób to moje rzemiosło, panie - odpowiedział cicho Arslan. - Byłem niegdyś płatnerzem u Najmanów.

- Wyrzucili cię? - zapytał natychmiast Ełuk.

Żałował, że wypił aż tyle przed ich przyjazdem. Ajrak mącił mu myśli, a Ełuk wciąż czuł niebezpieczeństwo ze strony starca mimo jego spokojnej mowy. Jego ruchy były opanowane, co zdradzało twardego charakter. Przybysz był może i płatnerzem, ale na pewno był też wojownikiem. Jego syn był chudy jak szczapa i nie wyglądał na niebezpiecznego, toteż Ełuk uznał, że może skreślić go ze swoich myśli.

- Opuściłem chana, kiedy wziął sobie moją żonę - odparł Arslan.

Chan drgnął nagle, kiedy przypomniał sobie zasłyszana przed laty opowieść.

- Słyszałem o tym - zaczął, wytężając pamięć. - To ty rzuciłeś wyzwanie chanowi Najmanów? Ty jesteś tym wiarołomcą?

Arslan westchnął, przypominając sobie dawny ból.

- To było dawno temu i byłem młodszy, ale tak. Chan był okrutnikiem i chociaż przyjął moje wyzwanie, wrócił najpierw do swojej jurty. Walczyliśmy i zabiłem go, ale kiedy poszedłem odebrać żonę, znalazłem ją z poderżniętym gardłem. To stare dzieje i nie myślałem o tym przez wiele lat.

Oczy Arslana były ciemne od żalu i Ełuk nie uwierzył w jego ostatnie słowa.

- Słyszałem o tym nawet na południu, gdzie powietrze jest gorące i wilgotne. Jeśli to ty jestem tym płatnerzem, to mówią o tobie, że dobrze umiesz władać stalą. Czy to prawda?

Arslan wzruszył ramionami.

- Opowieści zawsze są przesadzone. Może kiedyś umiałem. Mój syn jest dziś lepszy ode mnie. Wciąż mam jednak miechy i mogę zbudować piec. Znam swoje rzemiosło i wciąż umiem wyrabiać broń. Spotkałem Jesügeja, kiedy polował z jastrzębiem. Ujrzał we mnie wartość dla swojego ludu i wyraził gotowość złamania tradycji, wprowadzenia nas z powrotem do plemienia. - Urwał na chwilę i spojrzał w minione lata.

- Byłem samotny i zrozpaczony, kiedy mnie znalazł. Moją żonę wziął inny mężczyzna i nie chciałem żyć. Jesügej zaoferował mi schronienie wśród Wilków, jeśli przyprowadzę swojego syna. Sądzę, że był to wielki człowiek.

- Ja jestem większy - odpowiedział Ełuk, rozdrażniony, że chwali się Jesügeja w jego jurcie. - Jeśli znasz rzemiosło tak, jak mówisz, Wilki nadal gotowe są cię przyjąć.

Przez długi czas Arslan nie odpowiadał i nie odwracał wzroku. Ełuk czuł narastające napięcie w jurcie i z trudem opanował się, żeby nie sięgnąć po głównię miecza. Widział, jak Orla Czerwień też podnosi głowę, jakby i ona czuła gęstniejącą atmosferę między rozmówcami.

- Ślubowałem służyć Jesügejowi i jego dziedzicom - powiedział Arslan.

Ełuk prychnął.

- Czyż nie jestem tu chanem? Plemię Wilków jest moje, a ty przysięgałeś służyć Wilkom. Przyjmę was obu i dostaniecie jurtę, owce, sól i ochronę.

Raz jeszcze zapadło dłuższe, niewygodne milczenie. Aż w końcu Arslan skłonił się.

- Czynisz nam wielki zaszczyt - odpowiedział.

Ełuk znowu prychnął.

- A więc ustalone. Przychodźcie w czasie, gdy potrzebna mi będzie dobra broń. Twój syn będzie jednym z moich druhów, jeśli jest tak dobry, jak mówisz. Ruszymy na wojnę z mieczami, które wykujesz. Powiadam wam, czas już, by plemię Wilków powstało do walki.

*

W zatechłej ciemności nowej jurty Dželme zwrócił się cicho do ojca.

- Więc zostajemy tu?

Jego ojciec potrząsnął głową, niewidoczną w mroku. Świadomy istnienia uszu, które mogły słuchać, mówił tak cicho, że jego głos był nie wiele więcej, jak tylko oddechem.

- Nie. Ten człowiek, który mieni się chanem, jest tylko jazgoczącym psem i ma krew na rękach. Spodziewasz się, że znowu będę służył komuś takiemu jak chan Najmanów? Jesügej był człowiekiem honoru, człowiekiem, któremu mógłbym służyć bez żalu. Natknął się na mnie, gdy zbierałem dziką cebulę małym tylko nożykiem. Mógł ukraść wszystko, co miałem, ale nie zrobił tego.

- Zabiłbyś go, gdyby spróbował - powiedział Dželme, uśmiechając się w ciemnościach.

Widział ojca w walce i wiedział, że nawet z gołymi rękami był ciężkim przeciwnikiem dla

uzbrojonych w miecze wojowników.

- Mógłbym go zaskoczyć - Arślan odpowiedział bez dumy - ale on o tym nie wiedział. Polował samotnie i wyczułem, że nie chce towarzystwa, a jednak potraktował mnie z honorem. Podzielił się ze mną mięsem i solą. - Arślan westchnął na to wspomnienie. - Lubiłem go. Przykro mi słyszeć, że opuścił stepy. Ten Ełuk jest słaby tam, gdzie Jesügej miał siłę. Nie dopuszczę, żeby wziął do ręki moje piękne miecze.

- Wiedziałem - powiedział Dzelme. - Nie złożyłeś mi przysięgi i domyśliłem się. Nie zwrócił nawet uwagi, jakich słów użyłeś. Ten człowiek to głupiec, ale wiesz, że nie pozwoli ci odejść.

- Nie, nie pozwoli - powiedział Arślan. - Powinienem być słuchać plotek o nowym chanie. Źle zrobiłem, ściągając cię w niebezpieczeństwo.

Dzelme roześmiał się.

- A gdzież indziej miałbym pójść, ojczy? Moje miejsce jest przy tobie. - Zastanowił się przez chwilę. - Mam rzucić mu wyzwanie?

- Nie! - powiedział Arślan ostrym szeptem. - Człowiekowi, który zdolny był zostawić dzieci na stepie, aby zamarzyły tam wraz z ich matką? Kazałby cię zabrać i ścinać, nie dobywając nawet miecza. Popelniliśmy błąd przychodząc tutaj, ale teraz możemy tylko czekać na odpowiednią chwilę, by odejść. Będę budował piec z nowych glinianych cegieł, a to trochę potrwa. Poślę cię po drewno i zioła, cokolwiek, byle tylko trzymać cię z daleka od obozu. Naucz się imion strażników i spraw, żeby przywykli do twoich ciągłych wypadów po surowce. Znajdź miejsce, gdzie moglibyśmy gromadzić to, co potrzebne, a w wtedy ja, kiedy nadejdzie czas, wyprowadzę kuce.

- Pośle za nami strażę - odpowiedział Dzelme.

Arślan zaśmiał się.

- Niech to zrobi. Nie spotkałem jeszcze człowieka, którego nie mógłbym zabić. Pod koniec lata już nas tu nie będzie, a stał, którą im zostawię będzie bezużyteczna i będą ją mogli wyrzucić.

Dzelme westchnął i zamilkł na chwilę. Długo już nie spał w jurcie i jakaś część jego osobowości broniła się przed myślą o powrocie do ciężkich nocy i srogich zim.

- Widziałem tu kilka ładnych kobiet - powiedział.

Arślan usiadł, gdy usłyszał tęsknotę w głosie syna. Przez pewien czas nie odpowiadał.

- Dotąd nie zaprzątałem sobie tym głowy, mój synu. Może głupio postępuję. Ja się już więcej nie ożenię, ale jeśli ty chcesz tu osiąść i urządzić sobie życie wśród tych ludzi, zostanę z tobą. Nie mogę ciągnąć cię za sobą przez resztę życia.

Dzelme wyciągnął rękę w ciemnościach i położył ją na ramieniu ojca.

- Wiesz, że pójdę wszędzie za tobą. Twój ślub wiąże mnie tak samo jak ciebie.

Arślan parsknął śmiechem.

- Ślub złożony umarłemu nikogo już nie wiąże. Gdyby Jesügej żył albo chociaż jego dzieci, poszedłbym do nich z otwartym sercem. Ale teraz możemy żyć tylko tutaj albo na stepach z prawdziwymi wilkami. Nie odpowiadaj mi dzisiaj. Prześpij się i pomówimy rano.

*

Ełuk wstał o świcie, czując huczący ból w głowie i śliski pot na skórze. Zeszłego wieczora kazał przynieść sobie więcej ajraku po tym, jak Arślan i Dzelme poszli do swojej jurty, i spał najwyżej tylko tyle, ile gwiazdy potrzebowały, by przesunąć się na niebie o szerokość dłoni. Czuł się okropnie, ale kiedy wyszedł z jurty i rozejrzał się po obozie, zdziwił go widok

Arslana i jego syna już na nogach. Dwóch przybyszów ćwiczyło razem z wyciągniętymi mieczami, przeciągając się i poruszając w czymś, co dla zaspanych oczu Ełuka wyglądało jak taniec.

Zebrało się wokół nich kilku druhów chana, a niektórzy z nich śmiali się albo czynili cięte uwagi. Dwaj mężczyźni ignorowali ich jednak i ćwiczyli dalej z gracją i gibkością, które dla wprawnych oczu zdradzały wysoki poziom umiejętności. Obnażona pierś Arslana pokryta była deseniem blizn. Nawet Ełuk był pod wrażeniem tych znamion, od białych wzorów po starych cięciach po okrągłe ślady po oparzeniach i grotach strzał na ramionach i piersi. Arslan widział wiele bitew i kiedy obrócił się teraz w powietrzu, Ełuk dostrzegł tylko kilka ran na bledszej skórze pleców. Para przybyszów ćwiczyła imponująco, co Ełuk przyznał niechętnie. Arslan lśnił od kropel potu, jednak nie oddychał ciężko. Ełuk patrzył ponuro i próbował sobie przypomnieć rozmowę, którą odbyli poprzedniego wieczora. Zauważył, że jego druhowie zamilkli, i prychnął pod nosem, kiedy ojciec i syn skończyli ćwiczenia. Nie ufał im. Kiedy tak stał i drapał się po głowie, dwóch jego druhów podeszło do Arslana i zagadnęło go, najwyraźniej chcąc spytać o ćwiczenia, które widzieli. Ełuk zastanawiał się, czy przybysze nie byli przypadkiem szpiegami albo nawet skrytobójcami. Szczególnie ten starszy miał spojrzenie zabójcy i Ełuk wiedział, że będzie musiał podporządkować go sobie choć w części - inaczej może on zakwestionować jego władzę w koczowisku.

Mimo uprzedzeń Ełuk musiał jednak przyznać, że zjawienie się przybyszów było błogosławieństwem Ojca Nieba, kiedy planowali wyruszyć przeciw Ołkunutom. Plemię Wilków urosło w siłę i Ełuk czuł w całym ciele zew bitwy. Będą mu potrzebne dobre miecze dla każdego młodego wojownika w plemienu i może Arslan sprostą temu wyzwaniu. Ich własny płatnerz był starym pijakiem i każdej zimy tylko jego rzemiosło chroniło go przed porzuceniem wśród śniegów. Ełuk uśmiechnął się na myśl o tym, że Arslan mógłby zrobić kolczugi i miecze, które wzmocnią Wilków.

Kiedy Ełuka nawiedzały marzenia senne, zawsze były to sny o śmierci. Stara znachorka rzuciła raz kości w jego jurcie i przepowiedziała wielki przelew krwi pod jego wodzą. Może Arslan był posłańcem od duchów, takim jak w starych legendach. Ełuk przeciągnął się, czując własną siłę, kiedy jego kości chrupnęły lekko, a mięśnie napięły się cudownie. Po śmierci Jesügeja przebudziły się jego ambicje. Nikt nie potrafił powiedzieć, dokąd go one zawiodą.

*

Mijał już czwarty dzień po przybyciu Arslana i jego syna, kiedy Tołuj i Basan wrócili do koczowiska Wilków, ciągnąc za sobą zmordowanego człowieka. Ełuk wyjechał im naprzeciw z innymi druhami i krzyknął z zadowolenia, kiedy zobaczył, że jego ludzie przyprowadzili żywego jeńca. Wolałby, żeby to był Bekter, ale w jakiś sposób miłszy mu był widok Temudżyna patrzącego na niego podkrążonymi oczami.

Podróż była ciężka dla Temudżyna, ale stał sztywno wyprostowany, jak tylko mógł, kiedy Ełuk zsiadł z konia. Obawiał się tej chwili, odkąd został złapany, a teraz, kiedy przyszła, znużenie i ból odrętwiły go.

- Rozumiem, że udzielisz mi gościny? - zapytał.

Ełuk prychnął i zdzielił Temudżyna w twarz wierzchem dłoni, tak że chłopiec runął na ziemię.

- Witaj w domu, Temudżynie - powiedział, odsłaniając silne, białe zęby. - Długo czekałem, żeby ujrzyć cię na ziemi, u mych stóp.

Podniósł nogę i przycisnął nią Temudżyna, leżącego twarzą w pyłe. Powoli zwiększał

nacisk, a jego oczy płonęły takim blaskiem, że zebrani wokół wojownicy zamilkli.

W końcu Basan przerwał milczenie.

- Mój panie, Ünegen nie żyje. Pozostali uciekli.

Ełuk jakby wrócił myślami z daleka, żeby odpowiedzieć, uwalniając przy tym milczącą postać spod nacisku swojego buta.

- Wszyscy przeżyli? - zdziwił się.

Basan potrząsnął głową.

- Bekter nie żyje. Jak zrozumiałem, pozostałym udało się przetrwać. Znaleźliśmy ich obóz i spaliliśmy go.

Ełuka nie obchodziła śmierć Ünegeny. Był jednym ze starych druhów. Żaden z nich nie potrafił prawdziwie uznać Ełuka za chana. W miarę upływu lat Ełuk stopniowo zastępował takich wojowników młodszymi współplemieńcami, spragnionymi krwi i podbojów.

- Dobrze się spisałeś - zwrócił się do Tołuja, którego pierś aż rozpierała duma. - Możesz wziąć jednego z moich koni i tuzin bukłaków ajraku. Idź, upij się. Zasłużyłeś na pochwałę od chana.

Tołuj był uradowany i skłonił się tak nisko, jak umiał.

- Zaszczycasz mnie, mój panie - powiedział i zerknął ukradkiem na Temudżyna. - Chętnie popatrzyłbym, jak go upokarzasz.

- A więc dobrze, Tołuju. Będiesz przy tym. Duchy pragną krwi, by zaspokoić swój głód. Będzie zmaza na ziemi, która pośle nas ku zwycięstwu i wielkości. Przyszedł do nas płatnerz. Syn chana będzie naszą ofiarą. Ojciec Niebo ześle nam słodkie niewiasty i tysiące plemion legnie u naszych stóp. Czuję to we krwi.

Temudżyn z trudem podniósł się na kolana. Jego ciało było wyczerpane i obolałe po podróży, a nadgarstki piekły go jak w ogniu. Splunął na ziemię i pomyślał o ojcu, kiedy rozejrzał się wokół.

- Widziałem już owcze łajno, które miało więcej honoru od ciebie - wycodził przez zęby do Ełuka.

Próbował się nie krzywić, kiedy podszedł do niego jeden z druhów chana i tłukł go do nieprzytomności głownią miecza. Dostał trzy uderzenia, zanim w końcu padł na pylistą ziemię z wciąż otwartymi oczami.

*

Temudżyn obudził się, kiedy ciepła ciecz bryzgnęła mu na twarz i ubranie. Sapnął ciężko i z trudem zerwał się na nogi, krzycząc z bólu, gdy odkrył, że złamano mu palec, a jedno oko miał tak zaklejone zakrzepłą krwią, że nie mógł go otworzyć. Miał nadzieję, że nie został oślepiiony, ale w gruncie rzeczy nie wiele go to obchodziło. Było tak ciemno, że nie rozumiał, gdzie się znajduje. Nad głową widział kraty na tle odległych, migoczących gwiazd i zadygotał z zimna. Tkwił w zmarzniętej norze, przykrytej drewnianą kratą, która była za wysoko, żeby mógł jej sięgnąć. Przyłożył zdrową rękę do ścian i odkrył, że ziemia była śliska od wilgoci. Stopy miał zanurzone w wodzie, a w górze słyszał przyciszone śmiechy.

Ku swojemu przerażeniu poczuł, że z góry spadł kolejny deszcz cuchnącej cieczy. Wojownicy oddawali mocz do nory, w której siedział, i śmiali się przy tym. Temudżyn zakrył rękami głowę i walczył z ogarniającą go czarną rozpaczą. Wiedział, że może umrzeć w tej kloace, że wojownicy mogą zrzucić z góry kamienie i połamać mu ręce i nogi. Nie było sprawiedliwości na świecie, ale Temudżyn wiedział o tym już od śmierci ojca. Duchy nie ingerowały w życie ludzi, kiedy już się narodzili. Człowiek albo znosił to, co świat zsyłał mu

pod nogi, albo ginął.

Mężczyźni na górze, stękając, przywalili drewnianą kratę ciężkim kamieniem. Kiedy odeszli, Temudżyn próbował pomodlić się przez chwilę. Ku jego zaskoczeniu dodało mu to sił i doczekał do świtu oparty o błotniste ściany dołu, co chwilę to zasypiając, to się budząc. Na domiar złego jego brzuch był pusty i Temudżyn czuł się, jakby nigdy nie miał nic w ustach. Był kiedyś czas, gdy był szczęśliwy i mógł jeździć konno na Czerwone Wzgórze wraz ze swoimi braćmi. Trzymał się teraz tej myśli jak światła w ciemnościach, ale i ona nie chciała pozostać przy nim.

Jeszcze przed świtem usłyszał kroki i zobaczył, jak czarna postać nachyla się nad kratą, zasłaniając część gwiazd. Temudżyn skrzywił się w oczekiwaniu kolejnego opróżniania pęcherza. Nic takiego się jednak nie stało, natomiast ciemna postać przemówiła do niego.

- Kim jesteś? - odezwał się cichy głos.

Temudżyn nie podniósł wzroku, ale poczuł, że na nowo rozpała się w nim duma, i odpowiedział:

- Jestem najstarszym żyjącym synem Jesügeja, który był chanem Wilków.

Przez chwilę widział światła połyskujące na krawędzi widoczności i sądził, że zemdleje. Przypomniawszy sobie stare słowa, których używał jego ojciec, i wypowiedział je teraz.

- Jestem ziemią i opoką wzgórz - odezwał się hardo. - Jestem zimą. Kiedy umrę, przyjdę po was wszystkich pośród najmroźniejszych nocy.

Buńczucznie spojrzawszy w górę, zdecydowany nie okazywać oznak niedoli. Cień nie poruszył się, ale po chwili mruknął kilka słów i zniknął, wpuszczając światło gwiazd do kloaki.

Temudżyn objął swoje kolana i czekał na świt.

- Kim ty jesteś, żeby mi mówić, bym nie rozpaczał? - mruknął.

ROZDZIAŁ 18

Temudżyn patrzył, jak słońce przesuwają się po niebie, a ciężkie chmury tłumią jego ognisty blask tak, że pomarańczowy dysk tylko lekko kłuł w oczy. Odrobina ciepła zawsze przynosiła ulgę o poranku po mroźnej nocy. Kiedy Temudżyn się ocknął, zaraz uwolnił stopę z kleistej mieszaniny lodu i błota, a potem rozruszał kończyny, aż krew na powrót zaczęła w nich krążyć. Wypróżniał się w rogu małej kloaki, ale wciąż było to niemal pod jego stopami i po trzecim dniu powietrze było stęchłe i przyprawiało o mdłości. Muchy wlatywały przez górny otwór i z bzyčeniem krążyły wokół, a Temudżyn tłukł je dla zabawy, uważając przy tym, żeby jak najdłużej pozostały przy życiu.

Rzucano mu z góry chleb i baraninę i śmiano się, gdy starał się złapać żywność, zanim upadnie w bajoro. Za pierwszym razem, kiedy zjadł mięso z ziemi, jego żołądek zbuntował się boleśnie, ale od tego zależało przeżycie, więc Temudżyn tylko wzruszył ramionami i zmusił się do połknięcia. Każdego dnia oznaczał cień rzucany przez słońce małymi kamieniami w błocie. Pomagało mu to znosić upływ czasu i własną niedolę.

Temudżyn nie rozumiał, dlaczego Ełuk zostawił go w tym dole, zamiast zadać mu szybką śmierć. W czasie samotnych godzin wyobrażał sobie, że oto Ełuk okrywa się hańbą albo przekonuje się, że nie jest zdolny zranić syna Jesügeja. W marzeniach Temudżyna na Ełuka spadały najcięższe klątwy, a jego ciało wyniszczały choroby. Czerpał przyjemność z tych myśli, ale w rzeczywistości Ełuk zapewne polował gdzieś na stepie albo knuł jakąś niegodziwość. Temudżyn już dawno się przekonał, że prawdziwy świat był o wiele mniej interesujący niż w jego wyobraźni.

Kiedy usunięto kamień i kratę nad kloaką, Temudżyn odczuł niemal ulgę, że śmierć w końcu nadchodziła. Podniósł ręce do góry i pozwolił, żeby go wyciągnięto. Słyszał wokół głosy rodzin z plemienia i odgadł, że koniec był już bliski. Na domiar złego jeden z mężczyzn chwycił go za złamany palec i Temudżyn sapnął z bólu, gdy chrupnęły mu kości.

Upadł na kolana, gdy go puszczono. Widział wokół ponad sto ludzi i, kiedy wzrok przywykł mu do światła, zaczął rozpoznawać twarze tych, którzy byli kiedyś jego współplemieńcami. Niektórzy krzyczeli obelgi, a małe dzieci rzucały w niego ostrymi kamieniami.

Przygotowywał się na śmierć, na koniec. Lata na stepie, odkąd go porzucono, były błogosławieństwem i darem mimo trudów. Zaznał radości i smutku i poprzysiągł sobie teraz z godnością oddać ducha. Za wszelką cenę domagały się tego duch i krew ojca.

Ełuk siedział na swoim wspaniałym tronie, wyniesionym z jurty na tę okoliczność. Temudżyn zerknął na niego, ale zaraz potem odwrócił wzrok, woląc raczej przyjrzeć się twarzom dawnych współplemieńców. Mimo wszystkiego, co przeżył, w jakiś niewytłumaczalny sposób uspokajał go ich widok. Ignorując Ełuka, uśmiechnął się i skinął do tych, których znał dobrze. Nie odważyli się odpowiedzieć na jego pozdrowienie, ale Temudżyn widział, że ich wzrok zmięknął lekko.

- Sprowadziłbym go tutaj z honorem - zadudnił nagle głos Ełuka, gdy ten zwrócił się do tłumu. Chan opuścił swoją wielką głowę i pokiwał nią z powagą. - Ale znalazłem go żyjącego jak zwierzę bez ludzkiej godności. Jednak nawet szczerz umie kąsać i kiedy zginął mój druh, kazałem zaciągnąć tu tego włóczkę bez plemienia, żeby wymierzyć mu sprawiedliwość.

Wymierzmy mu ją? Pokażemy mu, że Wilki wciąż są silne?

Temudżyn patrzył po rodzinach w plemienu, kiedy druhowie Ełuka zawiwatowali bezmyślnie. Niektórzy współplemieńcy także krzyczeli, ale większość stała w milczeniu i patrzyła na brudnego młodzieńca, który gapił się na nich jasnymi oczami. Powoli Temudżyn podniósł się na nogi. Cuchnął własnymi odchodami, a jego ciało pokryte było śladami po ukąszeniach much i zadrapaniach, ale stał sztywno i czekał na ścięcie.

Ełuk dobył miecza z wilczą głową na kościanej rękojeści.

- Duchy opuściły jego rodzinę, moje Wilki. Spójrzcie na jego stan i uwierzcie mi. Gdzież podziało się szczęście Jesügeja?

Poppełnił błąd, wspominając dawnego chana. Wiele głów opuściło się na dźwięk jego imienia i Ełuk zakipiał z gniewu. Nagle nie wystarczyło mu już po prostu ścięcie głowy Temudżynowi i włożył miecz z powrotem do pochwy.

- Przywiązać go do kuca - powiedział. - Przeciągnąć go po stepie i wrzucić do dołu. Może jutro go zabiję.

Tołuj podprowadził brązowego wałacha i przywiązał do siodła długą linę. Tłum rozproszył się w podnieceniu, a każdy wychylał głowę, żeby lepiej przyjrzeć się dziwnej rozrywce. Temudżyn - kiedy skrępowano mu ręce - przez kilka chwil wpatrywał się blado w Ełuka, a potem splunął na ziemię. Ełuk uśmiechnął się szeroko.

Tołuj odwrócił się w siodle, a na jego twarzy malowało się wielkie zadowolenia połączone ze złościwością.

- Jak szybko umiesz biegać? - zapytał.

- Przekonajmy się - powiedział Temudżyn i oblizał spierzchnięte wargi.

Czuł, że poci się pod pachami. Udało mu się wcześniej zebrać odwagę i stać nieruchomo pod ostrzem miecza. Myśli, że będzie ciągnięty za galopującym koniem, nie potrafił już jednak znieść.

Próbował się przygotować, ale Tołuj szybko popędził kuca piętami i krzyknął dziko. Lina napięła się gwałtownie i szarpnięcie zmusiło Temudżyna do biegu na chwiejnych, osłabionych nogach. Tołuj jechał przed siebie, nie zważając na nic, i bawił się setnie. Nie trwało długo, zanim Temudżyn upadł.

Kiedy Tołuj wreszcie wrócił do obozowiska, Temudżyn zwisał nieruchomo na linie. Trudno było znaleźć kawałek jego ciała, który nie byłby starty do krwi. Jego ubranie stało się brudnymi łachmanami, które powiewały w strzępach na wietrze, gdy Tołuj przeciął w końcu linę. Temudżyn nie czuł, jak opadł na ziemię. Ręce miał prawie czarne, a usta otwarte, a czerwona ślina ściekała mu z miejsca, gdzie gryzł się w język. Zobaczył Basana, stojącego przed wejściem do jurty swojej rodziny. Wojownik był blady i skupiony na twarzy, kiedy Temudżyn patrzył na niego.

Ełuk wyszedł i przywitał się z Tołujem, z zadowoleniem zerkając na skatowany strzęp człowieka, którego uważał kiedyś za ważną osobistość. Cieszył się, że nie skończył wszystkiego zbyt szybko. Decyzja ta sprawiła, że czuł się teraz różnie, jakby zdjęto z niego wielki ciężar. W istocie był w najlepszym nastroju i siłował się teraz przez chwilę dla żartu z Tołujem, zanim wojownik zabrał Temudżyna z powrotem do kloaki i położył kratę na miejsce.

*

Temudżyn siedział w lodowatych odchodach, ledwie świadomy, gdzie się znajduje. Znalazł ząb w bajorze, na tyle duży, że mógł pochodzić ze szczęki dorosłego mężczyzny. Nie wiedział, jak długo siedział i wpatrywał się w niego. Może spał, ale nie był tego pewien. Ból i rozpacz

otępiły jego zmysły tak bardzo, że nie potrafił już stwierdzić, czy śpi, czy czuwa. Bolała go każda kość, a twarz była tak opuchnięta od urazów, że widział tylko przez cienką szparkę przy jednym oku. Drugie oko wciąż było zalepione zakrzepłą krwią, a Temudżyn bał się ją oderwać. Właściwie w ogóle nie chciał się ruszać, bo każde drgnienie groziło bólem z tysięcy ran i zadrapań. Nigdy w życiu nie czuł się tak skatowany i mógł tylko wrzeszczeć lub szlochać. Milczał jednak, znajdując wielką siłę woli, jakiej nawet nie spodziewał się u siebie. Hartował ją ogień nienawiści i Temudżyn rozkoszował się tą częścią siebie, która nie chciała się ugiąć i pielęgnował ją w sobie teraz, kiedy zdał sobie sprawę, że może przetrwać i żyć.

- Gdzie mój ojciec? Gdzie moje plemię? - mruczał pod nosem, wykrzywając twarz w grymasie smutku.

Pragnął wrócić do Wilków, ale już ich nie obchodził. Niełatwo było odrzucić ostatnie strzępy dzieciństwa, przeżycia, które łączyły go z plemieniem. Pamiętał prostą gościnność Horghuza i jego rodziny, kiedy on i jego bracia zostali sami. Nie potrafił powiedzieć, jak długo stał oparty o ziemistą ścianę, a myśli płynęły mu powoli jak lodowe kry na rzece.

Nagle coś zatrzeszczało w górze i Temudżyn odskoczył w przestachu, budząc się jak ze snu. Gdzieś w duchu był świadomy ruchomych cieni na dnie kloaki. Zadarł głowę i ku swojemu zdumieniu dostrzegł, że krata zniknęła. Światło gwiazd dobiegało go bez przeszkód, a on mógł tylko patrzeć, nie rozumiejąc, co się działo. Gdyby nie był ranny, pewnie spróbowałby się wspinać, ale teraz ledwo mógł się ruszać. Bolało go, że oto nadarzyła się szansa na ucieczkę, a on nie mógł jej wykorzystać. Zrobił wszystko, żeby równomiernie rozłożyć uszkodzenia ciała, ale i tak lewa noga bolała go, jakby była strzaskana. Krew wciąż jeszcze powoli sączyła się z niej w błoto i myśl o wyskoczeniu z kloaki była tak samo nierzeczywista, jak i myśl o wyfrunięciu z niej jak ptak.

Zaśmiał się niemal histerycznie na myśl o tym, że jego nieznan wybawca odszedł, oczekując, że Temudżyn sam się teraz wydostanie. Rankiem głupiec znajdzie go wciąż w kloace, a Ełuk nie zostawi go więcej bez straży.

Coś ześlizgnęło się po ścianach dołu i Temudżyn odskoczył, sądząc, że to wąż. Umysł płatał mu figle, kiedy poczuł surowe włókna plecionej liny i zaczątki nadziei. Nad głową jakiś cień przesłonił gwiazdy i Temudżyn starał się odezwać do niego jak najciszej.

- Nie mogę się wspinać - powiedział.

- Przywiąż się - odezwał się głos z poprzedniej nocy - ale pomożesz mi, kiedy będę cię wciągał. Drżącymi palcami Temudżyn obwiązał się w pasie, zastanawiając się, kto ryzykował gniew Ełuka. Nie wątpił, że gdyby ich odkryto, jego wybawca dołączyłby do niego w kloace i podzielił jego los.

Kiedy lina wgryzła się Temudżynowi w plecy, jego nogi zaczęły ślizgać się po ziemistych ścianach. Mógł wbić się palcami w ziemię, ale czuł się przy tym, jakby wkładał ręce w ogień. Poczł, jak wzbiera w nim krzyk, aż mimowolne łzy pojawiły mu się w kącikach oczu. Mimo to jednak nie wydał z siebie najmniejszego głosu, aż wreszcie legł na zamarznętej ziemi w śpiącym koczowisku.

- Uciekaj najdalej, jak tylko możesz - powiedział jego wybawca. - Niech błoto na brzegu rzeki ukryje twój zapach. Jeśli przeżyjesz, przyjdę po ciebie, i zabiorę cię dalej.

W nikłym świetle księżycy Temudżyn dostrzegł, że jego wybawca miał siwe włosy i potężne ramiona, ale ku swojemu zdumieniu stwierdził, że go nie zna. Zanim zdążył odpowiedzieć, nieznajomy wręczył mu torbę, a Temudżynowi aż ślinka pociekła, gdy poczuł zapach baraniny i cebuli. Torba była ciepła i Temudżyn chwycił ją, jakby była ostatnią

nadzieją.

- Kim jesteś, że mnie ratujesz? - szepnęła.

Coś krzyczało w nim, że to nie ma znaczenia, że musi uciekać, ale nie mógł opanować ciekawości.

- Ślubowałem twojemu ojcu, Jesügejowi - odpowiedział Arslan. - A teraz idź, a ja dogonię cię w zamęcie poszukiwań.

Temudżyn zawahał się. Czy Ełuk mógł to wszystko wymyślić, żeby dowiedzieć się, gdzie byli jego bracia? Nie mógł ryzykować, że obcy dowie się o wąwozie wśród wzgórz.

- Kiedy ruszysz po mnie - powiedział Temudżyn - jedź pięć dni na północ, od zachodu słońca, do zachodu. Znajdź wysokie wzgórze i odnajdź mnie tam. Przyjdę, jeśli zdołam, i zaprowadzę cię do mojej rodziny. Masz moją wdzięczność na zawsze, bezimienny.

Arslan uśmiechnął się na widok odwagi młodzieńca. W wielu sprawach przypominał jego syna, Dżelmego, jednak w Temudżynie był ogień, który trudno było zgasić. Nie miał zamiaru zdradzać swojego imienia na wypadek, gdyby młodego wojownika złapano i zmuszono do zeznań. Teraz jednak pod spojrzeniem Temudżyna skinął i zdecydował się na to.

- Nazywam się Arslan. Podróżuję z moim synem, Dżelmem. Jeśli przeżyjesz, spotkamy się znowu - powiedział i uściśnął ramię Temudżyna, co niemal wyrwało mu okrzyk bólu.

Arslan odłożył kratę i kamień na miejsce, po czym odszedł jak kot w mroźnym świetle księżyca. Temudżyn mógł tylko powłóczyć nogami, kiedy ruszył w przeciwnym kierunku. Skupił się tylko na przeżyciu i odejściu jak najdalej, zanim zacznie się polowanie.

*

W szarobłękitnym świetle świtu dwóch małych chłopców namawiało się nawzajem, żeby zajrzeć do kloaki i obejrzeć więźnia. Kiedy wreszcie zdobyli się na odwagę i zerknęli w dół, nie było tam nikogo i chłopcy pobiegli do rodziców, krzyząc na alarm.

Kiedy Ełuk wyszedł z jurty, na jego twarzy malowało się podniecenie. Orla Czerwień chwyciła go potężnymi szponami za skórzaną rękawicę na prawym przedramieniu, a jej ciemny dziób otwarty był szeroko i ukazywał cienki język. Dwa ogary skakały wokół chana, czując jego nastrój i szczekając wściekle.

- Szukajcie wśród drzew - krzyknął Ełuk do zebranych już wokół wojowników. - Ja ruszam na zachód. I ktokolwiek mi go sprowadzi, dostanie z mojej ręki nowy del i dwa noże z kościaną rękojeścią. Tołuju, ty jedziesz ze mną. Na koń, moi bracia. Dzisiaj polujemy.

Patrzył, jak jego druhowie i pomniejsi wojownicy formują się w grupy i sprawdzają sprzęt i zapasy, po czym wsiadają na kuce. Ełuka cieszył ich radosny nastrój i chan pogratulował sobie decyzji, żeby sprowadzić Temudżyna z powrotem do koczowiska. Może widok zbitego i skatowanego Temudżyna był ostatecznym dowodem, że Ojciec Niebo kochał nowego chana Wilków. W końcu przecież żaden grom nie spadł z nieba, żeby ukarać Ełuka. Nawet najstarsza ze znacherek powinna być zadowolona z jego osiągnięć.

Zastanawiał się przez chwilę, w jaki sposób Temudżynowi udało się uciec z kloaki, ale tym zajmie się, kiedy wróci. Młodzieniec nie mógł odejść daleko przy swoich obrażeniach. Kiedy go sprowadzą, Ełuk zapyta go, jak udało mu się wspiąć się po śliskich ścianach albo kto mu w tym pomógł. Ściągnął brwi na tę myśl. Może byli zdrajcy w koczowisku. Jeśli tak, to ich wypleni.

Owinał wodze wokół nadgarstków i wskoczył na kuca, ciesząc się z siły w nogach. Orla Czerwień rozpostarła skrzydła, żeby złapać równowagę, kiedy usadowił się w siodle. Uśmiechnął się sztywno, kiedy poczuł przyspieszone tętno. Zwykle trwało to trochę, zanim

zupełnie się rozbudził, jednak myśl o polowaniu na rannego człowieka rozgrzała mu krew i był już gotów do galopu. Orla Czerwień wyczuła to i schyliła głowę, mocniej zaciskając szpony na skórzanej rękawicy. Ełuk zabrał rękę i orlica wzbiła się w górę ze skrzekiem. Patrzył, jak bije powietrze skrzydłami, żeby nabrać wysokości, i powoli podnosił rękę uwolnioną spod jej ciężaru niemal jak w geście pożegnania. W taki ranek jak ten Ełuk czuł potęgę tej ziemi. Rozejrzał się po koczowisku i skinął na Tołuja.

- Chodź. Zobaczymy, jak daleko udało mu się uciec.

Tołuj roześmiał się do swojego pana i władcy, a potem popędził wierzchowca do galopu. Ogary przestały wyc i puściły się biegiem u jego boku, głodne krwi. Powietrze było chłodne, ale wojownicy nosili podszyte futrem dele, a słońce zaczynało już wschodzić.

*

Temudżyn leżał nieruchomo i patrzył, jak mucha pełźnie w błocie tuż przed jego twarzą. Wytarzał się w bagnistym gruncie nad rzeką, żeby zamaskować zapach, ale nie wiedział, czy mu się to udało. Odszedł najdalej jak potrafił w ciemnościach, jednak pod koniec kulał i pochlipywał przy każdym kroku. Dziwne, jak wiele słabości potrafił okazać, gdy zostawał sam. Nie przeszkadzało mu pieczenie łez na podrapanej skórze, kiedy w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby je zobaczyć. Umierał przy każdym kroku, jednak sunął naprzód, pomny słów Höelün podczas pierwszych nocy w wąwozie wśród wzgórz. Nie będzie ratunku, żadnego końca cierpienia, chyba że sami go sobie zadadzą. Szedł dalej, kryjąc się w mroku przed zwiadowcami na wzgórzach.

Z nadejściem świtu kulał jak ranne zwierzę, owładnięty bólem i słabością. Upadł w końcu nad brzegiem strumienia, dysząc i wpatrując się w blade niebo zapowiadające nadejście słońca. Zdał sobie sprawę, że jego zniknięcie wyjdzie na jaw wraz z pierwszymi promieniami świtu. Jak daleko odszedł? Patrzył, jak pierwsza złota iskra dotyka ciemnego horyzontu, natychmiast zbyt jasna dla jego oczu. Zaczął wkopywać opuchnięte ręce w glinianą ziemię, krzycząc z bólu, gdy znów chrupnął mu złamany palec.

Przez jakiś czas leżał nieprzytomny i przyniosło mu to ulgę. Błoto odmarzło i stało się miękką papką, tak że mógł włożyć w nią palce i rozsmarować ją po całym ciele i ubraniu. Błoto było chłodne, ale piekło niemiłosiernie, kiedy zaczynało wysychać. Temudżyn patrzył przez chwilę na złamany palec, na opuchnięty staw i purpurową skórę pod warstwą błota. Po jakimś czasie ocknął się jednak jak z transu, zdjęty nagłym strachem, że oto czas uciekał, a on nie mógł się ruszyć z powodu wyczerpania. Jego organizm był na skraju wytrzymałości i Temudżyn chciał tylko poddać się i zapaść w sen. W głębi serca, w najgłębszych zakamarkach jego duszy wciąż tliła się iskierka, która chciała żyć, jednak krztusiła się w błotnistym bezwładnym ciele, które rzucało się ociężale na brzegu rzeki i ledwo mogło podnieść wzrok, by poczuć słońce wędrujące po niebie.

Z oddali dobiegło ujadanie psów i Temudżyn wynurzył się z chłodnego otępienia. Już dawno zjadł żywność od Arslana i umierał teraz z głodu. Psy były coraz bliżej i Temudżyn zaczął się obawiać, że cuchnące błoto rzeki nie ukryje go przed ich węchem. Dźwignął się na skraj rzeczno-koryta, gdzie zasłoniła go wysoka trawa, i legł tam w konwulsjach, walcząc ze słabością. Wycie psów rozległo się jeszcze bliżej i Temudżynowi serce podeszło do gardła, łomocząc w panice, gdy wyobrażał sobie psie kły szarpiące jego ciało i odrywające mięso od kości. Nie słyszał jeszcze tętentu kopyt, ale wiedział już, że nie udało mu się uciec wystarczająco daleko.

Poczołgał się w dół koryta i z jękiem zanurzył się w lodowatej wodzie, kierując się w

najgłębsze miejsce, w gęste sitowie. Ta jego część, która wciąż zdolna była do myślenia, zmusiła go, by ominął pierwszą kępkę trzciny. Kiedy prześladowcy znajdą miejsce, w którym leżał, będą szukać wszędzie naokoło.

Rzeka uśmierzyła najgorszy ból i - chociaż wciąż była płytka - Temudżyn wykorzystał jej prąd, żeby przemieścić się na czworakach, brnąć w miękkim błocie dna. Czuł, jak coś żywego porusza mu się między palcami, ale chłód sprawiał, że stał się ledwo czującą machiną, odciętą od rzeczywistego świata. Oprawcy dostrzegą mętną wodę w miejscu, gdzie dotknął dna. Jego położenie z pewnością było beznadziejne, jednak nie zatrzymywał się i zdążył ku głębszej wodzie.

Rzeka płynęła zakolem pod osłoną prastarych drzew. Przeciwny brzeg pokryty był niebieskawym lodem, który przetrwał od zimy w chłodzie wiecznego cienia. Wartki potok wygryzł pod nim niszę i chociaż Temudżyn obawiał się zimna, ruszył w tamtą stronę bez wahania.

Zastanawiał się przez chwilę, jak długo uda mu się przeżyć w lodowatej wodzie. Wgramolił się pod krawędź lodu i ukląkł w błotnistym strumieniu, tak że tylko oczy i nos wystawały mu na powierzchnię. Prześladowcy będą musieli wejść do wody, żeby go zobaczyć, ale nie wątpił, że posła psy w górę i w dół strumienia.

Zimno odrętwiło każdy fragment jego ciała i Temudżyn pomyślał, że umiera. Zaciśnął szczęki, żeby uciszyć szczerkanie zębów i na jakiś czas zapomniał, co się działo i czekał tylko jak ryba, zamarznięty i wyzuty z myśli. Widział mgiełkę własnego oddechu na powierzchni czystej wody, gdy chmura błota opadła na dno.

Słyszał podniecone ujadanie psów w pobliżu, ale jego umysł pracował zbyt wolno, by odczuwać strach. Czy usłyszał krzyk? Tak mu się zdawało. Może znaleźli ślad, jaki odcisnął w glinie na brzegu. Może rozpoznali po nim, że czołgał się na brzuchu jak bestia. Nie obchodziło go to już. Zimno jakby sięgnęło jego wnętrza i ścisnęło mu serce, zwalniając je ze straszliwą siłą. Każde jego uderzenie posyłało falę ciepła w piersi Temudżyna, ale z każdą chwilą ciepło to stawało się słabsze.

Ujadanie psów ucichło po pewnym czasie, jednak Temudżyn pozostał na miejscu. Wreszcie poruszył się, ale nie za sprawą świadomej decyzji, a raczej impulsu ciała, które nie chciało umrzeć. Prawie się utopił, gdy dopadła go fala słabości i tylko z trudem utrzymał głowę nad wodą. Powoli wydostał się na środek strumienia i usiadł w głębokiej wodzie, a jego kończyny były tak ciężkie, że ledwo mógł nimi ruszać.

Dobrnął do przeciwnego brzegu i legł znowu na ciemnej glinie, po czym podczołgał się po doskonale gładkim podłożu w wysoką trawę i w końcu zasnął.

Gdy się obudził, wciąż było jasno, ale wokół rozlegał się tylko szmer rzeki, wartko niosącej stopiony śnieg ze szczytów górskich. Temudżyna rozbudził ból, który odezwał się znowu, gdy krew zaczęła krążyć w jego kończynach, sącząc się do wody z ran na skórze.

Z trudem przesunął rękę do przodu i przeciągnął się nieco dalej od wody, prawie płacząc z bólu w jego budzącym się ciele. Zdołał podnieść się na tyle, żeby móc spojrzeć w las i nie zobaczyć tam nikogo.

Był jednak pewien, że Ełuk się nie podda. Jeśli nie powiedzie się jedno polowanie, pośle całe plemię na poszukiwania i przetrząśnie cały teren w promieniu jednego dnia jazdy od koczowiska. Prześladowcy wiedzieli, że nie mógł odejść dalej i na pewno w końcu go znajdą. Temudżyn leżał na plecach i spoglądał w niebo, i zdał sobie sprawę, że było tylko jedno miejsce, gdzie mógł iść.

Kiedy słońce zaszło, Temudżyn podźwignął się na nogi, trzęsąc się przy tym tak bardzo, że zdawało mu się, że rozpadnie się całe jego ciało. Kiedy nogi odmówiły mu posłuszeństwa, czołgał się przez pewien czas przez trawę. W oddali majaczyły światła pochodni w koczowisku i Temudżyn zdał sobie sprawę, że nie uszedł za daleko w tym stanie. Większość prześladowców szukała go pewnie trochę dalej.

Odczekał, aż zniknęły ostatnie promienie słońca, a świat wokół na powrót stał się ciemny i zimny. Ciało Temudżyna jakby rwało się jeszcze chociaż odrobinę do przodu i chłopiec dawno już przestał się zastanawiać, jak daleko jeszcze mogły go zaciągnąć jego połamane i poharatane kończyny. Rzeka uwolniła jego opuchnięte oko i Temudżyn z ulgą stwierdził, że widzi nim trochę, chociaż wszystko było zamazane, a oko stale łzawiło.

Temudżyn bał się psów z koczowiska, ale miał nadzieję, że rzeczne błoto stłumi jego zapach. Myśl, że jedno z tych złowieszczych zwierząt rzuci się na niego, stale mu towarzyszyła i przyprawiała o dreszcze, ale nie miał innego wyboru. Jeśliby przerwał swój chwiejny marsz, rano znalazłby go drugi oddział polujących na niego wojowników. Szedł więc dalej, a kiedy w końcu spojrzął za siebie, zaskoczyło go, jak daleko odszedł.

Temudżyn wiedział, do której jurty powinien się udać, i dziękował Ojcu Niebu, że stała blisko skraju koczowiska. Długo leżał na brzuchu i wypatrywał najłżejszego ruchu. Ełuk rozesłał czatowników, ale musieliby mieć sowi wzrok, żeby wypatrzeć ubłoconą postać na ciemnej ziemi.

Minęły całe wieki, zanim Temudżyn wyciągnął rękę i dotknął wojłokowej ściany jurty, a jej sucha szorstkość wprawiła go niemal w euforię. Miał wyczulony każdy zmysł i chociaż znowu odezwał się jego ból, czuł, że żyje i wracają mu siły. Zastanawiał się najpierw, czy nie wczłogać się do środka pod ścianą, ale zmarszczyłaby się i ktoś mógłby krzyknąć ze strachu albo pomyśleć, że oto zakrada się wilk. Temudżyn zaśmiał się pod nosem na tę myśl. Był z niego bardzo mizerny wilk, który zakradał się z lasu, żeby znaleźć ciepło i mleko. Chmury przesłoniły gwiazdy i - w ciemnościach - Temudżyn podszedł do niewielkich drzwi, pchnął je, wszedł do środka, i zamknął drzwi za sobą, stojąc zdyszany w gęstszym mroku jurty.

- Kto tam? - usłyszał kobiecy głos.

Po lewej stronie rozległ się szelest pośłania i odezwał się niższy głos.

- Kto idzie? - zapytał Basan.

Temudżyn wiedział, że wojownik sięga po nóż.

- Temudżyn - szepnął.

Odpowiedzią na jego imię było milczenie i Temudżyn czekał, wiedząc, że ważyło się jego życie. Usłyszał szcęk krzesiwa, a błysk oświetlił na moment twarze zebranych. Żona i dzieci Basana zbudzili się już ze snu, a Temudżyn mógł tylko patrzeć na nich ponuro, kiedy wojownik zapalał lampę oliwną i tłumiał jej płomień do ledwie tłącego się żaru.

- Nie możesz tu zostać - powiedziała żona Basana.

Temudżyn widział strach na jej twarzy, ale zwrócił się z milczącą prośbą do druha swojego ojca i czekał.

Basan potrząsnął głową, przybity widokiem chwiejnej postaci, stojącej skulonej w jego domu.

- Szukają cię - powiedział Basan.

- Przechowaj mnie więc przez jeden dzień, aż skończą się poszukiwania - odpowiedział Temudżyn. - Proszę o gościnę. Nie usłyszał odpowiedzi i upadł nagle, kiedy opuściły go

resztki sił. Osunął się na kolana, a głowa opadła mu na piersi.

- Nie możemy go odesłać - usłyszał, jak Basan mówi do żony. - Nie na śmierć.

- Ełuk zabije nas wszystkich - powiedziała, podnosząc głos.

Temudżyn jak przez mgłę zobaczył, że Basan podchodzi do żony i obejmuje dłońmi jej twarz.

- Zrób mu herbatę i daj mu coś do jedzenia - powiedział do niej. - Pomogę mu przez wzgląd na jego ojca.

Nie odpowiedziała, ale podeszła do czajnika i ze skupieniem na twarzy zaczęła rozpalać ogień w niewielkim piecu. Temudżyn poczuł, że unoszą go w górę mocne ręce Basana, a zaraz potem ogarnęła go ciemność.

*

Ełuk nie wpadł na pomysł, żeby przeszukać jurty w koczowisku. Jego początkowy dobry humor osłabł wyraźnie, gdy minął drugi dzień, a potem trzeci, a nie było śladu uciekiniera. Pod koniec czwartego dnia Basan przyniósł Temudżynowi wiadomość, że Arslan i jego syn również zniknęli. Pojechali rano na północ z jednym z druhów, ale żaden z nich nie wrócił, a Ełuk szalał z gniewu. Posłał ludzi do jurty, którą darował wcześniej płatnerzowi i dowiedział się, że zniknęły również jego najcenniejsze narzędzia. Nikt nie spodziewał się już powrotu druha Ełuka i długo w nocy słychać było zawołanie jego rodziny. Nastrój w obozie pogarszał się, a Ełuk stłukł jednego z wojowników do nieprzytomności, gdy ten poddał w wątpliwość zasadność dalszych poszukiwań.

Temudżyn ledwo pamiętał dwa pierwsze dni. Ogarnęła go gorączka, może z powodu cuchnącego powietrza w kloace. Lodowata woda oczyściła mu skórę i być może to go właśnie uratowało. Żona Basana wytrwale opatrywała mu rany, obmywszy wcześniej jego ciało z resztek odchodów, ścierała krew i ropę kawałkiem płótna umoczonego w gotowanym ajraku. Krzyczał przy jej dotyku i pamiętał teraz, jak zatykała mu usta, żeby stłumić odgłosy.

Basan zostawiał ich każdego ranka i dołączał do innych na poszukiwaniach, surowo przestrzegłszy swoich dwóch synów, żeby nie pisnęli nikomu ani słówka. Patrzyli na Temudżyna z sową ciekawością, bojąc się obcego, który nic nie mówił i był tak strasznie poraniony. Byli już jednak dość duzi, żeby zrozumieć, że życie ich ojca zależało od ich milczenia.

Ełuk coraz bardziej popadał w pijaństwo za każdym razem, gdy jego oddziały wracały z pustymi rękami. Po tygodniu, upity jak zwykle, wydał rozkaz, by plemię ruszyło na północ i zostawiło za sobą kulawe szczęście. Tego wieczora udał się do swojej jurty z dwiema najmłodszymi dziewczętami z plemienia, a ich rodziny nie śmiały protestować. Basan miał pełnić straż w koczowisku od północy do świtu i dostrzegł szansę, by wyprowadzić w końcu Temudżyna. Wszyscy w obozie byli niezadowoleni i nerwowi i Basan wiedział, że każdy jego ruch będzie śledzić wiele oczu i uszu. Ale groziło też niebezpieczeństwo, że Temudżyn zostanie znaleziony przy rozbieraniu jurt, więc trzeba było działać tej nocy albo nigdy.

W ściśle współpracującej ze sobą społeczności trudno było zrobić coś niezauważenie. Basan zaczekał prawie do samej północy i zdjąwszy górną zasłonę jurty patrzył w gwiazdy wędrujące po kopule nieba. W końcu wszyscy drżeli, gdy nadszedł czas i Basan stwierdził, że odgłosy w plemieniu nie ucichną już bardziej. Ci, którzy nie spali, nie będą się dziwić, że zaufany druh wychodzi, żeby stanąć na czatach, jednak Basan wzbraniał się przed oddaniem Temudżynowi jednego ze swoich kuców. Miał ich jedenaście i kochał je wszystkie jak swoje dzieci. W końcu wybrał małą czarną klacz i podprowadził ją pod drzwi jurty, po czym

objuczył ją workami z wystarczającą ilością żywności, żeby Temudżyn przeżył podróż.

Temudżyn stał w gęstym cieniu i usilnie starał się znaleźć słowa, którymi mógłby wyrazić swoją wdzięczność. Nie mógł niczego dać nawet dzieciom, a wstyd mu było, że do ich domu sprowadził ciężar i strach. Żona Basana nie przekonała się do niego, ale jego najstarszy syn najwyraźniej początkową bojaźń zastąpił zachwytem, gdy dowiedział się, kim był obcy w ich domu. Młodszy chłopiec zebrał się na odwagę, kiedy usłyszał, że obcy wyjeżdża już tej nocy i podszedł do niego z całą pewnością siebie dwunastolatka. Ku zdumieniu Temudżyna chłopiec upadł przed nim na jedno kolano, sięgnął po jego rękę i położył ją sobie na głowie, tak że Temudżyn poczuł pod palcami gęstwinę włosów.

Serce Temudżyna zabiło mocniej z emocji pod wpływem prostego gestu chłopca.

- Twój ojciec jest dzielnym mężczyzną - mruknął. - Bierz z niego przykład.

- Uczynię to, mój chanie - odpowiedział chłopiec.

Temudżyn popatrzył na niego, a matka Basana syknęła po cichu. Basan stał w drzwiach i słyszał rozmowę zatroskany. Zanim Temudżyn zdążył odpowiedzieć, wojownik podszedł do syna i podniósł go na nogi.

- Nie możesz złożyć przysięgi temu człowiekowi, mój mały. Kiedy nadejdzie właściwy dzień, oddasz swoje życie i miecz Ełukowi, tak jak ja. Basan nie mógł spojrzeć Temudżynowi w oczy, kiedy to mówił, ale opór małego chłopca zniknął w silnym uścisku ojca. Chłopiec wyslizgnął się i czmychnął w objęcia matki, a potem patrzył na nich obu spod jej ramienia.

Temudżyn odchrząknął.

- Duch mojego ojca patrzy na nas - mruknął i zobaczył marznącą chmurkę własnego oddechu. - Oddajesz mu cześć, ratując mnie.

- Chodź teraz ze mną - powiedział zmieszany Basan. - Nie odzywaj się do nikogo, a pomyśl, że jesteś jednym z czatowników na wzgórzach.

Przytrzymał otwarte drzwi i Temudżyn zanurkował przez nie, krzywiąc się z bólu, jaki poczuł w niezabliźnionych jeszcze ranach. Miał na sobie czystą tunikę i spodnie pod zimowym delem, który należał wcześniej do Basana. Pod grubą warstwą odzieży jego najcięższe rany były szczelnie owinięte płótnem. Temudżyn musiał jeszcze długo czekać, zanim wyzdrowieje, ale gorąco pragnął znowu usiąść w siodle. Odnajdzie swoje plemię wśród włóczęgów na stepach i Wilki nie dosięgną go już po raz drugi.

Basan umyślnie powoli szedł przez koczowisko, ufając, że ciemność ukryje tożsamość jego towarzysza, gdyby ktoś okazał się na tyle głupi, by wyjść z jurty na takie zimno. Istniało niebezpieczeństwo, że ktoś zauważy, że Basan wróci bez kłaczy, ale nie miał wyboru. Nie minęło wiele czasu, a zostawili koczowisko za sobą, nie niepokojeni przez nikogo. Szli obaj w milczeniu i prowadzili kuca za wodze, aż jurty Wilków zostały daleko w tyle. Było późno i Basan będzie musiał wycisnąć z siebie trochę potu, żeby zdążyć stanąć na czatach, nie narażając się na komentarze. Kiedy skryli się w cieniu wzgórza, Basan włożył wodze do dłoni Temudżyna.

- Zawinałem mój zapasowy łuk i włożyłem go tutaj - powiedział i poklepał juk przy siodle.

- Masz trochę jedzenia, ale zostawiam ci też dwie strzały na wypadek, gdybyś musiał polować. Jedź stępa, dopóki nie znajdziesz się daleko, żeby czatownicy nie usłyszeli tętentu kopyt. Zostań jak najdłużej w cieniu wzgórz.

Temudżyn skinął i wyciągnął rękę, żeby chwycić Basana za ramię. Wojownik ten złapał go i uwięził, a potem uratował mu życie, narażając siebie i swoją rodzinę na śmierć. Temudżyn nie rozumiał go, ale był mu wdzięczny.

- Wyglądaj mojego powrotu, Basanie - powiedział. - Mam rachunki do wyrównania z Wilkami. Basan spojrział na niego i dostrzegł determinację, która zatrważająco przypominała mu Jesügeja w młodości.

- Teraz przemawia przez ciebie twój ojciec - powiedział i zadrżał nagle.

Temudżyn odwzajemniał jego spojrzenie przez dłuższą chwilę, po czym poklepał go po ramieniu.

- Kiedy znowu mnie zobaczysz, obiecuję, że twoja rodzina będzie bezpieczna - powiedział i cmoknął, żeby popędzić klacz do biegu.

Basan patrzył za nim, aż zdał sobie sprawę, że spóźnia się na czaty, i puścił się biegiem. Kiedy Temudżyn znów wynurzy się z cienia wzgórz, Basan będzie już na miejscu i zauważy go, ale jego róg będzie milczał.

ROZDZIAŁ 19

Kacziun siedział sam na łagodnym zboczu i przerywał post odrobiną chleba i ostatnią porcją baraniny z ziołami. Razem z Kasarem udało mu się zapędzić z powrotem większość trzód, które rozpędził Tołuj, a Höelün ubiła i uwędziła dość mięsa, żeby przez wiele dni mógł wypatrywać powrotu brata. Zapasy kurczyły się jednak mimo usiłowań, żeby posiłki były oszczędne, i Kacziun wiedział, że kolejnego dnia będzie musiał zapolować na tarbagany i ptaki, jeśli nie chciał umrzeć z głodu.

Kiedy żuł suche mięso, zdał sobie sprawę, że tęskni za rodziną i zastanawiał się, czy pozostali wciąż żyli. Wiedział tak samo dobrze jak każdy, że rodzina włóczęgów na stepie była narażona na wiele niebezpieczeństw, nawet jeśli podróżowała nocą. Tak jak bracia zasadzili się kiedyś na parę pasterzy, tak samo ktoś mógłby napaść jego rodzinę dla ich niewielkiej trzódki albo kuców, na których jechali. Nie wątpił, że Kasar nie dałby sobie w kaszę dmuchać, ale w starciu z dwoma albo trzema wojownikami wynik mógł być tylko jeden.

Kacziun westchnął do siebie, przybity sposobem, w jaki świat odwrócił od nich swoje oblicze. Kiedy Temudżyn był z nimi, wazyli się na iskierkę nadziei na coś innego niż tylko życie w ciągłym strachu przed każdym obcym. W jakiś sposób obecność brata dodawała mu pewności siebie i pozwalała pamiętać dawne czasy, kiedy Jesügej jeszcze żył. Kacziun obawiał się teraz o życie całej rodziny, a w miarę upływu dni wyobraźnia podsuwała mu przerażające, krwawe obrazy.

Trudno było wytrzymać w samotności. Kacziun odczuwał nienormalność swojego położenia, odkąd Höelün zabrała ostatnią trójkę swoich dzieci na zachód. Jako mały chłopiec Kacziun stawał już na czatach, ale zawsze robił to w towarzystwie starszego wojownika, który pilnował go, by nie zasnął. Nawet jednak tamte długie godziny nie przygotowały go na przerażającą samotność na pustym stepie. Wiedział, że może już nigdy nie zobaczyć swojej rodziny, swojej matki albo Temudżyna. Morze traw rozpościerało się niewyobrażalnie daleko i jeśli byli martwi Kacziun mógł nigdy nawet nie odnaleźć ich kości.

Po kilku dniach uspokajało go mówienie do siebie na głos, kiedy omiatał wzrokiem wzgórze w oddali. W ten sposób mógł chociaż usłyszeć czyjś głos. Usadowił się wysoko w wąwozie, niedaleko miejsca, gdzie dawno temu wraz z Temudżynem zabił Bektera. Wciąż drżał na to wspomnienie, kiedy mijał to miejsce każdego ranka w drodze do punktu obserwacyjnego. Powtarzał sobie, że duch Bektera nie został w wąwozie, ale niezbyt dobrze znał rytuały. Pamiętał, że stary Czagataj mówił coś o wielu duszach. Jedna miała pędzić z wiatrem wysoko w górze, ale czy jej część nie była przywiązana do ziemi? Nie bał się, kiedy szedł w świetle porannego słońca, ale jeśli długo zabawił na czatach i zapadał zmierzch, nietrudno było wyobrazić sobie Bektera w cieniu drzew, bladego i trupiego. Kacziun zatrząsł się na tę myśl. Jego wspomnienia jakby zamarły w chwili, gdy wypuścił strzałę skierowaną w plecy brata. Wcześniej była tylko mgła, inne życie. Kacziun pamiętał swój strach, że Bekter jakoś wyciągnie strzałę i rzuci się na niego z wściekłością. Świat zmienił się, gdy Bekter padł na wilgotne liście, i Kacziun zastanawiał się czasami, czy wciąż płacił za tamten dzień. Temudżyn mawiał, że duchy dawały ludziom dość przebiegłości i siły, by mogli żyć, a potem nie zajmowali się już nimi więcej, jednak w głębi duszy Kacziun obawiał się, że za każdy okrutny czyn trzeba będzie kiedyś zapłacić. Był wtedy dzieckiem, ale mógł nie posłuchać

Temudżyna.

Zaśmiał się na tę myśl. Żaden z braci nie mógł odmówić Temudżynowi. Miał on w sobie więcej z ojca, niż Kacziun zdawał sobie z tego sprawę w pierwszych dniach niedoli. Stawało się to coraz bardziej widoczne w miarę, jak Temudżyn targował się i handlował z włóczęgami, takimi jak stary Horghuz i jego żona. Mimo jego wieku nikt nigdy go nie lekceważył i jeśli Temudżyn zginął, Kacziun odda mu cześć, idąc w jego ślady. Odnajdzie ich matkę i zbuduje bezpieczne koczowisko gdzieś, gdzie jest czysta woda i soczyste pastwiska. Może znajdą jakieś małe plemię, które zgodzi się przyjąć nową rodzinę. Höelün mogłaby znowu wziąć ślub i byłiby bezpieczni w ciepłej jurcie.

To było tylko marzenie i chociaż Kacziun dobrze o tym wiedział, spędzał wiele godzin na takich fantazjach i wyobrażał sobie świat, który przypominał mu o dzieciństwie spędzonym w jurtach Wilków i wypełnionym konnymi gonitwami na słonecznym stepie. Wtedy nie myślał każdego dnia o przyszłości i brakowało mu teraz tej pewności dawnego życia, solidnej ścieżki pod stopami. Na wysokim wzgórzu, gdzie wiatr rozwiewał mu włosy, Kacziun tęsknił do tego wszystkiego i martwił się o Temudżyna. Rana w jego udzie wciąż jeszcze się nie zabiłiła, ale Höelün zabandażowała ją i Kacziun drapał się teraz bezmyślnie w opatrunek, kiedy tak siedział i wsłuchiwał się w wiatr.

Był pewien, że Temudżyn nie umknął prześladowcom. Pamiętał Tołuja jako złośliwego urwisa, skorego do bitki, kiedy nikt nie patrzył. Myśl o Temudżynie w jego rękach sprawiała, że Kacziun zaciskał pięści w rękawach delu. Rodzina Jesügeja przeżyła ciężkie chwile i nikt nie mógł powiedzieć, że poddali się bez walki. Były czasy, takie jak te przed przybyciem Tołuja, kiedy zaczynał już mieć nadzieję na normalne życie. Teraz to wszystko im zabrano i chociaż Kacziun wciąż czekał, nie wierzył już, że ujrzy Temudżyna powracającego do wąwozu wśród wzgórz. Gdyby Ojciec Niebo był sprawiedliwy, zesłałby cierpienie na Ełuka i jego druhów, ale to też było tylko marzenie. Nie było sprawiedliwości na świecie i złym ludziom dobrze się powodziło. Kacziun walczył z rozpaczą, kiedy owijał się delem, ale były chwile, gdy ogarniała go wściekła nienawiść, taka sama jak u Temudżyna. Powinna być sprawiedliwość. Powinna być zemsta.

Zjadł ostatnią porcję mięsa i zagłębił dłonie w fałdach płóciennej torby w poszukiwaniu resztek jedzenia. Był zmęczony i odrętwiały od długiego siedzenia, ale przejmował go chłód nie tylko od wiatru. Gdzieś tam na zachodzie Höelün mogła jechać prosto naprzeciw niebezpieczeństwu, a jego tam nie było, żeby dla niej zabijać lub ginąć razem z nią. Tylko upór trzymał go w tym miejscu, kiedy mijały dni.

*

Temudżyn dostrzegł dwóch ludzi w oddali, wysoko na wzgórzu. Serce zabiło mu żywiej na myśl, że to Arślan z synem, ale upewnił się, że łuk był w pogotowiu. Jeśli to byli jeźdźcy Wilków, Temudżyn poprzysiągł sobie, że upiecze ich serca na wolnym ogniu. Rany nie przeszkodzą mu w strzelaniu z łuku Basana i nie miał ochoty na zabawę po tym wszystkim, co przeszedł.

Chociaż otwierały mu się rany, jechał przez pięć dni, pracując bez ustanku od zachodu słońca do zachodu, tak jak polecił to Arślanowi. Wąwóz wśród wzgórz odległy był o wiele mil od tego opuszczonego miejsca, ale teraz Temudżyn wiedział już, że może ufać tym, którzy zostawili Ełuka. Wiedział, że chan Wilków nie był na tyle przebiegły, żeby uknuć taki plan, chociaż być może mógł to kiedyś zrobić Jesügej. Temudżyn przesłonił oczy przed promieniami zachodzącego słońca i patrzył, jak dwaj mężczyźni kierują kuce w dół stromego zbocza,

odchylając się w tył w siodle dla równowagi. Mruknął do siebie, kiedy jeden z nich zsiadł z wierzchowca i ruszył w jego kierunku z uniesionymi rękami. Znaczenie gestu było jasne i Temudżyn uniósł łuk w odpowiedzi. Mógł to być tylko Arsłan.

Temudżyn pokłusował naprzód, wciąż trzymając łuk w pogotowiu. Arsłan wprawdzie ocalił go z kloaki, ale upłynie jeszcze sporo czasu, zanim Temudżyn znów komuś zaufa. Zatrzymał się i pozwolił, żeby Arslan pokonał ostatnie dzielące ich kroki, śledząc pewny chód płatnerza na sprężystej trawie. Chodził tak samo jak niegdyś Jesügej i wspomnienie to przyniosło nagły ból, który jak nigdy przedtem pojawiał się na twarzy Temudżyna.

- Wiedziałem, że im uciekniesz - powiedział Arslan i uśmiechnął się lekko, kiedy podszedł. - Nie spodziewałem się ciebie jeszcze przez wiele dni, ale widzę, że znalazłeś sobie wspaniałą klacz.

- To dar od człowieka, który pamięta mojego ojca - powiedział sztywno Temudżyn. - Ale powiedz mi, co się teraz stanie?

Arsłan mrugnął i zaśmiał się.

- Sądzę, że przywołasz teraz mojego syna, żeby do nas dołączył, a potem usiądziemy przy wspólnym posiłku. Obóz jest nasz, więc udzielam ci gościny.

Temudżyn odchrząknął. Miał ogromny dług u tego człowieka i ciążyło mu to brzemię.

- Dlaczego mi pomogłeś? - zapytał.

Arsłan podniósł wzrok i przyjrzał się ledwo zagojonym ranom i skulonej postaci w siodle. Jesügej byłby dumny z takiego syna, pomyślał.

- Złożyłem przysięgę twojemu ojcu, Temudżynie. Jesteś jego najstarszym żyjącym synem.

Oczy Temudżyna załśniły na myśl o Bekterze. Czy ten człowiek przyszedłby też na pomoc jego starszemu bratu? Temudżyn mógł się tylko dziwić ironii losu.

- Nie znasz mnie - powiedział.

Arsłan umilkł.

- Nie znam. Zastanawiałem się, czy nie pozwolić ci dalej gnić w kloace, ale ja nie jestem człowiekiem, który stoi beczynnym. Nawet gdybym nie poznał twojego ojca, i tak bym cię wyciągnął.

Temudżyn zaczerwienił się.

- Ja... jestem ci wdzięczny - powiedział i odwrócił wzrok w stronę wzgórz.

- Nie będziemy o tym mówić - powiedział Arslan. - To już przeszłość. Teraz to ja powiem, że mnie nie znasz, ale przekonasz się, że moje słowo jest jak żelazo.

Temudżyn zerknął na rozmówcę w poszukiwaniu kpiny, ale znalazł tylko płynące z poczucia siły opanowanie.

- Twój ojciec zwykł tak mówić - ciągnął Arslan. - Przyciągało mnie to do niego i wierzyłem mu. Jeśli jesteś choć w połowie takim człowiekiem jak on, mój syn i ja złożymy ci przysięgę i zwiążemy swój honor z twoim rodem.

Temudżyn patrzył na płatnerza i czuł drżącą w nim siłę. Nie miał broni, ale klacz oddaliła się o trzy kroki od Arslana, gdy tak jak jej jeździec wyczuła w nim drapieżną naturę utrzymaną w żelaznym uścisku samokontroli. Temudżyn zastanawiał się, czy Arslan sądził, że jego powrotu czeka armia wojowników. Przeszło mu przez myśl, że człowiek, który cenił swoje słowo, nie złamie przysięgi, nawet kiedy odkryje, że Temudżyn miał tylko wychudzonych braci, kryjących się po lasach. Odegnął jednak pokusę, by milczeć, nie mógł wszak oszukać człowieka, któremu zawdzięczał życie.

- Nie mam plemienia ani bogactw, tylko rodzinę w ukryciu - przyznał. - Nie mogę

zaferować niczego ani tobie, ani twojemu synowi. Jeśli postanowisz odjechać, dotrę do nich sam i wciąż będę cię błogosławił za twoją pomoc.

- Powiedziałeś, że jesteś ziemią i opoką wzgórz - stwierdził cicho Arslan. - Wierzę, że mówiłeś słowami twojego ojca. Pojadę z tobą.

- Przywołaj więc twojego syna - powiedział Temudżyn, nagle rozdrażniony.

Nie chciał rozbudzać w sobie nadziei, ale zmienił się, odkąd go schwytano. Nie zadowalało go już tylko przeżycie. Spojrzał z góry na Arslana i wyobraził sobie marsz wśród ognia i krwi przez obozy plemion aż do koczowiska Wilków. Widział to w czasie najczarniejszych dni w kloace, kiedy muchy brzęczały wokół niego, a jego umysł płonął.

Gdy zbliżył się Dželme, Temudżyn zeskoczył z siodła i chwycił podszedł do obydwu mężczyzn.

- Jeśli nazwiecie mnie chanem, wasza wola nie będzie już wasza - powiedział, pamiętając, jak słów tych używał niegdyś jego ojciec. - Klękniecie przede mną.

Dželme i jego ojciec padli na jedno kolano, a Temudżyn położył im na głowie swoje poharatane dłonie.

- Proszę was o sól, mleko, konie, jurty i krew.

- Są twoje, mój chanie - obaj odpowiedzieli jednocześnie.

- Jesteśmy więc z jednej krwi i z jednego plemienia - powiedział Temudżyn ku zdumieniu wszystkich. - Nazywam was braćmi i jesteśmy teraz jednym ludem.

Arslan i Dželme podnieśli wzrok, wstrząśnięci tonem jego głosu i wszystkim, co oznaczały te słowa. Zerwał się wiatr i smagał górskie zbocza. Temudżyn odwrócił głowę w stronę, gdzie ukrywała się jego rodzina. Wiedział, że może znaleźć plemię wśród ludzi wzgardzonych przez wszystkich, pośród włóczęgów i pasterzy. Ludzi takich jak stary Horghuz i jego rodzina, zabitych przez Tołuja. Nie było ich wielu, ale byli zaprawieni w ogniu walki o przetrwanie. Porzucono ich i wielu pragnęło tego samego, co on: plemienia i szansy odpłacenia się światu, który ich zostawił.

- Zaczęło się - szepnął Temudżyn. - Dość mam już ukrywania się. Niech teraz inni kryją się przede mną.

*

Kiedy Kacziun zauważył trzech ludzi jadących na południe, nie wiedział, kim byli. Przyjrzał się kierunkowi ich jazdy i schował się z powrotem do wąwozu wśród wzgórz z gotowym łukiem i kołczanem. Znał teren lepiej niż ktokolwiek i pędził teraz co tchu w dół zbocza, przeskakując zwalone drzewa i stare gałęzie.

Zajął miejsce obok ścieżki, którą musieli przejechać, dobrze ukryty w poszyciu. Żądza krwi rozgorzała w jego sercu, kiedy się przygotowywał. Jeśli to Tołuj i Basan wracali z porwanym, Kacziun zaryzykuje dwa strzały, ufny w swoje umiejętności. Długo ćwiczył i teraz ani Kasar ani Temudżyn nie dorównywali mu w łucznictwie. Czekał w milczeniu na odgłos kopyt, gotowy, by zabić.

Kiedy pojawili się jeźdźcy, serce Kacziuna zabiło mocniej, gdy rozpoznał brata. Sam widok Temudżyna żywego podniósł go na duchu po zwątpieniu samotnych dni. Zacisnął usta i zdał sobie sprawę, że mamrotał wcześniej imię brata. Przeszło mu przez myśl, że za długo już był sam, gdy patrzył na jeźdźców z łukiem wycelowanym w najstarszego z nich.

Zawahał się, gdy jego bystry wzrok złowił każdy szczegół. Temudżyn siedział wyprostowany w siodle i nie było śladu krępiących go lin. Czy jeźdźcy ryzykowałiby, że więzień ucieknie im przy najmniejszej szansie na wolność. Coś było nie w porządku i Kacziun

poprawił uchwyt na napiętym łuku, gdy potężne mięśnie ramion zaczynały mu już drżeć. Nie przepuści ich - nie mógł - ale jeśli wypuści strzałę jako ostrzeżenie, straci szansę, żeby szybko ich zabić. Obaj jeźdźcy mieli łuki, jednak nie miały one cięciw. Wojownicy nie jechali jak we wrogim terenie. Kacziun dostrzegł też długie miecze podobne do tych, których używał kiedyś Jesügej. Nic nie miało tu sensu i podczas gdy Kacziun się wahał, jeźdźcy zrównali się z nim wśród drzew.

Zaryzykował wszystko.

- Temudźynie! - wrzasnął, podniósł się z ziemi i przyciągnął do siebie cięciwę aż za ucho.

Temudżyn dostrzegł postać brata kątem oka.

- Stój! Stój, Kacziunie! - krzyknął i uniósł ręce do góry.

Kacziun zauważył, jak dwaj jeźdźcy w tej samej chwili zniknęli mu z oczu, szybko jak koty. Obaj zeskoczyli z siodeł na przeciwną stronę, chowając się przed atakiem za ciałami wierzchowców. Kacziun odetchnął z ulgą, kiedy Temudżyn skinął do niego i pochylił się, żeby zsiąść niezdarnie na ziemię.

Serce Kacziuna załomotało na ten widok. Plemię Wilków zraniło jego brata, ale był tu i był bezpieczny. Chwiał się na nogach, kiedy Kacziun podbiegł do niego i padli sobie w ramiona. Wszystko będzie dobrze.

- Nie wiedziałem, czy to wrogowie czy przyjaciele - powiedział Kacziun, z trudem łapiąc oddech z emocji.

Temudżyn skinął głową, uspokajając brata uściskiem dłoni na karku.

- To nasi druhowie, bracie - powiedział Temudżyn. - Arslan i Dzelme, którzy wydostali mnie z niewoli. Zesłał ich nam duch naszego ojca.

Kacziun odwrócił się do dwóch mężczyzn, kiedy podeszli.

- Więc zawsze jesteście mile widziani w moim obozie - powiedział.

- Mam trochę kaczek, którymi możecie się posilić, jeśli jesteście głodni. Chcę usłyszeć, co się zdarzyło.

Temudżyn skinął, a Kacziun zdał sobie sprawę, że nie uśmiechał się, odkąd zobaczył go po raz pierwszy. Bracia zmienili się pod jego nieobecność, stali się bardziej ponurzy pod ciężarem przeżyć.

- Zostaniemy tu na noc - potwierdził Temudżyn. - Ale gdzie jest nasza matka i inni?

- Pojechali na zachód. Ja zostałem na wypadek, gdyby udało ci się wrócić. Miałem już odjechać, kiedy się zjawiłeś. Straciłem już nadzieję.

Temudżyn parsknął śmiechem.

- Nigdy nie trać wiary we mnie, braciszku. Moje słowo jest jak żelazo i zawsze wrócę do domu.

Ku swojemu zdumieniu Kacziun poczuł, że ma łzy w oczach. Otarł je szybko, zawstydzony w obecności obcych. Za długo był sam i stracił kontrolę nad sobą. Z trudem opanował emocje.

- Chodźcie. Rozpalę ogień i przygotuję posiłek - powiedział.

Temudżyn skinął.

- Bardzo dobrze. Mamy spory kawał do przejścia z nastaniem świtu. Musimy dogonić naszą matkę.

Wszyscy trzej poszli za Kacziunem do jego obozowiska, mizernego miejsca ledwie zasługującego na to określenie, gdzie wokół małego paleniska słały się stare kości. Kacziun zabrał się do rozpalania ognia, uderzając w krzesiwo zdrętwiałymi rękami.

- Pół dnia jazdy stąd na zachód jest rodzina włóczędzów - powiedział, nie przerywając

pracy. - Trzech mężczyzn i dwie kobiety. Przechodzili tędy wczoraj wieczorem.

Zobaczył, że Temudżyn podnosi wzrok z zaciekawieniem i źle zrozumiał błysk w oku brata.

- Możemy ich ominąć, jeśli pojedziemy na południe, zanim przetniemy czarne wzgórza - powiedział i mruknął z zadowoleniem, kiedy ogień liznął chrust na palenisku.

Temudżyn popatrzył w małe ognisko.

- Nie chcę ich omijać, bracie. Oni jeszcze o tym nie wiedzą, ale są z mojej krwi tak samo jak ty.

Kacziun zamilkł i z powrotem usiadł na trawie.

- Nie rozumiem - powiedział, a Arsłan i Dželme wymienili spojrzenia. - Co my mamy wspólnego z włóczęgami?

- Są wielkim plemieniem - odparł Temudżyn, prawie do siebie. Mówił tak cicho, że Kacziun musiał wysilać słuch. - Dam im znowu rodzinę. Zgromadzę ich i uczynię silnymi, a potem pošlę ich przeciw tym, którzy zabili naszego ojca. Wypiszę imię Jesügeja krwią Tatarów, a kiedy będziemy silni, wrócę z północy i rozbiję Wilków na śniegu.

Kacziun zadrżał nagle. Może była to tylko jego wyobraźnia, ale wydało mu się, że słyszy chrzęst starych kości na wietrze.

ROZDZIAŁ 20

Kasar czekał w głębokim śniegu z twarzą zdrętwiałą z zimna mimo ochronnej warstwy owczego tłuszczu. Nie potrafił przestać uważać się nad sobą. Jego bracia najwyraźniej o tym zapomnieli, ale dziś był dzień jego szesnastych urodzin. Powodowany impulsem wystawił język i spróbował złapać trochę zimnych płatków. Tkwił tak już długo, zmęczony i znudzony. Zastanawiał się, czy uda mu się znaleźć sobie kobietę w koczowisku Tatarów, od którego dzieliło go sto kroków białej przestrzeni. Dał mroźny wiatr, a chmury przemykały nad jego głową z olbrzymią prędkością, popędzane jak białe kozy przez burzę. Kasarowi podobało się to sformułowanie i powtarzał je teraz w duchu. Zapamiętał sobie, żeby opowiedzieć to Höelün, kiedy wszyscy wrócą z podjazdu. Kasar zastanawiał się, czy nie łyknąć sobie ajraku dla rozgrzania się, ale oparł się tej pokusie pomny słów Arslana. Płatnerz dał mu tylko odrobinę tego cennego napoju w bukłaku.

- Nie chcę, żebyś się upił - przestrzegł go surowo. - Jeśli dopadną cię Tatarzy, będzie ci potrzebna pewna ręka i bystry wzrok.

Kasar lubił ojca i syna, których sprowadził Temudżyn, szczególnie zaś starego Arslana. Czasami przypominał mu on ich własnego ojca.

Odległy ruch oderwał Kasara od jego błędzących myśli. Trudno było skoncentrować się na zadaniu, kiedy wydawało mu się, że powoli zamarza. Postanowił wypić ajrak, by nie otepieć z zimna. Poruszał się powoli, żeby nie strzepnąć warstwy śniegu, w jaką obrósł jego del i pled.

Ajrak palił go w dziąsła, ale chłopiec wypił wszystko szybko dużymi haustami i czuł, jak ciepło rozchodzi mu się w dolnej części piersi i wdiera się do płuc. Pomogło mu to w walce z mrozem, co nie było bez znaczenia, kiedy zaczęła się wrzawa wśród jurt Tatarów. Kasar leżał po zachodniej stronie ich koczowiska, niewidoczny pod pokrywą śniegu. Widział biegające postacie, a kiedy ucichł wiatr, dobiegły go krzyki. To Temudżyn zaatakował obóz. Teraz się dowiedzą, czy to istotnie tylko małe plemię czy zasadzka, przed którą ostrzegali ich Arslan. Tatarzy zapłacą krwią za wtargnięcie na ich teren. W każdym razie pomogło to Temudżynowi zebrać wojowników wśród włóczędów na stepach, którzy wraz z żonami i dziećmi oddali się pod jego opiekę, a on traktował ich z szacunkiem. Tatarzy pomogli więc Temudżynowi stworzyć własne plemię wśród lodowej pustyni.

Kasar słyszał świst wypuszczanych strzał. Z tej odległości nie potrafił powiedzieć, czy pochodziły z łuków Tatarów, ale nie miało to znaczenia. Temudżyn kazał mu tylko leżeć cicho w tym miejscu z białym pledem na plecach i to właśnie robił. W koczowisku rozlegało się szczekanie psów i miał nadzieję, że ktoś zastrzeli zwierzęta, zanim rzucą się na Temudżyna. Jego brat wciąż bał się psów i nie byłoby dobrze, gdyby okazał słabość w obliczu nowych współplemieńców, z których niektórzy wciąż nie ufali mu do końca.

Młodzieniec uśmiechnął się do siebie. Temudżyn wolał przyjmować wojowników z żonami i dziećmi. Nie mogli go zdradzić, kiedy ich najbliżsi zostali w obozie pod opieką Höelün. Groźba nigdy nie została wypowiedziana i może tylko Kasar o tym myślał. Wiedział jednak, że jego brat był przebiegły, przebieglejszy od nich wszystkich.

Zmrużył oczy, a tętno przyspieszyło mu gwałtownie, kiedy zauważył dwie postacie pędzące ku niemu od strony koczowiska. Rozpoznał Temudżyna i Dżelmego i widział, że biegną z łukami i strzałami w pogotowiu. Za nimi zjawili się sześciu Tatarów w futrach i zdobieniach,

wrzeszczących i szczerzących żółte zęby w pościgu.

Kasar nie wahał się. Jego brat i Dzelme przemknęli obok, nie patrząc nawet na niego. Kasar odczekał jeszcze jedno uderzenie serca, aż tatarscy wojownicy zbliżyli się do niego, a potem powstał ze śniegu jak żądny zemsty demon z cięciwą przyciągniętą za ucho. Dwie strzały zabiły dwóch ludzi, a ich ciała padły twarzą w śnieg. Pozostali zatrzymali się gwałtownie przerażeni i zdezorientowani. Mogli teraz rzucić się na Kasara i rozerwać go na strzępy, ale Temudżyn i Dzelme go nie opuścili. Kiedy tylko usłyszeli świst strzał z jego łuku, obaj obrócili się i padli na jedno kolano, rzucając strzały w śnieg, skąd zaraz znów mieli pochwycić je w dłonie. Chwilę później ich groty trafiły pozostałych Tatarów, a Kasar miał czas posłać kolejną strzałę prosto w białe gardło wojownika, który stał najbliżej. Tatar szarpnął za strzałę i prawie udało mu się ją wyciągnąć, zanim padł nieruchomo w śnieg. Kasar wzdrygnął się, gdy wojownik umarł. Tatarzy mieli dele podobne do tych w jego pleminiu, ale ludzie północy mieli jasną skórę i byli dziwni, bo miało się wrażenie, że nie odczuwają bólu. A jednak umierali tak łatwo jak kozy czy owce.

Temudżyn i Dzelme powyciągali strzały z ciał zabitych, wykrawając je szybkimi uderzeniami noża. Była to okrutna praca i twarz Temudżyna zbryzgana była krwią, kiedy podawał Kasarowi pół tuzina strzał, ociekających posoką na całej długości. Bez słowa Temudżyn poklepał brata po ramieniu, a potem wraz z Dzelmem pobiegli z powrotem do koczowiska Tatarów, kucając nisko z łukami tuż przy ziemi. Łomoczące serce Kasara zaczęło się uspokajać i chłopiec równo poukładał strzały w kołczanie na wypadek, gdyby znów musiał zabijać. Z wielką ostrożnością owinał kawałek naoliwionego płótna wokół cięciwy, żeby była mocna i sucha, a potem znów zajął pozycję. Żałował, że nie przyniósł sobie więcej ajraku, bo zimno przejmowało go znów do kości, a padający śnieg raz jeszcze zawirował mu nad głową.

*

- To nie zasadzka, Arslanie - zawołał Temudżyn przez koczowisko Tatarów.

Płatnerz wzruszył ramionami i skinął głową. To jeszcze nie znaczyło, że jej nie będzie. Tylko że nie było jej tym razem. Sprzeciwiał się tak częstym wypadom na ziemi Tatarów. Zbyt łatwo było zastawić pułapkę, jeśli Temudżyn wykorzystywał każdą okazję, jaka się nadarzała.

Arslan patrzył, jak młody chan przechadza się między jurtami poległych. Zaczęło się zawodzenie kobiet i Temudżyn szczerzył zęby w uśmiechu, słysząc ten dźwięk. Obwieszczał on ich zwycięstwo, a Arslan nigdy nie znał człowieka tak pozbawionego współczucia jak syn Jesügeja.

Płatnerz podniósł wzrok na miękko spadające śnieżne płatki, czując jak topnieją na jego włosach i rzęsach. Przeżył czterdzieści zim i doczekał się dwóch synów, z których tylko jeden przeżył. Gdyby był sam, spędziłby ostatnie lata życia z dala od plemion, może wysoko w górach, gdzie mogli przeżyć tylko najtwardsi. Mając przy sobie Dzelme, mógł myśleć tylko jak ojciec. Wiedział, że młody człowiek potrzebuje rówieśników i możliwości znalezienia sobie żony, która urodzi mu dzieci.

Arslan poczuł ukłucie chłodu pod ocieplanym delem, który ściągnął z martwego Tatara. Nie oczekiwał, że będzie trzymał tygrysa za ogon. Martwił się widząc, jak Dzelme wiwatował Temudżynowi jak bohaterowi, chociaż miał on ledwie osiemnaście lat. Arslan pomyślał z niepokojem, że mimo młodego wieku, chan był już przecież człowiekiem zaprawionym w wielu bitwach. Nie mógł jednak mieć synom Jesügeja za złe ich odwagi, a Temudżyn nigdy nie stracił człowieka w czasie swoich podjazdów. Arslan westchnął do siebie i zastanawiał się,

czy szczęście ich kiedyś nie opuści.

- Zamarzniesz na śmierć, jeśli będziesz tak stał, płatnerzu - odezwał się głos z tyłu.

Arslan odwrócił się i zobaczył nieruchomą postać Kacziuna. Brat Temudżyna zachowywał chłodną twarz, która nie zdradzała uczuć. Umiał też poruszać się niezauważenie, co Arslan także odnotował w pamięci. Widział go strzelającego z łuku i nie wątpił już, że chłopiec mógł trafić ich z ukrycia, kiedy po raz pierwszy wjechali do wąwozu wśród wzgórz. Cała rodzina miała w sobie ogień i Arslan pomyślał, że czekała ich sława albo szybka śmierć. Zdał sobie sprawę, że jakikolwiek będzie ich los, Dzelme podzieli go z nimi.

- Nie czuję mrozu - skłamał Arslan z wymuszonym uśmiechem.

Kacziun nie ufał mu tak jak Kasar, ale powoli przełamywali naturalną niechęć. Arslan widział ten sam chłód u wielu nowych członków plemienia Temudżyna. Przychodzili, bo Temudżyn ich przyjmował, ale trudno było wyzbyć się dawnych nawyków, jeśli żyło się długo samotnie na stepie. Zimy były zbyt okrutne, żeby przeżyć mogli ci, którzy łatwo ufali.

Arslan wiedział wystarczająco dużo, żeby dostrzec, że Temudżyn w istocie bardzo starannie dobierał sobie towarzyszy na podjazdach. Niektórych trzeba było stale zapewniać, że dobrze robili, walcząc u jego boku, i Temudżyn zostawiał to Kasarowi z jego humorem i naturalnością. Inni nie porzucali wzbierających w nich wątpliwości, dopóki nie zobaczyli, jak Temudżyn ryzykuje życie u ich boku. Podjazd za podjazdem ukazywał im, że Temudżyn ufał im tak dalece, że mógłby podejść pod obnażone miecze, i wiedziałby, że nie jest sam. Jak dotąd ludzie szli za nim. Arslan miał nadzieję, że to się nie zmieni, ze względu na nich wszystkich.

- Czy znowu wyruszy? - zapytał nagle Arslan. - Tatarzy nie będą tego długo znosić.

Kacziun wzruszył ramionami.

- Zbadamy najpierw ich obozy, ale Tatarzy są ościani i powolni zimą. Temudżyn mówi, że możemy tak robić jeszcze przez wiele miesięcy.

- Ale ty masz na pewno inne zdanie? - chciał wiedzieć Arslan. - Tatarzy zwabiają nas tłustą przynętą, a będą na nas czekać wojownicy w każdej jurcie. Nie sądzisz? Prędzej czy później wpadniemy w pułapkę.

Ku jego zdumieniu Kacziun roześmiał się.

- To tylko Tatarzy. Chyba zdołamy położyć wszystkich, których wyślą przeciw nam.

- To mogą być tysiące, jeśli będziemy ich drażnić całą zimę - powiedział Arslan. - Kiedy posuniemy się za daleko, zjawi się tu cała armia.

- Mam nadzieję - powiedział Kacziun. - Temudżyn sądzi, że tylko tak można zjednoczyć wszystkie plemiona. Mówi, że potrzebny nam wróg i zagrożenie dla naszej ziemi. Wierzę mu.

Kacziun poklepał Arslana po ramieniu jakby na pocieszenie, a potem oddalił się wśród padającego śniegu. Płatnerz pozwolił się dotknąć tylko z powodu zdumienia. Nie trzymał wcale tygrysa za ogon. Trzymał go za uszy, a głowę miał w jego paszczy.

Do Arslana podbiegła jakaś postać i płatnerz usłyszał głos jedyne go człowieka, którego kochał.

- Ojcie! Zamarzniesz tu - powiedział Dzelme, zatrzymując się koło niego.

Arslan westchnął.

- Słyszałem już takie rady, rozumiesz? Nie jestem jednak jeszcze tak stary, jak wam się wszystkim najwyraźniej wydaje.

Patrzył na syna, kiedy mówił do niego i zauważył jego chwiejny krok. Dzelme był upojony zwycięstwem i lśniły mu oczy. Arslan dostrzegł też, że młodzieniec ledwie mógł ustać na miejscu. Gdzieś w pobliżu Temudżyn znowu zwołał naradę wojenną i planował kolejny atak

na plemię, które zabiło mu ojca. Najazdy były coraz odważniejsze i coraz trudniejsze, a noce upływały często na dzikim pijaństwie i swawolach z pojmanymi kobietami z dala od głównego koczowiska. Poranki były jednak mniej wesołe i Arsłan nie zazdrościł synowi nowych przyjaciół. Ale Temudżyn przynajmniej szanował jego umiejętności w walce na miecze. Arsłan dał swojemu synowi przynajmniej tyle.

- Odniosłeś rany? - zapytał.

Dźelme wyszczerzył białe zęby w uśmiechu.

- Nie mam ani zadrapania. Zabiłem trzech Tatarów z łuku i jednego mieczem. Wykorzystałem wysokie pchnięcie ze zwodem, którego mnie uczyłeś.

Automatycznie zademonstrował manewr i Arsłan skinął zadowolony.

- To dobre pchnięcie, jeśli przeciwnik nie trzyma równowagi - odparł i miał nadzieję, że syn dostrzeże jego dumę. Nie umiał jej wyrazić słowami. - Pamiętam, jak cię go uczyłem - Arsłan dalej chwalił go nieudolnie.

Żałował, że nie znajduje lepszych słów, ale w jakiś sposób oddalili się od siebie i Arsłan nie wiedział, jak przełamać ten dystans.

Dźelme postąpił krok ku niemu i wyciągnął rękę, żeby położyć ją na ramieniu ojca. Arsłan zastanawiał się, czy syn przejął nawyk fizycznego kontaktu od Temudżyna. Dla kogoś z pokolenia płatnerza było to wtargnięcie w osobistą przestrzeń i Arsłan zawsze musiał walczyć wtedy z pragnieniem odparcia ataku. Ale nie wtedy, kiedy robił to jego syn. Za bardzo go kochał, żeby się przejmować.

- Chcesz, żebym z tobą został? - zapytał Dźelme.

Arsłan parsknął ledwo tłumionym śmiechem, zabarwionym smutkiem. Ci młodzi mężczyźni byli arogancy aż do bólu, ale wśród rodzin włóczęgów stali się bandą najeźdźców, którzy nie poddawali w wątpliwość rozkazów przywódcy. Arsłan patrzył, jak rodzi się między nimi więź zaufania, a kiedy ogarniało go przygnębienie, zastanawiał się, czy będzie musiał oglądać śmierć syna, zanim sam odejdzie ze świata.

- Obejdę koczowisko i sprawdzę, czy nie będzie już niespodzianek, które zmąciłyby mój sen tej nocy - powiedział Arsłan. - Idź.

Zmusił się do uśmiechu i Dźelme zaśmiał się podniecony. Pobiegł między ośnieżonymi jurtami w kierunku, skąd dochodziły odgłosy wiwatowania. Tatarzy odeszli daleko od swojego głównego plemienia, pomyślał Arsłan. Wiedział, że szukali tej siły, która zadawała im tak straszne straty. Wieść dotrze do miejscowych chanów i Tatarzy odpowiedzą, nawet jeśli Temudżyn nie umiał sobie tego wyobrazić. Nie mogli pozwolić sobie na ignorowanie jego podjazdów. Na wschodzie wielkie miasta państwa Kin wyślą swoich szpiegów, zawsze szukających słabości wśród swoich wrogów.

Kiedy obchodził koczowisko, zauważył dwóch innych wojowników, robiących to samo co on i znowu musiał zweryfikować swoje zdanie o Temudżynie. Młody wojownik był ostrożny, jednak nie chciał prosić o pomoc. Było to warte zapamiętania.

Arsłan brnął w coraz głębszym śniegu, aż nagle usłyszał ciche szlochanie w gąszczu drzew na obrzeżach koczowiska Tatarów. Dobył miecza w całkowitej ciszy, stojąc nieruchomo jak posąg, póki całkowicie nie uwolnił ostrza. Mogła to być pułapka, chociaż nie wyglądało na to. Kobiety w obozie albo zostałyby w jurtach albo ukryły się gdzieś w zakamarkach koczowiska. W czasie letniej nocy mogłyby wtedy przeczekać najeźdźców, a potem dostać się z powrotem do swojego plemienia, ale nie przez zimowe śniegi.

Arsłan nie osiągnąłby wieku czterdziestu lat, gdyby nie był ostrożny, więc nie schował

miecza, dopóki nie ujrzał twarzy młodej kobiety, dwa razy młodszej od siebie. Z uśmiechem zadowolenia włożył miecz do pochwy i wyciągnął rękę, żeby podnieść dziewczynę na nogi. Kiedy tylko patrzyła na niego, zaśmiał się gardłowo.

- Będzie ci potrzebny ktoś, kto ogrzeje cię w pośłaniu dziś w nocy, dziewczyno. Ze mną będzie ci lepiej niż z którymś z tych młodszych. Mężczyźni w moim wieku mają na początku mniej energii.

Ku jego wielkiemu zadowoleniu młoda dziewczyna zaśmiała się. Arslan zgadł, że nie była krewną zabitych, chociaż zapamiętał sobie, żeby dobrze ukryć noże, gdy pójdzie spać. Nieraz słyszał już o mężczyznach zabitych przez słodko uśmiechającą się brankę.

Dziewczyna chwyciła go za rękę, a on przerzucił ją sobie przez ramię, po czym ruszył przez koczowisko, klepiąc brankę w pośladki. Mruknął pod nosem z zadowoleniem, kiedy znalazł jurkę z piecem i ciepłym łóżkiem, gdzie mógł schronić się przed miękko padającym śniegiem.

*

Temudżyn zacisnął pięści z zadowolenia, kiedy usłyszał raport o liczbie zabitych. Trupy Tatarów nie mogły mówić, ale było ich zbyt wiele na oddział myśliwski, zwłaszcza w środku zimy. Kacziun pomyślał, że mógł to być podjazd taki jak ich.

- Zatrzymamy kuce i zabierzemy je ze sobą - powiedział swoim towarzyszom Temudżyn.

Podawano sobie ajrak i panowała ogólna wesołość. Nie minie dużo czasu, a będą śpiewać pijani, może nawet rozpaleni żądzą posiadania kobiety, na co jednak nie mogli mieć nadziei w tym obozie. Temudżyn był rozczarowany, kiedy odkrył, że większość kobiet to zeschnięte staruszki, które mężczyzna mógł zabrać w ostępy jako kuchty i szwaczki, ale nie na swawolne igraszki. Temudżyn musiał jeszcze znaleźć żonę dla Kasara i Kacziuna, a jako chan potrzebował możliwie najwięcej lojalnych rodzin wokół siebie.

Stare kobiety wypytano o ich mężczyzn, ale oczywiście przysięgały, że niczego nie wiedzą. Temudżyn patrzył na jedną szczególnie zeschniętą staruchę, która mieszała w garncu z gulaszem z baraniny w jurcie, którą sobie wybrał. Temudżynowi przyszło do głowy, że powinien kazać komu innemu spróbować posiłku, zanim zje cokolwiek, i uśmiechnął się na tę myśl.

- Masz wszystko, co ci potrzebne, babko? - zapytał.

Kobieta spojrzała na niego i splunęła ostrożnie na podłogę. Temudżyn roześmiał się głośno. Jedna z wielkich prawd głosiła, że nawet najbardziej rozżłoszczonego mężczyznę można było zastraszyć pokazem siły. Nikt nie mógł jednak zastraszyć wściekłej baby. Więc może rzeczywiście powinien dać komuś jadło do spróbowania. Rozejrzał się po pozostałych, zadowolony z nich wszystkich.

- Jeśli śnieg nie zakrył niektórych ciał - powiedział - położyliśmy trupem dwudziestu siedmiu Tatarów, łącznie z tą staruchą, którą zastrzelił Kacziun.

- Szła na mnie z nożem - odparł rozdrażniony Kacziun. - Gdybyś ją zobaczył, też byś strzelił.

- Dziękujemy więc duchom, że nie zostałeś ranny - odpowiedział Temudżyn z udaną powagą.

Kacziun przewrócił oczami, a inni mężczyźni zaśmiali się. Dżelme siedział wśród nich ze świeżą warstwą śniegu na ramionach, a obok niego trzech braci, którzy zjawili się ledwie miesiąc wcześniej. Byli tak zieloni w sprawach wojowania, że aż czuło się od nich mech, ale Temudżyn wybrał ich, by walczyli u jego boku w pierwszym zamęcie bitwy w śniegu. Kacziun

i Temudżyn wymienili spojrzenia, po tym jak spojrzeli w ich kierunku. Małe skiniecie starszego brata wystarczyło, by Kacziun objął ich jakby byli jednej krwi. Zostali dobrze przyjęci w plemienu i teraz, kiedy się sprawdzili, cała trójka jaśniała z radości, upojona swoim pierwszym zwycięstwem w towarzystwie współplemieńców. Na piecu stał ciepły ajrak i każdy pił dużymi haustami, żeby ochronić się przed zimnem, zanim gulasz wróci im siłę w zmęczonych kończynach. Wszyscy zasłużyli na posiłek i panowała ogólna wesołość.

Temudżyn zwrócił się do najstarszego z nowych współplemieńców, małego, zwinnego wojownika z ciemną skórą i rozczochranymi włosami. Należał kiedyś do Kuirajów, ale spór z synem chana zmusił go do wyjazdu razem z braćmi, zanim polałaby się krew. Temudżyn przyjął ich wszystkich.

- Batu? Chyba czas już sprowadzić mojego brata Kasara z mrozu. Nie będzie już więcej niespodzianek tej nocy.

Kiedy Batu wstał, Temudżyn zwrócił się do Dźelmego.

- Twój ojciec chyba też sprawdza koczowisko?

Dźelme skinął, zadowolony z uśmiechu Temudżyna.

- Tego się właśnie spodziewałem - powiedział Temudżyn. - To bardzo skrupulatny człowiek. Może nawet najlepszy z nas wszystkich.

Dźelme przytaknął powoli, ucieszony. Temudżyn skinął na staruszkę, żeby podała mu gulasz. Wyraźnie zastanawiała się, czy mu nie odmówić, ale przemyślała to i podała mu dużą porcję parującej strawy.

- Dziękuję ci, babko - powiedział Temudżyn i włożył sobie do ust wielką łyżkę. - Dobrze. Chyba nigdy nie jadłem nic lepszego od jadła innego człowieka w jego własnej jurcie. Gdybym mógł jeszcze zabawić się z jego piękną żoną i córkami, miałbym wszystko.

Jego towarzysze zaśmiali się, kiedy dostali własne porcje i rzucili się do jedzenia jak dzikie zwierzęta. Niektórzy z nich zatracili prawie wszystkie ślady cywilizacji w ciągu lat spędzonych z dala od plemion, ale Temudżyn cenił sobie tę dzikość. To nie byli ludzie, którym przyszłoby do głowy poddawać w wątpliwość jego rozkazy. Kiedy kazał im zabijać, zabijali, aż byli unuzani we krwi po łokcie, niezależnie od tego, kto stanął im na drodze. Kiedy zaprowadził swoją rodzinę na północ, znalazł ich rozproszonych po stepie. Najbardziej brutalni żyli sami, a kilku za bardzo przypominało wściekłe psy, żeby im ufać. Takich Temudżyn wyciągał z jurty i zabijał szybko pierwszym mieczem, który wykuł dla niego Arsłan.

W trakcie jedzenia Temudżyn rozmyślał nad wydarzeniami minionych miesięcy od czasu jego powrotu do rodziny. Nawet nie wyobrażał sobie wtedy głodu, który zobaczył później u ludzi na stepach, potrzeby ponownej akceptacji. A jednak nie zawsze wszystko szło gładko. Jedna rodzina przyłączyła się do niego tylko po to, żeby ukraść w nocy wszystko, co tylko mogła unieść. Temudżyn i Kacziun wysledzili tych ludzi, a potem przynieśli ich szczątki z powrotem do koczowiska, żeby pokazać je wszystkim, zanim porzucili je dla dzikich zwierząt. Nikt nie miał już powrotu do dawnego życia, kiedy raz przyłączył się do Temudżyna. Zważywszy, kogo przyjmował do swojego plemienia, wiedział, że nie mógł okazać słabości - inaczej jego współplemieńcy rozszarpałyby go.

Kasar wszedł z Batu, chuchając i zacierając ręce od zimna na dworze. Zatrząsł się celowo blisko Temudżyna i Kacziuna, żeby obsypać ich śniegiem. Zaklęli i zasłonili się przed miękkimi grudkami, fruwającymi na wszystkie strony.

- Znowu o mnie zapomniawszy, co? - złościł się Kasar.

Temudżyn potrząsnął głową.

- Wcale nie! Byłeś moją tajną bronią na wypadek, gdyby nastąpił ostatni atak, kiedy wszyscy usiadziemy w jurtach.

Kasar popatrzył ponuro po braciach, a potem odwrócił się, żeby dostać swoją porcję gulaszu.

Temudżyn przysunął się do Kacziuna.

- Zapomniałem o nim - szepnął mu do ucha na tyle głośno, żeby wszyscy usłyszeli.

- Wiedziałem! - wrzasnął Kasar. - Prawie zamarłem na śmierć, ale cały czas powtarzałem sobie: „Temudżyn cię nie zostawi, Kasarze. Lada chwila przyjdzie po ciebie i zabierze cię do ciepłej jurty.”

Pozostali patrzyli z rozbawieniem, jak Kasar sięga sobie do spodni i szpera w nich.

- Jaja to mi chyba nawet zupełnie zamarły - powiedział ze smutkiem. - Czy to możliwe? Mam tu tylko sople lodu.

Temudżyn zaśmiał się ze zranionego tonu Kasara, aż prawie rozlał resztkę gulaszu.

- Dobrze się spisałeś, bracie. Nie posłałbym w to miejsce kogoś, komu nie ufam. I czy to nie dobrze, że tam byłeś?

Opowiedział innym o tatarskim pościgu, który przerwali Kasar i Dzelme. A kiedy ajrak rozgrzał im krew, pozostali opowiedzieli własne historie - jedni wesołym tonem, a inni ponuro, wnosząc tchnienie zimy do ciepłej jurty. Po trochu dzielili się swoimi doświadczeniami. Mały Batu nie otrzymał w dzieciństwie takiego przeszkolenia w łucznictwie jak synowie Jesügeja, ale był szybkim jak błyskawica nożownikiem i twierdził, że nie doścignie go też żadna strzała, jeśli dojrzy ją w locie. Dzelme dorównywał ojcu w walce na miecze i strzelaniu z łuku i zachowywał zawsze zimną krew, co sprawiało, że Temudżyn często czynił go pierwszym spośród swoich druhów. Na Dzelmem można było polegać i Temudżyn dziękował duchom za niego i Arslana, i za wszystko, co ze sobą przynieśli.

Bywały chwile tak ciężkie, że marzył, żeby znowu znaleźć się w cuchnącej kloace i czekać na śmierć. Czasami wychodził z bitwy cały, innym razem jego ciało pokrywały blizny albo otwarte rany. Ale cały czas paliła go jedna dziwna myśl. Było tylko jedno plemię na stepach. Jedni nazywali siebie Wilkami, inni Ołkunutami, a jeszcze inni włóczęgami bez plemienia, ale wszyscy mówili jednym językiem i łączyły ich więzy krwi. Mimo to Temudżyn wiedział, że łatwiej było zacisnąć linę wokół zimowej mgły niż zjednoczyć plemiona po tysiącu lat wojen. On sam zmierzał w tym kierunku, ale poczynił dopiero pierwsze kroki.

- To co zrobimy, jak już skończymy liczyć nowe konie i jurty? - pytanie Kacziuna wyrwało Temudżyna z zamyślenia.

Pozostali przerwali posiłek, żeby usłyszeć odpowiedź.

- Dzelme poradzi sobie chyba z kolejnym najazdem - powiedział Temudżyn.

Syn Arslana z rozdziawionymi ustami podniósł wzrok znad strawy.

- Chcę, żebyś był jak młot - powiedział mu Temudżyn. - Nie ryzykuj życia moich ludzi, ale jeśli znajdziesz małą grupkę Tatarów, chcę, żebyś ich zgniótł dla uczczenia pamięci mojego ojca. To nie są nasi ludzie. To nie są Mongołowie tak jak my. Niech drżą, kiedy będziemy rosnać w siłę.

- Ty masz inne plany? - zapytał Kacziun z uśmiechem.

Dobrze znał swojego brata.

Temudżyn skinął.

- Czas już, żeby wrócić do Ołkunutów i odebrać żonę. Ty też potrzebujesz dobrej kobiety. Kasar mówi, że potrzebna mu zła. Wszyscy musimy mieć dzieci, żeby przetrwał nasz ród.

Kiedy teraz pojedziemy do Ołkunutów, nie wzgardzą nami.

- Nie będzie mnie przez kilka miesięcy, Dzelme - powiedział Temudżyn i spojrzał na syna Arslana.

Jego jasne oczy były nieruchome i Dzelme szybko opuścił wzrok.

- Sprowadzę więcej ludzi, którzy nam tu pomogą, teraz, kiedy wiem, gdzie ich szukać. Kiedy mnie nie będzie, twoim zadaniem jest zadawać rany Tatarom i sprawić, by z lękiem myśleli o wiosnie.

Dzelme wyciągnął rękę i uścisnęli sobie przedramiona dla przypieczętowania zgody.

- Będę siał wśród nich przerażenie - powiedział Dzelme.

*

Temudżyn stał przy pogrążonej w ciemnościach jurcie Arslana i nasłuchiwał odgłosów dobiegających ze środka, zadowolony, że płatnerz znalazł sobie w końcu kogoś, kto złagodzi jego napięcie. Temudżyn nie znał nigdy człowieka tak oddanego jak Arslan, ani nikogo, czyich rad chętnie słuchałby w walce, oprócz swojego ojca. Może dlatego, że Arslan był z tego samego pokolenia, Temudżyn mógł go szanować nie czując się przy tym nieswojo i nie musiał udowadniać swojej wyższości w każdym geście i słowie. Zawahał się teraz, czy powinien przeszkadzać mu w takiej chwili, ale że podjął decyzję o wymarszu na południe, chciał ruszyć już o świcie i mieć Arslana przy sobie.

Nie była to błaha prośba. Każdy widział, jak Arslan uważa na syna wśród świstu strzał. Zmuszając go do zostawienia Dzelme samego na północy, Temudżyn wystawiał na próbę oddanie Arslana, ale nie sądził też, żeby płatnerz go zawiódł. Jego słowo było przecież jak żelazo. Uniósł rękę, żeby zapukać w niewielkie drzwi, ale zawahał się. Niech Arslan nacieszy się chwilami spokoju i rozkoszy. Rano wyruszą znowu na południe. Na myśl o stepach z dzieciństwa Temudżyn czuł wzbierającą w nim gorycz, wirującą jak olej na wodzie. Ziemia pamiętała.

ROZDZIAŁ 21

Temudżyn i Arślan jechali kłusem przez morze traw. Ku swojemu zdumieniu Arślan odkrył, że jest zadowolony z ciszy. Rozmawiali w nocy przy ogniu i ćwiczyli walkę na miecze, aż pot występował im na czoło. Miecz Temudżyna był doskonale wyważony i wykonany tak, aby można go było wyciągnąć z rany bez rozszarpania ciała. Broń wykonał Arślan i pouczył Temudżyna, jak dbać o ostrze i oliwić stal dla ochrony przed rdzą. Mięśnie prawej ręki Temudżyna były już solidnie nadwyreżone, nim młody chan przyzwyczał się do ciężaru miecza, a pod okiem Arślana jego umiejętności rosły z dnia na dzień.

Dni jazdy miały jeśli nie na rozmyślaniach, to na błogim braku myśli. Arślanowi przypominało to podróże z synem Dżelmem i to go uspokajało. Temudżyn raz po raz wypuszczał się przed oddział albo wjeżdżał na wzgórze, żeby zobaczyć najlepszą drogę na południe. Młody chan czerpał z towarzystwa płatnerza cichą otuchę, pewność, że przy nim może być spokojny. Arślan rozmyślał nad zawirowaniami losu, które sprawiły, że uratował Temudżyna od Wilków. Nazywali go teraz chanem w małym obozie, chociaż poszło za nim ledwie dwudziestu ludzi i tylko garstka kobiet i dzieci. A jednak Temudżyn z dumą kroczył pośród nich, a oni walczyli pod jego wodzą i zwyciężali podjazd za podjazdem. Bywały chwile, kiedy Arślan zastanawiał się, jak to się skończy.

Ołkunutowie wiele razy zmieniali miejsce koczowania, odkąd Temudżyn opuścił ich w towarzystwie Basana, a pamięć o jego rannym ojcu wciąż była świeża. Minęły dwa miesiące, zanim Temudżyn i Arślan dotarli na teren wokół Czerwonego Wzgórza, a nadal nie było wiadomo, gdzie szukać Ołkunutów. Możliwe nawet, że wyruszyli w kolejny marsz na południe, tak jak wiele lat wcześniej i nie można ich było znaleźć. Arślan widział, że u młodego towarzysza narasta napięcie w miarę, jak przepytывali każdego napotkanego włóczęgę i pasterza w poszukiwaniu plemienia matki.

Temudżynowi niełatwo było zbliżyć się do obcych z Arślanem u swojego boku. Nawet kiedy przytroczył łuk do siodła i podjeżdżał z rękami w górze, spotykały ich wycelowane strzały i strach w oczach dzieci. Temudżyn zsiadał z konia, żeby porozmawiać z bezplemiennymi, kiedy ich spotykał, ale znacznie częściej ludzie ci odjeżdżali w pełnym galopie, kiedy tylko dostrzegli jego i Arślana. Część swoich ludzi Temudżyn wysłał na północ, by w jego imieniu namawiali ich, by połączyli swe siły z Temudżynem. Nie wiedział, czy mu wierzyli. Było to niewdzięczne zadanie, jednak w końcu jakaś odważna kobieta skinęła głową, słysząc pytanie o Ołkunutów, i skierowała ich na wschód.

Duch Temudżyna burzył się, kiedy przejeżdżali przez tereny tak dobrze znane młodemu chanowi z dzieciństwa. Pytał teraz też o Wilków, żeby ich unikać. Ełuk wciąż był gdzieś w pobliżu i Temudżyn nie chciał natknąć się na jego myśliwych nieprzygotowany. Pewnego dnia stanie im naprzeciw, ale najpierw musiał zebrać dość ludzi, żeby zaszaleć w ich jurtach jak letnia burza.

Kiedy dostrzegli rozległe koczowisko Ołkunutów po kolejnym miesiącu jazdy, Temudżyn ściągnął wodze, przytłoczony wspomnieniami. Widział pył wzbijany przez jadących ku nim wojowników, wylegających z wrzawą z obozu jak osy z gniazda.

- Trzymaj ręce z daleka od miecza, kiedy podjadą - mruknął do Arślana.

Płatnerz stłumił grymas niezadowolenia z niepotrzebnej rady i siedział jak kamień. Kuc

Temudżyna próbował skubać łatę zbrązowiełej trawy i chan zdzielił go w kark, ściągnając wodze. Oczami wyobraźni widział swojego ojca tak wyraźnie, jakby był przy nim, i opanowywał emocje z zimnym wyrazem twarzy, z którego dumny byłby Jesügej.

Arsłan wyczuł zmianę nastroju młodzieńca u swojego boku, dostrzegając napięcie w jego ramionach i sposobie, w jaki siedział w siodle, sztywno wyprostowany. Przeszłość człowieka zawsze była pełna bólu, pomyślał, i umyślnie rozluźnił się, czekając, aż wrzeszczący wojownicy skończą pokaz odwagi.

- A co, jeśli odmówią wydania jej? - zapytał Arsłan.

Temudżyn zwrócił na niego swoje jasne oczy i płatnerz poczuł się dziwnie pod tym zimnym spojrzeniem. Kim był ten chłopiec, że tak go niepokoił?

- Nie odjadę bez niej - powiedział Temudżyn. - Nie odprawiają mnie z niczym, chyba że mnie zabiją.

Arsłan pokiwał głową, zatroskany. Wciąż pamiętał siebie jako osiemnastolatka, ale beztroška tamtych dni była dawno za nim. Rozwinał umiejętności od tamtego czasu i nikt jeszcze nie pokonał go w walce na miecze lub łuki, chociaż Arsłan przypuszczał, że ktoś taki istnieje. Nie umiał jednak nabyć chłodu Temudżyna, czystej obojętności na śmierć, możliwej tylko u bardzo młodych. Miał przecież syna.

Arsłan nie dawał poznać po sobie, że toczyła się w nim wewnętrzna walka, ale kiedy dotarli do nich wojownicy Ołkunutów, oczyścił umysł i siedział w siodle w zupełnym spokoju.

Krzycząc i hałkując, jeźdźcy zbliżyli się w galopie ze strzałami osadzonymi na cięciwach łuków. Pokaz miał robić wrażenie, ale ani Arsłan ani Temudżyn nie zwracali na niego uwagi. Arsłan zobaczył, że jeden z jeźdźców ściągnął wodze, kiedy dostrzegł twarz Temudżyna. Gwałtowny ruch niemal rzucił kuca na kolana, a twarz wojownika ściągnęła się w zdumieniu.

- To ty - powiedział jeździec.

Temudżyn skinął.

- Przyjechałem po moją żonę, Köke. Mówiłem ci, że to zrobię.

Arsłan patrzył, jak Ołkunut z charkotem zbiera flegmę w ustach i wypluwa ją na ziemię. Ścisnął wałacha kolanami i wierzchowiec zbliżył się na odległość ciosu. Twarz Temudżyna pozostała nieprzenikniona, kiedy Köke uniósł rękę do uderzenia, blady z wściekłości.

Arsłan drgnął i popędził swojego kuca. Jego miecz świsnął w powietrzu i w jednej chwili spoczął przy gardle Kökego. Pozostali wojownicy wrzasnęli wściekle i skupili się wokoło. Napięli łuki, gotowi do strzału, ale Arsłan zignorował ich, jakby ich tam nie było. Odczekał, aż spojrzą na niego oczy Kökego, wypełnione teraz paniką.

- Nie dotykaj chana - powiedział cicho Arsłan.

Kątem oka obserwował pozostałych i dostrzegł, że jeden łuk napięty jest bardziej niż pozostałe. Śmierć była na tyle blisko, że czuło się ją w powietrzu, a wszystko wokół jakby zamarło.

- Uważaj, co teraz powiesz, Köke - powiedział z uśmiechem Temudżyn. - Jeśli twoi ludzie strzelą, zginiesz przed nami.

Arsłan widział, że Temudżyn także zauważył mocno napięty łuk i raz jeszcze zdziwił się jego spokojem.

Köke siedział jak posąg, chociaż jego wałach ruszał się nerwowo. Wojownik mocniej chwycił wodze, żeby uchronić gardło przed podcięciem przy gwałtownym ruchu wierzchowca. - Jeśli mnie zabijesz, moi ludzie rozerwą was na strzępy - powiedział szeptem.

Temudżyn roześmiał się.

- To prawda - odparł i nie odezwał się więcej.

Mimo uśmiechu na twarzy czuł wzbierający w nim gniew. Nie miał cierpliwości do rytualnego upokarzania obcych, nie u tych ludzi.

- Zabierz miecz - powiedział Köke.

Udawało mu się zachować spokojny ton głosu, ale Temudżyn widział, jak na czole Kökego mimo wiatru pojawiają się strużki potu. Pomyślał, że to właśnie działo się u człowieka, który zaglądał śmierci w oczy. Zastanawiał się, dlaczego sam nie czuje strachu, ale nie było go w nim ani odrobiny. Nawiedziło go mgliste wspomnienie skrzydeł bijących go po twarzy i poczuł się jakby oderwany od rzeczywistości, odgradzony od zagrożenia. Może to duch jego ojca patrzył na niego skrycie.

- Powitaj nas w obozie - powiedział Temudżyn.

Spojrzenie Kökego przeszło z Arslana na młodzieńca, którego Ołkunut znał z tak dawna. Położenie było beznadziejne. Musiał albo się ugiąć i zostać upokorzony albo zginąć.

Temudżyn czekał obojętnie. Rozejrzał się po pozostałych wojownikach, długo zatrzymując wzrok na tym, który zaciągnął cięciwę aż pod ucho. Był gotów do oddania strzału i Temudżyn uniósł podbródek w delikatnym skinięciu na znak, że to dostrzega.

- Witam was w obozie - szepnęła Köke.

- Głośniej - nakazał Temudżyn.

- Witam was! - powtórzył Köke przez zaciśnięte zęby.

- Doskonale - odparł Temudżyn.

Odwrócił się w siodle do wojownika, który wciąż czekał z napiętym łukiem.

- Jeśli wypuścisz tę strzałę, wyciągnę ją i włożę ci do gardła - powiedział mu.

Wojownik zamrugnął, a Temudżyn patrzył na niego, dopóki ostry jak igła grot nie opadł do ziemi niemal bezwładnie. Usłyszał, jak Köke oddycha z ulgą, kiedy Arslan cofnął miecz od jego gardła i wziął głęboki wdech, odkrywając ku swojemu zaskoczeniu, że świetnie się bawi.

- Więc prowadź nas, Köke - powiedział Temudżyn i poklepał po plecach swojego wujecznego brata. - Przyjechałem po swoją żonę.

*

Nie mogło być mowy o wjeździe do koczowiska bez złożenia wizyty chanowi Ołkunutów. Temudżyn przypomniał sobie nagle gry w okazywanie statusu, jakie Jesügej prowadził z Sansarem, jak chan z chanem.

Trzymał głowę wysoko, ale nie czuł się zmieszany, kiedy Köke prowadził go do jurty Sansara będącej w środku obozowiska. Mimo powodzenia w walce z Tatarami nie był równy Sansarowi tak jak niegdyś jego ojciec. W najlepszym razie Temudżyn był przywódcą wojennym, wojownikiem ledwie osiagającym status, dzięki któremu mógł zostać przyjęty. Gdyby nie miał nawet tego, tylko pamięci swojego ojca mógłby zawdzięczać widzenie z Sansarem, a może nawet i to by nie wystarczyło.

Temudżyn i Arslan zsiadli z kuców i pozwolili, aby odprowadzono ich wierzchowce razem z łukami. Köke wyrósł na mężczyznę przez lata, jakie minęły od ostatniego ich spotkania. Temudżyn z zaciekawieniem zauważył, że druhowie chana nie zareagowali, kiedy wszedł do jurty po ledwie kilku wymamrotanych słowach. Temudżyn zdał sobie sprawę, że Köke awansował w społeczności. Zastanawiał się, jakiemu czynowi dla chana Ołkunutów zawdzięczał ten status.

Kiedy Köke nie wrócił, Temudżyna uderzyło pewne wspomnienie i zaśmiał się nagle, wrywając Arslana z jego milczącego napięcia.

- Ci ludzie zawsze każą na siebie czekać - powiedział. - Ale ja jestem cierpliwy, czyż nie, Arslanie? Znoszę ich obelgi z wielką pokorą.

Jego oczy błysnęły czymś innym niż rozbawieniem i Arslan tylko kiwnął głową. Chłodne opanowanie, jakie widział u Temudżyna, było wystawione na próbę w tym koczowisku. Chociaż Arslan nie okazywał tego po sobie, był świadomy możliwości, że obaj zostaną zabici z powodu niepowściągliwego słowa.

- Oddajesz cześć twojemu ojcu swoim opanowaniem - powiedział cicho. - Zważywszy, że nie wynika ono ze słabości, lecz z siły.

Temudżyn spojrział na niego ostro, ale jego słowa najwyraźniej uspokoiły go. Twarz Arslana pozostała jednak nieprzenikniona i nie znać było na niej śladów ulgi. Mimo swoich umiejętności Temudżyn miał tylko osiemnaście lat. Arslan z ironią pomyślał, że Temudżyn dobrze zrobił, wybierając go na towarzysza podróży na południe. Wjechali prosto w straszliwe niebezpieczeństwo, a Temudżyn był równie dumny i przewrażliwiony na punkcie swojego statusu jak każdy młodzieniec. Arslan przygotowywał się do działania jako łagodząca siła, której - jak mu się zdawało - oczekiwał od niego Temudżyn.

Minęła cała wieczność, zanim znowu pojawił się Köke ze sztywną pogardą widoczną w każdym jego ruchu.

- Mój pan Sansar was przyjmie - powiedział. - Ale zostawicie tu swoją broń.

Temudżyn otworzył usta, żeby zaprotestować, ale Arslan odwiązał pochwę miecza zwinnymi ruchami palców i włożył głównię broni do otwartej ręki Kökego. - Strzeż go dobrze, chłopcze - powiedział mu. - Nigdy w życiu nie ujrzysz miecza podobnej jakości.

Köke nie mógł się oprzeć, żeby sprawdzić wyważenie miecza, ale Temudżyn pokrzyżował mu plany, wkładając mu do ręki drugi z mieczy Arslana, tak że musiał go wziąć albo upuścić obydwie. Temudżyn wyraźnie odczuł pustkę w ręku, kiedy oddał miecz i przez chwilę patrzył jeszcze na broń, kiedy Köke się odsunął.

Arslan pierwszy stanął naprzeciw jednego z chańskich druhów u wejścia do jurty i rozpostarł ramiona, umożliwiając przeszukanie. Nie było nic pasywnego w jego postawie i Temudżynowi widok ten przywiódł na myśl węża zamierającego w śmiertelnym bezruchu przed atakiem. Strażnik czuł to samo i obmacał każdy cal ciała płatnerza, łącznie z kostkami i fałdami delu.

Temudżyn nie mógł wypaść gorzej i wytrwał przeszukiwanie z obojętnym wyrazem twarzy, chociaż wewnątrz zaczynał kipieć. Nie mógł polubić tych ludzi mimo wszystkich marzeń o utworzeniu wielkiego plemienia plemion na stepach. Kiedy tak się stanie, Ołkunuci nie będą jego częścią, dopóki Temudżyn nie oczyści ich z niedobrej krwi.

Kiedy druhowie skończyli, Temudżyn i Arslan zanurkowali do wnętrza jurty i w jednej chwili Temudżynowi stanęła przed oczami noc, w której dowiedział się, że ojciec jego jest ranny. Pod stopami miał tę samą posadzkę z polerowanego drewna, a samego Sansara najwyraźniej oszczędził upływ czasu.

Chan Ołkunutów nie podnosił się z siedzenia, kiedy podchodzili bliżej, a jego czarne oczy patrzyły na niego z błyskiem znużonego rozbawienia.

- Czuję się zaszczycony, będąc w twoim towarzystwie, panie - powiedział wyraźnie Temudżyn.

Sansar uśmiechnął się, a jego twarz zmarszczyła się jak pergamin.

- Nie myślałem, że jeszcze cię tu zobaczę, Temudżynie. Odejście twojego ojca było stratą dla wszystkich naszych ludzi, dla wszystkich plemion.

- Wciąż pozostaje cena, jaką zapłacić muszą ci, którzy go zdradzili - odparł Temudżyn.

Wyczuł subtelne napięcie w powietrzu, a Sansar pochylił się do przodu w swoim wielkim krześle, jakby spodziewał się usłyszeć coś jeszcze. Kiedy cisza stała się bolesna, Sansar uśmiechnął się.

- Słyszałem o twoich najazdach na północy - zasyczał głos chana w półmroku. - Twoja sława sięga coraz dalej. Myślę, że twój ojciec byłby z ciebie dumny.

Temudżyn opuścił wzrok, niepewny, co ma odpowiedzieć.

- Ale na pewno nie przyszedłeś tu do mnie, żeby chełpić się drobnymi potyczkami z garstką wojowników - ciągnął Sansar.

Jego głos zawierał groźbę, która niemal wytrąciła Temudżyna z równowagi, ale opanował się.

- Przychodzę po to, co mi obiecano - powiedział i spojrzał Sansarowi w oczy.

Chan udawał przez chwilę, że nie wie o czym mowa.

- Tę dziewczynę? Ale wtedy przyszedłeś do nas jako syn chana, który mógł przejąć schedę po ojcu. Tamta historia została opowiedziana i zakończyła się.

- Nie całkiem - odparł Temudżyn i patrzył, jak Sansar mruga lekko z błyskiem rozbawienia w oku.

Chan wyraźnie dobrze się bawił i Temudżyn zaczął się zastanawiać, czy będzie mógł żywy opuścić jurte. Obok chana stało dwóch jego druhów, obaj uzbrojeni w miecze. Köke stał z boku z opuszczoną głową. Temudżyn zauważył w przelocie, że jego kuzyn trzymał miecze w taki sposób, że można je było łatwo pochwycić. Köke wciąż był głupcem.

Temudżyn zmusił się do zachowania spokoju. Nie przyszedł tu po to, żeby umrzeć w tej jurcie. Widział już, jak Arslan zabija uderzeniem pięści, i pomyślał, że mieli szansę przeżyć pierwszy atak. Ale kiedy zbiorą się inni wojownicy, to będzie koniec. Temudżyn odrzucił teraz takie myśli. Sansar nie był wart jego życia, ani teraz ani nigdy.

- Więc słowo Ołkunutów już nie obowiązuje? - zapytał cicho.

Sansar wziął głęboki wdech tak, że powietrze zasyczało mu między zębami. Jego druhowie poruszyli się, a ich dłonie spoczęły na główkach mieczy.

- Tylko młodzi mogą tak nieroztropnie postępować z życiem - powiedział Sansar - żeby ryzykować obelgę wobec mnie w mojej własnej jurcie.

Chan spojrzał na Kökego i ściągnął brwi, gdy jego wzrok spoczął na bliźniaczych mieczach w jego dłoni.

- Cóż mógłby mi ofiarować zwykły najeźdźca za jedną z ołkunuckich kobiet? - spytał.

Nie widział, że Arslan zamyka oczy na chwilę, walcząc ze złością. Nosił swój miecz już od ponad dziesięciu lat - najlepszy, jaki kiedykolwiek wykonał. Nic innego nie mogli dać. Przez chwilę zastanawiał się, czy Temudżyn odgadł, że taką cenę trzeba będzie zapłacić i zdecydował się go nie ostrzegać.

Temudżyn początkowo nie odpowiedział. Wojownik u boku Sansara patrzył na niego w sposób, w jaki człowiek może patrzeć na niebezpiecznego psa, czekając, aż zwierz wyszczerzy kły i zostanie zabity. Temudżyn wziął głęboki wdech. Nie było wyboru i nie spojrzał na Arslana w poszukiwaniu zgody.

- Ofiaruję ci doskonały miecz wykonany przez człowieka, który nie ma sobie równych wśród plemion na stepach - powiedział. - Nie jako zapłatę, ale dar będący wyrazem czci dla ludu mojej matki.

Sansar skłonił głowę w wyrazie wdzięczności i skinieniem przywołał Kökego. Wujeczny

brat Temudżyna ukrył uśmiezek i podał dwa miecze.

- Wygląda na to, że mam tu wybór, Temudżynie - powiedział z uśmiechem Sansar.

Temudżyn patrzył z żalem, jak chan wodzi palcami po zdobionych głowniach i pociera opuszkami kciuka kość i mosiądz broni. Urodę mieczy widać było nawet w półmroku jurty i Temudżyn nie mógł oprzeć się wspomnieniom o mieczu swojego ojca, pierwszym, który mu odebrano. W ciszy przypominał sobie też obietnicę złożoną braciom i odezwał się znowu, zanim Sansar zdążył coś powiedzieć.

- Oprócz kobiety, którą mi obiecano, potrzebne mi jeszcze dwie żony dla moich braci.

Sansar wzruszył ramionami, po czym wziął miecz Arslana i przyłożył go do oka, żeby spojrzeć wzdłuż ostrza.

- Jeśli uczynisz mi dar z obu mieczy, uznam twoją prośbę za możliwą do spełnienia. Mamy zbyt wiele dziewcząt w jurtach. Możesz zabrać córkę Szołoja, jeśli cię zechce. Od dawna jest nam solą w oku, a nikt też nie będzie mówił, że Ołkunutowie nie dotrzymują obietnic.

- I jeszcze dwie inne, młode i silne? - nalegał Temudżyn.

Sansar patrzył na niego przez dłuższą chwilę, po czym opuścił miecze do nogi. W końcu skinął niechętnie.

- Przez cześć dla pamięci twojego ojca, Temudżynie, dam ci dwie córki Ołkunutów. Wzmocnią twój ród.

Temudżyn miał ochotę chwycić chana za jego chude gardło. Ale zamiast tego skłonił się, a Sansar się uśmiechnął.

Wciąż wodził po mieczach swoimi kościstymi dłońmi, a wzrok utkwił gdzieś w oddali, jakby zapomniał o ludziach, którzy stali tuż przed nim. W końcu skinął niedbale na znak, żeby wyprowadzono obu przybyszów. Druhowie chana wykonali rozkaz i Temudżyn, znalazłszy się na zewnątrz, wziął głęboki wdech chłodnego powietrza, żeby uspokoić łomoczące serce.

Twarz Arslana była ściągnięta z gniewu i Temudżyn wyciągnął rękę, żeby dotknąć lekko jego nadgarstka. Płatnerz aż odskoczył przy dotyku i Temudżyn zamarł, wyczuwając wewnętrzną siłę, która na chwilę w nim zakipiała.

- To był większy dar, niż sądzisz - powiedział Arslan.

Temudżyn potrząsnął głową, kiedy zobaczył Kökego wychodzącego za nimi z pustymi rękami.

- Miecz to tylko miecz - odparł.

Arslan spojrział na niego chłodno, ale Temudżyn ani mrugnął.

- Zrobisz lepsze miecze, dla nas obu - dodał.

Odwrócił się do Kökego, który z zaciekawieniem przysłuchiwał się rozmowie.

- Zaprowadź mnie do niej, kuzynie.

*

Chociaż Ołkunutowie przemierzali wielkie odległości, odkąd Temudżyn wiele lat wcześniej po raz ostatni był w ich koczowisku, status Szołoja i jego rodziny najwyraźniej się nie zmienił. Köke poprowadził ich na sam skraj obozu, do tej samej jurty ze starego wojułku pokrytego łatami. Temudżyn spędził w niej tylko kilka krótkich dni, ale wspomnienia wciąż były świeże w jego pamięci i otrząśnięcie się z nich wymagało sporego wysiłku. Był wtedy tylko dzieckiem. Jako mężczyzna zastanawiał się teraz, czy Börte ucieszy się z jego powrotu. Sansar na pewno powiedziałaby, gdyby zaślubiono ją innemu mężczyźnie pod jego nieobecność. Temudżyn pomyślał ponuro, że chan Ołkunutów mógłby równie dobrze z przyjemnością przyjąć dwa kunsztowne miecze za darmo.

Kiedy do jurty zbliżył się Köke, Szołuj wychynął z małych drzwi, po czym rozprostował plecy i poprawił rzemienny pasek przy spodniach. Staruch zobaczył ich i przesłonił oczy od słońca, żeby się im przyjrzeć. Od ostatniego spotkania posunął się w latach bardziej niż chan. Był teraz chudszy, niż zapamiętał to Temudżyn, a jego ramiona opuściły się pod starym, zniszczonym delem. Kiedy podeszli bliżej, Temudżyn dostrzegł też sieć błękitnych żył pokrywającą pomarszczone dłonie Szołoja, który poruszył się, jak gdyby dopiero teraz ich rozpoznał. Jego oczy bez wątpienia go już zawodziły, chociaż wciąż miał jeszcze odrobinę siły w nogach, jak w starym korzeniu, który trzymał się, dopóki go nie złamano.

- Sądziłem, że nie żyjesz - powiedział Szołuj i wytarł nos wierzchem dłoni.

Temudżyn potrząsnął głową.

- Jeszcze żyję. Mówiłem, że wrócę.

Szwołj zaczął charczeć i upłynęło kilka chwil, zanim Temudżyn zrozumiał, że staruch się śmieje. Odgłos przeszedł w końcu w kaszel, a Szwołj pochylił się gwałtownie do przodu i wypluł na ziemię grudę ohydnej, brązowej flegmy.

Köke odchrząknął rozdrażniony.

- Chan udzielił zgody, Szwołju - powiedział. - Przyrowadź córkę.

Szwołj spojrział na niego z pogardą.

- Nie widziałem tu chana, kiedy zeszłej zimy rozeszły się szwy w mojej jurcie. Stary Sansar nie stał wtedy ze mną na wietrze z łatami i kawałkiem nici. Nie widzę go tutaj nawet teraz, więc trzymaj język za zębami w mojej obecności.

Köke zaczerwienił się i zerknął na Temudżyna i Arslana.

- Przyrowadź inne dziewczęta, Köke, dla moich braci - powiedział Temudżyn. - Zapłaciłem wysoką cenę, więc upewnij się, żeby były silne i piękne.

Köke z trudem stłumił emocje, rozdrażniony, że go odprawiono.

- Jak się miewa twoja żona? - zapytał Temudżyn, gdy jego kuzyn się oddalił.

Szwołj wzruszył ramionami.

- Zmarła dwie zimy temu. Położyła się po prostu na śniegu i odeszła. Teraz tylko Börte może się mną zajmować.

Serce Temudżyna zabiło żywiej na dźwięk imienia dziewczyny. Aż do tej chwili nie był nawet pewien, czy Börte jeszcze żyła. Znalazł w sobie odrobinę zrozumienia dla samotności starego człowieka, ale nic nie można było na to poradzić po tych wszystkich ciosach i surowych słowach, jakie miał dla swoich dzieci. Było za późno, żeby żałować, ale tak już bywało na starość.

- Gdzie...? - zaczął Temudżyn.

Zanim dokończył, drzwi jurty otworzyły się szeroko i z wnętrza namiotu na zimną ziemię wyszła kobieta. Kiedy się wyprostowała, Temudżyn rozpoznał Börte i stwierdził, że urosła od ich ostatniego spotkania i była teraz prawie tak wysoka jak on. Stała u boku ojca i przypatrywała się Temudżynowi ze szczerym zaciekawieniem, po czym wreszcie skłoniła się na powitanie. Gestem tym przełamała napięcie i Temudżyn dostrzegł, że dziewczyna ubrana była do podróży, miała del podszyty futrem i włosy związane z tyłu.

- Długo trwało, zanim się zjawiłeś - powiedziała do Temudżyna.

Pamiętał jej głos i teraz serce ścisnęło mu się w piersi. Börte nie była już tym samym kościstym dzieckiem, które znał. Jej twarz była silna, a jej ciemne oczy zdawały się przeszywać go wzrokiem. Z powodu grubego delu Temudżyn nie mógł powiedzieć o niej nic więcej, ale stała mocno na nogach, a na jej skórze nie było śladu choroby. Włosy Börte

załśniły, kiedy się pochyliła i pocałowała ojca w policzek.

- Czarnemu źrebakowi trzeba będzie podciąć kopyto - powiedziała. - Miałam zamiar zrobić to dzisiaj.

Szołoj skinął smutno, ale się nie objęli. Börte wzięła płócienną torbę z wnętrza jurty i przewiesiła ją sobie przez ramię. Temudżyn patrzył na dziewczynę jak zahipnotyzowany i ledwo usłyszał, że Köke przyprowadził kuce. U jego boku szły dwie dziewczyny, obie czerwone na twarzy i szlochające. Temudżyn tylko na nie zerknął, kiedy jedna z nich kaszlnęła i przystawiła sobie do ust kawałek brudnego płótna.

- Ta jest chora - powiedział do Kökego.

Jego wujeczny brat nonszalancko wzruszył ramionami, a ręka Temudżyna sięgnęła do miejsca, gdzie wcześniej był jego miecz. Köke zobaczył, jak palce Temudżyna zaciskają się w powietrzu, i roześmiał się.

- Sansar kazał mi ją dla ciebie sprowadzić, razem z jej siostrą - odpowiedział.

Temudżyn zacisnął wargi i chwycił dziewczynę za podbródek, unosząc jej głowę. Z niepokojem zdał sobie sprawę, że jej skóra była bardzo blada. Sansar oczywiście szukał okazji, jak ubić dobry interes, nawet kiedy ustalono już wszystkie szczegóły transakcji.

- Jak długo już chorujesz, malutka? - zapytał dziewczynę Temudżyn.

- Od wiosny, panie - odpowiedziała z wyraźnym przerażeniem. - Choroba przychodzi i odchodzi, ale jestem silna.

Temudżyn zwrócił wzrok na Kökego i patrzył na niego, dopóki jego wujeczny brat nie spuścił oczu. Może przypomniał sobie ciągi, jakie dostał od Temudżyna pewnej nocy wiele lat wcześniej. Temudżyn westchnął. Będzie miał szczęście, jeśli dziewczyna przeżyje podróż powrotną do jego koczowiska na północy. Jeśli umrze, jeden z jego braci będzie sobie musiał znaleźć żonę wśród tatarskich branek.

Arsłan chwycił wodze, a Temudżyn wsiadł na kuca i spojrzał z góry na Börte. W drewnianym siodle nie było miejsca dla dwóch osób, więc Temudżyn wyciągnął rękę, aby dziewczyna mogła się wspierać i usiąść przed nim z torbą przyciśniętą do siebie. Arsłan w ten sam sposób wciągnął na konia kaszlącą dziewczynę. Jej siostra będzie musiała iść za nimi. Temudżyn zdał sobie sprawę, że powinien był przyprowadzić inne kuce, ale teraz było już za późno.

Skinął na Szołoja, wiedząc, że widzi go po raz ostatni.

- Dotrzymałeś słowa, staruszku - powiedział.

- Uważaj na nią - odparł Szołoj, ale nie spuszczał wzroku z córki.

Bez słowa Temudżyn i Arsłan odwrócili się i ruszyli w drogę powrotną przez koczowisko z ołkunucką dziewczyną drepczącą za nimi.

ROZDZIAŁ 22

Arslan wykazał się rozsądkiem, zostawiając Temudżyna i Börte samych pierwszej nocy. Wciąż ogarniała go melancholia po stracie mieczów i wolał wziąć łuk, i ruszyć na polowanie, podczas gdy Temudżyn zaznajamiał się z kobietą Ołkunutów. Dziewczyna, która szła za nimi, miała już mocno obolałe stopy i była wycieńczona, kiedy zatrzymali się na noc. Temudżyn dowiedział się, że miała na imię Eluin i że opiekowała się siostrą o imieniu Machda, kiedy dopadała ją choroba. Temudżyn zostawił je obie przy kucach, kiedy zjadły posiłek, ale wciąż słyszał co pewien czas rzęzący kaszel Machdy. Dziewczęta miały pledy dla koni do ochrony przed zimnem, ale żadna z nich nie znosiła dobrze trudów podróży. Gdyby Machda przeżyła drogę do koczowiska na północy, matka Temudżyna mogłaby znaleźć dla niej trochę ziół, ale to była płocha nadzieja.

Börte nie odezwała się, kiedy Temudżyn rozwinął płótno na ziemi przed trzaskającym ogniskiem. Temudżyn był przyzwyczajony do spania na gołej ziemi, gdy tylko del chronił go przed zimnem, ale nie wydawało mu się w porządku prosić Börte o to samo. On nie znał życia, do którego przywykła, nie wiedział też, jak Szołoj traktował ją po jego wyjeździe. Temudżyn nie dorastał wśród sióstr i czuł się teraz nieswojo w jej towarzystwie, chociaż nie rozumiał dokładnie dlaczego.

Chciał rozmawiać z nią i słuchać jej wcześniej podczas jazdy, ale ona siedziała tylko sztywno z wyprostowanymi plecami, poddając się ruchowi konia, wpatrzona w horyzont. Temudżyn przegapił szansę naturalnego rozpoczęcia rozmowy i teraz panowało między nimi napięcie, którego nie umiał złagodzić.

Kiedy Arslan wrócił z polowania, odgrywał rolę sługi ze zwykłą u niego starannością. Poćwiartował złapanego tarbagana i piekł na ogniu kawałki mięsa, aż stały się brązowe i pachniały przepysznie. Następnie zniknął gdzieś w gęstniejącym mroku. Temudżyn czekał na jakiś znak, że Arslan pogodził się z jego wymianą mieczów za żonę, ale stary płatnerz tylko milczał ponuro.

Kiedy gwiazdy znacznie obróciły się już wokół niebieskiej osi, Temudżyn zaczął się wiercić, nie mogąc znaleźć sobie wygodnego miejsca do spania. Widział gładkość ogorzałej skóry Börte, kiedy obmywała twarz i ręce w strumieniu tak zimnym, że szczykała zębami. A były to dobre zęby, zauważył Temudżyn, mocne i białe. Przez chwilę rozważał wypowiedzenie takiego komplementu, ale to by zabrzmiało trochę tak, jakby chwalił nowego kuca i słowa te nie wydawały się na miejscu. Nie mógł udawać, że nie chciał mieć Börte u siebie pod pledem, ale lata rozłąki odgradzały ich teraz jak murem. Gdyby zapytała, Temudżyn opowiedziałby jej o wszystkim, co robił od ich ostatniego spotkania, ale pytanie takie nie padło, a on nie wiedział, jak zacząć.

Kiedy tak leżał pod gwiazdami, miał nadzieję, że Börte usłyszy, jak wydychał powietrze w potężnych westchnieniach, ale nawet jeśli słyszała, to nie dawała nawet znaku, że nie śpi. Temudżyn równie dobrze mógł być sam na świecie i tak się też czuł. Zastanawiał się, czy może powinien nie spać do świtu, tak żeby Börte zobaczyła jego zmęczenie i było jej przykro, że go ignorowała. Była to może i dobra myśl, ale jego duma nie pozwalałaby mu na to.

- Śpisz? - zapytał nagle bez namysłu.

Börte usiadła pod kopułą gwiazd.

- Jak mogłabym zasnąć, kiedy tak prychniesz i wzdychasz do siebie? - odparła.

Temudżyn przypomniał sobie, kiedy ostatni raz słyszał jej głos w ciemności i jej dotyk, którego wtedy zaznał. Myśl ta była podniecająca i Temudżyn poczuł, jak jego ciało rozpała się pod delem mimo mroźnego powietrza.

- Pomyślałem sobie, że spędzimy tę pierwszą noc razem pod pledem - powiedział.

Mimo najszczerzej chęci słowa te zabrzmiały jak drażniąca skarga i Temudżyn usłyszał prychnięcie Börte, zanim nadeszła jej odpowiedź.

- Któż mógłby oprzeć się takim słodkim słowom? - zapytała.

Czekał z nadzieją ale jej przedłużające się milczenie wystarczyło za odpowiedź. Najwyraźniej ona jednak mogła. Stłumił westchnienie, kiedy usłyszał jej śmiech. W ciemności uśmiechnął się, nagle rozbawiony.

- Wiele razy myślałem o tobie przez te wszystkie lata - powiedział.

Zobaczył, że jej postać poruszyła się, i odgadł, że Börte odwróciła się do niego. Leżał na boku twarzą w jej kierunku i podrapał się w nos, gdy wilgotna trawa muskała jego skórę.

- Ile razy? - spytała.

Zastanowił się przez chwilę.

- Jedenaście - powiedział. - Dwanaście licząc dzisiejszą noc.

- Wcale o mnie nie myślałeś - powiedziała mu. - Co zapamiętałeś z tego, kim byłem?

- Pamiętam, że miałaś przyjemny głos i grudę śluzu pod nosem - odezwał się z taką szczerością w głosie, że Börte aż zamurowało.

- Długo czekałam, aż przyjdiesz i zabierzesz mnie od mojego ojca - powiedziała w końcu.

- Bywały wieczory, kiedy marzyłam, że zjawisz się na koniu jako dorosły mężczyzna i chan Wilków.

Temudżyn zjeżył się w ciemnościach. Czyżby o to chodziło? Czyżby jego nowy status sprawiał, że mniej liczył się w jej oczach? Podniósł się na łokciu i już miał odpowiedzieć, kiedy Börte znowu się odezwała, nieświadoma jego szybko zmieniających się nastrojów.

- Odmówiłam trzem młodzieńcom Ołkunutów - powiedziała. - Ostatnim razem, kiedy moja matka zachorowała i miała marne szanse na przeżycie zimy. Kobiety śmiały się z dziewczyny, która tęskniła do Wilka, ale ja i tak chodziłam dumnie między nimi.

- Wiedziałaś, że przyjdę - powiedział Temudżyn z nutką satysfakcji.

Parsknęła śmiechem.

- Myślałam, że nie żyjesz, ale nie chciałam poślubić jakiegoś ogiera z jurt, żeby rodzić mu dzieci. Śmiali się z mojej dumy, ale ona była wszystkim, co miałam.

Temudżyn patrzył w mrok i próbował zrozumieć walkę, którą stoczyła Börte, może nawet na swój sposób równie ciężką, jak jego własna. Jeśli czegoś nauczył się w życiu, to tego, że niektórzy ludzie rozkwitali w samotności i czerpali z niej siłę. Byli to żywotni, niebezpieczni ludzie, uwielbiający wyzwania. Börte zaliczała się do nich. Temudżyn też. Pomyślał teraz o swojej matce. Kazała mu być miłym.

- Kiedy pierwszy raz przyszedłem do Ołkunutów, dano mi ciebie i przyjął cię mój ojciec - powiedział cicho. - Drugi raz przyszedłem z własnej woli, by cię odnaleźć.

- Chciałeś zasiać we mnie swoje nasienie - odparła z przekąsem.

Żałował, że nie widzi jej twarzy w ciemnościach.

- Tak - przyznał. - Chcę ujrzeć twój duch u moich synów i córek: najlepszego wśród Ołkunutów. Najlepszego wśród Wilków.

Usłyszał szelest i poczuł jej ciepło, kiedy przysunęła się bliżej i przykryła pledem ich

oboje.

- Powiedz mi, że jestem piękna - szepnęła mu do ucha, podniecając go.

- Jesteś - odpowiedział urywanym głosem.

Dotknął jej w ciemnościach, rozchylił jej del i poczuł gładkość skóry jej brzucha.

- Twoje zęby są bardzo białe - dodał.

Usłyszał, jak Börte śmieje mu się do ucha, ale jej ręce objęły go i nie miał już więcej słów, ani ich nie potrzebował.

*

Poranek był przepelniony uczuciem ożywienia, kiedy Temudżyn jechał z Börte. Jego zmysły były jakby wyostrzone i niemal sprawiało mu to ból. Za każdym razem, kiedy stykały się ich ciała Temudżyn myślał o minionej nocy i o nocach, które miały dopiero nadejść, wciąż wzburzony nowym doświadczeniem i nową bliskością.

Nie poruszali się szybko, chociaż Arsłan wziął wodze i przez większość popołudnia pozwalał siostrze jechać razem w siodle. Zatrzymywali się na polowanie i - mając dwa łuki - przynosili zawsze dość mięsa, żeby pożywić się każdego wieczora. Kaszel Machdy stawał się coraz gorszy z dala od schronienia ołkunuckich jurt, a jej siostra chlipała, kiedy się nią zajmowała. Arsłan mówił łagodnie do obu dziewcząt, ale kiedy minął pierwszy miesiąc, Machdę trzeba było przywiązywać do siodła, żeby nie spadła z powodu słabości. Chociaż o tym nie rozmawiali, nikt nie spodziewał się, żeby dziewczyna pożyła długo.

Zieleń równin blakła w miarę jak posuwali się na północ, a pewnego ranka Temudżyn obudził się wśród padającego śniegu. Był owinięty w pled razem z Börte i w nocy oboje spali twardo, zmęczeni chłodem i bezkresnym stepem. Widok śniegu zmroził trochę Temudżyna, wyznaczając koniec szczęśliwych chwil, może najszczęśliwszych w jego dotychczasowym życiu. Wiedział, że wraca teraz do trudów i walk, do przewodzenia braciom na wojnie z Tatarami. Börte wyczuła w nim ten nowy dystans i sama się oddaliła, tak że spędzali teraz każdy dzień na męczącym milczeniu, chociaż wcześniej szczebiotali jak ptaki.

Arsłan pierwszy dostrzegł wędrowców w oddali, a jego głos wyrwał Temudżyna z transu. Trzech ludzi zebrało stadko u podnóża wniesienia i ustawiło zniszczoną jurkę dla ochrony przed zimowym chłodem. Odkąd Sansar zabrał miecze, Temudżyn obawiał się takiego spotkania. Mocniej przytrzymał Börte w ramionach i zaklął pod nosem. W oddali obcy szybko wskoczyli na siodła i popędzili kuce pełnym galopem. Może mieli pokojowe zamiary, ale widok trzech młodych kobiet podjudzi ich do przemocy. Temudżyn ściągnął wodze i opuścił Börte na ziemię. Wyciągnął łuk spod płótna, zaopatrzył go w najlepszą cięciwę i odsunął przykrycie kołczana. Zobaczył, że Arsłan też jest gotowy. Płatnerz przeciął linę, którą Machda przywiązana była do siodła i zostawił ją z siostrą na zmarzniętej ziemi. Kiedy sam wsiadł na kuca, wymienił spojrzenia z Temudżynem.

- Czekamy? - zapytał.

Temudżyn spojrzał na galopujących wojowników i żałował, że nie ma miecza. Trzech biednych włóczęgów na pewno nie posiadało własnego miecza i broń taka wystarczyłaby, żeby przesądzić o wyniku starcia. Ale w obecnej sytuacji on i Arsłan mogli stać się karmą dla ptaków w ciągu zaledwie kilku krwawych chwil. Już mniejszym ryzykiem był atak.

- Nie - zawołał, żeby przekrzyczeć wiatr. - Zabijemy ich.

Usłyszał, jak dwie siostry jęknęły ze strachu, kiedy popędził kuca i napiął łuk. Poczł dziwne uniesienie, kiedy tak jechał, stojąc w strzemionach, w doskonałej równowadze, by mógł śłać śmierć z łuku.

Odległość zdawała się duża, kiedy tak pędzili przez równinę, a potem nagle znaleźli się tuż przy wrogach, a wiatr huczał im w uszach. Temudżyn wsłuchał się w tętent kopyt uderzających w ziemię, wyczuwając ich rytm. Był taki moment w pędzie konia, kiedy wszystkie jego kopyta na jedno uderzenie serca odrywały się od ziemi. Jesügej uczył Temudżyna, aby wypuszczał strzałę właśnie w takiej chwili, tak żeby zawsze trafiała celu.

Mężczyźni, którzy stanęli im naprzeciw, nie mieli za sobą takiego szkolenia. W podnieceniu źle ocenili odległość i pierwsze strzały świsnęły wysoko w górze, jeszcze zanim Arślan i Temudżyn dopadli do celu. Wśród grzmotu kopyt co chwilę powtarzał się moment, gdy kuce frunęły w powietrzu. Temudżyn i Arślan jednocześnie zwolnili cięciwy i strzały znikły w przestworzach.

Wojownik, w którego celował Arślan, od razu spadł z siodła, zrzucony na ziemię, gdy strzała z impetem trafiła go w pierś. Jego koń zarżał dziko, kopiąc i wierzgając. Strzał Temudżyna trafił równie czysto i drugi wojownik osunął się i runął nieruchomy na zamarznąłą ziemię. Temudżyn zobaczył, jak trzeci przeciwnik napina łuk, kiedy minęli się w pełnym galopie, i celuje prosto w jego pierś.

Rzucił się na bok. Strzała przeszła nad nim, ale ześlizgnął się za daleko i nie mógł się podciągnąć. Wrzasnął ze złości, kiedy stopa wyslizgnęła mu się ze strzemięcia, i znalazł się prawie pod karkiem kuca chwiejącym się w pełnym galopie. Ziemia śmigła pod nim, kiedy szarpał wściekle za wodze, a jego ciężar wyrwał wędzidło z ust kuca, tak że szarpnięcie wytrąciło Temudżynowi drugą stopę ze strzemięcia. Przez kilka chwil kuc ciągnął go po zmarzniętej ziemi, po czym Temudżyn zebrał w sobie całą siłę woli, puścił wodze i upadł, próbując desperacko odturlać się z drogi przed miażdżącymi kopytami.

Kuc pomknął dalej bez jeźdźca, a grzmot kopyt ginął wśród ciszy śniegu. Temudżyn leżał na plecach wsłuchany w swój drżący oddech i zbierał myśli. Wszystko go bolało i trzęsły mu się ręce. Usiadł i zamrugnął w oszołomieniu, po czym obejrzał się, żeby sprawdzić, co działo się z Arślanem.

Płatnerz zatopił właśnie drugą strzałę w piersi kuca wojownika, tak że wierzchowiec runął na ziemię, a jeździec był wyraźnie oszołomiony.

Arślan wyciągnął nóż z zakamarków delu i podchodził niespiesznie do przeciwnika, żeby zakończyć walkę. Temudżyn próbował krzyknąć, ale kiedy wziął wdech, coś ukuło go w piersi i zdał sobie sprawę, że złamał żebro podczas upadku. Z trudem wstał na nogi i napełnił płuca.

- Stój, Arślanie! - zawołał, krzywiąc się z bólu.

Płatnerz usłyszał i zatrzymał się, nie spuszczać wzroku z człowieka, którego zrzucił na ziemię. Temudżyn przycisnął sobie dłoń do żeber i kuląc się z bólu ruszył w kierunku Arśłana.

Wędrowiec patrzył na niego zrezygnowany. Jego towarzysze leżeli na ziemi obok koni tarzających się wśród luźnych, splątanych wodzy. Jego własny wierzchowiec konał na zmarzniętym śniegu. Kiedy Temudżyn podszedł bliżej, wędrowiec zbliżył się do wierzgającego w agonii zwierzęcia i wbił mu nóż w gardło. Wierzgające kończyny kuca obezwładniały, a krew rozlała się wokół parującą, czerwoną powodzią.

Wędrowiec był niski i potężnie umięśniony, miał bardzo ciemną, czerwona skórę z krzaczastymi brwiami nad oczami. Owinięty był wieloma warstwami ubrań dla ochrony przed zimnem i nosił spiczasty, kwadratowy kapelusz. Z westchnieniem odstał od zabitego kuca i skinął zakrwawionym nożem na Arśłana.

- Więc chodź i zabij mnie - powiedział. - Zobaczymy, co mam dla ciebie.

Arślan nie odpowiedział, ale zwrócił się do Temudżyna.

- Twoim zdaniem, co tu się dzieje? - krzyknął do niego Temudżyn, stale zmniejszając dystans między nimi.

Odjął rękę od boku, kiedy mówił i próbował się wyprostować, chociaż każdy oddech przeszywał bólem jego ciało. Wędrowiec spojrział na niego jak na obłąkanego.

- Spodziewam się, że mnie zabijecie, tak jak moich towarzyszy - powiedział. - Chyba, że masz zamiar dać mi kuca i jedną ze swoich kobiet?

Temudżyn zaśmiał się i obejrzał się na siedzącą z tyłu Börte z Eluin i Machdą. Wydawało mu się, że nawet z tej odległości słyszy kaszel.

- To może poczekać, aż zjemy - powiedział. - Udzielam ci gościny.

Na twarzy wędrowca malowało się teraz zdumienie.

- Gościny?

- A czemu nie? W końcu to twojego konia będziemy jeść.

*

Kiedy wyruszyli następnego dnia, siostry jechały na kucach, i dołączył do nich kolejny wojownik do walk przeciw Tatarom. Nowy współplemieniec ani trochę nie ufał Temudżynowi, ale przy odrobinie szczęścia jego wątpliwości i zmieszanie utrzymają się przez całą drogę przez śniegi do koczowiska. W przeciwnym razie czeka go szybka śmierć.

*

Wiatr targał nimi niemiłosiernie, a rozpedzony śnieg kłuł w oczy i skórę na nieosłoniętych częściach ciała. Eluin siedziała na kolanach w śniegu, zawodząc z żalu przy ciele siostry. Machda nie miała lekkiej śmierci. Ciągły mróz pogłębił zator w jej płucach. Przez cały poprzedni miesiąc każdy poranek zaczynał się dla Eluin od klepania siostry w plecy i piersi, dopóki wielkie grudy krwi i flegmy nie stały się na tyle luźne, żeby Machda mogła je wypluć. Kiedy była za słaba, Eluin palcami oczyszczała jej gardło i usta, podczas gdy Machda patrzyła na nią z przerażeniem, krztusząc się i usilnie próbując złapać jeszcze jeden oddech mroźnego powietrza. Jej skóra stała się woskowata, a ostatniego dnia dziewczyna oddychała już jak przed gwizdzącą trzcinę. Temudżyn dziwił się jej wytrzymałości i nieraz zastanawiał się, czy nie powinien zadać jej szybkiej śmierci, podrzynając gardło. Arslan nalegał, aby to zrobił, ale Machda stanowczo potrząsała głową za każdym razem, kiedy jej to proponował, aż do samego końca.

Minęły już prawie trzy miesiące, odkąd opuścili koczowisko Ołkunutów, kiedy Machda zsunęła się z siodła i zawisła z boku na rzemieniach, tak że Eluin nie mogła jej wciągnąć z powrotem. Arslan opuścił ją na ziemię, a Eluin zaniósła się szlochem, który niemal ginął wśród wycia wiatru.

- Musimy iść - Börte powiedziała do Eluin i położyła jej dłoń na ramieniu. - Twoja siostra opuściła stopy.

Eluin w milczeniu skinęła przez łzy. Ułożyła ciało siostry z rękami skrzyżowanymi na piersi. Śnieg ją okryje, może jeszcze zanim dzikie zwierzęta znajdą kolejny posiłek we własnej walce o przetrwanie.

Wciąż szlochając, Eluin pozwoliła, aby Arslan wciągnął ją na siodło. Długo spoglądała w tył na malejącą postać, aż śnieg zakrył ją przed jej wzrokiem. Temudżyn zauważył, że Arslan dał Eluin zapasową koszulę, którą nosiła teraz pod delem. Wszyscy marzli mimo warstw materiału i futer. Groziło im wycieńczenie, ale Temudżyn wiedział, że jego koczowisko nie mogło być daleko. Gwiazda Polarna świeciła coraz wyżej, w miarę jak posuwali się na północ i Temudżyn odgadł, że weszli już na ziemie Tatarów. Przynajmniej śnieg ukrywał ich

przed wrogami, ale też przed jego braćmi i Dżelmem.

Kiedy oszczędzali kuce i o zmarzniętych stopach brnęli przez śnieg, Börte szła przy Temudżynie i każde z nich trzymało ręce splecione w szerokich rękawach drugiego, żeby chociaż jedna część ciała pozostawała w ciepłe.

- Będiesz musiał znaleźć szamana, żebyśmy wzięli ślub - powiedziała Börte, nie patrząc na Temudżyna.

Szli z opuszczonymi głowami, niczym dwa demony zimy stawiając czoła rozszalałemu wiatrowi i śniegowi, który obladał im brwi. Temudżyn mruknął potakująco, a Börte poczuła, jak jego uścisk na chwile staje się silniejszy.

- Nie krwawiłam w tym miesiącu - powiedziała.

Skinął lekko i zrobił kolejny krok. Koniom wystawały już kości bez soczystej trawy i nie mogły pociągnąć już długo. Zapewne już nadszedł czas, żeby jechać na nich przez kolejne kilka godzin. Temudżyna bolały nogi, a złamane żebro wciąż odzywało się przy każdym szarpnięciu za wodze.

Zatrzymał się na chwilę w śniegu i odwrócił się do Börte.

- Jesteś brzemienna? - zapytał z niedowierzaniem.

Börte przysunęła się i potarła się nosami.

- Może. Ale mamy mało jedzenia i czasem krew nie przychodzi z tego powodu. Ale myślę, że jestem.

Temudżyn otrząsnął się z transu podróży i radość pojawiła się w jego oczach.

- To będzie silny syn, jeśli począł się w takiej wędrownicy - powiedział.

Wiatr zaryczał w potężnym podmuchu, kiedy Temudżyn wypowiedział te słowa, tak że musieli się odwrócić. Nie widzieli słońca, ale dzień miał się ku końcowi i Temudżyn krzyknął do Arslana, żeby znalazł schronienie.

Kiedy płatnerz zaczął rozglądać się za jakimś bezwietrznym miejscem, Temudżyn dostrzegł w przelocie jakiś ruch za zasłoną padającego śniegu. Poczł dreszcz niebezpieczeństwa na karku i gwizdnął cicho, żeby Arslan wrócił. Wędrowiec spojrzł na niego pytająco, a potem w milczeniu wyciągnął nóż i utkwiał wzrok w śnieżnej zamieci.

Wszyscy czekali na powrót Arslana w napiętym milczeniu wśród rozszalałej, smagającej ich zamieci. Byli niemal ślepi od śniegu, ale Temudżynowi znowu zdało się, że widzi postać jeźdźca, jakby cień. Börte zapytała go o coś, ale on nie usłyszał, bo strącał lód z materiału wokół łuku, a potem przyczepił cięciwę z końskiego włosia do jednego końca broni. Stęknął, próbując doczepić drugi koniec i zdał sobie sprawę, że cięciwa nasiąkała wilgocią mimo ochronnej warstwy oleju. Zdołał w końcu osadzić pętlę na karbie drzewca, ale cięciwa zatrzęszczała złowieszczo i Temudżyn pomyślał, że włosie pęknie przy pierwszym pociągnięciu. Ale gdzie był Arslan? Temudżyn słyszał tętent koni galopujących w pobliżu, odbijający się echem wśród bieli, aż nie był już pewien, z której strony dobiegały odgłosy. Osadził strzałę na cięciwie i obrócił się, nasłuchując. Jeźdźcy byli bliżej. Wędrowiec syknął przez zaciśnięte zęby, przygotowując się na atak. Temudżyn zauważył, jak jego towarzysz mężnie czeka najeźdźców i podziękował Ojcu Niebu, że miał u swego boku jeszcze jednego odważnego wojownika. Uniósł trzeszczący łuk. Zobaczył ciemne kształty, a potem usłyszał nawoływania i, przez jedną chwilę, wyobraził sobie Tatarów nadciągających po jego głowę.

- Tutaj! - rozległ się głos. - Są tutaj!

Temudżyn niemal upuścił łuk z poczucia ulgi, kiedy rozpoznał Kacziuna i wiedział, że wrócił do swoich. Stał chwiejnie, kiedy Kacziun zeskoczył w śnieg z siodła i uściśnął go.

- To dobra zima, Temudżynie - powiedział Kacziun, i silnie klepnął brata w plecy ręką w rękawiczce. - Chodź, zobacz.

ROZDZIAŁ 23

Temudżyn i pozostali wsiedli na kuce, żeby pokonać ostatnią milę, chociaż wierzchowce niemal przewracały się ze zmęczenia. Obóz, do którego dotarli, stał pod ciemną ścianą starego osuwiska, chroniony przed najgorszą zawieruchą przez klif z jednej strony i wzgórze z drugiej. Dwa tuziny jurt tłoczyły się tam niczym porosty, z dzikimi psami i uwiązanym kucami na każdym kawałku ziemi osłoniętym od wiatru. Mimo senności i tęsknoty za ciepłym jedzeniem Temudżyn nie mógł się powstrzymać przed rozglądaniem się po gwarnym koczowisku wśród śniegów. Zauważył, że Dzelme utrzymywał obóz w pogotowiu wojennym. Wojownicy w drodze na czaty szli z opuszczonymi głowami chroniąc się od wiatru. Było o wiele więcej mężczyzn niż kobiet i dzieci, co Temudżyn wyraźnie dostrzegł, patrząc na obóz wzrokiem świeżego przybysza. Było to błogosławieństwem, bo wojownicy byli natychmiast gotowi do drogi i walki, ale taki stan nie mógł długo się utrzymać. Mężczyźni szli na wojnę ze swoimi przywódcami, ale chcieli mieć dom, do którego mogliby wrócić, zaznać dotyku kobiety w ciemnościach i w którym dzieci płatałyby się pod nogami jak małe szczenięta.

Ci, którzy zaznali głodu i strachu jako włóczędzy, byli zadowoleni z życia w nowym plemienu w śniegu, ale nawet wtedy byli nieufni wobec siebie nawzajem jak dzikie psy. Temudżyn tłumił zniecierpliwienie. Włóczędzy nauczą się dostrzegać brata tam, gdzie niegdyś stał wróg. Nauczą się, że Ojciec Niebo znał tylko jeden lud i nie widział plemion. Z czasem tak się stanie, przysiągł sobie Temudżyn. Szedł przez obóz bardziej uważny niż zwykle, oddalając od siebie zmęczenie, w miarę jak nowe szczegóły przykuwały jego uwagę. Widział czatowników wysoko na klifie nad głową, opatulonych dla ochrony przed wiatrem. Nie zazdrościł im i pomyślał, że niewiele zobaczą w bezustannej śnieżycy. Ich obecność pokazywała jednak staranność Dzelme i Temudżyn był zadowolony. W koczowisku panowało poruszenie zamiast zwykłego zimowego letargu, w jaki zapadały plemiona na stepach. Temudżyn wyczuł tłumione podniecenie, kiedy tylko pojawił się wśród współplemieńców.

Były tam nowe twarze - mężczyźni i kobiety, które patrzyły na niego jak na obcego. Temudżyn wyobrażał sobie, że widzieli w jego odzianej w łachmany grupce kolejną rodzinę włóczęgów, przygarniętą do koczowiska. Temudżyn spojrzał na Börte, żeby sprawdzić, jakie było jej pierwsze wrażenie na widok jego małego plemienia na północy. Była bardzo blada ze zmęczenia, ale jechała blisko jego boku, a jej bystre oczy obserwowały wszystko wokół. Temudżyn nie potrafił jednak stwierdzić, czy się jej podobało. Minęli jurte, w której Arslan zbudował ceglany piec parę miesięcy wcześniej, i Temudżyn zobaczył żar paleniska niczym język światła na śniegu. Wewnątrz jurty ogrzewali się mężczyźni i kobiety, i dało się słyszeć śmiech, kiedy Temudżyn mijał namiot kłusem. Odwrócił się do Arslana, żeby sprawdzić, czy to zauważył, ale płatnerz miał obojętny wyraz twarzy. Jego wzrok bezustannie omiatał koczowisko w poszukiwaniu syna.

Dzelme wyszedł im na powitanie, kiedy tylko usłyszał wołanie Kacziuna. Kasar też przybiegł z innej jurty, ślizgając się w śniegu, rozradowany na widok małej grupki przybyszów, których nie widział od pół roku. Kiedy zeskoczyli z siodeł, obok bez wezwania pojawili się uśmiechnięci mali chłopcy, żeby zabrać kuce. Temudżyn klepnął jednego tak, że ten przykucnął. Dzelme dobrze zarządzał plemieniem i Temudżyn był zadowolony. Jego

współplemieńcy nie obrośli tłuszczem i nie spowolniali pod jego nieobecność.

Arslan był wyraźnie dumny z syna i Dżelme skinął ojcu głową. Ku zdumieniu Temudżyna Dżelme upadł na jedno kolano i wyciągnął rękę po jego dłoń.

- Nie, Dżelme, wstań - powiedział Temudżyn, na wpół zirytowany.

- Nie chcę już stać na wietrze.

Dżelme nie ruszył się z miejsca, ale podniósł głowę.

- Niech nowi współplemieńcy to zobaczą, mój chanie. Jeszcze cię nie znają.

Temudżyn zrozumiał i jego uznanie dla Dżelmego jeszcze wzrosło. Niektórzy z włóczęgów znali Dżelmego jako kogoś bliskiego pozycji chana przez długie miesiące nieobecności Temudżyna. Było istotne, żeby pokazać im, że wrócił prawdziwy przywódca. Nie sprzeciwiał się więcej i pozwolił Dżelmemu położyć sobie swoją dłoń na głowie, po czym podniósł go i objął.

- Znalazłeś szamana wśród nowo przybyłych? - zapytał Temudżyn.

Dżelme skrzywił się, kiedy wstał.

- Jest jeden, ale ukradł zapas ajraku i targuje się o więcej, kiedy tylko może.

- Dopilnuj, żeby był trzeźwy przez kilka dni - powiedział Temudżyn.

- Jeśli tylko odda moje małżeństwo pod opiekę Ojca Nieba i Matki Ziemi, będzie mógł pić przez cały miesiąc później.

Rozejrzał się raz jeszcze i zobaczył, jak wiele nowych twarzy zatrzymało się w śniegu, żeby przyjrzeć się scenie. Kiedy jego wzrok spoczął na znajomych mu współplemieńcach, ich głowy skłoniły się w pozdrowieniu. Dżelme spojrzał na Börte i Eluin, i zgiął się w pasie.

- Jesteśmy zaszczyceni, przyjmując was do naszego plemienia, córki Ołkunutów - powiedział.

Börte nie wiedziała, co myśleć o pewnym sobie nieznanym. Kiwnęła gwałtownie głową w odpowiedzi, zaczerwieniła się i odwróciła wzrok. Nic w jej życiu nie przygotowało jej na wyrazy szacunku i na chwilę w jej oczach stanęły łzy.

Zwolniony z formalności powitania Dżelme mógł wreszcie wziąć ojca za rękę i objąć go.

- Zadałem rany Tatarom - powiedział Arslanowi, z trudem tłumiąc dumę.

Jego ojciec zaśmiał się i poklepał go po plecach. Może z czasem przyzwyczai się do lekkiego podejścia, jakie Temudżyn krzewił wśród swoich ludzi.

- Jestem w domu - powiedział do siebie Temudżyn tak, że inni nie mogli go usłyszeć.

Było to niewiele więcej niż tylko małe koczowisko najeźdźców na zamarznętej ziemi, gdzie pożywienia i miejsca ledwie starczało dla wszystkich, ale jedno nie ulegało wątpliwości - Temudżyn sprowadził Börte do domu.

- Zaprowadź mnie do mojej matki, Dżelme - powiedział, trzęsąc się na mroźnym wietrze. - Na pewno chce usłyszeć wieści o plemieniu Ołkunutów.

Zauważył zdenerwowanie Börte i starał się ją pocieszyć. - Przyjmie cię, Börte, jakbyś była jej własną córką.

Kiedy Dżelme ruszył w drogę, Temudżyn zobaczył, że jeździec, którego przyjął pod swoje skrzydła, stoi zdezorientowany na skraju ich małej grupki. Temudżynowi w głowie roiło się od spraw, które musiał zapamiętać, ale nie mógł zostawić tego człowieka wśród obcych.

- Kacziunie? To jest Barach, wspaniały wojownik. Musi jednak popracować z łukiem i nigdy też nie miał w ręku miecza. Ale za to jest waleczny i silny. Zobacz, co możesz z nim zrobić.

Ściągnął brwi, kiedy przypomniał sobie jeszcze jedną sprawę.

- Upewnij się, że Arslan dostanie wszystko, co potrzebne do wykucia nowych mieczy. Roześlij ludzi, żeby znaleźli rudę.

Kacziun skinął.

- Są pokłady w tym wzgórzu. Uzbieraliśmy już te szare kamienie. Dźelme nie pozwalał nikomu ich dotknąć przed powrotem ojca.

Temudżyn zauważył, że Arslan i jego syn obaj słuchali.

- Słusznie - powiedział natychmiast. - Arslan zrobi dwa miecze wspanialsze niż wszystko, co dotąd widzieliśmy, czyż nie?

Arslan wciąż promieniał z radości, że zobaczył syna żywego i silnego, przywódcę ludzi. Skłonił się.

- Zrobię je - powiedział.

- A teraz, na Ojca Niebo, zejdźmy z tego wiatru - powiedział Temudżyn. - Myślałem, że o tej porze będzie już wiosna.

Kasar wzruszył ramionami.

- To chyba właśnie wiosna, tylko daleko na północy. Ja osobiście cieszę się z łagodniejszej pogody.

Temudżyn popatrzył po Kasarze, Kacziunie, Dźelmem i Arslanie. Byli wspaniałymi wojownikami i jego serce zabiło żywiej na myśl o tym, co mogli działać razem. Był w domu.

*

Höelün miała własną jurte i młodą dziewczynę z rodzin przygarniętych włóczęgów do pomocy. Wcierała sobie właśnie w skórę świeży owczy tłuszcz, kiedy usłyszała tumult. Jej służąca wyszła na śnieg, żeby zasięgnąć języka, i wróciła właśnie z czerwoną twarzą, dysząc od mrozu.

- Twój syn jest w obozie, pani - powiedziała.

Höelün upuściła garniec tłuszczu i wytarła ręce w kawałek starego płótna. Cmoknęła, żeby popędzić dziewczynę, po czym wyciągnęła ręce i pospiesznie włożyła del. Siła jej uczuć zaskoczyła ją samą, ale jej serce ożywiło się na tę wiadomość. Temudżyn znowu przeżył. Chociaż nie mogła zapomnieć czynu, jakiego dopuścił się w najczarniejszej godzinie, wciąż był jej synem. Miłość jest dziwnym i skomplikowanym uczuciem dla każdej matki i wymyka się rozumowi.

Kiedy usłyszała głos Temudżyna przed jurta, zdążyła się już przygotować i wzięła małą Temülün na kolana, żeby czesać jej włosy i uspokoić w ten sposób swoje drżące ręce. Dziewczynka najwyraźniej wyczuła dziwny nastrój matki i rozglądała się wokół szeroko rozwartymi oczami, kiedy otworzyły się drzwi. Temudżyn wpuścił do środka zimę w powiewie śniegu i mroźnego powietrza, od którego Höelün zatrzęsała się, a Temülün krzyknęła rozradowana na widok starszego brata, którego nie widziała od tak dawna.

Höelün patrzyła, jak Temudżyn obejmuje siostrę i jak zawsze chwali jej piękne włosy. Dziewczyna szczebiotała wysokim głosem, podczas gdy Höelün przypatrywała się uważnie każdemu szczegółowi wyglądu młodzieńca, który wzbudzał w niej takie mieszane uczucia. Nawet jeśli o tym nie wiedział, był właśnie takim synem, jakiego pragnąłby Jesügej. W głębi duszy wiedziała, że Jesügej poparłby śmierć Bektera, kiedy umierali z głodu. Jej synowie odziedziczyli bezwzględność ojca albo może wpoilo ją im życie, które wiedli.

- Dobrze cię widzieć, mój synu - powiedziała oficjalnie.

Temudżyn tylko się uśmiechnął i odwrócił się w bok, żeby wprowadzić dwie młode kobiety. Oczy Höelün rozszerzyły się, kiedy rozpoznała delikatne rysy swojego ludu. Widok

ten przyniósł ukłucie nostalgii, zaskakującej po tylu latach. Wstała i wzięła dwie młode kobiety za ręce, po czym wprowadziła je do ciepłego wnętrza jurty. Temülün dołączyła do nich, stanęła między nimi i koniecznie chciała się dowiedzieć, kim były.

- Dorzuć więcej drew do ognia - powiedziała służce Höelün. - Na pewno obie marzniecie. Która z was to Börte?

- To ja, matko - odpowiedziała nieśmiało Börte. - Z Ołkunutów.

- Rozpoznałam to po twojej twarzy i zdobieniach na delu - stwierdziła Höelün i zwróciła się do drugiego dziewczęcia. - A ty, córko, jak masz na imię?

Eluin wciąż była pogrążona w żalu, ale zebrała się w sobie, żeby odpowiedzieć. Höelün wyczuła jej smutek i przytuliła ją instynktownie. Wskazała im obu miejsce, gdzie mogły usiąść i zawołała do służki, by przyniosła czarki z gorącą herbatą dla ogrzania dziewcząt. Temülün dała się uciszyć, kiedy dostała torbę słodkiego jogurtu i zajęła się nią w kącie. Temudżyn patrzył na rozmawiające trzy ołkunuckie kobiety i cieszył się, że Börte zaczyna się uśmiechać, słuchając wspomnień jego matki. Höelün rozumiała ich obawy wśród obcych. Sama się tak niegdyś czuła. Kiedy przełamane zostały pierwsze lody, Höelün zasypała dziewczęta niekończącymi się pytaniami, w jej głosie zabrzmiał dawny akcent, który Temudżyn rozpoznał jako ołkunucki. Dziwnie się czuł, słysząc go z ust matki i raz jeszcze przypomniał sobie opowieści o życiu, jakie Höelün wiodła, zanim poznała Jesügeja i zanim na świat przyszedł jej dzieci.

- Czy Sansar wciąż jest chanem? Jak się miewa mój bratanek Köke i jego ojciec Ench?

Börte z łatwością odpowiadała Höelün, bez zakłopotania przyjmując jej matczyną troskę. Temudżyn przyglądał się temu z dumą, jakby to on to wszystko spowodował. Matka najwyraźniej o nim zapomniała, więc usiadł tylko i skinął na służkę, żeby podała mu czarkę z herbatą. Zamknął oczy i pozwolił, żeby przyjemne ciepło napoju rozeszło się po jego ciele. Eluin w końcu też przyłączyła się do rozmowy i Temudżyn wreszcie mógł się odprężyć i siedział z zamkniętymi oczami.

- ...to już na pewno długo nie potrwa, ta nawałnica - słyszał głos swojej matki. - Odwilż już się zaczęła i śnieg powoli znika z przełęczy.

- Chyba nigdy jeszcze nie było mi tak zimno - odpowiedziała Börte, pocierając ręce.

Kobiety najwyraźniej się polubiły i Temudżyn rozsiadł się zadowolony.

- Przyproceedziłem Eluin na żonę dla Kasara albo Kacziuna. Jej siostra zmarła w podróży - powiedział i odrobinę otworzył oczy.

Obie kobiety spojrzały na niego, ale zaraz rozmowa zaczęła się na nowo, tak jakby Temudżyn nigdy się nie odezwał. Parsknął cicho do siebie. Nikt nie mógł być chanem swojej matki. W ciepłe ogarnęło go znużenie i - słysząc słodkie głosy w uszach - zapadł w sen.

*

Kacziun i Kasar siedzieli w sąsiedniej jurcie i żuli gorącą baraninę, która gotowała się w wodzie przez większą część dnia. Przy takim zimnie trzeba było utrzymywać gulasz na ogniu przez cały czas, tak żeby zawsze była pod ręką porcja ciepłego pożywienia, którym mogli się ogrzać przed wyjściem na zewnątrz. Nieczęsto mieli czas na odpoczynek, kiedy Temudżyna nie było w koczowisku. Bracia cierpliwie znosili rozkazy Dżelmego, wiedząc, że tego właśnie chciałby od nich Temudżyn. W samotności jednak zrzucali maskę, przestawali udawać i rozmawiali do późna w nocy.

- Podoba mi się ta Eluin - powiedział Kasar.

Kacziun natychmiast podchwycił przynętę, tak jak spodziewał się tego jego brat.

- To twoja dziewczyna zmarła, Kasarze. Eluin została obiecana mnie i dobrze o tym wiesz.
- Nic nie wiem, braciszku. Najstarszy pierwszy dostaje herbatę i gulasz, nie zauważyłeś?
To samo dotyczy żon.

Kacziun prychnął, na wpół rozbawiony. To on pierwszy zobaczył Eluin, kiedy wyjechał w odpowiedzi na wezwanie zwiadowców. Ledwie mógł się jej wtedy przyjrzeć, opatulonej dla ochrony od zimna, ale czuł, że dawało mu to prawa znalazcy. Na pewno miał silniejsze podstawy uważać Eluin za swoją niż Kasar, który tylko wyszedł z jurty i powitał ją.

- Temudżyn rozstrzygnie - powiedział.

Kasar skinął rozpromieniony.

- Cieszę się, że nie będziemy się kłócić. W końcu jestem najstarszy.

- Powiedziałem, że Temudżyn rozstrzygnie, a nie wybierze ciebie - powiedział cicho Kacziun.

- Jest ładna, muszę stwierdzić. Ma długie nogi.

- A co ty możesz wiedzieć o jej nogach? Przypominała jaka pod całym tym ubraniem.

Kasar utkwiał wzrok gdzieś w oddali.

- Jest wysoka, Kacziunie, nie zauważyłeś. Albo jej stopy nie sięgają ziemi albo muszą gdzieś tam być długie nogi. Silne nogi, które owiną się wokół mężczyzny, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

- Temudżyn mógłby ją wydać za Dźelmego - odparł Kasar bardziej, żeby dokuczyć bratu niż dlatego, żeby w to wierzył.

Kasar potrząsnął głową.

- Więzy krwi mają pierwszeństwo - powiedział. - Temudżyn wie o tym lepiej niż ktokolwiek.

- Gdybyś go chociaż przez chwilę posłuchał, wiedziałbyś, że uważa, że krew łączy go z każdym mężczyzną i każdą kobietą w koczowisku, niezależnie od plemienia czy rodziny - powiedział Kacziun. - Na duchy przodków, Kasarze, myślisz więcej o własnym żołądku i lędźwiach, niż o tym, co on tu chce zrobić.

Obaj bracia popatrzyli na siebie złowrogo.

- Jeśli mówisz, że nie chodzę za nim jak zagubiony pies, to masz rację - powiedział Kasar.
- Pochlebców to on już ma w tobie i Dźelmem.

- Idiota z ciebie - powiedział mu Kacziun umyślnie powoli.

Kasar zaczerwienił się. Wiedział, że nie był tak bystry jak Temudżyn, a może nawet jak Kacziun, ale prędzej piekło zamarznie niż się do tego przyzna.

- Może powinieneś iść położyć się w śniegu u progu jurty naszej matki - powiedział. - Mógłbyś przywrzeć do niej nosem albo coś takiego. Obaj zabijali już w walce u boku Temudżyna i Dźelmego, ale kiedy przebywali razem, odzywała się w nich rycząca energia chłopców, z czerwonymi twarzami i skorych do bitki na łokcie. Żaden nie sięgnął po nóż i Kasar szybko chwycił głowę Kacziuna pod pachę i potrząsał nią.

- Powiedz, że jesteś jego psem - powiedział, Kasar, dysząc ciężko z wysiłku. - Szybko, zaraz idę na czaty.

- Pierwszy zobaczyłem Eluin i jest moja - powiedział, krztusząc się Kacziun.

Kasar jeszcze mocniej ścisnął głowę brata.

- Powiedz, że wolałbyś, żeby spała w łóżu twojego przystojnego starszego brata - zażądał.

Kacziun szarpał się wściekle i w końcu obaj upadli na posłanie, co sprawiło, że Kasar rozluźnił uścisk. Obaj leżeli, dysząc i patrząc na siebie spođe łba.

- Nieważne, czy jestem jego psem - powiedział Kacziun. - Dźelme go też to nie obchodzi.

Wziął głęboki wdech na wypadek, gdyby jego brat znowu się na niego rzucił.

- Ciebie też nie - dodał.

Kasar wzruszył ramionami.

- Lubię zabijać Tatarów, ale oni cały czas tylko posyłają stare kobiety ze swoimi wojownikami i nie wiem, co mam zrobić. Nawet Arsłan znalazł sobie ładną młodkę, zanim wyjechał.

- Wciąż ci odmawia? - zapytał Kacziun.

Kasar ściągnął brwi.

- Powiedziała, że Arsłan mnie zabije, jeśli jej dotknę, i chyba ma rację. Jest granica, której nie chcę przekraczać.

*

Arsłan stał w jurcie, którą zbudował wokół swojego pieca, i czuł jak ciepło ogarnia jego ciało. Cenne narzędzia były naoliwione i owinięte dla ochrony przed rdzą i płatnerz nie miał powodu do narzekań na Dźelme.

- Dobrze się spisałeś, mój synu. Widziałem, jak inni mężczyźni patrzą na ciebie. Może sam Ojciec Niebo zaprowadził nas do Wilków.

Dźelme wzruszył ramionami.

- To już przeszłość. Znalazłem tu cel w życiu, ojczyznę, i miejsce dla siebie. Teraz martwię się o przyszłość, jeśli ta zima w ogóle się kiedyś skończy. Nigdy takiej nie widziałem.

- W całym swoim długim życiu - odparł z uśmiechem Arsłan.

Dźelme najwyraźniej zyskał pewności siebie z dala od niego i Arsłan nie wiedział do końca, jak ma traktować tego silnego młodego wojownika, który z takim spokojem stawał przed nim. Może potrzebował nieobecności ojca, żeby stać się mężczyzną. Była to otrzeźwiająca myśl, a Arsłan nie chciał otrzeźwieć.

- Możesz mi znaleźć ze dwa bukłaki ajraku? - zapytał. - Chcę posłuchać o najazdach.

Dźelme poszperał w jurcie i wyciągnął pękaty bukłak potężnego napoju.

- Kazałem nam przynieść gorący gulasz - powiedział. - Mięso jest chude, ale wciąż mamy nasze suszone i solone kawałki.

Obaj stanęli w odprężającym cieple pieca. Arsłan rozwiązał del, żeby ciepło owionęło całe jego ciało.

- Widzę, że zniknęły wasze miecze - powiedział Dźelme.

Arsłan mruknął, rozdrażniony.

- Zapłaciliśmy nimi za kobiety, które sprowadził Temudżyn.

- Przykro mi - powiedział Dźelme. - Ale zrobisz nowe równie wspaniałe albo nawet lepsze.

Arsłan ściągnął brwi.

- Każdy wymaga miesiąca solidnej pracy, nie licząc czasu na wykopanie rudy i wykonanie sztabek żelaza. Jak ci się zdaje, ile mam jeszcze czasu przed sobą? Nie będę żył wiecznie. Ile razy uda mi się wykonać właściwą stal i wykuć miecz bez błędów? - Splunął na piec i patrzyli na lekko wrzącą ślinę na nie dość jeszcze rozgrzanych ceglach, żeby skwierczała. - Myślałem, że odziedziczysz miecz, który nosiłem.

- Może jeszcze tak będzie, jeśli dość urośniemy w siłę, żeby odebrać go od Ołkunutów - odparł Dźelme.

Jego ojciec odwrócił się od pieca i spojrzał na niego.

- Tak uważasz? Ta niewielka grupka jeźdźców miałaby wiosną siać postrach na stepach?
Dźelme uparcie odwzajemniał jego spojrzenie, ale nie odpowiedział. Arsłan parsknął śmiechem.

- Wychowałem cię, żebyś miał więcej rozumu. Myśl taktycznie, Dźelme, tak jak cię uczyłem. Mamy tu najwyżej z trzydziestu wojowników. Ilu z nich szkoliło się od najmłodszych lat tak jak ty albo Temudżyn i jego bracia?

- Żaden, ale... - zaczął Dźelme.

Ojciec opuścił rękę w uciszającym geście, tłumiąc gniew.

- Najmniejsze plemiona mogą liczyć sześćdziesięciu do osiemdziesięciu dobrze przeszkolonych mężczyzn, Dźelme, mężczyzn, którzy potrafią ustrzelić z łuku ptaka w locie, mężczyzn z dobrymi mieczami, mających rogi do ostrzegania przed atakiem i umiejących wycofywać się w dobrym szyku. Nie wydaje mi się, żeby ten obóz mógł przetrwać atak na jedną piątą ołkunuckich wojowników. Nie daj się zwieść! To zmarznięte małe koczowisko będzie potrzebowało błogosławieństwa Ojca Nieba, żeby przetrwać jeden sezon po odwilży. Tatarzy przyjadą tu hańkakując i pałając żądzą zemsty za te drobne straty, które ponieśli zimą.

Dźelme zagryzł usta i spojrzał na ojca.

- Zabraliśmy im konie, broń, jedzenie, nawet miecze...

Raz jeszcze ojciec uciszył syna.

- Ostrza, które mogę zgnać gołymi rękami! Znam jakość tatarskiej broni, chłopcze.

- Przestań! - Dźelme nagle wrzasnął na ojca. - Nie masz pojęcia, czego tu dokonaliśmy. Nie dałeś mi nawet szansy o tym opowiedzieć, zanim zacząłeś swoje ostrzeżenia i przepowiadanie klęski. Tak, możemy zostać zniszczeni wiosną. Zrobiłem, co mogłem, żeby rozbudować obóz i wyszkolić ludzi, kiedy cię nie było. Ilu ludzi przygarnąłeś, żeby nauczyć ich twojego rzemiosła? Nie słyszałem ani o jednym.

Arsłan otworzył usta, ale Dźelmego opanowała wściekłość i nie miał zamiaru przestać.

- Wolałbyś, żebym się poddał i położył w śniegu? To jest ścieżka, którą wybrałem. Znalazłem człowieka, za którym będę szedł. Złożyłem przysięgę. Moje słowo jest jak żelazo, ojcze, tak jak mnie uczyłeś. A może miałeś na myśli, że ma być silne, tylko jeśli szanse są po mojej stronie? Nie. Po prostu zbyt dobrze mnie uczyłeś, żeby oczekiwać teraz, że zawiodę tych ludzi. Mam tu swoje miejsce, mówiłem ci, i nieważne, co z tego wyniknie. - Urwał i wziął głęboki wdech, starając się opanować emocje. - Sprawilem, że Tatarzy się nas boją, tak jak obiecałem. Miałem nadzieję, że będziesz ze mnie dumny, a zamiast tego ty rzucasz obawami jak zrzędczący staruch.

Arsłan nie miał zamiaru go uderzyć. Jego syn stał po prostu za blisko i kiedy ruszył rękami, Arsłan zareagował instynktownie i zdzielił go żelazną pięścią prosto w szczękę. Dźelme upadł, oszołomiony, uderzając ramieniem w krawędź pieca.

Arsłan patrzył zdumiony, jak jego syn po chwili podnosi się z lodowatym spokojem. Dźelme pocierał sobie szczękę i miał bardzo bladą twarz.

- Nie rób tego po raz drugi - powiedział cicho i patrzył twardo na ojca.

- To był błąd, mój synu - Arsłan odparł. - To tylko troska i zmęczenie, nic więcej.

Wyglądał, jakby sam odczuwał ból.

Dźelme skinął głową. Doświadczył już gorszego podczas wspólnych ćwiczeń, ale wciąż kipiał w nim gniew, który trudno było wyciszyć.

- Wyszkol ludzi w płatnerstwie - powiedział tak, aby brzmiało to jak rozkaz. - Będą nam potrzebne miecze, a ty, tak jak mówisz, nie będziesz żył wiecznie. Nikt nie będzie.

Znowu potarł sobie szczękę i skrzywił się, kiedy coś w niej chrupnęło.

- Znalazłem tu coś cennego - powiedział, starając się usilnie, aby ojciec go zrozumiał. - Plemiona walczą ze sobą i marnują siłę. Tutaj pokazaliśmy, że można zacząć od nowa i że nie ma znaczenia, czy było się Najmanem czy Wilkiem.

Arslan dostrzegł w oczach syna dziwny blask, który go zaniepokoił.

- Temudżyn napełnia im brzuchy jadłem i na krótką chwilę ludzie ci zapominają o dawnych waśniach i nienawiściach. Oto co tu widzę! - rzucił, zwracając się do syna. - Plemiona walczą ze sobą od tysiąca lat. Myślisz, że jeden człowiek może wykorzenić dziedzictwo takiej historii, taką nienawiść?

- A jaki mamy wybór? - odezwał się Temudżyn z progu.

Obaj odwrócili się do niego, a on spojrzał na ciemny siniec na szczęce Dżelmego, rozumiejąc w lot, co zaszło.

Wyglądał na wyczerpanego, kiedy podszedł do pieca.

- Nie mogłem spać, kiedy trzy kobiety i moja siostra świergoczą jak ptaki na wiosnę, więc przyszedłem tutaj.

Ani syn, ani ojciec nie odpowiedzieli i Temudżyn mówił dalej, zamknawszy oczy, gdy owionęło go ciepło.

- Nie proszę o ślepe posłuszeństwo, Arslanie - powiedział. - Masz rację, poddając w wątpliwość nasze cele. Widzisz bandę łachmaniarzy, którym ledwo starcza pożywienia, żeby przeczekać do odwilży. Może lepiej byśmy zrobili, znajdując sobie jakąś dolinę i hodując tam trzody i wychowując dzieci, podczas gdy plemiona będą błędzić po stepie i wyrzynać się nawzajem.

- Nie powiesz mi chyba, że obchodzi cię, ilu włóczęgów ginie w tych bitwach - powiedział Arslan z pewnością w głosie.

Temudżyn utkwiał jasne oczy w płatnerzu, którego potężna postać zdawała się wypełniać całą przestrzeń małej jurty.

- Żywimy ziemię naszą krwią, naszymi niekończącymi się waśniami - powiedział po chwili. - Zawsze tak było, ale to nie znaczy, że tak być powinno. Pokazałem, że plemię może powstać z dawnych Kuirajów, Wilków, Woyela czy Najmanów. Jesteśmy jednym ludem, Arslanie. Kiedy będziemy dość silni, zmuszę te wszystkie plemiona, aby przyszły do mnie, albo powyrzynam jedno po drugim. Powiadam ci, że jesteśmy jednym ludem. Jesteśmy Mongołami, Arslanie. Jesteśmy srebrnym ludem i jeden chan może prowadzić nas wszystkich.

- Upiłeś się albo śnisz - odparł Arslan, ignorując zmieszanie syna. - Co przemawia za tym, że wszystkie te plemiona pójdą za tobą?

- Jestem ziemią - odpowiedział Temudżyn. - A ziemia nie odróżnia rodzin wśród naszego ludu. - Wodził wzrokiem z ojca na syna. - Nie proszę o waszą wierność. Daliście mi ją wraz z waszą przysięgą, która wiąże was aż do śmierci. Możliwe, że wszyscy zginiemy w naszych próbach, ale nie jesteście ludźmi, za których was mam, jeśli to was powstrzyma.

Zaśmiał się do siebie przez chwilę, mrużąc oczy od znużenia pogłębionego przez ciepło.

- Wspinałem się kiedyś po orle pisklę. Mogłem zostać na ziemi, ale zdobycz warta była ryzyka. Okazało się, że było dwoje piskląt, więc miałem więcej szczęścia, niż miałem nadzieję.

Jego śmiech wydawał się gorzki, ale Temudżyn nie wytłumaczył wszystkiego. Poklepał ojca i syna po ramieniu.

- A teraz przestańcie się przekomarzać i wspinajcie się ze mną - powiedział.

Zaczekał przez chwilę, żeby zobaczyć, jak Arstan i Dželme przyjęli jego słowa, a potem wyszedł na mroźny śnieg, żeby znaleźć miejsce na sen.

ROZDZIAŁ 24

Wen Chao przez zasłony lektyki uważnie przyglądał się służącym, którzy zmagali się z jej ciężarem. Przy trzech osobach trzymających każdy z drewnianych uchwytów wysiłek powinien tylko lekko rozgrzewać tragarzy, ale za jedwabną markizą niejednemu z nich siniały już wargi. Nie wyruszyli, zanim śniegi nie zaczęły topnieć, ale lód wciąż skrzypiał pod stopami i dał potężny, przejmujący wiatr. Wen Chao spodziewał się, że zanim dotrą do koczowiska Mongołów, straci kolejnego niewolnika - albo nawet dwóch. Owinął się w futra i pomyślał z przekąsem, że pewnie nawet nie znajdą obozu.

Przez pewien czas umiłał sobie podróż, przeklinając w duchu Togruła, chana Kereitów, który twierdził, że zna miejsce, gdzie mała banda najeźdźców przeczekiwała zimę. Przy odrobinie żarliwości i wyobraźni zdobywał się na jeszcze większe obelgi pod adresem członków swojego dworu Kin w Kaifengu.

Wiedział, że go wmanewrowano, odkąd jego wzrok spoczął na twarzach eunuchów. Byli jak stare plotkary, a niewiele na dworze umykało ich uszom. Wen pamiętał kwaśne rozbawienie u małego Zhanga, pierwszego wśród nich, kiedy wprowadzał go on na audiencję u pierwszego ministra.

Wen ściągnął wargi na to wspomnienie. Szczycił się mistrzostwem w grach władzy, a tu wydarzyło się coś takiego. Zabawił u kobiety z najlepszego Wiklinowego Domu w Kaifengu i nie przyszedł na tylko jedno ważne spotkanie. Westchnął na wspomnienie umiejętności kobiety, pamiętając każdy jej kusicielski dotyk i te wymyślne rzeczy, które próbowała robić piórem. Miał nadzieję, że jej usługi przynajmniej drogo kosztowały jego wrogów. Kiedy wyciągnięto go z jej łoża w środku nocy, od razu wiedział, że będzie musiał zapłacić za te rozkosze. Dziesięć lat przebiegłości poszło na marne w jeden tylko wieczór poezji i miłości. A nie była to nawet dobra poezja, stwierdził z przekąsem. Minister wysłał go na misję dyplomatyczną do barbarzyńskich plemion, jakby była wielkim zaszczytem i, rzecz jasna, Wen musiał się uśmiechać i bić czołem o podłogę, jakby spełniło się największe pragnienie jego życia.

Dwa lata później wciąż czekał, aby wezwano go z powrotem. Przebywał z dala od intryg i gierki dworu Kin, toteż niewątpliwie szybko o nim zapomniano. Posyłał kopie raportów do zaufanych przyjaciół z poleceniem przesłania ich dalej, ale pewnie żadnego z nich nigdy nie przeczytano. Nie trzeba było dużego wysiłku, żeby zgubić je wśród korespondencji od tysięcy skrybów Państwa Środka, przynajmniej dla kogoś tak rozrzepanego jak Zhang.

Chociaż Wen opierał się rozpacz, istniała możliwość, że zakończy swoje dni wśród tych ohydnych mongolskich plemion, gdy zamarnie tu na śmierć albo otruje się ich wiecznym zjełczalym tłuszczem z owczego mięsa i kwaśnym mlekiem. Naprawdę było to zbyt wiele dla kogoś z jego pozycją i tak posuniętego w latach. Zabrał ze sobą ledwie tuzin służących, a także strażę i tragarzy, ale zima okazała się zbyt sroga dla słabszych z nich i posłała ich z powrotem na koło życia ku kolejnej reinkarnacji. Wciąż złościło go wspomnienie o tym, jak jego skryba dostał gorączki i zmarł. Jednego dnia po prostu usiadł w śniegu i odmówił dalszego marszu. Jeden ze strażników kopnął go na polecenie Wena, ale nieborak wyzionął ducha ze wszelkimi oznakami plugawej radości ze swojej śmierci.

Wen żywił gorącą nadzieję, że skryba wróci jako czyściciel podłóg albo kuc, który będzie

bity codziennie i z wielkim entuzjazmem. Teraz, kiedy go nie było, Wen mógł tylko żałować batów, których sam mu nie wlepił. Nigdy nie było na to dość czasu, nawet dla najbardziej skrupulatnego pana.

Usłyszał dudniący tętent kopyt i zastanowił się przez chwilę, czy nie powinien zaciągnąć zasłony, która chroniła wnętrze lektyki przed wiatrem, ale zrezygnował z tego. Bez wątplenia wracały właśnie strażę, aby zgłosić zupełny brak śladów, tak jak przez ostatnie dwanaście dni. Kiedy usłyszał ich wołanie, jego stare serce zabiło z ulgą, chociaż nie zniżył się, żeby to okazać. Czyż nie był w piątym pokoleniu kuzynem drugiej żony Cesarza? Był. Sięgnął zatem do najciaśniej zapisanego zwoju i zajął się czytaniem filozofów, znajdując ukojenie w ich prostych przemyśleniach. Nigdy nie odpowiadał mu moralizatorski ton samego Konfucjusza, ale z jego uczniem Xunzi chętnie wychyliłby kielich dobrego trunku. To ku jego słowom zwracał się najczęściej, kiedy ogarniał go zły nastrój.

Wen zignorował podniecone rozmowy jego strażników, kiedy zastanawiali się, który z nich powinien zakłócić mu błogość samotności. Xunzi uważał, że ścieżka do doskonałości była ścieżką do oświecenia i Wen odnajdywał tę prawdę w swoim własnym życiu. Sięgał właśnie po narzędzie do pisania, kiedy opuszczono lektykę i rozległo się nerwowe chrząkanie przy jego uchu. Wen westchnął. Podróż była ponura, ale myśl o kolejnym wmieszanu się w tłum nie myjących się tubylców niemal przekraczała już granice jego wytrzymałości. I wszystko to z powodu jednej nocy cielesnych uciech, pomyślał, odsunął na bok zasłonę i spojrzał w twarz swojego najbardziej zaufanego strażnika.

- A więc, Yuanie, widzę, że się zatrzymaliśmy - powiedział i zastukał długimi paznokciami w pergamin trzymany w dłoni na znak niezadowolenia.

Yuan klęczał przy lektyce i kiedy tylko Wen przemówił, zaczął bić czołem o zamarzniętą ziemię. Wen westchnął głośno.

- Możesz mówić, Yuanie. Jeśli się nie odezwiesz, będziemy tu stali przez cały dzień.

W oddali usłyszał melancholijny dźwięk ostrzegawczych rogów na wietrze. Yuan spojrzał za siebie w kierunku, z którego przyjechał.

- Znaleźliśmy ich, mistrzu. Przybywają.

Wen skinął.

- Jesteś pierwszym wśród moich strażę, Yuanie. Dasz mi znać, kiedy skończą skowyczeć i ujadać.

Opuścił z powrotem zasłonę i zaczął przewiązywać zwoje szkarłatnymi tasiemkami. Usłyszał tętent kopyt nadbiegających koni i poczuł, że zżera go ciekawość. Westchnął nad własną słabością zdjął przesłonę na małym otworze w drewnianej krawędzi lektyki i wyrzwał na zewnątrz. Tylko Yuan wiedział o istnieniu otworu, a on nic nie powie. Dla niewolników będzie to wyglądało tak, jakby ich pan gardził zagrożeniem. Pomyślał, że ważne było, by przedstawiać właściwy obraz niewolnikom, i zastanawiał się, czy będzie miał czas umieścić tę myśl we własnych notatkach filozoficznych. Obiecywał sobie, że każe oprawić swoje dzieło i wysłać je do publikacji. Zawierało szczególnie krytyczne uwagi na temat eunuchów na dworze w Kaifengu. Patrząc przez wąski otwór, pomyślał, że najlepiej zrobi, publikując je anonimowo.

*

Temudżyn jechał z Arslanem i Dżelmem po obu stronach. Towarzyszyło im dziesięciu jego najlepszych ludzi, podczas gdy Kasar i Kacziun rozprawdzili mniejsze siły wokół obozu, wypatrując drugiej napaści.

Już na pierwszy rzut oka Temudżyn odgadł, że coś było nie w porządku. Zastanawiał się, czemu tak wielu uzbrojonych ludzi strzegło jakiejś skrzyni. Sami strażnicy też byli dziwni, chociaż dało się w nich poznać zaprawionych w boju wojowników. Zamiast atakować utworzyli obronny kordon wokół skrzyni i czekali na jego przybycie. Temudżyn zerknął na Arslana z uniesionymi brwiami. Wśród łoskotu galopujących kopyt płatnerz musiał krzyżeć.

- Postępuj roztropnie, mój panie. To może być tylko posłaniec państwa Kin, ktoś wysoki rangą.

Temudżyn jeszcze raz spojrzął na dziwną scenę z coraz większym zaciekawieniem. Słyszał już opowieści o wspaniałych miastach na wschodzie, ale nigdy nie widział ludzi z tamtych rejonów. Mówiono, że roją się jak muchy i budują domy ze złota, którego mają w bród. Kimkolwiek był posłaniec, był na tyle ważny, że podróżował z tuzinem strażników i wystarczającą liczbą niewolników do niesienia jego lakierowanej skrzyni. Skrzynia sama w sobie przedstawiała dziwny widok wśród głuszy. Miała lśniący czarny kolor, a na jej bokach zwisały zasłony barwy słońca.

Temudżyn trzymał strzałę na cięciwie i powodował kuca kolanami. Opuścił łuk i wydał krótki rozkaz, aby jego druhowie uczynili to samo. Jeśli była to pułapka, chińscy wojownicy zrozumieją, że popełnili błąd, wchodząc na tę ziemię.

Ściągnął wodze. Wprawne oko mogło dostrzec, jak jego ludzie zatrzymali się w doskonałym szyku. Temudżyn wprawnie przytoczył łuk do siodła, dotknął główki miecza na szczęście i podjechał do mężczyzny w środku dziwnego oddziału.

Nie odezwał się. Temudżyn miał prawo do tej ziemi i nie musiał się tłumaczyć ze swojej obecności. Utkwił spojrzenie swoich jasnych oczu w wojownika i z zaciekawieniem przyjrzał się jego zbroi o nachodzących na siebie częściach. Tak jak skrzynia, jej panele pokryte były substancją lśniącą jak czarna woda, a mocowania ukryte były pod zdobieniami. Zbroja wyglądała, jakby mogła zatrzymać strzałę i Temudżyn zastanawiał się, w jaki sposób mógłby zdobyć jedną do sprawdzenia w boju.

Wojownik patrzył na Temudżyna spod ocieplanego hełmu, a na jego twarzy widniały żelazne ochraniacze na policzki. Dla Temudżyna wojownik wyglądał na chorego, jego skóra miała niezdrową żółtą barwę, mówiącą o wielu wieczorach spędzonych na pijaństwie. Jednak białka jego oczu były czyste i wojownik ani mrugnął na widok tak wielu zbrojnych, czekających na rozkazy.

Milczenie przeciągało się i Temudżyn czekał. W końcu dowódca ściągnął brwi i odezwał się.

- Mój mistrz z jadeitowego dworu życzy sobie z tobą mówić - powiedział sztywno Yuan z dziwnym dla Temudżyna akcentem.

Tak jak jego mistrz, Yuan nie lubił plemiennych wojowników. Nie mieli dyscypliny, jaką rozumiał, mimo całej swojej krwiożerczości. Widział w nich krnąbrne psy i czuł się upokorzony, że musi z nimi rozmawiać jak z ludźmi.

- Czy ukrywa się w tej skrzyni? - zapytał Temudżyn.

Dowódca zjeżył się i Temudżyn opuścił rękę blisko główki miecza. Spędził setki wieczorów na ćwiczeniach z Arslanem i nie obawiał się nagłego szczęku ostrzy. Może jego rozbawienie dało się poznać w jego oczach i dowódca rozluźnił się i usiadł jak posąg.

- Mam przekazać wiadomość od Togruła z Kereitów - ciągnął Yuan.

Temudżyn zareagował na dźwięk tego imienia wzmożoną ciekawością. Słyszał je już wcześniej, a w jego koczowisku znalazło się trzech włóczęgów wypędzonych z tego

plemienia.

- Więc przekaz tę wiadomość - odparł Temudżyn.

Wojownik mówił, jakby recytował, ze wzrokiem utkwionym w oddali.

- „Ufaj tym ludziom i udziel im gościny w moim imieniu” - powiedział Yuan.

Temudżyn roześmiał się nagle ku zaskoczeniu chińskiego żołnierza.

- Może i byłoby to mądre. Zastanawiałaś się nad innym rozwiązaniem?

Yuan spojrział na Temudżyna z rozdrażnieniem.

- Nie ma innego rozwiązania. Dostałeś rozkazy.

Temudżyn zaśmiał się na głos, chociaż ani na chwilę nie spuszczał wzroku z żołnierza w zasięgu miecza.

- Togrul z Kereitów nie jest moim chanem - powiedział. - Nie wydaje tu rozkazów.

Jednak stale rosło jego zaciekawienie przybyszami, którzy zjawili się w pobliżu jego wojennego obozu. Dowódca nie miał nic więcej do powiedzenia. Znać było po nim zdenerwowanie.

- Mógłbym równie dobrze powyrzynać was wszystkich i zabrać sobie to, czego tak pilnujecie w tej kunsztownej skrzyni - powiedział Temudżyn bardziej na złość żołnierzowi niż z jakiegokolwiek innego powodu.

Ku jego zdumieniu dowódca nie zdenerwował się tak jak przedtem. Zamiast tego na jego twarzy pojawił się ponury uśmiech. - Nie masz dość ludzi - odparł z przekonaniem Yuan.

Temudżyn już miał odpowiedzieć, kiedy z głębi skrzyni rzucono rozkaz w języku, którego nie rozumiał. Brzmiał jak gęganie dzikich gęsi, ale dowódca natychmiast się skłonił.

Temudżyn nie mógł już dłużej tłumaczyć ciekawości.

- A więc dobrze. Udzielam wam gościny w moim domu - powiedział. - Jedźcie ze mną, tak żeby moi strażnicy nie posłali strzał prosto w wasze gardła. - Zobaczył, że Yuan ściąga brwi. - Jedźcie powoli i nie róbcie gwałtownych ruchów. Niektórzy w moim obozie nie lubią obcych.

Yuan uniósł pięść i dwunastu tragarzy złapało za długie uchwyty i wstało jak jeden mąż, ze wzrokiem utkwionym w oddali. Temudżyn nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć. Rzucił rozkazy swoim ludziom i pojechał z Arslanem na czele oddziału, podczas gdy Dzelme i inni kłusem okrążyli przybyszów i zamknęli pochód z tyłu.

Kiedy Temudżyn zrównał się z Arslanem, przechylił się w siodle i mruknął do niego.

- Znasz tych ludzi?

Arslan skinął.

- Spotkałem ich kiedyś.

- Są dla nas zagrożeniem?

Arslan zastanowił się.

- Mogliby być. Mają wielkie bogactwa i mówi się, że ich miasta są ogromne. Nie wiem, czego od nas chcą tutaj, w tym miejscu.

- Albo w jaką grę bawi się Togrul - dodał Temudżyn.

Arslan skinął i więcej już nie rozmawiali.

*

Wen Chao zczekał, aż opuszczono jego lektykę, a Yuan stanął z boku. Obserwował przybycie do koczowiska z zaciekawieniem i tłumionymi pomrukami na widok znajomych jurt i wynędzniałych owiec. Zima była sroga i ludzie, których mijał, mieli wygłodniałe spojrzenia. Czuł owczy tłuszcz na wietrze na długo, zanim dotarł do obozu i wiedział, że fetor ten zostanie w jego szatach, dopóki nie upierze się ich co najmniej dwa razy. Kiedy Yuan odsłonił

jedwabne zasłony, Wen wyszedł z lektyki, oddychając przy tym jak najpłycej. Z doświadczenia wiedział, że się przyzwyczai, ale nie spotkał jeszcze koczownika, który zadawałby sobie trud mycia się częściej niż raz czy dwa razy w roku, a i to tylko, kiedy wpadł do rzeki. Niezależnie od tego Wen miał jednak zadanie do wykonania i chociaż kłął pod nosem małego Zhanga, wyszedł na zimny wiatr z tak wielką godnością, na jaką tylko mógł się zdobyć.

Nawet gdyby nie widział, jak inni mężczyźni odnosili się do młodzieńca o jasnych oczach, rozpoznałby w nim przywódcę. Na dworze w Kaifengu nauczył się rozpoznawać „tygrysy w sitowiu”, tych, którzy mieli w żyłach krew wojownika. Ten Temudżyn był jednym z tych tygrysów i Wen spostrzegł to, kiedy tylko spojrzał mu w oczy. Jakie to były oczy! Wen nigdy jeszcze nie widział podobnych.

Wiatr był chłodny dla kogoś odzianego tylko w cienkie szaty, ale Wen nie okazywał tego, kiedy stanął przed Temudżynem i skłonił się. Tylko Yuan wiedział, że ukłon był o wiele płytszy, niż wymagała tego dworska etykieta, ale Wena bawiło obrażanie barbarzyńców. Ku jego zdumieniu jeździec ledwo spojrzał na niego i Wen poczuł, jak ciarki przechodzą mu po plecach.

- Jestem Wen Chao, ambasador dworu Kin dynastii Sungów Północnych. Czuję się zaszczycony, goszcząc w twoim obozie - powiedział. - Sława twoich bitew z Tatarami sięga daleko.

- I właśnie to sprowadza cię tutaj w twojej małej skrzyni? - zapytał Temudżyn.

Fascynowało go wszystko u tego dziwnego przybysza, któremu usługiwało tak wielu służących. On też miał żółtą cerę, która wyglądała dla Temudżyna niezdrowo, ale dobrze stawiał czoło wiatrowi, który szarpał jego szaty. Temudżyn ocenił jego wiek na ponad czterdzieści lat, chociaż jego skóra była wolna od zmarszczek. Chiński dyplomata przedstawiał dziwny widok dla tych, którzy wychowali się na stepach. Nosił zielone szaty, które zdawały się lśnić. Jego włosy były równie czarne jak ich, ale ściągnięte w tył głowy i spięte w kucyk srebrną klamrą. Ku zdumieniu Temudżyna ręce przybysza zakończone były paznokciami długimi jak szpony, które odbijały światło. Chan zastanawiał się, jak długo przybysz mógł jeszcze znosić zimno. Zdawał się nie zauważać wiatru, ale jego usta robiły się już sine.

Wen skłonił się znowu, zanim się odezwał.

- Przynoszę pozdrowienia z jadeitowego dworu. Wiele słyszeliśmy o twoich zwycięstwach i jest wiele rzeczy do omówienia. Twój brat wśród Kereitów zasyła pozdrowienia.

- Czego Togrul chce ode mnie? - chciał wiedzieć Temudżyn.

Wen sapnął, czując, że kostnieje z zimna. Czy nie zostanie zaproszony do ciepłej jurty? Postanowił trochę nalegać.

- Czyż nie udzieliłeś mi gościny, mój panie? Nie godzi się rozmawiać o wielkich sprawach, gdy słucha nas tak wiele uszu.

Temudżyn wzruszył ramionami. Było oczywiste, że przybysz marznie, a on chciał usłyszeć, co sprowadza go na niegościnne stepy, zanim zupełnie padnie z zimna. - Witamy cię tutaj. - Mocował się przez chwilę z imieniem, zanim wymamrotał je ledwo zrozumiale. - Wencho?

Przybysz stłumił grymas i Temudżyn uśmiechnął się na widok jego dumy.

- Wen Chao, mój panie - poprawił dyplomata. - Język musi dotknąć dachu ust.

Temudżyn skinął.

- Zapraszam więc do ciepła, Wenie. Każę przynieść ci gorącą soloną herbatę.

- Ach, herbata - mruknął Wen Chao, kiedy szedł za Temudżynem w kierunku złachmanionej

jurty. - Jakże mi jej brakowało.

*

Wen siedział w półmroku i czekał cierpliwie, aż sam Temudżyn podał mu czarkę gorącej herbaty. Jurta wypełniła się mężczyznami, którzy patrzyli na niego w napięciu, i Wen zmuszał się, żeby oddychać płytko, dopóki nie przywyknie do bliskości ich spoconych ciał. Tęsknił za kąpielą, ale takie przyjemności zostały daleko za nim.

Temudżyn patrzył, jak Wen sączy herbatę przez zaciśnięte wargi, wyraźnie udając, że mu smakowała.

- Opowiedz mi o swoim ludzie - powiedział Temudżyn. - Słyszałem, że jest bardzo liczny.

Wen skinął, wdzięczny, że może mówić, zamiast dalej sączyć napój.

- Nasze królestwo jest podzielone. Południowe granice mieszczą więcej niż sześćdziesiąt tysięcy tysięcy dusz podległych cesarzowi z dynastii Sung - powiedział. - Północne państwo Kin liczy zapewne równie wiele.

Temudżyn zamrugał. Liczby były większe niż potrafił je sobie wyobrazić.

- Myślę, że przesadzasz, Wenie Chao - odparł, poprawnie wymawiając imię ku swojemu zaskoczeniu.

Wen wzruszył ramionami.

- Kto może być pewien? Chłopi plenią się gorzej niż wszy. Na samym tylko dworze w Kaifengu jest ponad tysiąc dygnitarzy i oficjalne liczenie trwało wiele miesięcy. Nie znam dokładnych danych.

Wen czerpał przyjemność ze zdumionych spojrzeń, jakie wymieniali między sobą żołnierze.

- A ty? Jesteś wśród nich chanem? - nalegał Temudżyn.

Wen potrząsnął głową.

- Pomyślnie przeszedłem moje... - Szukał w głowie odpowiedniego słowa i stwierdził, że takie nie istniało. - Zmagania? Nie. - Wymówił jakieś dziwne słowo. - To znaczy, że siedziałem na macie i odpowiadałem na pytania w towarzystwie setek innych osób, najpierw w prowincji, potem w samym Kaifengu przed dygnitarzami cesarza. Okazałem się najlepszy spośród wszystkich, których wystawiono na próbę tamtego roku. - Spojrzał w zakamarki wspomnień i podniósł czarkę do ust. - To było bardzo dawno temu.

- Więc czym jesteś człowiekiem? - spytał Temudżyn, próbując zrozumieć.

Wen uśmiechnął się.

- Może pierwszego ministra służby cywilnej, ale chyba chodzi ci o cesarzy Sung. Władają na północy i południu. Może dożyję dnia, kiedy obie połowy Państwa Środka się zjednoczą.

Temudżyn usilnie starał się zrozumieć. Pod spojrzeniami zebranych Wen odstawił czarkę i sięgnął w fałdy szat po małą sakiewkę. Powstrzymał go ogólny niepokój.

- Sięgam po obrazek, mój panie, to wszystko.

Temudżyn skinieniem zezwolił na to Wenowi, zafascynowany pomysłem. Chińczyk wyciągnął plik jaskrawo barwionych kartek i podał mu jedną. Były tam dziwne znaki, ale pośrodku widniała twarz młodego mężczyzny, patrzącego na wprost. Temudżyn trzymał kartkę pod różnymi kątami, zdumiony sposobem, w jaki mała twarz spoglądała na niego.

- Macie wprawnych malarzy - przyznał niechętnie.

- To prawda, mój panie, ale kartka, którą trzymasz w ręku została wydrukowana na wielkiej maszynie. Ma swoją wartość i jest ofiarowywana w zamian za towary. Jeszcze kilka takich i mógłbym kupić dobrego konia w stolicy albo młodą kobietę dla umilenia mi nocy.

Zobaczył, jak Temudżyn podaje ją innym, i z zaciekawieniem śledził ich wyraz twarzy.

Pomyślał, że byli jak dzieci. Może powinien każdemu z nich dać w prezencie po banknocie, zanim wyjedzie.

- Używasz słów, których nie znam - powiedział Temudżyn. - Co to jest to drukowanie, o którym mówisz? Wielka machina? Może postanowiłeś zakpić sobie z nas w naszych własnych jurtach?

Temudżyn nie mówił tego lekko i Wen przypomniał sobie, że koczownicy mogli postępować bezwzględnie nawet ze swoimi przyjaciółmi. Jeśli choć przez chwilę pomyśla, że z nich kpi, nie przeżyje. Nawet jeśli byli dziećmi, to nie wolno było zapominać, że mogli też zadawać śmierć.

- To sposób malowania szybszy, niż może to zrobić jeden człowiek - złagodził napięcie Wen. - Może pewnego dnia odwiedzisz państwo Kin i sam się przekonasz. Wiem, że chan Kereitów był pod wrażeniem mojej kultury. Wiele razy mówił o swoim pragnieniu, żeby mieć ziemię w Państwie Środka.

- Togruł to powiedział? - zapytał Temudżyn.

Wen skinął i odebrał banknot, zwinął go ostrożnie i odłożył do sakiewki, na co wszyscy uważnie patrzyli.

- To jego najżarliwsze pragnienie. Jest tam ziemia tak żyzna i czarna, że można tam uprawiać wszystko, są nieprzeliczone stada dzikich koni i najlepsze tereny polowań na całym świecie. Nasi władcy żyją w wielkich domach z kamienia i mają tysiące sług na każde skinienie. Togruł z Kereitów pragnąłby takiego życia dla siebie i swoich synów.

- Jak można przenosić domy z kamienia? - zapytał nagle któryś z wojowników w jurcie.

Wen skinął na niego w geście pozdrowienia.

- Nie można ich przenosić, tak jak waszych jurt. Niektóre są tak wielkie jak góry.

Temudżyn roześmiał się, wiedząc nareszcie, że dziwny mały człowieczek bawi się z nimi w gierki.

- Więc mi nie odpowiadają, Wenie - powiedział. - Plemiona muszą wędrować, kiedy nie można już upolować dość żywności. Umarłbym chyba z głodu w tej kamiennej górze.

- Nie umarłbyś, mój panie, bo twoi słudzy kupowałyby żywność na targu. Hodowaliby zwierzęta na mięso i uprawialiby zboża, byś miał chleb i ryż. Mógłbyś mieć tysiąc żon i nigdy nie zaznałbyś głodu.

- I właśnie to się podoba Togrułowi - powiedział cicho Temudżyn. - Teraz rozumiem.

W głowie kłębiło mu się tak wiele dziwnych nowych pomysłów, ale wciąż nie znał powodu, dla którego Wen odszukał go w tej głuszy, tak daleko od jego domu. zaproponował mu kubek ajraku. Kiedy zauważył, że przybysz usilnie stara się nie szcząkać zębami, powiedział.

- Wetrzyj to w dłonie i twarz, a ja na nowo napełnię kubek - powiedział.

Wen skłonił się w podziękowaniu, po czym postąpił zgodnie ze wskazówkami Temudżyna. Czysta ciecz zarumieniła jego żółtą skórę, zalewając ją nagłą falą gorąca. Wen wlał resztę do gardła, po czym opróżnił i drugi kubek, a potem wystawił jeszcze rękę po trzecią porcję.

- Może któregoś dnia wyruszę na wschód - powiedział Temudżyn - i na własne oczy zobaczę te dziwne rzeczy. Jednak zastanawia mnie, czemu zostawiłeś to wszystko, żeby przybyć tutaj, gdzie moi ludzie rządzą mieczem i łukiem. Nie myślimy tu o twoim cesarzu.

- Chociaż jest ojcem nas wszystkich - odpowiedział odruchowo Wen.

Temudżyn popatrzył na niego i Wen pożałował, że pił tak szybko na pusty żołądek.

- Jestem wśród plemion od dwóch lat, mój panie. Bywają chwile, kiedy bardzo tęsknię do

mojego ludu. Wysłano mnie tutaj, żebym zebrał sprzymierzeńców przeciw Tatarom na północy. Togruł z Kereitów uważa, że podzielasz naszą nienawiść do tych bladolicich psów.

- Togruł jest dobrze poinformowany, jak widzę - odparł Temudżyn. - Skąd on tyle wie o moich sprawach?

Po raz czwarty napełnił kubek Wena i patrzył, jak przybysz wychyla go tak, jak poprzednie. Cieszył się, widząc go pijącego i napełnił własny kubek, po czym sączył z niego delikatnie, żeby zachować trzeźwość myśli.

- Chan Kereitów to człowiek wielkiej mądrości - odpowiedział Wen Chao. - Od lat wojuje z Tatarami na północy i otrzymał już wiele złota w zapłacie od moich mistrzów. Dla wyrównania, rozumiesz? Jeśli wyślę rozkaz do Kaifengu i każę sprowadzić sto kuców na zachód, przybędą w ciągu jednej pory roku, a w zamian Kereici przelewają krew Tatarów i trzymają ich z dala od naszych granic. Nie chcemy, aby najechali na nasze ziemie.

Jeden ze słuchających koczowników poruszył się niespokojnie i Temudżyn spojrzał na niego.

- Zasięgnę twojej rady, Arslanie, kiedy będziemy rozmawiać w samotności - powiedział Temudżyn.

Mężczyzna uspokoił się, zadowolony. Wen rozejrzał się po wszystkich dookoła.

- Jestem tu, żeby zaoferować wam taki sam układ. Mogę dać wam złoto, konie...

- Miecze - powiedział Temudżyn. - I łuki. Jeśli się zgodzę, będę chciał tuzin takich zbroi, jakie noszą twoi ludzie na zewnątrz, do tego sto kuców, ogierów i klacze. Złoto potrzebne mi jest tyle co dom z kamienia, którego nie mógłbym przenieść.

- Nie widziałem stu ludzi w twoim obozie - zaproponował Wen.

W duchu się jednak ucieszył. Zaczął się targować łatwiej, niż to sobie wyobrażał.

- Nie widziałeś ich wszystkich - parsknął Temudżyn. - I nie powiedziałem, że się zgadzam. Jaki udział ma w tym Togruł? Nigdy go nie spotkałem, chociaż słyszałem o Kereitach. Czy przyjdzie po tobie, żeby błagać mnie o pomoc?

Wen zarumienił się i odstawił kubek ajraku, który podniósł sobie wcześniej do ust.

- Kereici są silnym plemieniem i mają ponad trzystu ludzi pod bronią, mój panie. Usłyszeli od tatarskich jeńców, że najeżdżasz tereny coraz bardziej na północ. - Urwał, starannie dobierając słowa. - Togruł jest dalekowzrocznym przywódcą i przysłała mnie nie po to, żebym błagał, ale raczej nakłonił cię, byś przyłączył się do jego oddziałów. Razem wypchniecie stąd Tatarów może nawet na tuzin pokoleń.

Mężczyzna, którego Temudżyn nazywał Arslanem, znowu się poruszył i Wen zobaczył, jak Temudżyn kładzie mu dłoń na ramieniu.

- Tutaj ja jestem chanem, odpowiedzialnym za moich ludzi - powiedział. - Miałbym zgiąć kolano przed Togrułem w zamian za kilka kucyków?

Subtelna groźba zawisła w zatłoczonej jurcie i Wen żałował, że Yuanowi nie wolno było mu towarzyszyć.

- Wystarczy, że odmówisz, a odjadę - powiedział. - Togruł nie potrzebuje nowego druha. Potrzebuje przywódcy wojennego o dużej sile i bezwzględności. Potrzeby mu każdy człowiek, jakiego sprowadzisz.

Temudżyn spojrzał na Dźelmego. Wiedział równie dobrze jak wszyscy, że po niekończącej się zimie Tatarzy z pewnością pałali pragnieniem zemsty. Pomysł połączenia sił z większym plemieniem był kuszący, ale Temudżyn potrzebował czasu do namysłu.

- Mówiłeś bardzo ciekawe rzeczy, Wenie Chao - powiedział po chwili Temudżyn. - Zostaw

mnie teraz, bym mógł podjąć decyzję. Kacziunie? Znajdź ciepłe łoża dla jego ludzi i każ przynieść trochę gulaszu dla zaspokojenia ich głodu.

Zobaczył, jak Wen opuszcza wzrok na w połowie pusty bukłak ajraku u jego stóp.

- I trochę ajraku dla rozgrzewki dla niego - dodał Temudżyn w przyпіływie hojności.

Wszyscy wstali, kiedy Wen podniósł się z podłogi i stanął nie do końca tak równo, jak kiedy wchodził. Skłonił się raz jeszcze, a Temudżyn zauważył, że ukłon był tym razem odrobinę niższy niż za pierwszym razem. Może Wen był wcześniej zeszywniały po podróży.

Kiedy zostali sami, Temudżyn zwrócił swoje jasne spojrzenie na najbardziej zaufanego druha.

- Chcę tego - powiedział. - Chcę się dowiedzieć jak najwięcej o tym ludzie. Domy z kamienia! Tysiące niewolników! Czy nie korci cię, żeby się tam udać?

- Nie znasz tego Togruła - powiedział Arslan. - Czy srebrny lud jest na sprzedaż? - Parsknął śmiechem. - Ten przybysz z państwa Kin myśli, że można nas kupić obietnicami, że wzbudzi w nas podziw opowieściami o piętrzących się bogactwach w ich miastach. Na co nam one?

- Dowiedzmy się - powiedział Temudżyn. - Z ludźmi Kereitów mogę zadać cios Tatarom. Niech rzeki spłyną krwią naszych wrogów.

- Ślubowałem tobie, nie Togrułowi - powiedział Arslan.

Temudżyn spojrzał mu w oczy.

- Wiem o tym. Nie będę służył nikomu. Jednak jeśli Togruł połączy siły z nami, zgarnę większą część zapłaty. Pomyśl o Dzelmem, Arslanie. Pomyśl o jego przyszłości. Jesteśmy zbyt pełni życia, żeby budować plemię w pojedynkę czy we dwójkę. Podejmujemy większe wyzwania i ryzykujemy wszystko za każdym razem. A może wolisz tu siedzieć i czekać na Tatarów?

- Wiesz, że nie - powiedział Arslan.

- Więc podjąłem decyzję - powiedział Temudżyn, pełen podniecenia.

ROZDZIAŁ 25

Wen Chao spędził trzy dni w koczowisku, negocjując warunki. Pozwolił, aby dano mu bukłaki ajraku, zanim opuścił złote zasłony lektyki, a Yuan dał sygnał, aby ją podniesiono.

Za jedwabnymi zasłonami Wen zaczął się drapać przekonany, że złapał wszy w jurtach. Była to próba, tak jak się spodziewał, ale ludzie ci byli najwyraźniej tak skorzy do wojny z Tatarami, jak miał na to nadzieję Togruł. Nic dziwnego, myślał sobie Wen, kiedy niesiono go przez stepy. Plemiona napadały na siebie nawet w zimie. Teraz, gdy wiosna wypchnęła pierwsze źdźbła trawy spod zmarzniętej ziemi, zajmą się tym na dobre. Zawsze tak było. Wen uśmiechnął się do siebie, kiedy czytał dzieła Xunzi, przysypiając lekko, a czasem notując coś na marginesie zwojów. Minister miał rację, posyłając kogoś z jego umiejętnościami w dyplomacji. Mały Hang nie podołałby takiemu zadaniu, nawet przy obietnicach kuców i zbroi. Sepleniący eunuch na pewno okazałby swoje obrzydzenie podczas ceremonii zaślubin, której Wen Chao był świadkiem poprzedniego dnia. Zadrżał na wspomnienie o napoju z gorącego mleka i krwi, który mu podano. Xunzi byłby wtedy dumny z jego opanowania. Kobieta zwana Börte była równie chuda i koścista jak jej mąż, stwierdził Wen. W ogóle nie w jego typie, chociaż młody najeźdźca najwyraźniej znajdował u niej zaspokojenie. Czegóż to Wen nie dałby za noc z jedną z kobiet z Wiklinowego Domu! W tej surowej krainie nie było miejsca na bujne, pudrowane uda i Wen raz jeszcze przeklął swoją pracę.

Czwartego dnia drogi był właśnie gotów nakazać przerwę na posiłek, kiedy Yuan przygalopował ze zwiadów. Wen słuchał niecierpliwie z wnętrza lektyki, jak jego strażnik rzuca rozkazy. Frustrujące było odgrywanie roli możnego pana, kiedy wokół działy się ciekawe rzeczy. Wen westchnął do siebie. Przez ciekawość nieraz już napytał sobie biedy.

Kiedy Yuan w końcu zbliżył się do lektyki, Wen poukładał już swoje zwoje i ogrzewał się teraz łykami czystej ciecicy, którą warzyły plemiona na stepach. Przynajmniej na to przydawali się koczownicy, chociaż trunek bladł w porównaniu z ryżowym winem, jakie zostawił w domu.

- Czemu przeszkadzasz mi tym razem, Ywanie? - zapytał. - Miałem zamiar uciąć sobie drzemkę przed posiłkiem.

W rzeczywistości jednak jedno spojrzenie na zaczerwienioną twarz strażnika przyprawiło go o kołatanie serca. Potrzebował wyciszenia, to pewne. Zbyt wiele czasu spędzonego wśród plemion na stepie mogło sprawić, że sam zacznie myśleć o chwyceniu za miecz jak zwykły żołnierz. Koczownicy mieli taki wpływ - nawet na najbardziej kulturalnego człowieka.

- Jeźdźcy, mój panie. Tatarzy - powiedział Yuan i uderzył czołem o oszronioną trawę.

- I cóż? Jesteśmy na tatarskiej ziemi, czyż nie? Nie powinno nas więc dziwić, że spotkamy kilku Tatarów w drodze na południe, do Kereitów. Pozwól im przejechać, Ywanie. Jeśli staną nam na drodze, zabij ich. Przeszkodziłeś mi na darmo.

Yuan skłonił się i Wen szybko znowu się odezwał, żeby nie zawstydzić swojego pierwszego strażnika. Był czuły jak eunuch w sprawach honoru.

- Mówiłem pochopnie, Ywanie. Miałeś rację, podając to do mojej wiadomości.

- Mój panie, tam jest trzydziestu wojowników, wszyscy dobrze uzbrojeni i jadący na wypoczętych kucach. Mogą być tylko z większego obozu.

Wen mówił powoli, starając się trzymać na wodzy swoją niecierpliwość.

- Nie rozumiem, dlaczego miałoby to nas interesować, Yuanie. Na pewno nie ważą się przeszkadzać wysłannikowi państwa Kin. Każ im nas obejść.

- Pomyślałem... - zaczął Yuan. - Zastawiam się, czy nie powinniśmy posłać jeźdźca z powrotem do koczowiska, które opuściliśmy, mój panie. Żeby ich ostrzec. Tatarzy mogą ich szukać.

Wen zamrugał oczami, zaskoczony słowami pierwszego strażnika.

- Stałeś się sentymentalny względem naszych gospodarzy, jak widzę. To twoja słabość, Yuanie. Co mnie to obchodzi, czy Tatarzy i Mongołowie pozabijają się nawzajem? Czy nie taki właśnie jest mój cel, zadanie powierzone mi przez samego pierwszego ministra? Szczerze mówiąc, sądzę, że się zapominasz.

Rozległ się ostrzegawczy krzyk jednego ze strażników i do uszu Wena i Yuana dobiegł odgłos zbliżających się jeźdźców. Yuan nie ruszył się z miejsca.

Wen zamknął oczy na chwilę. Nie było spokoju na tej ziemi, ani chwili wytchnienia. Kiedy tylko zaczynał sądzić, że je odnalazł, ktoś przejeżdżał obok w poszukiwaniu wrogów do zabijania. Poczuł falę nostalgii, która uderzyła go jak fizyczny ból, ale stłumił ją. Dopóki nie zostanie wezwany z powrotem, to był jego los.

- Jeśli to cię zadowoli, Yuanie, powiedz im, że nie widzieliśmy najeźdźców. Powiedz, że moi ludzie szkolą się w oczekiwaniu wiosny.

- Twoja wola, mistrzu.

Wen patrzył, jak podjeżdżają tatarscy wojownicy. Zauważył, że nie wyglądali na uzbrojonych do wojny, chociaż nie obchodził go los Temudżyna ani jego złachmanionych jurt. Nie uroniłby ani jednej łzy, gdyby zniszczono cały tatarski naród, a mongolskie plemiona razem z nim. Może wtedy wreszcie wezwano by go do domu.

Widział, że Yuan rozmawia z przywódcą, krępy męczyzną owiniętym w grube futra. Wen aż wzdrygnął się na widok ohydnie ubrudzonego wojownika i pomyślał, że na pewno nie zniży się do tego, aby odezwać się do niego osobiście. Tatar wyglądał na rozgniewanego, ale Wena to nie obchodziło. Jego ludzi wybrano spośród osobistej straży pierwszego ministra i każdy z nich wart był pół tuzina wrzeszczących barbarzyńców. Sam Yuan dostał swój miecz za zwycięstwo w turnieju całej armii, spisując się najlepiej ze swojej dywizji. Przynajmniej w tym zakresie Wen był dobrze zaopatrzony.

Tatarzy rzucali wściekle spojrzenia na lektykę, wykrzykiwali i wymachiwali mieczami, podczas gdy Yuan siedział w siodle z nieprzeniknionym wyrazem twarzy i tylko potrząsał głową. Tylko młodzieńcza duma wojowników trzymała ich na miejscu i Wen zastanawiał się, czy istotnie będzie musiał wysiąść i przypomnieć im o swoim statusie. Nawet brudni Tatarzy wiedzieli, że wysłannik państwa Kin był nietykalny, i Wen odczuł ulgę, kiedy wojownicy pojechali dalej, nie oglądając się za siebie. Gdzieś w głębi duszy żałował jednak, że Tatarzy nie zdecydowali się na walkę. Yuan wyrznąłby ich w pień. Wen zastanawiał się przez chwilę, czy Temudżyn był gotów na taką siłę. Stwierdził jednak, że go to nie obchodzi. Jeśli znajdą mongolskie koczowisko, jedni albo drudzy zwyciężą. Cokolwiek się stanie, na stepach będzie mniej barbarzyńców, którzy zakłócali mu sen.

Kiedy jeźdźcy odjechali, Wen poczuł skurcze w brzuchu. Z rozdrażnieniem wypuścił powietrze i zawołał do Yuana, aby ten ustawił mały namiot, w którym Wen zwykł się wypróżniać z dala od wścibskich oczu. Robił, co mógł, żeby zapewnić sobie wygody, ale w snach wciąż nawiedzały go rozkosze dworu... w dodatku nie miał kobiety już od bardzo, bardzo dawna. Może gdyby napisał uniżenie do małego Zhanga, eunuch zaaranżowałby jego

powrót. Nie. Nie mógł znieść tej myśli.

*

Tatarscy jeźdźcy przypuścili atak szybko i sprawnie, kiedy tylko rozległy się dźwięki ostrzegawczych rogów. Popędzili kuce do galopu, a każdy jechał z łukiem gotowym do posłania śmierci prosto w gardło kogokolwiek, kto stanąłby im na drodze.

Temudżyn i jego bracia w pośpiechu wylegli z jurt, kiedy brzmiały jeszcze pierwsze tony rogów. Wojownicy bez paniki zajęli pozycje. Czatownicy na głównej ścieżce podnieśli z ziemi drewniane płoty i zaklinowali pod nimi bale, żeby utrzymać je w pionie. Wrogowie nie będą mogli wjechać galopem prosto między jurty. Będą musieli wymijać przeszkody i zwolnić kroku.

Temudżyn widział, jak jego ludzie szykują strzały, kładąc je obok siebie na zamarzniętej ziemi. Byli gotowi już od kilku chwil, zanim ujrzeli pierwszego wroga w jego cuchnących futrach.

Tatarzy jechali trójkami i stali wysoko w strzemionach, szukając celu. Liczyli na strach i zamieszanie. Temudżyn obnażył zęby, czekając na ich przybycie. Czuł, jak ziemia drży mu pod stopami i żałował, że nie miał miecza, który Arslan dla niego zrobił. Zamiast niego trzymał w rękę tatarskie ostrze marnej jakości. Będzie musiało mu służyć.

Pierwsi jeźdźcy zauważyli przeszkodę na drodze. Dwóch wyminęło ją na swoich wierzchowcach, przeszkadzając trzeciemu. Zauważyli wojowników w cieniu barykady i instynktownie wypuścili strzały, które tylko bezużytecznie trzasnęły w drewno. Kiedy tylko groty utkwily w barykadzie, Kacziun i Kasar wyjrżeli z za krawędzi i z brzękiem cięciw posłali własne pociski. Strzały uderzyły w tatarskich jeźdźców, zrzucając dwóch z nich na ziemię w pełnym galopie. Już się nie podnieśli.

Na początku była to istna rzeź. Tatarzy, którzy galopowali z tyłu, zastali drogę zatarasowaną przez kuce bez jeźdźców i martwe ciała. Dwóch przeskoczyło barykadę, zanim Kacziun i Kasar zdążyli osadzić kolejną strzałę na cięciwie. Jeźdźcy znaleźli się na otwartej przestrzeni z napiętymi łukami wszędzie wokół siebie. Ledwo zdołali wydać z siebie głos, a przebiły ich ciemne brzechwy, uciszając wojenne okrzyki i zrzucając z siodeł w półobrocie. Kolejny Tatar próbował przeskoczyć pierwszy płot. Nie wymierzył dobrze skoku i kuc runął wprost w drewno, czym spłaszczył przeszkodę i strzaskał trzymające ją belki. Kasar odturlał się na bok, ale Kacziun ryknął z bólu, gdy uwięzła mu noga. Leżał bezsilnie na ziemi, kiedy nadciągało galopem więcej Tatarów, i wiedział, że jego chwile były już policzone.

Jeden z jeźdźców zauważył szamoczącego się Kacziuna i napiął łuk, żeby przyszpilić go do ziemi. Zanim zdążył zwolnić cięciwę, Arslan pojawił się z boku, i przeciął mu gardło mieczem. Tatar upadł, a jego kuc zaczął dziko lawirować w zamęcie bitwy. Strzały świszczą wokół, kiedy Arslan uwolnił Kacziuna. Kasar klęczał na jednym kolanie i słał strzałę za strzałą prosto w tatarski podjazd, ale stracił zimną krew i sześciu ludzi nietkniętych żadną z nich przedarło się za przeszkodę.

Temudżyn widział ich natarcie. Teraz mogli jechać tuż obok, na lewo od głównej ścieżki koczowiska. Widział, jak zagrodziło im drogę dwóch jego ludzi, którzy jednak padli zaraz z tatarskimi strzałami sterczącymi z pleców. Załoga drugiej barykady odwróciła się i posłała własne pociski w kierunku najeźdźców, ale z tyłu kolejna sześciuosobowa grupa przedarła się poza pozycje braci Temudżyna. Podjazd przełamał obronę mimo przygotowań.

Temudżyn odczekał, aż Tatar wypuści strzałę, po czym wystąpił i wbił miecz w jego udo. Krew bryznęła na niego przy wtórze krzyku wojownika, który szarpał teraz dziko za wodze.

Nie panując nad sobą, Tatar skierował kuca prosto na jurtę, przewrócił ją wśród trzasków łamanego drewna, a sam poszybował ponad głową konia wystrzelony jak z katapulty.

Tatarzy z pierwszej sześćcioosobowej grupy wymierzili łuki w Temudżyna, zmuszając go do ucieczki. Ryczący wojownik skierował kuca prosto na niego i pędził z łukiem gotowym posłać mu w pierś zaostrzoną strzałę. Temudżyn odturlał się na bok, po czym podniósł się z wyciągniętym mieczem. Wojownik wrzasnął, kiedy ostrze przeszło mu trzewia, a strzała świsnęła Temudżynowi nad głową. Kuc potrącił Temudżyna, kiedy mijał go w pełnym galopie, zbijając go z nóg. Wstał oszołomiony i rozejrzał się wokół.

W koczowisku panował chaos. Tatarzy stracili wielu ludzi, ale ci, którzy przeżyli, jeździli wokół triumfalnie, szukając celu. Wielu porzuciło łuki i dobioło miecza do bliższego starcia. Temudżyn zobaczył, że dwóch popędza wierzchowce w kierunku Arsłana i rozejrzał się za swoim łukiem, żeby posłać za nimi śmiertelne pociski. Pierwsza strzała, którą znalazł, była złamana, a reszta leżała gdzieś w rozsypce. W końcu, po chwili szaleńczych poszukiwań, znalazł jedną nadającą się do użycia. Usłyszał wrzask swojej matki i kiedy się odwrócił, zobaczył Börte wypadającą z jurty w pogoni za małą Temülün. Jego młodsza siostra uciekała w popłochu i nikt nie zauważył Tatara pędzącego w ich kierunku. Temudżyn wstrzymał oddech, ale Arsłan był uzbrojony i gotów do obrony. Podjął decyzję.

Temudżyn odchylił cięciwę, celując w samotnego jeźdźcę, który kierował się ku Börte. Usłyszał nagłe odgłos kopyt i zobaczył kolejnego Tatara, pędzącego wprost na niego z dobytym mieczem, gotowym skrócić go o głowę. Nie było czasu na unik, ale Temudżyn padł na kolana i posłał strzałę, usilnie starając się nadać jej właściwy lot. Strzała utkwiała gdzieś w ziemi, zmarnowana. Wtedy coś rąbnęło go w głowę na tyle mocno, żeby zatrząść światem, i Temudżyn upadł.

Dźelme stanął u boku ojca, gdy pędziło na niego dwóch Tatarów.

- W lewo! - wrzasnął Arsłan do syna, a sam skierował się w prawo.

Tatarzy zauważyli ich unik, ale nastąpił on w ostatniej chwili, i nie mieli czasu na reakcję. Koniec ostrza Arsłana trafił kark jednego z jeźdźców, podczas gdy Dźelme zadał cięcie drugiemu i prawie pozbawił go głowy. Obaj Tatarzy zginęli w jednej chwili, a ich kuce z łukiem pognały dalej bez celu.

Przywódca Tatarów nie przeżył pierwszego ataku na barykady i teraz z pierwotnego oddziału został już ledwie tuzin wojowników. Wzgórze nad obozem uniemożliwiało ciągłe przejazdy i powroty, więc ci, którzy wciąż żyli, krzyczeli i kręcili się w miejscu, tnąc, co popadnie. Arsłan zobaczył, jak dwóch Tatarów wypada z siodeł, i zadał im ciosy nożem, kiedy wili się na ziemi wśród wrzasków. Było to krwawe zadanie, ale główne siły Tatarów zostały rozbite. Nieliczni ocalańcy leżeli płasko w siodłach i galopowali w dal w kierunku, z którego przyjechali, podczas gdy strzały świszczą im nad głową.

Arsłan zobaczył, jak jeden z nich wraca z drugiej strony koczowiska i przygotował się do zadania kolejnego śmiertelnego ciosu, stając w bezruchu prosto na drodze rozpędzonego kuca. W ostatniej chwili zauważył wierzgające nogi uprowadzonego jeńca i powstrzymał się przed ciosem. Sięgnął lewą ręką, żeby uwolnić Börte, ale jego palce natrafiły tylko na skrawek jej ubrania, a jeździec pomknął dalej z branką. Arsłan zobaczył Kasara, który pędził za jeźdźcem ze strzałą przy cięciwie, i krzyknął do niego.

- Stój, Kasarze! Stój!

Rozkaz zagrzmiął w obozie, nagle milczącym po odjeździe rozkrzyczanych Tatarów. Najwyżej sześcioro zdołało uciec, a Arsłan biegł już po kuce.

- Na koń! - ryknął. - Mają jedną z kobiet! Na koń!

W biegu rozejrzał się za Temudżynem i kiedy dostrzegł bezwładną postać, gwałtownie zatrzymał się, przerażony. Temudżyn leżał otoczony trupami wojowników. Obok stał trzęsący się kuc ze złamaną nogą i bokami naznaczonymi białawym potem. Arslan zignorował zwierzę i ukląkł przy młodzieńcu, którego wyratował kiedyś od Wilków.

Wokół było pełno krwi i Arslan poczuł bolesny skurcz serca. Sięgnął do miejsca, gdzie tatarski cios odciął kawałek ciała z głowy Temudżyna. Krzyknął radośnie, gdy dostrzegł, że rana wciąż krwawiła do czerwonej kałuży wokół głowy. Arslan podniósł Temudżyna z krwi, która zakrywała mu pół twarzy.

- Żyje - szepnął.

Temudżyn pozostawał nieprzytomny, kiedy Arslan niósł go do namiotu. Jego bracia pognali galopem w pościg za najeźdźcami, rzuciwszy tylko jedno spojrzenie na postać w ramionach Arslana. Mieli ponure i pełne gniewu twarze, a Arslan nie żałował ani jednego Tatara, którego dopadną.

*

Arslan ułożył Temudżyna w jurcie jego matki, oddając go pod jej opiekę. Temülün płakała gorzko w kącie, a dźwięk ten niemal przeszywał bólem. Höelün podniosła wzrok znad syna, kiedy sięgnęła po igłę i nici.

- Zajmij się moją córką, Arslanie - powiedziała i skupiła się na swoim zadaniu.

Arslan skinął głową na znak zgody i podszedł do małej dziewczynki.

- Chcesz, żebym cię podniósł? - zapytał jej.

Temülün przytaknęła przez łzy i Arslan poderwał ją w górę. Podniosła wzrok na niego, a on zmusił się do uśmiechu. Pojawiała się reakcja na zabijanie i Arslanowi szumiało w głowie, gdy serce łomotało mu zbyt szybko jak na spokój i ciszę. Höelün przeszła kościaną igłą pierwszy kawałek rany Temudżyna, a Arslan zobaczył, że dziewczynka krzywi się i znowu zaczyna płakać.

- Wszystko w porządku, malutka, zabiorę cię do Eluin. Szukała ciebie - powiedział.

Nie chciał, żeby dziewczynka zobaczyła ciała zabitych, ale nie mógł też zostać w jurcie i nic nie robić. Miał nadzieję, że Eluin wciąż żyła.

Kiedy odwrócił się, żeby wyjść, usłyszał drżące sapnięcie Temudżyna. Obejrzał się i zobaczył, że jego oczy były otwarte i przytomnie patrzyły na Höelün, która szyła ranę szybkimi, zręcznymi ruchami.

- Leż spokojnie - powiedziała Höelün, kiedy jej syn próbował wstać. - Muszę to zrobić dobrze.

Temudżyn opadł na posłanie, ale jego spojrzenie złowiło Arslana u drzwi.

- Mów - nakazał.

- Odparliśmy atak. Mają Börte - odpowiedział Arslan.

Höelün ściągnęła nic i zmarszczył się cały płat skóry na głowie Temudżyna. Arslan kołysał Temülün w ramionach, ale dziewczynka uciszyła się znowu i najwyraźniej pochłonęła ją zabawa srebrnym guzikiem jego delu.

Höelün wytarła kawałkiem płótna krew z oczu syna. Rana na głowie wciąż krwawiła obficie, ale szwy pomogły. Przebiła igłą kolejny kawałek ciała i poczuła, jak Temudżyn się napręża.

- Muszę wstawać, matko - mruknął. - Czy już kończysz?

- Twoi bracia rozpoczęli pogoń za niedobitkami - powiedział szybko Arslan. - Z taką raną

nie ma sensu ich gonić, jeszcze nie. Straciłeś dużo krwi i nie możesz ryzykować upadku.

- To moja żona - odparł Temudżyn i spojrział chłodno.

Jego matka pochyliła się, jakby chciała go pocałować, a zamiast tego odgryzła końcówkę nici przy jego skórze. Usiadł, kiedy tylko się odsunęła, i uniósł rękę do linii szwów.

- Dziękuję - powiedział.

Jego oczy straciły wtedy surowy wyraz i Höelün skinęła i starła zaschniętą krew z policzka syna.

Arslan usłyszał głos Eluin przed jurta i wyszedł, żeby powierzyć Temülün jej opiece. Wrócił i spojrział ponuro na próbującego wstać Temudżyna. Młody chan zatoczył się i musiał złapać za środkowy maszt jurty, żeby nie upaść.

- Nie możesz dziś jechać - powiedział mu Arslan. - Mógłbyś tylko jechać po śladach twoich braci. Niech oni ją znajdą.

- A ty byś został? - chciał wiedzieć Temudżyn.

Zamknął oczy, walcząc z zawrotami głowy i serce Arslana rosło na widok jego determinacji. Westchnął.

- Nie, pojechałbym za nimi. Sprowadzę ci kuca i poszukam też jednego dla siebie.

Arslan opuścił jurte przez niskie drzwi, a Höelün chwyciła Temudżyna za wolną rękę.

- Nie spodoba ci się to, co mam ci do powiedzenia - mruknęła.

Temudżyn otworzył oczy i zamrugał, żeby strzepnąć świeżą strużkę krwi.

- Mów, co musisz - odparł.

- Jeśli twoi bracia nie dościgną ich przed nocą, Tatarzy skrzywdzą Börte.

- Zgwałcą ją, matko. Wiem. Jest silna.

Höelün potrząsnęła głową.

- Nie wiesz. Będzie się wstydzić. - Urwała na chwilę, chcąc, żeby syn ją zrozumiał. - Jeśli ją skrzywdzą, to ty będziesz musiał być bardzo silny. Nie możesz oczekiwać, że będzie taka sama, z tobą czy z innym mężczyzną.

- Zabiję ich - obiecał Temudżyn, a gniew zaczął w nim płonąć. - Spalę ich i zjem ich mięso, jeśli to zrobią.

- To ci przyniesie pokój, ale nie zmieni to niczego dla Börte - powiedziała Höelün.

- Co jeszcze mogę zrobić? Ona nie może ich zabić, tak jak ja mógłbym, ani nawet zmusić ich, żeby oni zabili ją. Nie jest winna niczemu, co się stanie. - Zdał sobie sprawę, że płacze, i gniewnie otarł krwawe łzy z policzków. - Zaufała mi.

- Nie możesz tego naprawić, mój synu. Nie, jeśli Tatarzy umkną twoim braciom. Jeśli znajdziesz ją żywą, będziesz musiał być cierpliwy i miły.

- Wiem! Kocham ją, to wystarczy.

- Wystarczyło - powiedziała Höelün. - Ale teraz już może nie wystarczyć.

*

Temudżyn stał na zimnym wietrze i huczało mu w głowie. Kiedy Arslan przyprowadził kuce, rozejrzał się wokół i poczuł krew w powietrzu. Koczowisko zasłane było okaleczonymi ciałami. Niektóre wciąż się ruszały. Jeden Tatar leżał na plecach jak martwy, ale jego palce zaciskały się na dwóch strzałach sterujących mu z piersi, drgając jak blade odnóża pająka. Temudżyn wyciągnął nóż zza pasa i podszedł chwiejnie do Tatara. Wojownik mógł być już tylko o krok od śmierci, ale Temudżyn ukląkł przy nim i wraził koniuszek noża w jego pulsujące gardło. Dotknięcie unieruchomiło drgające palce i Tatar niemo zwrócił oczy na Temudżyna. Kiedy spotkały się ich spojrzenia, Temudżyn powoli naciskał ostrze, przebijając

tchawicę, a oddech wojownika ustał po ostatnim powiewie krwawego powietrza.

Kiedy Temudżyn podniósł się z kolan, wciąż chwiały się na nogach. Słońce świeciło jakby za mocno i Temudżyn nagle bez ostrzeżenia pochylił się do przodu i zwymiotował. Usłyszał, jak Höelün mówi coś do niego, ale jej słowa zagłuszał jakiś ryczący dźwięk, którego Temudżyn nie mógł się pozbyć. Höelün i Arsłan zastanawiali się, czy Temudżyn może jechać, a na twarzy Arsłana malowało się powątpiewanie.

- Nie spadnę - powiedział Temudżyn do nich obojga i chwycił za róg przy siodle. - Pomóż mi wsiąść. Muszę za nimi jechać. Oboje musieli podsadzić go na siodło, ale kiedy już się tam znalazł, poczuł się odrobinę pewniej. Potrząsnął głową, krzywiąc się z bólu szalejącego za oczami.

- Dżelme? - zawołał. - Gdzie jesteś?

Syn Arsłana był zbryzgany zasychającą krwią, kiedy szedł ku nim między ciałami z wciąż obnażonym mieczem. Temudżyn spojrział na niego i mgliście przemknęło mu przez myśl, że nigdy wcześniej nie widział Dżelmego zdenerwowanego.

- Kiedy odjedziemy, musisz przenieść obóz - wybełkotał Temudżyn.

Jego głowa wydawała się zbyt wielka i opadała mu na ramiona. Nie słyszał odpowiedzi Dżelmego.

- Jedźcie w nocy. Zabierz plemię na wzgórza, ale jedźcie na południe w kierunku Kereitów. Jeśli Togruł ma ludzi, którzy dorównują naszym, zmiotę Tatarów z oblicza świata. Poszukam was, kiedy znajdę moją żonę.

- Twoja wola, mój panie - powiedział Dżelme. - Lecz co, jeśli nie wrócisz?

Trzeba było o to zapytać, ale Temudżyn skrzywił się znowu, kiedy ból zawładnął jego ciałem.

- Wtedy znajdziesz tę dolinę, o której mówiliśmy, i będziesz wychowywał synów i hodował owce - powiedział w końcu.

Wykonał swój obowiązek chana. Dżelme był wspaniałym przywódcą i ci, którzy dotąd szli za Temudżynem, będą bezpieczni. Zacisnął ręce na wodzach. Bracia nie mogli odjechać daleko. Pozostawała tylko zemsta.

ROZDZIAŁ 26

Kiedy słońce zniknęło na zachodzie i zalało stepy złotem, Kasar i Kacziun natknęli się na ciało jednego z wojowników, których gonili. Obawiając się pułapki, Kacziun pozostał w siodle z napiętym łukiem, podczas gdy Kasar zbliżył się do ciała i obrócił je końcem buta.

Tatarowi sterczał z brzucha złamany brzeszczot strzały, którą najwyraźniej próbował sobie wyrwać. Cała dolna część jego ciała była czarna od krwi, a twarz była blada jak wapno i sztywna. Jego towarzysze zabrali ze sobą jego kuca, którego płytsze ślady kopyt wciąż widniały w torfie. Kasar szybko przeszukał ciało, ale nawet jeśli było tam kiedyś cokolwiek przydatnego, Tatarzy już to zabrali.

Bracia jechali tak długo, dopóki widzieli jeszcze ślady, ale w końcu gęstniejący mrok zmusił ich, żeby się zatrzymali albo ryzykowaliby zgubienie uciekinierów. Żaden z nich nie odzywał się, kiedy mieszała napój z mleka i krwi utoczzonej z żyły kłaczy Kacziuna. Obaj widzieli Temudżyna nieprzytomnego w ramionach Arsłana i byli zdecydowani nie pozwolić umknąć najeźdźcom.

Spali na prowizorycznych posłaniach i obudzili się o świcie, żeby wyruszyć, gdy pierwsze promienie słońca znowu odsłonią ślady jeźdźców na ziemi. Wymienili tylko spojrzenia i popędzili kuce do galopu. Oba były wyćwiczone i w dobrej kondycji. Nie zawiodą, kiedy trzeba było dogonić Tatarów.

Przez cały drugi dzień odciski kopyt stawały się coraz świeższe i coraz łatwiej je było dostrzec. Kacziun był lepszym tropicielem niż jego brat, który nigdy nie miał cierpliwości, żeby nauczyć się odróżniać szczegóły.

I to Kacziun zeskakiwał z siodła, żeby przystawiać rękę do placków końskiego łajna w poszukiwaniu śladów ciepła. Pod wieczór drugiego dnia roześmiał się, kiedy włożył palec w kolejną ciemną kupkę.

- Świeższa niż ostatnie. Doganiamy ich, bracie - powiedział Kasarowi.

Tatarzy zbytnio nie starali się zmylić pościgu. Na początku próbowali ich zgubić, ale ślady drugiego dnia były niemal proste, biegnące najkrótszą drogą do jakiegoś celu. Jeśli nawet Tatarzy wiedzieli, że wciąż ich śledzono, nie próbowali już pozbyć się tropicieli.

- Mam nadzieję, że dogonimy ich, zanim dotrą tam, dokąd jadą - powiedział ponuro Kasar.
- Jeśli kierują się do dużego koczowiska, stracimy ich i Börte.

Kacziun znowu dosiadł kuca, wykrzywając twarz, kiedy jego mięśnie domagały się już odpoczynku.

- Musieli skądś przyjechać - powiedział. - Jeśli dostaną się w bezpieczne miejsce, jeden z nas wróci i zbierze pozostałych. Może nawet pojedzie z Temudżynem do Kereitów i połączy siły. Nie umkną nam, Kasarze. Tak czy inaczej, dopadniemy ich.

- Jeśli Temudżyn jeszcze żyje - mruknął Kasar.

Kacziun potrząsnął głową.

- Żyje. Całe plemię Wilków nie mogło go zatrzymać. Myślisz, że zginie teraz od rany z rąk Tatarów?

- Nasz ojciec tak zginął - przypomniał Kasar.

- To wciąż dług, który trzeba odebrać - odparł wściekle Kacziun.

Kiedy bracia spali trzeciej nocy, obaj byli zeszywniali i zmęczeni po ciężkiej jeździe.

Napój z krwi i mleka mógł ich żywić przez cały czas, ale nie mieli świeżych koni, a klacz doznała już pierwszych kontuzji, tak jak i oni sami. Obaj mieli sińce od jazdy w siodle, a kostka Kacziuna była opuchnięta i bolała przy dotyku. Nie mówił o tym bratu, ale nie mógł ukryć kuśtykania za każdym razem, kiedy zsiadał z kuca. Spali smacznie przez noc, a Kacziun obudził się gwałtownie, kiedy zimne ostrze dotknęło jego gardła.

Pod niebem usłanym gwiazdami panowały nieprzeniknione ciemności, kiedy Kacziun otworzył oczy. Próbował wyslizgnąć się spod ostrza, ale ogarnęło go uczucie ulgi, kiedy usłyszał znajomy głos.

- Arszan mógłby cię nauczyć paru rzeczy o tropieniu, Kacziunie - powiedział mu Temudżyn do ucha. - Już prawie świta, jesteście gotowi na kolejny dzień?

Kacziun zerwał się z ziemi i uściskał Temudżyna, a potem Arszana, zaskakując go tym.

- Nie mogą już być daleko - powiedział. Kilka kroków dalej Kasar przestał chrapać i przewrócił się na bok. Kacziun podszedł do niego i kopnął go w żebra.

- Wstawaj, Kasarze, mamy gości.

Usłyszeli, jak Kasar wstaje na nogi, a potem rozległo się trzeszczenie napinanej cięciwy. Chociaż Kasar spał jak zabity, jego refleks był bez zarzutu.

- Ja tu jestem, mój bracie - powiedział cicho Temudżyn do ciemności.

Łuk znowu zatrzeszczał, kiedy Kasar na powrót rozluźnił cięciwę.

- Jak twoja głowa? - zapytał Kasar.

- Boli, ale szwy trzymają - odpowiedział Temudżyn.

Spojrzał na wschód i zobaczył wilczy świt - pierwsze szare światło przed pojawieniem się słońca. Podał braciom bukłak ajraku.

- Pijcie szybko i bądźcie gotowi do drogi - powiedział. - Zbyt długo jesteśmy już w pościgu.

W jego głosie zabrzmiała nutka żalu, który wszyscy rozumieli. Börte spędziła już trzy noce wśród tatarskich jeźdźców. Nie mówili o tym. Ajrak rozgrzał ich puste żołądki i dodał im energii, której tak bardzo potrzebowali. Mleko i krew będą ich posiłkiem później w ciągu dnia. Tyle wystarczyło.

Trzej bracia i Arszan byli już zabrudzeni pyłem i zmęczeni, kiedy dostrzegli swoją zdobycz. Szlak wił się wśród łańcucha wzgórz, a pofałdowany teren spowolnił ich pościg. Temudżyn nie odezwał się ani słowem i jechał ze wzrokiem bezustannie utkwionym w oddali, szukając na horyzoncie tatarskich niedobitków.

Słońce chyliło się już ku zachodowi, kiedy wyjechali na górski grzbiet i dostrzegli grupę jeźdźców na przeciwległym krańcu doliny. Wszyscy czterej ześlizgnęli się z siodła i przywarli do ziemi wraz z kucami, tak żeby nie można było łatwo ich dostrzec. Temudżyn leżał z ramieniem na karku wierzchowca, przytrzymując go przy trawie.

- A więc to będzie dzisiaj - powiedział. - Uderzymy, kiedy rozbiją obóz.

- Mam trzy strzały - powiedział Kacziun. - Wszystkie, które były w kołczanie, kiedy wyjeżdżałem.

Temudżyn spojrzał na młodszego brata z kamiennym wyrazem twarzy.

- Jeśli ci się uda, chcę, żebyś ich unieszkodliwił, ale nie zabił. Nie chcę, aby umierali szybko, nie ci.

- Tak będzie trudniej, Temudżynie - powiedział Arszan, patrząc zza krawędzi grzbietu na małą grupkę w oddali. - Lepiej natrzeć z nienacka i zabić, ilu się da. Pamiętaj, że oni też mają łuk i miecze.

Temudżyn zignorował Arslana i dalej patrzył na Kacziuna.

- Jeśli możesz - powtórzył. - Jeśli Börte żyje, chcę, żeby była przy ich śmierci, może nawet zadanej jej własnym nożem.

- Rozumiem - mruknął Kacziun i przypomniał sobie dzień, w którym zabili Bektera. Temudżyn miał wtedy ten sam wyraz twarzy, ale teraz wyglądał on gorzej z powodu szpetnej linii szwów w poprzek czoła.

Kacziun nie mógł długo patrzeć w przenikliwe oczy Temudżyna i też spojrział na dolinę. Tatarzy dojechali do jej końca i zagłębili się w gęsty zagajnik.

- Czas ruszać - powiedział Temudżyn i podniósł się z ziemi. - Musimy przekroczyć dolinę, zanim rozbiją obóz na noc. Nie chcę ich zgubić w ciemnościach.

Nie obejrzał się, czy mu towarzyszyli, kiedy raz jeszcze pognął kuca do galopu. Wiedział, że tak było.

*

Börte leżała na boku na wilgotnej warstwie liści i sosnowych igieł. Ręce i nogi miała umiejętnie związane przez Tatarów, którzy rozbijali właśnie obóz w lesie. Patrzyła z przestachem, jak odcięli toporkiem drwa z martwego pnia i wznieśli małe ognisko. Wszyscy umierali z głodu, a rozpacz połączona z oszołomieniem pierwszych dni ucieczki dopiero zaczynała słabnąć. Börte słuchała gardłowych głosów Tatarów i usiłowała się nie bać. Było to trudne. Wjechali do obozu Temudżyna, spodziewając się całkowitego zwycięstwa. Zamiast tego zostali rozbici i rozgromieni, stracili braci i przyjaciół, a także niemal własne życie. Szczególnie dwóch z nich wciąż kipiało gniewem od wstydu, że musieli dokonać odwrotu. To właśnie ci dwaj przyszedli po nią pierwszej nocy, żeby wyładować rozżalenie w jedyny sposób, jaki im pozostał. Börte zadrżała na wspomnienie ich szorstkich rąk na sobie. Najmłodszy z Tatarów był wciąż jeszcze chłopcem, ale to on był najokrutniejszy i tłukł ją pięściami po twarzy, aż zaczęła krwawić i była oszołomiona. I wtedy ją zgwałcił z innymi.

Börte wydała z siebie cichy, gardłowy dźwięk, zwierzęcy odgłos strachu, którego nie mogła powstrzymać. Powtarzała sobie, że powinna być silna, ale kiedy młody wojownik wstał od ognia i podszedł do niej, jej pęcherz puścił nagły gorący strumień, parujący na zimnym powietrzu. Chociaż zapadał już mrok, wojownik zobaczył to i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Myślałem o tobie cały dzień, kiedy jechaliśmy - powiedział i ukucnął przy niej.

Zaczęła się trząść i nienawidziła się za te oznaki słabości. Temudżyn mówił jej, że była wilkiem tak jak on, że mogła znieść wszystko. Nie krzyknęła, kiedy młody Tatar wziął ją za nogę i zaciągnął ją do innych mężczyzn przy ogniu. Zamiast tego próbowała myśleć o dzieciństwie i biegu między jurtami. Ale nawet wtedy przychodziły jej do głowy tylko wspomnienia o bijącym ją ojcu albo o obojętności matki na jej niedolę. Zostało jej tylko wspomnienie Temudżyna, który przyjechał wreszcie po nią, tak wysoki i przystojny w swoich futrach, że Ołkunutowie nie mogli nawet na niego patrzeć.

Tatarzy przy ognisku patrzyli z zaciekawieniem, jak najmłodszy z nich rozwiązywał stopy Börte. Widziała pożądanie w ich spojrzeniach i zebrała się w sobie, żeby raz jeszcze walczyć z nimi. Nie powstrzyma ich to, ale tylko to jej zostało. Nie odda im tego ostatniego skrawka dumy. Kiedy tylko jej nogi były wolne, wierzgnęła nimi, a jej bosa stopa ugodziła pierś młodego Tatara. Odepchnął ją z ponurym śmiechem.

- Wszyscy jesteście już martwi - warknęła. - On zabije was wszystkich.

Najmłodszy Tatar płonął już w podnieceniu i nie odpowiedział, tylko szarpnął za jej del i obnażył jej piersi w wieczornym chłodzie. Szarpała się wściekle i Tatar skinął na jednego z

pozostałych, żeby pomógł mu ją przytrzymać. Wojownik, który się podniósł, był szeroki w barach i cuchnący. Börte czuła jego zepsuty oddech przy twarzy poprzedniej nocy i wspomnienie to przyprawiło ją o mdłości, ale jej pusty żołądek skurczył się nadaremnie. Wierzgnęła z całej siły i młody Tatar zaklął.

- Trzymaj jej nogi, Eliku - polecił, po czym obnażył się, szarpnąwszy za futra.

Starszy wojownik kucnął, żeby wykonać polecenie, ale nagle rozległ się szelest kroków na liściach.

Czterech ludzi wyszło spośród drzew. Trzech z nich miało nagie miecze w dłoni, a czwarty trzymał łuk z cięciwą napiętą do ucha.

Tatarzy zareagowali natychmiast, zerwali się na nogi i chwycili za broń. Börte upadła z powrotem na wilgotną ziemię, ale zaraz podniosła się na kolana. Serce boleśnie załomotało jej w piersi, kiedy zobaczyła Temudżyna i jego braci, a między nimi płatnerza Arslana. Biegli naprzód w milczeniu lekkim krokiem, doskonale przygotowani do zadania pierwszych ciosów.

Tatarzy ryknęli z gniewu. Temudżyn uchylił się przed cięciem miecza, a potem uderzeniem głowni zwałił przeciwnika z nóg. Mocno nastąpił na niego nogą i usłyszał, jak nos Tatara łamie się pod jego podeszwą. Drugi przeciwnik wstał właśnie z Börte i Temudżyn nie miał odwagi na nią spojrzeć, gdy Tatar rzucił się na niego z nożem. Temudżyn pozwolił mu podejść i odsunął się tylko odrobinę, tak że cios zatrzymał się na delu. Lewą pięścią trzasnął Tatara i odrzucił go w tył, po czym zadał cięcie mieczem w poprzek ud wojownika i przewrócił go na plecy, wrzeszczącego z bólu. Nóż upadł w liście, a Temudżyn odwrócił się zdyszany w poszukiwaniu następnego celu. Broń upadła przy Börte, która podniosła go skrępowanymi rękami.

Młody Tatar leżał i wył na ziemi, wierzgając kończynami. Temudżyn odszedł, żeby wraz z Kacziunem zaatakować trzeciego wroga, a leżący Tatar nie zauważył, jak Börte podpełza do niego na kolanach. Kiedy w końcu spojrzał na nią, potrząsnął głową w desperacji. Próbował unieść pięści, ale Börte przygniotła kolanem jego prawą rękę i usiłowała wrazić ostrze. Wolna ręka wojownika chwyciła ją za gardło ze wciąż zatrważającą siłą. Oczy Börte zasłyły mgłą pod uściskiem jego palców, ale nie chciała się poddać. Miała głowę zadartą do góry przez wyprostowaną rękę wojownika, ale jej palce znalazły jego pulsujące gardło. Mogła go tam pchnąć nożem, ale przesunęła dłonie wyżej, przytrzymując mu głowę tak nieruchomo, jak tylko mogła. Tatar bronił się, ale krew płynęła mu z nóg i Börte czuła, że jej przeciwnik słabnie, podczas gdy ona rosła w siłę.

Znalazła jego oczy i zatopiła w nich paznokcie, słuchając jego wrzasków. Szpikulec noża przesunął się wzdłuż twarzy Tatara, otwierając mu policzek, zanim Börte zdołała wrazić ostrze całym ciężarem ciała. Nagle nie czuła już oporu, kiedy ostrze natrafiło na oczodół. Ręka ściskająca jej gardło opadła bezwładnie, a ona dysząc osunęła się na ziemię. Wciąż czuła na sobie zapach tego człowieka i wymamrotała teraz coś w bezsłownym gniewie, po czym zaczęła wiercić nożem w oczodole, wbijając ostrze coraz głębiej.

- On nie żyje - usłyszała z boku głos Arslana, który położył jej rękę na ramieniu.

Odskoczyła przed jego dotykiem, jakby ją palił, a kiedy podniosła wzrok, oczy starego płatnerza były pełne smutku.

- Jesteś już bezpieczna.

Börte nie odezwała się, chociaż w oczach stanęły jej łzy. Nagle znowu usłyszała odgłosy obozu. Reszta Tatarów leżała wokół krzycząc w agonii i strachu. Tego sobie właśnie życzyła.

Börte znowu uklękła i spojrzała w oszołomieniu na krew na swoich rękach. Upuściła nóż i

utkwiała wzrok gdzieś w oddali.

- Temudżynie - usłyszała wołanie Arslana. - Chodź i zaopiekuj się nią.

Zobaczyła, jak płatnerz podnosi nóż i rzuca go między drzewa. Nie rozumiała, dlaczego marnował dobre ostrze, i podniosła głowę, żeby go spytać. Temudżyn przeszedł przez obozowisko i nie zauważył nawet, jak rozgrzebał przy tym mały stos tłących się gałęzi. Wziął ją za ramiona i przysunął do siebie. Szarpnęła się i zaniósła się łkaniem, kiedy próbowała się uwolnić.

- Uspokój się! - zażądał, kiedy uniosła pięści i zaczęła okładać go po twarzy.

Uchylił się przed pierwszymi ciosami i chwycił ją mocniej.

- Już po wszystkim, Börte. Uspokój się!

W jednej chwili przestała walczyć i padła, szlochając w jego ramiona.

- Trzymam cię teraz - szepnął. - Jesteś bezpieczna i już po wszystkim.

Powtarzał te słowa jak mantrę, kiedy emocje kłębiły się w nim boleśnie. Odczuwał ulgę, że znalazł Börte żywą, ale coś w jego duszy wciąż domagało się, by dalej zadawał cierpienie tym, którzy ją zabrali. Spojrzał na braci, którzy wiązali Tatarów. Dwóch wojowników wrzeszczało jak dzieci, a strzały Kacziuna sterczały im z rąk i nóg. Trzeci pewnie umrze, bo Arslan otworzył mu brzuch, ale reszta pożyje wystarczająco długo.

- Rozniećcie ogień - powiedział Temudżyn do swoich braci. - Chcę, żeby czuli gorąco i wiedzieli, co ich czeka.

Kasar i Kacziun zaczęli z powrotem zbierać smolne gałęzie, które rozrzucił kopnięciem, po czym przyciągnęli jeszcze jedno stare polano. Płomienie wkrótce liznęły suche drewno, które szybko się zajęło.

Arslan patrzył, jak mąż i żona stali razem. Twarz Börte nie wyrażała niczego, zupełnie jakby jej umysł opuścił ciało. Płatnerz potrząsnął głową.

- Zabijmy ich po prostu i wracajmy do pozostałych - powiedział Arslan. - Nie ma honoru w tym, co chcesz zrobić.

Temudżyn spojrzał na niego z dzikością w oczach.

- Odejdź, jeśli chcesz - rzucił. - To jest dług krwi.

Arslan stał zupełnie nieruchomo.

- Nie wezmę w tym udziału - powiedział w końcu.

Temudżyn skinął. Kasar i Kacziun stanęli u jego boku. Wszyscy trzej popatrzyli na płatnerza, którego aż zmroziło od ich spojrzeń. Nie było litości w oczach żadnego z nich. Z tyłu Tatarzy jęczeli z przerażenia, a ogień trzaskał i rósł.

*

Temudżyn stał z obnażoną pierśią, a skóra lśniła mu od potu. Jego bracia naznosili drewna na stos, aż płomień rozgorzał wściekle i nie można już było podejść do huczącego żółtego piekła.

- Oddaję te istnienia Niebu i Ziemi, rozsypuję ich dusze w ogniu - powiedział Temudżyn z głową uniesioną ku zimnym gwiazdom.

Jego usta i pierś były zakrwawione, a wielki czarny ślad sięgał mu aż do pasa. Trzymał ostatniego Tatarza za gardło. Wojownik był osłabiony ranami, ale wciąż rzucał się lekko, tak że jego nogi rysowały ślad na ziemi. Zdawało się, że Temudżyn nie czuje ciężaru. Stał tak blisko ognia, że zniknęły mu drobne włoski na ramionach, ale nie czuł bólu, pogrążony w transie śmierci.

Kacziun i Kasar stali kilka kroków z tyłu i patrzyli. Oni też byli umazani krwią Tatarów i

próbowali mięsa pieczonego w płomieniach. Przy ogniu leżały trzy nagie ciała, z których dwa miały czarne dziury w piersi, a wokół było dość krwi, żeby zmyć smutek i gniew. Nie pokroili wojownika, którego zabiła Börte. Ogień był tylko dla żywych.

Nieświadom świata wokół siebie, Temudżyn zaintonował słowa, które po raz ostatni słyszał szeptane ustami starego Czagataja wśród mroźnej nocy wiele lat wcześniej. Szamańska pieśń mówiła o stracie i zemście, o zimie, lodzie i krwi. Temudżyn nie musiał szperać w pamięci, by odnaleźć słowa - same pojawiały się na jego języku, jakby znał je od dawna.

Ostatni Tatar jęknął z przerażenia, a jego ręce wczepiły się w ramię Temudżyna i zaczęły drapać mu skórę połamanymi paznokciami. Temudżyn spuścił wzrok na wojownika.

- Podejdź bliżej, Börte - powiedział, nie odrywając wzroku.

Börte wkroczyła w obręb światła płomieni, a cienie zatańczyły jej na skórze. Jej oczy odbijały migotliwe światło i zdawało się, że płomienie goreją w niej samej.

Temudżyn podniósł wzrok na swoją żonę i wyciągnął nóż zza pasa, ociekający już ciemną cieczą życia. Gwałtownym cięciem rozwarł pierś Tataru i wiercił dalej nożem, żeby przebić się przez mięśnie. Tatar otworzył usta, ale nie wydobył z siebie żadnego dźwięku. Z jego ciała wypływały lśniąca wnętrzności, kiedy Temudżyn sięgał coraz głębiej. Dwoma palcami wyciągnął kawałek parującego mięsa oderwany od serca. Nadział go na koniuszek miecza i włożył w płomienie, tak że na jego własnej skórze pojawiły się bąble, a mięso zaczęło skwierczeć. Stęknął z bólu, którego był świadom, ale nie dbał o niego. Pozwolił, aby Tatar upadł na zeschnięte liście z wciąż otwartymi oczami. Bez słowa Temudżyn ściągnął skwierczące mięso z miecza i podał je Börte, która podniosła je do ust.

Było wciąż niemal surowe i Börte żuła je długo, zanim mogła je połknąć, i czuła przy tym, jak gorąca krew zalewa jej wargi. Nie wiedziała, czego się spodziewać. Była to najstarsza magia: zjadanie dusz. Poczowała, jak mięso ześlizguje jej się do gardła, a wraz z nim nadeszło uczucie lekkości i siły. Wciągnęła wargi, obnażając zęby, a Temudżyn opadł nagle, jakby coś uszło z niego. Dotąd był posłańcem czarnych wcieleń, tym, który odpłaca za krzywdy. W jednej chwili zmienił się w zwykłego znużonego człowieka, umęczonego smutkiem i bólem.

Börte położyła dłoń na policzku męża, zostawiając tam ślad krwi.

- Wystarczy - powiedziała przy wtórze trzaskających płomieni. - Możesz teraz spać.

Skinął wyczerpany i odsunął się wreszcie od płomieni, stając przy swoich braciach. Arslan stał jeszcze dalej z mrocznym wyrazem twarzy. Nie przyłączył się do rozlewania krwi ani nie jadł kawałków mięsa odciętych z żywych ludzi. Nie czuł związanego z tym przyływu sił witalnych, ani późniejszego wyczerpania. Nie patrzył na okaleczone ciała Tatarów, kiedy usiadł na ziemi i włożył dłonie w rękawy delu. Wiedział, że tej nocy będzie miał koszmarne sny.

ROZDZIAŁ 27

Togruł z Kereitów obudził się, wyrwany ze snu ręką swojej pierwszej żony, szarpiącej go gwałtownie.

- Wstawaj, leniu! - powiedziała, a jej stanowczy głos ze zwykłą sobie siłą rozwiął szczęśliwy sen.

Togruł stęknął i otworzył oczy. Żona dała mu sześć córek i ani jednego syna. Spojrzał na nią rozdrażniony i potarł sobie twarz.

- Czego mi przeszkadzasz, kobieto? Śniło mi się, że jesteś wciąż młoda i atrakcyjna.

W odpowiedzi kobieta zdzieliła go potężnie w żebra.

- Ten nowy człowiek, którego wezwałeś, przyjechał ze swoimi towarzyszami w łachmanach. Wyglądają tylko na brudnych włóczęgów z tego, co widzę. Będiesz cały dzień leżał w tym twoim barłogu, kiedy oni przeszukają twoje jurty?

Togruł ściągnął brwi, stłumił ziewnięcie i podrapał się w głowę. Przesunął nogi na zimną podłogę i rozejrzał się.

- Nie widzę jadła, które da mi siłę - powiedział i zmarszczył czoło. - Czy muszę wychodzić do nich o pustym żołądku?

- Ten żołądek nigdy nie jest pusty - odparła. - Nie godzi się kazać im czekać, podczas gdy ty będziesz obżerał się kolejną owcą.

- Kobieto, przypomnij mi, czemu cię tu jeszcze trzymam - powiedział i wstał. - Ja już zapomniałem.

Parsknęła śmiechem, kiedy się ubierał, zaskakująco szybko jak na tak tłustego człowieka. Ochlapał sobie twarz wodą, a ona podała mu porcję ciepłego chleba i mięsa, grubo obrosłego tłuszczem. Uśmiechnął się wreszcie na ten widok, urwał wielki kęs i zaczął go żuć, czkając przy tym cicho. Usiadł znowu i włożył do ust resztę jedzenia, podczas gdy jego żona wiązała mu buty. Bardzo ją kochał.

- Wyglądasz jak pastuch - powiedziała mu, kiedy ruszył się w stronę drzwi. - Jeśli zapytają, gdzie ukrywa się prawdziwy chan Kereitów, powiedz, że go zjadłeś.

- Kobieto, jesteś światłem mego serca - powiedział i schylił głowę, żeby wydostać się na pierwsze promienie świtu.

Zaśmiał się, kiedy jego żona rzuciła w odpowiedzi coś, co utonęło wśród trzeszczenia zamykanych drzwi.

Nastrój chana zmienił się, gdy zobaczył wojowników, przybyłych do koczowiska Kereitów. Zsiedli z koni i byli otoczeni przez jego głupawych współplemieńców. Wyglądali już na rozdrażnionych tłoczącym się ludem. Togruł wypuścił powietrze i żałował, że nie wziął kolejnej porcji mięsa. Tęgo burczało mu w brzuchu i pomyślał, że przybysze na pewno ucieszą się z uczy na ich cześć. Jego żona nie będzie mogła na to narzekać.

Tłum kereickich dzieci rozstąpił się i chan dostrzegł swoich druhów. Rozejrzał się za Wenem Chao, ale chiński ambasador jeszcze nie ocknął się ze snu. Kiedy Togruł zbliżył się do grupy przybyszów, ogarnęło go rozczarowanie z powodu niewielkiej ich liczby. Gdzież była ta horda, którą obiecał mu Wen?

Wielu przybyszów rozglądało się z podziwem i w napięciu. W środku Togruł dostrzegł pięciu ludzi przy wychudzonych kucach o surowych, skupionych twarzach. Rozpromienił się i

skierował się ku nim na czele swoich druhów.

- Udzielam wam gościny w moim domu - powiedział. - Który z was to Temudżyn z Wilków? Wiele o tobie słyszałem.

Najwyższy z grupki przy kucach wystąpił i skłonił się sztywno, jakby ten gest był mu obcy.

- Już nie z Wilków, mój panie. Nie jestem winien wierności plemieniu mojego ojca. To jest teraz mój jedyny lud.

Temudżyn nigdy nie widział człowieka tak tłustego jak Togrul. Próbował teraz ukryć zdumienie, kiedy chan witał jego braci oraz Dżelmego i Arslana. Togrul miał najwyżej trzydzieści lat i jego uścisk był silny, ale ciało miał tak rozrośnięte, że del niemal pękał pod szerokim pasem. Twarz miał okrągłą z wielkimi zwałami tłuszczu pod brodą. Jeszcze dziwniejszy był fakt, że nosił szatę podobną do tej, którą miał na sobie Wen podczas jego wizyty. Również włosy Togrula były związane z tyłu na sposób państwa Kin i Temudżyn nie wiedział, co sądzić o kimś takim.

Nie przypominał żadnego chana, jakiego kiedykolwiek widział Temudżyn i tylko znajome rysy i czerwona skóra zdradzały, że należał do jego ludu.

Temudżyn i Kacziun wymienili spojrzenia, kiedy Togrul zakończył powitanie i położył sobie swoje ciężkie dłonie na brzuchu.

- Bestia się przebudziła, moi przyjaciele. Na pewno jesteście głodni po podróży?

Zaklaskał w dłonie na znak, żeby przyniesiono mu jedzenie. Temudżyn patrzył, jak tłum rozchodzi się do jurt, niewątpliwie żeby zebrać dość pożywienia dla zaspokojenia apetytu chana. Wyglądało na to, że są od dawna przyzwyczajeni do tego zadania.

- Widzę tu tylko najwyżej trzydziestu wojowników - powiedział Togrul, licząc pod nosem.

- Wen Chao mówił, że może ich być nawet setka.

- Znajdę więcej - odparł Temudżyn, natychmiast czując się zaatakowany.

Togrul uniósł brew w zaskoczeniu.

- A więc to prawda, że przyjmujesz włóczęgów do koczowiska? Czy nie kradną?

- Nie ode mnie - wyjaśnił Temudżyn. - I dobrze walczą. Powiedziano mi, że potrzebny ci przywódca wojenny. Jeśli nie, zabiorę ich z powrotem na północ.

Togrul zamrugał na tę ostrą odpowiedź. Przez chwilę żałował, że nie ma choć jednego syna zamiast córek, które dała mu jego żona. Może wtedy nie musiałby kurtuazyjnie obchodzić się z dzikusami ze wzgórz.

- Wen Chao wysoko cię ocenił, a ja ufam jego rekomendacji - powiedział. - Ale pomówimy o tym po posiłku.

Uśmiechnął się na myśl o uczcie i już czuł zapach baraniny skwierczącej na ogniu w jurtach.

- Jest tatarski obóz o miesiąc drogi stąd na północ - powiedział Temudżyn, ignorując zaproszenie. - Jest tam może ze stu wojowników. Jeśli powiększysz moje siły o trzydziestu ludzi z twojego plemienia, przyniosę ci głowy Tatarów i pokażę, co możemy osiągnąć.

Togrul zamrugał oczami. Stał na czele dużego obozu i wielu uzbrojonych ludzi. Zwracał się do człowieka, którego musiał przeciągnąć na swoją stronę, ale on mówił tak, jakby to Togrul miał się przed nim kłaniać. Chan zastanawiał się przez chwilę, czy nie powinien przypomnieć przybyszowi o swojej pozycji, ale nie zdecydował się na to.

- O tym też pomówimy - powiedział. - Ale jeśli ze mną nie zjesz, poczuję się obrażony.

Temudżyn skinął głową. Togrul rozluźnił się, kiedy na zimne powietrze wyniesiono misy parującego mięsa. Zobaczył, jak spoczywają na nich spojrzenia przybyszów. Bez wątplenia

przymierali głodem w zimie. W środku koczowiska rozpalono ogień i Togruł skinał w tamtym kierunku, kiedy rozbłyły płomienie. Temudżyn wymienił uważne spojrzenia ze swoimi braćmi, którzy wzruszyli ramionami, a jeden z nich nawet się uśmiechnął na myśl o posiłku.

- A więc dobrze, mój panie - zgodził się niechętnie Temudżyn. - Najpierw zjemy.

- Czuję się zaszczycony - powiedział Togruł, nie mogąc wyzbyć się ostrej nutki w głosie.

Powtarzał sobie, że musi pamiętać o posiadłościach, jakie obiecał mu Wen Chao. Może ten jeździec sprawi, że przybliżą się one do niego.

*

Wen Chao dołączył do nich przy ogniu, kiedy słońce rozjaśniło horyzont. Jego służący wzgardzili matami dla ochrony przed chłodem ziemi. Zamiast tego wynieśli małą ławę dla swojego pana. Temudżyn patrzył z zaciekawieniem, jak służący przyprawili mięso proszkiem z małych buteleczek, zanim rozdali posiłek. Togruł strzelił palcami, żeby zajęto się jego porcją, i słudzy pospieszyli wykonać rozkaz. Najwyraźniej nie był to pierwszy raz, gdy chan Kereitów wydał takie polecenie.

Żołnierze Wena Chao nie przyłączyli się do uczy. Temudżyn zauważył, że pierwszy z nich, Yuan, ustawił ich w pozycjach obronnych wokół obozu na czas posiłku ich mistrza, który najwyraźniej nie zwracał na nich uwagi.

Togruł nie wdawał się w rozmowę, dopóki nie zaspokoił apetytu. Dwa razy Temudżyn zaczął mówić, ale Togruł za każdym razem tylko pokazywał na jedzenie, zbyt zajęty własną porcją. Było to irytujące i Temudżyn był pewien, że dostrzega iskierkę rozbawienia w oczach Wena Chao. Niewątpliwie wspominał własne zaskoczenie ogromnymi zdolnościami jedzenia i picia u Togruła. Tłusty chan mógł to robić najwyraźniej bez ustanku i Temudżyn, i jego bracia skończyli na długo przed nim, wyprzedzeni tylko przez Wena, który jadł jak ptaszyna.

W końcu Togruł uznał się za najedzonego i ukrył czknięcie, zatykając usta dłonią.

- Jak widzisz, nie głodowaliśmy w zimie - powiedział radośnie i poklepał się po brzuchu.

- Duchy były przychylne Kereitom.

- I będą hojne w przyszłości - dodał Wen Chao i spojrzał na Temudżyna. - Cieszę się, że przyjąłeś propozycję, którą ci złożyłem, mój panie.

Ostatnie słowa zabrzmiały w jego ustach dziwnie fałszywie, ale Temudżyn przyjął je jak prawdę.

- Po cóż jestem tu potrzebny? - zapytał Togruła. - Masz dość ludzi i broni, żeby samemu zgnieść Tatarów. Po cóż wzywałeś moich ludzi?

Togruł uniósł rękę, żeby wytrzeć tłuste usta wierzchem dłoni. Najwyraźniej wyczuł jednak na sobie wzrok Wena Chao i zamiast tego sięgnął w tym celu po kawałek płótna.

- Twoje imię jest znane, Temudżynie. To prawda, że Kereici są silni, zbyt silni, aby atakowało ich inne plemię, ale Wen przekonał mnie o konieczności poprowadzenia walk dalej na północy, tak jak ty to robisz.

Temudżyn milczał. Jedno spojrzenie na potężnego chana wystarczyło, żeby odgadnąć, czemu sam nie prowadził swoich ludzi do walki. Zastanawiał się, czy Togruł mógłby chociaż jechać konno przez więcej niż tylko kilka mil. Widział jednak setki Kereitów w koczowisku i dalszych pięćdziesięciu, którzy dołączyli do nich przy ogniu. Plemię było większe od Wilków, a nawet Ołkunutów. Na pewno wśród tych ludzi był ktoś, kto mógłby poprowadzić podjazd! Nie wypowiedział na głos swoich myśli, ale Togruł zobaczył jego minę i zaśmiał się.

- Mógłbym kazać atakować Tatarów jednemu z moich druhów, czyż nie? Jak długo by to trwało, zanim przyszedłby do mnie i poderznął mi gardło nożem schowanym w rękawie delu?

Nie jestem głupcem, Temudżynie, nie myśl sobie. Kereici urosli w siłę, bo dbam o nich, a Wen Chao przyprowadza nam konie, jado i złoto ze wschodu. Moze pewnego dnia bede dogladal własnych ziem w jego kraju. Kereici doświadczą pokoju i obfitości za mojego życia, jeśli tylko uda mi się zepchnąć Tatarów.

- Zabrałbyś całe plemię Kereitów do państwa Kin? - zapytał z niedowierzaniem Temudżyn. Togrul wzruszył ramionami.

- A czemu nie? Tak trudno wyobrazić sobie życie bez tuzina jazgoczących plemion wokół, dybiących na każdą słabość? Wen obiecał nam ziemię i Kereici będą tam rośli w siłę.

Temudżyn spojrział ostro na chińskiego wysłannika.

- Słyszałem już dość obietnic - powiedział. - Ale nie widziałem jeszcze nic rzeczywistego oprócz obrazków na papierze. Gdzie są te kuce, które mi obiecano, gdzie te zbroje i broń?

- Jeśli dojdziemy dziś do porozumienia, wyślę posłańca do miasta Kaifeng. Dostaniesz je za niecały rok - odparł Wen.

Temudżyn potrząsnął głową.

- Kolejne obietnice - powiedział. - Porozmawiajmy o rzeczach, których mogę dotknąć. Spojrział na Togrula, a jego jasne oczy zdawały się płonąć złotym blaskiem w świetle poranka.

- Powiedziałem ci, że jest obóz tatarski na północ stąd. Moi bracia i ja wybadaliśmy go dokładnie i wiemy, jak rozstawiają ludzi. Podjechaliśmy za mniejszą grupą aż na odległość jednego dnia jazdy i nie wykryto nas. Jeśli chcesz, żebym poprowadził natarcie z twoimi ludźmi, daj mi zaprawionych w boju wojowników, a zmiażdżę Tatarów. Niech to przypieczętuje nasz układ, a nie dary, które mogą tu nigdy nie dotrzeć.

Wen Chao był wściekły, że wątpiono w jego słowa. Jednak jego twarz nie zdradzała tego, kiedy się odezwał.

- Miałeś szczęście, że nie spotkałeś się z podjazdem z tamtego koczowiska, mój panie. Natknęliśmy się na nich w drodze do Kereitów.

Temudżyn spojrział blado na chińskiego dyplomatę.

- Wszyscy nie żyją - powiedział. Wen siedział jak kamień i trawił nowinę. - Śledziliśmy niedobitków powracających do głównego koczowiska.

- Pewnie dlatego sprowadziłeś tak niewielu ludzi do Kereitów - powiedział Wen i skinął. - Rozumiem.

Temudżyn ściągnął brwi. Podał przesadzoną liczebność swoich ludzi i przyłapano go, ale nie mógł tego darować.

- Straciliśmy czterech ludzi w podjeździe, a zabiliśmy trzydziestu. Mamy ich konie i broń, ale nie mamy ludzi, którzy mieliby na nich jeździć, chyba że znajdziemy ich tutaj.

Togrul spojrział na Wena Chao z zaciekawieniem, wypatrując jego reakcji.

- Dobrze się spisali, Wenie, czyż nie? Zasluguje na sławę, którą sobie zdobył. Przynajmniej sprowadziłeś właściwych ludzi do Kereitów.

Wzrok chana spoczął na kilku ostatnich tłustych kawałkach mięsa na tacy. Sięgnął po nie i podniósł do ust najtłustszy kawałek.

- Dostaniesz swoich trzydziestu ludzi, Temudżynie, najlepszych spośród Kereitów. Przynies mi sto głów, a każę wpisać twoje imię do pieśni mojego ludu.

Temudżyn uśmiechnął się sztywno.

- Zaszczycasz mnie, mój panie, ale jeśli przyniosę ci sto głów, będę chciał stu wojowników latem.

Patrzył, jak Togrul wyciera sobie ręce płótnem w zamyśleniu. Chan był wprost obrzydliwie

otyły, ale Temudżyn nie wątpił w wielką inteligencję, która czaiła się w jego ciemnych oczach. Togrul już wypowiedział swoje obawy, że mógłby zostać zdradzony. Jakże mógłby zaufać obcemu bardziej niż współplemieńcowi? Temudżyn zastanawiał się, czy Togrul wierzył, że kereicy wojownicy powrócą do jego jurt niezmienni po wyprawie przeciw Tatarom. Pamiętał słowa, jakie wypowiedział dawno temu jego ojciec. Nie było więzi silniejszej niż więź między ludźmi, którzy wspólnie ryzykowali życie. Mogła być silniejsza niż więź z rodziną czy plemieniem i Temudżyn miał zamiar przejąć tych kereickich wojowników jako własnych.

W końcu Wen Chao przerwał milczenie, być może odgadując wahanie Togrula.

- Poświęć tylko jeden rok na wojnę - powiedział do Togrula - a kolejne trzydzieści przeżyjesz w pokoju. Będiesz rządził krainami piękna.

Mówił niemal szeptem, a Temudżyn patrzył na niego z rosnącą niechęcią. Togrul nie poruszył się, kiedy słowa dobiegły jego uszu, ale po chwili skinął, zadowolony.

- Dam ci najlepszych ludzi, żebyś zgniół koczowisko Tatarów - powiedział. - Jeśli ci się uda, może powierzę ci więcej. Nie będę cię obdarzał kolejnymi obietnicami, skoro nimi gardzisz. Możemy sobie pomagać, a każdy z nas dostanie, czego chce. Jeśli pojawi się zdrada, zajmę się nią jak na zdradę przystało.

Temudżyn zachował chłodny wyraz twarzy, kiedy odpowiadał, chociaż wrzał w nim gniew.

- A więc uzgodniliśmy. Twój człowiek też mi się przyda, Wenie Chao. Ten, którego nazywasz Yuanem.

Wen siedział w zupełnym bezruchu i zastanawiał się. W istocie miał zaproponować to samo i dziwił się własnemu szczęściu. Udał, że niechętnie odnosi się do pomysłu.

- Na to pierwsze natarcie możesz go zabrać. To znakomity żołnierz, chociaż wolałbym, żeby nie wiedział, że to powiedziałem.

Temudżyn wyciągnął rękę i Togrul pierwszy wziął ją w grube palce, zanim Wen położył na nich swoją bardziej kościstą dłoń.

- Sprawię, że będą śmigać po stepie - powiedział Temudżyn. - Każ tu przyjść temu Yuanowi, Wenie Chao. Chcę przetestować jego zbroję i zobaczyć, czy możemy zrobić więcej.

- Każę przysłać sto zestawów w ciągu roku - zaprotestował Wen.

Temudżyn wzruszył ramionami.

- Za rok mogę już być martwy. Sprowadź twojego człowieka.

Wen skinął na jednego ze swoich zawsze obecnych służących, który oddalił się pospiesznie, aby po kilku chwilach wrócić z Yuanem. Twarz żołnierza była całkowicie wyzuta z emocji, kiedy skłonił się najpierw Togrulowi i Wenowi Chao, a potem samemu Temudżynowi. Temudżyn zbliżył się do niego, a Wen szczechnął rozkazy w swoim języku. Cokolwiek powiedział chiński dyplomata, sprawiło to, że Yuan stał jak posąg, kiedy Temudżyn uważnie przyglądał się jego zbroi i patrzył, jak nakładające się na siebie panele były połączone i przyszyte do ciężkiego, surowego materiału pod spodem.

- Zatrzyma strzałę? - zapytał Temudżyn.

Yuan opuścił wzrok i skinął.

- Jedną z waszych, tak - odparł.

Temudżyn uśmiechnął się sztywno.

- Stój spokojnie, Yuanie - powiedział i odszedł na pewną odległość.

Wen Chao patrzył z zaciekawieniem, jak Temudżyn podnosi łuk, przypina cięciwę i osadza na niej strzałę. Yuan nie okazywał strachu i Wen był dumny z jego pozornego spokoju, kiedy

Temudżyn naciągnął cięciwę za ucho i przez chwilę trzymał łuk w doskonałym bezruchu, mierząc do celu.

- Przekonajmy się - powiedział i gwałtownie posłał strzałę.

Pocisk trzasnął w zbroję na tyle mocno, żeby przewrócić Yuana na plecy. Leżał przez chwilę oszołomiony i kiedy Temudżyn pomyślał już, że nie żyje, uniósł głowę i dźwignął się na nogi. Jego twarz była nieprzenikniona, ale Temudżyn dostrzegł błysk w jego oczach, który zdradzał, że gdzieś wewnątrz kipiały emocje.

Temudżyn zignorował okrzyki wstrząśniętych Kereitów wkoło. Togruł wstał, a jego druhowie szybko zasłonili go przed obcym własnymi ciałami. Ostrożnie, żeby ich nie niepokoić, Temudżyn odłożył łuk i zdjął cięciwę, zanim podszedł do Yuana.

Strzała przeszła pierwszą warstwę lakierowanego żelaza, ale grot utkwiał w grubym płótnie pod spodem, tak że brzechwa wystawała i drżała przy każdym oddechu Yuana. Temudżyn rozwiązał mocowania na gardle i piersi strażnika, a potem rozchylił jedwabną tunikę, zupełnie obnażając jego pierś.

Na skórze Yuana widniał siniec wokół owalnego zranienia. Cienka strużka krwi ciekła po mięśniach wojownika w kierunku brzucha.

- Wciąż możesz walczyć? - zapytał Temudżyn.

- Sprawdź mnie - wycedził napiętym głosem Yuan.

Temudżyn zaśmiał się z gniewu, który dostrzegał. Wojownik odznaczał się wielką odwagą i Temudżyn poklepał go po plecach. Przyjrzał się bliżej dziurze pozostawionej przez strzałę.

- Tunika nie jest rozerwana - powiedział, dotykając krwawej plamki na materiale.

- To bardzo silne włókno - odparł Yuan. - Widziałem rany, w których materiał wbił się głęboko w ciało, ale się nie rozerwał.

- Gdzie mogę znaleźć takie ubrania? - mruknął Temudżyn.

Yuan spojrzał na niego.

- Tylko w miastach Kin.

- Może pošlę po trochę takich - powiedział Temudżyn. - Nasza gotowana skóra nie zatrzymuje strzał tak dobrze jak to. Może nam się przydać taka zbroja. - Odwrócił się do Togruła, który wciąż stał wstrząśnięty tym, co zaszło. - Czy Kereici mają piec? Żelazo?

Togruł przytaknął milcząco i Temudżyn spojrzał na Arslana.

- Umiesz zrobić taką zbroję?

Arslan podszedł przyjrzeć się Yuanowi, tak jak wcześniej zrobił to Temudżyn. Wyciągnął strzałę i przyjrzał się rozerwanej powierzchni szarego metalu. Lakier odpadł w odpryskach, zanim przepuścił strzałę. Pod naciskiem palców Arslana, odpadło ostatnie mocowanie i zostało mu w rękach.

- Musielibyśmy nosić zapasowe - powiedział Arslan. - Ta się już nie nadaje.

Yuan wodził wzrokiem za odłamany kawałek żelaza w rękach Arslana. Jego oddech się uspokoił i Temudżyn nie mógł oprzeć się podziwowi dla opanowania żołnierza.

- Jeśli zostaniemy u Kereitów przez pięć dni, ile zestawów możemy mieć? - Temudżyn nalegał na odpowiedź.

Arslan potrząsnął głową i zamyślił się.

- Te cienkie żelazne panele nie są trudne do wykucia, ale każdy trzeba obrabiać ręcznie. Jeśli zostawię je surowe i będę miał pomocników przy piecu i kobiety do zszywania... - Urwał i znowu się zamyślił. - Pewnie trzy, może więcej.

- Więc to jest twoje zadanie - powiedział Temudżyn. - Jeśli Wen Chao użyczy nam więcej

zbroi swojej straży, będziemy mieli oddział, którego Tatarzy nie zwyciężą. Sprawimy, że będą się nas bali.

Wen wydał wargi w zamyśleniu. Była to prawda, że pierwszy minister mógł przysłać złoto i konie na jego prośbę. Dwór nie oszczędzał na materiałach, żeby przekupić plemiona. Nie był jednak pewien, czy z równą hojnością zostaną tu przysłane broń i zbroje. Tylko głupiec rozdawał wyposażenie, dzięki któremu miał przewagę na wojnie, mimo wszystkich obietnic, jakie Wen złożył młodemu najeźdźcy. Gdyby pozwolił Temudżynowi zabrać zbroję swoich ludzi, nie wątpił, że wzbudziłoby to zdziwienie na dworze, gdyby się tam o tym kiedyś dowiedziano, ale jakie miał wyjście? Skłonił się z wymuszonym uśmiechem.

- Są twoje, mój panie. Każę ci je przynieść dziś wieczorem. Niemal wzdrygnął się na myśl o ludziach Temudżyna równie dobrze uzbrojonych jak każdy żołnierz państwa Kin. Może z czasem będzie musiał zabiegać o względy Tatarów, żeby przy ich pomocy opanować potęgę mongolskich plemion? Zastanawiał się, czy nie przedłużył sobie właśnie pobytu na stepach, i myśl taka wprawiła go w melancholię.

*

Następnego wieczora w koczowisku Kereitów Kasar tak mocno uderzył najmłodszego brata, że Temüge aż się zatoczył. Trzynastolatek nie miał w sobie nic z ognia jego starszych braci i łzy stanęły mu w oczach, chociaż próbował się opanować.

- Za co to było? - zapytał.

Kasar westchnął.

- Jak to możliwe, że jesteś synem naszego ojca, mały? - zapytał retorycznie. - Kacziun urwałby mi głowę, gdybym spróbował tak go uderzyć, a jest tylko kilka lat starszy od ciebie.

Z krzykiem Temüge rzucił się na Kasara, ale zaraz upadł na ziemię, kiedy brat trzasnął go znowu.

- Tak było już trochę lepiej - przyznał niechętnie Kasar. - Ja zabiłem już człowieka, gdy byłem w twoim wieku...

Urwał wstrząśnięty widokiem chlapiącego Temügego, któremu łzy ciekły już po policzkach.

- Tylko mi nie mów, że płaczesz! Kacziun, możesz w to uwierzyć?

Kacziun leżał na posłaniu w rogu jurty i spokojnie smarował łuk olejem. Urwał, kiedy padło pytanie, i spojrzał na Temügego, który wycierał sobie nos i oczy.

- Jest jeszcze dzieckiem - powiedział i wrócił do pracy.

- Nieprawda! - krzyknął Temüge, czerwony na twarzy.

Kasar roześmiał się.

- Płaczesz, jakbyś był - powiedział z kpina. - Gdyby Temudżyn cię teraz zobaczył, zostawiłby cię dla psów.

- Nieprawda - kłócił się Temüge i znowu łzy stanęły mu w oczach.

- Prawda i dobrze o tym wiesz. Rozebrałby cię do naga i zostawił na wzgórzu, żeby pogryzły cię wilki - ciągnął Kasar ze smutną miną. - Lubią dzieci z powodu miękkiego mięsa.

Temüge prychnął z pogardą.

- Powiedział, że mógłbym jechać z nim przeciw Tatarom, gdybym zechciał - obwieścił.

Kasar wiedział, że Temudżyn to zaproponował, ale udał zdumienie.

- Co? Taki szczeniak jak ty? Przeciw tym wielkim, włochatym Tatarom? Są gorsi niż wilki, chłopcze, ci wojownicy. Wyżsi od nas i bladzi na twarzy, jak duchy. Niektórzy mówią, że są duchami i przyjdą po ciebie, jak zaśniesz.

- Zostaw go - mruknął Kacziun.

Kasar zastanowił się, po czym ustąpił niechętnie. Kacziun wziął jego milczenie za zgodę i usiadł na łóżku.

- Nie są duchami, Temüge, ale są twardymi ludźmi, wprawnymi w łucznictwie i walce na miecze. Nie masz jeszcze dość siły, żeby się z nimi zmierzyć.

- Ty w moim wieku byłeś - powiedział Temüge.

Ciekło mu z nosa i Kasar zastanawiał się, czy śluz spadnie chłopcu na usta. Patrzył z zaciekawieniem, jak Kacziun wyciągnął nogi na podłogę i zwrócił się do Temüego.

- Potrafiłem strzelać z łuku lepiej od ciebie, kiedy byłem w twoim wieku, tak. Ćwiczyłem każdego dnia, aż ręce mi drętwiały, a palce krwawiły.

Poklepał swoje prawe ramię lewą dłonią, wskazując rozrośnięty mięsień. Był większy niż na lewym ramieniu i napinał się przy każdym ruchu.

- To rozbudowało moją siłę, Temüge. Czy robiłeś to samo? Zawsze, kiedy cię widzę, bawisz się z dziećmi albo rozmawiasz z matką.

- Ćwiczyłem - powiedział ponuro Temüge, chociaż obydwaj wiedzieli, że kłamię albo przynajmniej przekręca prawdę.

Nawet z kościanym pierścieniem dla ochrony palców był marnym łucznikiem. Kacziun zabierał go wiele razy i biegał z nim, hartując jego wytrzymałość. Najwyraźniej nie poprawiało to jednak oddechu chłopca. Po pierwszej mili dyszał już ciężko.

Kasar potrząsnął głową, jakby znużony.

- Jeśli nie potrafisz strzelać z łuku i nie jesteś dość silny, by używać miecza, co zrobisz - chcesz ich zakopać na śmierć? - zapytał.

Pomyślał, że mały chłopczyk znowu rzuci się na niego, ale Temüge się poddał.

- Nienawidzę was - powiedział. - Mam nadzieję, że Tatarzy zabiją was obu.

Próbował wybiec z jurty, ale Kasar umyślnie podstawił mu nogę tak, że Temüge runął jak długi u progu. Wybiegł potem, nie oglądając się za siebie.

- Jesteś dla niego zbyt surowy - powiedział Kacziun i znowu sięgnął po łuk.

- Nie. Jeśli raz jeszcze usłyszę, jaki z niego „wrażliwy chłopiec”, chyba zwrócę obiad. Czy wiesz, z kim dzisiaj rozmawiał? Z tym dyplomatą z państwa Kin, Wenem Chao. Słyszałem, jak trajkotali o ptaszkach czy o czymś tam, kiedy przechodziłem obok. I powiedz mi, co z niego będzie.

- Nie wiem, ale to jest mój mały braciszek i chcę, żebyś przestał zrzędzić na jego temat jak starucha, czy to tak wiele?

W głosie Kacziuna brzmiała nutka groźby i Kasar zastanawiał się nad odpowiedzią. Wciąż mógł wygrać z nim w bójce, ale z kilku ostatnich wyszedł z tak wieloma bolesnymi sińcami, że nie prowokował ich już tak łatwo.

- Każdy traktuje go inaczej i jaki z niego wojownik? - zapytał retorycznie Kasar.

Kacziun podniósł wzrok.

- Może będzie szamanem albo pieśniarzem, takim jak stary Czagataj.

Kasar prychnął.

- Czagataj był wojownikiem za młodu, a przynajmniej tak zawsze mówił. To nie jest zadanie dla młodzieńca.

- Pozwól mu znaleźć jego ścieżkę, Kasarze - powiedział Kacziun.

- Może to nie ta, po której chcemy go prowadzić.

*

Börte i Temudżyn leżeli razem, nie dotykając się. Ostatnim razem kochali się ze świeżą

krwią na ustach pierwszej nocy po pogoni za Tatarami, chociaż Börte krzyczała wtedy z żalu i bólu, kiedy położył się na niej. Mógłby wtedy przestać, ale Börte złapała go za pośladki i przytrzymała go w sobie, chociaż łzy ciekły jej po twarzy.

To był jedyny raz. Od tamtego dnia nie mogła zdobyć się na to, żeby pozwolić mu dotknąć się znowu. Kiedy wchodził w futra, całowała go i wtulała się w jego ramiona, ale nic więcej. Jej miesięczna krew nie pojawiła się od wyjazdu od Ołkunutów, ale teraz Börte obawiała się o dziecko. Musiało być jego, była tego niemal pewna. Widywała czasami, jak wiele psów dosiadało sukę w koczowisku Ołkunutów. Niekiedy szczenięta miały barwę więcej niż jednego ojca. Börte nie wiedziała, czy to samo mogło czekać i ją, a bała się spytać Höelün.

W mroku obcej jurty zapłakała znowu u boku śpiącego męża, chociaż sama nie wiedziała dlaczego.

ROZDZIAŁ 28

Temudżyn otarł gniewnie pot z oczu. Pancierz, który zrobił Arslan, był o wiele cięższy, niż się spodziewał. Czuł się, jakby owinięto go w dywan, a ramię z mieczem najwyraźniej straciło połowę prędkości. Stał przed Yuanem o wschodzie słońca i ku swojemu rozdrażnieniu widział, jak wojownik nosi taką samą zbroję bez najmniejszych śladów potu na czole.

- Jeszcze raz - rzucił Temudżyn.

Oczy Yuana błysnęły w rozbawieniu, kiedy skłonił się i uniósł miecz. Mówił im, żeby nosili zbroję przez cały czas, aż stanie się ich drugą skórą. Nawet po tygodniu, którego potrzebowali na przebycie drogi powrotnej do tatarskiego obozu, byli o wiele za wolni. Temudżyn zmuszał swoich ludzi do ćwiczeń przez dwie godziny o świcie i zmierzchu, niezależnie od tego, czy nosili zbroje czy nie. Spowalniało to marsz sześćdziesięciu żołnierzy, którzy wyjechali za nim z koczowiska Kereitów, ale Yuan popierał te wysiłki. Bez tego uzbrojeni wojownicy byłiby jak żółwie, które zapamiętał z rodzinnych stron. Mogliby przetrwać pierwszy atak tatarskich łuczników, ale na ziemi byłiby łatwym celem.

Z pomocą kereickich płatnerzy Arslan wykonał cztery zestawy metalowych szat. Do tego Wen spełnił obietnicę i dostarczył im jeszcze dziesięć zbroi, zachowując tylko jedną dla swojego osobistego strażnika. Yuan sam go wyznaczył, upewniwszy się, że rozumiał on swoje zadania.

Temudżyn miał na sobie jedną z nowych zbroi z metalowym długim panelem na piersi i kilkoma mniejszymi dla ochrony stawów i ud. Ochraniacze na ramiona sięgały mu od karku do łokcia i to one sprawiały mu najwięcej trudności. Yuan natomiast stale uchylał się przed ciosami, z łatwością ich unikając przy spowolnionych ruchach Temudżyna.

Patrzył, jak Temudżyn podchodzi do niego, i odgadywał jego zamiary z jego chodu. Młody chan mocniej opierał się na lewej stopie i Yuan spodziewał się, że wyprowadzi cios od dołu z lewej strony, unosząc ostrze ku górze. Walczyli na ostre miecze, ale jak dotąd żaden z nich nie znalazł się w poważnym niebezpieczeństwie. Yuan był zbyt perfekcjonistą, żeby zranic przeciwnika na ćwiczeniach, a Temudżynowi nigdy nie udało się podejść dość blisko.

W ostatniej sekundzie Temudżyn przesunął ciężar ciała, przechodząc z cięcia do wypadu. Yuan cofnął prawą nogę, żeby usunąć ją z drogi, i pozwolił, żeby ostrze zazgrzytało o zewnętrzne panele jego zbroi. Nie bał się uderzenia, któremu nie towarzyszyła siła i była to kolejna rzecz, jakiej musiał nauczyć się Temudżyn. Wiele ciosów można było po prostu zignorować albo zyskać dzięki nim przewagę.

Kiedy ostrze ześlizgnęło się po zbroi Yuana, żołnierz wystąpił szybko w przód i lekko dotknął Temudżyna w nos głównią swojego miecza. Jednocześnie gwałtownie wypuścił powietrze z płuc wydając krótki okrzyk, po czym cofnął się na poprzednią pozycję.

- Jeszcze raz - powiedział z rozdrażnieniem Temudżyn i ruszył się, zanim Yuan ustawił się do obrony.

Tym razem chan trzymał miecz nad głową i zadał cięcie ku dołowi. Yuan sparował cios własnym mieczem i obaj zderzyli się piersiami ze szczękiem zbroi. Temudżyn ustawił stopę za Yuanem i żołnierz upadł na plecy.

Patrzył na Temudżyna z ziemi, czekając na kolejny cios.

- I co?

- Jak to co? - zdziwił się Temudżyn. - Teraz wraziłbym ci miecz prosto w pierś.

Yuan nie ruszył się.

- Nie zdołałbyś. Jestem wyszkolony do walki w każdej pozycji.

Wierznął nogą i łatwo powalił Temudżyna na ziemię.

Temudżyn podniósł się na nogi z napięciem na twarzy.

- Gdybym nie miał na sobie ciężkiej zbroi, nie przyszłoby ci to tak łatwo - powiedział.

- Zastrzeliłbym cię z oddali - odparł Yuan. - Albo twojego konia, gdybyś sam nosił zbroję.

Temudżyn znowu unosił miecz. Nadgarstki piekły go ze zmęczenia, ale był zdeterminowany zadać jeden porządny cios, zanim wyruszą w dalszą całodzienną jazdę. Zamiast tego zamarł w bezruchu.

- Trzeba więc uzbroić konie, wystarczy głowę i pierś.

Yuan skinął.

- Widywałem już takie rzeczy. Żelazne panele można przyszyć do skórzanej uprzęży równie łatwo jak twoją zbroję.

- Jesteś wprawnym nauczycielem, Yuanie, czy już ci o tym mówiłem? - powiedział Temudżyn.

Yuan popatrzył na niego uważnie, spodziewając się kolejnego ciosu. W istocie wciąż był jeszcze pod wrażeniem spokoju, z jakim Temudżyn zdawał się raz po raz przyjmować przegraną na oczach jego ludzi. Yuan nie potrafił wyobrazić sobie swoich dowódców po takim pokazie. Nie znieśliby upokorzenia, ale Temudżyn wydawał się nieświadom tego albo o to nie dbał. Koczownicy byli dziwnym ludem, ale szybko chłonęli wiedzę, kiedy Yuan opowiadał im o nowych zbrojach. Czasem nawet omawiał taktykę z Temudżynem i jego braćmi. Było to dla Yuana nowe doświadczenie, że młodszy mężczyźni słuchali go tak uważnie. Kiedy strzegł Wena Chao, wiedział, że istnieje po to, by oddać życie za ambasadora albo przynajmniej zabić jak najwięcej wrogów, zanim polegnie. Żołnierze, którzy towarzyszyli mu na stepach, znali swoje rzemiosło i Yuan rzadko musiał ich upominać. Teraz przekonał się, że uczenie sprawiało mu przyjemność.

- Jeszcze raz - usłyszał głos Temudżyna. - Zaatakuję z lewej.

Yuan uśmiechnął się. Przy ostatnich dwóch razach, kiedy Temudżyn postanowił go ostrzec, cios nadszedł z prawej strony. Nie miało to szczególnego znaczenia, ale Yuana rozbawiała próba zmylenia go.

Temudżyn natarł gwałtownie, a jego cios był szybszy niż poprzednie. Yuan zobaczył, jak przeciwnik opuszcza ramię i uniósł miecz. Za późno na skorygowanie obrony spostrzegł, że Temudżyn umyślnie kieruje cios w lewo. Yuan wciąż jeszcze mógł sparować, ale zdecydował, że tego nie zrobi, i pozwolił, żeby koniuszek miecza dyszącego Temudżyna spoczął mu na gardle.

- Tak lepiej - powiedział Yuan. - Stajesz się szybszy pod zbroją.

Temudżyn skinął.

- Umyślnie przepuściłeś ostrze?

Yuan pozwolił sobie na uśmiech.

- Kiedy nauczysz się więcej, sam będziesz wiedział.

*

W pełnym galopie Yuan rozglądał się na prawo i lewo i widział, jak bracia Temudżyna utrzymywali zwarty szereg. Ćwiczenia trwały cały dzień i Yuan musiał teraz rozwiązywać problemy zmasowanego ataku. Jechał z łukiem przytroczonym do siodła, a umiejętności

łucznicze sześćdziesięciu żołnierzy nie ulegały wątpliwości. Togrul dodał do grupy dwudziestu własnych druhów. Byli w dobrej kondycji i dobrze przeszkoleni, ale nie mieli doświadczenia w walce i Temudżyn na początku bardzo na nich złorzeczył. Jego jeźdźcy natychmiast wykonywali jego rozkazy, podczas gdy nowi ludzie zawsze się ociągali.

Yuana zaskoczyło, że dostał dowództwo nad lewym skrzydłem. Pozycja ta wymagała starszego oficera i Yuan spodziewał się, że przypadnie ona w udziale Kasarowi. A na pewno tak właśnie sądził Kasar. Uwadze Yuana nie uszły gniewne spojrzenia, jakie kierował na niego brat Temudżyna, kiedy jechał z własnym harbanem tylko na środkowej pozycji. Po szkoleniu każdego dnia Temudżyn zbierał ich wszystkich wokół ogniska i wydawał rozkazy na kolejny dzień. Może nie miało to znaczenia, ale włączył Yuana do swojej rady, razem z Dżelmem i Arslanem, zadającymi tysiące pytań. Kiedy Yuan odpowiadał, słuchali uważnie. Czasami Temudżyn przerywał mu kręceniem głowy i Yuan rozumiał jego obawy. Ludzie pod wodzą Temudżyna nie walczyli razem od lat. Były granice, czego mogli się nauczyć w krótkim czasie, nawet przy bezwzględnej dyscyplinie.

Yuan usłyszał dwa krótkie dźwięki z rogu Temudżyna. Był to znak, że lewe skrzydło miało wyjechać naprzód, zakrzywiając linię. Wśród tętentu kopyt Yuan wymienił spojrzenia z Kasarem i oba harbany pospieszyły na swoje nowe pozycje.

Yuan rozejrzał się. Manewr dobrze się udał i tym razem nawet druhowie Togrula usłyszeli wezwanie i odpowiedzieli. Byli coraz lepsi i Yuan poczuł iskierkę dumy w sercu. Gdyby jego dawni dowódcy go teraz widzieli, śmiałyby się do rozpuku. Pierwszy miecz w Kaifengu, a jeździł po stepie z bandą dzikusów. Próbował kpić z siebie, tak jak zrobiliby to żołnierze w jego kraju, ale z jakiegoś powodu jego serce nie było w nastroju.

Temudżyn wydobył pojedynczy dźwięk z rogu i prawe skrzydło ruszyło naprzód, zostawiając środek za sobą. Yuan zerknął na Kacziuna i Dżelmego po tamtej stronie oddziału, jadących ponuro w swoich zbrojach. Jeźdźcy wokół brata Temudżyna jechali w nieregularnym szyku, ale zaraz uformowali linię i z dudnieniem kopyt pognali naprzód jak jeden mąż. Yuan kiwnął sam do siebie głową i nabrał apetytu na nadchodzącą bitwę.

Z tyłu zabrzmiał przeciągły głos rogu Temudżyna. Zwolnili jednocześnie, a każdy z dowódców wykrzykiwał rozkazy w swoich harbanach. Spienione kuce zwolniły do cwału, a potem do kłusa, a Temudżyn nakazał wymarsz środkowej grupie z Arslanem.

Temudżyn ruszył naprzód, kiedy szyk uformował się na nowo, i skierował swojego wierzchowca na lewe skrzydło. Yuan pozwolił się dogonić i zobaczył, że twarz Temudżyna czerwona była z podniecenia, a oczy mu płonęły.

- Poślij naprzód zwiadowców, Yuanie - zawołał Temudżyn. - My pozwolimy kucom odpocząć podczas poszukiwań.

- Twoja wola, mój panie - odpowiedział bez namysłu Yuan.

Zdał sobie sprawę, że zwrócił się w ten sposób do barbarzyńcy, dopiero kiedy Temudżyn odwrócił się w siodle do dwóch młodych wojowników, ale wzruszył ramionami. Zbyt długo był żołnierzem, żeby wyzbyć się przyzwyczajęń i, prawdę powiedziawszy, czerpał przyjemność z przeistaczania koczowników w oddział bitewny.

- Tajanie, Rułaku, jedźcie naprzód aż do zmierzchu. Jeśli spotkacie kogoś więcej niż tylko kilku włóczęgów, zwracajcie.

Znał już wszystkie sześćdziesiąt imion, wbił je sobie w pamięć zgodnie z osobistym nawykiem. Obaj wojownicy byli z oddziału Temudżyna. Skłonili głowy, kiedy ich minął, i popędzili wierzchowce. Yuan starał się ukryć swoją satysfakcję, ale Temudżyn najwyraźniej i

tak wyczytał ją z jego twarzy.

- Chyba ci tego brakowało, nauczycielu - zawołał dołączając do szeregu. - Wiosna odezwała się w twoich żyłach!

Yuan nie odpowiedział. Dwa lata służył już w straży Wena Chao. Przysięga, którą składał cesarzowi, zmuszała go, by usłuchał każdego rozkazu wydanego przez prawowite zwierzchnictwo. Ale w głębi serca wiedział, że w słowach Temudżyna była prawda. Brakowało mu kamractwa wypraw wojennych, chociaż koczownicy nie mieli w sobie nic z ludzi, których znał dawniej. Miał nadzieję, że bracia przeżyją pierwszy szczeń broni.

*

Księżyc znowu świecił w pełni po miesiącu jazdy od koczowiska Kereitów. Niepohamowany entuzjazm pierwszych tygodni ustąpił miejsca ponuremu skupieniu. Nie było już tylu radosnych rozmów wokół ogniska, a zwiadowcy stawali zawsze na czatach. Znaleźli miejsce, w którym Temudżyn i jego bracia widzieli wielką grupę Tatarów. Szerniały kręgi w trawie przywiodły mroczne wspomnienia o ludziach, którzy tu byli. Szczególnie Kacziun i Kasar ucichli, kiedy na nowo znaleźli się w siodle. Noc, podczas której uratowali Börte, wyryła piętno w ich duszy, zbyt głębokie, żeby zapomnieli pieśń Temudżyna albo przyплыw siły, kiedy połykali mięso swoich wrogów. Nie rozmawiali o tym, co zrobili. Tamta noc wydawała się nie mieć końca, ale kiedy wreszcie przyszedł świt, przeszukali teren, żeby się dowiedzieć, dokąd Tatarzy chcieli zabrać Börte. Ich główne koczowisko nie było daleko. Ścigani jeźdźcy mogliby do niego dotrzeć jeszcze przed południem i Börte nie zostałaby uratowana przez całe miesiące albo nawet nigdy.

Temudżyn dotknął popiołu ogniska i skrzywił się. Był zimny.

- Poślij zwiadowców dalej - powiedział do braci. - Jeśli przyłapiemy ich w marszu, skończymy to szybko.

Tatarskie koczowisko było przygotowane na całą wiosnę, może zamierzano ścigać najeźdźców, którzy naprzykrzali się Tatarom przez całą zimę. Tatarzy przemieszczali się z wozami obładowanymi jurtami i z wielkimi stadami zwierząt, których odchody można było liczyć i czytać z nich. Temudżyn zastanawiał się, jak daleko byli wrogowie. Pamiętał swoje rozżalenie, kiedy leżał z tatarską krwią na ustach i obserwował spokojne koczowisko zbyt duże, żeby je zaatakować. Nie było mowy, żeby pozwolił im umknąć. Poszedł wtedy do Togrula, nie mając innego wyboru.

- Było tu wielu ludzi - zauważył Yuan przy jego ramieniu. Chiński wojownik policzył czarne kręgi i obejrzał ślady. - Więcej niż setka, o której mówiłeś Togrulowi.

Temudżyn spojrzał na niego.

- Być może. Nie jestem tego pewien.

Yuan patrzył na człowieka, który powiódł ich przez stepy, aby zabijali. Przeszło mu przez myśl, że lepiej by zrobili, biorąc pięćdziesięciu zamiast trzydziestu najlepszych ludzi Togrula. Byłoby ich wtedy więcej niż wojowników Temudżyna i może to właśnie nie było po myśli młodego wodza. Yuan zauważył, jak Temudżyn wymieszał te grupy, nakazując im pracować razem. Znana była jego reputacja okrutnika - i zwycięzcy. Już teraz patrzyli na niego jak na chana. Yuan zastanawiał się, czy Togrul był świadomy ryzyka, które podjął. Westchnął do siebie, kiedy Temudżyn odjechał, żeby porozmawiać z braćmi. Złoto i ziemia, dobrze wykorzystane, potrafiły nakłaniać do podjęcia wielkiego ryzyka. Wen Chao udowodnił tę prawdę.

Temudżyn skinął na swoich braci, łącznie z Temügem. Najmłodszy z braci otrzymał

najmniejszą zbroję. Ludzie Wena Chao dbali o lekkość konstrukcji, ale zbroja wciąż była dla niego za duża i Temudżyn stłumił uśmiech, kiedy Temüge sztywno obrócił się do niego, sprawdzając rzemienie i wodze.

- Dobrze się spisałeś, braciszku - powiedział Temudżyn, kiedy mijał Temügego. Usłyszał obok parsknięcie Kasara, ale zignorował je. - Wkrótce ich znajdziemy, Temüge. Będziesz gotów, kiedy ruszymy do natarcia?

Temüge uniósł wzrok na brata, którego czcił. Nie mówił o zimnym strachu, skręcającym mu trzewia, ani o tym, jak bardzo wyczerpała go jazda i jak bardzo obawiał się, że spadnie z siodła ku hańbie ich wszystkich. Za każdym razem, gdy zsiadał, czuł, jak bardzo zdrętwiały mu nogi, tak że musiał chwycić się kuca, by nie upaść na kolana.

- Będę gotowy, Temudżynie - powiedział z wymuszoną radością w głosie.

W głębi duszy ogarniała go jednak rozpacz. Wiedział, że jego umiejętności łucznicze ledwo były warte tej nazwy, a tatarski miecz, który otrzymał od Temudżyna, był za ciężki dla jego ręki. Miał mniejsze ostrze ukryte pod delem i miał nadzieję, że skorzysta właśnie z niego. Ale mimo tego myśl o cięciu skóry i mięśni, o krwi płynącej mu między palcami, wzbudzała w nim strach. Nie umiał być tak silny i bezwzględny jak inni.

Nie wiedział jeszcze, na co mógł się przydać któremukolwiek z nich, ale nie mógł znieść pogardy w spojrzeniu Kasara. Kacziun przyszedł do niego w noc przed wyjazdem i powiedział mu, że Börte i Höelün będą potrzebować wsparcia w koczowisku Kereitów. Była to jasna próba odsunięcia go od bitwy, ale Temüge odmówił. Jeśli potrzebowały wsparcia, nie wystarczyłoby pięćdziesięciu wojowników, żeby uratować je w samym środku obozu Kereitów. Ich obecność tam była zabezpieczeniem, żeby Temudżyn wrócił z głowami Tatarów, które obiecał.

Ze wszystkich braci tylko Temüge nie został dowódcą. Z Dżelmem, Arślanem i Yuanem Temudżyn miał całą szóstkę, której potrzebował. Temüge wiedział, że jest jeszcze za mały i za mało doświadczony w walce. Dotknął swojego długiego miecza, kiedy wsiadał i poczuł ostrość stali. Cały czas marzył o ocaleniu życia swoich braci, tak żeby spojrzeli na niego z podziwem i zdali sobie sprawę, że był prawdziwym synem Jesügeja. Nie chciał otrząsnąć się z tych marzeń. Zadygotał, kiedy znowu wyruszyli, bardziej niż inni odczuwając zimno. Spojrzał w głąb siebie w poszukiwaniu odwagi, która innym przychodziła tak łatwo, ale znalazł tylko przerażenie.

*

Zwiadowcy znaleźli główne siły Tatarów tylko dwa dni po tym, jak Temudżyn zjawił się na miejscu ich dawnego koczowiska. Nadjechali w pełnym galopie i zeskoczyli z siodła, żeby zdać sprawę Temudżynowi.

- Są w ruchu, mój panie - wybełkotał pierwszy. - Rozesłali zwiadowców na wszystkie strony, ale armia porusza się powoli przez sąsiednią dolinę i zmierza w naszym kierunku. Temudżyn obnażył zęby.

- Wysłali do nas trzydziestu ludzi i ani jeden nie wrócił żywy. Na pewno spodziewają się dużego plemienia w pobliżu. Dobrze. Jeśli są ostrożni, będą się wahać.

Uniósł ramię, żeby wezwać do siebie dowódców. Wszyscy widzieli podniecenie u zwiadowców i zjawili się szybko w oczekiwaniu wieści.

- Każcie swoim ludziom słuchać ich rozkazów - powiedział Temudżyn i wsiadł na kuca. - Jedziemy jak jeden mąż, równajcie do mnie. Jeśli ktoś złamie szyk, zostawię go dla jastrzębi.

Zobaczył uśmiechniętego Kasara i spojrział na niego piorunującym wzrokiem.

- Nawet jeśli będzie to mój brat, Kasarze, nawet wtedy. Posyłajcie strzały na moje wezwanie, potem chwycicie miecze. Uderzymy w nich jednym szeregiem. Jeśli stracie konia, przeżyjcie tak długo, aż reszta zakończy zabijanie.

- Nie będziesz brał jeńców - zapytał Arsłan.

Temudżyn nie wahał się.

- Jeśli ktoś przeżyje natarcie, zapytam ich, żeby dowiedzieć się więcej. Potem nie będą mi już potrzebni. Nie powiększę naszych oddziałów o wrogów naszej krwi.

Rozkazy szybko rozniosły się wśród wojowników, kiedy wrócili do nich ich dowódcy. Jechali stępą w jednym szeregu. Kiedy dotarli do grzbietu wzgórza, wszyscy ujrzeli oddział Tatarów z jeźdźcami i wozami wolno przemierzający równinę.

Jak jeden mąż ruszyli w kierunku wrogów. Temudżyn usłyszał dalekie ostrzegawcze brzmienie rogów i odtoczył łuk, po czym przyczepił i sprawdził cięciwę. Sięgnął za siebie, żeby otworzyć kołczan przypięty z tyłu siodła, wyciągnął pierwszą strzałę i powiódł kciukiem po bełcie. Strzała popędzi prosto i pewnie, tak jak i oni.

ROZDZIAŁ 29

Tatarom nie brakowało odwagi. Kiedy ich rogi zabrzmiały ostrzegawczo nad stepem, każdy wojownik rzucił się w kierunku swojego konia i usiadł w siodle hałakując, a echo ich okrzyków niesło się aż do uszu jeźdźców Temudżyna. Sześćdziesięciu jego ludzi jechało razem i wspólnie przyspieszyli do galopu. Jego dowódcy hamowali każdego, kto był zbyt zapalczywy, i patrzyli, kiedy Temudżyn pośle pierwszą strzałę.

Yuan omówił z nimi korzyści natarcia na wroga w jednym szeregu i jego słowa sprawdziły się przy pierwszym krwawym spotkaniu z tatarskimi zwiadowcami. Kiedy dotarli do nich ludzie Temudżyna, Tatarzy byli poprzeshywni długimi strzałami, a ich ciała spadały z siodła. Temudżyn widział, że wrogowie rozdzielili siły, żeby część wojowników strzegła wozów, ale wciąż było ich więcej, niż się spodziewał. Roili się na stepie jak osy.

Szarża Temudżyna uderzyła w Tatarów, tratując konające konie i ludzi, którzy musieli walczyć przeciw dwu, pięciu czy tuzinowi wojowników naraz. Łuki posyłały śmierć w galopie i stanowiły zbyt wielką siłę dla luźnych tatarskich formacji. Temudżynowi wydało się, że minęło ledwie kilka uderzeń serca, gdy jego ludzie zostawili za sobą ślad trupów i koni bez jeźdźców, a wozy zbliżały się do nich z oszałamiającą prędkością. Obejrzał się na prawo i lewo, i trzykrotnie krótko zadał w róg, dając rozkaz do formowania skrzydeł. Prawie spóźnił się z manewrem, ale ludzie Yuana podjechali do niego, zrównując się z Kacziunem i Dżelmem po prawej. Dopadli wozów w wygiętym w sierp szeregu, z wrzaskiem otaczając trzody i Tatarów. Palce Temudżyna natrafiły na pusty kołczan i młody chan cisnął łuk na ziemię, po czym dobył miecza. W środku sierpa natrafił na przeszkodę w postaci ciężkiego wozu wyładowanego filcem i skórą. Ledwo dostrzegł pierwszego przeciwnika, który stanął mu na drodze, pozbawił go głowy jednym cięciem miecza, a potem popędził kuca ku kłębowisku Tatarów. Arsłan na czele harbanu wbił się za nim do samego środka, siejąc śmierć po drodze. Kobiety i dzieci w przerażeniu chowały się pod wozy, kiedy jeźdźcy szaleli wokół, a ich jęki niosły się z wiatrem niczym krzyki jastrzębi.

Zmiana przyszła bez ostrzeżenia. Jeden z Tatarów upuścił miecz, ale nawet wtedy zostałyby zabity, gdyby nie legł na płask, gdy mijał go Kasar. Inni zrobili to samo, kiedy Temudżyn i jego dowódcy galopowali wokoło w poszukiwaniu oporu. Minęło trochę czasu, zanim zelżał w nich głód krwi, ale w końcu sam Temudżyn sięgnął po róg i wydobył opadający dźwięk, co było sygnałem do spowolnienia szarży. Jego ludzie byli zbryzgani świeżą krwią, ale usłuchali i palcami otarli miecze z lśniącej posoki.

Przez chwilę panowała zupełna cisza. W miejsce grzmiących dotąd kopyt i krzyczanych rozkazów zaległo milczenie. Temudżyn ze zdziwieniem wsłuchiwał się w ciszę, która trwała dość długo, by jego bracia zdążyli zjawić się przy nim. Gdzieś rozległo się zawodzenie kobiety i na nowo rozpoczęło się meczenie kóz i owiec. Może dźwięki te były obecne przez cały czas, ale Temudżyn nie słyszał ich wśród szumu krwi w uszach i łomotu serca w piersi.

Napiął wodze i ruszył wokół pobojuwiska, żeby się rozejrzeć. Obóz był rozbity. Tatarzy, którzy wciąż żyli, leżeli z twarzami w trawie, milczący i zrozpaczeni. Obejrzał się za siebie i dostrzegł samotnego jeźdźcę, który w jakiś sposób przetrwał szarżę. Wojownik siedział w siodle z rozdziawionymi ustami, wstrząśnięty tym, co zobaczył, i zbyt oszołomiony, żeby uciekać.

Temudżyn zmrużył oczy i skinął na Kacziuna.

- Sprowadź go tutaj albo zabij go - powiedział.

Kacziun skinął żywo i klepnął Kasara w ramię, domagając się więcej strzał. Kasar miał już tylko dwie, ale podał je, a Kacziun odtroczył łuk od siodła. Nie rzucił wcześniej cennej broni, co z zadowoleniem zauważył Temudżyn.

Temudżyn i Kasar patrzyli w ślad za Kacziunem galopującym ku tatarskiemu jeźdźcowi. Widok nadciągającego wroga najwyraźniej wyrwał wojownika z transu i Tatar rzucił się w końcu do ucieczki. Kacziun dopędził go, jeszcze zanim wojownik rozwinął pełną prędkość, i posłał strzałę prosto w jego plecy. Wojownik jechał jeszcze przez pewien czas, zanim upadł, a Kacziun zostawił go na ziemi i ruszył z powrotem do obozowiska z uniesionym łukiem na znak, że zabił.

Temudżyn drgnął, gdy jego ludzie wznieśli okrzyki. Wszyscy patrzyli i gest ten uwolnił ich emocje. Ci, którzy mieli łuki, unieśli je i wymachiwali nimi triumfalnie. Wszystko zdarzyło się tak szybko i byli oszołomieni końcem walki. Teraz ogarnął ich ogromny przypływ radości, że przeżyli bitwę i zsiadli z koni. Niektórzy ludzie Togrúa z podnieceniem ruszyli ku wozom i odrzucali okrycia i wołok, żeby zobaczyć, co dla siebie zdobyli.

Ludzie Arslana wiązali jeńców i zabierali im broń. Niektórzy Tatarzy nie mieli nawet zadrapania i traktowano ich szorstko, z pogardą. Nie mieli prawa żyć po takiej bitwie i Temudżyna nie obchodził ich los. Stwierdził, że drżą mu ręce, i kiedy zsiadł na ziemię, zatrzymał konia przy sobie, żeby chwycić wodze i ukryć słabość.

Z zamyślenia wyrwał go widok jego brata Temügego podjeżdżającego i spuszczonego nogę ze strzemienia. Chłopiec był blady jak mleko i wyraźnie wstrząśnięty, ale trzymał też zakrwawiony miecz w taki sposób, jakby nie wiedział, skąd wziął się w jego dłoni. Temudżyn zamierzał podejść do brata i pogratulować mu, ale Temüge odwrócił się i zwymiotował na trawę. Temudżyn odszedł od niego, żeby nie zawstydzić go swoją obecnością. Kiedy chłopak dojdzie do siebie, będzie miał dla niego kilka słów pochwały.

Temudżyn stał w środku zbiorowiska wozów i czuł na sobie spojrzenie swoich dowódców. Czekali na coś, a on uniósł dłoń do oczu, odpychając ciemne myśli, które kłębiły się w jego głowie. Odchrząknął i odezwał się donośnym głosem.

- Arslanie! Znajdź wszystkie bukłaki ajraku, a Tatarów weź pod straż, niech pilnuje ich ktoś zaufany. Kasarze, roześlij wokół ośmiu ludzi jako zwiadowców. Może być tu więcej wrogów. - Zwrócił się do Kacziuna, który wrócił właśnie i gładko ześlizgnął się z konia. - Zbierz więźniów, Kacziunie, i każ swojemu harbanowi jak najszybciej wznieść trzy jurty. Zatrzymamy się tu na noc.

Zdał sobie sprawę, że to nie wystarczyło. Wojownicy wciąż patrzyli na niego rozpromienionymi oczami, a na ich twarzach zaczęły pojawiać się uśmiechy.

- Dobrze się spisaliście - zwołał do nich. - Cokolwiek zdobyliśmy, jest wasze, podzielcie się tym po równo.

Po tych słowach zaczęli wiwatować, ukradkiem spoglądając na tatarskie wozy wyładowane cennymi dobrami. Same tylko konie oznaczały gwałtowne wzbogacenie się dla wielu z nich, ale Temudżyn nie dbał o to. W tej chwili liczyło się tylko zwycięstwo w bitwie, które umożliwiało powrót do Togrúa. Chan Kereitów oczywiście weźmie dla siebie część łupów. Miał do tego prawo, nawet jeśli nie był obecny. Temudżyn nie będzie mu żałował kilku tuzinów kuców i mieczy. A jednak jedno nie dawało mu spokoju. Nie chciał wracać. Myśl o potulnym oddaniu druhów, którzy służyli mu tak dobrze, sprawiała, że z rozdrażnieniem

zgrzytał zębami. Potrzebował ich wszystkich, a Togruł za zapłatę uznawał tylko ziemię państwa Kin. Temudżyn bezwiednie sięgnął ziemi i musnął trawę u swoich stóp. Zdał sobie sprawę, że ktoś zginął na tym skrawku ziemi. Krople krwi przyłgnęły do źdźbeł i teraz plamiły jego rękę, kiedy się wyprostował. Znowu podniósł głos.

- Pamiętajcie o jednym, gdy będziecie opowiadać dzieciom, że walczyliście z synami Jesügeja. Jest tylko jedno plemię i jedna ziemia, która nie zna granic. To dopiero początek.

Może dlatego znowu wzniesli radosne okrzyki, że wciąż przepełniało ich podniecenie zwycięstwa, ale nie miało to znaczenia.

*

Tatarzy byli najwyraźniej przygotowani na długą kampanię. Wozy zawierały olej do lamp, ubrania, płótna od najdelikatniejszego jedwabiu aż po gruby wojłok, który ledwo się naginał. Dodatkowo była też skórzana torba srebrnych monet i dość czystego ajraku, żeby rozgrzać najzimniejsze gardła podczas mroźnych nocy. Temudżyn kazał przynieść sobie te ostatnie i złożyć przy wewnętrznej ścianie pierwszej jurty, którą mieli postawić. Atak przeżyło ponad dwudziestu Tatarów, a on przesłuchiwał ich w poszukiwaniu przywódcy. Większość tylko patrzyła na niego w milczeniu. Temudżyn wyciągnął miecz i zabił trzech, zanim czwarty zaklął i splunął na ziemię.

- Nie ma tu przywódcy - powiedział Tatar z wściekłością. - Poległ z innymi.

Bez słowa Temudżyn poderwał wojownika na nogi i kazał mu stanąć przy Arsłanie. Sam spojrzął na szereg mężczyzn z chłodem na twarzy.

- Nie mam miłosierdzia dla waszego ludu, ani potrzeby, by zostawić was przy życiu - powiedział. - Umrzecie tutaj, jeśli nie przydadcie się na nic.

Nikt nie odpowiedział, a Tatarzy nie patrzyli na niego.

- A więc dobrze - głos Temudżyna rozbrzmiał w ciszy.

Odwrócił się do najbliższego ze swoich wojowników, jednego z braci, których sprowadził do swojego obozu na północy.

- Zabij ich szybko, Batu - powiedział.

Niski wojownik z obojętnym wyrazem twarzy dobył noża.

- Czekaj! Ja ci się mogę przydać - powiedział nagle jeden z Tatarów.

Temudżyn zatrzymał się, a potem wzruszył ramionami i potrząsnął głową.

- Już za późno - powiedział.

W jurcie Arsłan związał jedyne niedobitka tatarskiej armii. Krzyki pozostałych były żałosne i Tatar patrzył teraz z nienawiścią na swoich wrogów.

- Zabiłeś innych. Zabijesz i mnie, cokolwiek ci powiem - odezwał się, szarpiąc za krępujące go liny za plecami.

Temudżyn zastanowił się przez chwilę. Musiał dowiedzieć się jak najwięcej o Tatarach.

- Jeśli niczego nie zataisz, dam ci słowo, że przeżyjesz - powiedział.

Tatar parsknął śmiechem.

- Jak długo przeżyłbym tutaj sam bez broni? - rzucił. - Obiecuj mi łuk i kuca, a powiem ci wszystko, co zechcesz.

Temudżyn obnażył zęby w nagłym uśmiechu.

- Targujesz się ze mną?

Tatar nie odpowiedział, a Temudżyn zaśmiał się.

- Masz więcej odwagi, niż się spodziewałem. Masz moje słowo, że dostaniesz wszystko, o co poprosisz.

Tatar odetchnął z ulgą, ale Temudżyn odezwał się znowu, zanim mógł zebrać myśli.

- Czemu przyszliście na ziemię mojego ludu?

- Ty jesteś Temudżyn z Wilków? - zapytał go wojownik.

Temudżyn nie trudził się sprostowaniem. To było imię, które siało strach na północy, nawet jeśli nie był już członkiem tego plemienia.

- Tak.

- Jest cena za twoją głowę. Chanowie północy chcą cię widzieć martwym - powiedział z ponurym zadowoleniem Tatar. - Będą cię ścigać, dokądkolwiek się udasz.

- Nie ściga się kogoś, kto sam was szuka - przypomniał mu cicho Temudżyn.

Tatar zamrugał oczami i zastanowił się nad wydarzeniami dnia. Obudził się rano pośród silnych wojowników, a kończył dzień wśród stosów poległych. Zadrżał na tę myśl i nagle zaśmiał się gardłowo.

- Więc polujemy na siebie nawzajem i tylko kruki, i jastrzębie zyskują pożywienie - powiedział.

Śmiech stał się gorzki i Temudżyn czekał cierpliwie, aż wojownik odzyska panowanie nad sobą.

- Twój lud zamordował chana Wilków - przypomniał Temudżyn.

Nie mówił o Börte. Ból wciąż był zbyt świeży, żeby słowa te przeszły mu przez usta.

- Wiem o tym - odparł Tatar. - Wiem też, kto nam go wydał. To nie był ktoś z naszego ludu.

Temudżyn pochylił się do przodu, a jego jasne oczy płonęły.

- Przysiągłeś powiedzieć mi wszystko, co wiesz - mruknął. - Mów, a będziesz bezpieczny.

Jeniec spuścił głowę i zamyślił się.

- Wpierw przetnij mi więzy - powiedział wreszcie.

Temudżyn wyciągnął miecz, wciąż zbryzgany krwią zabitych. Tatar zaczął się odwracać, wystawiając ręce, by przecięto mu więzy. Zamiast tego poczuł dotyk chłodnego metalu na gardle.

- Mów - nakazał Temudżyn.

- Chan Ołkunutów - powiedział Tatar. - Wziął srebro i w zamian dał nam znać.

Temudżyn cofnął się. Tatar odwrócił się znowu, żeby na niego spojrzeć z dzikością w oczach.

- Oto, gdzie zaczęła się ta krwawa waśń. Ilu już zabiłeś?

- Za mojego ojca? Nie dość wielu - odparł Temudżyn. - O wiele za mało. - Znowu pomyślał o żonie i chłodzie między nimi. - Nawet nie zacząłem jeszcze spłacać moich długów waszemu ludowi.

Temudżyn utkwiał wzrok w Tatarze, kiedy drzwi się otworzyły. Na początku żaden z nich nie spojrzał, kto wszedł do jurty, ale zaraz potem Tatar podniósł wzrok. Wziął głęboki wdech, kiedy dostrzegł Yuana, stojącego tam z ponurą twarzą.

- Znam cię! - powiedział Tatar i szarpnął w desperacji za więzy krępujące mu nadgarstki. Zwrócił twarz do Temudżyna w wyraźnym przerażeniu. - Proszę, mogę...

Yuan rzucił się szybko, dobywając miecza i zabijając w jednym ruchu. Jego miecz przeciął kark Tatara wśród bluzgającej krwi.

Temudżyn zareagował błyskawicznie. Chwycił Yuana za nadgarstek i pociągnął go w tył, aż żołnierz uderzył w wiklinowe rusztowanie ściany. Temudżyn trzymał go za gardło i przypierał do ściany, a na jego twarzy malowała się wściekłość.

- Powiedziałem mu, że będzie żył - gniewał się Temudżyn. - Kim ty jesteś, żeby przynosić

hańbę moim słowom?

Yuan nie mógł odpowiedzieć. Palce na jego gardle były jak żelazo, a twarz zaczynała mu już purpurowieć. Temudżyn ścisnął nadgarstek żołnierza, aż miecz wypadł mu z ręki, a potem zaczął trząść nim i kłać w furii.

Bez ostrzeżenia puścił Yuana, który osunął się na kolana. Temudżyn kopnięciem odrzucił jego miecz, zanim żołnierz doszedł do siebie.

- Jaką on miał tajemnicę, Yuanie? Skąd on cię znał?

Yuan odezwał się rzęzącym głosem, a sińce zaczynały już wykwitać na jego gardle.

- Nie wiedział nic. Może widziałem go, zanim mój mistrz wyruszył na północ. Myślałem, że cię atakuje.

Temudżyn popatrzył na niego z kpina.

- Na kolanach? Ze skrępowanymi rękami? Łżesz.

Yuan podniósł wzrok i spojrzał na Temudżyna rozognionymi oczami.

- Przyjmę twoje wyzwanie, jeśli sobie życzysz. To niczego nie zmienia.

Temudżyn zdzielił go tak mocno, że jego głowa odskoczyła na bok.

- Co przede mną ukrywasz? - ponowił pytanie.

Z tyłu otworzyły się drzwi i Arslan z Kacziunem wbiegli do środka z dobytą bronią. Jurty nie mogły ukryć niczego przed kimś, kto stał blisko i mężczyźni usłyszeli odgłosy walki. Yuan zignorował ich ostrza, ale jego ponure spojrzenie spoczęło na chwilę na Arslanie. Yuan wziął głęboki wdech i zamknął oczy.

- Jestem gotów na śmierć, jeśli chcesz odebrać mi życie - powiedział spokojnie. - Przyniosłem ci hańbę, tak jak powiedziałeś.

Temudżyn stukał palcami jednej dłoni w palce drugiej i patrzył na klęczącego na ziemi Yuana.

- Od jak dawna Wen Chao przebywa wśród mojego ludu, Yuanie? - zapytał.

Wydawało się, że odpowiedź wymagała sporego wysiłku woli, jak gdyby Yuan powrócił z daleka.

- Dwa lata - powiedział.

- A przed nim, kogo tu przysłał twój pierwszy minister?

- Nie wiem - odpowiedział Yuan. - Wciąż byłem wtedy w armii.

- Twój mistrz dogadał się z Tatarami - ciągnął.

Yuan nie odpowiedział, tylko patrzył na niego nieruchomo.

- Usłyszałem, że chan Ołkunutów zdradził mojego ojca - mówił dalej po cichu Temudżyn. - W jaki sposób Tatarzy mogliby podejść do wielkiego plemienia, żeby to zaaranżować? Musieliby mieć pośrednika, kogoś neutralnego, komu ufały oba plemiona, czyż nie?

Usłyszał sapanie Kasara z tyłu, kiedy dotarło do niego znaczenie tych słów.

- Czy jeździliście też do Ołkunutów? Przed Kereitami? - nalegał Temudżyn.

Yuan milczał, jakby był z kamienia.

- Mówisz o czasach, kiedy mojego mistrza nie było jeszcze w tej krainie - powiedział Yuan. - Szukasz tajemnic tam, gdzie ich nie ma.

- Ciekawe, kto jeszcze chodził między nami przed Wenem Chao? - mruknął Temudżyn. - Zastanawiam się, ile razy państwo Kin przysyłało ludzi na moje ziemie, zdradzając mój lud. Zastanawiam się, jakie czynili obietnice.

Świat, który wydawał się tak mocny, kruszył się teraz wokół niego. Było to zbyt wiele i Temudżyn zaczął dyszeć ciężko, niemal oszołomiony odkryciami.

- Cesarze nie chcą, abyśmy urosli w siłę, prawda, Yuanie? Chcą, żeby Tatarzy i Mongołowie rzucali się sobie nawzajem do gardeł. Czyż nie to powiedział mi Wen Chao? Że Tatarzy zbyt urosli w siłę, zbyt blisko ich cennych granic?

Temudżyn zamknął oczy i pod powiekami wyobrażał sobie zimne spojrzenia Chińczyków, rozmyślających o plemionach. Wiedział teraz, że wpływali na losy koczowników przez całe stulecia, podżegając ich przeciw sobie.

- Ilu moich ludzi zginęło przez was, Yuanie? - zapytał.

- Powiedziałem ci wszystko, co wiem - powiedział Yuan i uniósł głowę. - Jeśli mi nie wierzysz, weź moje życie albo odeślij mnie z powrotem do Wena Chao. - Ściągnął brwi. - Albo daj mi miecz do ręki i pozwól mi bronić się przed tymi oskarżeniami.

Pierwszy odezwał się Arślan z twarzą bladą po tym, co usłyszał.

- Pozwól mnie, panie - powiedział do Temudżyna, nie odrywając wzroku od Yuana. - Daj mu miecz i ja się z nim zmierzę.

Yuan odwrócił się, żeby spojrzeć na płatnerza, a jego usta wykrzywiły się w uśmiechu. Bez słowa lekko schylił głowę, przyjmując wyzwanie.

- Zbyt wiele słyszałem. Zwiążcie go do świtu i wtedy postanowię - powiedział Temudżyn.

Patrzył, jak Kacziun umiejętnie krępuje dłonie żołnierza. Chińczyk nie opierał się, nie walczył, nawet kiedy Kacziun kopniakiem pchnął go na ziemię. Upadł przy ciele Tatarza, którego zabił, z niezmienionym wyrazem twarzy.

Wystaw strażę, kiedy będziemy jeść - rozkazał Temudżyn i potrząsnął głową. - Muszę pomyśleć.

*

W pierwszych promieniach świtu Temudżyn przechadzał się tam i z powrotem przed zbiorowiskiem małych jurt, pogrążony w rozmyśleniach. Nie spał w nocy. Zwiadowcy, których rozesłał Kasar, jeszcze nie wrócili, a jego myśli wciąż kłębiły się bez odpowiedzi. Przez całe lata karał Tatarów za to, co zrobili, za życie swojego ojca i życia, które powinni wieść jego synowie. Gdyby Jesügej przeżył, Bekter albo Temudżyn zostałyby chanem Wilków, a Ełuk pozostałby wiernym druhem. Szlak śmierci i bólu ciągnął się między dniem, o którym mu opowiedziano, a dniem obecnym, kiedy zamartwiał się w depresji, a jego życie rozerwano na strzępy. Czego dokonał w ciągu tych lat? Pomyślał o Bekterze i, przez jedną chwilę, pożałował, że nie żyje. Ścieżka mogłaby być zupełnie inna, gdyby nie zabito Jesügeja.

Kiedy Temudżyn stał tak w samotności, czuł świeży gniew niecący mu się w piersi. Chan Ołkunutów zasługiwał na to, żeby spadła na niego choć część niedoli, jaką spowodował. Temudżyn pamiętał odkrycie, którego dokonał jako więzień Wilków. Nie było sprawiedliwości na świecie - chyba że sam ją wymierzy. Chyba że będzie ciął dwa razy tak głęboko, jak cięto jego i będzie oddawał cios za cios. Miał prawo.

W oddali dostrzegł dwóch zwiadowców powracających galopem do jurt. Temudżyn ściągnął brwi na widok ich pośpiechu, a serce zabiło mu żywiej. Ich przybycie nie uszło uwagi mieszkańców koczowiska i obóz zbudził się, kiedy mężczyźni w pośpiechu wkładali dele i siodłali kuce. Temudżyn był dumny z nich wszystkich i zastanowił się znowu, co powinien zrobić z Yuanem. Nie mógł mu już ufać, ale Temudżyn na swój sposób lubił tego człowieka, odkąd strzelił mu w pierś z łuku w obozie Kereitów. Nie chciał go zabijać.

Kiedy zwiadowcy podjechali bliżej, Temudżyn dostrzegł wśród nich Kasara, który pędził jak szalony. Jego koń był spieniony i dyszał, a Temudżyn wyczuł podniecenie u swoich ludzi, spragnionych wieści. Kasar nie wpadał łatwo w panikę, ale teraz jechał, nie bacząc na własne

bezpieczeństwo ani bezpieczeństwo wierzchowca.

Temudżyn zmusił się, żeby zachować spokój, kiedy Kasar podjechał do niego i zeskoczył z siodła. Poddani musieli go widzieć jako kogoś innego, nie dotkniętego przez ich lęki.

- Cóż takiego, mój bracie, sprawia, że pędzisz tak szybko? - zapytał, opanowując drżenie głosu.

- Więcej Tatarów, niż kiedykolwiek widziałem - wydyszał Kasar.

- Armia, przy której ci tutaj, których zabiliśmy, są ledwie małym podjazdem. - Urwał, żeby złapać tchu. - Powiedziałeś, że mogą przybyć z potężną siłą na wiosnę - i tak się stało.

- Ilu? - rzucił Temudżyn.

- Więcej, niż mogłem zliczyć, są najwyżej o dzień drogi, teraz już może nawet bliżej. Ci, których zabiliśmy, ledwie przecierali szlak. Nadciągają całe setki wozów i koni. Może tysiąc ludzi. Nigdy czegoś takiego nie widziałem, bracie, nigdy.

Temudżyn skrzywił się.

- Mam własne nowiny, których nie chciałbyś usłyszeć. Ale to może poczekać. Napój swojego konia, zanim padnie z pragnienia. Każ ludziom szykować się do drogi i znajdź sobie świeżego wierzchowca. Chętnie obejrzę sobie tę armię, która może wystraszyć mojego braciszka.

Kasar prychnął.

- Nie powiedziałem, że mnie wystraszyli, ale pomyślałem, że chciałbyś wiedzieć, że cały tatarski lud ściąga tu po twoją głowę. To wszystko.

- Uśmiechnął się, kiedy wpadło mu coś do głowy. - Na duchy przodków, Temudżynie, żądaliśmy ich, żądaliśmy, a teraz ryczą. - Rozejrzeli się po wojownikach, którzy przysłuchiwali się ich rozmowie. - Co my teraz zrobimy?

- Zaczekaj, Kasarze. Najpierw muszę coś zrobić - powiedział Temudżyn.

Poszedł do jurty, w której Yuan spędził noc, i zniknął w środku. Arslan i Kacziun poszli za nim i wszyscy trzej wyprowadzili pocierającego nadgarstki żołnierza na szare światło świtu. Przecięto mu więzy, a Kasar mógł tylko patrzeć w zdumieniu i zastanawiać się, co zaszło pod jego nieobecność.

Temudżyn spojrzał na chińskiego żołnierza.

- Zaczynałem już myśleć o tobie jak o przyjacielu, Yuanie. Nie mogę cię zabić - powiedział.

Yuan milczał, a Temudżyn sprowadził osiodłanego kuca i włożył mu wodzę do dłoni.

- Wracaj do swojego mistrza - powiedział do Yuana.

Yuan wsiadł wprawnie. Przez długą chwilę patrzył na Temudżyna.

- Życzę ci powodzenia, mój panie - powiedział w końcu.

Temudżyn klepnął grzbiet konia i Yuan ruszył klusem, nie oglądając się za siebie.

Kasar podszedł do braci i tak jak oni popatrzył w ślad za oddalającym się żołnierzem.

- Wyobrażam sobie, że to oznacza, że dostałem lewe skrzydło - powiedział.

Temudżyn zaśmiał się.

- Znajdź świeżego konia, Kasarze, i ty też, Kacziunie. Chcę się przekonać, co widzieliście.

Rozejrzał się i dostrzegł Dżelmego już w siodle i gotowego do drogi. - Zabierz ludzi z powrotem do Kereitów i powiedz im, że zebrała się armia. Togruł może teraz walczyć albo uciekać, wedle woli.

- A co z nami? - zapytał Kasar, dezorientowany. - Potrzeba nam więcej niż sześćdziesięciu ludzi. Więcej nawet, niż Kereici mogą wysłać w bój.

Temudżyn zwrócił wzrok na południe, rozgoryczony wspomnieniami.

- Kiedy na własne oczy zobaczę tę nacierającą armię, wrócimy na ziemię wokół Czerwonego Wzgórza. Znajdę ludzi, których potrzebujemy, ale mamy innego wroga, z którym musimy się najpierw zmierzyć.

Miał tak ponurą minę, że nawet Kasar się nie odezwał, a Temudżyn mówił tak cicho, że ledwie słyszeli jego słowa.

- Moi bracia i ja mamy dług do wyrównania z Ołkunutami, Arslanie. Wszyscy możemy zginąć. Nie musisz iść z nami.

Arslan potrząsnął głową. Nie patrzył na Dżelmego, chociaż czuł na sobie spojrzenie syna.

- Jesteś moim chanem - odparł.

- To wystarczy? - chciał wiedzieć Temudżyn.

Arslan wolno kiwnął głową.

- To jest dla mnie wszystkim.

ROZDZIAŁ 30

Temudżyn stał z rozpostartymi rękami, podczas gdy ołkunucki wojownik przeszukiwał go dokładnie. Kasar i Arslan wytrzymali dotyk tych samych rąk, obmacujących każdy cal ich ciała. Strażnicy przed jurtą Sansara wyczuli ponury nastrój przybyszów i starali się nie przeoczyć niczego. Wszyscy trzej nosili chińskie zbroje na letnich delach i jedwabne tuniki odebrane Tatarom. Temudżyn patrzył, jak ołkunuccy wojownicy wodzili palcami po dziwnych panelach przszytych do ciężkiego płótna. Jeden zaczął coś o nich mówić, ale Temudżyn wybrał ten moment, żeby odtrącić jego rękę, jakby rozdrażniony afromentem wobec swojej godności. Serce biło mu jak młotem, kiedy czekał na spotkanie ze swoim najstarszym wrogiem.

Wokół zebrali się zawsze ciekawscy Ołkunutowie i rozprawiali teraz, pokazując na dziwnie odzianych mężczyzn, którzy zakłócili im poranną pracę. Temudżyn nie dostrzegł wśród nich starego Szołoja, ale z tłumy gapił się jego wuj, a Köke raz jeszcze odebrał im ich miecze, po czym zniknął we wnętrzu jurty z wieściami o ich przybyciu.

Młody wojownik przyjął ich miecze z czymś na kształt rozczarowania na twarzy. Jedno spojrzenie wystarczyło, żeby przekonał się, że miecze nie były takiej jakości, jak te, które Temudżyn miał wcześniej. Tatarscy rzemieślnicy nie byli tak wprawni i miecze trzeba było ostrzyć częściej niż najlepszą stal Arslana.

- Możesz wejść - powiedział w końcu jeden z wojowników. - I ty - dodał, wskazując na Kasara. - Wasz przyjaciel będzie musiał poczekać tutaj.

Temudżyn ukrył uczucie zawodu. Nie był pewien, czy może ufać, że Kasar nie straci panowania nad sobą, ale Kacziun miał tego ranka inne zadania. Temudżyn nie zadał sobie trudu, żeby odpowiedzieć strażnikom, i z gonitwą myśli w głowie zanurkował przez niskie drzwi jurty.

Chociaż raz Sansar nie siedział na wielkim tronie, który zajmował większą część jurty i służył do oficjalnych wizyt. Chan rozmawiał ściszym głosem z dwoma ze swoich druhow, kiedy zjawił się Temudżyn. Köke stał z boku i przyglądał się. Ich miecze były niedbale oparte o ścianę, zgodnie z ich wartością.

Gdy drzwi skrzypnęły, Sansar przerwał mrużaną rozmowę i wrócił na tron. Temudżyn widział, że chan porusza się ostrożnie, jakby wiek nadał kruchości jego kościom. Chan wciąż miał wygląd starego węża, z ogoloną głową i zapadniętymi, wiecznie rozbieganymi oczami. Temudżynowi trudno było patrzeć na niego i nie dać poznać po sobie nienawiści, ale jednak zachował zimny wyraz twarzy. Ołkunuccy drhowie zajęli miejsca po obu stronach ich pana i wpatrywali się w przybyszów. Temudżyn zmusił się, żeby we właściwy sposób okazać grzeczność należną chanowi potężnego plemienia.

- Jestem zaszczycony, goszcząc u ciebie, wielki Sansarze - powiedział.

- Znowu - odparł Sansar. - Sądziłem, że widziałem cię już po raz ostatni. Czemu nachodzisz mnie w moim domu, Temudżynie? Widuję cię chyba częściej niż własne żony. Czegóż to jeszcze możesz chcieć ode mnie?

Temudżyn kątem oka zobaczył, jak Köke śmieje się w rogu, i zaczerwienił się z powodu tonu chana. Wyczuł rozdrażnienie u Kasara i rzucił na niego ostrzegawcze spojrzenie, zanim mówił dalej.

- Być może słyszałeś o tatarskiej armii nadciągającej z bezkresów północy. Widziałem ją na własne oczy i przychodzę, by cię ostrzec.

Sansar zaśmiał się sucho.

- Mówi o tym każdy włóczęga i pasterz w promieniu tysiąca mil. Ołkunutowie nie mają zwady z Tatarami. Od czterdziestu lat nie jechaliśmy tak daleko na północ, ostatnim razem zrobiliśmy to, gdy nie byłem jeszcze chanem.

Oczy chana płonęły, kiedy przechylił się do przodu i spojrzął z góry na dwóch przybyszów stojących sztywno przed jego obliczem.

- Podjudziłeś ich do wojny, Temudżynie, swoimi podjazdami. Musisz ponieść konsekwencje. Lękam się o ciebie, naprawdę.

Jego ton przeczył słowom i Temudżyn miał nadzieję, że Kasar będzie milczał, jak mu rozkazano.

- Nie będą szanować plemion, które twierdzą, iż nie mają z nimi krwawej waśni, mój panie - ciągnął Temudżyn. - Widziałem tysiąc wojowników z równą liczbą kobiet i dzieci w ich koczowisku. Przybyli na nasze ziemie w większej sile, niż ktokolwiek pamięta.

- Jestem zdumiony - powiedział Sansar z uśmiechem. - Cóż więc proponujesz?

- Stawić im czoła - rzucił Temudżyn, ledwie tłumiąc gniew w obliczu wyraźnego rozbawienia starego chana.

- Z Kereitami? Ach, słyszałem o twoim przymierzu, Temudżynie. Wieści rozchodzą się szybko, gdy są tak ciekawe. Ale czy to wystarczy? Nie sądzę, aby Togruł mógł wysłać więcej niż trzystu wojowników na to szczególne wydarzenie.

Temudżyn wziął powolny wdech, opanowując emocje.

- Ołkunuccy łucznicy słyną ze swoich umiejętności, mój panie. Z kolejnymi trzema setkami twoich ludzi, mógłbym...

Urwał, kiedy Sansar zaśmiał się i spojrzął na twarze Kökego i dwóch swoich druhów. Chan zobaczył jednak gniewne spojrzenia Temudżyna i Kasara i spróbował zachować powagę.

- Wybacz, ale pomyśl był... - potrząsnął głową. - Przychodzisz, by prosić mnie o wojowników? Oczekujesz, że całe wojsko Ołkunutów będzie jechać pod twoim dowództwem? Nie.

- Tatarzy powybijają plemię po plemieniu - powiedział Temudżyn i zrobił krok naprzód, chcąc przekonać chana. Wojownicy zauważyli ruch i zjeżyli się, ale Temudżyn ich zignorował. - Jak długo będziecie bezpieczni, kiedy Kereici zostaną zniszczeni? Jak długo przetrwają Kuirajowie, Najmanowie, Wilki? Byliśmy zwaśnieni tak długo, i myślę, że zapominasz, iż jesteśmy jednym ludem.

Sansar zamilkł i patrzył na Temudżyna z głębin swoich ciemnych oczu.

- Nie mam pobratymców wśród Kereitów - powiedział w końcu niemal szeptem. - Ołkunutowie urosli w siłę bez ich wsparcia. Sam musisz walczyć albo uciekać, Temudżynie. Nie będzie z tobą moich wojów. To jest moja odpowiedź. Innej nie usłyszysz ode mnie.

Przez chwilę Temudżyn stał w milczeniu. Kiedy się odezwał, brzmiało to tak, jakby ktoś wyzwał z niego każde słowo.

- Mam torby srebrników, zdobyte na Tatarach. Wymień cenę za człowieka, a odkupię ich od ciebie.

Sansar odchylił głowę do tyłu, żeby się roześmiać, a Temudżyn ruszył się z miejsca. Gwałtownym szarpnięciem oderwał jeden z żelaznych paneli na piersi i skoczył do przodu, z impetem wbijając metal w nagie gardło Sansara. Krew bluzgała mu na twarz, kiedy ciął kark

chana, nie zważając na jego palce, które zacisnęły się na nim jak szpony.

Druhowie chana nie byli gotowi na nagłą śmierć ich pana. Kiedy otrząsnęli się z szoku i dobyli mieczy, Kasar był już przy nich i rąbnął pięścią najbliższego. On też miał w ręku zaostrome żelazo oderwane z miejsca, gdzie wcześniej wraz z Temudżynem poluzowali wiązania zbroi. Użył go do podcięcia gardła drugiego druha w śmiertelnościm zamachu. Wojownik zrobił chwiejny krok w tył, po czym runął z łoskotem na drewnianą podłogę. Fetor wypełnił powietrze, kiedy rozluźniły się trzewia wojownika, który wciąż wierzgał nogami w agonii.

Temudżyn odsunął się od okaleczonego ciała chana, dyszący i obryzganym krwią. Wojownik, którego uderzył Kasar, rzucił się naprzód w bezmyślnym gniewie, ale Kasar odebrał już miecz od jego towarzysza. Kiedy się spotkali, Temudżyn skoczył z tronu i runął na człowieka Sansara, powalając go na polerowaną podłogę. Przytrzymał go, a Kasar wraził miecz prosto w jego pierś, po czym poruszał ostrzem, dopóki wojownik nie przestał się szarpać.

Został tylko Köke z ustami rozdziawionymi w niewysłowionym przerażeniu. Kiedy Temudżyn i Kasar zwrócili na niego twarde spojrzenia, cofnął się do ściany, zawiadając o tatarskie miecze. Chwycił jeden z nich w desperackim strachu i szarpnięciem uwolnił ostrze z pochwy.

Temudżyn i Kasar wymienili spojrzenia. Temudżyn podniósł drugi miecz i obaj podeszli do niego z rozmyślnie groźnym wyrazem twarzy.

- Jestem twoim kuzynem - powiedział Köke, a jego miecz zatrząsał się wyraźnie. - Pozwól mi żyć, przynajmniej dla twojej matki.

Na zewnątrz rozległy się już pierwsze wołania na alarm. Na pewno zbierali się wojownicy Ołkunutów i Temudżyn wiedział, że jego życie zawisło na włosku.

- Rzuć miecz, a będziesz żył - powiedział do Kökego.

Kasar spojrział na brata, ale ten potrzasał głową. Miecz Kökego zadudnił o podłogę.

- A teraz wynoś się - powiedział Temudżyn. - Uciekaj, jeśli chcesz, nie jesteś mi potrzebny.

Köke prawie wyłamał zawiasy, tak się spieszył, żeby otworzyć drzwi. Temudżyn i Kasar stali przez chwilę w milczeniu i patrzyli na poderżnięte gardło chana Ołkunutów. Bez słowa Kasar podeszedł do tronu i kopnął ciało tak, że osunęło się i opadło miękko u ich stóp.

- Kiedy zobaczysz mojego ojca, opowiedz mu, jak zginąłeś - mruknął Kasar do martwego chana. Temudżyn zobaczył pod ścianą dwa znajome miecze i sięgnął po nie. Obaj usłyszeli tupot zbierających się ludzi wokół jurty. Skierował na Kasara zimne spojrzenie swoich jasnych oczu.

- A teraz, bracie, jesteś gotów, by umrzeć?

*

Wyszli na wiosenne słońce, szybko omiatając wzrokiem otoczenie, by ocenić, co ich czekało. Arslan stał o krok od drzwi, a dwa ciała leżały u jego stóp. Poprzedniej nocy omówili każdy szczegół planu, ale nie mogli wiedzieć, co nastąpi potem. Temudżyn wzruszył ramionami, kiedy napotkał wzrok Arslana. Nie spodziewał się, że przeżyje następnych kilka chwil. Dał im obu szansę, by odjechali, ale nalegali, by mu towarzyszyć.

- Czy nie żyje? - zapytał Arslan.

- Tak - odparł Temudżyn.

Trzymał stare miecze Arslana i włożył mu do ręki ten, który był dawniej jego własnością. Arslan wiedział, że zapewne długo już mu nie posłuży, ale skinał, biorąc go od Temudżyna, upuściwszy tatarski miecz na ziemię. Temudżyn spojrział za płatnerza, na chaos ołkunuckich

wojowników. Wielu trzymało napięte łuki, ale wahali się, nie słysząc rozkazów, i Temudżyn wykorzystał tę chwilę, zanim odzyskają spokój i zastrzelił ich.

- Uciszcie się i uspokójcie! - ryknął na tłum.

Jedyną reakcją był wzmożony gwar, kiedy odezwało się więcej okrzyków strachu, ale ci, którzy stali najbliżej, zamarli i stali wpatrzeni. Temudżyn przypomniał sobie, jak czasem zwierzęta zamierają pod spojrzeniem myśliwego, aż będzie za późno.

- Przejmuję Ołkunutów przez prawo podboju - wrzasnął, starając się, aby usłyszało go jak najwięcej wojowników. - Nie stanie wam się krzywda, macie moje słowo.

Rozejrzał się po ich twarzach, oceniając poziom ich strachu i gniewu. Niektórzy jakby podjudzali innych do natarcia, ale jak dotąd nikt nie chciał rzucić się ku jurcie chana i zabić człowieka, który tak pewnie stawał przed nimi.

Temudżyn instynktownie postąpił dwa kroki naprzód w kierunku grupy druhów Sansara. Byli to zaprawieni w boju wojownicy i Temudżyn wiedział, że w tym momencie ryzykuje najwięcej. Jedno niewłaściwe słowo lub wahania - i wybuchną spazmem przemocy, za późno, by ocalić chana, którego przysięgali bronić. Upokorzenie walczyło z gniewem na ich twarzach, kiedy głos Temudżyna raz jeszcze poniósł się ponad ich głowami.

- Jestem Temudżyn z Wilków. Znaie moje imię. Moja matka jest z Ołkunutów. Moja żona jest z Ołkunutów. Z Ołkunutów będą moje dzieci. Przejmuję was przez prawo krwi. Z czasem zjednoczę wszystkie plemiona pod moim sztandarem.

Wojownicy wciąż nie reagowali. Temudżyn trzymał miecz nisko, przy stopach, i wiedział, że gdy go uniesie, sprowadzi własną śmierć. Widział wycelowane w siebie napięte łuki i zmusił się do zachowania spokojnego wyrazu twarzy. Gdzie był Kacziun? Jego brat musiał usłyszeć poruszenie.

- Nie trwóście się, gdy zabrzmia rogi waszych czatowników - powiedział nieco ciszej do druhów chana. - To będą moi ludzie, ale mają rozkaz nie tykać mojego ludu.

Zaczęli otrząsać się z szoku pierwszych chwil i Temudżyn nie wiedział, jak się zachowają. Ci, którzy stali najbliżej, najwyraźniej jednak słuchali.

- Wiem, że ogarnia was wściekłość, ale uczynię zadość waszemu honorowi, zabierając mój lud na północ przeciw Tatarom - powiedział. - Pomścicie śmierć mojego ojca i będziemy jednym plemieniem na stepach, jednym ludem. Tak jak powinno być zawsze. Niech drżą przed nami Tatarzy! Niech drży przed nami Kin!

Zobaczył, jak rozluźniają się ich napięte ręce i z trudem powstrzymał się przed okazaniem triumfu. Usłyszał dźwięki ostrzegawczych rogów i raz jeszcze musiał uspokoić tłum.

- Ani jeden Ołkunut nie będzie skrzywdzony, przysięgam na duszę mego ojca. Nie przez moich ludzi. Przepuście ich i zastanówcie się nad przysięgą, której będę od was oczekiwał.

Rozejrzał się po ich twarzach i zobaczył, że wciąż patrzyli na niego.

- Słyszeliście, że jestem dzikim wilkiem dla Tatarów, że jestem ich plagą. Słyszeliście, że moje słowo jest jak żelazo. Powiadam wam teraz, że Ołkunutowie są bezpieczni pod moim ramieniem.

Patrzył, jak Kacziun i dziesięciu wojowników w jego harbanie powoli wjeżdża w tłum i czuł nieopisaną ulgę na ich widok. Niektórzy Ołkunuci wciąż stali, jakby zapuścili korzenie, i musieli zostać delikatnie zepchnięci z drogi przez kuce. Tłum nadal milczał, kiedy Kacziun i jego ludzie zsiadli.

Kacziun nie wiedział, czego się wcześniej spodziewał, ale z podziwem patrzył na zastygłych w bezruchu Ołkunutów, wpatrzonych w jego brata. Ku jego zdumieniu Temudżyn

objął go szybko, owładnięty przez emocje, które groziły zepsuciem jego zwycięstwa.

- Na osobności spotkam się z druhami dawnego chana i przyjmę ich przysięgę - powiedział tłumowi Temudżyn. W ciszy wszyscy mogli go usłyszeć. - O zmierzchu przyjmę wasze. Nie trwóście się. Jutro koczowisko wyrusza na północ, na spotkanie z Kereitami, naszymi sprzymierzeńcami.

Rozejrzał się i stwierdził, że napięte łuki w końcu opuszczono. Skinął sztywno do łuczników.

- Słyszałem, że Ołkunutowie sieją strach w walce - powiedział. - Pokażemy Tatarom, że nie mogą bezkarnie wkraczać na nasze ziemie.

Jakiś barczysty mężczyzna przepychał się przez tłum od tyłu. Jeden chłopiec nie zdążył odejść i dostał w głowę cios, po którym upadł. Temudżyn popatrzył na przybysza i natychmiast wyparował jego triumf. Wiedział, że Sansar ma synów. Ten, który się zbliżał, miał rysy ojca, ale potężniejszą posturę. Może Sansar był niegdyś równie silny.

- Gdzie jest mój ojciec? - zapytał przybysz, gdy podszedł bliżej.

Wojownicy odwrócili się do niego i wielu z nich skłoniło się odruchowo na jego widok. Temudżyn zazgrzytał zębami, szykując się na ich natarcie. Jego bracia zjeżyli się u jego boku i wszyscy wokół nagle trzymali w rękach miecz albo topór.

- Twój ojciec nie żyje - powiedział Temudżyn. - Przejąłem plemię.

- Kim ty jesteś, żeby do mnie mówić? - parsknął mężczyzna.

Zanim Temudżyn zdążył odpowiedzieć, syn Sansara rzucił rozkaz do druhów stojących tuż obok.

- Zabić ich wszystkich.

Nikt się nie ruszył i Temudżyn poczuł iskierkę nadziei, niecącą się na nowo w jego wstrząsanej emocjami duszy.

- Już za późno - powiedział cicho. - Przejąłem ich prawem krwi i podboju. Nie ma tu już dla ciebie miejsca.

Syn Sansara rozdziawił usta w zdumieniu i rozejrzał się po twarzach ludzi, których znał przez całe życie. Nie chcieli patrzeć mu w oczy, a jego twarz z wolna zmieniła się w obojętną maskę. Nie brakowało mu odwagi, musiał stwierdzić Temudżyn. Miał rozbiegane oczy po ojcu, gdy oceniał nową sytuację. W końcu skrzywił się.

- Więc moim prawem jest rzucić ci wyzwanie na oczach plemienia. Jeśli chcesz zająć miejsce mojego ojca, wpierw musisz mnie zabić albo ja zabiję ciebie.

Mówił z całkowitą pewnością w głosie i Temudżyn poczuł przypływ podziwu dla niego.

- Przyjmuję - powiedział. - Chociaż nie znam twojego imienia.

Syn Sansara rozluźnił ramiona w okrężnych ruchach.

- Jestem Paliak, chan Ołkunutów.

Było to odważne stwierdzenie i Temudżyn skłonił się, zamiast mu zaprzeczyć. Podszedł z powrotem do Arslana i wziął kunsztowny miecz z jego ręki.

- Zabij go szybko - syknął Arslan pod nosem. - Jeśli zaczną mu wiwatować, wszyscy zginiemy.

Temudżyn spojrział na niego w milczeniu, odwrócił się z powrotem do Paliaka i rzucił mu miecz. Zauważył, jak umiejętnie syn Sansara chwycił broń i ściągnął brwi. Życie ich wszystkich zależało teraz od jego umiejętności i niekończących się ćwiczeń z Arslanem i Yuanem.

Paliak przeciął ostrzem powietrze i wyszczerzył zęby. Prychnął, kiedy zbliżył się

Temudżyn.

- W tej zbroi? Czemu po prostu nie zastrzelisz mnie z dystansu? Boisz się bez niej zmierzyć się ze mną?

Temudżyn puściłby to mimo uszu, gdyby ołkunuccy wojownicy nie mruknęli na znak zgody. Rozpostarł ramiona i zaczekał, aż Arslan i Kacziun odwiązali panele. Kiedy skończyli, został tylko w lekkiej jedwabnej tunice i grubych bawełnianych spodniach. Uniósł ostrze pod spojrzeniem każdego mężczyzny i każdej kobiety z Ołkunutów.

- Atakuj - powiedział Temudżyn.

Paliak ryknął i rzucił się naprzód, celując w gniewie tak, aby odrąbać Temudżynowi głowę jednym cięciem z góry. Temudżyn usunął się w lewo spod toru miecza i zadał szybkie pchnięcie wymierzone w pierś przeciwnika. Miecz rozharatał bok Paliaka, czego syn Sansara zdawał się jednak nie dostrzegać. Wyprowadził kolejny cios z błyskawiczną prędkością i Temudżyn był zmuszony parować. Przez chwilę stali, siłując się twarzą w twarz, dopóki Paliak nie odepchnął przeciwnika wolną ręką. W tym momencie Temudżyn zadał cięcie i przeszył koniuszkiem miecza szyję przeciwnika.

Syn Sansara próbował wypluć krew płynącą mu do gardła. Wypuścił z palców miecz Arslana i obiema rękami ze straszliwą siłą ścisnął się za szyję. Pod spojrzeniem Temudżyna odwrócił się, jakby chciał odejść, i zaraz potem przewrócił się na twarz i znieruchomiał. Wśród tłumu rozległo się westchnienie i Temudżyn popatrzył chłodno na zebranych, zastanawiając się, czy nie rozerwą go na strzępy. Zobaczył Kökego z ustami otwartymi w przerażeniu. Kiedy spoczął na nim wzrok Temudżyna, Köke odwrócił się i zaczął przedzierać się przez tłum.

Reszta Ołkunutów gapiała się jak owce i Temudżynowi zaczęła już kończyć się cierpliwość. Podeszedł do ogniska, przy którym gotowano strawę, i wziął rozpalone polano spod garnka. Odwrócił się plecami do wszystkich, przytknął polano do jurty chana i patrzył ponuro, jak zajęła się płomieniami sięgającymi coraz wyżej po wysuszonym wojłoku. Jurta spali się dobrze i Temudżyn nie będzie zawstydział wojów, zmuszając ich do patrzenia na swojego chana w agonii.

- Zostawcie nas teraz aż do zmierzchu - zawołał do tłumu. - Zawsze jest jakaś praca do wykonania, a o świcie wyruszamy. Bądźcie gotowi.

Patrzył na nich, dopóki oszołomiony tłum nie zaczął się rozchodzić, rozpraszając się na mniejsze grupki dla przedyskutowania tego, co zaszło. Ołkunutowie oglądali się wiele razy na postacie przy płonącej jurcie, ale Temudżyn nie ruszył się z miejsca, aż zostali przy nim tylko druhowie.

Sansar miał w swojej osobistej straży mniej ludzi, niż oczekiwał tego Temudżyn. Ołkunutowie od całego pokolenia nie byli na wojnie i nawet w plemieniu Wilków było więcej uzbrojonych druhow chana. Ciągłe jednak ołkunuccy wojownicy byli liczniejsi niż harban Kacziuna i panowało niespokojne napięcie między tymi dwiema grupami, kiedy rozeszli się wszyscy inni.

- Nie będę dziś w nocy przeszkadzał żonom i małym dzieciom Sansara - powiedział im Temudżyn. - Niech z godnością opłaczą jego odejście. Nie ucierpią z mojej ręki ani nie będą porzucone tak, jak niegdyś ja.

Niektórzy wojownicy skinęli na znak zgody. Wszyscy znali opowieść o synach i żonie Jesügeja. Rozeszła się wśród plemion, aż stała się jedną z tysiąca innych legend i mitów pieśniarzy.

- Udzielam wam gościny przy moim ognisku - powiedział im Temudżyn.

Mówił tak, że nie było możliwości mu odmówić, i może właśnie dlatego nie protestowali. Temudżyn nie wiedział tego, ani nie dbał o to. Dopadło go ogromne zmęczenie i stwierdził, że jest głodny i tak spragniony, że ledwie mógł mówić.

- Każcie przynieść nam jadło, podczas gdy będziemy rozmawiać o nadciągającej wojnie - powiedział. - Potrzebuję wprawnych oficerów i nie wiem jeszcze, kto z was będzie dowodził, a kto będzie podlegał rozkazom.

Zaczekał, aż Kacziun i Kasar dorzucili drew do paleniska tak, że płomienie błysnęły jaśniej i strzeliły w górę. W końcu usiadł na ziemi przy ogniu. Jego bracia i Arsłan dołączyli do niego, po czym przysiedli się inni, aż w końcu wszyscy siedzieli na zimnej ziemi, bacznie obserwując nową siłę w ich życiu.

ROZDZIAŁ 31

Poza czasem wojny Ołkunutowie nigdy nie podchodzili z własnej woli do Kereitów i wojownicy po obu stronach zdradzali zdenerwowanie. Oba plemiona były w ruchu, odkąd Togrul utrzymywał dystans między swoim ludem a tatarskim najeźdźcami zmierzającymi na południe.

Temudżyn posłał z wieścią Kacziuna, żeby ostrzegł Togrula, ale Kereici i tak byli uzbrojeni i siedzieli w siodle w obronnym szyku w centralnej części ich obozu. Rogi raz po raz rozbrzmiewały swoją melancholijną pieśnią na bezwietrznym stepie. Temudżyn podprowadził bliżej lud swojej matki, aż obie grupy mogły się zobaczyć z odległości pół mili. Zatrzymał ich wtedy, a sam podjechał z Kasarem, Arślanem i harbanem druhów Sansara do miejsca znajdującego się w połowie tej odległości. Swoich ludzi zostawił przy wozach, by wyglądali nagłego ataku z którejkolwiek strony. Panowało wyczuwalne napięcie i Temudżyn nie musiał nikogo ostrzegać, by miał się na baczności. Nawet po wycofaniu się Kereitów na południe, Tatarzy nie mogli być dalej niż o dwa tygodnie jazdy od nich, a on nie był jeszcze gotowy na spotkanie z nimi.

Zsiadł na ziemię wśród zielonej trawy, pozwalając, aby kuc opuścił głowę i skubał źdźbła. W oddali zobaczył Togrula i zastanawiał się przez chwilę, gdzie znajdzie konia, który go poniesie. Z krzywym uśmiechem zobaczył, jak chan wsiada na wóz zaprzęgnięty w dwa czarne wałachy i rusza w kierunku Temudżyna. Wen Chao dołączył do nich, a kereiccycy wojownicy z łukami i mieczami uformowali kwadrat wokół swojego pana. Temudżyn uniósł ręce, kiedy znaleźli się w zasięgu głosu, i ukazał im puste dłonie. Był to nic nie znaczący gest - zważywszy, że otaczali go uzbrojeni wojownicy, ale nie chciał jeszcze bardziej martwić Togrula. Potrzebował wsparcia tłustego chana.

- Witaj w moim obozie, Togrule z Kereitów - zawołał Temudżyn.

- Udzielam ci honorowej gościny.

Togrul zsiadł z widoczną ostrożnością, z kamiennym wyrazem swojej tłustej twarzy. Kiedy stanął na wyciągnięcie ręki od Temudżyna, spojrział mu przez ramię na szeregi wojowników i formację Ołkunutów. Siła wojsk była niemal tak duża jak w jego własnym plemienu i chan przygryzł wargę, nim się odezwał.

- Przyjmuję - odpowiedział. Coś w oczach Temudżyna zmusiło go, by mówił dalej. - Jesteś teraz chanem Ołkunutów? Nie rozumiem.

Temudżyn uważnie dobierał słowa.

- Przejąłem ich, prawem mojej matki i mojej żony. Sansar nie żyje i plemię przyszło ze mną, by walczyć przeciw Tatarom.

Znając swojego gościa, Temudżyn kazał wcześniej przygotować posiłek, kiedy tylko Ołkunutowie zatrzymali się na równinie. Przyniesiono teraz ogromne tace pieczonej baraniny i kozłiny, a na ziemi rozłożono wielkie płachty wołjoku. Jako gospodarz Temudżyn powinien usiąść ostatni, ale chciał uspokoić Togrula. Usiadł na filcu, podciągając nogi pod pośladki. Chan Kereitów nie miał teraz wyboru i zajął miejsce naprzeciw, po czym skinął na Wena Chao, by ten dołączył do niego. Temudżyn zaczął się odprężyć i nie rozglądał się już, kiedy Kasar i Arślan zajęli miejsca z innymi. Przy każdym z nich usiadł wojownik z Kereitów, aż byli równi siłą. Za plecami Temudżyna czekało plemię Ołkunutów, w milczeniu obserwując

swojego chana.

Yuan też był obecny i wolał schylić głowę, niż spojrzeć na Temudżyna, kiedy spoczął na grubej macie filcu. Wen Chao zerknął na swojego pierwszego żołnierza i ściągnął brwi.

- Skoro nikt inny nie zapyta, Temudżynie - zaczął Togruł. - Jak to możliwe, że wyjechałeś tylko z tuzinem ludzi, a wracasz z jednym z wielkich plemion pod swoją wodzą?

Temudżyn wskazał na jedzenie, zanim odpowiedział, i Togruł zaczął jeść niemal bezwiednie, a jego ręce pracowały niezależnie od bystrych oczu.

- Ojciec Niebo jest mi przychylny - powiedział Temudżyn. - Nagradza tych z naszego ludu, którzy odpowiadają na zagrożenie dla naszej ziemi. Nie chciał mówić o tym, jak zabił Sansara w jego własnej jurcie, nie przy człowieku, który był mu potrzebny jako sprzymierzeniec. Togruł zbyt łatwo mógłby się wystraszyć swojego wojennego przywódcy.

Togrułowi najwyraźniej nie spodobała się ta odpowiedź i znowu otworzył usta, żeby coś powiedzieć, odsłaniając papkę mięsa i sosu. Zanim się jednak odezwał, Temudżyn szybko zaczął mówić dalej.

- Mam do nich prawo z powodu mojej krwi, Togrule, a oni mi nie odmówili. Ważne jest tu jednak, że mamy dość ludzi, żeby dać odpór Tatarom, kiedy się zjawią.

- Ilu przyprowadziłeś? - spytał Togruł, żując zawzięcie.

- Trzystu jeźdźców, dobrze uzbrojonych - odpowiedział Temudżyn. - Możesz dać równie wielu.

- Tatarzy mają ponad tysiąc, jak mówiłeś - powiedział nagle Wen Chao.

Temudżyn bez odpowiedzi zwrócił swoje jasne oczy na chińskiego ambasadora. Wyczuł, że Yuan go obserwuje, i zastanawiał się, jak wiele wiedział Wen Chao, jak wiele powiedział mu Yuan.

- To nie będzie łatwe - powiedział Togrułowi, kiedy Wen Chao się nie odezwał. - Będzie nam potrzebne wiele zestawów zbroi z państwa Kin. Ołkunutowie mają dwóch ludzi z piecami i znajomością technik płatnerstwa. Wydałem im rozkazy. Trzeba będzie też uzbroić konie skórą i żelazem na karku i piersi.

Urwał i patrzył, jak Togruł mocuje się z żyłastym kawałkiem mięsa.

- Udowodniłem skuteczność naszej taktyki wobec mniejszych grup - ciągnął Temudżyn - nawet wtedy, gdy wróg miał przewagę liczebną. Tatarzy nie stosują naszej linii szarży ani oskrzydlenia na flankach. - Zerknął na Wena Chao. - Nie boję się ich liczby.

- Ale jednak wtedy ryzykowałbym wszystko - potrząsnął głową Togruł.

Wreszcie Wen Chao przerwał cichą wymianę zdań między nimi.

- Tę armię Tatarów trzeba zgnieść, mój chanie - powiedział cicho do Togruła. - Moi władcy zapamiętają twoją służbę. Wyznaczono już posiadłości ziemskie dla twoich ludzi, kiedy skończy się bitwa. Będiesz tam królem i nigdy nie zaznasz więcej głodu, ani wojny.

Raz jeszcze Temudżyn przekonał się, że Wen Chao miał dziwny wpływ na tłustego chana, i gwałtownie wzmogła się jego niechęć do chińskiego ambasadora. Chociaż ich cele były jednakowe, nie podobało mu się, że ktoś z jego ludu znajduje się pod urokiem obcego dyplomaty.

Chcąc skryć swoje rozdrażnienie, Temudżyn zaczął jeść, rozkoszując się smakiem ołkunuckich przypraw. Zauważył, że dopiero wtedy Wen Chao dołączył do pozostałych i sięgnął po mięso. Ten człowiek był zbyt przyzwyczajony do intryg, pomyślał Temudżyn. Czyniło go to niebezpiecznym.

Togruł też zauważył ruch i przez chwilę oglądał mięso w palcach, po czym wzruszył

ramionami i włożył sobie jadło do ust.

- Pragniesz prowadzić Kereitów? - spytał Togrul.

- W tej jednej bitwie, tak jak robiłem to wcześniej - odpowiedział Temudżyn. To było sedno sprawy i nie mógł winić Togrula za jego obawy. - Mam teraz własne plemię, Togrule. Wielu szuka u mnie bezpieczeństwa i przywództwa. Kiedy Tatarzy zostaną rozbici, odjadę na południe i przez rok zabawię w cieplejszych krainach. Zznałem już dość chłodu północy. Śmierć mojego ojca została pomszczona i może będę mógł żyć w pokoju i wychowywać synów i córki.

- Po cóż innego walczymy? - mruknął Togrul. - A więc dobrze, Temudżynie. Dostaniesz ludzi, których potrzebujesz. Dostaniesz moich Kereitów, ale kiedy skończymy, pojedą ze mną na wschód, na nasze nowe ziemie. Nie spodziewaj się, że zostaną, jeśli nie będzie już wrogów.

Temudżyn skinął i wyciągnął rękę. Tłuste palce Togrula zacisnęły się na jego dłoni, a ich spojrzenia się spotkały, chociaż żaden z nich nie ufał drugiemu.

- A teraz, za pozwoleniem, jestem pewien, że moja żona i matka będą chciały połączyć się ze swoim ludem - powiedział Temudżyn i silnie zacisnął rękę.

Togrul skinął głową.

- Każę posłać po nie - powiedział i Temudżyn poczuł, jak ustępują u niego ostatnie oznaki napięcia.

*

Höelün szła przez koczowisko jej dzieciństwa w towarzystwie Börte i Eluin. Trzem kobietom towarzyszyli Kasar, Kacziun i Arsłan. Temudżyn przestrzegł ich, żeby mieli się na baczności. Ołkunutowie najwyraźniej przyjęli jego przywództwo, narzucone im przez nieodwracalny bieg wydarzeń. Ale to nie oznaczało, że mogli czuć się bezpiecznie, przechadzając się wśród jurty.

Brzemienność Börte stała się wyraźna i zmieniła jej chód tak, że kobieta ledwo mogła nadążyć za Höelün. Ucieszyła ją możliwość zobaczenia się z rodzinami Ołkunutów. Opuściła ich jako kobieta najeźdźcy. Powrót w roli żony chana sprawiał jej ogromną przyjemność. Kroczyła z wysoko zadartą głową i wołała do tych, których rozpoznawała. Eluin z podnieceniem wychylała głowę w poszukiwaniu członków swojej rodziny. Kiedy ich dojrzała, pobiegła objąć matkę, mijając po drodze dwa śpiące psy. Stała się pewniejsza siebie, odkąd przyjechała do koczowiska Temudżyna. Kasar i Kacziun obaj się do niej zalecali, a Temudżyn wydawał się zadowolony, że postanowili załatwić to między sobą. Eluin rozkwitła pod wpływem zainteresowania braci. Höelün patrzyła teraz, jak przekazywała rodzicom wieść o śmierci siostry, głosem zbyt cichym, aby był słyszalny. Jej ojciec usiadł ciężko na zwałonym pniu drzewa przed ich jurty i spuścił głowę.

Sama Höelün czuła tylko smutek, kiedy rozglądała się po koczowisku. Każdy, kogo znała, dorósł lub poszybował do ptaków i duchów. Było to dziwne i nieprzyjemne uczucie, kiedy widziała jurty i zdobione dele rodzin, które znała z dzieciństwa. W jej umyśle obóz pozostał niezmienny, ale w rzeczywistości było to miejsce pełne nieznanymi jej twarzami.

- Spotkasz się z bratem, Höelün? Z bratankiem? - spytała cicho Börte.

Stała niemal jak w transie, kiedy patrzyli na ponowne połączenie się Eluin z rodziną. Höelün widziała smutek u młodej żony swojego syna. Nie wspomniała o wizycie w jej własnym domu.

Z oddali dobiegał tętent kopyt, kiedy Temudżyn i jego dowódcy ćwiczyli Ołkunutów i

Kereitów w taktyce wojennej. Wyjechali już o świcie i Höelün wiedziała, że jej syn każe im ćwiczyć niemal do wycieńczenia w ciągu kilku pierwszych dni. Jej nowy status nie miał wpływu na pretensje wielu Kereitów, że musieli walczyć u boku mniej ważnych rodzin. Tuż przed końcem pierwszego wieczora doszło do dwóch walk i jeden Kereit został dźgnięty nożem. Temudżyn zabił zwycięzcę, jeszcze zanim ten zdążył cokolwiek powiedzieć. Höelün zadrżała, kiedy wyobraziała sobie twarz syna. Czy Jesügej kiedykolwiek byłby tak bezwzględny? Sądziła, że tak, gdyby miał kiedyś pod swoją wodzą tylu wojowników. Jeśli szamani mówili prawdę, że jedna dusza człowieka zostaje na ziemi, a druga łączy się z Niebem, Jesügej na pewno był dumny z dokonań syna.

Höelün i Börte patrzyły, jak Eluin całuje twarz ojca, którego łzy mieszają się z jej własnymi. W końcu wstała, żeby odejść, a jej matka wzięła jej głowę w objęcia swoich ramion i przytuliła ją do siebie. Börte odwróciła wzrok od tej pełnej miłości sceny, ale jej twarz pozostała nieprzenikniona.

Höelün nie musiała pytać, co stało się u Tatarów, którzy porwali ją od jej męża. Wszystko było aż nazbyt widoczne w sposobie, w jaki wzbraniała się przed każdym dotykem, odskakując, nawet kiedy to Höelün sięgała po jej rękę. Serce Höelün krajało się na myśl o cierpieniach Börte, ale wiedziała lepiej niż ktokolwiek, że czas potrafił stępić ostrze bólu. Nawet wspomnienia o Bekterze wydawały się w jakiś sposób odległe, nie mniej żywe, ale wyzute z bolesności.

Mimo słońca Höelün czuła chłód na skórze i stwierdziła, że nie cieszy się tak bardzo z powrotu do Ołkunutów, jak miała nadzieję. Zmieniło się zbyt wiele. Nie była już tą małą dziewczynką, która jeździła z braćmi i natknęła się na Jesügeja. Pamiętała go z tamtego dnia, przystojnego i nieustraszonego, kiedy na nich szarżował. Ench wrzasnął, kiedy strzała Jesügeja ugodziła go w biodro, i popędził konia do galopu w ucieczce. Nienawidziła wtedy dziwnego wojownika, ale skąd miała wiedzieć, że Jesügeja można było pokochać? Skąd miała wiedzieć, że stanie znowu wśród swojego ludu jako matka chana?

Wśród jurt dostrzegła starszego człowieka, idącego sztywno i podpartego na kij. Börte westchnęła na jego widok i Höelün odgadła, kim był, ze sposobu, w jaki jego córka stała sztywno, zbierając całą swoją dumę.

Szołoj przykuśtykał do nich, obserwując uważnie strzegących je wojowników. Jego wzrok spoczął na Höelün, po czym starzec drgnął nagle.

- Pamiętam cię, dziewczyno - powiedział. - Chociaż minęło już dużo czasu.

Höelün zmrużyła oczy, próbując przypomnieć sobie jego wygląd z jej młodości. Powróciło mgliste wspomnienie człowieka, który uczył ją pleść uprząż z liny i skóry. Był już wtedy stary, przynajmniej w jej młodych oczach. Ku swojemu zdumieniu poczuła, że łzy napływają jej do oczu.

- Pamiętam - powiedziała, a on uśmiechnął się do niej, obnażając zbrązowiałe dżiąsła.

Börte nie odezwała się, a Szolój skinął do córki i jego bezzębny uśmiech rozszerzył się jeszcze bardziej.

- Nie myślałem, że cię jeszcze zobaczę w tych jurtach - powiedział.

Börte jakby się zjeżyła i Höelün zastanawiała się, czy usłyszała ciepło w twardym głosie jej ojca. Szolój roześmiał się nagle.

- Dwie żony chanów, dwie matki dalszych, lecz stoją przede mną tylko dwie kobiety. Dostanę ze dwa bukłaki ajraku za taką wspaniałą zagadkę.

Wystawił rękę i dotknął rąbka delu Börte, pocierając go między palcami dla sprawdzenia

materiału.

- Dokonałaś właściwego wyboru, dziewczyno. Widzę to. Wiedziałem, że ten Wilk ma coś w sobie. Czyż nie mówiłem ci tego?

- Mówiłeś, że pewnie nie żyje - odparła Börte głosem chłodniejszym, niż Höelün kiedykolwiek u niej słyszała.

Szołoj wzruszył ramionami.

- Może i tak - powiedział ze smutkiem.

Zapadło między nimi bolesne milczenie i Höelün westchnęła.

- Uwielbiasz ją, staruszku - powiedziała. - Czemu jej tego nie powiesz?

Szołoj zarumienił się, chociaż nie potrafiłby powiedzieć, czy to z gniewu czy zmieszania.

- Ona to wie - mruknął.

Börte aż zbladła. Potrząsnęła głową.

- Nie wiedziałam - odparła. - Skąd miałam to wiedzieć, skoro nigdy tego nie mówiłeś?

- Sądziłem, że wiesz - odpowiedział Szołoj i utkwiał wzrok w oddali po drugiej stronie koczowiska.

Manewry masy wojowników na stepie zdawały się na chwilę przykuć jego uwagę i Szołoj nie patrzył na córkę.

- Jestem z ciebie dumny, dziewczyno, powinnaś to wiedzieć - powiedział nagle. - Traktowałbym cię uprzejmie, gdybym mógł cię jeszcze raz wychować.

Börte potrząsnęła głową.

- Ale nie możesz - powiedziała. - A ja nie mam ci teraz nic do powiedzenia.

Staruszek jakby skurczył się pod jej słowami, a kiedy Börte odwróciła się do Höelün, miała łzy w oczach. Szołoj nie widział ich i dalej patrzył na step i jurty.

- Wracajmy - powiedziała Börte z błaganiem w oczach. - To był błąd, że tu przyszliśmy.

Höelün myślała, czy nie zostawić jej na kilka godzin z ojcem. Temudżyn był jednak uparty. Börte nosiła jego dziedzica i nie można było ryzykować. Höelün stłumiła rozdrażnienie. Może było to normalne dla matki, ale zawilości ich związku wydawały jej się nedorzeczne. Jeżeli wyjadą, Börte nigdy więcej nie zobaczy już ojca i będzie tego żałować po kres swoich dni. Wystarczyłoby, żeby Temudżyn zaczekał.

- Rozgoście się - rzuciła Höelün do swoich synów i Arslana. Przynajmniej Kasar i Kacziun byli przyzwyczajeni do słuchania jej. - Zostaniemy tu, podczas gdy Börte odwiedzi ojca w jego jurcie.

- Chan powiedział wyraźnie... - zaczął Arslan.

Höelün spojrzała na niego ostro.

- Czyż nie jesteśmy jednym ludem? - zapytała twardo. - Nie mamy się czego lękać ze strony Ołkunutów. Wiedziałabym, gdyby tak było.

Arslan spuścił oczy, niepewny, co odpowiedzieć.

- Kacziunie - powiedziała Höelün - idź i odszukaj mojego brata Encha i powiedz mu, że jego siostra zje u niego posiłek.

Odczekała, aż Kacziun odbiegnie szybko, jeszcze zanim zdążył zapytać, gdzie mogła być właściwa jurta. Höelün patrzyła, jak waha się na skrzyżowaniu ścieżek. Była pewna, że zapyta o drogę, zamiast wracać potulnie. Jej synowie potrafili myśleć za siebie.

- Będiesz mi towarzyszył, Kasarze, i ty też, Arslanie. Zjemy, a potem odszukamy Börte i jej ojca i zabierzemy ich.

Arslan był rozdarty, pamiętał słowa Temudżyna. Nie życzył nikomu, żeby znalazł się w

takiej sytuacji, ale gdyby dalej się sprzeciwiał, zawstydziłby Höelün w obliczu Ołkunutów, a tego nie mógł zrobić. W końcu skłonił się.

Szołuj wrócił, żeby przysłuchiwać się rozmowie. Zerknął na córkę, żeby zobaczyć, jak to przyjmowała.

- Pragnąłbym tego - powiedział.

Börte skinęła sztywno i uśmiech rozjaśnił twarz Szoloja. Razem ruszyli z powrotem przez koczowisko Ołkunutów, a duma Szoloja widoczna była z daleka. Höelün z satysfakcją patrzyła za nimi.

- Ruszamy na wojnę - mruknęła. - Odmówiłbyś im ostatniej szansy na rozmowę jak ojciec i córka?

Arślan nie wiedział, czy pytanie skierowane było do niego, i nie odpowiedział. Höelün wydawała się zagubiona we wspomnieniach i nagle zatrzęsła się.

- Jestem głodna - obwieściła. - Jeśli jurta mojego brata jest tam gdzie kiedyś, mogę ją jeszcze znaleźć.

Ruszyła przez koczowisko, a Arślan i Kasar pośpieszyli za nią, nie patrząc sobie w oczy.

*

Czwartego dnia, odkąd Temudżyn sprowadził Ołkunutów, w słońcu zachodzącym nad stepami rozbrzmiały ostrzegawcze dźwięki rogów. Chociaż wojownicy obu plemion przez cały dzień ćwiczyli do upadłego, oderwali się od posiłku i chwycili za broń, zapomniawszy natychmiast o głodzie.

Temudżyn dosiadł kuca, żeby mieć lepszy widok. Przez jedną pełną grozy chwilę pomyślał, że Tatarzy zdołali ich jakoś okrążyć i nacierali teraz na nich z dwóch stron. Ale zaraz potem zbladł i silniej zacisnął dłonie na wodzach.

Kacziun miał wzrok bystry jak zawsze i też zeszywniał. Arślan zobaczył reakcję dwóch młodzieńców, sam nie mógł jednak dostrzec szczegółów w gęstniejącym mroku.

- Kim oni są? - zapytał i przez zmrużone oczy spojrzął na masę ciemnych jeźdźców, nadciągających w galopie.

Temudżyn splunął gniewnie na ziemię u jego stóp. Widział, w jak doskonałej formacji jechali przybysze i czuł gorycz w gardle.

- To plemię mojego ojca, Arślanie. To Wilki.

ROZDZIAŁ 32

Żelazne pochodnie migotały, łopocząc na nocnym wietrze, kiedy Ełuk wszedł do połączonego obozu. Temudżyn posłał Arslana, żeby umówić spotkanie z chanem, kiedy tylko plamie Wilków stanęło w miejscu. Sam nie chciał pojechać i nawet kiedy zobaczył, jak Ełuk zbliża się wśród jurt do miejsca, w którym Temudżyn siedział z braćmi, nie wiedział, czy może pozwolić mu odjechać żywemu. Atak na gościa był zbrodnią, która pograżyłaby go w oczach Ołkunutów i Kereitów, ale Temudżyn sądził, że Ełuka można było sprowokować do wystąpienia przeciw prawom gościnności, a wtedy Temudżyn mógłby go zabić.

Ełuk obrósł w tłuszcz przez lata, które minęły od czasu, gdy Temudżyn widział go po raz ostatni. Głowę miał ogoloną do samej skóry z wyjątkiem pojedynczego loku zaczesanych włosów, który poruszał się przy chodzeniu. Nosił ciężki, czarny del, podszyty ciemnym futrem na tunice i spodniach. Temudżyn ściągnął brwi, kiedy rozpoznał głownię z wilczym łbem na mieczu przy jego biodrze. Ełuk szedł nie rozglądając się między jurtami, ze wzrokiem utkwionym w postacie przy głównym ognisku. Tołuj kroczył u jego boku, jeszcze roślejszy i potężniejszy, niż zapamiętał go Temudżyn.

Temudżyn chciał siedzieć dalej na miejscu, żeby pokazać, jak niewiele obchodził go człowiek, który do niego przyszedł, ale nie mógł. Kiedy Ełuk i Tołuj zbliżyli się, wstał na nogi, a jego bracia uczynili to samo jak na wezwanie. Togruł dostrzegł ich napięcie, westchnął i też się podniósł. Yuan i dwunastu jego najlepszych ludzi stało za jego plecami. Cokolwiek zamierzał Ełuk, jego życie dobiegnie końca przy najmniejszej prowokacji.

Ełuk kierował wzrok to na Temudżyna, to na Kasara i Kacziuna, a potem dostrzegł Temügego i zmarszczył czoło. Nie rozpoznał najmłodszego syna Jesügeja, chociaż widział strach w jego oczach.

Strachu nie było jednak u innych. Każdy stał, gotowy do ataku, wszyscy mieli blade twarze i napięte muskuły i łomotały im serca. Chan Wilków zjawiał się w ich snach i zabijali go na tysiące sposobów przed przebudzeniem. Kacziun i Kasar widzieli go po raz ostatni, gdy odebrał im plemię, porzucając ich na śmierć na ponurym stepie przed zimą. Wszystko, co wycierpieli od tamtego dnia, można było zrzucić na jego barki. Przyjmował twarz potwora w ich wyobraźni i dziwnie się czuli, widząc człowieka, postarzałego, ale wciąż silnego. Trudno im było zachować obojętną twarz.

Wzrok Tołuja spoczął na Temudżynie i jego wpatrzonych w niego jasnych oczach. On też miał swoje wspomnienia, ale był teraz o wiele mniej pewny siebie, niż kiedy pojmał syna Jesügeja i zabrał go z powrotem do swojego chana. Przyzwyczaił się znęcać się nad słabszymi i łaścić się do tych, którzy nim rządzili. Nie wiedział teraz, jak zachować się w obecności Temudżyna, i odwrócił wzrok, zakłopotany.

Pierwszy odezwał się Togruł, kiedy cisza stała się już nie do zniesienia.

- Witaj w naszym koczowisku - powiedział. - Czy zechcesz zasiać z nami do posiłku?

Ełuk skinął, nie odrywając wzroku od braci.

- Owszem - powiedział.

Dźwięk jego głosu przyniósł kolejną falę nienawiści u Temudżyna, który jednak usiadł na filcowej macie wraz z innymi, pilnując, czy Ełuk albo Tołuj nie sięgają po broń. Jego własny miecz był przygotowany przy jego ręce, a on zachowywał ostrożność. W końcu Sansar też

uważał się za bezpiecznego w swojej jurcie.

Ełuk wziął czarę solonej herbaty w obie dłonie i dopiero wtedy Temudżyn sięgnął po własny napój i sączył, nie czując smaku. Nie odezwał się. Jako gość, Ełuk musiał mówić pierwszy i Temudżyn ukrył swoją niecierpliwość za czarką, nie okazując targających nim uczuć.

- Byliśmy wrogami w przeszłości - powiedział Ełuk, kiedy opróżnił czarę.

- I wciąż nimi jesteśmy - natychmiast odparł Temudżyn, wyrzucając z siebie część nienawiści.

Ełuk zwrócił ku niemu swoją płaską twarz i siedział w milczeniu. W obliczu tak wielu ludzi, gotowych rzucić mu się do gardła, wydawał się spokojny, chociaż oczy miał zabiegłe krwią, jakby pił przed spotkaniem. - To może być prawda, jednak nie po to teraz tu przychodzę - powiedział cicho Ełuk. - Plemiona szemrzą wokoło o nadciągającej z północy armii Tatarów, armii, która powstała za przyczyną twoich najazdów.

- Cóż z tego? - rzucił Temudżyn.

Ełuk uśmiechnął się sztywno, hamując gniew. Wiele lat upłynęło od ostatniego razu, kiedy ktoś odważył się mówić do niego tak surowym tonem.

- Stepy opustoszały z włóczęgów - ciągnął Ełuk. - Przyszli, żeby połączyć z tobą siły przeciw wspólnemu wrogowi.

Temudżyn zrozumiał nagle, dlaczego Ełuk sprowadził do niego plemię Wilków. Usta otworzyły mu się lekko, ale nie odezwał się, pozwalając, aby Ełuk ciągnął wywód, podczas gdy sam zagłębił się w rozmyślaniach.

- Wiele razy słyszałem o młodym Wilku, który zadawał klęski Tatarom - ciągnął Ełuk. - Twoje imię znane jest teraz na stepach. Twój ojciec byłby z ciebie dumny.

Temudżyn niemal rzucił się na niego, a wściekłość wezbrała mu w gardle. Z wielkim trudem opanował się, a Ełuk popatrzył na niego uważnie i wyczuł to.

- Dowiedziałem się, że zjednoczyłeś wojska Ołkunutów i Kereitów, kiedy już wyruszyłem z Wilkami. Jednak nadal uważam, że będą ci potrzebni moi ludzie, jeśli chcesz zgnieść armię Tatarów i zepchnąć ich z powrotem na północ.

- Ilu ich masz? - zapytał Togruł.

Ełuk wzruszył ramionami.

- Stu czterdziestu. - Spojrzał na Temudżyna. - Znasz ich umiejętności.

- Nie potrzebujemy ich - powiedział Temudżyn. - Teraz przewodzę Ołkunutom. Nie jesteś nam potrzebny.

Ełuk uśmiechnął się.

- To prawda, że nie jesteś już w tak beznadziejnym położeniu, jak sądziłem. Jednak potrzebny ci będzie każdy jeździec, jakiego zdołasz znaleźć, jeśli liczby, o których słyszałem, są prawdziwe. Jeśli będziesz miał Wilków, wtedy więcej ludzi z... twojego plemienia przeżyje walkę. Wiesz o tym.

- A co w zamian? Nie jesteś tu na darmo - powiedział Temudżyn.

- Tatarzy mają srebro i konie - powiedział Ełuk. - Mają też kobiety. Ta armia to wspólna wyprawa wielu plemion. Będą tam cenne dobra.

- Więc to chciwość cię tu sprowadza - zakpił Temudżyn.

Ełuk zarumienił się lekko w gniewie, a Tołuj poruszył się przy jego ramieniu, rozdrażniony obelgą.

- Plemię Wilków nie mogłoby im stawić czoła samo - odparł Ełuk.

- Musielibyśmy wycofać się na południe. Kiedy usłyszałem, że Kereici zostają i dołączyli do nich twoi jeźdźcy, pomyślałem, że może odłożysz na bok swoją przeszłość. Nic, co tu widzę, nie zmienia tego. Potrzebujesz Wilków. Potrzebujesz mnie u swojego boku.

- Za szóstą część ich bogactw - mruknął Togruł.

Ełuk zerknął na tłustego chana Kereitów i ukrył obrzydzenie.

- Jeśli stanie przeciw nim trzech chanów, łupy winne być podzielone na trzy równe części.

- Nie będę się targował jak kupiec - uciał ostro Temudżyn, zanim Togruł zdążył odpowiedzieć. - Nie powiedziałem też jeszcze, że cię tu przyjmę.

- Nie możesz zabronić mi walki przeciw Tatarom, jeśli tak postanowię - powiedział cicho Ełuk. - Nie ma hańby w dyskusji o dzieleniu zdobyczy, kiedy już ich pokonamy.

- Mógłbym powstrzymać cię jednym rozkazem - powiedział Temudżyn. - Mógłbym najpierw zgnieść Wilków.

Nie opanował gniewu i chociaż gdzieś w głębi duszy wiedział, że wścieka się jak głupiec, jego spokój był już tylko wspomnieniem. Niemal niezauważenie zaczął podnosić się z miejsca.

- Nie zrobiłbyś tego rodzinom - powiedział z pewnością w głosie Ełuk, zatrzymując go. - Nawet gdybyś się na to zdobył, byłoby to marnotrawstwo wojowników, którzy mogą ci pomóc w walce z Tatarami. Jaki jest sens, byśmy walczyli teraz między sobą? Mówiono mi, że masz wizję. Pokaż to teraz.

Wszyscy trzej obecni patrzyli teraz na Temudżyna, oczekując jego reakcji. Pod ich spojrzeniem rozluźnił pięści, usiadł na nowo i zabrał dłoń z główki miecza. Ełuk nie ruszył się. Gdyby to zrobił, zginąłby. Temudżyna zawstydzała odwaga, jaką wykazał się jego wróg, przychodząc do niego. Przypominała mu czasy, kiedy był małym chłopcem pośród mężczyzn. Wiedział, że potrzebni mu byli wojownicy, których sprowadził Ełuk, gdyby tylko zdołał przełknąć takie przymierze.

- Czy przyjmą moje rozkazy, te Wilki? Czy ty je przyjmiesz? - zapytał.

- Może być tylko jeden przywódca w takiej bitwie - powiedział Ełuk. - Ustaw nas na skrzydle i pozwól mi tam dowodzić. Będę walczył zaciekle, jak każdy wojownik, jakiego masz.

Temudżyn potrząsnął głową.

- Musiałbyś znać sygnały rogu, formacje, które ćwiczyłem z pozostałymi. Trzeba czegoś więcej niż tylko szybkiej jazdy i zabijania wszystkich, którzy się nawiną.

Ełuk odwrócił wzrok. Nie wiedział dokładnie, co tu zastanie, kiedy kazał Wilkom pakować jurty i jechać. Zastanawiał się, czy nie powinien odbijać łupów od osłabionych plemion, które spotkały się z Tatarami, ale w najgłębszych zakamarkach serca jak prawdziwy wilk czuł zapach krwi na wietrze i nie mógł mu się oprzeć. W całym swoim życiu nie widział na stepach niczego podobnego do tej armii Tatarów. Jesügej wyruszyłby przeciw nim i Ełuka drażniło, że teraz synowie starego chana stawali przeciw armii nadciągającej z północy.

A jednak oczekiwał, że przyjmą go bojaźliwi ludzie. Przystąpienie Ołkunutów do przymierza zmieniło wartość jego wojowników. Zamierzał zażądać całej połowy łupów, ale zamiast tego synowie Jesügeja postępowali z nim z chłodną arogancją. Ale poświęcił się. Nie mógł ich teraz po prostu zostawić na stepie i wrócić z Wilkami. Ucierpiałaby na tym jego władza w plemienu, gdyby został odprawiony. W migotliwym świetle pochodni widział tuziny jurty, wzniesione wokół niego i ginące w ciemności. Sam widok tylu wojowników odpowiadał jego własnym marzeniom. Czego mógł dokonać człowiek z tyloma poplecznikami? Gdyby synowie Jesügeja zginęli w bitwie, ich ludzie byłiby zagubieni i

wystraszeni. Mogliby zasilić szeregi Wilków.

- Moi ludzie będą wykonywać twoje rozkazy, za moim pośrednictwem - powiedział w końcu.

Temudżyn pochylił się do przodu.

- Ale potem, kiedy Tatarzy zostaną rozbici, rozwiążemy starsze porachunki między nami. Mam prawo do Wilków jako najstarszy żyjący syn Jesügeja. Czy staniesz ze mną do boju z tym mieczem, który nosisz, jakby był twój?

- Jest mój - odparł Ełuk i ściągnął brwi.

Szemranie rozległo się w koczowisku wokół nich. Togrul spojrział na obydwu mężczyzn, ledwie maskujących nienawiść. Ełuk zmusił się do spokoju i udawał, że się namyśla. Wiedział, że Temudżyn będzie pragnął jego śmierci. Zastanawiał się nad możliwością włączenia niedobitków w szeregi Wilków, gdy zabierze ich spod ręki Temudżyna. Zamiast tego spotkał się z chanem Ołkunutów i stawka była stokroć większa. Może duchy były z nim jak nigdy dotąd.

- Kiedy rozbijemy Tatarów, spotkam się z tobą - powiedział z płonącymi oczami. - Ciesz się mnie ta możliwość.

Temudżyn wstał nagle, na co wiele rąk sięgnęło po miecze. Ełuk siedział jak kamień i podniósł wzrok na niego, ale oczy Temudżyna wpatrzone były gdzie indziej. Höelün podchodziła powoli do zebranych, jakby w transie. Ełuk odwrócił się, żeby zobaczyć, kto przykuł uwagę Temudżyna, a kiedy zobaczył żonę Jesügeja, on też wstał z Tołujem.

Höelün była blada i Ełuk widział, jak omiata sobie górną wargę koniuszkiem języka niczym wąż na polowaniu. Kiedy spojrział na nią, ruszyła naprzód z ręką uniesioną do ciosu.

Kacziun stanął między nimi, zanim dotarła do chana Wilków. Przytrzymał matkę, kiedy szarpnęła ręką jak szponem, celując w twarz Ełuka. Jej paznokcie nie dosięgły go jednak, a Ełuk nie odezwał się, czując za sobą gotowość Temudżyna. Höelün szarpała się, a jej wzrok spoczął na najstarszym synu.

- Jak możesz pozwolić mu żyć po tym, co nam zrobił? - krzyknęła, wrywając się z uścisku Kacziuna.

Temudżyn potrząsnął głową.

- Jest gościem w moim obozie, matko. Kiedy zwyciężymy Tatarów, odbiję od niego Wilków albo on odbije ode mnie Ołkunutów.

Ełuk odwrócił się do niego, a Temudżyn uśmiechnął się gorzko.

- Czyż nie tego właśnie pragniesz, Ełuku? Nie widzę więcej jurt w twoim koczowisku, niż kiedy porzuciłeś nas, byśmy zginęli na stepie. Ojciec Niebo opuścił Wilków pod twoją wodzą, ale to się zmieni.

Ełuk zaśmiał się i rozluźnił ramiona.

- Powiedziałem wszystko, po co tu przyszedłem. Kiedy będziemy jechać, przekonasz się, że lepszy wojownik dowodzi twoim skrzydłem. Potem udzielę ci twardej lekcji i drugi raz nie pozwolę ci żyć.

- Wracaj do swoich jurt, Ełuku - powiedział Temudżyn. - Zacznę szkolić twoich ludzi o świcie.

*

Kiedy Tatarzy nadciągnęli z północy na zielone równiny, mniejsze plemiona uciekły przed ich siłą. Niektóre nie zatrzymały się i nawet kiedy dostrzegły zbierające się wojska Temudżyna, ominęły je z daleka, tak że wyglądały jak małe ciemne plamki przemieszczające

się po wzgórzach w oddali. Inne plemiona dołączały do jego wojowników, toteż armia z dnia na dzień powiększała się o kolejnych wściekłych jeźdźców. Temudżyn wystosował poselstwo do Najmanów, Ojratów i każdego z wielkich plemion, jakie można było odnaleźć. Jednak albo nie udało się do nich dotrzeć, albo plemiona te nie miały zamiaru przybyć. Temudżyn rozumiał ich niechęć, nawet jeśli nią gardził. W całej swojej historii plemiona nigdy nie walczyły wspólnie. Zjednoczenie nawet trzech z nich w jedną siłę było nie lada osiągnięciem. Wojownicy szkolili się wspólnie, aż Temudżyn uznał, że byli u szczytu możliwości. A jednak wieczorami wzywano go stale, aby zakazywał krwawych waśni albo karał walczące grupki, które pamiętały krzywdy sprzed wielu pokoleń.

Nie odwiedził jurt Wilków. Ani jedna ze starych rodzin nie wstawiła się za jego matką, kiedy zsyłano ją na śmierć z dziećmi. Bywały chwile, kiedy oddałby wszystko za możliwość kroczenia między ludźmi, których znał z chłopięcych lat, ale tak jak Höelün odkryła to przed nim, nie byli to już ci sami ludzie. Dopóki władał nimi Ełuk, spotkanie to nie przyniosłoby mu spokoju.

Dwudziestego poranka po przybyciu Ołkunutów zwiadowcy przybyli galopem, żeby zameldować o tatarskiej armii na horyzoncie w odległości mniej niż jednego dnia marszu. Wraz z nimi zjawiała się kolejna rodzina włóczęgów, pędzona z przodu jak kozy. Temudżyn zadał w róg na zbiórkę i cisza zaległa w obozie, kiedy wojownicy ucałowali najbliższych na pożegnanie i dosiedli koni. Wielu dla dodania sobie sił żuło kawałki gorącej baraniny z chlebem, wręczone im przez ich córki i matki. Uformowały się flanki z Wilkami Ełuka z lewej oraz Kacziunem i Kasarem na czele Ołkunutów z prawej. Temudżyn trzymał Kereitów w środku. Spojrzał w prawo i w lewo wzdłuż szeregu konnych, zadowolony z widoku. Ośmiuset wojowników czekało na jego sygnał do szarży przeciw wrogom. Pieczę Kereitów i Ołkunutów płonęły dzień i noc, i prawie trzecia część żołnierzy nosiła zbroje, wykute na wzór otrzymanych od Wena Chao. Konie chronione były skórzanymi fartuchami, pokrytymi nakładającymi się na siebie płytkami z żelaza. Temudżyn wiedział, że Tatarzy nie widzieli nic podobnego. Odczekał, aż kobiety cofnęły się za linię wojowników, i zobaczył, jak Arslan pochyła się w siodle i całuje młodą Tatarkę, którą złapał, a potem wziął za żonę. Temudżyn rozejrzał się wokół, ale nie było śladu Börte. Poród opóźniał się i młody chan nie spodziewał się, że jego żona wyjdzie z jurty. Pamiętał, jak Höelün mówiła mu kiedyś, że Jesügej wyjechał w dniu jego narodzin, i uśmiechnął się ironicznie. Koło się zamknęło, ale stawka wzrosła. Zrobił wszystko, co mógł, i nie było trudno wyobrazić sobie, że Jesügej patrzy na swoich synów. Temudżyn dostrzegł Kasara i Kacziuna, a potem Temügego w drugim szeregu po lewej. Skinął na nich i Kasar obnażył zęby w uśmiechu. Przebyli daleką drogę od wąwozu wśród wzgórz, gdzie każdy przeżyty dzień był triumfem.

Kiedy byli gotowi, przed szereg wyjechał szaman Ołkunutów na śnieżnobiałej klaczy. Był chudy i stary, a jego włosy miały barwę jego konia. Wpatrzone w niego było każde oko, kiedy intonował pieśń, unosząc ręce ku Ojcu Niebu. Trzymał popękaną od ognia łopatkę owcy i wymachiwał nią jak bronią. Temudżyn uśmiechnął się do siebie. Szaman Kereitów nie był tak spragniony wojny i młody chan wybrał właściwego człowieka do tego rytuału.

Szaman zsiadł z konia i przywarł do ziemi, obejmując Matkę, która rządziła nimi wszystkimi. Pieśń rozbrzmiewała cicho na wietrze, ale szeregi wojowników tkwiły w zupełnym bezruchu, czekając na wróżbę. W końcu stary szaman popatrzył na czarne linie na kości i czytał z nich, wodząc palcami po wyżłobieniach.

- Matka weseli się - zawołał. - Pragnie krwi Tatarów, którą wlejemy w jej oblicze. Ojciec

Niebo wzywa nas w swoim imieniu.

Złamał łopatkę w rękach, demonstrując zaskakującą siłę.

Temudżyn nabrał powietrza w płuca i krzyknął wzdłuż szeregów.

- Ziemia zna tylko jeden lud, moi bracia - zagrzmiął jego głos. - Pamięta ciężar naszych kroków. Walczcie dziś dobrze, a wrogowie będą nam pierzchać spod stóp.

Unieśli łuki z wielkim okrzykiem i Temudżyn poczuł w skroniach przyspieszone tętno. Szaman wsiadł na swoją klacz i wrócił do szeregu. Z zabobonnego strachu żaden wojownik nie spojrzał mu w oczy, ale Temudżyn skinął do niego, schylając głowę.

Na skraju szeregów jeźdźcy nosili małe bębny i zaczęli w nie uderzać, a dźwięk wtórował łomoczącemu sercu młodego chana. Temudżyn uniósł rękę, a potem opuścił ją na prawo. Zerknął na Kasara, gdy ten pokłusował czysto z setką najlepszych ołkunuckich wojowników. Każdy z nich nosił żelazną zbroję. W szarży, myślał Temudżyn, będą niepowstrzymani. Odjechali od głównej siły i kiedy Temudżyn patrzył w ślad za nimi, miał nadzieję, że zobaczy ich znowu.

Kiedy szeregi ucichły i setka wojów Kasara odjechała na prawie milę, Temudżyn popędził wierzchowca i Kereici, Wilki i Ołkunutowie ruszyli naprzód razem, zostawiając kobiety i dzieci, porzucając bezpieczne schronienie koczowiska.

ROZDZIAŁ 33

Chociaż wszyscy znali wroga, przeciw któremu wyruszyli, wciąż byli wstrząśnięci widokiem bezmiaru sił tatarskich. Armia jak zgnilizna powoli trawiła teren: ciemna masa jeźdźców, wozów i jurt. Temudżyn i jego bracia widzieli ich już pięćset mil na północ, a jednak czuli niepokój. Ale nie wahali się. Mężczyźni, którzy jechali z synami Jesügeja, wiedzieli, że ich przywódcy gotowi są na bitwę. Jeśli był strach w szeregach Mongołów, nie było go widać na ich zimnych twarzach. Tylko ciągłe sprawdzanie strzał pozwalało rozluźnić napięcie, kiedy usłyszeli ostrzegawcze dźwięki tatarskich rogów w oddali.

Temudżyn jechał przez zieloną dolinę, a jego klacz była silna dzięki zielonej, wiosennej trawie. Raz po raz wykrzykiwał rozkazy, żeby powstrzymać co bardziej niecierpliwych dowódców. Ełuk był z nich najgorszy i lewe skrzydło wysuwało się naprzód i stale trzeba je było hamować, aż Temudżyn zaczął podejrzewać, że było to umyślne nieposłuszeństwo wobec jego rozkazów. W oddali widział wrzenie wokół jurt Tatarów, ich krzyki ginęły jednak wśród stepu. Słońce świeciło jasno i Temudżyn czuł ciepło na plecach jak błogosławieństwo. Po raz kolejny sprawdził strzały i znalazł je w pogotowiu w kołczanie, tak jak przedtem. Chciał uderzyć w Tatarów w pełnym galopie i wiedział, że musi poczekać z przyspieszeniem aż do ostatniej możliwej chwili. Tatarzy nadciągali z północy od co najmniej trzech miesięcy, jadąc każdego dnia. Temudżyn miał nadzieję, że nie będą ani tak wypoczęci jak jego wojownicy, ani tak żądni zabijania. W odległości mili pochylił się do przodu i przyspieszył do cwału częstość uderzeń kopyt. Jego ludzie poszli za jego przykładem, chociaż Ełuk raz jeszcze starał się być pierwszy przy zabijaniu. Temudżyn zadał w róg i dostrzegł wściekłe spojrzenie Ełuka, kiedy wracał z powrotem do szeregu. Tętent kopyt grzmiał mu w uszach i Temudżyn słyszał podniecone okrzyki wojowników wokół siebie, mrużących oczy od wznoszących się podmuchów wiatru. Osadził pierwszą strzałę na cięciwie i wiedział, że wkrótce powietrze napełni się strzałami obu armii. Może jedna z nich trafi jego gardło i pośle go konającego na ziemię. Serce łomotało mu w piersi, a strach zginął w jego skupieniu. Nad głową świsnęły pierwsze strzały Tatarów, ale on nie dawał znaku do galopu. Musiało się udać. Kiedy armie zbliżyły się do siebie, wybrał odpowiedni moment.

Popędził wierzchowca. Klacz odpowiedziała gwałtownym przyspieszeniem, niemal skacząc naprzód. Może czuła równe podniecenie, co oni. Oddział poszedł za jego przykładem, a Temudżyn napiął łuk z całej siły. Przez kilka chwil czuł się, jakby trzymał w dwóch palcach ciężar dorosłego człowieka, ale mierzył dokładnie. Czuł rytm galopu w całym ciele i chwilę całkowitego spokoju, kiedy klacz frunęła, nie dotykając ziemi.

Tatarzy pędzili już w pełnym galopie. Temudżyn zaryzykował spojrzenie na swoich ludzi. Dwa szeregi pędziły z łoskotem przez równinę i wszystkich siedmiuset wojowników jechało z napiętymi łukami. Zazgrzytał zębami, znosząc napięcie w ramionach, i posłał pierwszą strzałę. Dźwięk, który rozległ się później, był pojedynczym świstem, który odbił się echem wśród wzgórz wokoło. Strzały wleciały pod błękitne niebo i zdawało się, że zawisły tam na chwilę, zanim runęły w dół na szeregi Tatarów. Wiele utkwilo w ziemi, wbijając się aż po bełty. Znacznie więcej wgryzło się w ciało i jednym uderzeniem zmiotło jeźdźców ze świata.

Zanim Temudżyn zdążył zobaczyć, co się stało, nadeszła odpowiedź, i strzały wyrosły nad nim. Nigdy nie widział ich tak wielu i czuł, jak cień przesłania słońce nad jego oddziałem.

Tatarskie strzały leciały wolno, kiedy patrzył na nie i starał się nie krzywić w pełnym napięcia oczekiwaniu. Potem jakby przyspieszyły i rozległo się owadzie bzyczenie. Zmacał palcami drugą strzałę i jego oddział posłał drugą salwę, jeszcze zanim runął na nich grad tatarskich grotów.

W pełnym galopie wojownicy znikali z siodła, a ich krzyki natychmiast ginęły gdzieś z tyłu. Temudżyn poczuł, jak coś uderzyło go w udo i ramię, i odbiło się od zbroi. Strzała nie przebiła pancerza i Temudżyn krzyknął triumfalnie, prawie wstając w strzemionach, a potem słał już tylko strzałę za strzałą do swoich wrogów. Wiatr mącił mu wzrok tak, że nie widział szczegółów, ale trafiał cel i zabijał z dziką radością.

Minęły zaledwie chwile, zanim spotkali się z pierwszymi z tatarskich jeźdźców, ale zdawało się to wiecznością. Kiedy się zbliżyli, Temudżyn przypiął łuk do rogu przy siodle, tak żeby był w pogotowiu. Był to jeden z pomysłów, na jakie wpadł na naradach ze swoimi dowódcami. Dobył miecza, który zrobił dla niego Arsłan, słysząc jęk stali, gdy wyciągał ostrze z pochwy. Każde uderzenie serca było jak wieczność i miał czas. Chwycił za róg na rzemieniu na szyi, uniósł go do ust i zadał po trzykroć. Kątem oka zobaczył, jak żołnierze na flankach ruszyli naprzód, a on chwycił miecz oburącz i galopował dalej, zrównoważony i gotów do natarcia.

Uderzyli w Tatarów z potężnym hukiem. Konie zderzyły się w pełnym galopie, gdyż żaden jeździec nie ustąpił z drogi, tak że wszyscy spadali teraz z siodła. Armie starły się, a strzały z bliska trafiały w twarze i karki. Śmierć przychodziła szybko i w jednej chwili ginęły tuziny wojowników. Temudżyn widział, że jego zbroja go chroni, i ryknął raz jeszcze, szarżując do boju, wzywając wroga. Jakiś tatarski wojownik śmignął obok niego, ale Temudżyn zadał cięcie, jeszcze zanim zniknął. Inny strzelił z łuku z tak bliska, że grot przeszył zbroję i utkwiał w piersi Temudżyna, wyrывая mu okrzyk bólu z gardła. Czuł, jak grot rusza się i tnie mu skórę przy każdym gwałtownym ruchu. Zamachnął się mieczem i ściął głowę łuczника. Tracił krew, która ciekła między żelaznymi płytami zbroi.

Szarża zgniotła pierwszy szereg Tatarów, ale było ich tak wielu, że nie ugięli się. Walczące szeregi zaczęły rozpadać się na mniejsze grupki wściekle tnących mężczyzn lub posyłających strzały odrętwiałymi palcami, aż łuki stały się bezużyteczne i wojownicy sięgnęli po miecze. Temudżyn kładł wroga za wrogiem, a jego klacz reagowała na każde muśnięcie kolan. Wrzeszczący Tatar rzucił się na niego, a jego otwarte usta już były pełne krwi. Temudżyn zatopił mu miecz w piersi, po czym szarpnął wściekle, by uwolnić ostrze. Inny przeciwnik natarł na niego z boku z toporem i rąbnął nim w żelazne panele. Cios nie skruszył metalu, ale Temudżyn został odepchnięty na bok. Czuł rwący ból w mięśniach ud, kiedy próbował się wyprostować, ale przeciwnik został z tyłu.

Wilki Ełuka przedzierały się przez armię wrogów po lewej. Niektórzy wojownicy zsiadli z koni i wchodzili razem w sam środek kłębowiska Tatarów, śląc strzałę za strzałą. Nosili skórzane zbroje pod delami i z wielu z nich sterczały złamane brzeszczoty. Niektórzy mieli czerwone krople wokół ust, ale wciąż walczyli, przedzierając się coraz bliżej jądra tatarskiej armii. Temudżyn widział wśród nich Ełuka z twarzą zbryzganą krwią, kiedy ciął wokół mieczem, niegdyś należącym do Jesügeja.

Konie konały na ziemi, wierzgając w spazmach, niebezpieczne dla każdego, kto podszedł za blisko. Temudżyn podjechał do jednego z nich i dostrzegł ołkunuckiego wojownika uwięzionego pod końskim cielskiem. Spojrzał mu w oczy i zaklął, zeskakując z siodła, aby go uwolnić. Kiedy stanął na ziemi, kolejna strzała trzasnęła mu w pierś, zatrzymana żelazem.

Uderzenie powaliło go na plecy, ale dźwignął się, i wyciągnął wojownika spod konia, by mógł stanąć na nogach. Na ziemi obok leżał kołczan pełen strzał i Temudżyn chwycił go, zanim znowu dosiadł kuca i sięgnął po łuk. Pognał wierzchowca raz jeszcze i z całej siły napiął cięciwę. Tatarzy najwyraźniej ledwo dostrzegali straty i wciąż jeszcze nie przełamano ich natarcia. Krzyknął ku nim, wyzywając ich do walki, a jego wojownicy dostrzegli go znowu w siodle. Dodało im to otuchy i zaczęli ciąć i zabijać ze zdwojoną energią. Nie mogło to długo trwać, o czym wiedział Temudżyn. Zobaczył, że Ołkunuci prą do przodu po prawej, chociaż nie mieli dość wojowników, by okrążyć wroga. Kiedy skończyły się im strzały, rzucali toporki w masę wrogów, zabijając wielu, nim sięgnęli po miecze.

Temudżyn usłyszał tętent kopyt, zanim spostrzegł Kasara nadciągającego z posiłkami. Jego ludzie okrążyli pole bitwy, ukryci za wzgórzami. Z grzbietu klaczy Temudżyn widział zwarty szereg pędzący ku nim z oszałamiającą prędkością z Kasarem na czele. Tatarzy na flance próbowali mu się przeciwstawić, ale byli zbyt stłoczeni. Wśród huku kopyt Temudżyn usłyszał ich krzyki, gdy nie mogli się obrócić wśród swoich żołnierzy.

Uzbrojone konie i ludzie uderzyli we flankę Tatarów jak włócznią, wrzynając się głęboko w ich oddział i znacząc drogę krwawymi trupami.

I zwierzęta, i wojowników trafiały tatarskie strzały, ale jeźdźcy nie zatrzymali się, póki nie przedarli się do samego środka wrogiego wojska, rozbijając rozkrzyczanych Tatarów.

Temudżyn czuł, że przeciwnicy ustępują przed jego natarciem i nie mógł mówić z dzikiego podniecenia, które wypełniało mu pierś. Wcwałował w masę ludzi, a jego klacz zadrżała z bólu, gdy strzały trafiły skórę i żelazo chroniące jej unoszącą się pierś. Kołczan Temudżyna był pusty i młody chan raz jeszcze sięgnął po miecz Arslana, by ściąć każdego żywego przeciwnika.

Rozejrzał się w poszukiwaniu swoich dowódców i zobaczył, że zebrali szeregi, które parły dalej jak jeden mąż. Kacziun i Arslan zmusili Ołkunutów, by poszli za dzikim natarciem Kasara w sam środek tatarskiej armii. Wielu straciło wierzchowce, ale trzymali się razem i zabijali każdym cięciem, podczas gdy sami byli prawie nietykalni. Tatarzy usłyszeli ich głosy za plecami i przeszła wśród nich fala paniki.

Bitwa zwolniła tempo, gdy wojowników ogarnęło zmęczenie. Niektórzy byli wyczerpani i stali teraz na obu flankach, oddychając ciężko. Wielu z nich padało od mieczów bardziej wypoczętych przeciwników, a na ich twarzach malowała się rozpacz, gdy wreszcie tracili siły. Trawa pod ich stopami była czerwona od krwawych strzępów ludzkich i usłana ciałami. Niektóre z nich wciąż drgały lekko, walcząc z chłodem, jakie je ogarniał. Wiatr wiał przy walczących kłębowiskach wojowników, wpuszczając zapach rzezi do wyczerpanych płuc. Tatarzy zaczęli w końcu przegrywać i cofali się krok za krokiem.

Ełuk rzucił się jak obłąkany na grupę wrogów. Był tak umazany krwią, że wyglądał jak dzikooki duch śmierci. Z ogromną siłą powalał pięściami i łokciami wrogów na ziemię i tratował ich. Jego wojownicy z plemienia Wilków szli za nim, ale Tatarzy ledwie unosili miecze, a przerażenie zastąpiło ich odwagę. Niektórzy uciekali, inni zaś próbowali zebrać resztę, wskazując mieczami na rodziny wokół jurt za nimi.

Wciąż w siodle, Temudżyn widział blade twarze kobiet i dzieci, patrzących na walkę mężczyzn. Nie obchodziły go. Ojciec Niebo sprzyjał silnym. Słabi musieli zginąć.

- Mamy ich! - ryknął, a jego ludzie wiwatowali, widząc go jadącego pośród nich.

Byli zmęczeni, ale czerpali siłę z jego obecności i zabijanie rozpoczęło się na nowo. Palce Temudżyna były śliskie od krwi, kiedy chwycił róg pod szyją i zadał trzy razy, żeby

wojownicy okrążyli wroga. Pozostawił odcisk palca na polerowanej powierzchni, ale nie zobaczył go, kiedy Ełuk i Kacziun ruszyli do przodu. Wszystkie kołczany były puste, ale miecze wciąż świszczą w powietrzu, a Tatarzy rzucili się w końcu do ucieczki ku swoim jurtom, zanim zostaną wyrżnięci do cna. Temudżyn widział, że tam właśnie stoczy ostatnią walkę. Cieszyła go ta myśl.

Zobaczył, jak jego ludzie ruszyli za nim i zagrał opadającą nutę, żeby zwolnić szarżę. Szli teraz po ciałach poległych ku jurtom Tatarów. Tych, którzy uciekli, było najwyżej dwie setki, wszyscy, którzy pozostali przy życiu. Temudżyn już się ich nie bał. Ku swojemu rozdrażnieniu zobaczył, że ludzie Ełuka ztratili się w walce i nie odpowiedzieli na jego wezwanie. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie kazać im stanąć przeciw niedobitkom samotnie, ale nie mógł dopuścić, aby Ełuk zginął tak łatwo. Tatarzy na pewno mieli tam łuki i strzały. Ktokolwiek stanie im naprzeciw, będzie musiał przejść przez świszczącą burzę. Może Ełuk miał rację, nie opóźniając szarży. Temudżyn wydobył pojedynczy dźwięk z rogu na znak do wymarszu. Ruszył śladem zdruzgotanych kości poległych.

Z jurta nadleciała nieregularna salwa strzał. Niektóre pociski nie sięgały celu, wystrzelone przez kobiety, ale inne miały dość siły, by odbierać życie wojownikom, którzy już cieszyli się ze zwycięstwa. Temudżyn słyszał, jak dyszą jego ludzie, kiedy biegli lub popędzali kuce. Byli niepowstrzymani i strzały daremnie huczały wśród nich, odrzucając ich w tył, gdy groty trafiały w żelazne panele zbroi. Temudżyn pochylił się w siodle, kiedy odległość się zmniejszyła, gotów zakończyć to, co zaczęli.

*

Kiedy było po wszystkim, ostatnie miejsce obrony Tatarów usłane było stosami trupów. Utrzymywali szereg, dopóki nie uderzył w nich konny oddział Kasara. Temudżyn rozejrzał się i popatrzył, jak trzy plemiona rzuciły się do wozów w poszukiwaniu łupów, choć raz działając jednomyślnie. Walczyli i zwyciężyli razem, i Temudżyn sądził, że trudno im będzie powrócić do dawnych niechęci, dotyczyło to przynajmniej tych, których znał.

Chan zsiadł z konia i skrzywił się, kiedy pociągnął za wiązania, mocujące mu panel na piersi. Tuzin żelaznych płyt został oderwany w boju, a reszta była poprzebijana. Trzy złamane brzechwy sterczały z ochronnych warstw. Dwie wisiały bezwładnie, ale trzecia tkwiła sztywno i właśnie tej chciał się pozbyć. Stwierdził, że nie może wyciągnąć płótna zbroi. Kiedy próbował, coś kurczyło się w jego mięśniach i ogarniała go fala mdłości.

- Daj, pomogę ci - powiedział Temüge przy jego ramieniu.

Temudżyn zerknął na najmłodszego brata i machnął, by odszedł. Nie miał ochoty nic mówić i kiedy minęła gorączka bitwy, jego ciało zdradzało wszystkie cięcia i ciosy, jakie otrzymał. Chciał teraz tylko odrzucić ciężką zbroję i usiąść, ale nie mógł zrobić nawet tego.

Temüge podszedł bliżej i Temudżyn zignorował go, kiedy jego palce sprawdzały złamaną płytę i brzeszczot tkwiący w jego ciele, który unosił się i opadał wraz z oddechem.

- Rana na pewno nie jest głęboka - mruknął Temüge. - Jeśli będziesz stał spokojnie, wydobędę ją.

- Więc zrób to - odparł Temudżyn, obojętny na wszystko.

Zacisnął szczęki, kiedy Temüge przebił brzeszczot nożem, a potem sięgnął pod płótno, żeby złapać drugi koniec. Powolnym pociągnięciem usunął ochraniacz na pierś i upuścił na ziemię, a sam przyjrzał się ranie. Jedwab nie rozerwał się, ale wbił się głęboko w mięsień piersiowy Temudżyna. Krew ciekła z wyrwy wokół grotu, ale Temüge wyglądał na zadowolonego.

- Jeszcze kawałek i bylibyś martwy. Chyba mogę to wyciągnąć.

- Widziałeś, jak to się robi? - spytał Temudżyn i spuścił wzrok na niego. - Musisz obracać strzałą.

Ku jego zdumieniu Temüge obnażył zęby w uśmiechu.

- Wiem. Grot zaklinował się w jedwabiu. Tylko stój spokojnie.

Temüge wziął głęboki wdech i chwycił oślizgły brzeszczot, wbijając się paznokciami w drewno, żeby lepiej ciągnąć. Temudżyn mruknął z bólu, kiedy grot poruszył się w jego ciele. Pierś drgała mu bezwolnie jak u konia odganiającego muchy.

- W drugą stronę - powiedział.

Temüge zaczerwienił się.

- Mam ją teraz - odparł, a Temudżyn poczuł, jak drżący mięsień rozluźnia się w miarę, jak strzała opuszcza jego ciało. Obracała się, kiedy go trafiła. Kiedy wprawne palce Temügego obróciły ją w drugą stronę, grot wyszedł łatwo wśród strugi krzepnącej krwi.

- Tamuj czymś ranę przez pewien czas - powiedział Temüge.

W jego głosie brzmiała cicha nuta triumfu i Temudżyn skinął na niego, poklepując po ramieniu.

- Masz wprawna rękę - powiedział.

Temüge wzruszył ramionami.

- Strzała nie trafiła mnie. Gdyby trafiła, płakałbym jak dziecko.

- Nieprawda - powiedział Temudżyn.

Wyciągnął rękę i chwycił brata za kark, zanim się odwrócił. Bez ostrzeżenia jego twarz zmieniła się tak bardzo, że Temüge odwrócił się, żeby zobaczyć, co się stało.

Ełuk stał na szczycie jednego z tatarskich wozów z buklakiem ajraku w jednej ręce i zakrwawionym mieczem w drugiej. Nawet z oddali wyglądał na silnego i niebezpiecznego. Jego widok wrócił życie członkom Temudżyna, wypędzając z nich wyczerpanie. Temüge patrzył, jak Ełuk krzyczy coś do jego Wilków.

- Nie pamiętam go - mruknął Temüge, kiedy patrzył przez zakrwawioną trawę. - Próbuję sobie przypomnieć, ale to było tak dawno temu.

- Nie dla mnie - rzucił Temudżyn. - Widzę jego twarz za każdym razem, kiedy śpię.

Powoli dobył miecza i Temüge odwrócił się do niego, przerażony tym, co widział na twarzy brata. Słyszeli śmiechy wojowników przy wozach, a ktoś zaczął wiwatować Ełukowi, gdy ten krzyknął coś do nich. - Powinieneś poczekać, aż wypoczniesz - powiedział Temüge. - Rana była płytka, ale na pewno cię osłabiła.

- Nie. To jest ten czas - odparł Temudżyn i ruszył naprzód.

Temüge już miał iść za nim, kiedy zobaczył Kacziuna i Kasara, wymieniających spojrzenia i śpieszących ku bratu. Temüge nie chciał oglądać kolejnej śmierci. Nie mógł znieść myśli, że Temudżyn zostanie zabity. Strach skręcał mu trzewia i przyprawiał o mdłości. Jeśli Ełuk stanie do walki i zwycięży, stracą wszystko, co osiągnęli. Temüge patrzył, jak Temudżyn oddala się powoli i nagle stwierdził, że musi tam być. Byli synami Jesügeja i to był ten czas. Z wahaniem zrobił krok do przodu, a zaraz potem biegł już ku bratu.

*

Ełuk ryczał ze śmiechu po tym, co ktoś krzyknął do niego. Odnieśli wspaniałe zwycięstwo nad tatarskim najeźdźcą. Walczył odważnie, a jego ludzie szli za nim tam, gdzie ich prowadził, prosto w serce bitwy. Nie pochlebiał sobie, kiedy przyjmował ich wiwatowanie. Odegrał swoją rolę aż nadto dobrze i teraz czekały na niego bogactwa Tatarów. Kobiety pod wozami będą częścią święta, a on zabierze wiele nowych dziewcząt do Wilków, żeby rodziły synów

jego druhom. Plemię się rozrośnie i rozejdzie się wieść, że Wilki uczestniczyły w tym boju. Ełuk był upojony rozkoszami życia, kiedy tak stał i pozwalał podmuchom wiatru suszyć jego pot. Tołuj siłował się z parą wojowników z plemienia Wilków, śmiejąc się, kiedy starali się go przewrócić. Wszyscy trzej upadli wreszcie we wzajemnym uścisku i Ełuk zaśmiał się, czując jak skóra napina mu się pod strupami zakrzepłej krwi. Odłożył miecz i potarł twarz obiema ciężkimi rękami, ścierając wysuszony brud bitwy. Kiedy podniósł wzrok, zobaczył Temudżyna i jego braci, idących po niego.

Ełuk skrzywił się, zanim się schylił i raz jeszcze podniósł miecz. Wóz był wysoki, ale wojownik zeskoczył na ziemię, nie chcąc odwracać się tyłem do przeciwników. Stał przed synami Jesügeja z uśmiechem na ustach. On i Temudżyn byli jedynymi chanami, którzy widzieli zwycięstwo. Chociaż Kereici walczyli dzielnie, ich tłusty przywódca był bezpieczny w jurtach pięć mil na południe. Ełuk wziął głęboki wdech i stanął w bezruchu, rozejrzawszy się wokoło. Jego druhowie z plemienia Wilków widzieli, jak ich chan zeskakuje z wozu i teraz przybiegli do niego. Ołkunuci też przerwali grabienie łupów z Kereitami i podeszli w parach i trójkach, żeby zobaczyć, co się działo. Wieść o krwawej waśni między ich przywódcami rozeszła się już i nie chcieli przegapić walki. Kobiety pod wozami zawodziły opuszczone, kiedy wojownicy przeszli do miejsca, gdzie Temudżyn i Ełuk stali w milczeniu.

- To było wspaniałe zwycięstwo - powiedział Ełuk i rozejrzał się po zbierających się mężczyznach.

Stu jego Wilków przeżyło bitwę, ale nie uśmiechali się już. Pozostałe plemiona miały jednak znaczną przewagę liczebną i Ełuk wiedział, że waśń może rozwiązać tylko starcie między dwoma przywódcami, którzy sprowadzili wojowników w to miejsce.

- To stary dług - krzyknął ku nim Ełuk. - Niech nie będzie potem zemsty. - Jego oczy płonęły, kiedy spojrzał na Temudżyna stojącego tuż przed nim. - Nie prosiłem o krew między nami, ale jestem chanem Wilków i nie odmówię.

- Żądam zwrotu plemienia mego ojca - powiedział Temudżyn i powiódł wzrokiem po szeregach wojowników i druhów Ełuka. - Nie widzę innego chana, któremu moglibyście służyć.

Ełuk zaśmiał się i uniósł miecz.

- No to ja ci go pokażę - powiedział.

Zobaczył, że Temudżyn zdjął część zbroi i uniósł dłoń. Stał gotowy i nieruchomy, kiedy Ełuk rozsuł ochraniacze z gotowanej skóry, dzięki którym przeżył bitwę. Temudżyn uniósł ręce i jego bracia zrobili to samo z jego zbroją, tak że obaj przeciwnicy zostali w samych tunikach, spodniach i butach z ciemnymi plamami po pocie, schnącym na wietrze. Obaj ukryli zmęczenie i martwili się, że przeciwnik wygląda na wypoczętego.

Temudżyn uniósł miecz i utkwiał wzrok w broni, którą Ełuk trzymał, jakby nic nie ważyła. Widział twarz Ełuka w tysiącach walk ćwiczebnych z Arslanem i Yuanem. Rzeczywistość była inna i Temudżyn nie mógł zebrać w sobie spokoju, którego tak desperacko potrzebował. Ełuk wyglądał jakby na wyższego. Człowiek, który skazał rodzinę Jesügeja na śmierć był niezwykle potężny, a bez zbroi jego postura budziła grozę. Temudżyn potrząsnął głową, jakby to miało pomóc mu wyzbyć się strachu.

- Chodź do mnie, padlino - mruknął i Ełuk zmrużył oczy.

Obaj rzucili się ku sobie szybkimi krokami. Temudżyn sparował pierwszy cios wymierzony w jego głowę, czując, jak ramiona drżą mu od mocy uderzenia. Jego pierś bolała go tam, gdzie strzała rozerwała mu mięsień, i z trudem opanowywał gniew, który zabiłby go swoją

dzikością. Ełuk nacierał ciężko, tnąc mieczem jak maczetą z ogromną siłą, tak że Temudżyn musiał albo uskakiwać na bok, albo parować cios, który odrzucał go w tył. Jego prawe ramię drętwiało, kiedy zatrzymywał każde uderzenie. Wojownicy trzech plemion dali im miejsce w szerokim pierścieniu, ale nie wołali i nie wiwatowali. Temudżyn widział ich twarze w przelocie, kiedy okrążał przeciwnika, zmieniając chód, żeby cofnąć się, gdy Ełuk ciął powietrze.

- Jesteś wolniejszy niż kiedyś - powiedział mu Temudżyn.

Ełuk nie odpowiedział, czerwony na twarzy. Zadał pchnięcie z wypadu, ale Temudżyn odtrącił ostrze na bok i trzasnął Ełuka łokciem w twarz. Ełuk odpowiedział natychmiast, a jego pięść trafiła prosto w nieosłoniętą pierś Temudżyna.

Ból przeszył Temudżyna, a Ełuk wycelowował miecz w krwawą plamę na jego tunice. Wrzasnął głośno, kiedy przeciwnik nacierał. Ełuk w dzikim obrocie uderzył znowu w krwawiący mięsień, na piersi Temudżyna pojawiły się nowe plamy. Temudżyn wrzasnął i cofnął się o krok, ale kiedy Ełuk natarł, odsunął się spod ciosu ojcowskiego miecza i z całej siły ciął mieczem rękę Ełuka pod łokciem. W starciu z mniej potężnym przeciwnikiem mogłoby to zakończyć walkę, ale przedramiona Ełuka były silnie umięśnione. Rana była jednak straszna i lała się z niej krew. Ełuk nie spojrzał na bezużyteczną rękę. Temudżyn skinął na niego i obnażył zęby w uśmiechu. Jego przeciwnik będzie teraz słabł, a on nie chciał szybko zakończyć walki.

Ełuk natarł raz jeszcze i jego miecz śmignął w powietrzu. Zderzenie metalu wznosiło falę bólu przez ciało Temudżyna za każdym razem, kiedy spotykały się ostrza, ale teraz ucieszył się, czując, że Ełuk słabnie. Kiedy się mijali, Temudżyn otrzymał cięcie w poprzek uda, tak że pozostał na miejscu, kiedy Ełuk go okrążał. Obaj przeciwnicy dyszeli już ze zmęczenia, tracąc ostatnie zapasy energii, jakie im zostały po bitwie. Zmęczenie odbierało im siłę, tylko wola i nienawiść sprawiały, że wciąż stali naprzeciw siebie.

Ełuk wykorzystał ranioną nogę Temudżyna i zaatakował, a potem odsunął się na bok, zanim Temudżyn zmienił pozycję. Dwa razy ostrze śmignęło tuż przy karku Temudżyna, a Ełuk z łatwością odparował kontrataki. Ale jednak słabł. Rana na jego rękę nie przestawała krwawić i kiedy się odsunął, zachwiał się nagle, a jego wzrok stracił ostrość. Temudżyn zerknął na rękę Ełuka i dostrzegł wciąż wypływającą krew. Słyszał, jak rozchlapuje się w pyłe za każdym razem, kiedy Ełuk stał nieruchomo, a teraz jego skóra była bledsza niż przedtem.

- Umierasz, Ełuku - powiedział Temudżyn.

Ełuk nie odpowiedział i natarł znowu, sapiąc przy każdym oddechu. Temudżyn uskoczył na bok przed pierwszym z jego ciosów i pozwolił, aby drugi przeszedł tuż obok niego, tak aby Ełuk się zbliżył. Oddał cios jak wąż i Ełuka odrzuciło w tył, a nogi odmawiały mu już posłuszeństwa. Z rany na jego piersiach bluznęła krew. Ełuk schylił się, próbując oprzeć dłonie na kolanach. Jego lewa ręka odmówiła posłuszeństwa i prawie upuścił miecz, kiedy próbował złapać oddech.

- Mój ojciec cię kochał - powiedział Temudżyn i patrzył na niego. - Gdybyś pozostał mu wiemy, stałbyś tu teraz ze mną.

Skóra Ełuka stała się trupioblada, kiedy wojownik dyszał, by złapać powietrze i nabrać sił.

- Zamiast tego zawiodłeś jego zaufanie - ciągnął Temudżyn. - Więc giń, Ełuku. Nie jesteś mi już potrzebny.

Patrzył, jak Ełuk próbuje coś powiedzieć, ale krew wykwitła mu na wargach i nie wydobył

z siebie żadnego dźwięku. Upadł na jedno kolano, a Temudżyn schował miecz do pochwy i czekał. Wydawało się, że trwa to całą wieczność, kiedy Ełuk chwycił się życia, ale w końcu upadł na bok jak długi. Jego pierś zamarła w bezruchu i Temudżyn zobaczył, jak jeden z Wilków podchodzi w jego kierunku. Temudżyn sprężył się do kolejnego ataku, ale rozpoznał Basana i zawahał się. Człowiek, który raz ocalił Temudżyna przed Ełukiem, stanął teraz nad jego ciałem i spojrzał na nie z góry. Zakłopotanie malowało się na twarzy Basana, ale bez słowa sięgnął po miecz z wilczą głownią i wyprostował się. Podał miecz Temudżynowi, a ten ucieszył się, witając jego ciężar w swoich dłoniach jak starego przyjaciela. Pomyślał przez chwilę, że sam upadnie, ale poczuł, że podtrzymują go bracia.

- Długo czekałem, żeby to zobaczyć - mruknął Kasar pod nosem.

Temudżyn przebudził się z apatii i przypomniał sobie, jak jego brat kopnął ciało Sansara.

- Traktuj ciało z szacunkiem, bracie. Musimy zyskać w oczach Wilków, a oni nie wybaczą nam, jeśli źle go potraktujemy. Pozwól im zabrać go na wzgórze i złożyć go tam dla jastrzębi. - Rozejrzał się po milczących szeregach wojowników. - A teraz chcę wrócić do koczowiska i przejąć, co należy do mnie. Jestem chanem Wilków.

Pieścił te słowa w ustach, a jego bracia chwycili go silniej, kiedy je usłyszeli, jednak ich twarze nie wyrażały niczego.

- Dopilnuję tego - powiedział Kasar. - Trzeba jednak opatrzyć ci rany, zanim wykrwawisz się na śmierć.

Temudżyn skinął, owładnięty wyczerpaniem. Basan nie odezwał się, a on pomyślał, że powinien przemówić do Wilków zebranych wokół w oszołomieniu, ale to będzie musiało poczekać. I tak nie mieli, dokąd pójść.

ROZDZIAŁ 34

Ponad trzystu wojowników zginęło w bitwie przeciw Tatarom. Zanim siły Temudżyna opuściły teren, niebo wypełniło się krążącymi jastrzębiami, sępami i krukami. Górskie zbocza furkotały od skrzydeł, gdy ptaki szarpały za ciała i walczyły między sobą zaciekle. Temudżyn wydał rozkaz, aby równo traktowano Kereitów, Ołkunutów i Wilków. Szamani trzech plemion przewyciężyli niechęć wobec siebie i intonowali rytualne pieśni śmierci, podczas gdy wojownicy patrzyli na zbierające się drapieżne ptaki. Jeszcze zanim zakończyły się pieśni, wylądowały wielkie czarne sępy, uczepliły się trupów, a w żywych wbiły spojrzenia swoich ciemnych oczu.

Tatarów pozostawiono tam, gdzie polegli, ale dopiero późno w ciągu dnia wozy ruszyły z powrotem do koczowiska. Temudżyn i jego bracia jechali na przedzie, z poddanymi Wilkami za plecami. Gdyby nie był synem dawnego chana, mogliby go zabić, gdy tylko padł Ełuk, ale kiedy Basan wręczył mu miecz jego ojca, wojownicy nie ruszyli się. Chociaż nie ucieszyli się tak jak Ołkunuci i Kereici, zostali przy nim i byli jego. Tołuj jechał sztywno przy nich, a jego twarz nosiła ślady bicia. Kasar i Kacziun wzięli go w nocy po cichu na bok i teraz nie patrzył na nich, gdy siedział w siodle.

Kiedy dotarli do obozu Togrula, kobiety wyszły, by powitać swoich mężów i synów, desperacko patrząc po twarzach, aż dowiedziały się, że ich bliscy przeżyli. Wokół mieszały się głosy radości i smutku, i step żył okrzykami i zgiełkiem.

Temudżyn pokłusował na swojej poharatanej klaczy do jurty, z której wyszedł Togrul wraz z Wenem Chao. Chan Kereitów zachował przy sobie trochę straży do ochrony rodzin i ludzie ci nie patrzyli na Temudżyna, kiedy wodził wzrokiem po ich twarzach. Oni z nim nie walczyli.

Temudżyn zsiadł z konia.

- Złamaliśmy im kark, Togrule. Nie pojawią się już na południu.

- Gdzie jest chan Wilków? - zapytał Togrul i rozejrzał się po kłębiących się wojownikach i ich rodzinach.

Temudżyn wzruszył ramionami.

- Stoi przed tobą - powiedział. - Przejąłem plemię.

Zmęczony Temudżyn odwrócił się, żeby wydać rozkazy braciom i nie widział zmienionej twarzy Togrula. Po obozie rozchodził się zapach pieczonej baraniny i powracający żołnierze podnieśli radosną wrzawę, czując tę woń. Umierali z głodu po minionym dniu i nic nie będzie dokończonych, póki nie nasycą pragnienia i głodu.

Wen Chao zobaczył nadjeżdżającego ku nim Yuana z zakrwawionym kawałkiem płótna owiniętym wokół jego nogi. Temudżyn skierował się ku jurcie swojej żony, a Wen Chao zaczął cierpliwie, aż Yuan zsiadł z konia i upadł na jedno kolano.

- Nie znamy szczegółów bitwy, Yuanie. Musisz nam opowiedzieć, co widziałeś.

Yuan utkwiał wzrok w ziemi.

- Twoja wola, mistrzu.

*

Kiedy słońce zaszło, wzgórza zapłonęły pasami złota. Uczta trwała, aż mężczyźni byli pijani i szczęśliwi. Togrul uczestniczył w święcie, chociaż nie wiwatował Temudżynowi razem z innymi, nawet kiedy wojownicy Wilków przyprowadzili swoje rodziny, by złożyć

przysięgę wierności synowi Jesügeja. Togruł widział łzy w oczach Temudżyna, kiedy klękali przed nim i zaczynało ogarniać go rozzalenie. To prawda, że nie walczył z nimi, ale czy nie brał w tym udziału? Bitwy nie można było wygrać bez Kereitów, a to Togruł sprowadził Temudżyna z mroźnej północy. Nie mógł nie zauważyć sposobu, w jaki Kereici wymieszali się z innymi, tak że teraz nie można ich już było odróżnić. Patrzyli z podziwem na młodego chana, człowieka, który zebrał plemiona pod swoją wodzą i odniósł druzgoczące zwycięstwo nad odwiecznym wrogiem. Togruł widział każde spojrzenie i ukłon i czuł, jak strach wlewa się w jego trzewia. Ełuk poległ, a przed nim Sansar. Nietrudno było wyobrazić sobie noże przychodzące w nocy po Togruła z Kereitów. Kiedy ucza się zakończyła, usiadł w jurcie z Wenem Chao i Yuanem i rozmawiali do późna w nocy. Kiedy wzeszedł księżyc, wziął głęboki wdech i poczuł opary czystego ajraku zawieszane ciężko w jego płucach. Był pijany, ale musiał być.

- Zrobiłem wszystko, co obiecałem, Wenie Chao - przypomniał ambasadorowi.

Głos Wena był uspokajający.

- Owszem. Będiesz chanem rozległych posiadłości, a twoi Kereici zaznają pokoju. Moi mistrzowie będą zadowoleni, gdy usłyszą o takim zwycięstwie. Kiedy podzielicie łupy, pojedę z wami. Nic tu po mnie, już nie. Może będę mógł cieszyć się ostatnimi latami życia w Kaifengu.

- Jeśli będę mógł odejść - rzucił nagle Togruł.

Jego ciało trzęsło się od rozzalenia i strachu, a Wen Chao przekręcił głowę, żeby na niego spojrzeć, niczym słuchający ptak.

- Lękasz się nowego chana - mruknął.

Togruł parsknął.

- A nie powinienem, skoro ciągnie się za nim szlak śmierci? Mam strażę wokół tej jurty, ale rankiem, kto wie, ile czasu upłynie, zanim...

- Urwał, a jego palce zacisnęły się, kiedy rozmyślał. - Widziałeś, jak mu wiwatują, także moi Kereici.

Wen Chao był zakłopotany. Jeśli Temudżyn zabije rano tego tłustego głupca, cały ciężar spadnie na Wena Chao. Zastanawiał się, co ma zrobić, doskonale świadomy nieprzeniknionej twarzy Yuana.

Kiedy cisza stała się nie do zniesienia, Togruł wychylił haust ajraku i beknął.

- Kto wie, komu jeszcze mogę ufać - powiedział wysokim głosem.

- Będzie dziś pijany i będzie spał twardo. Jeśli umrze w swojej jurcie, nikt nie powstrzyma mnie przed odjazdem rano.

- Jego bracia to zrobią - powiedział Wen Chao. - Wpadną w gniew.

Togruł poczuł, jak mąci mu się wzrok i ukrył twarz w dłoniach.

- Moi Kereici liczą sobie pół armii wokół nas. Nie są nic winni jego braciom. Gdyby Temudżyn zginął, mógłbym ich odzyskać. Nie mogliby mnie zatrzymać.

- Jeśli spróbujesz i ci się nie powiedzie, życie nas wszystkich będzie zagrożone - ostrzegł Wen Chao.

Obawiał się, że Togruł będzie chodził na ślepo po jurtach i zabije Wena, teraz kiedy pojawiła się szansa na powrót na dwór Kin po tych wszystkich latach w głuszy. Zdał sobie sprawę, że jego bezpieczeństwo i tak było zagrożone, ale wydawało się, że lepiej robi, jeśli zaczeka do rana. Temudżyn nie był mu nic winien, a szanse były duże, że Wen będzie mógł wrócić do domu.

- Nie wolno ci ryzykować, Togrule - powiedział chanowi. - Prawa gościnności chronią was obu, a możesz tylko stracić, jeśli zaryzykujesz to wszystko ze strachu.

Wen oparł się na siedzeniu i czekał, aż jego słowa zostaną dobrze zrozumiane.

- Nie - powiedział Togrul i trzepnął ręką w powietrze. - Widziałeś, jak mu wiwatują. Jeśli umrze dzisiaj, zabiorę Kereitów przed świtem. O poranku będziemy już daleko, kiedy tu zapanuje chaos.

- To błąd... - zaczął Wen Chao.

Ku jego szczeremu zdumieniu przerwał mu Yuan.

- Poprowadzę ludzi do jego jurty, mój panie - powiedział Togrulowi. - On nie jest moim przyjacielem.

Togrul odwrócił się do żołnierza Kin i zaklaskał tłustymi dłońmi.

- Zrób to Yuanie, szybko. Zdejmij strażę wokół jego jurty i zabij go. On i jego bracia wypili więcej niż ja. Nie będą gotowi na twoje przyjście, nie dzisiaj.

- A jego żona? - zapytał Yuan. - Śpi z nim i obudzi się i zacznie krzyczeć.

Togrul znowu potrząsnął głową w oparach ajraku.

- Nie, chyba że będziesz musiał. Nie jestem potworem, ale chcę żyć jutro rano.

- Yuanie? - rzucił Wen Chao. - Cóż to za głupstwo?

Jego pierwszy oficer odwrócił się do niego, mroczny i przyczajony w mroku.

- Potęga tego człowieka powstała szybko i rozrosła się. Jeśli umrze dzisiaj, nie zobaczymy go za kilka lat przy naszych granicach.

Wen zastanowił się nad przyszłością. Wciąż lepiej by było pozwolić zbudzić się Temudżynowi. Jeśli młody chan zdecyduje się zabić Togrula, przynajmniej Wen nie będzie musiał znosić jego towarzystwa do granic własnego kraju. Ale czy Temudżyn na pewno pozwoliłby odjechać ambasadorowi Kin? Nie był tego pewien i kiedy się wahał, Yuan wstał, skłonił się obydwu i wymaszerował przez drzwi. Przyłapany na niezdecydowaniu Wen Chao nie odezwał się. Spojrzał na Togrula ze zmartwionym wyrazem twarzy i słuchał, jak Yuan rozmawia ze strażnikami na zewnątrz. Nie trwało długo, zanim zniknęli w ciemnościach rozległego obozu, za daleko, by wezwać ich z powrotem.

Wen postanowił wezwać tragarzy. Cokolwiek się stanie, nie chciał tu zostawać do świtu. Nie potrafił wyzbyć się uczucia zagrożenia i strachu w piersi. Zrobił wszystko, o czym mógłby marzyć pierwszy minister. Tatarzy zostali rozbici i przynajmniej on znalazł spokój na dworze w Kaifengu. Więcej nie będzie mu już towarzyszył każdego poranka fetor potu i baraniny. Pijackie lęki Togrula wciąż mogły to wszystko zepsuć i Wen ściągnął brwi, kiedy tak siedział z chanem i wiedział, że tej nocy nie znajdzie spokoju.

*

Temudżyn był głęboko pogrążony we śnie, kiedy skrzypnęły drzwi jego jurty. Börte leżała u jego boku, pogrążona we śnie. Była rozdęta z dzieckiem w jej brzuchu i tak rozpalona, że odrzuciła futra chroniące przed zimowym chłodem. Nikły blask z pieca zalewał jurte pomarańczowym światłem. Kiedy Yuan wszedł z dwoma innymi mężczyznami, żadne z dwojga śpiących nie drgnęło.

Dwóch strażników miało obnażone miecze i minęli Yuana, wpatzonego w Temudżyna i Börte. Rozpostarł ręce i powstrzymał towarzyszy przedramionami, tak jakby zderzyli się ze ścianą.

- Czekać - syknął. - Nie zabiję śpiącego.

Wymienili spojrzenia, niezdolni zrozumieć dziwnego żołnierza. Stali w milczeniu, kiedy

Yuan wziął wdech i szepnął do śpiącego chana.

- Temudżynie?

Dźwięk jego imienia wyrwał Temudżyna z twardego snu. Zaspany otworzył oczy i poczuł huczenie w głowie. Kiedy odwrócił głowę, zobaczył Yuana i przez chwilę tylko patrzyli na siebie. Ręce Temudżyna były ukryte pod futrami i kiedy się ruszył, Yuan zobaczył, że Temudżyn trzyma miecz ojca. Młody chan był nagi, ale wyskoczył z łóżka i odrzucił pochwę broni na bok. Börte otworzyła oczy i Yuan usłyszał jęk strachu.

- Mogłem cię zabić - powiedział cicho Yuan do nagiego mężczyzny przed sobą. - Życie za życie, tak jak kiedyś darowałaś mi moje. Teraz nie ma już długu między nami.

- Kto cię przysłał? Wen Chao? Togrul? Kto?

Temudżyn potrząsnął głową, ale jurta zdawała się wirować. Z trudem oczyścił umysł.

- Mój mistrz nie ma z tym nic wspólnego - ciągnął Yuan. - Rano odjedziemy i wrócimy do domu.

- A więc to Togrul - powiedział Temudżyn. - Czemu zwraca się teraz przeciw mnie?

Yuan wzruszył ramionami.

- Obawia się ciebie. Może nawet ma rację. Pamiętaj, że dziś mogłem odebrać ci życie. Postąpiłem z tobą z honorem.

Temudżyn westchnął, a jego łomoczące serce zaczęło się uspokajać. Czuł się oszołomiony i chory, i zastanawiał się, czy nie zwymiotuje. Kwaśny ajrak palił go w żołądku i mimo kilku godzin snu Temudżyn wciąż był wyczerpany. Nie wątpił, że Yuan mógł go zabić, gdyby chciał. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie powinien wezwać wojowników z jurt i wyciągnąć Togrula. Może było to zwykłe zmęczenie, ale widział zbyt wiele śmierci, a krew Ełuka wciąż piekła go na skórze.

- Zanim wzejdzie słońce, odjedziesz - powiedział. - Zabierz Wena Chao i Togrula ze sobą.

- Temudżyn popatrzył na dwóch mężczyzn, którzy weszli z Yuanem. Stali oszołomieni rozwojem wypadków i nie mogli spojrzeć mu w oczy. - Jego strażę mogą mu towarzyszyć. Nie chcę ich tutaj po tym, co próbowali zrobić.

- Będzie chciał Kereitów - powiedział Yuan.

Temudżyn potrząsnął głową.

- Jeśli zechce, mogę ich wszystkich zebrać i opowiedzieć im o jego akcie tchórzostwa. Nie pojedą za głupcem. Plemiona są moje, Yuanie, także Kereici.

Stał nieco bardziej sztywno, kiedy to mówił, i Yuan widział, jak miecz z głową wilka na głównej łśni w nikłym świetle pieca.

- Powiedz mu, że nie odbiorę mu życia, jeśli odjedzie przed świtem. Jeśli go tu znajdę, rzucę mu wyzwanie na oczach jego wojowników.

Jego spojrzenie było ponure i surowe, kiedy utkwiał je w chińskim żołnierzu.

- Każda rodzina na morzu traw przyjmie mnie jako chana. Powiedz to swojemu mistrzowi Wenowi Chao, kiedy wrócisz do niego. Z mojej strony mu teraz nic nie grozi, ale zobaczę się z nim znowu.

Jego słowa potwierdzały obawy Yuana, ale państwo Kin odległe było o tysiąc mil. Nawet plemiona zebrane pod wodzą Temudżyna były tylko małą garstką w porównaniu z tymi, które widywał już Yuan. Żołnierz nie bał się ambicji chana.

- Obóz obudzi się, kiedy odjedziemy - powiedział Yuan.

Temudżyn spojrzął na niego, po czym wrócił na posłanie, nie trudząc się odpowiedzią. Zobaczył, że Börte miała oczy szeroko otwarte z przerażenia i sięgnął, żeby odgarnąć włosy z

jej twarzy. Pozwoliła mu na dotyk, jakby w ogóle go nie czuła.

- Po prostu idź, Yuanie - powiedział cicho Temudżyn. Już miał znowu nakryć się futrem, ale zatrzymał się na chwilę. - I dziękuję ci.

Yuan kazał dwóm pozostałym żołnierzom wyjść z powrotem na chłodne powietrze nocy. Kiedy zostawili jurte za sobą, zatrzymał ich znowu i wyczuł, że odwracają się pytająco ku niemu w ciemnościach. Nie widzieli noża, który wyciągnął spod delu, a nawet gdyby go dostrzegli, nie mogli równać się z człowiekiem, który był pierwszym mieczem w Kaifengu. Dwa krótkie dźgnięcia wystarczyły, aby znaleźli się na kolanach, a Yuan zaczekał, aż upadną na ziemię i znieruchomieją. Nie posłuchał rozkazu, ale odczuł ulgę, a teraz nie było już świadków, którzy mogliby opowiedzieć Wenowi Chao o tym, co zaszło. Koczowisko było milczące, zastygłe pod gwiazdami. Słyszał tylko szelest kroków Yuana, który wracał, aby przekazać swojemu mistrzowi, że Temudżyn był zbyt dobrze chroniony. Yuan tylko jeden raz spojrzął za siebie na jurte chana, kiedy odchodził w świetle księżyca, i starał się wbić ją sobie w pamięć. Spłacił swój dług.

*

Księżyc chylił się już ku wzgórzom, kiedy Temudżyn obudził się po raz drugi, gdy do jurty wszedł Kasar. Zanim całkiem się ocknął, już trzymał w ręku ojcowski miecz i skoczył na nogi. Börte poruszyła się, jęcząc we śnie i Temudżyn poklepał ją po policzku.

- Widzę, że śniłeś o atrakcyjnych kobietach - zaśmiał się Kasar.

Temudżyn zaczerwienił się i owinał się futrem w pasie, po czym usiadł na pościeli.

- Zachowuj się cicho, bo jeszcze ją obudzisz - szepnął. - Czego chcesz?

Zobaczył, jak Kacziun wchodzi za Kasarem i zastanawiał się, czy zazna spokoju tej nocy.

- Pomyślałem, że zainteresuje cię wiadomość, że na dworze leżą dwa martwe ciała.

Temudżyn skinął obojętnie. Spodziewał się tego. Kasar ściągnął brwi na jego brak reakcji.

- Togruł i Wen Chao najwyraźniej szykują się do wymarszu - powiedział Kasar, wciąż rozbawiony. - Ich strażnicy zebrali konie i tę niedorzeczną skrzynię, której używa Wen Chao. Chcesz, żebym ich zatrzymał?

Temudżyn ułożył ojcowski miecz na futrach i zamyślił się.

- Ilu ludzi zabierają? - zapytał.

- Może ze trzy tuziny - odezwał się z progu Kacziun - łącznie z żoną i córkami Togruła. Z Yuanem i strażnikami Wena tworzy to dużą grupę. Togruł ma wóz na swoje cielsko. Czy ty wiesz coś, czego my nie wiemy?

- Togruł przysłał ludzi, żeby mnie zabili, ale wybrał Yuana - powiedział Temudżyn.

Kasar syknął ze złością.

- Mogę wysłać za nim Wilków, zanim odjedzie na milę. Są najbliżej i nie mają przymierza z Togrułem.

Patrzył ze zdumieniem, jak Temudżyn potrząsa głową.

- Niech odjadą. My mamy Kereitów. I tak musiałbym go zabić.

Kacziun gwizdnął cicho pod nosem.

- Ilu jeszcze zjednoczysz, bracie? Jeszcze nie tak dawno byłeś chanem tylko kilku jeźdźców na północy.

Temudżyn nie odpowiadał przez długą chwilę. W końcu podniósł głowę i odezwał się, nie patrząc na braci.

- Będę chanem ich wszystkich. Jesteśmy jednym ludem i jeden człowiek może prowadzić nas wszystkich. Jak inaczej moglibyśmy zdobyć miasta Kin?

Kasar spojrział na brata i lekki uśmiech wykwitł mu na twarzy.

- Są plemiona, które nie brały udziału w bitwie przeciw Tatarom - przypomniał im obydwu Kacziun. - Najmanowie, Ojraci...

- Nie mogą stanąć samotnie przeciw nam - powiedział Temudżyn. - Przejmiemy je jedno po drugim.

- Więc znów mamy być Wilkami? - zapytał rozpromieniony Kasar.

Temudżyn myślał przez długą chwilę.

- Jesteśmy srebrnym ludem, Mongołami. Kiedy ktoś cię zapyta, powiedz mu, że nie ma plemion. Powiedz mu, że jestem chanem morza traw i będą mnie znać pod tym imieniem - Dżyngis. Tak, powiedz to. Powiedz, że jestem Dżyngis i nadciągnę.

EPILOG

Fort na granicy państwa Kin był masywną konstrukcją z drewna i kamienia. Nieliczni Kereici, którzy dołączyli do swojego chana na wygnaniu, wyglądali na zdenerwowanych, kiedy się zbliżali. Nigdy nie widzieli nic podobnego do tego wielkiego budynku, z jego skrzydłami i podwórzami. Wejście było wielką bramą z drewna uzbrojonego w żelazo, w którym umieszczono mniejsze drzwi. Stało tam dwóch strażników, ubranych w zbroje, bardzo podobne do tych, które nosili ludzie Wena Chao. Przypominali posągi w porannym słońcu, wypolerowane i doskonałe.

Togruł podniósł wzrok na wysokie ściany i dostrzegł tam więcej uzbrojonych żołnierzy. Sama granica była ledwie zwykłą ścieżką. W podróży Wen Chao chełpił się wielkim murem długim na tysiące mil, ale to było jeszcze daleko na południu. Skierował się prosto na fort, kiedy tylko go dostrzegli, wiedząc, że w przeciwnym razie sprowadziłby na nich rychłą śmierć. Władcy Kin nie lubili ludzi, którzy wkradali się na ich terytoria. Togruł nie mógł wyjść z podziwu dla największego budynku, jaki kiedykolwiek widział. Nie umiał ukryć podniecenia, kiedy postawiono na ziemi lektykę Wena Chao i ambasador wyszedł na zewnątrz.

- Czekajcie tutaj. Muszę im pokazać dokumenty, zanim będziemy mogli iść dalej - powiedział Wen Chao.

On też wydawał się ożywiony, kiedy jego ojczyzna była już w zasięgu wzroku. Już niedługo znowu będzie w samym sercu Kaifengu, a mały Zhang będzie zgrzytał zębami z powodu jego sukcesu.

Togruł zsiadł z wozu i uważnie obserwował, jak Wen Chao rozmawia ze strażnikami. Zerknęli na oddział Mongołów, żołnierzy i niewolników, ale jeden z nich skłonił się i otworzył małe drzwi w bramie, po czym zniknął za nimi. Wen Chao nie okazywał zniecierpliwienia, kiedy czekał. W końcu przetrwał całe lata niewygód.

Yuan patrzył, jak zjawia się dowódca fortu i sprawdza dokumenty Wena Chao. Nie słyszał, o czym rozmawiali, i zignorował pytające spojrzenia, które kierował do niego Togruł. On też miał już dość koczowników, a widok ziem państwa Kin przypominał mu o rodzinie i przyjaciółach.

W końcu dowódca wydawał się zadowolony. Oddał dokumenty, a kiedy Wen Chao znowu się do niego odezwał, mówił jak do podwładnego. Władza pierwszego ministra wymagała natychmiastowego posłuszeństwa i strażnicy stali sztywno jak na inspekcji. Yuan zobaczył, jak drzwi otwierają się na nowo i dowódca wszedł do środka, zabierając za sobą żołnierzy. Wen zawahał się, zanim poszedł za nimi, i najpierw odwrócił się do grupki patrzących. Jego spojrzenie spoczęło na Yuanie i tam się zatrzymało, z wyraźnym zakłopotaniem. Przemówił dialektem dworu Kin, najbardziej oficjalnym stylem.

- Ci ludzie nie otrzymali zezwolenia na wejście, Yuanie. Czy mam cię z nimi zostawić?

Yuan ściągnął brwi, a Togruł zrobił krok naprzód.

- Co on powiedział? Co się dzieje?

Wen Chao nie spuszczał wzroku z Yuana.

- Zawiodłeś mnie, Yuanie, gdy nie zabiłeś chana w jego jurcie. Jaką wartość ma dla mnie twoje życie?

Yuan stał zupełnie nieruchomo i nie okazywał strachu.

- Każ mi zostać, a zostanę. Każ mi wejść, a wejdę.

Wen Chao skinął powoli.

- Więc wejdź i żyj, wiedząc, że mogłem odebrać ci życie.

Yuan pokonał odległość dzielącą go od drzwi i wszedł do środka. Togrul patrzył na to z rosnącym przerażeniem.

- Kiedy przejdziemy? - zapytała jego żona.

Togrul odwrócił się do niej i kiedy zobaczyła bezbrzeżny strach w jego oczach, jej twarz zmieniła się. Kiedy ambasador państwa Kin odezwał się znowu, zrobił to w języku plemion. Miał nadzieję, że to ostatni raz, kiedy te dziwaczne dźwięki przechodzą mu przez usta.

- Wybaczcie - powiedział, odwrócił się i zniknął we wnętrzu fortu.

Drzwi zamknęły się za nim.

- Co się dzieje? - krzyknął desperacko Togrul. - Odpowiedz mi! Co się dzieje?

Zamarł na widok ruchu na wysokich ścianach fortu. Stał tam szereg żołnierzy, którzy - ku przerażeniu Togrula - napinali łuki i celowali w niego.

- Nie! Obiecano mi! - ryknął Togrul.

Strzały ze świstem przeszły powietrze i spadły na Mongołów, nawet kiedy w panice rzucili się do ucieczki. Togrul upadł na kolana z rozpostartymi ramionami, a w jego ciele tkwił tuzin strzał. Jego córki krzyczały, ale dźwięk ten urywał się po świszczących uderzeniach, które bolały Togrula równie mocno, jak jego własna agonía. Przez chwilę przeklinał ludzi, którzy wkradali się między plemiona jako sprzymierzeńcy, mając ich złotem i obietnicami. Cienka trawa pod nim była pyłem mongolskich ziem, wypełniała jego płuca i dławiła go. Gniew ustał i poranek znów był cichy.

POSŁOWIE

Największą radością człowieka jest podbój jego wrogów i ich ucieczka przed nim. Jazda na ich koniach i zabór ich majątku, widok twarzy tych, których kochali, spowitych we łzach, i objęcia ich córek i żon.”

Dżyngis-chan

Wydarzenia młodości, które doprowadziły do powstania imperium Dżyngis-chana, są doskonałym materiałem na książkę. Przetrwało bardzo niewiele ówczesnych świadectw i nawet najsztywniejsze z nich „Tajna historia Mongołów” była już niemal zaginiona. Oryginał w języku Dżyngis-chana nie przetrwał zawieruchy dziejów. Na szczęście wersja tego tekstu została zapisana fonetycznie po chińsku i to z tego zapisu wiemy najwięcej o życiu Temudżyna z Bordżiginów - Błękitnych Wilków. Angielski przekład Artura Waleya był moim głównym źródłem podczas tworzenia „Wilka ze stepów”.

Chociaż dokładne znaczenie tego imienia pozostaje dyskusyjne, Temudżyn-Üge był Tatarem zabitym przez Jesügeja, który potem nazwał swojego syna imieniem pokonanego przez siebie wojownika. Imię wykazuje pewne podobieństwo do mongolskiej nazwy żelaza i to właśnie przyjmuje się za etymologię, chociaż może to być też przypadek. Temudżyn urodził się z grudą krwi w ręku, co mogło wystraszyć tych, którzy wypatrywali takich znaków.

Temudżyn był wysoki jak na Mongoła i miał „kocie oczy”. Nawet wśród wytrzymałego ludu znany był ze swojej odporności na upał i mróz i obojętności dla odnoszonych ran. Posiadał pełną władzę nad swoim ciałem. Jako lud Mongołowie mają doskonałe zęby i wzrok, ciemne włosy i czerwonawą skórę. Uważają się za spokrewnionych z rdzennymi plemionami Ameryki, które przekroczyły zamarzną 15 000 lat temu Cieśninę Beringa i wkroczyły na Alaskę. Podobieństwa między tymi ludami są uderzające.

We współczesnej Mongolii większość ludności wciąż poluje łukiem lub strzelbą, hoduje owce i kozy, zaś szczególnym szacunkiem darzy kuce. Mongołowie praktykują szamanizm i każde ważniejsze wzgórze oznaczane jest kawałkami błękitnego płótna ku czci Ojca Nieba. Podniebny pochówek, czyli układanie ciał na wzgórzu, aby zostały rozerwane przez ptaki, wygląda tak, jak to opisałem.

Młody Temudżyn został zabrany do starego plemienia swojej matki, do Ołkunutów, gdzie miano znaleźć mu żonę, chociaż jego matka Höelün została zaślubiona w inny sposób - Jesügej i jego bracia porwali ją od jej męża. Jesügej niemal na pewno został otruty przez jego tatarskich wrogów, chociaż dokładnych szczegółów nie znamy.

Po śmierci Jesügeja, plemię wybrało nowego chana i porzuciło Höelün i jej siedmioro dzieci, łącznie z małą córeczką Temülün. Nie wymieniłem przyrodniego brata Beguteja w tej opowieści, bo nie odegrał w niej istotnej roli, a było tu już zbyt wiele podobnych imion. Z podobnych względów zmieniałem imiona, gdzie uważałem, że oryginalne były zbyt długie lub zbyt złożone. Ełuk brzmi o wiele prościej niż „Tarchutaj-kirił-tuk”. Język mongolski nie ma łatwej wymowy. To prawda, że „Dżyngis” można lepiej oddać jako „Czyngis”, ale „Dżyngis” jest formą, której nauczyłem się jako pierwszej i to ona do mnie przemawia.

Höelün i jej dzieci nie miały przeżyć i tylko tej wyjątkowej kobiecie należy zawdzięczać, że żadne z nich nie zmarło pierwszej zimy. Nie wiemy dokładnie, jak rodzina przetrwała głód i

temperatury sięgające -20, ale śmierć Bektera pokazuje, jak blisko krawędzi przepaści się znajdowali. Mimo to mój przewodnik w Mongolii sypiał w swoim delu przy bardzo niskich temperaturach, tak że rano budził się z włosami przymarzniętymi do ziemi. To wytrzymały lud i po dziś dzień uprawia trzy główne dyscypliny sportu - zapasy, łucznictwo i jeździectwo.

Temudżyn zabił Bektera mniej więcej w taki sposób, jak to opisałem, chociaż to Kasar, a nie Kacziun posłał drugą strzałę. Kiedy Bekter kradł żywność, obaj chłopcy urządzili na niego zasadzkę z łukami. Żeby to zrozumieć, chyba trzeba najpierw zobaczyć własną rodzinę na skraju śmierci głodowej. Mongolia jest bezwzględna kraina. Chłopiec Temudżyn nie był nigdy okrutny i nie ma świadectw potwierdzających, jakoby kiedykolwiek czerpał przyjemność z niszczenia swoich wrogów, chociaż był zdolny do bezwzględnych czynów.

Kiedy plemię posłało ludzi, żeby przekonali się, co stało się z porzuconą rodziną, ludzie ci spotkali się z zaciętym oporem braci i ostrzałem z łuku. Po pogoni Temudżyn ukrywał się głęboko w zaroślach przez dziewięć dni bez pożywienia, aż głód w końcu zmusił go do wyjścia. Został pojmany, ale uciekł i ukrył się w rzece. Brzegu błękitnego lodu, który opisałem, nie ma w Tajnej Historii, ale widziałem coś takiego w moich podróżach po Mongolii. Zmieniłem imię Sorchansiry na Basan dla człowieka, który zobaczył go w wodzie i nie wydał go pogoni. To Sorchansira ukrywał Temudżyna we własnej jurcie. Kiedy poszukiwania nie dały rezultatu, Sorchansira dał mu hreczkowatą klacz o białym pysku, jedzenie, mleko i łuk z dwiema strzałami, po czym odesłał go do jego rodziny.

Żona Temudżyna Börte została porwana przez plemię Merkitów, a nie Tatarów, jak to opisałem. Została ranna podczas najazdu. Nie było jej przez kilka miesięcy, a nie dni. W rezultacie ojcostwo jej pierwszego syna Jocziego nigdy nie było do końca pewne i Temudżyn nigdy całkowicie nie zaakceptował chłopca. Dlatego też drugi syn Temudżyna Czagataj nie uznał prawa Jocziego do schedy po ojcu, a sam Dżyngis-chan wyznaczył na swojego następcę trzeciego syna Ogedaja.

Kanibalizm w sensie zjadania serca swojego wroga był rzadki, ale nie niespotykany wśród plemion Mongolii. Istotnie najlepsza część tarbagana, łopatka, znana była jako „ludzkie mięso”. Jest to kolejna rzecz wspólna z praktykami i wierzeniami rdzennych Amerykanów.

Togrułowi z Kereitów istotnie obiecano królestwo w północnych Chinach. Chociaż początkowo był mentorem młodego najeźdźcy, zaczął obawiać się nagłego sięgnięcia Temudżyna po władzę i dokonał nieudanego zamachu, łamiąc w ten sposób naczelną zasadę plemion, że chan zawsze musiał zwyciężać. Togruł został skazany na wygnanie i zabity przez Najmanów, najpewniej zanim go rozpoznali.

Zdrada tych, którym ufał, najwyraźniej wzniciła w Temudżynie pragnienie zemsty i żądze władzy, która nigdy go nie opuściła. Doświadczenia jego dzieciństwa stworzyły człowieka, którym się stał, który nie ugiął się, ani nie pozwolił sobie na słabość w żadnej postaci. Nie interesowały go bogactwa, tylko to, że padną jego wrogowie.

Mongolski łuk z podwójnymi wygięciami jest taki, jak go opisałem, z siłą naciągu większą od angielskiej kuszy, która była tak skuteczna przeciw zbroi dwa wieki później. Kluczem do siły jest forma laminowana, warstwami gotowanego rogu i ścięgna, które wzmacniały drewno. Warstwa rogu jest po wewnętrznej stronie, bo róg odporny jest na kurczenie. Warstwa ścięgien jest na zewnątrz, bo jest odporna na rozciąganie. Warstwy te, grubości palca, dodają broni mocy, a naciągnięcie łuku dwoma palcami w pełnym galopie wymaga siły potrzebnej do uniesienia dwóch mężczyzn. Strzały wykonane są z brzoźowego drewna.

Dżyngis-chan zbudował swoje imperium dzięki łucznictwu i niewiarygodnej umiejętności

manewrowania. Jego jeźdźcy poruszali się o wiele szybciej niż współczesne uzbrojone kolumny i przez wiele dni mogli żywić się mieszaniną mleka i krwi, nie potrzebując zaopatrzenia.

Każdy wojownik nosił dwa łuki, trzydzieści do czterdziestu strzał w dwóch kołczanach i miecz, jeśli go posiadał, toporek i żelazne krzesiwo do ostrzenia grotów, przyczepione do kołczana. Oprócz broni Mongołowie mieli także łąso z końskiego włosia, linę, szpikulec do przebijania dziur w skórze, igłę i nić, żelazny garniec do gotowania, dwa bukłaki wody, 4,5 litra zsiadłego mleka - ćwierć litra na dzień. Każda jednostka dziesięciu ludzi (harban) miała jurkę i zapasowego wierzchowca, była więc zupełnie samowystarczalna. Jeśli mieli suszoną baraninę, ugniatali ją pod drewnianym siodłem przez dziesięć dni. Istotne jest, że mongolski wyraz oznaczający biedaka pochodzi od czasownika „iść pieszo”.

Jedną z historii, której nie wykorzystałem, jest opowieść o tym, jak Höelün pokazywała dzieciom, że można łatwo złamać jedną strzałę, ale nie ich wiązkę - klasyczna metafora siły zbiorowej.

Przymierze Temudżyna z Togrudem z Kereitów pozwoliło mu rozbudować swoich popleczników do potężnej siły pod wodzą silnego chana. Gdyby nie ujrzał państwa Kin jako kukielkarzy pociągających za sznurki i sterujących jego ludem od tysięcy lat, mógłby zostać lokalnym fenomenem. Miał jednak wizję narodu, który zatrząsie światem. Niewiarygodne wojenne zdolności Mongołów zawsze marnowały się we wzajemnych potyczkach. Osamotniony, otoczony przez wrogów Temudżyn zjednoczył ich wszystkich.

Dalsze jego życie miało wstrząsnąć światem.

Conn Iggulden

The logo for Bevitore, featuring the word "Bevitore" in a white serif font centered within a dark red rectangular background.